

Anne McCaffrey
Narodziny Smoków

tom dziewiąty

Jezdźcy Smoków

Przekład Justyna Zandberg

Tę książkę dedykowałam zawsze Judy - Lynn Benjamin del Rey

Część I

ŁĄDOWANIE

Rozdział I

- Mamy już raporty z sondy, panie admirale - oznajmiła Sallah Telgar, nie odrywając wzroku od migających lampek terminala.

- Proszę dać je na ekran, pilocie - odparł admirał Paul Benden. Obok niego, opierając się o fotel dowódcy, stała Emily Boll, wpatrując się w oświetloną słońcem planetę, jakby nieświadoma panującego wokół zamieszania.

Pernijska Wyprawa Kolonizacyjna osiągnęła właśnie najbardziej ekscytujący moment piętnastoletniej podróży: trzy statki, Yokohama, Bahrain i Buenos Aires zbliżały się do punktu przeznaczenia. W pracowniach poniżej pokładu sterowniczego specjaliści niecierpliwie oczekiwali uaktualnień do raportu od dawna nie istniejącego Zespołu Badawczo-Oceniającego, który dwieście lat wcześniej wytypował do kolonizacji trzecią planetę Rukbat.

Długa podróż do Sektora Strzelca odbyła się bez przeszkód. Jedynym urozmaiceniem było odkrycie obłoku Oort, otaczającego system Rukbat. Zjawisko to obejmowało dużą część przestrzeni kosmicznej i całkowicie absorbowало uwagę personelu naukowego, ale Paul Benden stracił zainteresowanie, kiedy Ezra Keroon, kapitan Bahraina oraz astronom wyprawy, zapewnił go, że mgławicowa chmura zlodowaciałych meteoroidów nie jest niczym więcej niż tylko astronomiczną ciekawostką. Będą ją mieć na oku, zaręczał Ezra, ale chociaż z jej wnętrza mogłaby wystrzelić jakaś kometa, mało prawdopodobne, by stanowiła ona zagrożenie dla trzech statków kolonizacyjnych czy też dla planety, do której szybko się zbliżali. W końcu Zespół Badawczo-Oceniający nic nie wspominał na temat nadmiernego bombardowania powierzchni Pernu meteoroidami.

- Raporty z sondy na drugim i piątym - powiedziała Sallah. Kątem oka dostrzegła, że admirał Benden uśmiecha się lekko.

- To już się robi trochę nudne, no nie? - mruknął Paul w stronę Emily Boll, gdy ostatnie raporty rozbrzły na ekranie.

Emily, stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersi, nie poruszyła się ani razu od chwili wystrzelenia sondy, nie licząc okazjonalnego przebierania palcami. Teraz cynicznie uniosła brwi, nadal wpatrując się w ekran.

- Och, bo ja wiem. To po prostu kolejna procedura przybliżająca nas do powierzchni. Oczywiście - dodała sucho - będziemy musieli poradzić sobie ze wszystkim, o czym mówią raporty, ale mam nadzieję, że nam się uda.

- Musi się udać - odparł Paul Benden odrobinę ponuro.

Nie mieli możliwości powrotu - nie mogło być inaczej, biorąc pod uwagę koszt przetransportowania sześciu tysięcy kolonistów i ich wyposażenia w tak odległy sektor galaktyki. Po dotarciu do Pernu paliwa w wielkich transportowcach miało zostać tylko tyle, by mogli wejść na orbitę synchroniczną i utrzymywać pozycję tak długo, żeby wahadłowce przeniosły pasażerów i ładunek na powierzchnię planety. Oczywiście, mieli kapsuły powrotne, zdobądź dotrzeć do siedziby głównej Federacji Planet Rozumnych w ciągu zaledwie pięciu lat, ale wytrawny strateg, jakim był Paul Benden, dobrze wiedział, że nie są one wystarczającym zabezpieczeniem. W skład Wyprawy Pernijskiej wchodził ludźmi o dużych zdolnościach adaptacyjnych, którzy postanowili uciec od wysoko rozwiniętych społeczeństw Federacji Planet Rozumnych. Zamierzali być samowystarczalni. A chociaż Pern posiadał dość dużo rud i minerałów, by utrzymać społeczeństwo rolników, był dostatecznie ubogi i na tyle oddalony od centrum galaktyki, żeby uniknąć zakusów technokratów.

- Już niedługo, Paul - tchnęła Emily w ucho dowódcy - i oboje znajdziemy spokojną przystań. Admirał uśmiechnął się szeroko, zdając sobie sprawę, że Emily było równie trudno jak jemu opierać się perswazjom technokratów, którzy nie chcieli tracić dwójki równie charyzmatycznych bohaterów wojennych: admirała wsławionego Bitwą w Konstelacji Łabędzia oraz nieulęklej Emily Boll, gubernator Pierwszej Centauri. Nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że trudno by było znaleźć lepszych dowódców Wyprawy Pernijskiej.

- A skoro mówimy o spokoju - dodała głośno - powinnam raczej wrócić do zespołu. Wiem, że specjaliści zawsze uważają swoją dziedzinę za najważniejszą, ale ta ich kłótniowość! - Emily stłumiła westchnienie, po czym uśmiechnęła się szeroko. Błękitne oczy w raczej pospolitej twarzy spjrzały porozumiewawczo. - Jeszcze kilka dni gadania i zabierzemy się do roboty, admirale.

Znała go dobrze. Paul nienawidził nie kończącego się rozpatrywania błahostek, które zdawały się pochłaniać ludzi odpowiedzialnych za procedury lądowania. Od przeciągających się rozmów wolał szybko podejmowane i natychmiast wdrażane decyzje.

- Jesteś cierpliwsza ode mnie - stwierdził admirał półgłosem. Ostatnie dwa miesiące, gdy trzy statki powoli wytracały szybkość, wchodząc w system Rukbat, wypełniały monotonne spotkania i dyskusje, które Paulowi wydawały się niepotrzebnym roztrząsaniem procedur, omówionych dokładnie podczas siedemnastu lat planowania poszczególnych etapów przedsięwzięcia.

Większość z dwu tysięcy dziewięciuset kolonistów na Yokohamie przez całą podróż pozostawała w głębokim śnie. Personel konieczny do obsługi i konserwacji trzech wielkich statków podzielił między siebie pięcioletnie wachty. Paul Benden zdecydował się czuwać podczas pierwszej i ostatniej z nich. Emily Boll została ożywiona niewiele wcześniej niż reszta specjalistów od spraw środowiska, którzy spędzali czas narzekając na ogólnikowość raportów dostarczonych przez Zespoły Badawczo-Oceniające. Emily wiedziała, jak bezcelowe byłoby przypominanie im, że te same sformułowania budziły ich entuzjazm w momencie, gdy zgłaszali chęć udziału w pernijskiej ekspedycji.

Paul nadal wpatrywał się w wyświetlane informacje, wędrując spojrzeniem od jednego ekranu do drugiego, mimochodem rozcierając palcami kciuk lewej dłoni. Admirał, chociaż nie w typie Emily, był niezaprzeczalnie przystojnym mężczyzną, zwłaszcza teraz, gdy odrosły mu włosy, zwykle ostrzyżone na jeża. Gęsta jasna czupryna łagodziła ostre rysy: wydatny nos, mocną szczękę i usta o wąskich wargach, wykrzywionych w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Podróż dobrze mu zrobiła: sprawiał wrażenie człowieka zdolnego stawić czoło rygorom następnych kilku miesięcy. Emily przypomniała sobie, jak okropnie był wychudzony na ceremonii upamiętniającej walne zwycięstwo w Konstelacji Łabędzia, kiedy to Flota Purpurowego Sektora pod jego dowództwem zmieniła koleje wojny przeciw Nathis. Legenda głosiła, że Paul Benden trwał na posterunku przez bite siedemdziesiąt godzin decydującej bitwy. Emily w to wierzyła. Sama dokonała czegoś podobnego, gdy Nathis atakowali jej planetę. Z doświadczenia wiedziała, że w sytuacji ekstremalnej człowiek może zrobić bardzo wiele. Zawsze wierzyła, że za taki brak poszanowania dla własnego organizmu trzeba później zapłacić, ale Benden, mimo swojej sześćdziesiątki, wyglądał żwawo i zdrowo. Ona sama również była w dobrej formie. Czternaście lat głębokiego snu usunęło potworne zmęczenie, które było nieuniknionym skutkiem obrony Pierwszej Centauri.

Zresztą do jakiego świata się zbliżali! Emily westchnęła, wciąż nie mogąc na dłużej niż sekundę oderwać wzroku od głównego ekranu. Wiedziała, że wszystkich pełniących służbę na mostku, jak również tych z poprzedniej wachty, którzy nie opuścili sterówki, fascynował widok planety, będącej celem ich podróży.

Nie mogła sobie przypomnieć, kto ją nazwał Pernem. Całkiem prawdopodobne, że zbitka liter w opublikowanym raporcie miała oznaczać coś zupełnie innego, ale nazwa się przyjęła i teraz Pern należał do nich. Zbliżali się w płaszczyźnie równika; leniwy obrót planety sprawił, że

pomocny kontynent z łańcuchem gór na wybrzeżu nie był widoczny, za to mogli podziwiać pustynie zachodu i łąd na południu. Dominującym elementem topografii był ocean, trochę bardziej zielony niż na Ziemi, z nieregularnym wianuszkami wysp. Niebo zdobiła wirująca masa chmur obszaru niskiego ciśnienia, przesuwanego się szybko ku północy. Przepiękny, fascynujący świat! Westchnęła znowu i poczuła na sobie spojrzenie Paula. Odwzajemniła uśmiech, niemalże nie odrywając oczu od ekranu.

Przepiękny świat! I to ich własny! Na wszystkie Świętości, tym razem nie zmarnujemy szansy, pomyślała żarliwie. Do tak cudownego, płodnego świata nie pasują dawne imperatywy. Nie, dodała z wrodzonym cynizmem, ludzie już wymyślają nowe. Pomyślała o tarcach, jakie wyczuła między członkami założycielami, którzy zdołali zgromadzić niewiarygodnie dużo kredytów niezbędnych do sfinansowania wyprawy, a członkami kontraktowymi, specjalistami, których współpraca była niezbędna dla sukcesu przedsięwzięcia. Każdy z nich mógł otrzymać olbrzymie połacie ziemi oraz prawa do wydobywania minerałów na nowej planecie, ale fakt, że to członkowie założyciele mają pierwszeństwo wyboru, stał się kością niezgody.

Różnice! Dlaczego zawsze muszą istnieć jakieś podziały; podziały na arogancką elitę i pogardzaną resztę? Wszyscy będą mieli te same szansę, niezależnie od tego, do jak wielu akrów ziemi zgłoszą pretensje. Na Pernie nikt nie odniesie sukcesu, jeśli nie dowiedzie swoich praw i nie wywalczy dla siebie i rodziny odpowiedniego terytorium. To jest najważniejsze kryterium. Kiedy wylądują, będą zbyt zajęci, by myśleć o jakichś "różnicach", pocieszała się w duchu, obserwując jednocześnie drugi obszar niskiego ciśnienia, który wyłonił się z niewidocznej, północnej części planety i zaczął przesuwać nad oceanem. Gdy dwie masy powietrza się spotkają, ponad wschodnimi wyspami rozszaleje się sztorm.

- Nieźle wygląda - mruknął komandor Ongola głębokim, smutnym basem. Przez sześć miesięcy, które minęły od jej obudzenia, Emily nie widziała, by choć raz się uśmiechnął. Paul powiedział jej, że żona, dzieci i cała rodzina Ongoli została ewaporowana, gdy Nathis zaatakowali ich kolonię. Paul osobiście nalegał na udział komandora w ekspedycji. Ongola, stojąc przy pulpicie, przeglądał dane meteorologiczne i atmosferyczne. - Skład atmosfery zgodny z oczekiwaniami. Temperatura na południowym kontynencie w granicach normy dla późnej zimy. Na kontynencie północnym niskie ciśnienie i znaczne opady. Analizy potwierdzają raport ZBO.

Pierwsza sonda okrążała planetę po tak dobranej orbicie, aby wykonywane fotografie obejmowały każdy skrawek Pernu. Druga, nieco niżej, miała dokonać szczegółowej analizy wybranych punktów. Trzecia została zaprogramowana na badania topograficzne.

- Sondy czwarta i szósta wylądowały, panie admirałe. Piąta jest na orbicie parkingowej - zameldowała Sallah, interpretując kolejno zapalające się lampki. - Próbniki odpalone.

- Proszę dać to na ekrany, pilocie - powiedział admirał. Sallah pokazała odpowiednie obrazy na trzecim, czwartym i szóstym monitorze.

Na głównym ekranie wciąż królował wizerunek Pernu. Planeta powoli obracała się w kierunku wschodnim, przechodząc z nocy w dzień. Linie brzegową południowego kontynentu już ogarnął brzask; widać było łańcuch gór przecięty dolinami rzek.

Próbniki wylądowały w trzech jeszcze niewidocznych punktach na półkuli północnej, skąd przesyłały świeże dane dotyczące warunków atmosferycznych oraz ukształtowania terenu. Południowy kontynent od samego początku był typowany jako miejsce lądowania: raport grupy badawczej opisywał łagodny klimat płaskowyżów, większą różnorodność roślin, występowanie gatunków jadalnych dla ludzi, tereny odpowiednie pod uprawę, a także miejsca nadające się na założenie portów dla wytrzymałych silipleksowych łodzi rybackich, spoczywających pod postacią ponumerowanych fragmentów w ładowniach Buenos Aires i Bahrajna. Morza Pernu wprost kipiały życiem, a przynajmniej niektóre z zamieszkujących je gatunków nadawały się do jedzenia. Biolodzy morscy liczyli na to, że uda się zasiedlić zatoki

i estuaria ziemskimi rybami bez zakłócenia istniejącej równowagi ekologicznej. W zamrożonych zbiornikach Bahraina podróżowało dwadzieścia pięć delfinów, które zgłosiły się na ochotnika. Wody Pernu doskonale nadawały się na siedzibę tych inteligentnych ssaków, które uwielbiały gospodarować w morzach, zwłaszcza jeżeli chodziło o akweny zupełnie nowego świata.

Analizy gleby wykazywały, że ziemskie zboża i warzywa, które już zdążyły przystosować się na Centauri, powinny dać sobie radę i na Pernie. Była to konieczność, gdyż miejscowe gatunki traw nie nadawały się dla ziemskich zwierząt. Jednym z pierwszych zadań agronomów miało być wysianie i zgromadzenie odpowiedniej ilości paszy dla przeżuwaczy i innych przedstawicieli roślinożernej fauny, przewożonych w postaci zapłodnionych komórek jajowych, otrzymanych ze Zwierzęcych Banków Reprodukcyjnych na Ziemi.

Żeby ułatwić przystosowanie ziemskich zwierząt do pernijskich warunków, koloniści, choć z trudem, uzyskali zgodę na stosowanie zaawansowanych technik biogenetycznych opracowanych przez Erydańczyków - głównie mentasyntu, obróbki genów oraz wzmocnień chromosomowych. Chociaż Pern leżał w odległym obszarze galaktyki, Federacja Planet Rozumnych nie pragnęła zbyt drastycznych zmian w ludzkim genotypie, jak te, które niegdyś tak wstrząsnęły opinią publiczną, że do władzy doszła partia Zachowania Czystości Gatunku. Emily się wzdygnęła. To należało do przeszłości. Przed nią, na ekranie, widniała przyszłość. Najlepiej będzie, jeśli zejdzie do specjalistów i pomoże ją zorganizować.

- Dość już tego obijania - mruknęła w stronę Paula Bendena, dotykając jego ramienia pożegnającym gestem.

Paul oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na nią z uśmiechem, po czym pogłaskał jej dłoń.

- Najpierw masz coś zjeść! - Pogroził jej palcem. - Wciąż zapominasz, że na Yoko nie racjonujemy żywności.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Dobrze, dobrze. Obiecuję.

- Najbliższe tygodnie będą bardzo wyczerpujące.

- Ale za to jakie ciekawe! - Niebieskie oczy zmrużyły się w uśmiechu. Nagle zaburczało jej w brzuchu. - Tak jest, admirale. - Mrugnęła do niego i wyszła.

Paul przyglądał się jej, gdy odchodziła w stronę najbliższych drzwi: chuda, prawie koścista kobieta o szarych, naturalnie kręconych włosach, opadających na ramiona. Najbardziej lubił w niej tę niespożytą siłę, zarówno moralną, jak i fizyczną, łączącą się czasem z bezwzględnością, która go zaskakiwała. Emily cechowała niesamowita żywotność - już samo przebywanie w jej towarzystwie podnosiło na duchu. Wspólnie zdołają opanować nowy świat.

Admirał wrócił spojrzeniem do oszałamiającego wizerunku Pernu.

W olbrzymim holu urządzono biura dla kierowników rozmaitych zespołów: egzobiologów, agronomów, botaników i ekologów, a także dla sześciu przedstawicieli farmerów, którzy jeszcze nie do końca otrząsnęli się z głębokiego snu. Pokój otaczały liczne ekrany, wyświetlające coraz to nowe raporty mikrobiologiczne, zestawienia statystyczne, porównania i analizy. Wrzało tu od rozmów. Ludzie pochyleni nad ekranami, pracownicy przygotowujący relacje, starali się ignorować napięcie wyczuwalne w grupie kierowników, którzy skupili się pośrodku pokoju, nie spuszczać oka z ekranów wyświetlających dane istotne dla ich specjalizacji.

Mar Dook, główny agronom, był niewysokim człowiekiem, którego ziemskie, azjatyckie pochodzenie wyraźnie uwidaczniało się w rysach, barwie skóry i sylwetce: był żyłasty, szczupły i lekko zgarbiony, ale czarne oczy jaśniały inteligencją i chęcią stawienia czoła nowym wyzwaniom.

- Szanowni koledzy, plan działania został ułożony już dawno. Przede wszystkim musimy

wylądować. Sondy nie zaprzeczają wcześniejszym danym. Próbkę gleby i roślinności są zgodne z oczekiwaniami. Wzdłuż linii brzegowych stwierdzono obecność brunatnych i zielonych wodorostów, o których wspominały raporty. Sonda morska natknęła się na wodne formy życia. Nadziemna znalazła dużą różnorodność owadów, wymienianych w zestawieniach ZBO. Potwierdzone też zostały informacje o gatunkach latających. Jak to nazwali je badacze? Wherry.

- Dlaczego "wherry"? - zapytał Phas Radamanth. Zaczął przeglądać raport, poszukując jakiegoś wyjaśnienia. - Aha - powiedział w końcu. - Od starego angielskiego słowa określającego galary: ciężkie i pękate. - Uśmiechnął się pod nosem.

- Tak, ale nie widzę wzmianek o innych drapieżnikach - odezwał się Kwan Marceau. Jego wysokie czoło jak zwykle przecinała zmarszczka.

- Na pewno jest coś, co je zjada - odparł Phas bez wahania.

- Chyba że zjadają się nawzajem - zasugerował Mar Dook. Kwan posłał mu surowe spojrzenie. Nagle Mar Dook z podnieceniem wskazał na najświeższy przekaz, pojawiający się na ekranie. - Patrzenie! Próbnik złapał jakieś gadopodobne stworzenie. Spory okaz, gruby na dziesięć centymetrów, siedem metrów długi. Masz swojego zjadacza wherrów, Kwan.

- Drugi próbnik natknął się na kałużę półpłynnych odchodów, zawierających bakterie i pasożyty jelitowe - odezwał się Pol Nietro, pospiesznie przeglądając raport, by znaleźć dodatkowe informacje. - Wydaje się, że w glebie żyje dużo różnych form robaków. Nawet bardzo dużo, jeśli chcecie znać moje zdanie. Nicienie, pierścienice, roztocza, które można by znaleźć w każdej kupie kompostu na Ziemi. Ted, mam tu coś dla ciebie: coś na kształt grzybów. A skoro już o tym mowa, zastanawiam się, gdzie grupa ZBO znalazła te luminescencyjne grzybnie.

Ted Tubberman, jeden z botaników kolonii, prychnął pogardliwie. Był to wysoki mężczyzna o dyktatorskich skłonnościach. Po piętnastu latach głębokiego snu nie miał nawet grama zbędnego ciała.

- Organizmy luminescencyjne, Nietro, zazwyczaj znajduje się w jaskiniach, gdyż światłem przywabiają swoje ofiary, głównie owady. Grzybnia wymieniona w raporcie została znaleziona w systemie jaskiniowym na dużej wyspie, leżącej na południe od północnego kontynentu. Wygląda na to, że ta planeta ma sporo jaskiń. Dlaczego nie wysłano żadnych próbników do badań speleologicznych? - zapytał urażonym tonem.

- Wysłano wszystkie, które były dostępne, Ted - powiedział Mar Dook uspokajająco.

- Spójrzcie! Na to właśnie czekałem - wykrzyknął Kwan, tak pochylony nad ekranem, że niemal dotykał go nosem. Jego poważna zwykle twarz nagle się rozjaśniła. - Stwierdzono istnienie raf. A także zrównoważonych, choć może nietrwałych ekosystemów wokół atoli. To bardzo pocieszające. Te dziwne kropki mogły powstać wskutek uderzeń meteoroidów.

- Nie - odezwał się Ted. - Nie ma śladów gwałtownego uderzenia, a typ wzrostu najmłodszych warstw roślinności zdecydowanie zaprzecza tej hipotezie. Muszę się tym zająć w wolnej chwili.

- Jednakże - wtrącił Mar Dook lekko strofującym tonem - musimy przede wszystkim znaleźć odpowiednie tereny, zaorać je, przebadać i tam, gdzie potrzeba, wprowadzić symbiotyczne bakterie i grzyby, a nawet żuki, potrzebne na pastwiskach.

- Wciąż przecież nie wiemy, które miejsce zostanie wybrane do lądowania. - Twarz Teda aż poczerwieniła z gniewu.

- Te trzy, które teraz badamy, starczą aż nadto - odparł Mar Dook spokojnie. Arogancka niecierpliwość Tubbermana zaczynała już go drażnić. - Wszystkie trzy dają nam odpowiednie tereny pod eksperymentalne uprawy. Niezależnie od tego, gdzie wylądujemy, priorytety mamy niezmiennie. Najważniejsze, żebyśmy nie stracili pierwszego cyklu wegetacyjnego.

- Trzeba ożywić zwierzęta rozplodowe - wtrącił Pol Nie-tro. Główny zoolog, tak samo jak wszyscy, pragnął jak najszybciej zająć się czymś praktycznym. - Poza tym nie możemy wciąż

ich karmić lucerną z kultur hydroponicznych, bo nigdy nie przystosują się do tutejszego pożywienia. Zaraz po lądowaniu musimy wziąć się do roboty i sprawić, by Pern dostarczył nam wszystkiego, czego potrzebujemy.

Obecni odpowiedzieli pomrukiem aprobaty.

- Jedynym nowym czynnikiem w raportach - odezwał się Phas Radamanth, ksenobiolog, nie odrywając wzroku od ekranu - jest gęsta roślinność. Trzeba chyba będzie wyrębać trochę więcej, niż się spodziewaliśmy, zwłaszcza na czterdziestu pięciu południowej jedenaście. Spójrzcie tutaj... - Wskazał gestem dwie różne mapy. - Tam gdzie zdjęcie ZBO pokazuje rozległą polanę, mamy teraz gęstą roślinność, i to dobrze wyrosniętą.

- Nic dziwnego, po dwustu latach - odparł Ted Tubberman z irytacją. - Nigdy nie fascynowała mnie pustka. Nie lubię ubogich ekosystemów. Ale patrzcie, większość z tych dziwnych okręgów jest zarosnięta. Felicjo, pokaż stare zdjęcia tego terenu. - Olbrzymia sylwetka botanika pochyliła się, by mógł zerknąć ponad jej ramieniem na podwójny ekran poniżej przekazu z sondy. - Miałem rację, prawie ich nie widać. Grupa badawcza nie myliła się co do botanicznej sukcesji. I nie jest to nic z trawiastych. Jeżeli to jakaś mutacja... - Ted cofnął się, kręcąc głową i wysuwając do przodu podbródek. Botanik często powtarzał, że sukces kolonii na Pernie będzie zależał od kondycji roślinności.

- Rzeczywiście, dobrze, że zarosły, ale według raportów ZBO... - zaczął Mar Dook.

- Zostaw w spokoju raporty ZBO. Nie powiedziały nam nawet połowy tego, co naprawdę musimy wiedzieć! - wykrzyknął Ted. - Ładne mi badania! Wszystko robione w biegu, powierzchownie. Najmniej wiarygodny raport, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Zgadzam się - odezwał się spokojny głos Emily Boll, która weszła w trakcie przemowy botanika. - Dopiero teraz jasno widać, jak bardzo niekompletny był wstępny raport Zespołu Badawczo-Oceniającego. Ale jednocześnie dał nam możliwość poznania zasadniczych, kluczowych faktów. Dowiedzieliśmy się tego, czego chcieliśmy się dowiedzieć, a FSP bez sprzeciwu oddała nam planetę, bo nie przedstawiała dla niej żadnej wartości. Nie jest to też planeta, o którą byłyby się syndykaty. I dlatego właśnie to my mogliśmy ją otrzymać. Powinniśmy być wdzięczni ZBO. - Emily z uśmiechem popatrzyła na stłoczonych ludzi. - Najważniejsze elementy: atmosfera, woda, uprawna ziemia, rudy, minerały, bakterie, owady, wodne formy życia... wszystko to jest obecne i Pern nadaje się do zamieszkania. A jeśli chodzi o luki, o informacje, których brak we wstępnym raporcie, to mamy całe życie na ich wypełnienie. To wyzwanie dla nas wszystkich, a później i dla naszych dzieci! - Niski głos Emily odbił się echem od ścian pomieszczenia. - Nie ma czasu zamartwiać się tym, czego nam nie powiedziano. Już wkrótce znajdziemy odpowiedzi. Skoncentrujmy się na wielkiej pracy, którą będziemy musieli się zająć już za dwa dni. Jesteśmy gotowi na wszystkie niespodzianki, jakie Pern dla nas przygotował. Mar Dook, czy w raportach z sond znalazłeś coś, co wymagałoby zmiany planów?

- Nie - odparł Mar Dook, niespokojnie rzucając okiem na Teda Tubbermana, który przyglądał się Emily ze zmarszczonym czołem. - Poza tym próbki gleby i roślin zmuszą nas do jakiejś pożytecznej działalności.

- Jestem tego pewna. - Emily uśmiechnęła się do niego szeroko. - Będziemy mieli mnóstwo zajęć. Zresztą widzę, że informacji mamy aż w nadmiarze.

- Wciąż nie wiemy, gdzie mamy lądować - poskarżył się Ted.

- Admirał właśnie to rozważa - odparła Emily spokojnie. - Będziemy jednymi z pierwszych, którzy poznają jego decyzję.

Agronomowie mieli zostać przetransportowani na powierzchnię Pernu na samym początku, gdyż przygotowanie ziemi pod uprawę było jedną z podstawowych potrzeb kolonii. Inżynierowie jeszcze nie skończą montować umocnień na pasie do lądowania, gdy agronomowie będą orać pola, a Ted Tubberman ze swoją grupą zajmie się ustawianiem osłon, pod którymi usypie się cenną glebę przywiezioną z Ziemi, po czym się ją zasieje. Pat

Hempenstall miał być odpowiedzialny za poletko kontrolne, gdzie planowano wysiew przywiezionych nasion na miejscową glebę, żeby sprawdzić, czy ziemskie rośliny poradzą sobie w pernijskich warunkach. Osobny zespół miał się zająć wprowadzaniem symbiotycznych bakterii.

- Będę bardzo szczęśliwy - mruknął Pol Nietro - jeśli raporty potwierdzą obecność skrzydlatych i podziemnych owadów, zaobserwowanych przez ZBO. Jeżeli przejmą one rolę ziemskich organizmów detrytusowych, rolnictwo będzie miało szansę rozwoju. Musimy znaleźć sposób na wprowadzanie składników pokarmowych z powrotem do gleby. A konie, krowy, owce i kozy nie dadzą sobie rady bez bakterii zwozowych, pierwotniaków i grzybów.

- Jeśli nie, Pol - odparła Emily - poprosimy Kitty, aby wyczarowała im odpowiednie narzędzia, żeby zadowolą się tym, co Pern może zaoferować. - Spojrzała z szacunkiem na drobną kobietę, która siedziała pośrodku zgromadzenia.

- Zaraz będą próbki gleby - przerwała milczenie Ju Adjai. - I trochę roślinnej papki dla ciebie, Ted. Będziesz miał zajęcie.

Tubberman zajął miejsce obok Felicji. Jego grube palce zwinnie i z wprawą uderzały w klawiaturę.

Po chwili słychać było zewsząd stukot klawiszy, urozmaicany jedynie pomrukami i nieartykułowanymi oznakami koncentracji. Emily i Kit Ping ubawione nagłą metamorfozą swoich młodszych kolegów, wymieniły spojrzenia. Następnie Kit wróciła wzrokiem do głównego ekranu i na powrót pogrążyła się w kontemplacji świata, do którego zbliżali się z wielką prędkością.

Emily zasiadła na swoim miejscu, zastanawiając się, jak do wszystkich słońc wyprawie udało się zwerbować najbardziej poważanego genetyka w całej Federacji Planet Rozumnych - jedyną istotę ludzką, która pobierała nauki u Erydańczyków. Emily dane było jedynie oglądać zdjęcia zmienionych ludzi po powrocie z pierwszej nieudanej misji do Erydańczyków. Wzdrygnęła się. Może dlatego właśnie Kit Ping zdecydowała się lecieć na kraniec galaktyki - może chciała skończyć ze zbyt długim już, zbyt bolesnym życiem i osiąść w jakimś spokojnym miejscu, gdzie mogłaby praktykować wybiórczą amnezję. Wśród ochotników było wielu takich, którzy pragnęli zapomnieć o tym, co widzieli i co zrobili.

- Będziemy mieli cholerne trudności z wytrzebieniem tych traw na wschodnim lądowisku - odezwał się Ted Tubberman z niezadowolaniem. - Wysoka zawartość boru. Ich żdźbła stępią ostrza i zniszczą urządzenia.

- Ale zamortyzują lądowanie - odparł Pat Hempenstall z uśmiechem.

- Nasze wahadłowce bezpiecznie lądowały w o wiele mniej sprzyjających warunkach - przypomniała Emily.

- Felicjo, pokaż tabelę porównawczą sukcesji botanicznej wokół tych idiotycznych kropek. - Ted wrócił do własnych ekranów. - Jest w nich coś, co mi się nie podoba. To zjawisko występuje na całej planecie. Będę dużo spokojniejszy, jeśli wreszcie wypowie się ten magik, geolog, Tarzan... - urwał nagle.

- Tarvi Andiyar - odpowiedziała Felicja, przyzwyczajona do zaników pamięci Teda.

- W każdym razie powiedz mu, żeby się ze mną spotkał, gdy tylko zostanie ożywiony. Do diabła, Mar, jak możemy funkcjonować, skoro tylko połowa specjalistów jest przytomna?

- Jakoś sobie radzimy, Ted. Pern wyraźnie chce współpracować. Nie trafiliśmy na nic odbiegającego od danych z raportu.

- To właśnie mnie niepokoi - odezwał się Pol Nietro głuchym głosem.

Tubberman prychnął, Mar Dook wrzucił ramionami, a Kitty Ping się uśmiechnęła.

Lekka wibracja chronometru na nadgarstku przypomniała admirałowi Bendenowi o zbliżającym się spotkaniu.

- Komandorze Ongola, proszę przejąć dowodzenie. - Niechętnie, ze wzrokiem wbitym w główny ekran, póki nie przesłoniły go zasuwające się drzwi, Paul opuścił mostek.

Korytarze wielkiego statku kolonizacyjnego stawały się coraz bardziej zatłoczone. Admirał spostrzegł to w drodze do mesy oficerskiej. Niedawno obudzeni ludzie, trzymając się kurczowo poręczy, niezgrabnie poruszali zeszytyniałymi kończynami, zmuszając ciało i umysł do utrzymywania pionowej pozycji, co nagle okazało się trudnym zadaniem. Wkrótce pasażerowie na pokładzie Yokohamy będą upakowani gęściej niż racje żywnościowe w ładowniach. Jednak nagrodą za cierpliwość miała być wolność w zupełnie nowym świecie i nikt nie narzekał na przejściowy ścisk.

Po wnikliwej analizie raportów dostarczonych przez sondy, Paul zdecydował, które z trzech rekomendowanych lądowisk jest najwłaściwsze. Oczywiście najpierw wysłucha załogi i pozostałych dwóch kapitanów, ale wybór rozległej wyżyny u podnóża grupy stratowulkanów był przesądzony. W tej chwili panował tam łagodny klimat, a płaski teren obejmował wystarczająco duże terytorium, by pomieścić wszystkie sześć wahadłowców. Ostatnie dane jedynie potwierdziły trafność wstępnego postanowienia, które podjął siedemnaście lat temu, gdy po raz pierwszy studiował raporty ZBO. Nigdy nie przewidywał szczególnych trudności przy lądowaniu; bardziej niepokoił go przebieg wyokrętowania. Pod niebem Pernu nie krążyły bowiem statki ratunkowe, a na jego powierzchni nie czekały ekipy pomocnicze.

Organizując opuszczenie okrętu Paul wybrał na oficera pokładowego Fulmara Stone'a, człowieka, który służył pod jego rozkazami przez cały czas trwania kampanii w Łabędziu. Przez ostatnie dwa tygodnie grupy Fulmara uwijały się po trzech wahadłowcach i po admirałskim gigu, upewniając się, że po piętnastu latach przechowywania w chłodniach na pokładzie startowym wszystko działa jak należy. Dwunastu pilotów Yokohamy, pod dowództwem Kenjo Fusaiyuki, uczestniczyło w rygorystycznych ćwiczeniach symulacyjnych, których programy nafaszerowane były najbardziej wymyślnymi przeszkodami, jakie mogą wystąpić podczas lądowania. Większość pilotów latała w przeszłości na jednostkach bojowych i była doświadczona w wychodzeniu z opresji, ale nikt nie dorównywał Kenjo. Część młodszych pilotów narzekała na jego metody; Paul Benden uprzejmie wysłuchiwał wszystkich skarg - i całkowicie je ignorował.

Paul był zaskoczony, ale pochlebilo mu, kiedy Kenjo zgłosił się do wyprawy. Zawsze przypuszczał, że człowiek jego pokroju przystąpi do jakiejś jednostki badawczej, gdzie mógłby latać, póki nie straci refleksu. Potem jednak przypomniał sobie, że Kenjo jest cyborgiem, ze sztuczną lewą nogą. Po wojnie Zespoły Badawczo-Oceniające ściągnęły do swoich szeregów samych najlepszych, cyborgom pozostawiając stanowiska administracyjne. Paul machinalnie zacisnął lewą dłoń w pięść, pocierając kciukiem po kłykciach trzech sztucznych palców, działających równie sprawnie jak prawdziwe. Wciąż jednak nie miał czucia w syntetycznej skórze. Z rozmysłem rozluźnił dłoń, jak zwykle przekonany, że słyszy niezwykle cichy, plastikowy trzask w stawach.

Wrócił myślami do prawdziwych problemów, takich jak zbliżające się wyokrętowanie. Wiedział, że nieprzewidywalne opóźnienia czy zaniedbania mogą zahamować całą operację, i to w momencie gdy pasażerowie i ładunek zaczną już opuszczać orbitujące statki. Do nadzorowania wyładunku wyznaczył dobrych specjalistów: Joela Lilienkampa jako koordynatora na powierzchni Pernu, a Desiego Arthieda na pokładzie Yoko. Ezra i Jim, na Bahrainie i Buenos Aires, byli równie spokojni o własny personel, ale nawet najmniejsza komplikacja mogła spowodować nie kończące się modyfikacje. Sztuka w tym, żeby nie dopuścić do przestojów.

Admirał skrzył z głównego korytarza w stronę sterburty i doszedł do mesy. Miał nadzieję, że spotkanie się nie przeciągnie. Podniósł rękę, by dotknąć tablicy dostępu, i spostrzegł, że do chwili pojawienia się dwójki pozostałych kapitanów zostały jeszcze dwie minuty. Najpierw załatwią formalności, Ezra Keroon, jako astrogator floty, potwierdzi przewidywany czas wejścia na orbitę, a potem wybiorą odpowiednie lądowisko.

- Ostatnie zakłady stoją jak jedenaście do czterech, Lili - usłyszał głos Drake'a Bonneau w

momencie, gdy drzwi do mesy prawie bezszelestnie się rozsunęły.

- Na czyją korzyść? - zapytał Paul, uśmiechając się szeroko. Obecni, biorąc przykład z Kenjo, zerwali się na nogi, pomimo uspokajającego gestu admirała. Paul zerknął na dwa puste ekrany, na których dokładnie za dziewięćdziesiąt pięć sekund miały się pojawić twarze Ezry Keroona i Jima Tilleka, a także na ten środkowy, gdzie Pern płynął spokojnie przez czarny ocean kosmosu.

- Część cywilów nie wierzy, że Desi i ja zmieścimy się w czasie - odparł Joel, mrugając jednocześnie do Arthieda, który poważnie skinął głową. Niezbyt wysoki, krępy Lilienkamp miał szeroką, ujmującą twarz, okoloną siwiejącymi, ciemnymi włosami, których kędziory ciasno przylegały do czaszki. Cechowało go zapalczywe, zmienne usposobienie; potrafił być złośliwy. Jego żywej inteligencji towarzyszyła ejdetyczna pamięć, która pozwalała mu nie tylko orientować się we wszystkich zawieranych zakładach, ich wysokości i warunkach, ale również pamiętać o wszystkich pakunkach, skrzyniach, pudłach i kanistrach, znajdujących się pod jego opieką. Jego zastępcę, Desiego Arthieda, często drażniła lekkomyślność zwierzchnika, ale szanował jego umiejętności. Zadaniem Desiego miał być przeładunek wskazanych przez Joela towarów na pokład wahadłowców.

- Cywile? Chyba ci, co cię nie znają - stwierdził Paul sucho, siadając w fotelu i uśmiechając się dyplomatycznie do Avril Bitry, odpowiedzialnej za ćwiczenia symulacyjne. Ambicja sprawiła, że była twarda. Admirał wbrew swej woli spędzał dużą część czasu podczas podróży z tą ognistą brunetką, ale Avril coś w sobie miała. Wkrótce oboje będą zbyt zajęci, by utrzymywać tę zażyłość. Na korytarzach pojawiało się coraz więcej atrakcyjnych kobiet. Pragnął, by któraś z nich zechciała poślubić Paula Bendena, nie "admirala". Nagle oba ekrany rozblęły. Na prawym pojawiło się marsowe oblicze Ezry Keroona, z charakterystyczną szpakowatą grzywką, na lewym widniała kwadratowa twarz Jima Tilleka, jak zwykle rozjaśniona radosnym uśmiechem.

- Witaj, Paul - powiedział Jim, o włos wyprzedzając formalny salut Ezry.

- Admirale - powiedział Ezra z powagą. - Melduję, że zaplanowany kurs utrzymujemy co do minuty. Oczekiwany czas wejścia na orbitę wynosi obecnie czterdzieści sześć godzin, trzydzieści trzy minuty i dwadzieścia sekund. W chwili obecnej nie przewidujemy żadnych odchyień.

- Bardzo dobrze, kapitanie - odparł Paul, oddając salut. - Jakież problemy?

Obaj kapitanowie zameldowali, że program ożywiania przebiega bez zakłóceń a wahadłowce będą gotowe do startu, gdy tylko statki wejdą na orbitę.

- Skoro więc znamy już czas, kwestią otwartą pozostaje wybór miejsca lądowania - stwierdził Paul, siadając głębiej w fotelu na znak, że czeka na komentarze.

- No, to gadaj, Paul - odezwał się Joel Lilienkamp ze zwykłym u siebie brakiem poszanowania dla protokołu. - Gdzie lądujemy? - Przez cały czas trwania wojny impertynencje Joela bawiły Paula, co jest nie bez znaczenia w chwilach, gdy nie ma zbyt wielu powodów do radości. Ów brak subordynacji wywołał oburzenie Ezry Keroona, ale Jim Tillek tylko się uśmiechnął.

- A ty co obstawiasz, Lili? - zapytał ze złośliwym wyrazem twarzy.

- Omówmy tę sprawę bez uprzedzeń - zaproponował Paul sucho. - Wszystkie trzy miejsca zalecane przez grupę ZBO zostały zbadane przez sondy. Jak wiadomo z dokumentacji, punkty te to trzydzieści południowej trzynaście przecinek trzydzieści, czterdzieści pięć południowej jedenaście oraz czterdzieści siedem południowej cztery przecinek siedem.

- Tak naprawdę, admirale, to jest tylko jeden - wtrącił Drake Bonneau z ożywieniem, wskazując palcem miejsce wybrane przez Paula; to na płaskowyżu. - Dane z próbników dowodzą, że to teren tak płaski, jakby został przygotowany specjalnie dla nas, poza tym z łatwością pomieści sześć wahadłowców. Jeśli chodzi o czterdzieści pięć południowej jedenaście, to grunt tam jest podmokły, a ten na zachodzie jest zbyt odległy od oceanu. Nie

mówiąc o tym, że panuje tam temperatura bliska zeru.

Paul dostrzegł, że Kenjo potakująco skinął głową. Zerknął na dwa ekrany. Na jednym Ezra pochylał się nad stołem, sprawdzając jakieś notatki. Poszerzająca się łysina astronoma była wyraźnie widoczna; Paul nieświadomie przeczesał palcami własną gęstą czuprynę.

- Trzydzieści południowej wydaje mi się dostatecznie bliski morza - zauważył spokojnie Jim Tillek. - Dobre miejsca na porty jakieś pięćdziesiąt klików dalej. Poza tym rzeka jest żeglowna. - Zamiłowanie Jima do sprzętu pływającego przewyższała jedynie jego miłość do delfinów. W jego przypadku o wyborze lądowiska przesądziłby dostęp do wody.

- Dobra wysokość na obserwatorium i stacje meteo - odparł Ezra - chociaż raporty klimatyczne wydają mi się mało przekonujące. Nie uśmiecha mi się siadać tak blisko wulkanów.

- To jest argument, Ezra, ale... - Paul przerwał, by szybko przejrzeć odpowiednie dane. - Nie zaobserwowano żadnej aktywności sejsmicznej, więc wulkany nie są chyba problemem. Możemy poprosić, żeby Patrice de Broglie przeprowadził badania. O, właśnie, ZBO też nie zaobserwował aktywności sejsmicznej, więc nawet ten, o którym wiadomo, że wybuchł, musiał być wygasły przez ponad dwieście lat. A ogólne warunki oraz cechy klimatu są zdecydowanie korzystniejsze niż w dwóch pozostałych punktach.

- Hmm, może i tak. Nie wygląda na to, żeby pogoda miała się tam poprawić w ciągu najbliższych dwóch dni - ustąpił Ezra.

- Do licha, nie musimy przecież zostać tam, gdzie wylądujemy! - wykrzyknął Drake.

- Więc jeżeli pogoda nie szykuje nam jakichś niespodzianek - odezwał się Jim Tillek - a jestem pewien, że chłopcy z meteo zdołają to ustalić, kierujmy się na trzydzieści południowej. Zresztą to lądowisko faworyzował ZBO. Próbniki podają, że jest tam gruba warstwa gleby. Powinna zamortyzować uderzenie przy lądowaniu, Drake.

- Uderzenie? - Szare oczy Drake'a rozszerzyły się ironicznie. - Kapitanie Tillek, nie miałem problemów z lądowaniem od czasów pierwszego samodzielnego lotu.

- A więc, panowie, czy uzgodniliśmy lądowisko? - zapytał Paul. Ezra i Jim skinęli głowami. - Odpowiednie instrukcje i niezbędne uaktualnienia otrzymacie o 2200.

- I co, Joel - odezwał się Jim Tillek, uśmiechając się złośliwie. - Wygrałeś?

- Ja, kapitanie? - Joel był wcieleniem urażonej niewinności. - Nigdy nie stawiam na pewniaka.

- Czy pozostało nam jeszcze coś do omówienia? - Paul zamilkł uprzejmie, wodząc wzrokiem od jednego ekranu do drugiego.

- Wszystko gra, Paul - zapewnił Jim. - Wystarczy, że wiem, gdzie mam zaparkować tę skorupę i dokąd wysłać wahadłowce. - Niedbale zsalutował Ezrze, po czym się wyłączył.

- Do widzenia, admirale - odezwał się Ezra bardziej formalnie, po czym jego wizerunek też zniknął.

- To na razie wszystko, Paul? - spytał Joel.

- Ustaliliśmy czas i miejsce - odparł Paul - ale ułożyłeś bardzo wypełniony grafik, Joel. Jesteś pewien, że go zrealizujesz?

- Duża kwota pieniędzy twierdzi, że tak, admirale - zakpił Drake Bonneau.

- Jak pan myśli, dlaczego tak drobiazgowo pilnowałem załadunku Yoko, admirale? - zapytał Joel Lilienkamp z szerokim uśmiechem. - Wiedziałem, że po piętnastu latach będę musiał wszystko wylądować. Zobacz pan. - Mrugnął okiem w stronę Desiego, na którego twarzy pojawił się cień sceptycyzmu.

- Więc dobrze, panowie - powiedział admirał wstając. - Gdyby wynikły jakieś problemy, będę w swojej kabinie.

Wychodząc z mesy słyszał, że Joel proponuje zakład dotyczący szybkości, z jaką wieść o wyborze lądowiska rozprzestrzeni się po całej Yoko.

Dobiegł go jeszcze gardłowy głos Avril:

- A jaką stawkę proponujesz? - Po czym drzwi zasunęły się z szelestem.

Morale było wysokie. Paul miał nadzieję, że spotkanie prowadzone przez Emily zakończyło się równie satysfakcjonujące. Siedemnaście lat planów i organizowania wkrótce zostanie poddanych próbie.

Na pokładach hibernacyjnych wszystkich trzech statków medycy pracowali na dwie zmiany, żeby ożywić pięć i pół tysiąca kolonistów. Techników i specjalistów ożywiano wcześniej ze względu na ich przydatność podczas lądowania, ale admirał Benden i gubernator Boli nalegali, że wszyscy muszą zostać obudzeni, zanim trzy statki osiągną tymczasową pozycję parkingową na stałej orbicie Lagrange'a, sześć stopni powyżej większego księżyca, w punkcie L-5. Kiedy trzy wielkie statki zostaną opróżnione z pasażerów i ładunku, nikt już nie będzie miał szansy obejrzeć Pernu z przestrzeni kosmicznej.

Sallah Telgar, schodząc z wachty na mostku, doszła do wniosku, że podróży kosmicznych ma już po dziurki w nosie. Jako jedyny pozostały przy życiu członek rodziny oficerów planetarnych, spędziła dzieciństwo przetrucana z jednego posterunku do drugiego. Gdy straciła oboje rodziców, bez wahania zgłosiła się jako członek założyciel kolonii. Odszkodowania wojenne pozwoliły jej na kupno sporego obszaru ziemi na Pernie. Upomni się o nią, gdy kolonia przebrnie przez pierwszy, najtrudniejszy etap. Największym marzeniem Sallah było osiąść w jednym miejscu i pozostać tam do końca swoich dni. Ze względu na to Pern zupełnie ją zadowalał.

Gdy wyszła z mostka na główny korytarz, zaskoczył ją widok tak wielu ludzi. Przez prawie pięć lat mieszkała zupełnie sama. Kabina nie była wystarczająco przestronna nawet dla jednej osoby, a przy trzech lokatorach stawała się po prostu ciasna. Nie mając ochoty na powrót, Sallah udała się w stronę mesy, gdzie mogła coś przekąsić i pooglądać planetę na olbrzymim ekranie.

Przy wejściu do mesy Sallah zatrzymała się w pół kroku, zaskoczona tym, jak niewiele miejsc było wolnych. Zanim zdążyła wziąć z automatu tacę z jedzeniem, zostało tylko jedno: przy bufecie pod ścianą na bakburcie, skąd widok Pernu był nieco zniekształcony.

Sallah wzruszyła ramionami. Wizerunek planety traktowała jak narkotyk; wystarczyło jej, że w ogóle ją widzi. Kiedy jednak usiadła, zorientowała się, że za sąsiadów ma ludzi, których lubiła najmniej z całej załogi Yokohamy: Avril Bitrę, Barta Lemosę i Nabiego Nabola. Siedzieli z trzema nieznanymi. Naszywki na kołnierzach zdradzały kamieniarza, inżyniera mechanika oraz górnika. Byli to też jedyni ludzie, którzy nie wpatrywali się chciwie w ekran. Trzej specjaliści słuchali Avril i Barta, udając całkowity brak zainteresowania, chociaż najstarszy, inżynier, od czasu do czasu rzucał okiem dookoła sprawdzając, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Avril trzymała łokcie na stole, a jej urodziwą twarz szpecił arogancki, wyniosły grymas. Czarne oczy kobiety błyszczały, gdy pochylała się w stronę Barta Lemosę, który z podnieceniem uderzał prawą pięścią w otwartą lewą dłoń, by podkreślić szybkie, ciche słowa. Na twarzy Nabiego, kiedy przyglądał się geologowi, rysował się zwykły wyraz wyższości, podobny do pogardliwej miny Avril.

Ich zachowanie wystarczyło, żeby odebrać komuś apetyt, pomyślała Sallah. Wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć Pern.

Krały plotki, że Avril spędziła dużą część ostatnich pięciu lat w łóżku admirała Bendena. Sallah musiała przyznać, że energicznego człowieka pokroju Paula mogła seksualnie fascynować ciemna, olśniewająca uroda pani astrologa. Zróżnicowani etnicznie przodkowie Avril przekazali jej tylko najlepsze cechy. Była wysoka, ale nie przesadnie, z bujnymi czarnymi włosami, którym zwykle pozwalała swobodnie opadać w jedwabistych falach. Miała śniadą karnację bez najdrobniejszej skazy, pełne gracji, wypracowane ruchy, a oczy, błyszczące czarnym ogniem, zdradzały inteligencję i zapalczywość. Niebezpiecznie było wchodzić jej w drogę. Sallah skrupulatnie trzymała się na dystans od Paula Bendena i wszystkich innych, których widziano w towarzystwie Avril więcej niż trzy razy. Niezycliwi

jej ludzie podkreślali, że ostatnio admirał jakoś nie pojawia się u boku ciemnowłosej kobiety, ale przyjaciele dowodzili, że Paul musi odbywać długie narady z załogą i że czas rozrywek się skończył. Ci, których nie oszczędził cięty język Avril, twierdzili, że jej rola towarzyszkii admirała Bendena już się skończyła.

Sallah miała na głowie co innego niż kombinacje Avril Bitry. Chciała się dowiedzieć, które miejsce wybrano do lądowania. Wiedziała, że decyzję już podjęto i że trzyma się ją w tajemnicy aż do formalnego komunikatu admirała. Wiedziała jednak również, że zawsze istnieją szansę na przeciek. Czyniono nawet zakłady, jak szybko nowinę pozna cały statek. Wieści już wkrótce powinny zacząć się rozprzestrzeniać.

- O, tutaj! - krzyknął nagle jakiś człowiek. Na kołnierzu miał naszyty symbol pług, oznakę agronoma. Podszedł do ekranu i dźgnął palcem w punkt, który właśnie się na nim pokazał. - Dokładnie - umilkł na moment, gdy obraz na ekranie poruszył się nieznacznie - tutaj! - Wskazujący palec trzymał u podstawy wulkanu, który, chociaż nie większy od łebka od szpilki, był jednak dość dobrze widoczny.

- Ile Lili na tym wygrał? - zapytał ktoś.

- A co to mnie obchodzi? - odparował agronom. - Ja właśnie wygrałem akr ziemi od Hempenstalla!

Rozległ się śmiech. Obecni zareagowali falą dobroduszych żartów, tak zaraźliwych, że Sallah musiała się uśmiechnąć. W końcu jednak jej wzrok padł na wargi Avril, wykrzywiające się w pogardliwym, pełnym wyższości uśmiechu. Widząc twarz kobiety, Sallah domyśliła się, że Avril została dopuszczona do tajemnicy, ale nie zdradziła jej swoim towarzyszom przy stole. Bart Lemos i Nabhi Nabol pochylili się ku niej, zasypując krótkimi pytaniami.

Avril wzruszyła ramionami.

- Miejsce lądowania jest nieistotne - dobiegł Sallah jej głęboki, cichy głos. - Wahadłowce są dostatecznie dobrze wyposażone, by spełnić swoje zadanie. - Zerknęła w bok i napotkała spojrzenie Sallah. Jej ciało momentalnie zeszytniało, oczy się zwęziły. Z wyraźnym wysiłkiem odprężyła się i oparła swobodnie o krzesło, wpatrując się w Sallah z taką uporczywością, że kobieta natychmiast poczuła wzbierający gniew.

Sallah odwróciła wzrok, czując się nieco upokorzona. Dopija ostatni łyk gorzkiej kawy, krzywiąc się z niesmakiem. Kawa na statku była fatalna, ale wiedziała, że nawet takiej będzie jej brakować, gdy wyczerpią się zapasy. Krzewy kawowe, z nieznanых przyczyn, nie dały się jak dotychczas wyhodować na żadnej z kolonizowanych planet. Raport ZBO zalecał jako substytut korę jednej z pernijskich krzewinek, ale Sallah nie miała do tego przekonania.

Po identyfikacji miejsca lądowania poziom hałasu w mesie wzrósł tak bardzo, że stał się prawie nie do wytrzymania. Sallah z westchnieniem zgarnęła resztki do pojemnika, przesunęła tacę pod zmywakiem, po czym ułożyła ją na stercie innych. Pozwoliła sobie na jeszcze jedno długie spojrzenie na Pern. Nie zniszczymy tej planety, pomyślała. Nie pozwolę na to.

Odwracała się już, by odejść, gdy jej wzrok padł na ciemną głowę Avril. Nie po raz pierwszy pomyślała, że nie rozumie, dlaczego ta kobieta postanowiła zostać kolonistką. Avril była członkiem kontraktowym, ze sporymi udziałami ze względu na profesjonalną użyteczność, ale nie wyglądała na osobę, której odpowiadałoby życie na łonie natury. Miała wszystkie cechy zdeklarowanego mieszczucha. Wyprawa pernijska przyciągnęła kilku wybitnych specjalistów, ale większość tych, z którymi Sallah rozmawiała, zdecydowała się na wyjazd dlatego, żeby zostawić za sobą cywilizację technokratów, rządzoną przez syndykaty, z ich wciąż rosnącym zapotrzebowaniem na bogactwa mineralne.

Sallah podobała się idea dołączenia do samowystarczalnego społeczeństwa, tak daleko od Ziemi i jej pozostałych kolonii. Gdy tylko przeczytała prospekt wyprawy, postanowiła wziąć w niej udział. W wieku szesnastu lat, gdy wszyscy planetarni mieli obowiązek wziąć czynny

udział w pełnej ofiar wojnie z Nathis, zgłosiła się na szkolenie pilotów, połączone z nauką obsługi sond i elementami technik przetrwania. Kurs dobiegł końca równocześnie z wojną, więc mogła wykorzystać nowe umiejętności do sporządzania map zdewastowanych terenów jednej planety i dwóch księżyców. Gdy wyprawa pernijska wreszcie doszła do skutku, mogła nie tylko zdobyć status członka założyciela; jej doświadczenie i umiejętności stanowiły cenny wkład do profesjonalnych zasobów ekspedycji.

Wychodząc z mesy, miała zamiar udać się do własnej kabiny, ale teraz nie była pewna, czy uda jej się zasnąć. Za dwa dni osiągną wreszcie długo oczekiwany cel. Wtedy życie naprawdę stanie się ciekawe!

Skrecała właśnie w główny korytarz, gdy wpadła na nią mała dziewczynka o lśniących rudych włosach. Dziecko przez chwilę starało się utrzymać równowagę, po czym upadło ciężko u stóp Sallah. Łkając głośno, bardziej z rozpacz niż z bólu, mała przycisnęła się do nogi kobiety, obejmując ją mocniej, niż można by się spodziewać po kimś w jej wieku.

- No już, nie płacz. Zaraz odzyskasz równowagę, kruszynko - powiedziała Sallah łagodnie, schylając się, by pogłodzić jedwabiste włosy i nieco rozluźnić rozpaczliwy uścisk.

- Sorka! Sorka! - W ich stronę równie niepewnym krokiem zmierzał mężczyzna o identycznie czerwonych włosach, jedną ręką trzymał małego chłopca, drugą - przystojną brunetkę. Kobieta zdradzała wszystkie objawy osoby dopiero co obudzonej: miała rozbiegane oczy i chociaż wyraźnie starała się zapanować nad sytuacją, nie mogła się skoncentrować.

Mężczyzna rzucił okiem na naszywkę na kołnierzu Sallah.

- Proszę o wybaczenie, pilocie - powiedział z przepaszającym uśmiechem. - Jeszcze się nie dobudziliśmy.

Starał się uwolnić jedną rękę, by przyjść Sallah z pomocą, ale kobieta nie zwolniła uścisku, on sam zaś nie chciał puszczać ślaniającego się malca.

- Potrzebujecie pomocy - powiedziała Sallah, zastanawiając się, który medyk wypuścił tak wyraźnie osłabioną czwórkę.

- Nasza kabina miała być kilka kroków stąd. - Mężczyzna ruchem głowy wskazał boczny korytarz za plecami Sallah. - Tak nam powiedziano. Nigdy nie sądziłem, że kilka kroków to tak daleko.

- Jaki numer? Jestem po służbie.

- B-8851.

Sallah zerknęła na tabliczki u wylotu korytarza i skinęła głową.

- To rzeczywiście tutaj. Pozwólcie, że wam pomogę. Daj łapkę, Sorka... tak się nazywasz, prawda? Poczekaj...

- Przepraszam - wtrącił mężczyzna, gdy Sallah usiłowała wziąć dziecko na rękę. - Mówili nam, żebyśmy szli sami. A przynajmniej żebyśmy próbowali.

- Ja nie mogę iść - zapłakała Sorka. - Nie mogę stać na nogach! - Jeszcze mocniej przycisnęła się do uda Sallah.

- Sorka! Zachowuj się! - Rudy mężczyzna zmarszczył się gniewnie.

- Mam pomysł! - odezwała się Sallah łagodnym tonem. - Weź mnie za obie ręce... - Zdołała oderwać palce Sorki od swojej nogi i mocno chwycić je w dłoń. - I idź przede mną. Będę cię utrzymywać na kursie.

Nawet z pomocą Sallah rodzina poruszała się bardzo powoli. Przeszkadzali im inni ludzie, którzy mijali ich, spiesząc we własnych sprawach, płątały im się nogi.

- Nazywam się Red Hanrahan - odezwał się mężczyzna w połowie drogi.

- Sallah Telgar.

- Nigdy nie sądziłem, że będę potrzebował pomocy pilota jeszcze przed wylądowaniem - powiedział z szerokim uśmiechem. - To jest moja żona, Mairi, mój syn, Brian. Sorka już dała się poznać.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Sallah, otwierając drzwi ich kabiny. Wykrzywiła się na

widok ciasnego pomieszczenia, po czym przypomniała sobie, że rodzina nie będzie tu mieszkała zbyt długo. Chociaż bowiem koje w dzień były przypięte do ściany, na podłodze nie zostało zbyt dużo miejsca.

- Niewiele większa od kabiny, którą właśnie opuściliśmy - zauważył Red beztrąsko.

- Jak mamy tu ćwiczyć? - zapytała jego żona. W jej głosie zabrzmiało rozgoryczenie, gdy dokładnie przyjrzała się pomieszczeniu.

- Po kolei, jak sądzę - odparł Red. - To tylko na kilka dni, kochanie, potem będziemy mieli dla siebie całą planetę. Brian, Sorka, włączcie do środka. Pilot Telgar poświęciła nam już wystarczająco dużo czasu. Bardzo dziękujemy, pilocie.

Sorka, która na wezwanie ojca weszła do kabiny i oparła się o ścianę, teraz osunęła się na podłogę, przyciskając kolanka do piersi. Przekrzywiła głowę, żeby spojrzeć na Sallah.

- Ja też dziękuję - powiedziała. Wyglądała już na bardziej opanowaną. - To bardzo dziwne, nie wiedzieć gdzie góra, a gdzie dół.

- Rzeczywiście, ale to szybko minie. Wszyscy musimy przez to przejść po obudzeniu.

- Wszyscy? - Pełna niedowierzania mina dziewczynki szybko przerodziła się w najbardziej promienny uśmiech, jaki Sallah kiedykolwiek widziała. Odpowiedziała uśmiechem.

- Oczywiście. Nawet admirał Benden - dodała, nie całkiem zgodnie z prawdą. Pogładziła jedwabiste, tycjanowskie włosy dziecka. - Do zobaczenia wkrótce.

Wychodząc usłyszała jeszcze głos Reda Hanrahana:

- Skoro już tam siedzisz, Sorka, zacznij robić te ćwiczenia, które nam pokazali. Potem będzie kolej Briana.

Do własnej kabiny dotarła bez dalszych przeszkód, chociaż na korytarzach pełno było niedawno obudzonych ludzi. Ich twarze wyrażały bądź to najwyższe skupienie, bądź całkowitą panikę. Sallah otworzyła drzwi i natychmiast spostrzegła śpiących w środku ludzi. Skrzywiła się. Wycofała się po cichu, po czym oparła o drzwi, zastanawiając się, co robić. Była zbyt podniecona, żeby spać; musiała się jakoś uspokoić. Postanowiła iść do pokoju pilotów i poćwiczyć trochę na symulatorze. Jej biegłość w sztuce pilotowania wahadłowców już wkrótce miała zostać poddana próbie.

W dotarciu do celu przeszkodził jej kolejny z niedawno obudzonych kolonistów, którego koordynacja ucierpiała podczas długotrwałego bezruchu. Był tak wychudzony, że gdy zachwiał się na nogach, Sallah pomyślała, że złamie się w połowie.

- Tarvi Andiyar, geolog - przedstawił się grzecznie, gdy tylko pomogła mu wrócić do pionowej pozycji. - Naprawdę weszliśmy na orbitę Pernu? - Chciał spojrzeć na Sallah, ale zrobił tylko zeza. Kobieta z trudem stłumiła uśmiech na widok komicznego grymasu. Poinformowała go o aktualnej pozycji. - Czyżbyś własnymi prześlicznymi oczami oglądała tę cudowną planetę?

- Owszem. Jest tak piękna, jak przewidywaliśmy - zapewniła go Sallah. Tarvi uśmiechnął się z ulgą, ukazując bardzo białe i równe zęby. Potem pokręcił głową, dzięki czemu jego oczy na moment zogniskowały się prawidłowo. Miał jedną z najpiękniejszych twarzy, jakie kiedykolwiek oglądała u mężczyzny - nie porane oblicze wojownika, jak u Bendena, ale wyrafinowane, niczym wyrzeźbione subtelne rysy. Przypominał jednego z tych starożytnych książąt, których oglądała na mozaikach w zrujnowanych hinduskich i kambodżańskich pałacach.

- Wiesz coś może o jakichś danych z sond? Niczego tak nie pragnę, jak wziąć się do pracy.

Sallah się roześmiała. Rozbawienie pozwoliło jej otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na niej twarz geologa.

- Nie możesz nawet chodzić, a już chcesz się brać do pracy?

- Czy piętnaście lat urlopu nie wystarczy? - zapytał z łagodną naganą w głosie. - To chyba kabina C-8411?

- Owszem - potwierdziła, pomagając mu przejść przez korytarz.

- Jesteś równie piękna jak uprzejma - powiedział, jedną ręką trzymając się poręczy i usiłując wykonać dworski ukłon. Chwyliła go za ramiona, gdy zachwiał się na nogach. - I szybka - dodał, po czym nieco łagodniej skinął głową i z niewiarygodnym w tych okolicznościach dostojeństwem otworzył drzwi.

- Sallah! - krzyknął Drake Bonneau, zbliżając się pospiesznie korytarzem. - Czy ktoś ci już mówił, gdzie lądujemy? - Miał minę zadowolonego z siebie człowieka, który zamierza wyświadczyć przyjacielowi przysługę.

- Wystarczyło dziewięć minut, żeby wiedział cały statek - odparła chłodno.

- Aż tak długo? - Udał pogardę, po czym zaprezentował jeden z uśmiechów, który jego zdaniem mógłby każdego oczarować. - Wypijmy za to. Już niedużo nam zostało obijania. Tylko we dwoje, dobrze?

Nie okazała podejrzliwości, jaką wywołało u niej to zaproszenie. Drake prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jak oklepane są jego gładkie powiedzonka. Słyszała wielokrotnie, jak prawi komplementy wszystkim w miarę atrakcyjnym kobietom, lecz tym razem jego zwykła nieszczerłość szczególnie ją zirytowała. Nie był złym człowiekiem, a podczas wojny wykazał się dużą odwagą. W końcu zdała sobie sprawę, że jej irytacja bierze się stąd, że nagle, po całych latach ciszy, znalazła się pośród hałaśliwego tłumu. Uspokój się, nakazała sobie surowo, już za kilka dni będziesz zbyt zajęta, żeby zwracać uwagę na takie drobiazgi.

- Dzięki, Drake, ale jestem umówiona na ćwiczenia z Kenjo za... - zerknęła na zegarek - pięć minut. Spotkamy się kiedy indziej.

Aby uniknąć zatłoczonych korytarzy, dostała się pokład startowy przejściem awaryjnym, po czym zaczęła przeciskać się między różnymi towarami, które czekały na załadunek na admiralski gig, Mariposę. Była to niewielka, zgrabna jednostka, z trójkątnymi skrzydłami i spiczastą gondolą. Z pewnością w środku znajdzie się wystarczająco dużo wolnego miejsca. Sallah wcisnęła przycisk wjazdu.

Rozdział II

Następną wachtę, psią, Sallah dzieliła z Kenjo Fusaiyuki. Nie mieli wiele do roboty; wystarczyło, że reagowali, gdy jakiś błąd spowodował zatrzymanie programów. Sallah przeszukiwała system, usiłując znaleźć coś na tyle interesującego, żeby nie zasnąć, gdy spostrzegła, że Kenjo włączył jeden z mniejszych ekranów przy swoim stanowisku.

- Co tam masz? - zdążyła zapytać, zanim sobie przypomniała, że Kenjo jest raczej introwertykiem i może być niezadowolony z jej ciekawości.

- Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym naszym "obcym" - odparł, nie odrywając wzroku od ekranu.

- A, o tym, co tak podniecił wszystkich astronomów? - zapytała. Uśmiechnęła się na wspomnienie spokojnego, pedantycznego Xi Cni Yuena, który zarumieniony z wrażeń tańczył po całym mostku.

- Właśnie - potwierdził Kenjo. - Rzeczywiście ma zupełnie anormalną orbitę, pasującą bardziej do komety niż do planety, chociaż masa wskazywałaby na planetę. Patrz. - Wystukał szereg liter; na ekranie pokazały się dane dotyczące planet okrążających Rukbat, w odniesieniu do siebie nawzajem i do ich słońca. - Wybiega dalej niż inne, a w afelium wchodzi nawet na teren obłoku Oort. Możliwe, że to pozostałość starego systemu, jak sugeruje raport ZBO, ale planeta nie powinna mieć takiej orbity.

- Ktoś podejrzewał, że to jakaś samotna planetoida, przechwycona przez Rukbat.

Kenjo pokręcił głową.

- To zostało wykluczone. - Wpisał kolejną komendę i wykres na ekranie zmienił położenie, po czym został zakryty przez serię wzorów. - Spójrz, jakie są szanse. - Wskazał na migającą

dziewięciocyfrową liczbę prawdopodobieństwa. - Takie parametry mogłaby mieć jedynie orbita komety wchodzącej w system Rukbat. A to nieprawda. - Długie, kościste palce wyczyściły ekran. - Nie mogę znaleźć harmonicznej z innymi planetami. Proszę, kapitan Keroon jest zdania, że obiekt został przechwycony przez Rukbat mniej więcej dziesięć cykli temu.

- Nie, Xi Chi Yuen chyba to wykluczył. Z jego obliczeń wynika, że dopiero co minął swoje afelium - przypomniała Sallah. - Co to on powiedział? - Usiłowała sobie przypomnieć.

Kenjo już otwierał odpowiedni plik.

- Jego raport głosi, że planetoida o niewspółśrodkowej orbicie właśnie wyszła z obłoku Oort, wyrzuwając trochę jego materii.

- Mówił też, i to pamiętam dokładnie, że za około osiem lat będziemy mieli widowiskowy deszcz meteorytów, gdy nasz nowy świat przetnie pozostałości z Oort.

Kenjo prychnął.

- Wcale mi się to nie podoba. Po ostatnich obserwacjach nie mam zaufania do raportu ZBO. Te krople na powierzchni mogą być właśnie skutkiem uderzeń meteorytów.

- Nie będzie mi to spędzało snu z powiek.

- Mnie też nie. - Kenjo skrzyżował ręce na piersi; raport przesuwiał się po ekranie. - Yuen najwyraźniej jest zdania, że przy tak niewspółśrodkowej, prawie parabolicznej orbicie, obiekt albo ponownie opuści system Rukbat, albo wpadnie na słońce.

- Nie będzie to chyba wielka strata, prawda?

Kenjo potrząsnął głową, wciąż śledząc raport.

- Jest dokładnie zamrożony. Przez większą część swojej orbity porusza się za daleko od Rukbat, by móc zmagazynować choć trochę ciepła. Możliwe, że kiedy przelatuje blisko słońca, widać ogon, jak u komety. - Wyszedł z programu i wystukał nową komendę. - O wiele bardziej interesujące są dwa księżycy Pernu.

- Dlaczego? Ich przecież nie kolonizujemy. Poza tym zasoby paliwa pozwolą nam na tylko jedną podróż na księżyc, żeby ustawić talerze przekaźnikowe.

Kenjo wzruszył ramionami.

- Zawsze trzeba zbadać drogę ucieczki.

- Na księżyc? - Sallah nie kryła sceptycyzmu. - Nie przesadzaj, Kenjo, z nikim nie walczymy. Daj spokój. - Mówiła łagodnie, pamiętając, że Kenjo podczas wojny z Nathis kilka razy ledwo uszedł z życiem.

- Stare nawyki trudno wykorzenić - mruknął tak cicho, że z trudem go dosłyszała.

- To prawda. Ale wkrótce wszyscy będziemy mogli wyrobić w sobie nowe.

Kenjo burknął coś w odpowiedzi, na znak, że minął mu gadatliwy nastrój.

W miarę jak statki kolonii zwalniały, wypełniała je nieustanna krzątanina budzonych członków wyprawy. Otwierano ładownie i przenoszono towary korytarzami transportowymi. Gdy przygotowywano wahadłowce do długiej podróży, załadowano je elementami rusztowań i innymi przedmiotami niezbędnymi dla skonstruowania bezpiecznego lądowiska oraz przetransportowania wielkiej liczby ludzi i towarów. Teraz należało przygotować narzędzia i materiały rolnicze do następnego załadunku - tak by wystarczyło wnieść je na pokład, gdy tylko wahadłowce wrócą. Agronomowie obiecali przygotować glebę, nim wahadłowce zrobią drugi kurs.

Statki kolonizacyjne miały na swych pokładach sześć wahadłowców: trzy na Yoko, dwa na Buenos Aires i jeden na Bahrainie - ten ostatni wyposażony był w udogodnienia do transportu żywego inwentarza. Wyokrętowanie miało nastąpić zaraz po wejściu na orbitę Lagrange'a.

Dwanaście godzin wcześniej wszyscy koloniści zostali obudzeni. Tłok na korytarzach wywołał falę narzekania. Wielu uważało, że niepotrzebni ludzie, zwłaszcza małe dzieci, powinni spać aż do momentu ukończenia przygotowań do lądowania. Niezależnie od

wszelkich niedogodności, Sallah zgadzała się z oficjalnym komunikatem, że nikogo nie można pozbawić szansy obejrzenia końca długiej podróży oraz niewiarygodnego widoku ich nowego świata, wirującego w czarnej przestrzeni. Sallah nie mogła oderwać wzroku od Pernu; przyglądała mu się, gdy tylko znalazła jakiś wolny ekran, nawet ten maleńki we własnej kabinie. Udało jej się też powpisywać na co ciekawsze wachty przez cały czas trwania podróży.

Później Sallah zawsze stanowczo twierdziła, że wyczuła moment, gdy Yokohama ostatecznie weszła na orbitę parkingową. Olbrzymi statek zwalniał od wielu dni; delikatny wstrząs, gdy silniki wsteczne zredukowały ruch naprzód, by zrównać go z prędkością planety, był prawie niewyczuwalny. Nagle poruszali się równoległe z Pernem, dokładnie nad wybranym punktem. Patrząc na ekrany wydawało się, że statek pozostaje w bezruchu. W jakiś sposób Sallah zdołała wyczuć tę chwilę. Podniosła wzrok znad konsoli dokładnie wtedy, gdy sternik, ukrywając podniecenie, odwrócił się, by zaszalutować dowódcy.

- Jesteśmy na miejscu, panie komandorze - oznajmił.

W tej samej chwili podobne raporty nadeszły z Bahraina i Buenos Aires. Na mostku rozległy się wiwaty; obecni w niezbyt zdyscyplinowany sposób dawali wyraz swojej uldze i podnieceniu. Komandor Ongola natychmiast powiadomił admirała o zakończeniu manewrów i otrzymał formalne podziękowania. Potem rozkazał, żeby wszystkie ekrany pokazały planetę, której jedna część chowała się w mroku, a druga witała jaskrawy dzień.

Sallah uczestniczyła w ogólnym gwarze, póki nie spostrzegła, że ustał pogłos związany z ruchem sondy; sprawdziła to na ekranie. Sonda zmieniała tylko pozycję zgodnie z programem. Gdy dziewczyna podniosła wzrok, ujrzała smutną, dziwnie zamyśloną twarz komandora Ongoli. Świadom jej badawczego spojrzenia mężczyzna pytająco uniósł brew.

Sallah uśmiechnęła się współczująco. Ostatnia podróż komandora dobiegała końca. Nic dziwnego, że był smutny.

Krzaczaste brwi Ongoli zmarszczyły się z niezadowoleniem. Komandor z godnością odwrócił głowę, wydając rozkaz otwarcia pokładu startowego wahadłowców. Ich załogi i ekipa pierwszego lądowania już byli przypięci do foteli, czekając na historyczną chwilę. Sallah w myśli życzyła szczęścia Kenjo, Drake'owi i Nabolowi, którzy dowodzili trzema wahadłowcami Yoko.

Brzęczyki ogłosiły bliskość startu i na głównym ekranie natychmiast rozbłysł wizerunek lądowiska. Oficerowie wachtowi czujnie siedzieli na swoich stanowiskach. Mniejsze ekrany ukazały otwartą klapę pokładu startowego, widzianą z kilku pozycji, tak by ludzie na mostku mogli obserwować, jak wahadłowce opuszczają statek-matkę, plując ogniem z dysz przed uruchomieniem głównych silników. Statki miały lecieć na planetę po spirali, wchodząc w atmosferę Pernu nad zachodnim krańcem północnego kontynentu, po czym hamować, przesuwać się w stronę lądowiska na wschodnim krańcu kontynentu południowego. Kamery zewnętrzne ukazywały pozostałe trzy wahadłowce, jak zajmowały miejsce w szyku. Wszystkie zgrabnie zanurkowały i wkrótce zniknęły za tarczą planety.

Wachta Sallah dobiegła końca przed ustalonym momentem, w którym wahadłowce osiadą na Pernie, ale razem z kolegami wcisnęła się pod boczną ściankę, żeby nic nie stracić z oczu. Wiedziała, że wszystkie ekrany na Yoko pokazują ten sam obraz, a samo lądowanie zostanie pokazane symultanicznie na wszystkich trzech statkach kolonizacyjnych - ale oglądanie tego z mostka wydawało jej się bardziej oficjalne. Została więc, od czasu do czasu przypominając sobie o potrzebie oddychania i poruszania zdrtwiałymi nogami. Najszczęśliwsza będzie, gdy na statku wyhamują ruch obrotowy, aby ułatwić przenoszenie ładunku. Wkrótce jednak znajdzie się na powierzchni Pernu, gdzie już nie będzie można wyłączyć obrotów, aby zredukować skutki grawitacji.

- Pozbyłaś się lokatorów? - zapytał Stev Kimmer, zerkając przez jej ramię i wchodząc szybko

do pokoju Avril. Zamknął za sobą drzwi.

Avril odwróciła się w jego stronę, rozkładając ramiona; strzeliła palcami ukazując wolną przestrzeń i uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Z rangą wiążą się pewne przywileje. Ja zrobiłam użytek ze swoich. Zamknij na klucz. Od czasu do czasu ten kretyń Lensdale usiłuje mi tu kogoś wepchnąć, ale dopisałam na drzwiach trzy nazwiska, więc może się wypchać.

Kimmer, oczekiwany już w komorze przeładunkowej, gdzie miał zająć miejsce na jednym z wahadłowców Yoko, od razu przeszedł do rzeczy.

- Więc gdzie masz ten swój niepodważalny dowód? Wciąż się uśmiechając, Avril otworzyła szufladę i wyjęła z niej pudełko z ciemnego drewna, wyglądające jak jednolita kostka. Wręczyła je Kimmerowi, ten jednak pokręcił głową.

- Nie mam czasu na zagadki. Jeżeli chciałaś mnie tylko wciągnąć do łóżka, Avril, to wybrałaś chyba najgorszy z możliwych moment.

Avril wykrzywiła się, poirytowana zarówno jego słowami, jak i faktem, że zmienione okoliczności zmusiły ją do szukania pomocy u innych. Jej pierwotny plan spalił na panewce - Paul Benden nagle i całkiem nieoczekiwanie zaczął okazywać jej całkowitą obojętność. Pokrywając uśmiechem niezadowolenie, umieściła pudełko na lewej dłoni, przesunęła palcami po ścianie zwróconej w swoją stronę, po czym bez trudu uniosła wieczko. Zgodnie z jej oczekiwaniami Stev Kimmer ze zdumienia wciągnął głośno powietrze. Błysk jego oczu na moment odzwierciedlił głęboki połysk spoczywającego w pudełku rubinu. Stev bezwiednie wyciągnął ręce w stronę klejnotu. Avril poruszyła puzderkiem; rubin kusząco zamigotał.

- Wspaniały, prawda? - odezwała się głosem miękkim ze wzruszenia, po czym obróciła rękę, ukazując wspaniały blask serca klejnotu, wyciętego w kształt róży. Gwałtownym ruchem wyjęła kamień i podała go mężczyźnie. - Dotknij go. Obejrzyj pod światło. Jest bez skazy.

- Jak go dostałaś? - Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie. Jego twarz wyrażała jednocześnie zazdrość, chciwość i podziw. Obiektem tego ostatniego był wyłącznie wspaniały klejnot, którego doskonałość właśnie badał.

- Wierz mi lub nie, ale go odziedziczyłam. - Widząc jego podejrzliwą minę, Avril z wdziękiem oparła się o mały stolik, krzyżując ramiona na wspaniale uformowanych piersiach, i uśmiechnęła się szeroko. - Moja praprababka siedem pokoleń wstecz była członkiem grupy ZBO, która zbadała tę kulę błota. Shawa bint Faroud, jeśli chcesz znać jej panieńskie nazwisko.

- Do licha! - Stev Kimmer nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Co więcej - ciągnęła Avril, zadowolona z jego reakcji - mam jej autentyczne notatki.

- Jak twojej rodzinie udało się przetrzymać to przez te wszystkie lata? Przecież to jest bezcenne!

Avril uniosła niezwykle regularne brwi.

- Prababka nie była głupia. Ta błyskotka nie jest jedyną rzeczą, którą przywiozła stąd, czy z innych planet, które badała.

- Ale że przywiozłaś to ze sobą? - Kimmer starał się ze wszystkich sił, by nie zacisnąć palców wokół precyzyjnego klejnotu.

- Jestem ostatnia z rodu.

- To znaczy, że możesz ubiegać się o przyznanie ci części tej planety jako bezpośredniej potomkini członka ZBO? - Stevowi aż śmiały się oczy na myśl o takiej możliwości.

Avril, widząc, że nic nie zrozumiał, gniewnie pokręciła głową.

- W ZBO cholernie dobrze pilnują, żeby to nie mogło się zdarzyć. Shawa wiedziała o tym. Wiedziała też, że prędzej czy później ta planeta zostanie udostępniona do kolonizacji. Rubin i jej notatki - Avril zrobiła dramatyczną przerwę - były przekazywane z pokolenia na pokolenie. A teraz ja, razem z notatkami, znajduję się na orbicie Pernu.

Stev Kimmer przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Potem Avril wyciągnęła rękę i odebrała

mu klejnot, bawiąc się nim od niechcienia, obserwowana przez zdenerwowanego mężczyznę.

- No więc, chcesz uczestniczyć w moim planie? - zapytała. - Podobnie jak moja ukochana i przewidująca antenatka, nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć na końcu galaktyki, na planecie siódmej ważności.

Stev Kimmer zmrugał oczy i wzruszył ramionami.

- Czy ktokolwiek widział rubin?

- Jeszcze nie. - Jej uśmiech był przebiegły i zły. - Jeśli mi pomożesz, nikt nie musi go oglądać.

Zanim Stev Kimmer opuścił w pośpiechu jej kabinę, by udać się na pokład startowy, Avril była pewna jego uczestnictwa. Teraz musiała tylko znaleźć okazję do rozmowy z Nabhi Nabolem.

Kenjo Fusaiyuko zeszywniał, czując wstrząs wahadłowca wchodzącego w atmosferę. Admirał, usadowiony między Kenjo a Jiro Akamoto, drugim pilotem, pochylił się niecierpliwie do przodu, naprężając pasy bezpieczeństwa i uśmiechając się w oczekiwaniu. Kenjo również pozwolił sobie na uśmiech, potem jednak jego twarz znów stała się nieprzenikniona. Wszystko szło zbyt dobrze. Nie było żadnych kłopotów z procedurą końcowego odliczania. Pomimo piętnastu lat bezczynności wahadłowiec Eujisan spisywał się bez zarzutu. Osiągnęli doskonały kąt wejścia i powinni bezbłędnie wylądować w miejscu, które, zgodnie z danymi z sondy, było tak płaskie, jak to tylko możliwe w przypadku naturalnego terenu.

Kenjo zawsze martwił się o nieprzewidziane komplikacje. Przyzwyczajenie to uczyniło go jednym z najlepszych pilotów transportowych Floty Sektora Łabędzia, gdyż tych kilku wypadków, w których uczestniczył, w żaden sposób nie mógłby przewidzieć. Przeżył tylko dlatego, że niezależnie od wymyślania ewentualnych awarii, zawsze był gotów na wszystko.

Łądowanie na Pernie miało być inne. Nikt poza Zespołem Badawczo-Oceniającym, od dawna nie istniejącym, nie postawił stopy na tej planecie. A wedle oceny Kenjo, grupa ZBO nie spędziła na Pernie wystarczająco dużo czasu, by móc wydać adekwatną opinię.

Tuż obok Jiro mruczał pod nosem pokrzepiające dane podawane przez aparaturę. Wkrótce obaj piloci poczuli opór towarzyszący dalszemu zagłębianiu się wahadłowca w atmosferę. Kenjo zacisnął palce na drążku sterowym, zapierając się stopami w podłogę, a plecami w oparcie fotela. Życzył sobie, żeby admirał uczynił to samo; czyjś oddech na karku w takiej chwili bardzo go rozpraszał. Jak temu facetowi udało się znaleźć tyle luzu w pasach bezpieczeństwa?

Kadłub wahadłowca rozgrzewał się coraz bardziej, ale wewnątrz panowała stała temperatura. Kenjo rzucił okiem na mały ekran. Pasażerowie spisywali się dobrze, żaden fragment ładunku nie przesunął się w mocowaniach. Przeleciał wzrokiem ciąg cyfr, sprawdzając stan i zachowanie swojego statku. Następna vibracja była dużo mocniejsza, ale tego właśnie się spodziewał. Ileż to już razy przebijał ochronne warstwy gazów na setkach światów, wślizgując się w atmosferę jak nóż do papieru między dwie strony koperty, jak mężczyzna w ciało ukochanej kobiety?

Znajdowali się nad zaciemnioną półkulą; jeden księżyc rzucał jasną poświatę na ciemne masy ładu. Pędzili w stronę dnia ponad rozległymi morzami Pernu. Sprawdził wysokość wahadłowca. Znajdowali się dokładnie nad celem. Pierwsze lądowanie na Pernie po prostu nie mogło być doskonałe. Coś musiało się nie udać albo zachwiana zostanie jego wiara w prawdopodobieństwo. Kenjo przesunął wzrokiem po pulpicie, szukając jakiejś zdradliwej czerwieni, jakiejś połyskującej żółto lampki awaryjnej. Jednak wahadłowiec nadal nurkował po skosie w dół. Krople potu spływały Kenjo wzdłuż kręgosłupa, zraszały brwi ukryte pod hełmem.

Jiro, siedzący obok, wyglądał na całkowicie spokojnego, ale przygryzał nerwowo dolną

wargę. Widząc to Kenjo odwrócił głowę, nie chcąc, by wyraz jego twarzy zdradził satysfakcję, jaką odczuł na myśl, że jego kolega również jest niespokojny. Oddech admirała Bendena stawał się coraz bardziej przyspieszony.

Czy stary człowiek może umrzeć z radości? Kenjo poczuł nagły paroksyzm paniki. Tak, to możliwe. Wahadłowiec wylądował bezpiecznie, ale admirał Benden umrze na progu ziemi obiecanej. Tak, to będzie defekt tej podróży. Błąd człowieka, nie awaria maszyny.

Podczas gdy umysł Kenjo rozważał skutki takiej katastrofy, opór na kadłubie wahadłowca malał, w miarę jak statek schodził poniżej prędkości dźwięku. Temperatura powierzchni w granicach normy, reakcja na ster prawidłowa, wysokość właściwa, opadanie zgodne z programem.

Pamiętaj, Kenjo, zużywaj jak najmniej paliwa w silnikach hamujących. Im więcej paliwa zaoszczędzisz, tym więcej lotów będzie można wykonać. A to... Kenjo przestał o tym myśleć. Jeszcze przez wiele lat będą mieli samoloty. Zasoby energii, prawidłowo eksploatowane, powinny wystarczyć na dziesięciolecie. A jeśli uda mu się zdobyć odpowiednie części... Jeszcze przez długi czas jego duch nie zostanie sprowadzony na ziemię.

Szybko odczytał wysokość, sprawdził kompas, poprawił wychylenie kłap, obliczył prędkość i zmrużonymi oczami spojrzał na linię brzegową, którą widział coraz dokładniej. Obraz na ekranach dowodził, że pozostałe wahadłowce lecą za nim w odległościach nakazanych wymogami bezpieczeństwa. Wahadłowiec Eujisan, z Kenjo za sterem oraz admirałem Bendem i gubernator Boli na pokładzie, miał pierwszy dotknąć powierzchni Pernu.

Statek pędził nad wschodnim oceanem. Jego cień wyprzedzał go, przeskakując gromadki wysepek i większych wysp archipelagu, który rozciągał się na północny wschód od wyznaczonego lądowiska. Widok doskonale symetrycznego stożka wulkanu, wychylającego się z wody, niemal zdekoncentrował Kenjo: podobieństwo do osławionej góry Fuji było uderzające. Z pewnością ten wulkan stanowił dobry znak.

Kenjo widział, jak fala przyboju rozbija się o podstawę skalnego przylądka, który zwiastował, że zbliżają się już do ustalonego miejsca lądowania.

- Na dwie sekundy włączyć silniki hamujące - powiedział zadowolony, że jego głos jest stanowczy i spokojny, prawie obojętny. Jiro potwierdził i wahadłowiec szarpnął się lekko, gdy silniki hamujące zakłóciły rytm opadania. Kenjo podniósł nos maszyny, dodatkowo wytracając prędkość. - Opuścić podwozie.

Jiro skinął głową. Kenjo trzymał rękę nad pulpitem, by włączyć silniki hamujące, gdyby podwozie nie chciało się wysunąć, ale zaraz zapaliła się zielona lampka, a po chwili poczuł dodatkowy opór powietrza, gdy olbrzymie koła zastygły w odpowiedniej pozycji. Wahadłowiec poruszał się odrobinę za szybko. W ich stronę pędziła olbrzymia płaszczyzna, pofalowana niczym morze. Kenjo zwalczył przyływy paniki. Sprawdził opór i prędkość wiatru, po czym, krzywiąc się z niezadowolenia, ponownie włączył na moment silniki hamujące i unióś wyżej nos wahadłowca, by spokojnie osiadł na powierzchni Pernu.

Olbrzymie koła dotknęły gruntu, statek podskoczył lekko na nierównym terenie. Hamując z wyczuciem i robiąc dobry użytek z kłap, Kenjo prowadził maszynę po szerokim łuku. Zatoczył półokrąg, wracając nosem do kierunku, z którego przylecieli, i kołował dalej do całkowitego zatrzymania.

Kenjo pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech satysfakcji, po czym ponownie zwrócił uwagę na pulpit, by sprawdzić stan maszyny po lądowaniu. Widząc ilość zużytego paliwa aż mruknął, zadowolony z własnej oszczędności. Zostało mu wiele litrów.

- Świetne lądowanie, Kenjo! Jiro! Moje gratulacje - wykrzyknął admirał. Kenjo postanowił wybaczyć mu entuzjastyczne uderzenie po ramieniu. Nagle obaj piloci zostali zaalarmowani nieoczekiwanymi dźwiękami: szczęknięciem metalowych sprzączek i sykiem uchodzącego powietrza.

Kenjo obrócił się na czas, by ujrzeć, jak admirał i gubernator znikają w łuku awaryjnym

kabiny. Gorączkowo rozejrzał się po pulpicie, przekonany, że przywódcy wyprawy reagują na jakieś zagrożenie, ale czerwone światło paliło się tylko przy hamulcach. Przez otwarty luk doszedł obu pilotów swąd spalonej trawy, oleju i paliwa raketowego. Równocześnie zdali sobie sprawę z okrzyków dobiegających z kabiny pasażerów - okrzyków radości, nie paniki. Rzut oka na ekrany uświadomił Kenjo, że pasażerowie odpinają pasy bezpieczeństwa. Niektórzy już wstali i niepewnie rozprostowywali ręce i nogi, rozmawiali w podnieceniu i oczekiwali, kiedy będą mogli wyjść na powierzchnię swojego nowego domu. Ale dlaczego admirał i gubernator opuścili wahadłowiec w takim pośpiechu - i to przez luk awaryjny, a nie głównym wyjściem?

Jiro spojrzął na kolegę pytająco. Kenjo w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami. Chwilę później, gdy okrzyki radości zastąpiła cisza, przerywana jedynie nerwowymi szeptami, zdał sobie sprawę, że jako pilot powinien wziąć sprawę w swoje ręce. Włączył mechanizm zwalniający uchwyty ładunku, włączył czujniki zewnętrzne i ustawił kamery, by sfilmowały historyczny moment. Przede wszystkim trzeba udawać, że wszystko jest w porządku, niezależnie od dziwnego zachowania admirała i pani gubernator.

Kenjo odpiął pas, gestem nakazując Jiro, by zrobił to samo. Pochylił się na moment, by zamknąć luk, po czym trzema krokami podszedł do przegrody między kabinami i otworzył ją jednym ruchem ręki.

Powitały go wiwaty; skromnie opuścił głowę i oczy. Okrzyki umilkły w oczekiwaniu, gdy pilot przeszedł przez wypełnioną ładunkiem kabinę i odbezpieczył główne wyjście. Niepotrzebnie zamaszycie, ale z dużą satysfakcją, pchnął drzwi. Szczelina poszerzyła się, wysunęła się pochylnia, do wewnątrz wdarło się powietrze nowego świata. Kenjo nie był jedynym, który wziął głęboki oddech aromatycznego, bogatego w tlen powietrza. Zastanawiał się właśnie, jaki jest odpowiedni protokół na podobne okazje, gdyż ci, którzy powinni się tym zająć, opuścili już statek. W tym momencie Jiro, stojący tuż za nim, zaczął w podnieceniu wskazywać coś palcem. Kenjo wyjrzał przez powoli otwierające się drzwi i zamrugał oczami z zaskoczenia.

Na zewnątrz, widoczne nie tylko dla niego, ale i dla ludzi wyglądających z pięciu pozostałych wahadłowców, które również zdążyły wylądować, powiewały dwa jaskrawe sztandary. Jednym był złoto-błękitny sztandar Federacji Planet Rozumnych. Drugi symbolizował planetę Pern: błękitno-biało-żółty, z sierpem i pługiem w lewym górnym rogu, co miało symbolizować rolniczy charakter kolonii. Na łące stały też, od czasu do czasu zakrywane przez chorągwie łopoczące na równym wietrze, dwie postacie, których sylwetki wyrażały triumf: admirał Benden i gubernator Boli. Oboje szczerzyli zęby w uśmiechu i entuzjastycznymi gestami zachęcali pasażerów do wyjścia ze statków.

- Witamy was, przyjaciele, na planecie Pern! - zawołał admirał stentorowym głosem.

- Witajcie na Pernie! - zawołała Emily. - Witajcie! Witajcie!

Spojrzelili po sobie, po czym zgodnym, najwyraźniej dobrze przećwiczonym chórem, wygłosili formalne słowa:

- Na mocy praw udzielonych nam przez Federację Planet Rozumnych obejmujemy tę planetę we władanie i chrzcimy ją: Pern!

Rozdział III

Inżynierowie, zespół odnowy zasobów energii, majstrowie do wszystkiego, a także sprawni mężczyźni i kobiety, którzy wiedzieli, który koniec młotka uchwycić, zostali zaangażowani przy budowie umocnień pasów do lądowań. Druga grupa ludzi pracowała przy wznoszeniu z wcześniej przygotowanych części wieży mieszczącej kontrolę lotów oraz stację meteorologiczną, w której miał pracować zespół Ongoli.

Budynek był wysoki na trzy piętra. Dwie kwadratowe wieżyczki wznosiły się z szerszej i dłuższej prostokątnej podstawy. Parter z początku miał służyć jako kwatery admirała, gubernatora oraz nieformalnej rady. Później, po wybudowaniu właściwej siedziby administracyjnej, całość miała przejść na własność meteorologów i służb komunikacyjnych.

Trzecia i najmniejsza grupa - ósemka agronomów Mar Dooka oraz kilkunastu pomocników, w tym Pol Nietro z zoologii, Phas Radamanth i A. C. Sopers z ksenobiologii oraz Ted Tubberman ze swoją ekipą - otrzymała zadanie wyboru miejsca na farmę eksperymentalną. Pozostali mieli wyszukiwać gatunki roślin, z których łatwo można by uzyskać surowce niezbędne dla istnienia kolonii. Na jedynym przywiezionym miniślizgaczu Emily Boll latała między placówką agronomów a wieżą kontrolną, korelując dane. Gdy tylko ustawiono polowy szpitalik, medycy zaczęli mieć mnóstwo roboty z opatrywaniem siniaków i zadrapań, a także zmuszaniem niektórych starszych pracowników do odpoczynku, gdyż entuzjazm kazał im pracować aż do wyczerpania.

Zanim minęło południe, obserwatorzy na orbicie mogli oglądać nieustanną, zdyscyplinowaną działalność swoich kolegów na Pernie.

- Wszyscy siedzą w kabinach - zauważyła Sallah, gdy razem z Barr Hamil, drugim pilotem, przemierzała opustoszałe korytarze w powrotnej drodze z głównego hangaru, gdzie razem sprawdzały wykaz ładunku przed pierwszym lotem na dół.

- To niesamowite, Sal. My też tam będziemy, i to już jutro! - Oczy Barr błyszczały, Sallah miała na twarzy idiotyczny uśmiech.

- Naprawdę nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy, a wkrótce będziemy tam! - Wskazała w dół. - To jest jak sen. Ciągłe się boję, że nagle się obudzę.

Dotarły do własnej kabiny i natychmiast wbiły wzrok w mały wideoekran w kącie.

- Dobrze - odezwała się Barr, wzdychając z ulgą. - Ustawili już donki.

Sallah uśmiechnęła się.

- Naszym zadaniem jest sprowadzić na dół wahadłowiec w jednym kawałku, Barr. Rozładunkiem zajmie się ktoś inny. - Ale ona także cieszyła się na widok maszyn wyładunkowych, zgromadzonych przy końcu prawie gotowego pasa do lądowania. Donki znacznie usprawnią rozładunek i przyspieszą powrót wahadłowców na statki oraz transport kolejnej partii towarów. Między poszczególnymi zespołami już trwała nieformalna rywalizacja, by ukończyć projekt szybciej i sprawniej niż planowano.

Sallah i Barr, podobnie jak reszta pasażerów, wpatrywały się w planetę, póki ciemna tropikalna bezksiężycowa noc nie przeszkodziła w interpretacji transmitowanego obrazu. Nadawanie z powierzchni miało być bardzo prymitywne do momentu, gdy Drake Bonneau oraz Xi Chi Yuen wykorzystają admirałski gig do zainstalowania przekaźników satelitarnych na obu księżycach. Mimo to ostatnia scena wywołała u Sallah nostalgiczną falę wspomnień z wypraw łowieckich między wzgórz wokół Pierwszej Centauri, na które wyruszała razem z rodzicami.

Ekran pokazał zmęczonych mężczyzn i kobiety, usadowionych wokół sporego ogniska, jedzących wieczorny posiłek przygotowany w olbrzymim kotle z zamrożonych ziemskich warzyw i mięsa. W przygasającym świetle białe pasy lądowiska i rękaw lotniskowy, podrygujący na świeżym wietrze, były coraz słabiej widoczne. Flaga planety, tak dumnie łopocząca o poranku, owinęła się wokół drzewca na wieży kontrolnej. Ktoś zaczął cicho grać na organkach bardzo, bardzo starą melodię. Sallah znała ją, chociaż nie mogła sobie przypomnieć jej tytułu. Ktoś przyłączył się z syntetyzatorem. Z początku cicho i z wahaniem, potem coraz śmieiej, pozostali koloniści dołączali się do śpiewu. W miarę jak odzywały się kolejne głosy, Sallah przypomniała sobie, że to piosenka "Dom na rubieży". Tego dnia jej wybór był ze wszech miar trafny. Wieczorna serenada sprawiła, że miejsce lądowania zaczęło choć trochę przypominać dom.

Następnego ranka Sallah i Barr wstały na długo przed dźwiękiem brzęczyków. Gromadziły

pasażerów i robiły ostatnie wyliczenia ciężaru. Wyraźne rozporządzenie komandora Ongoli podkreślało konieczność oszczędzania paliwa.

- Mamy tylko tyle paliwa, żeby przetransportować wszystkich mężczyzn, kobiety, dzieci, zwierzęta, paczki, skrzynie i użyteczne części statków na powierzchnię planety. Tylko głupcy marnują paliwo. Nie mamy ani odrobiny do zmarnowania. Ale też - dodał ze swym smutnym, zamyślnym uśmiechem - nie mamy na pokładzie głupców.

Patrząc na ekrany w komorze przeładunkowej, Sallah i Barr mogły zobaczyć, jak sześć wahadłowców unosi się z powierzchni planety. Następnie ukazał się panoramiczny obraz głównego lądowiska.

- To zapiera dech w piersiach, Sal - odezwała się Barr. - Nigdy w życiu nie widziałam tyle nie zamieszkanymi, nie wykorzystanymi terenów.

- Pora, żebyś zaczęła się przyzwyczajać - odparła Sallah z uśmiechem.

Na powierzchni Pernu tyle się działo, że obserwując to na ekranach ani się spostrzegły, gdy wahadłowce wróciły na statek-matkę. Grupy tragarzy zaczęły taszczyć pierwsze skrzynie na ich pokłady, zanim jeszcze Kenjo i Jiro zdążyli opuścić kabinę pilotów. Sallah poczuła się nieco urazona, gdy Kenjo szorstko położył kres entuzjastycznym pytaniom Barr. Nawet Jiro wyglądał na speszonego obcesowością zwierzchnika, gdy ten zwięźle poinstruował Sallah o procedurach lądowania, poradził, jak reagować na kaprysy wahadłowca, i podał częstotliwość wieży kontroli meteorologicznej. Życzył jej jeszcze miękkiego lądowania, zaszalował i odwróciwszy się na pięcie, opuścił komorę.

- Miło mi było - powiedziała Barr, przełamując urazę.

- Lepiej zrobimy wszystkie próby, nawet jeśli pan sztywniak twierdzi, że już to załatwił - odezwała się Sallah, wślizgując się do Eujisana tuż przed kolejną skrzynią. Skończyły kontrolę na moment przed zakończeniem załadunku. Barr zrobiła jeszcze inspekcję pasażerów, czyli sprawdziła, czy generał Cherry Duff, najstarsza spośród członków założycieli oraz tymczasowa sędzina kolonii, siedzi wygodnie, i już były gotowe do wylotu.

- Nawet się nie rozejrzałyśmy - poskarżyła się Barr osiem godzin później, gdy Sallah ustawiała Eujisana na końcu pasa - a już musimy wracać.

- Naszą dewizą jest wydajność - przypomniała jej Sallah. Nie odrywając wzroku od tablicy otworzyła przepustnicę, przygotowując wahadłowiec do startu. Zmarszczyła brwi, wędrując spojrzeniem od paliwomierza do licznika obrotów. Nie chciała zużyć więcej paliwa, niż było potrzeba. - Kenjo i kolejna grupa zniecierpliwionych kolonistów z nerwów zaczną wyżerać zapasy żywności. Musimy wracać jak najszybciej!

- Czy Kenjo przez całe życie nie popełnił ani jednego błędu? - zapytała Barr jakiś czas później, gdy słynny pilot zdążył już bezceremonialnie skarcić obie kobiety za zbyt duże zużycie paliwa.

- Dlatego żyje do dzisiaj - odparła Sallah. Mimo to jego uwaga mocno ją ubodła. Choć wiedziała, że nie zużyła ani kropli więcej, niż wymagały tego okoliczności, zaczęła na własny użytek prowadzić ewidencję swoich lotów. Zauważyła, że Kenjo zazwyczaj nadzorował tankowanie Eujisana i osobiście prowadził pięćdziesięciogodzinne kontrole. Sallah wiedziała, że sama jest pilotem powyżej przeciętnej, czy to w kosmosie, czy w atmosferze, ale nie chciała wywoływać zatargu z człowiekiem, który był bohaterem i miał o wiele więcej doświadczenia niż ona - przynajmniej jeżeli nie było to absolutnie konieczne i jeśli nie mogła się podeprzeć dokładnymi zapiskami.

Szybko ustalono wzorzec działania. Ludzie na Pernie rozpoczynali pracę co rano przygotowując pomieszczenia i miejsca pracy dla tych, którzy mieli przylecieć danego dnia. Zespoły agronomów pracowicie oczyszczały wyznaczone pola. Izba chorych obsługiwała pierwszych pacjentów; na szczęście dotychczas nie przydarzyły się żadne poważniejsze wypadki. A pomimo ciężkiej pracy dobry humor nie opuszczał kolonistów. Jakiś dowcipniś

wymalował drogowskazy z przybliżonymi odległościami w latach świetlnych na Ziemię, Pierwszą Centauri i inne światy wchodzące w skład Federacji Planet Rozumnych.

Podobnie jak wszyscy czekający na wylot, Sorka Hanrahan spędzała mnóstwo czasu obserwując postępy w organizacji osiedla, które nieformalnie ochrzczono "Łądowiskiem". Dla Sorki była to tylko metoda zabijania czasu. Tak naprawdę nie ciekawiło jej to wcale, zwłaszcza że matka wciąż powtarzała, iż są świadkami epokowego wydarzenia. Sorka zawsze była żywym dzieckiem, więc wymuszona bezczynność i zamknięcie na statku bardzo ją irytowały. Niewielką pociechę stanowiła świadomość, że jej ojciec, weterynarz, będzie na Pernie bardzo ważną osobą, skoro wszystkie dzieci, które spotykała w jadalniach i na korytarzach, odlatywały szybciej niż ona i jej brat.

W każdym razie Brianowi się nie spieszyło. Zaprzyjaźnił się z bliźniakami Jepsonów, mieszkającymi dwa korytarze dalej. Jepsonowie mieli starszego brata, w wieku Sorki, ale dziewczynka go nie lubiła. Mama powtarzała, że na Pernie będą dzieci w jej wieku, które spotka, gdy pójdzie do szkoły.

- Ale ja potrzebuję przyjaciela już teraz - mruzczała Sorka pod nosem, wędrując korytarzami statku. Taka wolność była rzadkim przywilejem kogoś, kogo zazwyczaj chroniono przed obcymi. Nawet w domu, na farmie w Clonmel, nie pozwalano jej się oddalić poza zasięg wzroku kogoś dorosłego, nawet jeżeli pozostawała pod czujną, psią strażą starego Chipa. Na Yokohamie nie tylko nie musiała uważać, ale cały statek stał przed nią otworem, pod warunkiem że trzymała się z dala od maszynowni i mostka oraz nie wchodziła w drogę załodze. Jednak w tym momencie nie miała ochoty na wyprawę badawczą; pragnęła pociechy. Skierowała się w stronę ulubionego miejsca: ogrodu.

Na pierwszej dłuższej wycieczce odkryła sektor statku, gdzie olbrzymie rośliny o szerokich liściach zwieszały się z sufitu. Ich gałęzie spletały się, tworząc zieloną jaskinię. Uwielbiała cudowny zapach wilgotnej gleby i zielonych roślinek. Z rozkoszą wdychała powietrze, które zostawiało w ustach czysty, świeży posmak. Pod wielkimi krzakami rosły rozmaite gatunki ziół i krzewinek, które były opatrzone tabliczkami. Wszystkie miały wkrótce zostać przetransportowane na planetę. Sorka nie rozpoznawała większości podpisów, ale część roślin znała pod ich popularnymi nazwami. Mama w domu też miała ogródek z ziołami. Dziewczynka wiedziała, które z nich zostawia zapach na palcach, więc z tkliwością pomiętosła majeranek i drobne liście tymianku. Jej oczy spijały barwy z niebieskich, białozółtych i różowych kwiatków. Z ciekawością obejrzała setki półek pełnych siewek, umieszczonych w rurkach z wodą - płynną pożywką, jak wyjaśnił jej ojciec. Skiełkowano je zaledwie kilka miesięcy wcześniej, by można było przesadzić do ziemi, gdy tylko doleczą na Pern.

Właśnie się schyliła, by dotknąć nie znanego jej liścia, włochatego i srebrnozielonego - sądziła, że musi ładnie pachnieć - gdy dostrzegła parę błękitnych oczu, jakich nie mogła mieć żadna roślina. Przełknęła ślinę, przypominając sobie, że na statku nie ma żadnych obcych; była bezpieczna. Oczy musiały należeć do jakiegoś pasażera, który, podobnie jak ona, eksplorował ten spokojny zakątek.

- Hej! - powiedziała tonem wyrażającym jednocześnie zaskoczenie i serdeczność.

Błękitne oczy zamrugwały.

- Idź sobie. To nie twoje miejsce - warknął chłopięcy głos.

- Dlaczego nie? Każdy może tu wejść, pod warunkiem że nie niszczy roślin. A ty nie powinieneś się tak ukrywać.

- Idź sobie! - Brudna ręka zaakcentowała rozkaz.

- Wcale nie muszę. Kim jesteś?

Jej oczy, przywykłe do mroku, z łatwością odczytały niechętnie spojrzenie chłopca. Pochyliła się, przyglądając mu się z bliska.

- Jak się nazywasz? - zapytała.
- Nikomu nie muszę mówić mojego imienia. - Akcent był znajomy.
- Och, bardzo przepraszam - powiedziała urażona. Wtedy zdała sobie sprawę, że rozpoznaje wymowę. - Hej, jesteś Irlandczykiem. Jak ja.
- Wcale nie jestem jak ty.
- No, to zaprzecz, że jesteś Irlandczykiem. - Kiedy nie zaprzeczył, bo oczywiście nie mógł, o czym oboje dobrze wiedzieli, Sorka przekrzywiła głowę, uśmiechając się do niego ugodowo.
- Rozumiem, dlaczego się tu chowasz. Tu jest cicho i tak ładnie pachnie. Prawie jak w domu. Ja też nie lubię statku. Przez cały czas czuję się - objęła się ramionami - taka zgnieciona i ściśnięta. - Przeciągnęła słowa, by dokładniej oddały jej uczucia. - Ja jestem z Clonmel. Byłeś tam kiedyś?
- Pewnie - chłopiec mówił pogardliwie, ale odgarnął z oczu pasmo długich rudych włosów i usadowił się tak, by móc jej się lepiej przyjrzeć.
- Nazywam się Sorka Hanrahan. - Spojrzała na niego pytająco.
- Sean Connell - przyznał niechętnie po dłuższej chwili.
- Mój tatuś jest weterynarzem. Najlepszym w Clonmel.
Na twarzy Seana pojawił się wyraz aprobaty.
- Pracuje z końmi?
Sorka skinęła głową.
- Ze wszystkimi chorymi zwierzętami. Mieliście konie?
- Kiedy mieszkałam w Ballinasloe. - Przez twarz przemknął mu grymas niechętnego cierpienia. - Dobre konie - dodał obronnym, pełnym dumy tonem.
- Miałaś własnego kucyka?
Chłopiec zamrugnął, po czym opuścił głowę.
- Ja też tęsknię za moim kucykiem - powiedziała Sorka współczująco. - Ale dostanę innego na Pernie, a mój tatuś powiedział, że dla was też wyhodują nowe konie. - Wcale nie była tego pewna, ale wydawało jej się, że wypada tak powiedzieć.
- Mam nadzieję. Obiecali nam. Nie mogę nigdzie pojechać bez koni, bo tu nie będzie żadnych poduszkowców ani nic takiego.
- Ani żadnych strażników. - Sorka uśmiechnęła się złośliwie. Domyśliła się właśnie, że jej rozmówca musi pochodzić z rodziny koczowników. Ojciec wspominał jej, że tacy też znaleźli się pośród kolonistów. - Żadnych farmerów, którzy gonią cię po polach, żadnych rozkazów wyniesienia się w ciągu dwudziestu czterech godzin, żadnych przestojów, żadnych dróg poza tymi, które sami wybudujecie, i... ach, tylko to, czego chcesz i nic złego.
- Aż tak dobrze chyba nie będzie - zauważył Sean cynicznie.
Głośnik w ogrodzie nagle wypluł z siebie serię dźwięków.
- Informujemy o zbliżającym się starcie wahadłowców. Pasażerowie porannej tury proszeni są o natychmiastowe przybycie do komory przeładunkowej na pokładzie piątym.
Sean, niczym żółw, zaszył się głębiej w cień.
- Hej, oni mówią o tobie? - Sorka usiłowała dostrzec w mroku twarz chłopca. Wydawało jej się, że zauważyła niewyraźne skinienie głowy. - Chłopie, masz szczęście, że tak szybko masz wylot. Trzeciego dnia! O co chodzi? Nie chcesz lecieć? - Stała na czworakach, by lepiej mu się przyjrzeć. Powoli się cofnęła. Widziała autentyczne przerażenie dostatecznie często, by rozpoznać je na twarzy Seana. - Kurczę, zamieniłabym się z tobą. Ja nie mogę się doczekać. Chcę powiedzieć, że to nie jest długa podróż. Będzie tak samo jak wtedy, gdy lecieliśmy na Yoko z Ziemi - ciągnęła, chcąc dodać mu otuchy. - A wtedy nie było tak źle, prawda? - Sorka była wówczas tak podekscytowana, że nawet wiedząc, iż zostanie zahibernowana, gdy tylko dotrą na pokład, nie zdawała sobie sprawy z niczego. Zapamiętała tylko pierwsze przeciążenie przy starcie.
- Nas zabrano na pokład we śnie - dobiegł ją przerażony szept chłopca.

- No, to straciłeś najlepszą część. Oczywiście połowa dorosłych płakała, patrząc na Ziemię po raz ostatni - dodała z wyższością. - Ja udawałam, że jestem Kosmiczną Yvonne Yves, a mój brat, Brian, on jest dużo młodszy od nas, udawał, że jest Kosmicznym Traceyem Trainem.

- A kto to taki?

- Kurczę, Sean. Przecież mieliście widekrany w swoich wozach. Nigdy nie oglądałeś "Zdobywców kosmosu"?

- To bajki dla dzieci - odparł Sean z nie skrywaną pogardą.

- No, to teraz sam jesteś zdobywcą kosmosu, a jeśli to bajka dla dzieci, to chyba nie masz się czego bać, prawda?

- A kto powiedział, że się bojam?

- A nie? Chowasz się w ogrodzie.

- Po prostu chciałem odetchnąć świeżym powietrzem. - Nagle wstał z zarośli.

- Kiedy za kilka godzin będziesz miał do tego całą planetę? - Sorka uśmiechnęła się szeroko. - Po prostu udawaj, że jesteś bohaterem.

Głośnik znowu ożył. Tym razem usłyszała nutę zniecierpliwienia w głosie oficera. Desi Arthied nie musiał dotychczas poganiać żadnej tury pasażerów.

- Wahadłowce startują dokładnie za dwadzieścia minut. Pasażerowie wyznaczeni na poranny lot, którzy nie stawiają się w komorze, zostaną przesunięci na koniec listy.

- Jest zły - powiedziała Sorka. Pchnęła lekko chłopca w kierunku drzwi. - Lepiej się pospiesz. Rodzice obedną cię ze skóry, jeśli opóźnisz ich lot.

- A co ty tam wiesz - zachnął się chłopiec. Wielkimi krokami opuścił ogród.

- Ale strachają - mruknęła Sorka cicho, po czym ciężko westchnęła. - Trudno, nic na to nie może poradzić.

I odwróciła się, by obejrzeć pachnącą roślinę.

Szóstego dnia cały niezbędny personel znajdował się na powierzchni. Ze wszystkich wahadłowców poza jednym wyjęto na razie niepotrzebne siedzenia i ustawiono wokół ogniska. Wszędzie dookoła piętrzyły się góry towarów, które stopniowo rozdzielano. Pojawiły się delikatne przyrządy otulone wstrząsoodpornymi kokonami, zawierające cenne plemniki oraz zapłodnione komórki jajowe z Ziemi i Pierwszej Centauri - Sallah była pewna, że Barr nie odważyła się głębiej odetchnąć podczas ich transportu. Zapłodnione komórki natychmiast implantowano tym krowom, kozom i owcom, które już całkowicie przyszły do siebie po okresie hibernacji. Przywieziono najbardziej krzepkie rasy, nie posiadające może najlepszych genotypów osiągalnych na Ziemi, ale doskonale nadające się na matki zastępcze; zarodki z kolei cechowało co innego - miały się odznaczać odpornością i wytrzymałością. Spodziewano się, że potomstwo będzie w stanie odżywiać się roślinnością Pernu; różnymi gatunkami, które zawierały o wiele więcej boru niż ich ziemskie odpowiedniki. Gdyby były jakieś problemy, Kitty Ping i jej wnuczka, Wind Blossom, miały zastosować erydańskie techniki, by odpowiednio zmienić następne pokolenie. Zamierzano doprowadzić do tego, aby gruczoły przynajmniej niektórych zwierząt zmusić do produkcji wymaganych enzymów. W ten sposób przeżuwacze nie musiałyby już zależeć od bakterii symbiotycznych, tak jak ich przodkowie na Ziemi.

Admirał Benden z dumą podkreślał, że zanim statki zostaną rozładowane do końca, na Pernie wyklują się pierwsze kurczęta. Oznajmił też, że prawdopodobnie planeta posiada własne gatunki jajorodne, gdyż powyżej linii przyływu, na plaży, tam gdzie budowano port i wylęgarnię ryb, znaleziono skorupki jaj. Zoologowie starali się ustalić, jakiego rodzaju stworzenie mogło znieść jaja podobne kurzym; mieli nadzieję, że odkryją te piękne i niezwykle ptakogady, o których wspominał raport ZBO. Do tej pory jednak nie zaobserwowano żadnych przedstawicieli tego gatunku, zaś analiza składu skorupki wykazała wysoki poziom boru. Zespół badaczy musiał wciągnąć właścicieli jaj na listę miejscowych

gatunków niejadalnych.

W ciągu następnych czterech dni wahadłowce robiły tylko dwa kursy dziennie, gdyż ładowanie i wyładowywanie wszystkich towarów było bardzo czasochłonne.

- Wolę już pasażerów - stwierdziła Barr, gdy piloci po zejściu ze służby jedli obiad w mesie. - Nie te skrzynie, torby, paki wszystkich możliwych rozmiarów. Albo te absolutnie niezastąpione zioła i krzaki. Wciąż mamy jeszcze do zwiezienia mnóstwo ludzi. - W mesie, chociaż już nie tak zatłoczonej, nadal było pełno jedzących.

Rozglądając się dokoła, Sallah daleko po lewej spostrzegła rudowłosą rodzinę. Pomachała im ręką i uśmiechnęła się, widząc naburmuszone dzieci.

- Wspaniałe rude włosy, prawda? - powiedziała Sallah z podziwem.

- Zbyt niezwykle - odparła drwiąco Avril Bitra.

- Bo ja wiem? - odezwał się Drake, przyglądając się rodzinie. - To jakieś urozmaicenie.

- Jest dla ciebie za młoda, Bonneau - stwierdziła Avril.

- Jestem cierpliwym człowiekiem - odparował Drake, uśmiechając się szeroko, gdyż nieczęsto miał okazję podroczyć się z ciemnowłosą pięknoscią. - Będę wiedział, gdzie jej szukać, kiedy dorośnie. - Zrobił minę, jakby naprawdę rozważał taką możliwość. - Z kolei chłopiec jest dla ciebie naprawdę za młody. Różnica całego pokolenia.

Avril rzuciła mu drugie, zde gustowane spojrzenie, po czym chwyciła karafkę na wino i ruszyła w stronę automatu. Sallah i Barr spojrzwały po sobie. Avril miała przydzielony lot na następny ranek, a wiatr sprawiał wystarczająco dużo kłopotów, nawet człowiekowi, który nie miał reakcji przytępionych alkoholem. Obie zerknęły na Nabola, kolegę ze zmiany Avril, ale pilot tylko wzruszył ramionami. Zresztą Sallah nie miała zbyt wielkich nadziei na pomoc z jego strony. Na Avril nikt nie miał wpływu.

- Hej, Avril, poczekaj no sekundkę - zaczął Drake, wstając z miejsca. - Obiecałaś mi rewanż w piłce grawitacyjnej. Korty powinny być teraz wolne. - Uśmiechnął się zachęcająco. Sallah ze swojego miejsca widziała, jak jego dłoń przesuwając się pieszczotliwie w górę ramienia Avril. Usta pani astrologa nie wykrzywiały się już w nieprzyjemnym wyrazie. - Lepiej wykorzystajmy je, póki mamy okazję - dodał, uśmiechając się jeszcze szerzej. Gładząc ramię Avril, odebrał jej karafkę i postawił na najbliższym stoliku, po czym wyprowadził kobietę z mesy, nie oglądając się za siebie.

- Do licha! Nie ma to jak urok osobisty - stwierdziła Barr.

- Może sprawdzimy, czy naprawdę poszli grać w piłkę na kortach? - zasugerował Nabol z błyskiem w oku.

- Są różne odmiany tej gry - odparła Sallah, wzruszając lekko ramionami. - Znamy się na tym. Przepraszam. - Wstała i ruszyła w stronę stolika Hanrahanów. Wiedziała, że zostawiła przyjaciółkę, ale Barr też mogła odejść, gdyby Nabol zaczął się naprzykrzać. - Cześć. Kiedy lecicie? - zapytała, gdy dotarła do rodziny.

- Jutro - odparł Red z serdecznym uśmiechem. Przyniósł krzesło z sąsiedniego stolika. - Przysiądziesz się do nas? Chyba będziemy na twoim statku.

- Nawet na pewno - uśmiechnęła się Sorka.

- Długo musieliście czekać - zauważyła Sallah siadając.

- Jestem weterynarzem, a Mairi opiekunką do dzieci - odparł Red. - Nie wchodzimy w skład najpotrzebniejszego personelu.

- Może na razie - zgodziła się Sallah z szerokim uśmiechem. Wiedziała, jak niezastąpione staną się ich specjalizacje już wkrótce.

- Czy na dole jest naprawdę tak ładnie, jak stąd wygląda? - zapytała Sorka.

- Nie miałam za wiele czasu, żeby się o tym przekonać - odparła Sallah z żalem. - Lecimy na dół, rozładujemy, startujemy znowu. Ale oddychanie upaja jak wino. - Jej nozdrza rozchyliły się z gniewem, gdy pomyślała o wielokrotnie filtrowanym powietrzu na statku. - I wiatr. - Zaśmiała się. - Czasami trochę za silny. - Pokazała, jak walczy z drażkiem

sterowniczym wahadłowca. Mairi patrzyła podejrzliwie, ale jej mąż wyglądał na pełnego zapachu. Sallah odwróciła się w stronę dzieci. - A szkoła jest wspaniała. Pod gołym niebem! Uczą tam wszystkiego, co wiadomo o naszym nowym domu. - Rodzeństwo jęknęło na jej pierwsze słowa, ale powoli twarze dzieci się rozchmurzyły. - Czasami nauczyciele wiedzą niewiele więcej od uczniów.

- Zeszłej nocy nie było ognisk - powiedział Brian z rozczarowaniem w głosie.

- To dlatego, że zdążyli już zainstalować oświetlenie, ale przypatrzcie się dzisiaj. Nie tylko wam ich brakowało. Słyszałam, że postanowiono urządzić plac ogniskowy. Każdego wieczoru ogień ma rozpalać ktoś inny, jeżeli pracował dostatecznie ciężko i zasłużył sobie na ten przywilej.

- Fajnie! - Brian był wniebowzięty. - Co trzeba zrobić, żeby móc zapalić?

- Wymyślisz coś, Brian - zapewnił go ojciec.

- Czyli widzimy się z samego rana? - Sallah wstała i zmierzwiła włosy Sorki.

- Będziemy na miejscu przed tobą - odparł Red z uśmiechem.

I, ku zaskoczeniu Sallah, rzeczywiście byli, gdyż Mairi chciała sama dopilnować, by ich bagaż osobisty został bezpiecznie umieszczony w ładowni. Mairi wciąż zamartwiała się o swoje cenne dziedzictwo, zwłaszcza o skrzynię na posag z rózanego drzewa, która była w jej rodzinie od pokoleń. Skrzynia została z pietyzmem rozmontowana i chociaż ważyła tyle, że stanowiła lwią część przysługującego im bagażu, Mairi uparła się, że musi lecieć z nimi na Pern. Sorka rzeczywiście nie mogła sobie przypomnieć sypialni rodziców bez skrzyni na posag pod oknem. Sama musiała zredukować swoją ukochaną kolekcję koników do trzech najmniejszych, a taśm z książkami mogła wziąć tylko dziesięć. Modele statków Briana też zostały rozmontowane i chłopiec martwił się, czy znajdzie odpowiedni klej.

To było pierwsze pytanie, które zadał, gdy spotkał Sallah i Barr.

- Klej? - powtórzyła Sallah ze zdumieniem. - Zabrali wszystko inne, dlaczego mieliby zapomnieć o kleju? - Mrugnęła do Reda, który uśmiechnął się szeroko. - A nawet jeśli nie, to nasi eksperci zdołają coś wymyślić. Wygląda na to, że na Pernie jest wszystko. Wsiadaj na pokład, klanie Hanrahanów. Zaraz pojawi się reszta hordy.

Jako pierwsi przybyli, Hanrahanowie mogli wybrać sobie miejsca. Sorka zaproponowała, żeby usiedli w ostatnim rzędzie, to wysiadą pierwsi. Wydawało jej się, że nie doczeka, aż wszyscy zostaną przypięci do foteli i wahadłowiec wystartuje. Z niecierpliwości aż dławiło ją w gardle. Dziewczynka była rozczarowana, że ekran w kabinie pasażerów nie działa i nie może oglądać, jak wylatują ze statku. Poza tym obraz mógłby odwrócić jej uwagę od wibracji. Spojrzała niespokojnie na rodziców, ci jednak mieli zamknięte oczy. Brian za to patrzył przed siebie z przerażeniem. Postanowiła nie dać nic po sobie poznać. Nagle przypomniała sobie Seana Connella, kryjącego się w ogrodzie, i zmusiła się, by myśleć, że jest Kosmiczną Yvonne Yves, prowadzącą ekscytującą wyprawę na tajemniczą planetę.

Po chwili już byli na miejscu. Silniki hamujące wbiły ją w wyściełany fotel, pozbawiając oddechu. Wahadłowiec podskoczył lekko, gdy podwozie dotknęło ziemi.

- Wylądowaliśmy! Udało się! - zawołała.

- Nie bądź taka zaskoczona, maleńka! - powiedział jej ojciec z uśmiechem i wyciągnął rękę, by poklepać ją po kolanie.

- Czy będę mógł coś zjeść, kiedy wysiadziemy? - zapytał Brian płacząco. Ktoś z przodu kabiny zachichotał.

Sorka usłyszała syk powietrza i drzwi dla pasażerów się otworzyły. Z kabiny pilotów wyszły Sallah i Barr, dając rozkaz wysiadania. Do wahadłowca wdarł się promień słońca i fala świeżego powietrza. Sorka poczuła, jak serce bije jej mocno z radości.

Red ze śmiechem odpiął pas bezpieczeństwa i ponaglił córkę, by wstawała. Jednak nagły przypływ paniki nie pozwolił Sorce ruszyć się z miejsca.

- Hej, Sorka, teraz możesz już wyjść! - zawołała Sallah.

Dziewczynka wstała czując, że nogi ma jak z waty.

- Znowu jestem ciężka! - wykrzyknęła. Właściwy ciężar ciała był czymś nowym po zmniejszonej do połowy grawitacji na Yoko. Przy wyjściu Sorka zatrzymała się, chłonąc pierwszy obraz Pernu; rozległą panoramę trawiastej równiny, z gromadkami śmiesznych, błękitnawych krzaków pod zielononiebieskim niebem.

- Nie blokuj przejścia, kochanie - odezwała się kobieta stojąca na zewnątrz.

Sorka usłuchała pospiesznie, chociaż nigdy nie dowiedziała się, w jaki sposób udało jej się zejść z pochylni, skoro cały czas rozglądała się dookoła. Murawa była trochę inna od trawy rosnącej na ich farmie. Krzaki wyglądały na bardziej błękitne niż zielone i miały liście o śmiesznym kształcie, przypominające połączone figury geometryczne zabawki, którą bawiła się we wczesnym dzieciństwie.

- Spójrz, tatusiu, chmury! Zupełnie jak w domu! - zawołała, z podnieceniem wskazując na niebo.

Ojciec roześmiał się i objął ją ramieniem, przyciągając do siebie.

- Może leciały za nami z Ziemi - powiedział łagodnie, nie przestając się uśmiechać. Sorka wiedziała, że i on jest podekscytowany tym, iż w końcu wylądowali na Pernie.

Dziewczynka wystawiła twarz do wiatru, który hulał po równinie. Pachniał cudownie; nowością i entuzjazmem. Chciało jej się tańczyć. Znowu była wolna, pod niebem, nie ograniczona sufitami i ścianami.

- Jesteście Hanrahanowie czy Jepsonowie? - zapytała kobieta z notatnikiem w ręce.

- Hanrahanowie - odparł Red. - Main, Peter, Sorka i Brian.

- Witajcie na Pernie - powiedziała kobieta, uśmiechając się przyjaźnie i zaznaczając coś na papierze. - Przydzielono was do Czternastego Domu w Sektorze Azjatyckim. Oto wasza mapa. Wszystkie najważniejsze punkty są dokładnie oznaczone. A teraz, gdybyście mogli pomóc przy rozładowywaniu i sprzątaniu wahadłowca... - Wręczyła im mapę, machnęła ręką w stronę grupy ludzi przy otwartym luku wahadłowca i podeszła do Jepsonów, którzy właśnie wysiedli.

- Udało nam się, Mairi, kochanie - powiedział Red, obejmując żonę. Sorka ze zdumieniem zobaczyła łzy w oczach rodziców.

Z wahadłowca trzeba było wylądowywać coś więcej niż tylko osobisty bagaż pasażerów. Listy załadunkowe wyszczególniały dziesiątki skrzyń pełnych towarów.

- Powiedzcie intendentowi, że trzeba ładować więcej mebli - usłyszała Sallah, gdy ładownia została opróżniona. - Inaczej niektórzy zostaną na noc bez łóżek.

- Oto prawdziwa skuteczność - powiedziała Sallah do Barr. Pomachała ręką Hanrahanom i zamknęła drzwi, przygotowując się do odlotu. - Wkrótce na statkach nie będzie już nikogo, a z samych maszyn zostaną tylko gołe kadłuby.

- Wiem - odparła Barr. - Zaczynam się bać, że nasze koje też znikną.

Obie zabrały się do przeprowadzania kontroli startowej. Sallah uśmiechnęła się, robiąc kolejną notatkę. Doszła już do perfekcji, co oznaczało, że na każdym locie oszczędzała prawie dwadzieścia litrów. Wiatr wiał od tyłu. Dała znać Barr, żeby pospieszyła się ze sprawdzaniem urządzeń.

- Chcę wykorzystać wiatr od ogona. Oszczędzimy paliwa.

- Dobry Boże, Sal, robisz się równie okropna jak sztywniak Fusi - odparła Barr, ale szybko zakończyła ostatnie czynności. - Chciałabym wiedzieć, po co właściwie tak cholernie pilnujemy tego paliwa? Na tym, co oszczędzimy, nie dolecimy daleko. A skoro statki są unieruchomione, nie będziemy mieć żadnego pożytku z wahadłowców.

Sallah spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem, po czym się roześmiała.

- Masz rację. Tak, masz rację. Chyba - dodała po chwili zadumy - sprawdzę zbiorniki, gdy Fusi będzie na dole.

Ale nawet gdy to zrobiła, nie poczuła się ani odrobinę mądrzejsza. Skoro oszczędzały tyle

paliwa, poziom w zbiornikach powinien być wyższy. Barr, zajęta flirtem z jednym z inżynierów, szybko zapomniała o swoim spostrzeżeniu. Sallah nie. Podczas jednego z lotów Kenjo poszperała trochę w bazie danych głównego komputera.

Zużycie paliwa w obu zbiornikach na Yoko utrzymywało się na rozsądnym poziomie. Sallah obliczyła swoje średnie zużycie paliwa na podróż, podała przybliżone dane dla Kenjo. Wyszło jej, że w zbiornikach powinny znajdować się dodatkowe dwa tysiące litrów. Wzięła jeszcze pod uwagę większe zużycie podczas cięższych podróży, kiedy dryf i siła wiatru podnosiły jeszcze ilość wykorzystanego paliwa. I znowu liczba się nie zgadzała. Deficyt był tym razem mniejszy, ale i tak znaczący.

Komu mogło zależeć na gromadzeniu paliwa? Avril? Ale Avril i Kenjo nie byli przyjaciółmi. Wprost przeciwnie, Avril często docinała Kenjo, prawiła mu złośliwości o podłożu etnicznym.

- Oczywiście, gdyby chciała zatrzeć ślady... - mruknęła Sallah pod nosem.

Obliczyła odległość do najbliższego systemu, którego przydatność dla celów kolonizacyjnych została wykluczona sto lat przed powołaniem grupy ZBO, a także odległość do najbliższej zamieszkałej planety. Porównała te dane z zasięgiem i prędkością kapitańskiego gju. Wszystko wskazywało, że w najbardziej sprzyjających warunkach Mañposa mogłaby dolecieć jedynie do nie zamieszkanego systemu. Więc o co mogło chodzić? Niezadowolona, że zmarnowała całe popołudnie, Sallah ruszyła na poszukiwanie Barr. Tego dnia przypadł im wieczorny lot, a to znaczyło, że noc miały spędzić na planecie.

Rozdział IV

Ku niewysłowionemu zachwytowi Sorki w szkole na Pernie jedynie przystosowywano uczniów do ich nowego domu. Wszyscy poznawali zasady bezpiecznej obsługi prostych narzędzi, a dzieci powyżej czternastego roku życia uczono również, jak się posługiwać mniej skomplikowanymi urządzeniami. Pokazano im gatunki roślin, których należało unikać, i zrobiono wykład z botaniki. Dzieci obejrzały różnorodne owoce, liście oraz bulwy, które były nieszkodliwe i można je było spożywać w umiarkowanych ilościach. Dowiedziały się, że jednym z zajęć młodych kolonistów ma być gromadzenie jadalnych roślin, by dołączyć je do przywiezionych zapasów. Pokazano im slajdy pernijskich owadów, płazów i gadów. Na końcu dzieci poniżej dwunastego roku życia zgromadzono w głównej klasie, a starsze wyprowadzono na zewnątrz, by dołączyły do grup roboczych prowadzonych przez dorosłych.

- Na początku okresu osiedleńczego - powiedział im Rudi Shwartz, dyrektor szkoły - będziecie mieć szansę pracować z różnymi specjalistami. Zorientujecie się w ten sposób, jakie rzemiosło czy zawód wam najbardziej odpowiada. Zamierzamy ożywić system czeladniczy. Działał on zupełnie dobrze na starej Ziemi, sprawdził się na Pierwszej Centauri i jest szczególnie właściwy dla naszej rolniczej kolonii. Wszyscy będziemy musieli ciężko pracować, by na dobre zżyć się z tą planetą, ale pilność będzie nagrodzona.

- Ciekawe czym? - zapytał jakiś chłopiec z tyłu. Jego głos brzmiał odrobinę pogardliwie.

- Samozadowoleniem. A także - dodał dyrektor, podnosząc lekko głos i uśmiechając się w stronę sceptyka - nadaniami ziemi i materiałów, kiedy osiągniecie dojrzałość i postanowicie iść na swoje. Wszyscy na Pernie mamy takie same szansę.

- Mój tata mówi, że założyciele i tak dostaną całą najlepszą ziemię - odezwał się anonimowy, chłopięcy głos spośród grupy.

Rudolph Shwartz, obserwując dzieci lekko zmrużonymi oczami, odczekał z odpowiedzią, póki jego słuchacze nie zaczęli niespokojnie się poruszać.

- Warunki umowy dają im pierwszeństwo wyboru, to prawda. To jest wielka planeta, z milionami akrów ziemi pod uprawę. Nawet członkowie założyciele będą musieli udowodnić

swoje prawa. Zostanie pod dostatkiem terenów i dla twego ojca, i dla ciebie. A teraz... kto z was umie prowadzić ślizgacz?

Sorka od jakiegoś czasu rozglądała się po grupie uczniów i niechętnie stwierdziła, że nie ma tam dziewcząt w jej wieku. Nastolatki już zbiły się w gromadkę, nie dopuszczając jej do siebie, a pozostałe dziewczynki były dużo młodsze. Zrezygnowana Sorka na próżno rozglądała się za Seanem Connellem. Czy to nie typowe, że taki włóczęga zniknął ze szkoły tak szybko, jak to możliwe?

Poranna sesja zakończyła się instrukcjami, w jaki sposób zwracać się do intendenty z prośbami, czy to o racjonowane słodycze z Ziemi, czy to o robocze obuwie i czystą odzież. Wszyscy, podkreślał dyrektor, mają prawo do przedmiotów zbytku. Jeżeli rzecz jest dostępna, na pewno zostanie wydana. Po krótkim wykładzie na temat zachowania umiaru uczniowie zostali wysłani na obiad, wydawany przez wspólne kuchnie ustawione na Placu Ogniskowym, i zobligowani do powrotu do szkoły przed 1300 na zajęcia popołudniowe.

Po dwóch tygodniach bezczynności na statku Sorka z zapałem zabrała się do przenoszenia różnych przedmiotów. Była raczej odosobniona w swoim zachwycie. Zwłaszcza starsze dziewczynki sarkają, że skierowano je do ciężkich robót. Wychowana na farmie Sorka traktowała z wyższością miastowe księżniczki i pracowała tak pilnie przy oczyszczaniu pól z kamieni, aż kobieta nadzorująca ich grupkę ostrzegła ją, by się nie przemęczała.

- Nie żebym nie doceniała twojego zapału, Sorka - powiedziała z krzywym uśmiechem - ale nie zapominaj, że piętnaście lat spędziłeś w bezruchu. Musisz powoli rozruszać mięśnie.

- Ja przynajmniej mam mięśnie - odparła Sorka pogardliwie, patrząc na grupkę dziewcząt, które z naburmuszonymi minami nosiły plastikowe żerdzie na ogrodzenie.

- Przyzwyczajają się do Pernu. Muszą tu zostać. - Kobieta cicho parsknęła. - Podobnie jak my wszyscy.

Sorka westchnęła z takim zachwytem, że starsza kobieta wyciągnęła rękę i zmierzwiła jej włosy.

- Nigdy nie chciałeś zostać agronomem?

- Nie, będę weterynarzem, jak mój tata - odparła Sorka radośnie.

Kierowniczka grupy była pierwszym z wielu dorosłych, którzy chcieliby przyjąć Sorcę Hanrahan na ucznia. Dziewczynka spędziła tylko kilka dni w zespole zbierającym kamienie, po czym razem z piątką innych dzieci została odesłana do portu i wylęgarni.

- Dowiodłeś, że potrafisz pracować bez nadzoru, Sorka - powiedział dyrektor Shwartz z aprobatą. - Takiego właśnie nastawienia potrzeba nam na Pernie.

Po jednym przedpołudniu nauki rozpoznawania skatalogowanych morskich gatunków, dzieci podzielono na dwie grupy i wysłano w przeciwnych kierunkach wzdłuż wielkiej zatoki, tworzącej naturalny port. Ich zadaniem było zbieranie nieznanymi gatunków traw i wodorostów, a także wszystkiego, co mogło kryć się w kałużach pozostawionych przez nocny sztorm. Sorka z zachwytem wyruszyła razem z Jacobem Chernoffem, który jako najstarszy został mianowany dowódcą i dostał sygnalizator na wypadek niebezpieczeństwa.

- Ten piasek powinien być choć trochę inny, nie taki sam - narzekał trzeci członek grupy, gdy tylko wyruszyli.

- Chung, ocean na Pernie rozdrabnia kamienie tak samo jak na Ziemi i rezultat jest ten sam: powstaje piasek - powiedział Jacob przyjaźnie. - Skąd jesteś?

- Z Kansas - odparł Chung. - Założę się, że nie wiesz, gdzie to jest. - Spojrzał z wyższością na Sorcę.

- Kansas graniczy z Missouri na wschodzie, Oklahoma na południu, Kolorado na zachodzie i Nebraska na północy - odparła Sorka z wystudiowaną obojętnością. - I wcale nie macie tam piasku. Macie pył!

- Do licha, dobrze znasz geografie - odezwał się Jacob z uśmiechem podziwu. - Skąd pochodzisz?

- Z Kolorado? - zasugerował Chung sarkastycznie.

- Z Irlandii.

- Aha, jedna z tych europejskich wysepek - stwierdził Chung z wyższością.

Sorka wskazała wielki czerwony wodorost, leżący na wprost.

- Hej, mają już taki?

- Nie dotykaj - ostrzegł Jacob, kiedy podeszli bliżej. Szczypcami podniósł roślinę dla dokładniejszego zbadania. Miała grube liście, wyrastające nieregularnie z łodygi.

- Wygląda, jakby pochodziła z samego dna - zauważyła Sorka, wskazując wąsy u podstawy, do złudzenia przypominające korzenie.

- Nie pokazywali nam nic aż tak dużego - stwierdził Chung. Tak więc zapakowali okaz do torby, by odnieść go do zbadania.

Tego popołudnia nie znaleźli nic ciekawego, chociaż przekopywali się przez sterty już zidentyfikowanej morskiej roślinności. W końcu jednak okrążyli grupę szarych, kanciastych głazów, przedzielających zakrzywioną plażę, i natknęli się na sporą kałużę, w której uwieczonych było sporo morskich żyjątek. Zobaczyli stworzenia przemykające na licznych nogach, kilka purpurowych stworów w kształcie ostrza lancetu - Sorka nie wątpiła, że są jadowite - i kilka długich na palec, przezroczystych istot wyglądających prawie jak ryby.

- Jak coś może być prawie rybą? - zapytał Chung, gdy Sorka wygłosiła swoją opinię. - Pływają w wodzie, no nie? To znaczy, że są rybami.

- Niekoniecznie - odparł Jacob. - Zresztą nie wyglądają całkiem jak ryby. Wyglądają... nie wiem, jak co wyglądają - przyznał. Stworzenie wzdłuż boku miało warstwy płetw, niektóre bezustannie się poruszały. - Są takie... włochate.

- Wiem tylko, że w wylegarni na pewno nie mieli nic podobnego - stwierdził Chung. Wyjął pojemnik na okazy, pochylił się nad brzegiem kałuży, żeby coś złapać.

Chociaż Jacob zdołał złowić kilka lancetowatych stworzeń, a trzy sztuki wielonogów same wpadły do słoika, palcowata ryba nie dała pochwycić się żadnemu z chłopców.

Gdy sugestie Sorki dotyczące metod łowieckich zostały odrzucone, dziewczynka powędrowała w dalszą część plaży. Dochodząc do kolejnego rumowiska, spostrzegła potężny głaz, który wyglądał zupełnie jak ludzka głowa, z wyraźnymi łukami brwiowymi, nosem, wargami i brodą, chociaż fragment tej ostatniej był ukryty w piasku i omywany przez fale. Zachwycona i pełna podziwu, Sorka stała w bezruchu. To było cudowne. I sama to znalazła! Jedna z dziewcząt, jej koleżanek z Sektora Azjatyckiego, wpadła do dziury, która okazała się jednym z wielu wejść do ciągu jaskiń na południowy zachód od Ładowiska. Nadano im nazwę Jaskiń Catherine, na cześć ich przypadkowej odkrywczynie.

Głowa Sorki? Wypowiedziała to na głos. Nie, ludzie mogliby pomyśleć, że to naprawdę jej głowa, a przecież ona wygląda zupełnie inaczej. Zastanawiając się nad tym zerknęła w górę na imponujące urwisko. Wtedy właśnie ujrzała stworzenie, najwyraźniej zawieszony w powietrzu. Aż westchnęła z podziwu; promienie słońca omywały lecącą istotę tak, że przypominała złotą statuetkę. Nagle jednak stworzenie zanurkowało i zniknęło z pola widzenia za czubkiem kamiennej głowy.

Nikt nie pokazywał jej niczego, co przypominałoby tę cudowną istotę i Sorka poczuła wzbierający entuzjazm. Pobiegnęła w stronę olbrzymiej głowy, która zaczynała już tracić wymaginowane rysy. To jednak nie miało znaczenia. Odkryła coś o wiele ważniejszego: nowego mieszkańca Pernu.

Musiała wdrapać się po kilku głazach, żeby dotrzeć na wierzchołek. Tuż przed szczytem zatrzymała się i wyjrzała przez krawędź, mając nadzieję, że przyjrzy się z bliska uskrzydłonemu stworzeniu. Czekają ją jednak rozczarowanie. Widziała jedynie nagą skałę, poprzębianą tu i ówdzie otworami i wgłębieniami. Sorka cofnęła się pospiesznie, gdy grzywacz, rozbijając się o skałę urwiska, posłał fontannę przez jedną z dziur, oblewając ją zimną morską wodą.

Zawiedziona dokończyła wspinaczki, trzymając się z dala od otworów. Z tej wysokości rozciągał się wspaniały widok na zatokę. Widziała Jacoba i Chunga rozciągniętych nad kałużą, mogła też dostrzec ludzi pracujących przy wylęgarni i pierwszy ze statków rybackich, stojący na kotwicy. Spojrzała na zachód i ujrzała bajeczną panoramę małych plaż, otoczonych urwiskami podobnymi do tego, na którym stała. Przed sobą widziała jedynie ocean, chociaż wiedziała, że gdzieś za horyzontem znajduje się pomocny kontynent.

Sorka odwróciła się, przyjrzała gęstej roślinności dorastającej aż do brzegu urwiska. Nagle poczuła pragnienie. Dostrzegła drzewo obwieszane czerwonymi owocami i postanowiła zerwać jeden z nich. Mogłaby nazrywać też trochę dla chłopców. Zapewne mieli ochotę na chwilę odpoczynku.

Naraz wydarzyły się dwie rzeczy: prawie wdepnęła w duży otwór, wypełniony sporą ilością białych, cętkowanych jajeczek, i coś rzuciło się na nią z powietrza. Pazury o włos minęły jej głowę.

Sorka rzuciła się na skałę i zerknęła przez ramię ciekawa, co ją zaatakowało. "Coś" zanurkowało znowu, z rozczapierzonymi pazurami. Dziewczynka czekała, podobnie jak kiedyś na szarzę rozwścieczonego byka, by móc odskoczyć w ostatnim momencie. Nad nią przetoczyła się fala wściekłości i gniewu, tak intensywna, że Sorka bezwiednie krzyknęła.

Zmieszana nieoczekiwanym uczuciem, ale w pełni świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, dziewczynka zerwała się na nogi i pobiegła, podpierając się rękami, do brzegu urwiska. Powietrze rozdarł wrzask gniewu i zawodu, sprawiając, że dziewczynka zaczęła zsuwać się po kamieniach w zdwojonym tempie. Usłyszała syk powietrza. Instynktownie przywarła do ziemi, by uniknąć kolejnego ataku, i schroniła się pod skalnym nawisem. Przytulając się do kamiennej ściany dostrzegła wreszcie swego prześladowcę, a zwłaszcza jego oczy, pałające czerwonopomarańczowym ogniem. Ciało stworzenia było złote; prawie przezroczyste skrzydła z wyraźnie ciemniejszymi konturami tylko trochę bledsze niż zielonobłękitne niebo.

Stworzenie zaskrzeczało ze zdumieniem, po czym wzbiło się w górę, znikając jej z oczu. Sorka zastanowiła się, czy to możliwe, że nie spostrzegło jej w cieniu skały. Ponownie usłyszała skrzek, przytłumiony, jak się spodziewała, przez odległość i huk fal.

Nagle grzywacz rozbił się o głaz ponad nią, zalewając ją całkowicie. Zaniepokojona zdała sobie sprawę, że rozpoczyna się przypływ, więc najmądrzej zrobi, jeśli się stamtąd ruszy. I to zaraz.

Rozejrzała się ostrożnie, nasłuchując, ale okrzyki stworzenia były wciąż odległe. Kolejna fala zmusiła ją do pośpiechu. Sorka wychyliła się spod nawisu i zbliżyła do brzegu urwiska. Pośliznęła się na wilgotnej skale i runęła bezwładnie z ostatniego metra. Wciąż dostatecznie dziecinna, by płakać z bólu, zanosła się rozpaczliwym łkaniem. Ręce, brodę i kolana miała podrapane do krwi.

Nad głową rozległ się dźwięk tak podobny do jej płaczu, że natychmiast zapomniała o bólu i spojrzała na niebo, gdzie zawisło w bezruchu latające stworzenie.

- Śmiejesz się ze mnie? - Sorka poczuła nagłą irytację, jak gdyby drażniła się z nią jedna z koleżanek z grupy. - Naśmiewasz? - krzyknęła na złotą istotę. Ta nagle zniknęła.

- O kurczę! - Sorka zamrugnęła oczami, po czym zlustrowała niebo, zaskoczona szybkością, z jaką stworzenie czmychnęło z jej pola widzenia. - Do licha! Szybciej niż światło!

Podnosząc się na nogi, dziewczynka okręciła się wokół własnej osi, przekonana, że złoty stwór musi być gdzieś widoczny. Następna fala rozbiła się u jej stóp i Sorka pospiesznie się wycofała, chociaż i tak była już przemoczona. Jednak dłonie i kolana szczypały od słonej wody, a miała jeszcze przed sobą długi marsz z powrotem do wylęgarni. Gdyby choć mogła się czymś pochwalić, co wynagrodziłoby jej zadrapania! Postanowiła nikomu nie wspominać o latającym stworzeniu.

Aż podskoczyła z zaskoczenia, gdy krzaki na skraju urwiska ponad nią rozchyliły się i

spomiędzy nich wyrzała rudowłosa głowa.

- Ty cholerna idiotko, ty beznadziejny mieszczuchu! Wystraszyłaś ją!

Z urwiska ześliznął się Sean Connell. Jego skóra nie była już biała, lecz spalona słońcem na brąz; błękitne oczy połyskiwały.

- Warowałem tam jak pies od samego rana, żeby złapała się w moje sidła, a ty, ty wszystko schrzańłaś. Żadnego pożytku z ciebie nie ma!

- Chciałeś ją złapać? Tą cudowną istotę? I zabrać ją od jej jajek? - Rozwścieczona Sorka rzuciła się na Seana, odruchowo rozprostowując dłonie, łącząc płasko palce i zasypując chłopca gradem uderzeń. - Ani mi się waż! Nawet nie myśl o tym, żeby zrobić jej krzywdę!

Sean pochylił się i zdołał uniknąć pierwszego impetu jej ciosów.

- Nie chcem robić krzywdy! Chcem ją oswoić! - wrzasnął, zasłaniając się rękami. - My nic nie zabijamy! Chcem ją mieć! Dla siebie!

Nagle skoczył do przodu i popchnął Sorke, przewracając ją na piasek i przygniatając do ziemi. Był od niej wyższy i trochę cięższy, więc nawet nie mogła się ruszyć. Dziewczynka złapała oddech, szarpnęła się, usiłując zgiąć kolana i go kopnąć.

- Nie bądź głupia, dziewczyno. Nie skrzywdziłbym jej. Obserwowałem ją przez dwa dni. I żywej duszy o niej nie powiedziałem.

Do Sorki nagle dotarły jego słowa. Leżała spokojnie, patrząc na chłopaka podejrzliwie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To i tak byłoby złe. - Sorka szarpnęła się na próbę, ale Sean tylko wcisnął ją mocniej w piasek. Kamienie raniły jej plecy. - Zabierać ją od jajek.

- Chciałem ich pilnować.

- A jeśli pisklęta jej potrzebują? Nie możesz jej zabrać.

Sean rzucił jej nagle podejrzliwe, równie gniewne spojrzenie.

- A co ty chcesz z nią zrobić? Jest nagroda za takie jak ona. A nam pieniądze som potrzebne bardziej niż tobie.

- Na Pernie nie ma pieniędzy! Kto by ich potrzebował? - Sorka najpierw z zaskoczeniem, potem ze współczuciem przyjrzała się jego zaszokowanej twarzy. - Wszystko możesz dostać w Składach. Nie wytłumaczyli ci tego w szkole? - Sean popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Aha, nie zostałeś w szkole wystarczająco długo, żeby się tego dowiedzieć, prawda? - Prychnęła z pogardą. - Daj mi wstać. Kamienie wywiercą mi dziury w plecach. Jesteś naprawdę beznadziejny. - Dziewczynka podniosła się i otrzepała z grubsza piasek z ubrania. Ponownie spojrzała na Seana. - Dowiedziałeś się przynajmniej, co jest trujące? - Odetchnęła z ulgą, gdy chłopak powoli skinął głową. - Szkoła nie jest taka zła. Przynajmniej nie tutaj.

- Nie ma pieniędzy? - Sean wciąż nie mógł uwierzyć w coś tak absurdalnego.

- Nie, chyba że ktoś przywiózł ze sobą jakieś stare monety na pamiątkę. Ale nie sądzę; monety są ciężkie. Posłuchaj - powiedziała szybko, chwytając go za ramię, bo już odwracał się, by odejść. - Idź do składów na Ładowisku. To ten największy budynek. Powiedz im, czego ci potrzeba, podpisz się na kwicie, a dadzą ci, co chcesz, jeśli tylko to mają. To się nazywa rekwizycja. Każdy, nawet dzieci, może rekwirować ze składów różne rzeczy. Przynajmniej rozsądne rzeczy. - Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że zdoła przełamać jego gniewny grymas. - A co ty tu w ogóle robisz? - Poczwała nagle rozdrażnienie. Skoro on i jego rodzina kręcili się w tej okolicy, to znaczy, że nie była pierwszą osobą, która widziała skałę w kształcie głowy, i nie mogła wymagać, by nazwano ją na jej cześć.

- Sama mi mówiłaś na statku - chłopak uśmiechnął się nagle uroczym, figlarnym uśmiechem.

- Kiedy już tu przylecim, będziemy mogli iść tam, gdzie chcemy. Tylko że bez koni daleko nie zajdziem.

- Nie mów mi, że wzięliście ze sobą swoje wozy! - Sorka wyobraziła sobie, ile miejsca zajęłyby one w ładowniach.

- Pewnie, że je wzięlim - odparł. - Tylko nie mamy żadnych zwierząt, które by je ciągly. - Machnął ręką w stronę gęstej roślinności. - Ale my znowu wolni i zanim dostaniem zwierzęta, możemy mieszkać tam, gdzie nam się podoba.

- To może zająć kilka lat - powiedziała Sorka z naciskiem. Chłopiec znowu poważnie skinął głową. - Ale już zabraliśmy się do roboty. Mój tata jest weterynarzem i powiedział, że obudzili kilka kłaczy, oślic, kóz i owiec, żeby mogły mieć młode.

- Obudzili? - Sean wytrzeszczył oczy.

- Pewnie, przecież nie wygarnialiby gnoju spod zwierząt przez piętnaście lat. Ale to i tak potrwa jedenaście miesięcy, zanim urodzą się źrebaki, bo chyba na nie czekacie.

- A jakże. Obiecali nam, że dostaniem konie. - Sean mówił to z naciskiem, ale jednocześnie z rozmarzeniem i Sorka poczuła przyływ sympatii.

- Dostaniecie je. Mój tatuś tak mówił. Mówił, że włóczę... że ci, co podróżują, są pierwsi na liście - skłamała.

- Lepiej, żeby tak było - Sean popatrzył na nią spode łba. - Bo inaczej będą kłopoty.

- Dobrze zrobisz, jeśli spotkasz się ze mną, zanim zaczniecie sprawiać te kłopoty. Mój tatuś zawsze żył w zgodzie z waszymi ludźmi w Clonmel. Uwierz mi, dostaniecie swoje konie. - Widziała, że chłopiec jej nie dowierza. - Ale niech no tylko się dowiem, że skrzywdziłeś to stworzenie, dopilnuję, żebyście ich nie dostali, Seanie Connellu! - Uniosła dłoń i pogroziła mu. - Zresztą nie sądzę, żebyś ją złapał. Jest za sprytna. Rozumie twoje myśli.

Sean zmierzył ją spojrzeniem, tym razem bardziej pogardliwym niż sceptycznym.

- A skąd ty niby wiesz tyle o niej?

- Zawsze radziłam sobie ze zwierzętami. - Przerwała i uśmiechnęła się szeroko. - Tak jak ty. Zobaczmy się jeszcze. I pamiętaj o składach!

Odwróciła się i ruszyła w stronę Jacoba i Chunga. Zdążyła w samą porę, by pomóc odnieść próbki do wylęgarni.

Gdy Sallah Telgar dowiedziała się, że poszukiwani są ochotnicy dla sformowania załogi zastępczej, by ci, którzy jeszcze nie byli na planecie, mogli spędzić tam wolny weekend, zawahała się, ale tylko do momentu, gdy zobaczyła imiona pierwszych trzech ochotników: Avril, Bart i Nabhi. Ta trójka nie robiła nic, z czego nie mogłaby odnieść korzyści. Dlaczego się zgłosili? Pełna podejrzeń natychmiast wpisała się na listę. Była też ciekawa, o co chodzi Kenjo z paliwem. Eujisan pobierał cały swój przydział, jednak z jej wyliczeń wynikało, że różnica między tym, co spaliły silniki Eujisana, a tym, co pozostało w zbiornikach Yoko, jest coraz większa. Bardzo dziwne. Wkrótce na starej Yoko nie zostanie miejsca, żeby ukryć chociażby naporstek paliwa, a co dopiero taką jego ilość, jaka wynikała z jej obliczeń. Ale Kenjo nie było między ochotnikami.

Wszystkie sześć wahadłowców wystartowało, by zmienić załogę statków i przetransportować na dół kolejne towary. Sallah leciała na Eujisana razem z resztą zastępczej załogi dla Yoko. Na wargach Avril błąkał się uśmiešek, który przekonał Sallah, że kobieta ma własne plany na nadchodzący weekend. Bart Lemos rozglądał się czujnie i wyglądał na zdenerwowanego, Nabhi zaś patrzył na wszystkich z wyższością. Coś knuli, Sallah była tego pewna. Ale co, nie potrafiła sobie wyobrazić.

Gdy tylko opuściła pochylnię na pokład startowy Yoko, natychmiast wchłonęła ją fala podnieconych ludzi, którzy z niecierpliwością czekali, aż będą mogli wejść na pokład Eujisana i odbyć podróż na powierzchnię swojego nowego domu. Sallah nigdy nie widziała szybszego załadunku. Wkrótce Yoko składać się będzie jedynie z nagiego kadłuba i korytarzy prowadzących na pokład, gdzie będzie stał nie tknięty główny komputer. Większą część jego pamięci skopiowano, by zrobić z niej użytek na powierzchni, ale nie wszystko - programy nawigacyjne i militarne były zabezpieczone przed kopiowaniem, a poza tym i tak bezużyteczne. Gdy pasażerowie i załoga pozostawią trzy statki na orbicie, nikomu nie będzie

potrzebna wiedza, w jaki sposób rozgrywać bitwy kosmiczne.

Członkowie załogi wydali odpowiednie rozkazy ochotnikom, którzy mieli ich zastąpić, i z radością opuścili statek.

- To miejsce zrobiło się niesamowite - szepnął Boris Pahlevi do ucha Sallah, gdy szli korytarzami w stronę mostka, a ich kroki odbijały się echem od gołych płyt podłogi i ścian, z których zdarto obicia.

- Ostatni wychodzący zedrze płyty? - zapytała Sallah kpiąco. Wzdrygnęła się, gdy dostrzegła, że rozmontowano śluzy bezpieczeństwa między poszczególnymi członami. Oświetlenie zredukowano do trzech jednostek na korytarz. Uważnie patrzyła, gdzie stawia stopy.

- To jednak nieprzyzwoite - zauważył Boris żalobnym tonem, rozglądając się dookoła. - Tak wypatroszyć staruszkę.

- Iwan Groźny - stwierdziła Sallah. Piloci tak przezywali statkowego kwatermistrza, odpowiedzialnego za wylądowanie Yoko. - Jest Alaskąńczykiem i prawdziwym liczykrupą.

- No, no - skarcił ją Boris żartobliwie. - Teraz wszyscy jesteśmy Perneńczykami, Sal. Ale co to jest Alaskąńczyk?

- Do licha, Boris, ależ z ciebie ignorant, nawet jak na Centaurańczyka w drugim pokoleniu. Alaska jest krainą na Ziemi, niedaleko kręgu polarnego; bardzo zimną. O mieszkańcach Alaski mówi się, że nigdy niczego nie wyrzucają. Mój ojciec też był taki. Musiał mieć to w genach, bo chociaż wychowano go na Pierwszej, to moi dziadkowie pochodzili z Alaski. - Sallah westchnęła z nostalgią. - Tata nigdy niczego nie wyrzucał. Przed wylotem musiałam pozbyć się zawartości dziewięciu składów. Przez osiemnaście lat nagromadzały się tam... nie można powiedzieć rupiecie, bo wszystko, co tam znalazłam, udało mi się z zyskiem sprzedać. Ale Herkules nie miał chyba takich problemów ze stajniami Augiasza.

- Herkules?

- Nieważne - odparła Sallah, zastanawiając się, czy Boris celowo ją drażni udawaną ignorancją w kwestii legend i ludów starej Ziemi. Niektórzy chcieli wyrzucić wszystko: literaturę, podania, języki; wszystko, co sprawiało, że ludzie tak interesująco różnią się między sobą. Ale ci mądrzejsi, bardziej tolerancyjni, chcieli to uchronić od zapomnienia. Generał Cherry Duff, główna historyczka i bibliotekarka kolonii, nalegała, żeby zabrano na Pern pisane i wizualne dowody kultur etnicznych. Ludzie, którzy pragnęli zacząć od początku, mogli pocieszać się myślą, że wszystko, co stanie się bezużyteczne w nowych warunkach, szybko zostanie zapomniane i powstaną nowe tradycje.

- Nigdy nie wiadomo - często powtarzała Cherry Duff - kiedy stara informacja staje się nowa, przydatna i cenna. Nie wolno nam stracić nawet najmniejszego wycinka widma! - Energiczna obrończyni Cygnusa III, krzepka kobieta w wieku stu kilkunastu lat, z którą na Buenos Aires leciały własne prawniki, często wyrażała się obrazowo, by jej słowa tym lepiej wbiły się w pamięć. - Zresztą te chipy prawie wcale nie zajmują miejsca.

Sallah i Boris z ulgą stwierdzili, że sam mostek był nietknięty. Nawet drzwi awaryjne wciąż tkwiły na swoim miejscu. Boris usiadł w fotelu dowódcy i poprosił Sallah o potwierdzenie stabilności orbity. Boris był inżynierem bawiącym się w programowanie i prawdopodobnie chciał spędzić weekend, grzebiąc w komputerze. Sallah nie wątpiła, że jest on najbardziej kompetentną osobą, by wykryć i zniwelować każdą niepożądaną dewiację orbity. Boris z ulgą wykorzystał okazję odpoczynku od zajęć na powietrzu, gdyż pracując z grupą hydroelektryków przy wznoszeniu słupów wysokiego napięcia, zapomniał osłonić przed słońcem swą jasną skórę. Był na siebie wściekły; zapomniał o środkach ostrożności tylko dlatego, że widział, jak wszyscy dookoła zdejmują koszule, żeby się lepiej opalić.

- Zostawili włączony program - powiedziała Sallah, wślizgując się na fotel przy stanowisku nawigatora. - Yoko siedzi twardo na orbicie.

- Oficer wachtowy powinien tu zostać, póki oficjalnie nie przejąłem dowodzenia - mruknął Boris. - Ale, jak sądzę, bał się, że odleciał bez niego - westchnął po chwili. - W każdym razie

nic się nie stało.

Boris zaczął wywoływać pozostałe stanowiska, sprawdzając wszystko według listy. Avril Bitra i Bart Lemos przejęli system regulacji składu powietrza, a Nabhi Nabol był w zasilającym. Gdy Boris zatopił się w pracy, Sallah z dużego terminala zajęła się dyskretnie własnymi przygotowaniem. Włączyła jeden z programów, by sprawdzić, kto jeszcze wchodzi do głównej pamięci. Taką wewnętrzną kontrolę można było przeprowadzić jedynie z mostka i z terminala, który wcześniej znajdował się w admirałskiej kabinie. Zanim Sallah opuści Yoko, będzie wiedziała, kto szukał jakich informacji, nawet jeśli nie dowie się dlaczego.

- Nie wiesz, czy taśmy z biblioteki zjechały już na dół? - zapytał Boris, który skończył już wywoływanie pozostałych członków załogi i w zrelaksowanej pozycji rozpiął się w fotelu.

- Generał Duff chyba wspominała, że tak, ale jeśli coś zostało, mógłbyś skopiować coś dla siebie.

- Chyba tak zrobię. Będę miał kilka na prywatny użytek. Ostatecznie skóra mi zlaźła właśnie dlatego, że pomagałem instalować urządzenia, które pozwolą je oglądać.

Sallah roześmiała się, ale jednocześnie poczuła współczucie. Biedny Boris miał twarz czerwoną od oparzeń i nosił bardzo luźne ubranie. Przyglądała mu się spod oka, póki nie zajął się przeglądaniem biblioteki; wtedy wróciła do komputera.

Avril chciała wiedzieć, ile paliwa zostało w zbiornikach trzech statków. Nabol był ciekaw, czy zapasowe części urządzeń zostały już przetransportowane na planetę. Sprawdzał też ich dokładne położenie w Składach. Nie będzie musiał prosić, żeby je dostać, pomyślała Sallah. Bardziej niepokoiła ją działalność Avril. Kobieta była jedynym w pełni wykwalifikowanym i doświadczonym astrogatorem. Jeśli ktoś miałby robić użytek z paliwa, to tylko ona. Co się stało z tymi hektolitrami, które zakamufłował Kenjo?

Avril kazała podać sobie koordynaty najbliższych planet odpowiednich do zamieszkania przez humanoidy. Okazało się, że dla dwóch z nich sporządzono raporty ZBO, wskazujące na istnienie rozumnych form życia. Planety były odległe, ale znajdowały się na granicy zasięgu admirałskiego gigu. Na granicy. Sallah nie rozumiała, dlaczego Avril miałyby interesować te planety, nawet jeżeli Mariposa zdołałaby tam dolecieć. Avril może i dotarłaby do celu, ale i tak byłaby to długa, męcząca podróż na maksymalnej prędkości, jaką gję mógłby rozwinąć. Nagle Sallah przypomniała sobie, że na gigu były dwa hibernatory: ostateczność, z której sama nie chciałaby korzystać. Gdyby miała zostać zahibernowana, wołała wiedzieć, że ktoś na statku sprawdza odczyty na urządzeniu. Ostatecznie maszyny nie były niezawodne. Dwa hibernatory. Kto miał być tym szczęściarzem, który polecą z Avril? Oczywiście, jeżeli istotnie planowała ucieczkę z Pernu. Ale dlaczego ktoś chciałby stąd uciekać natychmiast po wylądowaniu, rozważała zdezorientowana Sallah. Zupełnie nowy, przepiękny świat, a Avril nawet nie poczeka, żeby wykorzystać swoją szansę. A może właśnie poczeka?

Sallah kontynuowała badania przez całe trzy dni, po czym skopiowała wszystkie dane i wymazała plik z pamięci. Zanim weszła na pokład wahadłowca, by powrócić na planetę, zaczęła rozumieć, dlaczego załozde potrzebne były trzy dni odpoczynku. Biedna wypatroszona Yoko robiła przygnębiające wrażenie. Dwa mniejsze statki, Buenos Aires i Bahrain, wywoływały pewnie klaustrofobię. Ale przeładunek zbliżał się już ku końcowi i wkrótce trzy statki kolonizacyjne zostaną na swej samotnej orbicie - puste. Od tej pory widać je będzie jedynie o świcie i o zmroku, jako trzy świecące punkciki, odbijające promienie Rukbat.

Rozdział V

Pomimo milczącej dezaprobaty rodziców dla Seana Connella jako przyjaciela córki, Sorka znajdowała wiele powodów, by się z nim dalej widywać. Stwierdziła, że udało jej się przełamać jego nieufność. Co ciekawe, zauważyła także, że rodzina chłopca traktowała ich znajomość z identyczną niechęcią jak jej własna. To oczywiście dodawało smaku całej sprawie.

Łączyła ich przede wszystkim fascynacja latającym stworzeniem i gniazdem pełnym jajek. Sorka obserwowała gniazdo razem z Seanem, nie tylko by udaremnić mu ewentualne zakusy na mieszkańców, ale także po to by nie przegapić wylęgu.

Tego ranka - był akurat dzień wolny - Sorka przygotowała się na drugie czuwanie: przyniosła ze sobą kanapki. Zrobiła ich sporo, by móc się podzielić z Seanem. Leżeli na brzuchach, ukryci w zaroślach pokrywających szczyt skały; w miejscu skąd gniazdo było dobrze widoczne. Żółte stworzonko wygrzewało się nad brzegiem morza, nie spuszczać z jajek roziskrzonych oczu.

- Zupełnie jak jaszczurka - szepnął Sean. Jego oddech załaskotał Sorkę w ucho.

- Ależ skąd - zaprotestowała Sorka, przypominając sobie ilustracje w książce z bajkami. - Raczej jak mały smok. Smoczek - powiedziała prawie napastliwie. Uważała, że "Jaszczurka" to bardzo niestosowne miano dla tak cudownej istoty.

Ostrożnie strzepnęła dłonią kolejnego z wielonogich stworów, który w pośpiechu przeciskał między źdźbłami trawy swoje segmentowane ciało. Felicja Grant, nauczycielka botaniki, nazwała robaka przedstawicielem rodziny krocionogów i cieszyła się na ich widok. Przedstawiła klasie ich cykl rozwojowy: dorosłe formy rodziły młode, które pozostawały przyłączone do rodzica, póki nie osiągnęły tych samych rozmiarów. Wtedy odpadały. Dwie dojrzejące młode formy siedziały często jedna za drugą.

Sean leniwie budował zapórę z liści, by skierować krocionoga od siebie.

- Węże zjadajom ich mnóstwo, a wherry zjadajom węże.

- Wherry zjadają też inne wherry - stwierdziła Sorka z odrazą, przypominając sobie widok padlinożerców przy pracy.

Obudził ich cichy szczebiot; zdążyli się już zdrzemnąć w południowym upale. Żółty smoczek rozpościerał skrzydła.

- Chroni je - odezwała się Sorka.

- Nie. Wita.

Sean w każdej dyskusji zwykł zajmować przeciwne stanowisko. Sorka przyzwyczała się już, oczekiwała tego nawet.

- Może jedno i drugie - zasugerowała tolerancyjnie.

Sean tylko prychnął.

- Założem się, że ten pełzacz zwiewał przed wężem.

Sorka stłumiła dreszcz. Nie pozwoli Seanowi zobaczyć, jak bardzo brzydzi się śliskich stworzeń.

- Miałaś rację. Ona je wita. - Otworzyła szeroko oczy. - Ona śpiewa!

Sean uśmiechnął się, gdy świergot przybrał bardziej liryczny ton. Stworzenie przechyliło głowę, tak że widzieli, jak wibruje mu gardło.

Nagle powietrze ponad skałą stało się gęste od smoczków. Zaskoczony Sean chwycił ramię Sorki, równocześnie nakazując jej milczenie. Sorka zastygła z otwartymi ustami. I tak nie mogłaby dobyć z siebie żadnego dźwięku; zachwycona, była w stanie się jedynie przyglądać. Błękitne, brązowe i spizowe smoczki wisiały w powietrzu, śpiewając w chórze razem ze złotym.

- Muszą być ich setki, Sean. - Stworzenia przemykały i zataczały koła w powietrzu, tak że

wydawało się, iż jest ich pełno.

- Tylko dwanaście jaszczurek - odparł Sean lekceważąco. - Nie, szesnaście.

- Smoczków - poprawiła Sorka stanowczo.

Sean zignorował jej słowa.

- Zastanawiam się dlaczego.

- Patrz! - Wskazała nową grupę smoczków, które pojawiły się nagle, niosąc wielkie kłęby ociekających wodą wodorostów. Zjawiało się ich coraz więcej, każdy miał coś wijącego się w pysku. Stworzenia składały ciężar na wodorostach, które utworzyły nieregularny krąg wokół gniazda. - Zupełnie jak zapora - mruknęła Sorka w podziwie. Inne smoczki albo może te same, które przyleciały po raz drugi, znosiły krotionogi i robaki, rzucając je lub grzebiąc w wodorostach.

Nagle, widząc, jak pierwsze z jajek pęka i pokazuje się maleńka, wilgotna główka, Sorka i Sean przywarli do siebie, by stłumić podniecenie. Latające stworzenia nagle przerwały polowanie i wydały z siebie złożony ćwierkot.

- Widzisz, witają je! - Sean zdobył pewność, że od początku miał rację.

- Nie! Chronią! - Sorka wskazała dwa płaskie pyski olbrzymich cętkowanych węży po drugiej stronie zarośli.

Smoczki dostrzegły intruzów i natychmiast kilka rzuciło się na wystające głowy. Cztery bestyjki zmusiły gady do odwrotu w krzaki. Gałęzie gwałtownie zaszeleściły, po czym zwycięzcy wzbili się w powietrze, głośno świergocząc. W tym czasie pękły kolejne cztery skorupki. Dorosłe smoczki tworzyły żywy łańcuch, dostarczający pożywienie dla pierwszego pisklęcia, które opuściło jajko i niezgrabnie kręciło się dookoła, kwiląc żałośnie. Zapora z wodorostów nie pozwalała mu odejść od gniazda. Ruch skrzydeł i zachęcający świergot kierowały je do najbliższego ze smoczków, który przyniósł młodemu rzucającą się rybę.

Odważniejszy z węży wyłonił się z piasku, gdzie się ukrył, i ruszył po skale w stronę pisklęcia. Gad, zwijając ciało w pierścienie, uniósł głowę i otworzył szeroko żółtawą paszczę, by chwycić ofiarę. Natychmiast zaatakowały go latające stworzenia. Pisklę, wykazując się rozwiniętym instynktem samozachowawczym, przetoczyło się przez zaporę i umknęło w stronę krzaka, pod którym ukryli się Sorka i Sean.

- Idź sobie - syknął chłopiec przez zaciśnięte zęby. Machnął ręką w stronę kwilącego pisklaka, chcąc go odpedzić. Nie miał ochoty zostać zaatakowany przez dorosłe smoczki.

- On umiera z głodu, Sean - powiedziała Sorka, szarpiąc torebkę z kanapkami. - Nie czujesz, jaki jest wygłodzony?

- Tylko mu nie matkuj! - mruknął Sean, chociaż on także wyczuł błaganie w głosie maleństwa. Widział jednak, jak smoczki rozszarpują ryby ostrymi pazurami. Wolałyby nie być ich następną ofiarą.

Zanim zdążył ją powstrzymać, Sorka rzuciła kawałek kanapki na skałę. Wylądował tuż przed kręcącym się, płaczącym stworzonkiem, które natychmiast go schwyciło i pożarło. Teraz w jego głosie dało się słyszeć wyraźne żądanie. Pisklak ruszył w stronę źródła pożywienia. Dwa inne młode uniosły główki i skierowały się w tę stronę, pomimo wysiłków dzieci, by je odpedzić i zawrócić do dorosłych, którzy znosili coraz to nowe smakołyki.

- No, to się mamy z pyszna - jęknął Sean.

- Ale one są głodne. - Sorka odłamała więcej kawałków i cisnęła w stronę trójki smoczków.

Nowa dwójka rzuciła się naprzód, by zapewnić sobie udział w łupie. Ku niezadowoleniu Seana, Sorka wypelzła z kryjówki i z ręki karmiła chlebem pisklę, które podeszło najbliżej. Sean chciał ją złapać, ale chybił i uderzył brodą w kamienie.

Smoczek Sorki przyjął ofiarowany mu kawałek, po czym wdrapał się na jej ramię, węsząc żałośnie.

- Och, Sean, co za słodkie maleństwo. I to nie może być jaszczurka. Jest ciepły i miękki. Och, weź kanapkę i nakarm pozostałe. Umierają z głodu.

Sean zerknął w stronę gniazda i z olbrzymią ulgą stwierdził, że matka jest bardziej zajęta karmieniem reszty dzieci niż ściganiem trzech uciekinierów. Fascynacja przemogła obawy. Chłopiec chwycił kanapkę i klękając obok Sorki, zwabił do siebie bliższego z brązowych smoczków. Drugi brązowy, słysząc zmianę w okrzykach swojego brata, rozpostarł wilgotne skrzydła i z piskiem runął do przodu. Sean odkrył, że Sorka miała rację: stworzonka miała miękką skórę, ciepłą w dotyku. Zupełnie nie przypominały jaszczurek.

W krótkim czasie kanapki zniknęły w jaszczurczych żołądkach, a Sorka i Sean mimo woli zyskali przyjaciół na całe życie. Byli tak zaabsorbowani swoją trójką, że nie zauważyli zniknięcia pozostałych. Jedyne puste skorupki jajek w skalnym zagłębieniu przypominały, co się tu przed chwilą wydarzyło.

- Nie możemy ich tak zostawić. Ich matka odleciała - powiedziała Sorka, zaskoczona zniknięciem smoczego rodzaju.

- Ja swoich i tak nie miałem zamiaru zostawiać - odparł Sean, ironicznie patrząc na jej zakłopotaną minę. - Zabiorem je do siebie. Twoje też mogem wziąć, jeśli nie chcesz go zabierać do Ładowiska. Mama nie pozwoli ci trzymać dzikiego zwierzęcia.

- Ono nie jest dzikie - zaprotestowała Sorka z urazą. Wskazującym palcem pogładziła grzbiet spiżowej istotki. Smoczek poruszył się i wtulił w jej dłoń, wydając dźwięk bardzo przypominający mruczenie kota. - Moja mama świetnie sobie radzi z dziećmi. Ratowała jagnięta nawet wtedy, gdy tata twierdził, że na pewno umrą.

Sean się udobruchał. Włożył dwójkę brązowych za koszulę, po jednym z każdej strony, i zacisnął mocniej skórzany pasek, który dostał w Składach. Fakt, że uzyskał go bez trudu, sprawił, iż wzrosło jego zaufanie do Sorki. Mógł też udowodnić ojcu, że "oni" sprawiedliwie rozdają całe bogactwo, które statki przywiozły na Pern. W dwa dni po tym, jak dostał pasek, Sean spostrzegł, że nowe garnki stopniowo zastępują przy ogniskach stare, zaś jego matka i trzy siostry noszą nowe koszule i buty.

Czuł ciepło brązowych stworzonek na skórze i łaskotały go trochę ich małe kolce, ale chłopiec był zadowolony z sukcesu. Smoczki miały tylko po trzy palce na łapkach, przy czym kciuk był przeciwstawny. Wszyscy ludzie z obozu ojca poszukiwali na wybrzeżu jaszczurczych - to znaczy smoczkowych - gniazd i węzowych jam. Legendarnych latających stworzeń szukali dla zabawy, a na węże polowali dla bezpieczeństwa. Gady były niebezpieczne dla ludzi, którzy mieszkali w prowizorycznych domkach z plecionych gałęzi, pokrytych szerokimi liśćmi. Węże często wygryzały dziury w ścianach i wpełzały do dzieci śpiących w zawiniątkach. Nic nie było bezpieczne przed ich żarłocznością. A na dodatek nie nadawały się do jedzenia.

Ojciec Seana złapał, obdarł ze skóry i upiekł kilka węży. Spróbował po kawałeczku z każdej sztuki i natychmiast musiał przepłukać usta; węzowe mięso paliło język i wywoływało opuchliznę. Tak więc wszyscy w obozie dostali polecenie: łapać i zabijać gady. Oczywiście, jeżeliby tylko otrzymali teriery i fretki, by penetrowały dziury, szybko poradziłyby sobie ze szkodnikami. Porig Connell był zniechęcony, ponieważ inni członkowie ekspedycji zdawali się nie rozumieć, jak bardzo koczownikom potrzebne są psy. Zwierząt nie trzymano dla rozrywki - były niezbędnymi towarzyszami ludzi. Okazało się, że na Pernie jest tak jak na Ziemi: Connellowie ostatni uzyskiwali dostęp do wszystkich potrzebnych rzeczy i pierwsi spotykali się z odmowną odpowiedzią. Dopilnował jednak, by każda z jego pięciu rodzin wystąpiła z prośbą o psa.

- Twój tata będzie zadowolony - powiedziała Sorka, która ze szczęścia stała się bardzo wylewna. - Prawda, Sean? Założę się, że smoczki polują na węże lepiej niż psy. Pamiętasz, jak zaatakowały tego cętkowanego?

Sean prychnął.

- Tylko dlatego, że zaatakował ich młode.

- Nie sądzę. Po prostu czuję, że one nienawidzą węży. - Chciała wierzyć, że latające

jaszczurki są niezwykle. Tak samo wierzyła, że ich rudy kocur, Duke, był najbardziej łownym kotem w dolinie, a stary Chip najlepszym psem pasterskim w Tipperary. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. - A może powinniśmy poczekać tu razem z nimi na ich matkę?

Sean zmarszczył brwi.

- Jak ją ostatnio widziałem, wpychała wszystkie swoje młode do morza.

Powodowani jedną myślą wstali i poruszając się ostrożnie, by nie zbudzić małych stworzonek, skierowali się w stronę wierzchołka głazu.

- Och, patrz! - krzyknęła Sorka, wskazując drżącą ręką na coś, co wciągało poszarpane ciało pisklaka pod wodę. - Och, och, och! - Sean przypatrywał się niewzruszony. Sorka odwróciła się, zaciskając pięści. - A więc wcale nie jest taką dobrą matką.

- Tylko najlepsze przeżyją - stwierdził Sean. - Nasze trzy som bezpieczne. Były dostatecznie sprytne, by do nas przyjść! - Nagle odwrócił się, przekrzywił głowę i spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Ale czy twój będzie bezpieczny na Ładowisku? Wasi ludzie byli u nas i mówili, żeby my im znosili różne okazy. Bo mój tata to mistrz w zastawianiu pułapek.

Sorka mocniej przytuliła śpiącego smoczka.

- Mój ojciec nie pozwoli, żeby coś mu się stało. Wiem, że nie pozwoli.

Sean nie krył cynizmu.

- Tak, ale twój tata to nie przywódca swojej grupy, prawda? Musi słuchać rozkazów.

- Oni chcą tylko oglądać różne stworzenia. Nie chcą ich kroić ani nic takiego.

Sean nie wyglądał na przekonanego, ale poszedł za Sorką, gdy dziewczynka się odwróciła i zaczęła przedzierać przez krzaki w stronę skraju wyżyny.

- Zobaczymy się jutro? - zapytał Sean, z niechęcią myśląc, że mogliby przestać się spotykać, skoro ich wspólne czuwanie dobiegło końca.

- Jutro jest dzień pracy, więc może wieczorem? - odparła Sorka bez wahania. Nie byli już na Ziemi, nie musiała się tłumaczyć, gdzie i z kim idzie. Przyzwyczajała się do bezpieczeństwa na Pernie z równą łatwością, z jaką zaakceptowała myśl, że jest odpowiedzialna za swoją przyszłość na tej planecie. Sean umacniał ją w poczuciu bezpieczeństwa, niezależnie od jego wrodzonej nieufności do wszystkich, którzy nie należeli do jego plemienia. Nawet jeśli chłopiec nie zdawał sobie z tego sprawy, wspólne czuwanie na skałach połączyło ich szczególną więzią.

- Jesteś pewien, że te stworzenia będą łowić węże? - zapytał Porrhig Connell, przyglądając się śpiącemu nabytkowi syna. Stworzenie leżało bez ruchu, gdy mężczyzna rozprostował jedno z miękkich skrzydeł.

- Jeśli będą głodne - odparł Sean, wstrzymując oddech z niepokoju, że ojciec niechcący skrzywdzi małą jaszczurkę.

Porrhig prychnął.

- Zobaczymy. Przynajmniej mamy miejscowe zwierzę. Wszystko jest lepsze, niż dać się żywcem pożreć. Zeszłej nocy jeden z tych niebieskich cętkowanych gadów odgryzł spory kawałek z dziecka Sinead.

- Sorka mówi, że do ich domów węże nie mogą wejść. Plastik je powstrzymuje.

Porrhig chrząknął ze zwykłym sceptycyzmem, po czym wskazał głową na śpiące pisklaki.

- Pilnuj ich teraz. To twój problem.

W Czternastym Domu Sektora Azjatyckiego zwierzątko Sorki wzbudziło o wiele większy entuzjazm. Main wysłała Briana, by przyprowadził ojca z budynku weterynarzy. Następnie usłała gniazdko w jednym z koszyków, które wyplatała z twardej pernijskiej trzciny, i wyścieliła wysuszonym roślinnym włóknem. Ostrożnie wyjęła smoczka z ramion Sorki i umieściła na nowym legowisku. Stworzonko natychmiast zwinęło się w kłębek i z głębokim westchnieniem, które wydeło mu pierś do rozmiarów rozdętego brzuszka, zapadło w sen.

- To nie jaszczurka - stwierdziła Main, delikatnie głaszcząc ciepłą skórę. - Zupełnie jak

zamsz. Jaszczurki są suche i twarde w dotyku. I uśmiecha się. Widzisz?

Sorka posłusznie schyliła się nad koszykiem i pokiwała głową.

- Powinnaś widzieć, jak pożera kanapki.

- Czy to znaczy, że nie jadłaś drugiego śniadania? - Oburzona Mairi zakrzyknęła się, by to naprawić.

Chociaż wspólne kuchnie karmiły większość z sześciu tysięcy stałych mieszkańców Ładowiska, coraz więcej rodzin zaczynało gotować dla siebie wszystkie posiłki poza wieczornym. Dom Hanrahanów stanowił typową rodzinną rezydencję: jedna średnia sypialnia, dwie mniejsze, dwa małe pokoje, jeden większy, wspólny plus łazienka. Wszystkie meble, poza cenną skrzynią na posąg z różanego drzewa, pochodziły ze statków kolonizacyjnych lub zostały wykonane przez Reda w nielicznych wolnych chwilach. W rogu największego pokoju znajdowała się kuchnia, niewielka, ale wystarczająca. Mairi szczyciła się swymi zdolnościami kulinarnymi i cieszyła ją możliwość eksperymentowania z nowym pożywieniem.

Sorka kończyła właśnie trzecią kanapkę, gdy nadszedł Red Hanrahan w towarzystwie zoologa Pola Nietro i mikrobiologa Bay Harkenon.

- Tylko nie obudźcie maleństwa - przestrzegła ich Mairi.

Niemalże w nabożnym skupieniu trójka przybyłych pochyliła się nad śpiącą jaszczurką. Red Hanrahan ustąpił pola specjalistom, a sam uściskał i pocałował córkę, mierzwiąc jej włosy. Przepęniała go miłość i duma.

- Mądra dziewczynka! - wykrzyknął.

Usiadł przy stole, wyciągnął długie nogi, wsunął ręce do kieszeni i przyglądał się, jak dwójka jego gości cmoka z zachwytem nad przedstawicielem pernijskiej fauny.

- Zdumiewający okaz - stwierdził Pol, prostując się.

- Zupełnie jak jaszczurka - odparła Bay, posyłając Sorce uśmiech pełen podziwu. - Czy zechciałybyście opowiedzieć nam, jak udało ci się zwabić to stworzenie?

Sorka zawahała się na moment, ale na zachęcające skinienie ojca opowiedziała wszystko, co wiedziała na temat jaszczurek, od momentu gdy po raz pierwszy dostrzegła złotą istotę strzegącą jajek, do chwili gdy zachęciła spizowego smoczka, aby zjadł jej z ręki. Nie wspominała jednak nic na temat Seana Connella, chociaż widziała, jak rodzice wymieniają spojrzenia podejrzewając, z kim była.

- Czy tylko tobie się udało? - zapytał ojciec cicho, gdy dwójka biologów zajęła się robieniem zdjęć śpiącemu zwierzątku.

- Sean wziął do domu dwa brązowe. W obozie mają straszne problemy z węzami.

- W Sektorze Kanadyjskim czekają na nich domy - przypomniał jej ojciec. - Mieliby je tylko dla siebie.

Wszystkim etnicznym grupom nomadów w obrębie kolonii wydzielono kwatery na obrzeżu Ładowiska, by ich mieszkańcy nie czuli się zamknięci. Jednak po kilku nocach koczownicy opuścili domy, wyruszając na niezbadane tereny poza osiedlem. Sorka wzruszyła ramionami.

Wkrótce Pol i Bay rozpoczęli drugą rundę pytań, by do końca wyjaśnić jej opowieść.

- Dobrze, Sorka, teraz tylko chcielibyśmy pożyczyć twoją zdobycz na kilka godzin. - Bay ze szczególnym naciskiem wypowiedziała słowo "pożyczyć". - Zapewniam cię, że... eee... łuska mu z grzbietu nie spadnie. Jest cała masa rzeczy, które moglibyśmy ustalić po krótkiej obserwacji i kilku bezbolesnych badaniach.

Sorka niespokojnie spojrzała na rodziców.

- A może pozwolimy, żeby najpierw przywykł do Sorki? - zaproponował Red spokojnie, jedną ręką gładząc zaciśniętą pięść córki. - Sorka świetnie sobie radzi ze zwierzętami; ufają jej. A myślę, że teraz najważniejszą sprawą jest zdobyć zaufanie małego żarłoka, a nie sprawdzać, co ma w środku. - Sorka przypomniała sobie, że powinna wziąć oddech i nieco się odprężyć. Wiedziała, że na ojcu można polegać. - Nie chcielibyśmy przecież go wystraszyć.

Dopiero co się wyklął.

- Aż się trzęsę z niecierpliwości - wyznała Bay Harkenon uśmiechając się smętnie. - Ale wiem, że masz rację, Red. Musimy zostawić naszego przyjaciela pod opieką Sorki.

- Gdybyś zechciała robić notatki, ile twój podopieczny je, jak często, co lubi... - zaczął Pol.

- Poza chlebem i pastą do kanapek - wtrąciła Mairi ze śmiechem.

- To pozwoliłoby nam rozszerzyć wiedzę. - Pol miał czarujący uśmiech, który sprawiał, że nie wydawał się taki szary i zaniedbany. - Więc mówisz, że znęcałaś go jedzeniem?

Sorka nagle wyobraziła sobie, jak zgarbiony, cherlawy zoolog kryje się w krzakach z koszykiem łakoci, wabiąc do siebie jaszczurki.

- Sądzę, że tylko po wykluciu są takie straszliwie głodne - odparła po namyśle. - Przecież codziennie miałam ze sobą kanapki, a matka ani razu nie przysłała do mnie po jedzenie.

- Hmm. Słuszna uwaga. Świeżo wylęgnięte są żarłoczne - mruknął Paul pod nosem, przetwarzając w myśli kolejną informację.

- A dorosłe znosiły jedzenie? - zapytała Bay. - Ryby i owady? Hmm. Czyżby coś w rodzaju zabiegu wdrukowującego? I młode potrafiły latać, gdy tylko wyschły im skrzydła? Hmm. Tak. Fascynujące. Morze jest oczywiście najbliższym źródłem pożywienia. - Kobieta pobierała notatki i podziękowała Sorce oraz jej rodzicom. Wkrótce dwójka specjalistów opuściła dom Hanrahanów.

- Ja też muszę wrócić do pracy - odezwał się Red. - Dobra robota, Sorka. Od razu widać, czego może dokonać Irlandczyk z krwi i kości.

- Peterze Oliverze Plunketie Hanrahanie - skarciła go żona. - Wbij to sobie wreszcie do głowy: Perneńczyk. Perneńczyk. Perneńczyk. - Z każdym powtórzeniem podnosiła głos, udając zniecierpliwienie.

- Perneńczyk, nie Irlandczyk. Jesteśmy Perneńczykami - posłusznie zanucił Red i bez najmniejszej oznaki skruchy wybiegł z domu, tańcząc w rytm słów: "Perneńczyk, Perneńczyk".

Tego wieczoru, ku zawstydzeniu i zaskoczeniu Sorki, a także ku rozżaleniu jej zazdrosnego brata, dziewczynka została wezwana do rozpalenia wieczornego ogniska. Kiedy Pol Nietro oznajmił przyczynę tego wyróżnienia, wokół rozległy się okrzyki podziwu i grzmiące oklaski. Sorka ze zdumieniem spostrzegła, że admirał Benden i gubernator Boli, którzy bardzo dbali o to, by co wieczór uczestniczyć w małej ceremonii, klaszczą i krzyczą razem z innymi.

- Nie zrobiłam tego sama - powiedziała dziewczynka donośnym, dźwięcznym głosem, gdy burmistrz Ładowiska wręczył jej pochodnię. - Sean Connell oswoił dwie brązowe jaszczurki, ale nie ma go dzisiaj z nami. Powinniście jednak wiedzieć, że to on pierwszy znalazł gniazdo, a potem pilnowaliśmy go razem.

Wiedziała, że Seanowi nie zależało na publicznym uhonorowaniu jego zasług, ale uznała, że powinna to powiedzieć. Z tą myślą wetknęła płonąca żagiew w serce ogniska. Odskokzyła do tyłu, gdy suche gałęzie zajęły się ogniem.

- Dobra robota, Sorka - powiedział Red, opierając lekko ręce na ramionach córki. - Dobra robota.

Przez prawie tydzień Sorka i Sean pozostawali jedynymi dumnymi posiadaczami urodziwych jaszczurek, mimo że co wieczór grupy poszukiwaczy przeczesywały zarośla na wybrzeżu. Jednak jedno po drugim odkrywano coraz to nowe gniazda, po czym ustawiano przy nich strażę. Stosując metodę tak dokładnie opisaną przez Sorkę, uzyskano kilka następnych stworzonek. A nazwa, którą nadała im dziewczynka - "smoczki" - szybko się przyjęła.

Zdobycie skrzydlatego przyjaciela, jak wkrótce przekonała się Sorka, miało dwie strony. Jej mały smoczek, którego nazwała Duke na cześć rudego kocura, był niezwykle żarłoczny. Pożerał wszystko w trzygodzinnych odstępach. Pierwszej nocy obudził cały sektor, kwiląc z głodu. Pomiedzy posiłkami spał. Kiedy Sorka spostrzegła, że pęka mu skóra, ojciec przepisał

maść, którą z pomocą pediatry i biologa sporządził z tłuszczu miejscowych gatunków ryb. Pediatra był tak zadowolony z efektów jej stosowania, że poprosił farmaceutę, aby zrobił jej więcej jako krem do suchej skóry.

- Duke rośnie i skóra mu się naciąga - brzmiała diagnoza Reda.

Właściwie stosowanie rodzaju męskiego było arbitralne, gdyż nikt nie przyjrzał się stworzonku na tyle dokładnie, by móc określić jego płeć, czy chociażby stwierdzić, że w ogóle takową posiada. Złote smoczki wykazywały bardziej żeńskie cechy, gdyż widywano je przy jajach, ale jeden z biologów odrzucił tę hipotezę przypominając, że na Ziemi u niektórych gatunków to właśnie samce opiekowały się jajami. Skwapliwie zbierano martwe łuski do analizy. Zoologom nie udało się nawet przeświecić Duke'a, gdyż smoczek zdawał się wiedzieć, kiedy ktoś ma względem niego jakieś plany. Na drugi dzień po jego schwytaniu zoolodzy usiłowali umieścić go w aparacie, podczas gdy Sorka czekała niespokojnie w sąsiednim pokoju.

- Do licha!

- Co się stało?

Sorka usłyszała zaskoczone okrzyki Pola i Bay dokładnie w tym samym momencie, gdy Duke pojawił się nad jej głową, wyraźnie zaaferowany. Opadł na jej ramię, krzycząc z ulgi i gniewu, po czym oplótł się ogonem wokół jej szyi i wczepił pazurkami we włosy, sycząc z wściekłości; wielofasetkowe oczy ciskały gniewnie czerwone i pomarańczowe spojrzenia.

Drzwi za Sorka otworzyły się nagle i do pokoju wpadli Pol i Bay, z oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

- Właśnie się pojawił - oznajmiła dziewczynka dwójce naukowców.

Odzyskując panowanie nad sobą Pol i Bay wymienili spojrzenia. Szeroka twarz Pola rozjaśniła się w uśmiechu; Bay także wyglądała na zadowoloną.

- A więc jednak Amigowie nie mają monopolu na telekinezę - powiedziała Bay z triumfalnym uśmiechem. - Zawsze twierdziłam, że ich umiejętności nie mogą być jedynym przypadkiem w całej galaktyce.

- Jak on to zrobił? - spytała Sorka, jak przez mgłę przypominając sobie, że już kilka razy obserwowała nagle zniknięcia swojego przyjaciela.

- Duke musiał się wystraszyć aparatu. Jest mały, a lampa rzeczywiście wygląda groźnie - tłumaczyła Bay. - Więc się teleportował. Całe szczęście, że wrócił do ciebie; przy tobie czuje się bezpiecznie. Amigowie też zawsze znikali w wypadku zagrożenia. Bardzo pożyteczna umiejętność.

- Zastanawiam się, czy uda nam się odkryć, jak smoczki to robią - mruknął Pol.

- Trzeba będzie zastosować równania Erydańczyków - zaproponowała Bay.

Pol spojrział na Duke'a. Oczy jaszczurki wciąż były czerwone z gniewu. Stworzenie nadal kurczowo trzymało się Sorki, ale zdążyło złożyć skrzydła.

- Żeby to zrobić musielibyśmy wiedzieć coś więcej na temat tego maleństwa i całego gatunku. Sorko, może byłabyś tak dobra i go potrzywała? - zasugerował Pol.

Ale nawet mimo delikatnych zachęt Sorki, Duke nie pozwalał wsadzić się pod aparaturę. Po półgodzinie Pol i Bay z niechęcią musieli pozwolić, żeby dziewczynka zabrała odmawiające współpracy stworzenie. Sorka zaniósła wciąż zagniewanego smoczka do miejsca wylęgu, pocieszając go przez całą drogę. Był tam już Sean, wyciągnięty na ziemi w cieniu rzucanym przez krzewy. Do szyi chłopca przytulały się dwa brązowe stworki. Usłyszały nadchodzącą Sorkę i podniosły łebki; oczy świeciły im łagodnym, błękitnozielonym blaskiem. Duke zaćwierkał na powitanie, a one odpowiedziały podobnie.

- Dopiero zdążyłem zasnąć - poskarżył się rozdrażniony Sean, nie racząc nawet otworzyć oczu. - Ojciec kazał mi spać tutaj razem z małymi, żeby sprawdzić, czy będą odstraszały węże.

- I co, odstraszają? - zapytała Sorka widząc, że chłopiec ponownie zapada w sen.

- Taaa. - Sean ziewnął szeroko i od niechcienia pacnął dłonią jakiegoś owada. Jeden z brązowych smoczków natychmiast chwycił go w powietrzu i połknął.

- One zjadłyby wszystko - stwierdziła Sorka z podziwem. - Są wszystkożerne, jak mówi doktor Marceau. - Usiadła na skale obok Seana. - A kiedy się boją, potrafią przenikać z miejsca na miejsce. Doktor Nietro chciał wsadzić Duke'a w taki aparat i kazał mi wyjść z pokoju. Nie zdążyłam nawet mrugnąć, kiedy Duke siedział mi na ramieniu, jakby nigdy z niego nie złąził. Powiedzieli, że potrafi się teleportować. Stosuje telekinezę. - Była dumna, że zdołała wypowiedzieć trudne słowa bez zająknięcia.

Sean otworzył jedno oko i przekreślił głowę, by spojrzeć w górę na Sorkę.

- A co to znaczy?

- To znaczy, że potrafi w jednej chwili przenieść się z miejsca na miejsce, kiedy grozi mu niebezpieczeństwo.

Sean ziewnął ponownie.

- Tak? Oboje widzielim, jak znikają. I to nie tylko w niebezpieczeństwie. - Znowu ziewnął. - Masz szczęście, że wzięłaś tylko jednego. Z moimi jest tak, że albo je jeden, albo drugi. Od tego pilnowania jestem po prostu wykończony. - Chłopiec zaniknął oko, skrzyżował ręce na piersi i szykował się do snu.

- Mogę być dobrą wróżką i przypilnować, żeby żadne nakrapiane gadzisko nie odgryzło ci nosa.

Nie obudziła go nawet wtedy, gdy na niebie pojawiło się stadko jaszczurek, robiących pętle i beczki z taką wprawą, że Sorka z podziwu wstrzymywała oddech. Duke patrzył razem z nią, popiskując coś do siebie, ale pomimo obaw dziewczynki, że mógłby zechcieć przyłączyć się do swoich pobratymców, smoczek nie zwolnił nawet uchwytu ogona wokół jej szyi. Przed powrotem do domu Sorka zostawiła jeszcze Seanowi słoiczek maści, którą nacierała skórę Duke'a.

Sorka nie była jedyną istotą na Pernie, która tego dnia oglądała powietrzne akrobacje. Pół kontynentu dalej, na południowym zachodzie, Sallah Telgar z sercem w gardle obserwowała, jak Drake Bonneau wyprowadza maleńki ślizgacz z termicznego prądu powietrza ponad wielkim śródlądowym jeziorem, które koniecznie pragnął ochrzcić Jeziorem Drake'a. Żaden z członków niewielkiej ekspedycji górniczej nie pozbawiłby go tego przywileju, ale Drake nie przestawał zamęczać wszystkich tym tematem. Nie ustawały też jego popisy; wyglądało na to, że chce zadziwić wszystkich swoimi umiejętnościami. Zdaniem Sallah te ekscesy były głupim marnowaniem energii. Nie tędy wiodła droga do jej serca i podziwu. Drake nieustannie kręcił się wokół kwatery Sallah, ale jak dotychczas bez powodzenia.

Z szopy na sprzęt wyłonili się Ozzie Munson oraz Cobber Alhinwa. Obaj się zatrzymali, by zobaczyć, czemu dziewczyna się tak przygląda.

- O, do licha, znowu go wzięło - odezwał się Ozzie, uśmiechając się złośliwie do Sallah.

- Zaraz się rozbije - dodał Cobber, kręcąc głową. - To cholerne jezioro jest tak głębokie, że nigdy nie odnajdziemy ani jego, ani ślizgacza. A ślizgacz jest nam potrzebny.

Widząc zmierzającą ku nim Svende Olubushtu, Sallah pospiesznie odwróciła się i ruszyła w stronę głównego obiektu niewielkiego obozowiska. Nie chciała wysłuchiwać złośliwych, zazdrosnych uwag Svendy. Sallah w żaden sposób nie zachęcała Drake'a. Wprost przeciwnie, wielokrotnie głośno i publicznie ogłaszała swój brak zainteresowania.

Czyżbym zniechęcała go w niewłaściwy sposób? - pomyślała. Może gdybym biegała za nim, wsłuchiwała się w każde jego słowo i czyhała na niego, tak jak to robi Svenda, mnie też zostawiłby w spokoju.

W głównym pomieszczeniu znalazła Tarvi Andiyara, który już zaznaczał na wielkim ekranie ostatnie znaleziska, mrużąc coś pod nosem. Pajęczce palce geologa migwały po klawiszach tak szybko, że edytor tekstu wyraźnie za nim nie nadążał. Nikt nie rozumiał Taniego, gdy ten

mruczał do siebie; mężczyzna mówił wtedy w swoim ojczystym języku, tajemniczym hinduskim dialekcie. Gdy pytano go o to ekscentryczne przyzwyczajenie, zawsze odpowiadał jednym ze swych rozczulających uśmiechów.

- Zeby uszy innych usłyszały ten przepiękny, dźwięczny język, by mówiono nim tutaj na Pernie, aby istniała przynajmniej jedna osoba, która biegle się nim posługuje, nawet po tylu stuleciach - tłumaczył pytającym. - Czyż to nie cudowny język; śpiewny, melodyjny, miły dla ucha?

Tarvi, wykwalifikowany inżynier górnictwa, dodatkowo obdarzony intuicją, miał reputację człowieka, który potrafi pośród podziemnych uskoków wysledzić najbardziej nieuchwytnie złoża żyłowe. Przyłączył się do wyprawy pernijskiej, gdyż, jak sam się wyraził, "ludzie do reszty wydarli z wnętrzości naszej Matki Ziemi jej cenną krew i łzy", jak określał surowce mineralne. Działał też na Pierwszej Centauri, ale obce metale wymykały się jego percepcji, więc zdecydował się na podróż na drugi kraniec galaktyki, gdzie mógłby nawet w swoich, jak to określał, "schyłkowych latach", parać się ukochanym zajęciem.

Ponieważ Tarvi Andiyar ledwie przekroczył pięćdziesiątkę, podobne słowa wywoływały uprzejme zaprzeczenia ze strony przyjaciół, drwiące gwizdy zaś były odpowiedzią tych, którzy znali jego sztuczki. Sallah lubiła go za błyskotliwe, cięte uwagi, którymi zazwyczaj piętnował własne niedociągnięcia, nawet nie myśląc o tym, by stosować je wobec innych.

Odkąd Sallah spotkała go po raz pierwszy tuż po hibernacji, Tarvi nie przytył nawet o kilogram i zachował długą, niemalże wymizerowaną sylwetkę.

- W mojej rodzinie zawsze było wielu różnych guru i mahatmów, a wszyscy oni wciąż pościli dla oczyszczenia dusz i żołądków. W końcu wzorzec genetyczny Andiyarów ustalił się na dobre: chudzi jak szczapy. Ale jestem silny. Niepotrzebne mi masy potężnych mięśni. Jestem równie silny jak najgrubszy zapaśnik sumo. - Wszyscy, którzy widzieli, jak Tarvi pracuje przez cały dzień, dotrzymując kroku Ozziem i Cobberowi, wiedzieli, że nie jest to czcza przechwałka.

Sallah odkryła, że czuje do żyłastego inżyniera większą sympatię niż do jakiegokolwiek mężczyzny w kolonii. Ale jeśli nie da odczuć Drake'owi Bonneau, jak mało ją obchodzi, nie będzie miała szansy zbliżyć się do Tarwiego.

- Jakie mamy wyniki, Tarvi? - zapytała, skinąwszy głową Valli Lieb, która właśnie relaksowała się ze szklaneczką quikalu w dłoni.

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką robili osiedleńcy z Ziemi na wszystkich nowych światach, były natychmiastowe i intensywne poszukiwania fermentujących roślin, z których w możliwie najkrótszym czasie udałoby się sporządzić napoje alkoholowe. Każde laboratorium w Lądowisku, niezależnie od podstawowego zakresu badań, eksperymentowało z destylowaniem i fermentowaniem lokalnych owoców. Quikal stał się najwcześniej zgromadzonym elementem wyposażenia w obozie ekspedycji górniczej i nikt nie protestował, gdy Cobber i Ozzde spędzili pierwszy dzień pędząc bimber z przefermentowanego soku, który przywieźli ze sobą. Svenda zrugala ich ostro, ale Tarvi i Sallah bez sprzeciwu wzięli na siebie całą pracę badawczą. Pierwszy wieczór w obozie z quikalem był czymś więcej, niż uczynieniem zadość tradycji: był osiągnięciem.

Gdy Svenda wchodziła do pokoju, Sallah właśnie nalewała sobie szklanek quikalu. Valli posunęła się na ławie, by zrobić jej miejsce. Kobieta była świeżo po kąpieli i wyglądała daleko lepiej niż po południu, kiedy to wynurzyła się z zarośli, cała umazana błotem, za to z kilkoma interesującymi próbkami do analizy.

W tym samym momencie usłyszeli lądujący ślizgacz. Svenda wyciągnęła szyję, by popatrzeć, jak Drake nadchodzi od strony toru wodowania; prawie się nie poruszyła, gdy Ozzie i Cobber przeciskali się obok niej, wchodząc do pokoju.

- I jak tam próbki, Valli? - zapytała Sallah.

- Obiecujące, obiecujące - odparła geolog, z twarzą pojaśniałą z dumy. - Boksyt ma tyle

zastosowań! Już ta jedna ruda dowodzi, że wyprawa się opłacała.

- Ale sama przyznasz, że twoje znalezisko - Cobber skłonił się formalnie Valli - łatwiej nam będzie wykorzystać na odkrywce.

- Ha! Trzeba będzie kopać w obu miejscach - stwierdził Ozzie. - Wysokoprocentowe rudy zawsze są potrzebne.

- Poza tym - wtrącił Tarvi, przysiadając się do stołu i odmawiając drinka, którego jak zawsze zaproponowała mu Svenda - niedaleko mamy miedź i cynę, więc spokojnie można założyć nad tym pięknym jeziorem dobrze prosperujące górnicze miasteczko. Przy wodospadach da się wybudować elektrownie wodne. Gotowe produkty można będzie transportować rzeką na wybrzeże, a stamtąd do Ładowiska.

- A więc zostajemy? - Svenda rozejrzała się dookoła z miną posiadaczki, co Sallah odebrała jako trochę przedwczesne. Członkowie założyciele mieli pierwszeństwo wyboru przed kontraktowymi specjalistami.

- Z całą pewnością bym to zalecał - odparł Tarvi z miną dobrego wujaszka, co zawsze drażniło Sallah. Tarvi nie był stary. Był bardzo atrakcyjny, ale skoro traktował wszystkich niczym własnych siostrzeńców, jak mogła sprawić, by naprawdę na nią spojrzął? - Tym bardziej - ciągnął geolog - że w tym błocie, które dzisiaj znalazłaś, Valli, jest olej mineralny. - Kiedy okrzyki przycichły, Tarvi pokręcił głową. - Metale, tak. Ropa naftowa, nie. Wszyscy to wiemy. Jeżeli mamy stworzyć efektywną kolonię, musimy nauczyć się działać na niskim poziomie technologicznym. Trzeba będzie przypomnieć sobie dawne umiejętności i przyswoić sobie nowe.

- Nie wszyscy zgadzają się z dowódcami w tej kwestii - odezwała się niezadowolona Svenda.

- Ale wszyscy podpisaliśmy statut i zobowiązaliśmy się go przestrzegać - powiedziała Valli, rozglądając się szybko, czy ktoś jeszcze zgadza się ze Svenda.

- Głupcy - brzmiał drwiący komentarz jasnowłosej dziewczyny. Svenda naląła sobie więcej quikalu do szklanki i wyszła z pokoju.

Tarvi popatrzył za nią. Na jego wyrazistej twarzy malował się niepokój.

- Svenda zawsze była narwana - powiedziała do niego cicho Sallah.

Tarvi uniósł brwi i przez moment mierzył ją wzrokiem z nieprzeniknioną twarzą. Po chwili na jego wargach zagościł zwykły uśmiech. Geolog poklepał kobietę po ramieniu. Niestety, zrobił to tak, jak ktoś mógłby potraktować posłuszne dziecko.

- Ach, oto i Drake z zapasami oraz wiadomościami od naszych przyjaciół.

- Hej, gdzie są wszyscy? - zapytał obładowany pakunkami Drake, wchodząc do środka. - W ślizgaczu mam tego jeszcze sporo.

Sallah opuściła głowę, by ukryć twarz.

- Świętujemy, Drake - powiedziała Valli, podając mu szklankę quikalu. - Dwa nowe złoża, oba bogate i łatwo dostępne. Rozpoczynamy działalność.

- Ach, Rafinerie i Kopalnie nad Jeziorem Drake'a rozpoczynają działalność?

Wszyscy się roześmieli, ale kiedy Drake wzniosł szklankę w toaście, nikt nie zaprotestował przeciw nowej nazwie.

- Mam też dla was wiadomości - dodał po dobrym łyku. - Za trzy dni wszyscy wracamy do Ładowiska.

Ta wiadomość wywołała wielką konsternację. Uśmiechając się pod nosem, Drake uniesieniem wolnej ręki nakazał milczenie.

- Na Święto Dziękczynienia.

- Za to tutaj? Skąd wiedzieli? - spytała Valli.

- Dziękczynienie powinno być na jesieni, po zbiorach - zaprotestowała Sallah.

- Dlaczego? - brzmiało proste pytanie Tarwiego.

- Za pomyślne rozpoczęcie nowego życia. Ostatni ładunek ze statków został sprowadzony na dół. Oficjalnie wylądowaliśmy.

- A po co robić wokół tego jakieś ceregiele? - spytała Sallah.

- Nie każdy jest takim pracoholikiem jak ty, moja droga - odparł Drake, pieszczotliwie szczypiąc ją w podbródek. Widząc, że zamierza ją pocałować, Sallah odwróciła głowę, wynagradzając odmowę uśmiechem. Drake wyduł wargi. - Nasi szanowni dowódcy tak postanowili, a poza tym będzie to okazja, byśmy poznali wiele wspaniałych nowin. Wszystkie zespoły badawcze zostały wezwane do powrotu, więc na pewno będziemy mieli co świętować.

- Ale przecież przybyliśmy tu zaledwie tydzień temu! - powiedziała Sallah niemal z urazą. Chcąc uciec od kilku nieprzyjemnych, ale niemożliwych do udowodnienia wniosków, Sallah zgodziła się służyć za pilota grupie geologów i górników, którzy wybierali się w okolice wielkiego śródlądowego jeziora, gdzie grupa ZBO stwierdziła obecność pokładów różnych surowców. Miała nadzieję, że odległość pomoże jej znaleźć obiektywne wytłumaczenie wydarzeń, których była świadkiem.

Tydzień wcześniej, wracając pewnego wieczoru na Mariposę, by wziąć kasetę, którą zostawiła na pokładzie podczas jednego z pierwszych lotów z admirałem Bendenem, dostrzegła, jak Kenjo wyłania się z małego luku przy ogonie, niosąc naręczę jakichś pakunków. Zaciekawiona podążyła za nim, gdy zagłębiał się w mroku. Nagle jakby zniknął. Sallah ukryła się za krzewem i czekała, aż pojawił się znowu z pustymi rękami. Poszła po jego śladach, usiłując znaleźć miejsce ukrycia ładunku.

Po krótkim przedzieraniu się przez chaszczę, w trakcie którego zarobiła trochę siniaków na goleniach i zadrapań na rękach, natknęła się na jaskinię - i aż zamarła na widok olbrzymich ilości zgromadzonego paliwa. Były go całe tony, sądząc po liczbie łatwych do przenoszenia plassaków. Skalna szczelina tkwiła dobrze ukryta przy samym końcu pasa startowego za kupą gęstych kolczastych krzewów, które farmerzy wyrwali z pól przeznaczonych pod uprawę.

Dwie noce później podsłuchiwała niepokojącą rozmowę między Avril a Stevem Kimmerem, ekspertem od górnictwa, którego Sallah widziała w towarzystwie brunetki tego dnia, gdy ogłoszono wybór miejsca do lądowania.

- Patrz, ta wyspa jest wprost zapchana klejnotami - mówiła Avril. Sallah, kryjąc się w cieniu trójkątnego skrzydła wahadłowca, usłyszała szelest rozwijanej plasfolii. - To kopia oryginalnego raportu. Nie muszę być specjalistą od górnictwa, żeby się domyślić, co oznaczają te symbole. - Plasfolia szeleściła, gdy Avril wskazywała poszczególne punkty. - Mamy fortunę w zasięgu ręki! - W jej kuszącym głosie zadźwięczała nuta triumfu. - I zamierzam z tego skorzystać.

- Oczywiście, miedź, złoto i platyna są przydatne na każdym cywilizowanym świecie - zaczął Steve.

- Nie mówię o przemyśle, Kimmer - powiedziała Avril ostro. - I nie chodzi mi o te małe kamyczki. Rubin był tylko drobną próbką. Masz, przeczytaj notatki Shawy.

Kimmer prychnął, nie przekonany.

- Wyolbrzymała wszystko, by podkreślić swoje zasługi.

- Owszem, mam nawet czterdziestopięciokaratowy dowód tych wyolbrzymień. Widziałeś go na własne oczy. Jeżeli nie chcesz w to wejść, znajdę kogoś innego, kto odważy się podjąć wyzwanie.

Avril najwyraźniej wie, jak się zakłada przynętę, pomyślała Sallah ponuro.

- Tej wyspy nie ma w planach eksploracji przez najbliższych kilka lat - przypomniał Stev.

Avril roześmiała się cicho.

- Potrafię pilotować nie tylko statki, Stev. Zarezerwowałam dla siebie jeden ze ślizgaczy, a poza tym tak jak wszyscy na tej kuli błota mogę sama sobie wyszukać tych kilka nędznych akrów, które przysługują mi jako kontraktowemu. Ty jesteś wśród założycieli, więc jeśli połączymy nasze prawa, możemy zawładnąć całą wyspą.

Sallah usłyszała, jak Kimmer bierze głęboki oddech.

- Sądziłem, że rybacy chcieli mieć wyspę na port.
- Potrzebna im tylko przystań, nie wyspa. To rybacy, delfiniarze. Łąd im nie jest potrzebny. Stev wymruczał coś, niespokojnie przestępując z nogi na nogę.
- A kto się o tym dowie? - zapytała Avril jedwabistym głosem. - Możemy pracować w weekendy, zacząć od najlepszych miejsc, ukryć urobek w jakiejś jaskini. Jest ich tu tak dużo, że mogliby szukać latami i nigdy nie znaleźć właściwej. Poza tym nie będziemy oficjalnie zgłaszać naszej działalności, żeby nie przyciągać uwagi, chyba że zostaniemy do tego zmuszeni.
- Ale mówiłaś, że jest jeszcze coś w Wielkim Łańcuchu Zachodnim.
- Owszem - zgodziła się Avril z cichym śmiechem. - Wiem, gdzie to jest. Rzut kamieniem od wyspy.
- Wszystko obmyśliłaś, prawda? - W głosie Kimmera zadźwięczało coś na granicy sarkazmu.
- Oczywiście - przyznała Avril beztrąsko. - Nie mam zamiaru tkwić do śmierci w tej dziurze na końcu wszechświata, skoro odkryłam środki do życia na poziomie, jaki mi odpowiada. - Ponownie rozległ się śmiech, a potem zapanowała długa cisza, przerywana jedynie cmokaniem wilgotnych warg. - Ale póki jesteśmy tu oboje, Kimmer, postarajmy się to wykorzystać jak najlepiej. Teraz, pod gwiazdami.
Sallah wyśliznęła się cicho, skrępowana i zdeglustowana bezwstydną seksualnością Avril. Nic dziwnego, że Paul Benden nie chciał trzymać tej kobiety w swoim łóżku. Owszem, admirał był zmysłowym mężczyzną, ale mało prawdopodobne, by fascynacja wulgarnym erotyzmem Avril trwała długo. Ju Adjai, elegancka i subtelna, stanowiła dużo lepszy wybór, nawet jeśli oboje nie afiszowali się ze swoim związkiem.
Głos Avril ociekał niezaspokojoną chciwością. Czy Stev Kimmer nie słyszał tego co Sallah? Czyżby uwodzicielska uroda Avril pozbawiła go rozumu? Sallah dobrze wiedziała, że na Pernie są szlachetne kamienie. Rubin Shawy stanowił część legendy Pernu, podobnie jak samorodek Liu. Jednak odległość planety od Federacji Planet Rozumnych tłumiała w zarodku wszelkie zakusy na bogactwa Pernu. Jeżeli komuś istotnie udało się wrócić na Ziemię z ładowniami pełnymi klejnotów, mógłby żyć jako sybaryta do końca swoich dni.
Plan Avril nie uszczupliłby zbyt wiele zasobów Pernu. Sallah martwiła się bardziej o to, w jaki sposób Avril zamierza zdobyć paliwo na taką podróż. Wiedziała, że trochę paliwa zostało na admirałskim gigu, Mariposie. Informacja ta nie była rozpowszechniana, ale Avril, jako pilot, z pewnością miała do niej dostęp. Kontrolując komputery na Yokohamie, Sallah dowiedziała się, że kobieta mogłaby dolecieć do nie zamieszkanego systemu. Ale co potem?
Sallah bardzo podobała się wyprawa z Ozziem, Cobberem i resztą, gdyż po całodniowej pracy była zbyt zmęczona, żeby roztrząsać swój problem. Jeżeli jednak mieli wracać do Łądowiska, pytania znów zaczną ją dręczyć. Chociaż nie miała żadnych oporów przed zadenuncjowaniem Avril, zdała sobie sprawę, że musiałaby jednocześnie napomknąć o działalności Kenjo. Bardzo chciałyby wiedzieć, dlaczego Kenjo gromadzi paliwo. Czy to nie on miał jakieś szalone plany eksploracji dwóch księżyców? Albo może tej dziwacznej planety, która powinna przeciąć orbitę Pernu za mniej więcej osiem lat?
Sallah nie potrafiła sobie wyobrazić, że Kenjo mógłby mieć konszachty z kimś takim jak Avril Bitra. Czuła, że ich wzajemna niechęć nie była udawana. Podejrzewała, że dla Kenjo latanie stanowiło jednocześnie religię i nieuleczalną chorobę. Miał jednak przecież do oblatywania całej Pern, a zasilacze do ślizgaczy, rozważnie wykorzystywane, starczą na kilkadziesiąt lat takich lotów.
Najbardziej martwiło Sallah prawdopodobieństwo, chociaż znikome, wykrycia skrytki Kenjo przez Avril. Zastanawiała się, czyby nie dopuścić do tajemnicy któregoś z pozostałych pilotów, ale Barr Hamil nie poradziłaby sobie z takim problemem, Drake nie potraktowałby go poważnie, a Jiro, drugi pilot Kenjo, nie zdradziłby swojego zwierzchnika. Innych nie znała na tyle dobrze, by móc przewidzieć ich reakcje. Trzeba iść na samą górę. Tak będzie

najbezpieczniej. Nie wątpiła, że Ongola ją wysłucha. A on już będzie wiedział, czy niepokoić Paula i Emily podejrzeniami.

Do licha! Sallah zacisnęła pięści. Na Pernie miało nie być intryg i drobnych machinacji. Wspólny cel, bezpieczna i dostatnia przyszłość. Dlaczego ktoś taki jak Avril musi brukać cudowny wizerunek swoim egocentryzmem?

Ozzie dotknął jej ramienia, przerywając ponure rozważania.

- Zatańczysz ze mną, Sallah? - zapytał odrobinę nosowym głosem. Oczywiście błyszczały mu łobuzersko.

Sallah uśmiechnęła się i przyjęła zaproszenie. Gdy tylko wróci do Ładowiska, odnajdzie Ongolę i wszystko mu opowie. W ten sposób będzie miała spokojne sumienie.

- A potem - dodał Ozzie - zmieni mnie Tarvi, żebym mógł ulżyć obolałym stopom.

Tarvi spojrział na nią, z lekkim oporem wyrażając zgodę. Sallah zdawała sobie sprawę, że nie miał wyboru, a poza tym przy tylu świadkach trudno by mu było obmyślić wymówkę. Mimo to poczuła wdzięczność dla Ozziego.

Zanim grupa geologów znalazła się w Ładowisku, ognisko już płonęło, a towarzystwo zaczynało się zbierać. Ze swego podniebego punktu obserwacyjnego Sallah, sprowadzając ślizgacz na pas startowy, z trudnością rozpoznała prowizoryczne osiedle. Prawie każde okno było jasne, świeciły wszystkie latarnie. Po jednej stronie Placu Ogniskowego wzniesiono podium i zawieszono nad nim kolorowe reflektory. Drake powiedział, że wszystkich, którzy grali na jakichś instrumentach, wezwano, by wzięli udział w uroczystości. Podium było upstrzone białymi plastikowymi skrzynkami, które miały służyć jako siedzenia dla muzykantów.

Z domów wyniesiono stoły oraz krzesła i ustawiono je na świeżo skoszonej łące za placem. Przygotowano mniejsze ogniska, na których piekły się wielkie wherry; poza miejscową zwierzyną na małych roznach przygotowywano ostatnie przywiezione z Ziemi kawałki mrożonego mięsa. Aromat pieczeni i smażonych ryb sprawiał, że obecnym ciekła ślinka. Koloniści wystroili się w najlepsze ubrania. Wszyscy krzatali się dookoła, pomagając, dekorując, przenosząc i przygotowując ostatnie smakołyki przywiezione ze starych światów i zachowane na wspaniałą ucztę w nowym domu.

Sallah zaparkowała ślizgacz w poprzek ładowiska. Jeśli przyleci ich więcej i zablokują pas startowy, to Mariposa, stojąca po drugiej stronie pola, nie zdoła się wznieść. Ale jak długo jeszcze w Ładowisku będzie tyle ślizgaczy?

- Hej, Sallah, pospiesz się! - zawołał Ozzie, razem z Cobberem wyskakując ze ślizgacza.

- Muszę się zameldować na wieży - odparła, kiwając na nich, by szli bez niej.

- Och, daj sobie spokój - powiedział Cobber, ale Sallah tylko machnęła ręką.

Gdy dotarła do wieży meteorologicznej, Ongola właśnie z niej wychodził. Komandor zrezygnowany skinął głową i ponownie otworzył drzwi. W tym samym momencie zauważył ustawienie jej ślizgacza.

- Czy to mądrze tak go zostawiać, Sallah?

- Owszem. Środki ostrożności, komandorze - powiedziała tonem, który miał dać do zrozumienia, że przyszła tu z poważną sprawą.

Ongola jeszcze nie zdążył usiąść, gdy wyjawiała mu połowę swych podejrzeń. Osunął się na krzesło z takim znużeniem, że Sallah natychmiast zaczęła robić sobie wyrzuty, że w ogóle się odzywała.

- Ostrzeżony, uzbrojony, komandorze - powiedziała na zakończenie.

- Istotnie, pilocie. - Westchnął głęboko, pogłębiając wątpliwości Sallah. Gestem wskazał, żeby usiadła. - Ile paliwa?

Kiedy niechętnie podała mu dokładną liczbę, podniósł na nią zaskoczony, pełen troski wzrok.

- Czy to możliwe, żeby Avril wiedziała o składzie Kenjo? - Ongola zerwał się tak szybko, że

zdała sobie sprawę, iż komandor uznał jej podejrzenia względem ciemnowłosej pani astrogator za o wiele bardziej niepokojące niż kradzieże Kenjo. - Nie, nie - odpowiedział sam sobie, machnąwszy ręką. - Tych dwoje szczerze się nie cierpi. Powiadomię admirała i Emily.

- Może nie dzisiaj, komandorze - powiedziała Sallah, bezwiednie unosząc dłoń w proteście. -

Przyszedłam do pana teraz, bo wcześniej nie miałam okazji...

- Ostrzeżony, uzbrojony, Sallah. Czy komuś jeszcze zwierzałaś się ze swoich podejrzeń?

Energicznie pokręciła głową.

- Nie. Nie chciałam nikomu mówić, że prawdopodobnie do rajy zakradł się wąż.

- To prawda! Eden ponownie został skażony przez ludzką chciwość.

- Przez chciwość tylko jednego człowieka. - Sallah poczuła się w obowiązku mu przypomnieć.

Ongola znacząco wznosił dwa palce.

- Dwojga ludzi, bo jest jeszcze Kimmer. Z kim jeszcze rozmawiała wtedy na pokładzie?

- Z Kimmerem, Bartem Lemosem, Nabhi Nabolem i dwoma mężczyznami, których nigdy nie spotkałam.

Ongola nie wyglądał na zaskoczonego. Wziął głęboki oddech i westchnął, po czym położył dłonie na udach i wstał z krzesła, prostując się na całą wysokość.

- Jestem bardzo wdzięczny. Nie wątpię, że admirał i Emily również będą.

- Wdzięczni? - Sallah wstała, nie czując ani odrobiny ulgi, którą spodziewała się odczuć, gdy już powie o wszystkim zwierzchnikowi.

- Szczerze mówiąc, spodziewaliśmy się, że mogą zacząć się problemy, kiedy tylko ludzie zdadzą sobie sprawę, że są tutaj - Ongola pokazał palcem w dół - i nie mogą nigdzie uciec. Euforia po przylocie już minęła. Dzisiejsza uroczystość ma zdusić odruch buntu, gdy powoli zacznie przychodzić zrozumienie. Najedzeni, podchmieleni ludzie, którzy porządnie zmęczeni się w tańcu, nie organizują zamachów stanu.

Ongola otworzył drzwi, uprzejmie przepuszczając Sallah przodem. Na Pernie nikt nie zamykał drzwi na klucz, nawet drzwi prowadzących do biura władz administracyjnych. Przedtem Sallah była z tego dumna; teraz przejęło ją to niepokojem.

- Nie jesteśmy aż tak głupi, Sallah - powiedział komandor, jak gdyby odczytując jej myśli. Poklepał się po czole. - Nadal mam tu najlepszą bazę danych, jaką kiedykolwiek wymyślono. Sallah westchnęła z ulgą i zdołała się wreszcie uśmiechnąć.

- Dobrze wiesz, że wciąż jest mnóstwo rzeczy, za które możemy być wdzięczni Pernowi - przypomniał jej.

- O tak, wiem! - przytaknęła, myśląc o swoim tańcu z Tarvim.

Zanim się umyła, przebrała i doszła do Placu Ogniskowego, zabawa toczyła się na całego, a naprędce utworzona orkiestra przygrywała polkę. Zatrzymując się w ciemnościach z dala od światła i dźwięku, Sallah ze zdumieniem spostrzegła, jak wielu muzyków zabija czas przytupywaniem, czekając na swą kolej.

Nowi grajkowie zajmowali miejsce starych, melodie zmieniały się jedna po drugiej. Ku wielkiemu zdumieniu Sallah nawet Tarvi Andiyar wydobyl fletnię Pana i zagrał nastrojową piosenkę, dziwnie brzmiącą po wszystkich tych skocznych kawałkach.

Muzykanci przeszli od tańców do solówek, zachęcając publiczność, by śpiewała stare standardy. Emily Boll wyciągnęła syntetyzator, a Ezra Keroon odegrał na skrzypcach wiązanekę szant z taką werwą, że wszyscy przytupywali do taktu, a kilka par wcale udatnie zaczęło imitować tradycyjne żeglarskie tańce.

Sallah zatańczyła z Tarvim nie raz, ale dwa razy. W połowie drugiego, kiedy kołysali się w rytm staroświeckiego utworu na trzy czwarte, nagle załomotały im serca; wydawało się, że Pern zapragnął przyłączyć się do zabawy. Naczynia na składanych stołach zadźwięczały, tancerze stracili równowagę, a siedzący poczuli, jak krzesła pod nimi się chwieją.

Wstrząs trwał krócej niż dwa uderzenia serca, po czym zapanowała kompletna cisza.

- A więc Pern ma ochotę na tańce? - rozległ się rozbawiony głos Paula Bendena. Admirał wskoczył na podest dla muzykantów, rozpościerając ramiona, jak gdyby uznał wstrząs za swojego rodzaju powitanie. Komentarz wywołał szepty i pomruki, ale złagodził napięcie. Paul dał znak muzykom, by wznowili grę, rozglądając się jednocześnie wśród widowni, by znaleźć konkretne twarze.

Obok Sallah Tarvi prawie niedostrzegalnie skinął głową i odjął ręce od ciała partnerki.

- Chodź, musimy sprawdzić rytm tego tańca.

Sallah spróbowała ukryć ogrom swojego rozczarowania. Jednak wstrząs miał pierwszeństwo. Dziewczyna nigdy wcześniej nie była świadkiem trzęsienia ziemi, ale to nie zmieniało faktu, że natychmiast zrozumiała, co zaszło. Odchodząc wraz z Tarvim spośród tańczących, ostrożnie stawiała stopy, jak gdyby nie chcąc znowu dać się zaskoczyć.

Jim Tillek zgromadził oceanologów, żeby sprawdzić, czy łodzie są bezpiecznie zakotwiczone za świeżo umocnionym falochronem. Miał nadzieję, że ewentualne tsunami wyhamuje na okolicznych wysepkach. Delfiniarze, z wyjątkiem Gusa, którego namówiono, aby został i grał dalej na akordeonie, ruszyli do portu porozmawiać z morskimi ssakami. Delfiny mogły uprzedzić o nadejściu tsunami i ocenić jej siłę.

Patrice de Broglie ze swoją grupą poszedł określić epicentrum, ale jako fachowiec był zdania, że tak łagodny wstrząs musiał pochodzić z bardzo daleka.

Sallah ostatecznie udało się wrócić do tańca z Tarvim, ale tylko dlatego, że powiedziano mu, iż nieobecność tylu specjalistów może wzbudzić podejrzenia.

Nad ranem zlokalizowano epicentrum na północnym wschodzie, daleko na oceanie, gdzie raport ZBO wskazywał na działalność wulkaniczną. A ponieważ na lądzie nie wystąpiły już żadne wstrząsy, geolodzy mogli rozproszyć nastrój niepewności, który zakłócił Święto Dziękczynienia.

Kiedy Tarvi postanowił wybrać się razem z Patricem, by zbadać epicentrum, Sallah zaofiarowała się, że popilotuje duży ślizgacz. Nie przeszkadzało jej nawet, gdy ślizgacz wypełnił się ciekawymi geologami i rozlicznym sprzętem. Dopilnowała, by Tarvi zajął fotel po jej prawej stronie.

Rozdział VI

Po Świecie Dziękczynienia koloniści wrócili do swoich zajęć. Delfiny już dawno wysledziły tsunami; zgodnie z przewidywaniami Taniego przecięła ona Morze Północne, wytracając gwałtowność na wschodniej ekstruzji i zachodnim krańcu północnego kontynentu oraz wielkiej wyspie. Port Jima Tilleka był bezpieczny, chociaż grzywacze wyrzuciły pęk jaskrawoczerwonych wodorostów daleko na plażę. Głębinowe rośliny nie przypominały niczego, co odkryto do tej pory; próbki natychmiast zostały posłane do analizy. Jadalne glony byłyby bardzo pożądane.

Trzęsienie ziemi niezwykle podekscytowało delfiny, które wyczuły jego nieuchronność z zachowania większych morskich zwierząt, szukających schronienia. Ssaki radowały się z takiego poziomu świadomości u swoich sąsiadów w nowych oceanach. Teresa serią oburzonych syków i cmoknięć powiadomiła Eframa, że delfiny bez ustanku uderzały w dzwon morski zainstalowany u krańca pirsu, ale nikt nie przyszedł. Strażnicy wybrzeża mieli mnóstwo roboty z uspokajaniem i ugłaskiwaniem błękitnych oraz butlonosów.

- Jaki sens - dopytywała się Teresa, największa spośród błękitnych - miało poddawanie się infekcji mentasynem, skoro wy ludzie nie przychodzicie wysłuchać tego, co mamy wam do powiedzenia?

W tym czasie na północy, u stóp wielkiego łańcucha gór, znaleziono bogate złoża miedzi, cyny i wanadu. Całe szczęście, że w pobliżu płynęła żeglowna rzeka, więc surowce można

było transportować w stronę wielkiego estuarium. Tarvi, teraz nadzorujący zespół górniczy, zbadał złożę wspólnie z przywódcą grupy i zasugerował radzie założenie w tamtej okolicy drugiej osady. Surowce mogłyby być w ten sposób obrabiane na miejscu i spławiane w dół rzeki, co zaoszczędziłoby mnóstwo czasu, wysiłku i kłopotów. Komitet do spraw wykorzystania energii zgodził się, że pobliskie katarakty wystarczą do zbudowania hydroelektrowni. Rada postanowiła zastanowić się nad tą kwestią podczas najbliższego comiesięcznego spotkania. Grupy geologów miały tymczasem kontynuować badania na obu kontynentach.

Na lądzie i morzu wciąż dokonywano nowych odkryć. Pszenica i jęczmień rosły aż miło; większość roślin bulwiastych radziła sobie nieźle, a chociaż kilka gatunków miało niejaki kłopoty, zaradzono temu odpowiednio nawożąc glebę. Niestety, korzenie ogórków oraz wszystkie dynie z wyjątkiem dwóch odmian okazały się podatne na pernijskie nicienie i istniało niebezpieczeństwo, że o ile agronomowie nie zdołają zapobiec temu za pomocą jakichś krzyżowych pasożytów, cała rodzina Cucurbitaceae zostanie skazana na zagładę. Technolodzy już zajmowali się tym problemem.

Drzewa w sadach, z wyjątkiem kilku egzemplarzy z różnych gatunków, już kwitły i pokrywały się liśćmi. Kilka pernijskich drzewek owocowych, przesadzonych w okolice swoich ziemskich odpowiedników, rozwijało się nad podziw dobrze i technolodzy mieli nadzieję, że nastąpi symbioza. Dwa pernijskie gatunki wykazywały objawy zakażenia wirusem przywiezionym z Ziemi, jednak było zbyt wcześnie, żeby określić, czy skutki tego będą korzystne, czy wprost przeciwnie. Wciąż nie znaleziono terenów odpowiednich pod uprawę ryżu, ale kartograf kolonii, w pośpiechu przetwarzając zdjęcia z sond na mapy topograficzne, uważał, że należy wziąć pod uwagę moczary na południu.

Joel Lilienkamp, nadzorujący składy, nie zgłosił żadnych problemów i dziękował wszystkim, zwłaszcza dzieciom, za zaangażowanie w wynajdywaniu jadalnych roślin. Oceanolodzy również otrzymali specjalne podziękowania za swoją pracę. Niektóre z miejscowych rybopodobnych gatunków okazały się niezwykle smaczne, pomimo swego wyglądu. Joel ponownie ostrzegł przed płetwami stworzeń, które nazwano "ropnicami", gdyż wszelkie zadrapania i skaleczenia nimi bardzo trudno się goiły. Przypomniał też, że w składach znajdują się rękawice ochronne z mocnego, cienkiego tworzywa.

Zoolodzy formowali raporty o pomyślnym przebiegu rozwoju zarodkowego. Pol Nietro i Chuck Havers donosili, że spośród dużych zwierząt przynajmniej część radziła sobie dobrze, chociaż wszystkie przywiezione jaja indyków obumarły. Trzy suki miały się już wkrótce oszczenić, a cztery kotki urodziły w sumie siedemnaście kociąt, mimo że jedna wydała tylko jedno małe. Sześć innych suk i dwie kotki na dniach powinny przechodzić ruję, wobec czego można je było zapłodnić lub poddać zabiegowi wszczepienia płodu. Z żalem postanowiono wykluczyć techniki Erydańczyków, zwłaszcza traktowanie psów mentasyntem, gdyż już na Ziemi obserwowano problemy z tego typu adaptacją. Część zwierząt, a także sporo ludzi, których przodkowie zostali w ten sposób "udoskonaleni", nadal wykazywało objawy ponadnormalnej empatii, do czego psy najwyraźniej nie potrafiły się przystosować.

Gęsi, kaczki i kury nie sprawiały żadnych kłopotów, regularnie znosząc jaja. Drób trzymano na specjalnych wybiegach, gdyż ptaki były zbyt cenne, by zezwolić im na swobodne poruszanie się po terenie. Zarówno dorośli, jak i dzieci często przychodzili, by na nie popatrzeć. Minęło prawie sześć tygodni, nim wszystkożerne wherry, jak grupa ZBO ochrzcila przysadziste stwory, odkryły nowe źródło pokarmu i nim głód przewyciężył ich ostrożną - czy też tchórzliwą, jak mówili niektórzy - naturę. Gdy jednak w końcu zaatakowały, uczyniły to z niezwykle gwałtownością.

Całe szczęście w Ładowisku było już trzydzieści małych smoczków. Chociaż dużo mniejsze od przeciwników, walczyły w powietrzu o wiele sprawniej. W dodatku wydawało się, że potrafią się ze sobą porozumiewać, bo gdy któryś z wherrów zostawał odparty, jeden ze

smoczków, zwykle duży spiżowy, leciał za nim na dość dużą odległość, podczas gdy pozostałe rozprawiały się z kolejnym.

Stojąc w grupie gapiów, Sorka spostrzegła coś bardzo dziwnego w zachowaniu smoczków: z pyska jej Duke'a, atakującego szczególnie agresywnego wherry, wydobyło się coś, co do złudzenia przypominało ogień: I rzeczywiście, między walczącymi unosił się dym, a wherry porzucił atak i umknął. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że dziewczynka nie była pewna, czy jej się nie przywidziało, więc nikomu nie opowiedziała o swoim odkryciu.

Wherrom zawsze towarzyszył dziwny zapach, przypominający siarkowy odór rozlewiska rzeki i błotnistych równin. Jeżeli stwory znajdowały się gdzieś pod wiatr, ich obecność była oczywista. Smoczki pachniały świeżością, morzem i solą, a także, jak stwierdziła Sorka, gdy Duke leżał zwinięty w kłębek na jej poduszce, trochę jak cynamon i gałka muszkatołowa, przyprawy, które wkrótce miały przejść do przeszłości, o ile ludzie w szklarniach nie odniosą bardziej znaczącego sukcesu.

Koloniści nie wątpili, że to smoczki uchroniły drób przed zagładą.

- Na wszystko co święte! Jaka wojowniczość! - stwierdził admirał Benden z szacunkiem. Razem z Emily Boll dostrzegł atak z wysokości wieży i pospieszył, by pomóc zorganizować obronę.

Osadnicy, chociaż zaskoczeni i nie przygotowani, ruszyli w stronę wybiegu, chwytając miotły, grabie i patyki - co tylko mieli pod ręką. Strażacy, świetnie wyszkoleni, z doświadczeniem nabytym podczas gaszenia paru mniejszych pożarów, przybyli z sikawkami i odgonili tych kilka wherrów, które umknęły małym obrońcom. Dorośli i dzieci zagonili gdaczący, wystraszony drób z powrotem do klatek. Widok szacownych naukowców ścigających kurczaki, jak później opowiadała Sorka, był jednym z najzabawniejszych wśród tych, które dane jej było oglądać. Kilku ludzi zdobyło zadrapania wskutek zetknięcia z zakrzywionymi pazurami wherrów, ale gdyby nie interwencja smoczków, obrażeń byłoby więcej - i prawdopodobnie poważniejszych.

- Szkoda tylko, że nie są większe - zauważył admirał. - Dobrze byłoby mieć takich stróżów. Może nasi biogenetycy wyhodują nam kilka latających psów? - Z szacunkiem skłonił głowę w stronę Kitty i Wind Blossom Ping. Kitty Ping odpowiedziała krótkim skinieniem. - Smoczki nie tylko wykazują inicjatywę, ale, przysięgam na wszystko co święte, muszą się jakoś ze sobą komunikować. Widzieliście, jak wystawiły boczną straż? Jak prowadziły atak? Niewiarygodna taktyka. Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

Pol Nietro, który miał właśnie krótką przerwę między etapami projektu, był również pod wrażeniem zajścia, a nie należał do ludzi, wykorzystujących czas wolny na wypoczynek. Kiedy więc porządek został przywrócony i gdy polecono kilku odpowiedzialnym młodszym kolonistom trzymanie straży na wypadek nowego ataku, razem z Bay Harkenon złożył wizytę w Sektorze Azjatyckim. Main Hanrahan uśmiechnęła się, słysząc jego pytanie.

- Masz szczęście, Pol, bo przypadkiem jest w domu. Duke zjada właśnie dodatkowy posiłek w nagrodę za obronę drobiu.

- Ach, więc też tam był.

- Sorka wierzy, że poprowadził całą sforę smoczków - powiedziała Mairi cicho, a w jej oczach jaśniała matczyzna duma i wyrozumiałość. Wprowadziła go do pokoju, któremu nadano bardziej domowy charakter, zawieszając w oknach zasłony i ustawiając doniczki z kwiatami, częściowo miejscowymi, częściowo wyhodowanymi z ziemskich nasion. Kilka akwafort zdobiło nagie wcześniej ściany, a poduszki o jaskrawych kolorach przydały wygody plastikowym krzesłom.

- Sfora smoczków? Jak tabun koni? Albo ławica ryb? Tak, to dobre określenie - stwierdził Pol Nietro, przyglądając się z sympatią matce i córce. - Co nie znaczy, że w zwykłej sforze mogłaby istnieć tego rodzaju kooperacja.

- Polu Nietro, jeżeli zamierzasz rzucać kalumnie na irlandzkie teriery... - zaczęła Mairi z

uśmiechem.

- Rzucać kalumnie? To nie moje metody, Mairi. - Pol mrugnął do niej. - Ale sfera smoczków okazała się bardzo użyteczna. Wydaje się, że potrafią współpracować, gdy mają wspólny cel. Paul Benden to zauważył i chce, żeby Kitty i ja...

Mairi złapała go za ramię, nagle zaniepokojona.

- Chybabyś tego nie zrobił?

- Oczywiście, że nie, moja droga. - Pol poklepał ją po ramieniu. - Ale sądzę, że Sorka i Duke, jeśli zechcą, mogliby nam pomóc. Zgromadziliśmy już sporo informacji o naszych małych przyjaciółach. Ich możliwości są zaskakujące. Musimy je jak najlepiej zrozumieć! Nie przywieźliśmy ze sobą żadnych stworzeń, które mogłyby dać sobie radę z powietrznymi napastnikami typu wherrów.

Sorka karmiła prawie już sytego Duke'a, który siedział wyprostowany. Czubek wyciągniętego na stole ogona drgał mu za każdym razem, gdy smoczek delikatnie chwycił nowy kęs z palców dziewczynki. Wokół stworzonka roztaczał się dziwny, niezupełnie przyjemny zapach, który Sorka, w dowód uznania dla heroizmu swojego podopiecznego, starała się zignorować.

- Sługa jest godzien swojej zapłaty - zauważył Pol.

Sorka obdarzyła go długim spojrzeniem.

- Nie chcę być niegrzeczna, proszę pana, ale nie sądzę, żeby Duke był czyimś sługą. I potrafił dowieść, że jest naszym przyjacielem! - Dziewczynka machnęła ręką, wskazując całą osadę.

- Duke i jego... kohorty - odezwał się Pol uprzejmie - z pewnością dowiodły dzisiaj swojej sympatii. - Zoolog usiadł przy Sorce patrząc, jak stworzonko bierze w pazurki kolejny kawałek jedzenia. Duke obejrzał kęs ze wszystkich stron, obwąchał go, polizał, aż w końcu ugryzł kawałek. Pol przyglądał mu się z podziwem.

Sorka zachichotała.

- Jest już zapchany, ale nigdy nie potrafi oprzeć się pokusie. Właściwie nie je już tak dużo jak wcześniej - dodała po chwili. - Zwykle wystarcza mu jeden posiłek dziennie, więc może dorasta. Wszystko notowałam i naprawdę, proszę pana, wydaje mi się, że jest już tak duży jak te dzikie.

- Interesujące. Daj mi proszę swoje zapiski, dołączę je do akt. - Pol uniósł się lekko. - Wiecie, ewolucja przebiegała tu w fascynujący sposób. Zwłaszcza jeśli te planktonożerne stworzenia, o których mówią delfiny, istotnie są wspólnym przodkiem węży tunelowych i smoczków.

Mairi okazała zdumienie.

- Węży tunelowych i smoczków?

- Oczywiście. Życie tutaj ewoluowało w morzach, podobnie jak na Ziemi. Ma się rozumieć, są pewne różnice. - Pol, w obliczu zaciekawionych, choć niedowierzających słuchaczy, przybrał profesorski ton. - Wspólnym przodkiem była węgorzowata, wodna forma życia. Z sześcioma kończynami. Pierwsza para - wskazał smoczka, który wciąż trzymał jedzenie w przednich łapkach - miała błonę do chwytania zdobyczy. Widzicie, jak zgina się przedni palec w stosunku do nieruchomych dwóch tylnich? Smoczki zrezygnowały z błony, wytwarzając trójpalczastą kończynę. Skrzydła powstały w miejsce środkowych płetw, a tylna para służy jako napęd. Forma przystosowana do życia na lądzie, nasz wąż tunelowy, pierwszą parę wykorzystuje do kopania, środkowa wciąż służy do utrzymywania równowagi, zwłaszcza jeżeli w przedniej trzymane jest pożywienie, a kończyny tylne pełnią funkcję steru. Tak, jestem pewien, że planktonożerne stworzenie zachowało cechy wspólnego przodka naszych przyjaciół. - Pol uśmiechnął się do Duke'a, który zastanawiał się, czy wziąć kolejny kęs z rąk Sorki. - Mimo to... - przerwał.

Sorka czekała cierpliwie wiedząc, że zoolog złożył im wizytę w jakimś konkretnym celu.

- Czy wiesz coś o jakimś nie naruszoną gnieździe? - zapytał wreszcie.

- Tak, ale nie jest ono duże, a jajka są trochę mniejsze od innych.

- Aaa, prawdopodobnie złożyła je jedna z tych niewielkich, zielonych samic - stwierdził Pol z zadowoleniem. - A ponieważ zielone nie chronią gniazd z takim oddaniem jak złote, nie powinna mieć nam za złe, jeżeli kilka pożyczymy. Ale chciałbym cię prosić o jeszcze jedną, większą przysługę. Pamiętam, jak mówiłaś, że widziałas ciało pisklęcia w wodzie. Czy to się często zdarza?

Sorka zastanowiła się przez moment, po czym odpowiedziała równie pozbawionym emocji tonem.

- Chyba tak. Niektóre młode nie dają sobie rady. Albo nie znajdują wystarczająco dużo pokarmu, żeby zrekompensować szok po wylęgu - zaczęła wyjaśniać. Nie dostrzegła skrywanego uśmiechu w kąciку warg Pola. - Albo atakują je wherry. Widzi pan, tuż przed wylęgiem starsze smoczki znoszą wodorosty, żeby utworzyć krąg wokół gniazda, a potem karmią młode rybami, pełzaczami i wszystkim, co mogą znaleźć.

- Hmm, a więc istotnie wdrukowywanie - mruknął Pol.

- Zanim młode zdążą napełnić żołądki, ich skrzydła wysychają i mogą lecieć z resztą sfory. Starsze smoczki odganiają węże i wherry, żeby dać małym szansę. Ale kiedyś Sean widział, jak coś podobnego do węgorza atakowało pisklaka z morza podczas przyływu. Smoczek nie miał żadnych szans.

- Sean to ten twój nieuchwytny, ale często wspomniany przyjaciel?

- Tak. Wspólnie odkryliśmy pierwsze gniazdo i razem go pilnowaliśmy.

- Czy Sean zechciałby pomóc nam w wyszukiwaniu gniazd i... pisklaków?

Sorka przyglądała się zoologowi przez dłuższą chwilę. Pol zawsze dotrzymywał danego jej słowa, a poza tym wtedy, pierwszego dnia, był dobry dla Duke'a. Zdecydowała, że może mu zaufać, ale jednocześnie miała świadomość jego wysokiego stanowiska w Ładowisku. Wiedziała, co mógłby zrobić dla Seana.

- Jeżeli pan obieca, ale naprawdę obieca, a ja to poświadczę, że jego rodzina dostanie jednego z pierwszych koni, Sean zrobi dla pana wszystko.

- Sorka! - Mairi była zaszokowana propozycją córki. Sorka zdecydowanie spędzała zbyt dużo czasu w towarzystwie tego chłopca i przejmowała niektóre jego złe nawyki. Ale, ku jej zdumieniu, Pol uśmiechnął się wesoło i poklepał dziewczynkę po ramieniu.

- Daj spokój, Mairi, twoja córka ma dobre odruchy. Handel wymienny stał się główną formą załatwiania interesów na Pernie. - Zoolog spojrzał na Sorkę z należytą powagą. - Twój przyjaciel jest z rodziny Connellów, prawda? - Kiedy skinęła głową, mówił dalej: - Prawdę mówiąc, właśnie oni są pierwsi na liście do odbioru koni. Albo wołów, co będą woleli.

- Konie. Oni zawsze wybierają konie - szybko wtrąciła Sorka.

- Więc kiedy mogę zamienić kilka słów z tym młodym człowiekiem?

- Kiedy tylko pan zechce. Może dziś wieczorem? Wiem, gdzie można go znaleźć. - Z przyzwyczajenia Sorka spojrzała pytająco na matkę. Mairi skinęła głową.

Sean przyznał, że w okolicy znajdują się tylko zielone jaja, ale zasugerował, że można by rozejrzeć się po plażach daleko od dobrze wydeptanych wydm wokół Ładowiska. Sorka znalazła go na skalnej głowie. Dwa smoczki chłopca buszowały po płyciźnie w poszukiwaniu ryb palcowatych, często wyrzucanych przez przyływ.

- Seanie Connellu, czy możemy liczyć na twoją pomoc w poszukiwaniach? - zapytał formalnie Pol Nietro.

Sean przekrzywił głowę, posłał zoologowi drugie, taksujące spojrzenie.

- A co będę z tego miał, jeśli oddam wam wszystkie jaszczurki?

- Smoczki - poprawiła go Sorka stanowczo.

Sean ją zignorował.

- Nie macie tu żadnych pieniędzy, a ojciec potrzebuje mnie w obozie.

Sorka u boku Pola poruszyła się niespokojnie, niepewna, czy naukowiec poradzi sobie z

sytuacją. Ale zoolog nie mógłby zostać dziekanem prestiżowego wydziału na głównym uniwersytecie Pierwszej, gdyby nie umiał radzić sobie z drażliwymi, upartymi ludźmi. Wyrostek, który przyglądał mu się z przedwiecznym, odziedziczonym sceptycyzmem, stanowił jedynie odmianę dobrze znanego problemu. Każdemu innemu dziecku Pol mógłby zaproponować możliwość zapalenia wieczornego ogniska - wszyscy chcieli dostąpić tego przywileju - ale wiedział, że Seanowi to nie zaimponuje.

- Miałeś na Ziemi własnego kucyka? - zapytał, siadając plecami do skały i splatając na piersi krótkie ramiona.

Sean skinął głową, najwyraźniej zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem.

- Opowiedz mi o nim.

- A co tu jest do opowiadania? Dawno już poszedł na mięso. Zresztą pewnie jadły go głównie robaki.

- Czy był w jakiś sposób wyjątkowy? Poza tym, że był taki dla ciebie?

Sean spojrział na niego spod oka, po czym zerknął na Sorkę, która siedziała z nieruchomą twarzą. Nie chciała mieszać się dalej; już i tak czuła wyrzuty sumienia, że zdradziła Polowi najskrytsze marzenie Seana.

- To był mieszaniec, w połowie welsh mountain, w połowie connemara. Niewiele takich zostało.

- Jak duży?

- Czternaście dłoni wysoki - odparł Sean prawie ponuro.

- Maści?

- Myszatej. - Sean zmarszczył brwi, spojrział podejrzliwie. - Dlaczego pan pyta?

- Wiesz, co robię na tej planecie?

- Kroj pan zwierzęta.

- Tak, to też, ale przede wszystkim krzyżuję je ze sobą, żeby uzyskać pożądane cechy, barwę, pleć. Tym właśnie się zajmujemy. Sprawnie manipulując genami, możemy wyprodukować to, czego klient - Pol machnął ręką w stronę Seana - sobie życzy.

Sean zagapił się na niego, nie całkiem pojmując obce sobie słowa i nie śmiać nawet mieć nadziei, że to, co mężczyzna sugeruje, może być prawdą.

- Mógłbyś znowu mieć Cricketa, tutaj, na Pernie - powiedziała Sorka miękko, a jej oczy błyszczały. - On może to zrobić. Dać ci kucyka zupełnie takiego jak Cricket.

Sean wstrzymał oddech, wędrując spojrzeniem od dziewczynki do starego zoologa, który przyglądał mu się z całkowitym spokojem. W końcu pokazał palcem na Sorkę.

- Czy ona mówi prawdę?

- W tym sensie, że mogę wyhodować szarego konia... bo jeśli mógłbym coś zasugerować, to jesteś już za duży na kucyka. Mógłby mieć wszystkie fizyczne cechy Cricketa. Przywieźliśmy ze sobą nasienie, a także zapłodnione komórki jajowe bardzo wielu gatunków ziemskich koniowatych. Wiem, że mamy genotyp zarówno rasy connemara, jak i walijskiej. To bardzo wytrzymałe, uniwersalne konie. Nie będzie żadnych trudności.

- I dostanem go w zamian za jaszczurcze jaja? - Podejrzliwa natura Seana wzięła górę nad zachwytem.

- Smoczkowe jaja - poprawiła go Sorka z uporem. Chłopiec rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Wymieniamy jaja na jaja, młody człowieku. To uczciwy handel. Z twojego jaja wyhodujemy konia pod siodło, odpowiednio zmodyfikowanego w dowód wdzięczności za poświęcony czas i wysiłek.

Sean jeszcze raz zerknął na Sorkę, która twierdząco skinęła głową. Chłopiec napluł na prawą dłoń i wyciągnął ją w stronę Pola. Zoolog bez wahania przypieczętował układ.

Szybkość, z jaką Pol Nietro zorganizował wyprawę, sprawiła, że wielu jego kolegów i pracowników administracyjnych pootwierzało usta ze zdumienia. Jeszcze przed następnym rankiem Jim Tillek zgodził się udostępnić Krzyż Południa pod warunkiem, że sam będzie

dowodził załogą. Poproszono go, by przygotował zapasy na tygodniową podróż wzdłuż wybrzeża. Hanrahanowie i Porig Connell wyrazili zgodę, by Sorka i Sean brali udział w ekspedycji; Pol namówił Bay Harkenon, aby wzięła ze sobą przenośny mikroskop, a także sporo pojemników na okazy i tym podobny sprzęt. Ku zdumieniu Sorki i rozbawieniu Seana admirał Benden przyszedł na przystań, by życzyć im szczęścia w poszukiwaniach, po czym osobiście oddał cumę rufową. I tak z oficjalnym błogosławieństwem Krzyż Południa przy równym, świeżym wietrze opuścił zatokę.

Sean, wychowany w głębi ładu, bez wielkiego entuzjazmu odniósł się do swej pierwszej morskiej podróży, ale zdołał powstrzymać zarówno strach, jak i mdłości; był zdecydowany zarobić na obiecane konia, a poza tym nie zamierzał okazać słabości przed Sorką, która najwyraźniej cieszyła się z przygody. Chłopiec spędził większość czasu, siedząc plecami do masztu, patrząc przed siebie i gładząc brązowe smoczki, które spały wyciągnięte na zalanym słońcem pokładzie. Duke Sorki siedział na ramieniu swojej pani, jedną łapką przytrzymując delikatnie jej ucho, ogonem zaś pewnie otaczając jej szyję. Od czasu do czasu dziewczynka przytulała go pokrępiającym gestem, a smoczek świergotał jej coś do ucha, jak gdyby był pewien, że go rozumie.

Krzyż Południa, czterdziestostopowy siup, mógł pomieścić osiem osób; trzy wystarczały, by go prowadzić, a zaprojektowano go, by służył jako statek badawczy lub kurierski. Jim Tillek już wcześniej żeglował na nim na zachód aż do rzeki, którą nazwali Jordan, a także z grupą wulkanologów daleko na wschód do wulkanicznej wysepki, która zakłóciła obchody Święta Dziękczynienia. Jim miał nadzieję, że dostanie pozwolenie na dłuższy rejs w stronę dużej wyspy u brzegów pomocnego kontynentu; chciał też zbadać deltę rzeki, którą zamierzano spławiać surowce lub gotowe metale z zakładanej osady górniczej. Jak opowiadał zachwyconej Sorce, w chwilach wolnych od dowodzenia flotą handlową w pasie asteroidów żeglował po wszystkich morzach i oceanach Ziemi, nie mówiąc już o wielu żeglownych rzekach: Nilu, Tamizie, Amazonce, Missisipi, St Lawrence, Kolumbii, Renie, Wołdze, Jangcy i innych, mniej znanych.

- Oczywiście, nie robiłem tego zawodowo, a na Pierwszej żeglarze nie są zbyt poszukiwani. Ta ekspedycja była szansą, bym mógł z hobby uczynić zawód - zwierzał się Jim. - Cholernie się cieszę, że przyjechałem! - Odetchnął głęboko. - Powietrze tu jest cudowne. Takie mieliśmy na starej Ziemi. Zawsze sądziłem, że tak pachnie ozon. Weź głęboki oddech!

Sorka usłuchała radośnie. W tej samej chwili z kabiny wynurzyła się Bay Harkenon. Wyglądała o wiele lepiej niż wtedy, gdy pospiesznie opuszczała pokład, żeby chorować w samotności.

- Aha, pigułka podziałała? - dopytywał się Jim Tillek troskliwie.

- Nie wiem, jak ci dziękować - odparła mikrobiolog z zakłopotanym, pełnym wdzięczności uśmiechem. - Nie miałam pojęcia, że mam chorobę morską.

- Żeglowałaś kiedyś?

Bay pokręciła głową. Sploty szarych włosów opadły jej na ramiona.

- No, to skąd miałaś wiedzieć? - zapytał Jim. Spod zmrużonych powiek spojrział w stronę, gdzie wyłaniał się półwysep i ujście rzeki Jordan. Po stronie bakburty wznosił się szczyt Góry Garbena - nazwanej tak na cześć senatora, który przyczynił się do przeprowadzenia idei wyprawy przez zagmatwane ścieżki biurokracji Federacji Planet Rozumnych. Wierzchołek góry, dominujący element krajobrazu, odcinał się wyraźnie na tle porannego nieba. Proponowano, żeby mniejsze szczyty nazwać imionami członków grupy ZBO - Shawa, Liu i Turnien - ale ani na comiesięcznych sesjach nazewniczych przy ognisku, ani na bardziej formalnych posiedzeniach rady nie podjęto jeszcze żadnej decyzji.

Kapitan Tillek opuścił wzrok na mapę i zmierzył odległość od przystani do ujścia rzeki i z powrotem.

- Dlaczego tam dalej jest nie pokolorowane? - zapytała Sorka widząc, że większa część mapy

jest biała.

Jim, uśmiechając się z uznaniem, stuknął palcem w kartę.

- Fremlich wykonał ją dla mnie ze zdjęć z sondy, a chociaż jak dotychczas okazywały się one dokładne co do centymetra, wolę kolorować samodzielnie, w miarę jak odkrywamy nowe obszary na lądach i wzdłuż wybrzeża. W ten sposób wiadomo, gdzie byliśmy, a co jeszcze musimy zbadać. Robiłem także notatki przydatne dla żeglarzy, takie jak dominujące wiatry czy prądy.

Dopiero w tym momencie Sorka dostrzegła na mapie dodatkowe cyferki.

- Co innego jest wiedzieć, a co innego zobaczyć, prawda? Mężczyzna ujął w palce jeden z jej tycjanowskich warkoczy.

- To prawda, najważniejsze to widzieć coś na własne oczy.

- I naprawdę będziemy tam pierwszymi ludźmi? - Wskazała palcem półwysep.

- Naprawdę - potwierdził Jim z nie skrywaną satysfakcją. Jim Tillek nigdy nie był tak szczęśliwy, mimo że przeżył już prawie sześćdziesiąt lat. W technologicznym społeczeństwie zawsze czuł się nie na miejscu z powodu swego zamiłowania do wody i statków. Nudziła go monotonia rejsów w pasie, a do nich właśnie ograniczał go wrodzony brak taktu i nieprzekupna uczciwość. Tillek uznał Pern za doskonałość, a teraz jeszcze doszła do tego radość z żeglugi po nieznanym morzach i odkrywania ich niezwykłości. Silnie zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, o bladobłękitnych, wiele widzących oczach, wreszcie znalazł dla siebie miejsce. Czapkę z daszkiem naciągnął głęboko na uszy, stary dżersejowy wełniany sweter chronił go przed chłodem porannej bryzy. Chociaż Krzyż Południa mógł być sterowany elektronicznie z kokpitu metodą wciskania odpowiednich przycisków, Jim wolał to robić ręcznie i przy ustawianiu żagli posługiwać się własnym wyczuciem wiatru. Reszta załogi siedziała na dziobie, klarując liny na plasipleksowym pokładzie i wykonując inne rutynowe czynności na małym jachcie.

- Dobijemy o zmroku, prawdopodobnie gdzieś tutaj. Mapa sugeruje istnienie głębokiej zatoki w zboczu góry. Będę mógł pokolorować kolejny fragment. Może nawet znajdziemy to, czego szukamy. - Mrugnął do Sorki i Bay Harkenon.

Kiedy Krzyż Południa zakotwiczył na dziesięciu metrach, Jim niewielką motorówką przewiózł ekipę poszukiwaczy na plażę. Sean, który chwilowo miał dosyć towarzystwa, kazał Sorce szukać smoczkowych gniazd na wschodzie, a sam ruszył plażą na zachód. Jego dwa brązowe krążyły mu nad głową, pokrzykując radośnie w locie. Rozdrażniony rozkazującym tonem chłopca Jim Tillek chciał już powiedzieć mu coś do słuchu, ale Pol Nietro rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i kapitan zrezygnował. Sean zniknął już w gęstych zaroślach okalających plażę.

- Przygotujemy wam coś ciepłego do zjedzenia! - zawołał Pol za dziećmi. Sorka zatrzymała się i pomachała ręką na potwierdzenie.

Wracając o zmierzchu na obiecany posiłek, oboje mogli pochwalić się sukcesem.

- Myślę, że pierwsze trzy, które znalazłam, są zielone - powiedziała Sorka tonem eksperta. - Są o wiele za blisko wody jak na złote. Duke też tak sądzi. Chyba nie lubi zielonych. Ale najdalsze gniazdo jest sporo poza linią przypląwu, a jajka są większe. Skorupki mają tak twarde, że pewnie wkrótce zaczną się wylęgać młode.

- Dwa gniazda zielonych i dwa z całą pewnością złotych - stwierdził Sean krótko i zabrał się do jedzenia, wstrzymując się tylko na chwilę, by podzielić się ze swoimi smoczkami. - W okolicy jest ich mnóstwo. Chcecie zabrać wszystko, co znajdziemy?

- Niech Bóg broni! - wykrzyknął Pol, z oburzeniem unosząc ręce. Siwe włosy zoologa, kręcone i sztywne, utworzyły wokół jego głowy coś na kształt aureoli, nadając mu dobroduszny, tak pasujący do charakteru wygląd. - Na Pernie nie powtórzymy tego błędu.

- Och nie, nigdy - potwierdziła Bay Harkenon, pochylając się w stronę Seana, jak gdyby chciała pogłodzić go krzepiąco po ramieniu. - Nasze techniki badawcze nie wymagają już

dostarczania nieprzeliczonych próbek dla potwierdzenia wniosków.

- Próbek? - Sean zmarszczył brwi, a Sorka spojrzała pytająco.

- Może "przedstawicieli" byłoby lepszym określeniem.

- Poza tym wykorzystalibyśmy jaja... oczywiście zielonych - dodał Pol szybko - gdyż ich samice raczej nie mają tak rozwiniętego instynktu macierzyńskiego jak złote.

Sean był zdezorientowany.

- Czyli wcale nie chcecie jaj złotych?

- W każdym razie nie wszystkie - powtórzyła Bay z naciskiem. - A piskłęta innych barw tylko martwe, jeżeli uda się takie znaleźć. Martwych zielonych mieliśmy pod dostatkiem.

- Pewnie. Żywego i tak byś nie dostała - mruknął Sean.

- Chyba masz rację - odparła Bay z cichym westchnieniem. Pani biolog była korpulentną kobietą pod sześćdziesiątkę, ale wystarczająco energiczną i sprawną, by wziąć udział w wyprawie. - Nigdy nie potrafiłam porozumiewać się ze zwierzętami. - Spojrzała z zazdrością na spiżowego smoczka Sorki, spoczywającego w zrelaksowanej pozycji wokół szyi dziewczynki. Tylne łapy zwisały mu na jej pierś, luźny ogon sięgał prawie do talii.

- Smoczki po wykluciu są strasznie głodne, wzięłyby jedzenie od każdego - powiedział Sean niezbyt taktownie.

- Och, nie mogłabym przecież pozbawiać kogoś...

- Wszyscy mamy tu być równi, tak? - zapytał Sean. - No, to masz takie same prawa jak inni.

- Dobrze powiedziane, młodzieńcze - stwierdził Jim Tillek. - Dobrze powiedziane!

- Gdyby tylko te stworzenia były choć trochę większe - mruknął Pol jakby do siebie, po czym westchnął.

- To co? - zapytał Tillek.

- Byłyby groźnymi przeciwnikami dla wherrów.

- I tak som! - powiedział Sean lojalnie, głaszcząc jednego z brązowych. Jeśli nawet nadał smoczkom jakieś imiona, to nikomu się z tym nie zdradził. Zdołał wytresować swoich podopiecznych tak, że reagowały na jego wydawane gwizdem polecenia. Sorka była zbyt nieśmiała, by zapytać go, jak to zrobił. Nie żeby Duke jej nie słuchał - musiał tylko zrozumieć, czego chciała.

- Pewnie masz rację - odparł Pol, nieznacznie kręcąc głową.

- Decyzji o modelowaniu na żywych organizmach nie podejmuje się ot tak sobie. Dobrze wiesz, ile wysiłków może pójść na marne albo zaowocować czymś zupełnie nieoczekiwanym.

- Bay uśmiechnęła się, by złagodzić delikatną naganę.

- Dlaczego mielibyśmy manipulować stworzeniami, które od wieków radzą sobie zupełnie nieźle, a nawet mogą chronić innych? - zapytał Jim Tillek.

- Ze wszystkich wytworów ewolucji przeżywa tak niewiele, w dodatku często nie te, które wydają się najdoskonalej zaprojektowane czy przystosowane do środowiska - odparł Pol z ciężkim westchnieniem. - Zawsze zdumiewa mnie, dlaczego ten, a nie inny organizm zwyciężył w wyścigu i stał się przodkiem nowej, wielkiej grupy. Nigdy bym się nie spodziewał, że na innej planecie znajdziemy coś tak zbliżonego do naszych kręgowców jak wherry i smoczki. A już naprawdę niesamowitym zbiegiem okoliczności jest to, że nasi bajarze często prawili o czteronogich, dwuskrzydłych stworzeniach, chociaż nic podobnego nie istniało na Ziemi. A one żyją tutaj, setki lat świetlnych od ludzi, którzy je wymyślili. - Wskazał śpiącego Duke'a. - Niewiarygodne. W dodatku kiepsko wykonane, nie tak jak starożytne chińskie smoki.

- Kiepsko wykonane? - powtórzył rozbawiony kapitan.

- Spójrz tylko na niego. Jedna para kończyn jest zdecydowanie nadliczbowa. Ziemskie ptaki wytworzyły skrzydła w miejsce przednich kończyn, niektóre wciąż mają szczątkowe pazury jako pozostałość po drugim palcu. Poza tym chociaż zakrzywione kończyny tylne to przystosowanie do odbijania się z ziemi, a widzisz, że smoczki mają je niezwykle dobrze

rozwinęte, z mięśniami przyczepionymi do grzbietu, to tak długi tułów musi być bardzo wrażliwy. Zastanawiam się, jak to się dzieje z mechanicznego punktu widzenia, że potrafią tak długo siedzieć w bezruchu. - Pol zerknął na śpiącego Duke'a i dotknął bezwładnego ogona. - Chociaż widzę jedno usprawnienie: odbył znajduje się w rozwidleniu ogona, a nie pod nim. Poza tym nozdrza i płuca są położone grzbietowe, a to już spora poprawa. Ludzie w ogóle są źle zbudowani - ciągnął zadowolony, że może ponarzekać przed tak zasłuchanym audytorium.

- Z pewnością dostrzeżliście, jak idiotyczne jest skrzyżowanie dróg oddechowych - dotknął własnego nosa - z przewodem pokarmowym. - Przyłożył dłoń do wystającego jabłka Adama. - Człowiek może się zadławić na śmierć. No i delikatna czaszka: jedno mocne uderzenie i mamy wstrząs mózgu, prowadzący do uszkodzeń albo i śmierci. A mózgi Wegańczyków są chronione przez mocną wewnętrzną puszkę. Trudno spowodować wstrząs mózgu u Wegańczyków.

- Ale za to inne rozwiązania u tej rasy wyglądają na bardzo nieporęczne - wtrącił Tillek. - Mówię o ich przystosowaniach seksualno-reprodukcyjnych.

Pol prychnął.

- Więc sądzisz, że połączenie układu moczowego i płciowego jest bardziej logiczne?

- Tego nie powiedziałem, Pol - odparł Jim szybko, zerkając na dwójkę dzieci. Żadne z nich nie zwracało na dorosłych uwagi. - Chodzi mi tylko o to, że nasze rozwiązanie jest wygodniejsze.

- Ale bardziej bolesne. Och, do licha, znowu wpadam w ten profesorski ton. Ale nas, ludzi, można by poprawić w setkach punktów...

- A czy tego nie robimy, Pol, kochanie? - zapytała Bay łagodnie.

- Och, tak, cybernetycznie owszem, a in vitro umiemy skorygować większość mutacji. To prawda, że możemy stosować erydański mentasynt, chociaż sam nie wiem, czy jego efekty są dla nas korzystne. Ludzie stają się zbyt empatyczni w stosunku do zwierząt laboratoryjnych. Przyznacie jednak, że przy prawach preforsowanych przez Czystą Ludzkość nie możemy dokonywać żadnych drastycznych zmian.

- A kto by tego chciał? - spytał Tillek, marszcząc brwi.

- Nie my - zapewniła go Bay pospiesznie. - W tym świecie nie ma takiej potrzeby. Ale czasami sądzę, że partia Zachowania Czystości Gatunku niesłusznie uczyniła sprzeciwiając się zmianom, które pozwoliłyby ludziom wykorzystać wodne światy, takie jak Ceti IV. Skrzela zamiast płuc i błony między palcami dłoni i stóp nie są aż tak bluźnierczą adaptacją. Płód in utero wciąż przechodzi podobne stadium, a nawet u dorosłych można stwierdzić oznaki wodnej przeszłości. Pomyślcie, ile planet stałoby przed nami otworem, gdybyśmy nie byli ograniczeni do obszarów lądowych o właściwej grawitacji i atmosferze! Jeśli pozwolono by nam chociaż wprowadzić specjalne enzymy, przetwarzające trujące gazy. Cyjanki uniemożliwiły nam dostęp do tylu miejsc. Dlaczego... - Rozpostarła ręce, jak gdyby zabrakło jej słów.

Sean spoglądał na dwójkę specjalistów z niejaką podejrzliwością.

- To tylko takie gadanie - pospieszyła z zapewnieniem Sorka. - Wcale tak nie myślą.

Sean prychnął, po czym ostrożnie poprawiając na ramieniu swoje dwa smoczki, podniósł się z miejsca.

- Wstanę jutro przed świtem. To najlepsza pora, żeby zdążyć na karmienie małych i sprawdzić, które gniazda są czyje.

- Ja tak samo - powiedziała Sorka wstając.

Tillek przygotował schronienie wysoko ponad śladami przyływu, uszczelniając je na wypadek gwałtownych wiatrów, które wydawały się charakterystyczne dla wczesnej letniej pory. W śpiwory wszyto koce termiczne; Sorka z ulgą wpełzła do jednego z nich. Duke, nie budząc się nawet, zmienił pozycję. Dziewczynka miała niewielkie kłopoty z zaśnięciem;

wciąż wydawało jej się, że plaża pod nią to się wznosi, to opada, naśladując ruch fal. Obudziło ją ostrzegawcze piśnienie Duke'a. Od strony dorosłych niosło się pochrapywanie, ale gdy wzrok Sorki przyzwyczaił się do ciemności przedświt, spostrzegła wstającego Seana. Widziała, jak obrócił głowę w jej stronę, po czym popatrzył na zachód. Bez zbędnego ruchu podpełzł do popiołów wczorajszego ogniska i cicho poszperał w torbach z zapasami, wybierając kilka przedmiotów i wpychając je za pazuchę.

Sorka odczekała, aż chłopiec zniknie jej z oczu. Wstała. Następnie, wzięwszy paczkę z pożywieniem i jeden z czerwonych owoców, które przygotowali przed kolacją, napisała dorosłym kartkę, że razem z Seanem poszli sprawdzać gniazda i stawią się wkrótce po świcie. Biegając wzdłuż plaży, zjadła czerwony owoc, odrzucając ściemniały, nadgniły fragment, podobnie jak niegdyś na Ziemi ogryzała opadłe jabłka, zostawiając zbrązowiałe części. W pobliżu każdego z gniazd dziewczynka jeszcze wczoraj usypała małe stożki białych, wygładzonych przez ocean kamieni, tak by mogła odszukać jaja, nie depcząc po nich. Dwa pierwsze znalazła bez problemu i pospieszyła do trzeciego, które mogło należeć do złotej samicy. Na wschodnim niebie rysowało się już cieniutkie pasemko brzasku, a dziewczynka chciała ukryć się w krzakach przed rozpoczęciem dnia.

Cudownie było być samą i bezpieczną w części świata, której nie deptały jeszcze ludzkie stopy. Sorka wystarczająco często studiowała mapy i raporty badawcze ZBO, by wiedzieć, że żaden z nieustraszonych odkrywców nie dotarł na tę plażę. Poddała się urokowi myśli, że znalazła się tu pierwsza, i aż westchnęła ze szczęścia. Wczesne marzenia, żeby odkryć coś, co zostanie nazwane jej imieniem, zastąpiło ostatnio pragnienie odszukania najpiękniejszego miejsca w nowym świecie. Z takiego właśnie powodu chciałyby zostać zapamiętana. Oczywiście nie protestowałyby, gdyby koloniści pragnęli ochrzcić jej imieniem jakiś szczyt, rzekę czy dolinę.

Tak zatopiła się w rozmyślaniach, że prawie potknęła się o kopczyk i na wpół zagrzebane gniazdo. Duke ostrzegł ją przed błędem, cicho popiskując.

Sorka pogładziła z wdzięcznością maleńki łebek. Gdyby miała coś zmieniać w Duke'u, przede wszystkim obdarzyłaby go mową. Nauczyła się już poprawnie interpretować rozmaite dźwięki, jakie wydawał, i potrafiła zrozumieć, co inne smoczki mówią swoim właścicielom, ale żałowała, że nie może porozumieć się z Duke'iem we wspólnym języku. Ktoś jednak powiedział, że rozdwojony język uniemożliwia posługiwanie się mową, a dziewczynka nie chciała bardziej drastycznych zmian - szczególnie w wielkości. Gdyby Duke był choć trochę większy, nie mógłby tak wygodnie siedzieć jej na ramieniu.

Może powinna porozmawiać z delfinierzami. Delfiny potrafiły rozmawiać na bardzo skomplikowane tematy. Możliwe, że smoczki czyniły podobnie, sądząc ze sposobu, w jaki odpędziły wherry. Nawet admirał Benden wspomniął coś na ten temat.

Przypomniawszy sobie bohaterskiego dowódcę z Łabędzia, Sorka postanowiła również zastosować odpowiednią strategię. Złote smoczki były o wiele sprytniejsze niż głupie zielone. Znalazła w zaroślach miotlastą gałąź i zatarła ślady stóp na suchym piasku, po czym wycofała się w zarośla, by zająć dogodny punkt obserwacyjny: blisko gniazda, ale niewidoczny z plaży. Świt nastał pośród radosnego, porannego chóru smoczków, które całym stadkiem pojawiły się nad brzegiem. Tylko złoty zbliżył się do gniazda; pozostałe: brązowe, spizowe i błękitne trzymały się w sporej odległości. Obserwując zarysy ich ciał na białym piasku, Sorka spostrzegła różnice w wielkości. Złota samica była największa, wyższa prawie na dwa palce od spizowych, które wydawały się następne w kolei, chociaż jeden czy dwa brązowe dorównywały im wzrostem. Błękitne, wyraźnie mniejsze, poruszały się szybkimi, nerwowymi kroczkami, badając wodorosty, odrzucając część, a inne ciągnąc w stronę gniazda przy wtórce radosnego poćwierkiwania. Spizowe i brązowe jakby się o coś spierały, pomrukując i świergocąc między sobą, podczas gdy błękitne zajmowały się jedynie znoszeniem pokarmu. Tak jej się przynajmniej wydawało. Wkrótce gniazdo było okrążone pierścieniem

wodorostów. Gdy to się stało, brązowe i spizowe zabrały się do pracy, łowiąc szamoczące się morskie żyjątka, podobnie jak przy narodzinach Duke'a.

Złota samica z ostrym okrzykiem poderwała się z gniazda, poleciała nad głowami brązowych i spizowych, zamachała skrzydłami w stronę błękitnych, po czym skierowała się w stronę morza. Inne podążyły za nią, może nie z taką gracją, jak pomyślała Sorka, ale szybko. Widziała, jak ulatują w górę nad grzywaczem i nagle nurkują między fale, świergocąc triumfalnie, gdy wynurzały się ze złowioną rybą. A potem, niespodziewanie, wszystkie zniknęły. W jednej chwili wisiały nad oceanem, w następnej niebo było puste; zginął wszelki ślad po ich migotliwych ciałkach. Sorka zamrugła z zaskoczenia.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Skoro młode miały się wylęgnąć już wkrótce, mogłaby spróbować zanieść jedno z nich Bay Harkenon do nakarmienia. Gdyby zdążyła, Bay miałyby wreszcie własne zwierzątko. Pani biolog była sympatyczną, miłą kobietą, nie zarozumiałą, jak niektórzy kierownicy innych sekcji, a smoczek zapewniłby jej towarzystwo.

Sorka nie namyślała się dłużej; zaczęła działać. Wyskoczyła z ukrycia, podbiegła do gniazda, chwyciła najbliższe jajko ze szczytu i tak szybko, jak mogła, wpełzła z powrotem w zarośla.

Zdążyła w ostatniej chwili. Gałęzie wciąż się kołysały, gdy smoczki wróciły, i to w większej ilości niż poprzednio. Małeńka złota samiczka wylądowała tuż przy jajkach, a brązowe, spizowe i błękitne układały rzucające się bezradnie ryby w obrębie pierścienia z wodorostów. Nagle rozległ się powitalny chór i Sorka nie mogła dokonać wyboru między chęcią uczestniczenia w magicznej chwili a koniecznością dotarcia na czas do obozu. Nagle poczuła, jak w jajku, które wetknęła dla ciepła i ochrony pod sweter, coś zaczyna się poruszać.

- Nawet nie piśnij, Duke! - szepnęła ostro, słysząc, jak w gardle smoczka coś zaczyna gulgotać. Ścisnęła mały pyszczek w palcach i spojrzała prosto w fasetkowe oczy, które zajaśniały natychmiast wesołymi barwami. - Zabiłaby mnie!

Najwyraźniej zrozumiał jej ostrzeżenie, bo przycisnął się do niej mocniej, ostrymi pazurkami wczepiając się we włosy dziewczynki i wciskając pyszczek w gruby warkocz. Sorka tyłem odczołgała się od plaży, aż znalazła się dostatecznie daleko, by wstać na nogi. Uschłe paprocie i gałęzie raniły w biegu jej łydki. Natknęła się też na zniechęcającą liczbę kolczastych krzewów i iglastych roślin. Pędziła jednak dalej.

Kiedy przestała słyszeć smoczkowe okrzyki, zwróciła się na zachód i pomknęła w stronę plaży. W trosce o niesione jajko biegła po piasku jak mogła najszybciej, nie zważając na klucie w boku. Duke krążył jej nad głową, wydając posłusznie stłumione okrzyki niepokoju.

Z pewnością są już blisko obozu. Minęła pierwszy kopczyk czy dopiero drugi? Potknęła się, a Duke wrzasnął zaalarmowany. Jego wrzask był równie przenikliwy jak skrzeczenie pawi, które ojciec hodował na Ziemi; przeraźliwy głos przypominający jęk człowieka cierpiącego okropny ból. Smoczek zanurkował, wczepiając się w ramię dziewczynki, jak gdyby chciał ją podtrzymać.

Jego wrzask wystarczył, by obudzić śpiących. Pierwszy zerwał się Jim Tillek, walcząc ze śpiworem, pętającym mu nogi. Pol i Bay odczekali ze wstawaniem, póki nie rozpoznali Sorki. Sorka, ignorując naglące pytania i pomocne dłonie Tilleka, na czworakach dobiegła do pulchnej pani mikrobiolog. Osunęła się na kolana i szybko wcisnęła jajko w ręce Bay; czuła już pęknięcie rysujące się wzdłuż skorupki.

- Trzymaj! To dla ciebie, Bay! - powiedziała, chwytając dłonie zaskoczonej kobiety i zaciskając je wokół jajka.

Bay odruchowo chciała odrzucić jajko Sorce, ale dziewczynka popędziła już w stronę pakunków, szukając czegoś nadającego się do jedzenia. Rozerwała opakowanie z proteinowymi kostkami i połamała jedną na drobne kawałki.

- Sorka, Pol, to pęka! Co mam z tym zrobić? Całe pęka! - wykrzyknęła Bay niepewnie.

- To dla ciebie, Bay. Stworzenie, które będzie kochać tylko ciebie - wysapała Sorka, podchodząc do niej z pełnymi rękami. - Wykluwa się. Będzie twoje. Masz, nakarm je tym.

Pol, kapitanie, spróbujcie znaleźć trochę wodorostów. Jesteście kochani. Róbcie to, co Duke. Duke, popiskując z podniecenia, ciągnął znad wody olbrzymi pęk wodorostów.

- Złóż je na kupkę, Pol - powiedział kapitan kilka chwil później.

- Pękło! - wykrzyknęła Bay, na wpół przerażona, na wpół zachwycona. - Widać główkę! Sorka! Co teraz mam robić?

Dwadzieścia minut później pierwsze promienie słońca padły na zmęczoną, ale podekscytowaną czwórkę. Bay, z miną pełną uwielbienia i niedowierzania, kołysała w zgięciu łokcia ślicznego złotego smoczka. Główka stworzonka zdobiła wierzch jej ręki, przednie łapki luźno zwieszały się z nadgarstka. Rozdęty brzusek spoczywał na pulchnym przedramieniu, tylne nogi kołysały się w okolicy łokcia, a ogon owijał się lekko wokół ramienia. Słychać było cichy dźwięk przypominający chrapanie. Bay głaskała śpiącą istotkę, zaskoczona dotykiem jej skóry, twardymi, choć delikatnymi pazurkami, przezroczystymi skrzydłami oraz siłą, z jaką ogonek maleństwa zaciskał się wokół jej ramienia. Nie mogła się nadziwić jego doskonałości.

Jim Tillek rozpałił wczorajsze ognisko i przygotował ciepły napój, który miał przeciwdziałać skutkom przenikliwej morskiej bryzy.

- Myślę, że powinniśmy wrócić do gniazda, Pol - odezwała się Sorka. - Sprawdzić, czy... czy...

- Czy niektórym się nie udało? - Dokończył za nią Jim. - Musisz coś zjeść.

- Ale wtedy będzie za późno.

- Już jest pewnie za późno, młoda damo - powiedział Tillek stanowczo. - I tak stanęłaś na wysokości zadania, przynosząc złotego smoczka. Złote są chyba najwyżej w hierarchii tych stworzeń, prawda?

Pol skinął głową, zerkając na śpiący nabytek Bay.

- Nie sądzę, żeby jakiś inny biolog miał już takiego. Co za ironia.

- No tak, zawsze przecież jesteś ostatnia - stwierdził Jim ironicznie podnosząc brwi, ale uśmiechając się przy tym. - Aha, a co tutaj mamy? - Drugim widelcem wskazał figurkę zbliżającą się od zachodu. - Coś niesie. Sorka, swoimi młodymi oczami widzisz pewnie wyraźniej?

- Może przyniósł więcej jajek i wszyscy będziecie mieli smoczki.

- Raczej powątpiewałbym w altruizm Seana - stwierdził Pol sucho. Sorka się zarumieniła. - No, no, maleńka. Nikogo nie krytykuję. Stwierdzam tylko różnicę w charakterze i nastawieniu.

- Niesie coś większego niż jajka, a jego dwa smoczki są bardzo podekscytowane. Nie - poprawiła się zaraz. - Są zmartwione!

Duke na jej ramieniu stanął słupka i wydał przenikliwy okrzyk. Sorka poczuła, jak się kuli, gdy otrzymał odpowiedź. Usłyszała jego cichy jęk, przypominający łkanie. Podniosła rękę, żeby go pogłaskać. Otarł się o jej dłoń, jak gdyby wdzięczny za wsparcie. Sorka wyczuwała jego napięcie, podkreślone uściskiem pazurków na swetrze. To dobrze, że mama wzmocniła dzianinę, tak by Duke nie zadrapał jej skóry. Przechyliła głowę, ocierając się policzkiem o jego bok.

Wszyscy patrzyli, jak Sean wędruje w stronę obozu. Wkrótce jego zawiniątko stało się dobrze widoczne. Były to szerokie liście ciasno obwiązane zielonymi pnączami. Sean, świadom ich uważnego spojrzenia, wyglądał na bardzo zmęczonego. A także, jak pomyślała Sorka, na nieszczęśliwego. Podszedł prosto do dwójki naukowców i wręczył pakunek Polowi.

- Proszę. Dwa. Jeden prawie nie naruszony. I kilka zielonych jajek. Musiałem przeszukać oba gniazda, by znaleźć choć trochę nie wypitych przez węże.

Pol położył dłoń na podarunku Seana.

- Dziękuję ci, Sean. Dziękuję bardzo. A te dwa... są z gniazda złotych czy zielonych?

- Oczywiście, że złotych. - Sean prychnął zniecierpliwiony. - Zielone rzadko się wylęgają.

Węże zjadają wszystko. Zdażyłem w samą porę. - Spojrzał wyzywająco na Sorkę.

Dziewczynka nie wiedziała, co powiedzieć.

- Sorka też zdażyła - odparł z dumą Jim Tillek, ruchem głowy wskazując Bay.

Dopiero wtedy Sean spostrzegł śpiącego smoczka. Przez jego twarz przebiegł wyraz zaskoczenia, podziwu i niechęci. Chłopiec usiadł ciężko na ziemi.

Sorka umknęła spojrzaniem.

- Nie poradziłam sobie tak dobrze jak ty - usłyszała swój głos. - Nie zrobiłam tego, po co nas wysłano. A ty tak.

Sean mruknął coś z nieprzeniknioną twarzą. Nad jego głową dwa brązowe wymieniały wieści ze spizowym Sorki, pośród popiskiwań, świergotu i pomruków. W końcu wszystkie strzepnęły skrzydłami, złożyły je i wystawiły się na ciepłe promienie słońca.

- Żarcie gotowe - odezwał się Jim Tillek. Zaczął nakładać na talerze suszoną rybę i ugotowane plastry jednego z miejscowych owoców.

Rozdział VII

- A więc, komandorze, co chcesz nam zakomunikować? - zapytał Paul Benden. Emily Boll naląła odrobinę cennej brandy Bendena do trzech szklanek i podała je kolegom, po czym sama usiadła. Ongola wykorzystał przerwę na uporządkowanie myśli. Wszyscy troje żebrak? się, jak to często czynili, w wieży meteorologicznej przy pasie do lądowania, teraz zajmowanym przez ślizgacze i jeden z wahadłowców, przekształcony na oszczędnie wykorzystywany towarowiec.

Zarówno admirał, jak i gubernator, z natury raczej bladzi, opalili się tak bardzo, że dorównywali ogorzałemu Ongoli. Cała trójka pracowała na polach, w górach i na morzu, aktywnie uczestnicząc we wszystkich aspektach życia kolonii.

Gdy koloniści dostaną przynależne im działki ziemi i cel istnienia Lądowiska zostanie osiągnięty, tymczasowi przywódcy uzyskają status konsultantów i nie będą mieć większej władzy niż reszta udziałowców. Rada będzie zbierać się regularnie, by omawiać najprzeróżniejsze kwestie i rozwiązywać problemy dotyczące całej kolonii. Na corocznym spotkaniu demokratycznym zamierzano głosować nad sprawami, które wymagały zgody wszystkich zainteresowanych. Cherry Duff, pełniąc funkcję głównego sędziego, miała odbywać sesje wyjazdowe, rozpatrując skargi i spory. Na mocy Umowy Pernijskiej zarówno założyciele, jak i kontraktowi mieli posiadać autonomię na przynależnej im ziemi. Plan był może idealistyczny, ale jak ciągle powtarzał Benden, planeta miała dość przestrzeni i zasobów, żeby wystarczyło dla wszystkich.

Jak dotychczas sposób rozdzielania zapasów ze składów spotkał się tylko z nielicznymi skargami. Wszyscy wiedzieli, że gdy przywiezione materiały się skończą, będą musieli nauczyć się radzić sobie z tym, co mają, stworzyć potrzebne przedmioty własnym przemysłem bądź wymienić się na nie z odpowiednimi rzemieślnikami. Wielu ludzi szczyciło się zdolnością do improwizowania, a wszyscy troszczyli się o najcenniejsze narzędzia i wyposażenie.

Pomiędzy cotygodniowymi spotkaniami nieformalnymi i comiesięcznymi zgromadzeniami, kiedy większość spraw administracyjnych była poddawana demokratycznemu głosowaniu, kolonia działała sprawnie. Na jednym z pierwszych zgromadzeń przegłosowano utworzenie rady rozjemczej, złożonej z trzech byłych sędziów, dwóch byłych gubernatorów i czterech osób nie związanych z prawem, której kadencja miała trwać dwa lata. Jej zadaniem było rozpatrywać skargi i łagodzić spory, jakie mogłyby powstać podczas wyboru przynależnej ziemi lub wynikałyby z niezrozumienia punktów zawartych w kontrakcie. Wśród kolonistów znajdowało się czterech wykształconych legistów oraz dwóch adwokatów, ale liczone na to,

że zapotrzebowanie na ich usługi będzie minimalne.

- Nie ma sporów tak skomplikowanych, że nie można by ich rozstrzygnąć przez bezstronną radę czy grupę współmieszkańców - dowodziła z zapałem Emily Boll na jednym z wcześniejszych zgromadzeń, w którym uczestniczyli wszyscy, łącznie z niemowlętami śpiącymi w kołyskach. - Większość z was zna wojnę z doświadczenia. - Zrobiła pełną dramatyzmu przerwę. - Wojnę niszczącą lądy i wody, prowadzącą nawet do anihilacji przestrzeni. Pern znajduje się bardzo daleko od dawnych pól bitewnych. Jesteście tutaj, ponieważ pragnęliście uniknąć skażenia sporami terytorialnymi, które nękały ludzkość od samego zarania. Mając całą planetę, rozległe, wspaniałe krainy, bogactwo i perspektywy na przyszłość, nie trzeba już patrzeć pożądliwie na własność sąsiada. Wybierzcie sobie ziemię, zbudujcie domy i żyjcie w pokoju na równi ze wszystkimi, pomagając uczynić z tego świata prawdziwy raj.

Siła dźwięcznego głosu Emily oraz szczerota brzmiąca w jej żarliwych słowach wzbudziła we wszystkich owego wieczoru chęć działania. Gubernator była jednak przede wszystkim realistką i świetnie zdawała sobie sprawę, że pośród audytorium, które słuchało jej z taką uwagą i zgotowało później gromką owację, znajdowali się również dysydenci. Spodziewano się, że kłopoty mogą sprawiać Avril, Lemos, Nabol, Kimmer oraz garstka innych. Emily miała jednak nadzieję, że nawet oni tak zostaną pochłonięci życiem na Pernie, że zabraknie im czasu, energii i okazji do zawiązywania intryg.

W umowie i kontrakcie zawarta była klauzula o prawie do karania sygnatariuszy za "działalność na szkodę ogółu". Znaczenie tych słów nie zostało jeszcze zdefiniowane.

Emily i Paul spierali się, czy istnieje potrzeba jakiegoś kodeksu karnego. Paul Benden był zwolennikiem "kary stosownej do przewinienia" jako lekcji dla niepoprawnych wichrzycieli i osób "zakłócających spokój i porządek w osadzie". Postulował także, by kary wprowadzać w życie natychmiast, nakazując winnym wykonywanie najmniej popularnych prac, niezbędnych dla egzystencji kolonii. Jak dotąd taka szorstka sprawiedliwość okazywała się wystarczająca.

Jednocześnie obserwowano głównych podejrzanych, a Paul, Emily i Ongola spotykali się co jakiś czas, by omówić morale społeczności oraz poruszyć te problemy, które najlepiej było utrzymać w tajemnicy. Paul i Emily zadbali także, aby wszyscy koloniści mogli się z nimi łatwo skontaktować. Mieli nadzieję, że uda im się zażegnać małe nieporozumienia, nim urosną do poważnych rozmiarów. Oficjalne "godziny przyjęć" wypełniały im sześć dni z ustanowionego siedmiodniowego tygodnia.

- Możemy nie być religijni w archaicznym znaczeniu tego słowa, ale rozsądne jest siódmego dnia dać odpoczynek ludziom i zwierzętom - dowodziła Emily na drugim zgromadzeniu. - Stara żydowska Biblia, używana przez jedną z dawnych sekt religijnych na Ziemi, zawierała wiele wskazówek użytecznych dla rolniczego społeczeństwa oraz pewne zalecenia moralne i etyczne, które warto zachować - Emily uniosła rękę - ale bez skazy fanatyzmu. To zostawiliśmy na Ziemi razem z wojną.

Chociaż oboje z Paulem wiedzieli, że nawet tak luźna forma demokratycznych rządów może nie przetrwać, gdy osadnicy opuszczą Ładowisko i udadzą się na własne ziemie, mieli nadzieję, że nawyki, jakie teraz wykiełkują, przetrwają próbę czasu. Wcześni amerykańscy pionierzy, pracując na zachód, odznaczali się niezależnością, ale również umieli nieść sobie nawzajem pomoc. Później społeczeństwa w Australii i Nowej Zelandii obaliły tyrańskie rządy i odrzuciły izolację, by wykształcić ludzi o silnym charakterze oraz niezwykłych zdolnościach przystosowawczych. Pierwszą międzynarodową bazę na Księżycu również zamieszkiwali ludzie niezależni, chętni do współpracy i odznaczający się wieloma zaletami. Zaś pierwotni osiedleńcy na Pierwszej stanowili głównie potomstwo mieszkańców Księżyca i górników z pasa asteroidów. Spośród kolonistów na Pernie wielu wywodziło się z tamtych grup pionierów.

Paul i Emily zaproponowali wprowadzenie corocznych zjazdów jak największej liczby osób z

rozproszonych osad, by umacniać więzy między kolonistami, zdawać relację z postępu i wykorzystać wiele umysłów do rozwiązywania problemów ogółu. Podobne zgromadzenie byłoby też okazją do handlu i zabawy. Cabot Francis Carter, jeden z legistów, zaproponował ustalenie terytorium pośrodku kontynentu, które stanowiłoby centrum dorocznych spotkań.

- To będzie najlepszy z możliwych światów - oznajmił Cabot dźwięcznym basem, który często wstrząsał sądami na Ziemi i Pierwszej. Emily powiedziała kiedyś Paulowi, że Cabot jest najbardziej nieoczekiwanym członkiem założycielem, ale to właśnie jego biuro prawne stworzyło statut założycielski kolonii i pomogło przepchnąć go przez biurokratyczne pułapki, czyhające na drodze do ratyfikacji przez FPR. - Możliwe, że nie zdołamy zbudować na Pernie raj. Ale przynajmniej możemy spróbować!

Paul, siedząc z Emily i Ongolą, przypomniał sobie te słowa, gdy wyliczał nazwiska, zaginając drugie, zrogowaciałe palce.

- Powinniśmy wciąż obserwować ludzi takich jak Bitra, Tashkovich, Nabol, Lemos, Olubushtu, Kung, Usuai i Kimmer. Lista jest krótka, biorąc pod uwagę ilu nas jest. Nie dodaję do niej Kenjo, ponieważ wykazaliśmy, że nie ma on absolutnie żadnych powiązań z pozostałymi.

- I tak mi się to nie podoba. Ukryty nadzór za bardzo przypomina mi chwyt, jakimi posługiwały się inne rządy w bardziej niespokojnych czasach - stwierdziła Emily ponuro. - Stosowanie podobnej taktyki wydaje mi się uwłaczające dla mnie i dla mojego urzędu.

- Nie ma nic uwłaczającego w tym, że wiesz, kto działa na twoją szkodę - sprzeciwił się Paul.

- Wywiad zawsze okazywał się niezastąpiony.

- Podczas rewolucji, wojen, walk o władzę, owszem, ale nie tutaj, na Pernie.

- Tu jest tak samo, jak gdziekolwiek indziej w całej galaktyce, Em - odparł Paul z naciskiem.

- Zachowanie całej ludzkości, nie mówiąc już o Nathis, a także częściowo o Erydańczykach, udowadnia, że chciwość jest uniwersalna. Nie rozumiem, dlaczego dostatek na Pernie miałby ją zniwelować.

- Zaprzestańcie sporów, przyjaciele - powiedział Ongolą z jednym ze swych mądrych, smutnych uśmiechów. - Podjęto już niezbędne kroki dla unieruchomienia gigu. Zgodnie z twoją radą - skinął głową Paulowi - wyjąłem kilka mniejszych, ale nie do zastąpienia części z układu zapłonowego. Efekt będzie oczywisty, ale dodatkowo zamieniłem dwa podzespoły w układzie sterowania, a to nie będzie już tak łatwe do wykrycia. - Wskazał ręką okno. - Ślizgacze mogą lądować, jak chcą, co efektywnie, ale niezauważalnie uniemożliwi start gigu. Wciąż jednak nie wiem, dlaczego ona miałaby to robić.

Paul Benden zachnął się, a pozostała dwójka odwróciła wzrok wiedząc, że admirał przez większą część podróży w przestrzeni utrzymywał z Avril bliższe stosunki.

- Cóż, bardziej bym się martwił, gdyby Avril dowiedziała się o zapasach Kenjo - powiedział Paul. - Z obliczeń Telgar wynika, że zgromadził ilość odpowiadającą połowie zbiornika na Mariposie. - Admirał się skrzywił. Trudno mu było uwierzyć, że Kenjo Fusaiyuko wykradł tyle paliwa. Czuł niechętny podziw dla samych rozmiarów tej kradzieży, nawet jeśli nie rozumiał jej motywów. Wiedział, na jakie ryzyko narażał się Kenjo podczas wszystkich lotów, kiedy maksymalnie obniżał zużycie paliwa.

- Avril tak rzadko zaszczyca nas swoim towarzystwem, że nie martwiłbym się, iż odkryje skład - powiedziała Emily z krzywym uśmiechem. - Dopilnowałam też, żeby Lemos, Kimmer i Nabol znaleźli się w różnych sekcjach, z niewieloma okazjami do powrotu do Lądowiska. "Dziel i rządź", jak mawiali nasi przodkowie.

- Nie sądzisz, że to trochę nie na miejscu, Emily? - zapytał Paul z szerokim uśmiechem.

- Gdyby, a podkreślam tutaj nieprawdopodobieństwo takiego zdarzenia, gdyby Avril odkryła i wykorzystała paliwo zgromadzone przez Kenjo - zaczął Ongolą, zaginając palce przy każdym punkcie - tudzież zdołała odnaleźć brakujące kawałki i nie zauważona opuściła Pern gigiem, miałaby pół zbiornika paliwa. Nie musiałaby więc wykradać nam rezerw. Mówiąc szczerze,

chętnie pozbyłbym się jej i wszystkich, których raczy zabrać ze sobą. Sądzę, że zbyt dużo czasu poświęcamy tej sprawie. Bardziej niepokojące są raporty sejsmiczne ze wschodniego archipelagu. Młoda Góra obudziła się i pluje dymem.

- Zgadzą się - potwierdził Paul, rad zająć się bardziej nagłym problemem.

- Tak, ale w jakim celu Kenjo zebrał tyle paliwa? - spytała Emily. - Nie odpowiedzieliście na to pytanie. Dlaczego ryzykował bezpieczeństwo pasażerów i ładunku? Przecież jest tak gorliwym kolonistą! Już wybrał dla siebie ziemię.

- Pilot rangi Kenjo nie ryzykował niczego - odparł Paul gładko. - Loty wahadłowcami odbył bez najmniejszego incydentu. Wiem, że latanie to całe jego życie.

Ongola spojrział na admirała z lekkim zdumieniem.

- Czyżby nie nalatał się wystarczająco w swoim życiu?

Paul uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Nie Kenjo. Dobrze wiem, że latanie na zwykłych ślizgaczach to dla niego upadek, utrata prestiżu, twarzy, biorąc pod uwagę, jakie jednostki prowadził i gdzie był. Mówisz, że wybrał już ziemię, Emily? Gdzie?

- W pobliżu akwenu, który ludzie zaczynają nazywać Morzem Azowa; najdalej od Ładowiska, ale na dość przyjemnej równinie, sądząc po danych z próbnika - odparła Emily. Miała nadzieję, że spotkanie wkrótce dobiegnie końca. Pierre obiecał jej specjalny posiłek, a jak spostrzegła, cieszy się na myśl o tych cichych kolacjach bardziej, niż się spodziewała.

- Jak, u licha, Kenjo zamierza przetransportować tam te tony paliwa? - zapytał admirał.

- Sądzę, że będziemy musieli poczekać i zobaczyć - odparł Ongola z nieznacznym uśmiechem na wargach. - Podobnie jak wszyscy, ma prawo korzystać ze ślizgaczy do transportu własnych towarów. Wiem, że prowadził jakiś handel z zespołami roboczymi w kantine. Mam porozmawiać z Joelem o przedmiotach pobranych przez Kenjo?

Emily szybko zerknęła na Paula, który z uporem bronił pilota.

- Cóż, nie lubię nie rozwiązanych zagadek. Chciałabym usłyszeć jakieś wyjaśnienie i sądę, że ty również, Paul. - Kiedy admirał niechętnie skinął głową, Emily obiecała, że porozmawia z Joelem Lilienkempem.

- W ten sposób wróciliśmy do trzeciego wstrząsu - oznajmił Paul Benden. - Jak stoimy z zasilaniem składów w środku medyczne? Nie możemy sobie pozwolić na utratę tylu niezastąpionych materiałów.

Ongola zerknął do notatek. Stawiał wyraźne, kanciaste litery, które Emily przypominały starodawne manuskrypty. Cała trójka, podobnie jak kierownicy większości sekcji, postawiła sobie za cel powrót do mniej wyrafinowanych metod robienia zapisków niż procesory mowy. Zasilacze dawały się wprawdzie powtórnie ładować, ale nie były wieczne i zarezerwowano je do specjalnych zadań, więc wszyscy odkrywali na nowo sztukę kaligrafii.

- Skończymy w przyszłym tygodniu. Strefa sejsmiczna rozszerzyła się aż na aktywny wulkan na wschodnim archipelagu i na Jezioro Drake'a.

Paul się skrzywił.

- Pozwolimy mu na to?

- Czemu nie? - spytała Emily z uśmiechem. - Nikt nie zgłasza pretensji. Drake pierwszy je zobaczył. Tamtejsi osiedleńcy będą mieli pod dostatkiem przestrzeni, żeby się rozwijać, i wystarczająco dużo pracy, żeby rozwój podtrzymać.

- Czy zgłoszono ten punkt do głosowania? - zapytał Paul po kolejnym łyku brandy.

- Nie - odparł Ongola, znów z nikłym uśmiechem. - Drake wciąż prowadzi kampanię. Nie chce mieć żadnej opozycji, a ci, którzy mogliby się sprzeciwić, już dawno się zmęczeni.

Paul prychnął, a Emily wzniosła oczy do nieba, poirytowana, ale i ubawiona zachowaniem buńczuczności pilota. Admirał w zamyśleniu zerknął na reszkę brandy w szklance. Gdy Emily przeszła do kolejnego punktu spotkania, pociągnął następny łyk i rozprowadził go na języku, delektując się trunkiem, który, jak wiedział, już się kończył. Mógł pić quikal i czynił

to czasami, ale jego podniebieniu, przywykłemu do bardziej subtelnych smaków, miejscowy alkohol wydawał się zbyt ostry.

- Ogólnie rzecz biorąc, radzimy sobie nieźle - mówiła żywo Emily. - Słyszeliście, że umarł jeden z delfinów, ale śmierć Olgi została przyjęta przez jej pobratymców raczej spokojnie. Wedle słów Ann Gabri i Eframa naukowcy spodziewali się większych strat. Olga najwyraźniej - dodała z uśmiechem - była starsza, niż mówiła, a nie chciała, żeby jej ostatnie dziecko leciało bez niej w nieznane.

Cała trójka zachichotała i za przykładem Paula wzniosła toast za matczyną miłość.

- Nawet nasi... nomadowie się osiedlili - ciągnęła Emily, zerkając do notatek. - A raczej rozciągnęli. - Postukała ołówkiem w notes, wciąż nie przyzwyczajona do ręcznego sporządzania zapisków. Starła się ze wszystkich sił, by przyswoić sobie ten archaiczny sposób wspomagania pamięci. Jedyne wciąż działający aparat aktywowany głosem znajdował się w planetarnym interfejsie głównego komputera na Yokohamie, ale ostatnio rzadko z niego korzystano. - Nomadowie wystosowali dość dużo próśb o materiały na ubrania, ale tych wkrótce zabraknie, więc będą musieli tkąć własne albo prowadzić handel wymienny, jak inni. Zlokalizowaliśmy wszystkie obozowiska. Grupy Tuaregów nawet na piechotę mogą przemierzać zdumiewające odległości, ale chwilowo obozują w dwóch różnych sektorach.

- Mają całą planetę, żeby się zgubić - powiedział Paul wyrozumiale. - Zgłosili jeszcze jakieś problemy, Ongola?

Śniady mężczyzna pokręcił głową, przysłaniając powiekami głęboko osadzone oczy. Łatwość, z jaką nomadowie przystosowali się do życia na Pernie, przyjemnie go zaskoczyła. Raz w tygodniu każdy szczep przysyłał przedstawiciela do stacji weterynaryjnych. Wszystkie czterdzieści dwie kłaczki przywiezione w hibernatorach miały się ożrebić, a przywódcy nomadów pogodzili się z faktem, że ciąża u koni na Pernie, podobnie jak na Ziemi, trwa jedenaście miesięcy.

- Wystarczy, że weterynarze nie tracą poczucia humoru. Ale Red Hanrahan wydaje się rozumieć nomadów i radzi sobie z nimi.

- Hanrahan? Czy to nie jego córka odkryła smoczki?

- Ona i ten chłopiec, jeden z wędrowców - odparł Ongola. - Przynosili też martwe smoczki na potrzeby biologów.

- To mogłyby być użyteczne stworzenia - stwierdził admirał.

- Już są użyteczne - powiedziała Emily z naciskiem.

Ongola się uśmiechnął. Pewnego dnia, marzył, on też znajdzie gniazdo tuż przed wylęciem i zdobędzie sobie jedno z tych urokliwych, przyjacielskich, inteligentnych stworzeń. Kiedyś nauczył się języka delfinów, ale nie zdołał przezwyciężyć strachu przed zejściem pod wodę, co było niezbędne dla pełnego dzielenia świata z tymi istotami. Potrzebował przestrzeni wokół siebie. Kiedyś, gdy dzielił z Paulem jedną z długich wacht w podróży na Pern, admirał bardzo elokwentnie dowodził, o ile kosmos jest dla człowieka niebezpieczniejszy od morskich głębin.

- Woda zawiera tlen - mówił Paul - więc kiedy i jeśli zostanie zniesiony zakaz, który wprowadziła Czysta Ludzkość na adaptacje u ludzi, będziemy mogli pływać bez żadnych przyrządów. A w kosmosie w ogóle nie ma tlenu.

- Ale w kosmosie jesteś nieważki. Woda cię uciska. Czujesz ją.

- Lepiej, żebyś nie czuł kosmosu - odparł Paul ze śmiechem, ale nie kontynuował sporu.

- No, to przejdźmy do przyjemniejszych spraw - odezwał się Paul. - Ile kontraktów małżeńskich zarejestrujemy jutro, Emily?

Emily uśmiechnęła się, kartkując notes w poszukiwaniu strony z siódmym dniem, gdyż zwyczajowo wtedy właśnie miały miejsce podobne ceremonie. Aby rozszerzyć pulę genów dla następnego pokolenia, statut zezwalał na związki o różnej długości, byle zapewniały opiekę ciężarnej kobiecie i dziecku w pierwszych latach życia. Partnerzy mogli sami wybrać

dogodne dla siebie warunki, ale przewidziano surowe kary, łącznie z utratą całej ziemi, za niedotrzymanie kontraktu podpisanego w obecności wymaganej liczby świadków.

- Trzy!

- Coraz mniej - zauważył Paul.

- Ja już odrobiłem swój kawałek - powiedział Ongola, zerkając spod oka na pozostałą dwójkę, uparcie unikającą zalegalizowanych związków.

Ongola asystował Sabrze Stein tak umiejętnie, że nikt spośród przyjaciół się nie zorientował, póki nazwiska pary nie pojawiły się na tablicy ogłoszeń sześć tygodni temu. Sabra była już w ciąży, co sprowokowało Paula do stwierdzenia, że wielki pistolet nie strzela ślepymi nabojami. Rubasznym żartem pokrył odczuwaną ulgę, gdyż wiedział, że Ongola wciąż oplakuje żonę i rodziców. Nienawiść do Nathis i niezaspokojona żądza zemsty podtrzymywały go przez całą wojnę. Przez dłuższy czas Paul obawiał się, że komandor nie zdoła przezwyciężyć swych uczuć nawet w bardziej spokojnych czasach.

- Emily, czy Pierre przyjął oświadczyń? - zapytał Ongola, a wszechwiedzący uśmiezek rozjaśnił poważną twarz, której nawet obecne szczęście nie zdołało trwale rozweselić.

Emily była zaskoczona. Sądziła, że oboje są bardzo dyskretni. Jednak, jak sama spostrzegła, częściej się uśmiechała i traciła wątek w rozmowie bez żadnej widocznej przyczyny.

Razem z Pierre'em stanowili nieprawdopodobną kombinację osobowości, ale dawało to połowę całej przyjemności. Ich związek rozpoczął się zupełnie nieoczekiwanie około piątego tygodnia po wylądowaniu, kiedy to Pierre poprosił ją o wyrażenie opinii na temat potrawy sporządzonej wyłącznie z miejscowych składników. De Courci zarządzał zbiorowymi jadłodajniami w Ładowisku. I bardzo dobrze, myślała Emily, biorąc pod uwagę szeroki wachlarz smaków i wymagań dietetycznych. Zaczął przyrządzać dla niej specjalne posiłki, gdy jadała w dużej mesie. Później, kiedy nie mogła wyrwać się z pracy na czas lunchu, Pierre przynosił jej zamówioną tacę.

- Gdybym była zaborcza, z pewnością zachowałabym jego kuchnię dla siebie - odparła. - Bądź łaskaw pamiętać, że jestem już za stara na dzieci, więc wy, mężczyźni, macie nade mną przewagę. A co z tobą, Paul? Kiedy ty spełnisz swój obowiązek? - Emily wiedziała, że w jej tonie pobrzmiewa złośliwość zrodzona z zazdrości. Żadne z dorosłych dzieci pani gubernator nie chciało towarzyszyć matce w jednostronnej podróży.

Niewzruszony admirał, uśmiechnął się tylko enigmatycznie i dopił swoją brandy.

- Jaskinie! - wykrzyknęła Sallah, szarpiąc ramię Tarwiego i wskazując masyw skalny naprzeciwko. W blasku słońca wyraźnie widać było ziejące w ścianie czarne otwory.

Geolog zareagował natychmiast, z entuzjazmem i rodzajem jakiejś niewinnej radości, która tak bardzo pociągała Sallah. Coraz to nowe uroki Pernu nie bladły w oczach Tarwiego Andiyara. Każdy nowy cud witał z takim samym zainteresowaniem jak ostatni, który wychwalał za jego wspaniałość, bogactwo lub potencjał. Sallah włożyła wiele wysiłku, żeby zostać pilotem przy ekspedycjach geologicznych. To była ich trzecia wspólna podróż - a pierwsza wyprawa tylko we dwójkę.

Sallah ostrożnie rozgrywała karty, skupiając się na tym, by stać się osobą profesjonalnie nieodzowną. Może dzięki temu w chwili, gdy zdecyduje się ujawnić swą kobiecość, Tarvi nie wycofa się do swojej nienagannie uprzejmej, całkowicie bezosobowej skorupy. Sallah widziała, jak inne kobiety zaginające parol na przystojnego, uroczego geologa zrażały się jego zachowaniem; były zaskoczone, zdumione, a nawet dotknięte sposobem, w jaki unikał ich manewrów. Przez jakiś czas zastanawiała się nawet, czy Tarvi w ogóle lubi kobiety, ale nie wykazywał zainteresowania żadnym z zdeklarowanych homoseksualistów w Ładowisku. Wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci, traktował z jednakową, ujmującą uprzejmością i zrozumieniem. Jednak jakiegokolwiek były jego preferencje seksualne, oczekiwano, że przyczyni się do tworzenia następnego pokolenia. Sallah była zdecydowana zostać środkiem

do tego celu i czekała tylko na odpowiedni moment.

I może właśnie nadszedł. Tarvi miał słabość do jaskiń; wielokrotnie nazywał je oknami Matki Ziemi, drzwiami do tajemnic jej stworzenia i konstrukcji, wejściami do jej magii i bogactw. Nawet na Pernie wciąż czcił misterium, które dotychczas dominowało w jego życiu.

Celem ich obecnej wyprawy było dokonanie powietrznego rekonesansu kilku złóż mineralnych, odnotowanych przez próbniki metalurgiczne. W łańcuchu górskim, w stronę którego kierowała się Sallah, prowadząc ślizgacz nad nurtem rzeki, lecąc do jej źródeł, spodziewali się znaleźć żelazo, wanad, mangan, a nawet german. Dziewczyna postępowała również zgodnie z ogólnymi wytycznymi, nakazującymi filmować i fotografować wszelkie niezwykle miejsca, tak by zapewnić jak największy wybór. Dopiero trzecia część kolonistów uprawnionych do pobrania ziemi zdecydowała się na swoją działkę. Delikatnie sugerowano, żeby nie wychodzić poza południowy kontynent - przynajmniej w pierwszych kilku pokoleniach - ale w statucie nie zapisano kategorycznego zakazu. W oczach Sallah rozległa, druga dolina rzeki po prawej stronie stanowiła najpiękniejsze miejsce, jakie widzieli do tej pory.

René Mallibeau, najbardziej zapalony winiarz kolonii, wciąż nie znalazł dla swoich winnic terenu o odpowiedniej glebie i nachyleniu, chociaż otwierał ciągle nowe kontenery z różnymi gatunkami gleb i przeprowadzał dziesiątki eksperymentów, by wprowadzić projekt w życie. Quikal nie był powszechnie akceptowanym substytutem tradycyjnych alkoholi. Chociaż stosowano różnorodne filtry, próbowano przygotowywać go z dodatkami lub bez, nic nie mogło do końca zniwelować ostrego posmaku. René miał obiecane wylewane ceramiką metalowe zbiorniki na paliwo, które po dokładnym wymyciu staną się wysokiej jakości kadziami winiarskimi. Oczywiście gdy tylko dęby osiągną odpowiednie rozmiary, by można z nich sporządzić klepki, jego następcy powrócą do tradycyjnych drewnianych beczek.

- Imponujące urwisko, prawda, Tarvi? - spytała Sallah, uśmiechając się odrobinę głupkowato, jak gdyby ten widok był niespodzianką, którą osobiście dla niego przygotowała.

- Istotnie. "W Xanadu kazał Kubłaj Chan..." - mruknął głębokim, ciepłym głosem.

- "Wykuć jaskinie wśród skalnych ścian"? - dokończyła Sallah, starając się nie wyglądać na zbyt zadowoloną, że rozpoznała źródło. Tarvi często cytował dziwaczne teksty w sanskrycie i pusztu sprawiając, że nie potrafiła znaleźć właściwej odpowiedzi.

- W rzeczy samej, o księżycu mego zachwytu.

Sallah stłumiła grymas. Czasami Tarvi wyrażał się wieloznacznie, a wiedziała, że nie miał na myśli tego, co sugerowały jego słowa. Nie byłby tak oczywisty. A może jednak? Czy już zbadała ten występ? Zmusiła się, by dokładnie przyjrzeć się olbrzymiemu skalnemu nawisowi. Jego naturalnie żłobkowane kolumny wyglądały jak wyrzeźbione przez niedbałego lub niedoświadczzonego artystę, jednak nawet ten mankament przydawał urwisowi urody.

- Dolina jest sześć czy siedem klików długa - powiedziała cicho, przejęta podziwem dla otaczającej ich krainy.

Pionowa ściana spektakularnego urwiska ciągnęła się niemalże prostą linią przez jakieś trzy kliki, po czym opadała trochę mniej doskonale zdefiniowaną krawędzią w stronę dna doliny. Sallah przechyliła ślizgacz na sterburkę, kierując się w górę rzeki i na moment oślepiło ich słońce, odbijające się od powierzchni jeziora, które pojawiło się na mapach dzięki próbnikom.

- Nie, wyląduj tutaj - powiedział szybko Tarvi, chwytając ją za ramię, żeby podkreślić nagłące słowa. Geolog rzadko dopuszczał do fizycznego kontaktu i Sallah starała się właściwie interpretować jego entuzjazm. - Muszę zobaczyć jaskinie.

Odpiął pas bezpieczeństwa i zakreślił krzesłem. Następnie ruszył na tył ślizgacza, by pogrzebać między pakunkami.

- Potrzebne nam będzie światło, liny, jedzenie, woda, aparaty rejestrujące, przyborek do próbek - mruczał pod nosem, zwinnymi ruchami zapełniając dwa plecaki. - Buty? Czy masz porządne buty... tak, te, co masz na nogach, powinny wystarczyć. Sallah, zawsze jesteś dobrze

przygotowana. - Zranił jej uczucia zupełnie niezamierzenie, dobijając ją dodatkowo jednym z bardziej przytulnych uśmiechów.

Sallah po raz kolejny pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego tak ją pociąga jeden z najbardziej nieprzystępnych mężczyzn, na jakich natknęła się w życiu. Oczywiście, pocieszała się, coś, co można łatwo zdobyć, nie jest warte nawet minimalnego wysiłku. Posadziła ślizgacz u podnóża imponującego urwiska, jak najbliżej długiego, wąskiego otworu jaskini.

- Haki, lina, pierwsza ściana jest chyba pięć metrów nad usypiskiem. Trzymaj, Sallah!

Wręczył jej plecak, czekając tylko tyle, żeby się upewnić, że złapie pasek, zanim puści osłonę kabiny, po czym zeskoczył i ruszył w stronę nawisu. Z rezygnacją wzruszając ramionami, Sallah wyłączyła nadajnik, interkom oraz rejestrator, następnie zapięła kurtkę, zarzuciła na ramiona sporawy plecak i podążyła za Tarvim, zamykając za sobą dach kabiny.

Tarvi wdrapał się na usypisko i stanął, przykładając dłoń do ściany, mierząc wzrokiem piętrzący się nad nimi masyw, z twarzą ściągniętą z podziwu. Łagodnie, jakby pieszczotliwie pogładził kamień, po czym zaczął się rozglądać na boki, chcąc wybrać najlepszą drogę do jaskini. Rzucił Sallah obojętny uśmiech, dając znak, że ją widzi i dostrzega jej zapal.

- Prosto pod górę. Z hakami nie będziemy mieć kłopotu. Wspinaczka okazała się bardzo wyczerpująca. Wpełzając na półkę Sallah marzyła o odpoczynku, ale przed nimi zionął ciemny otwór i nic nie było w stanie powstrzymać Tarwiego przed natychmiastowym wejściem i niespiesznym zbadaniem jaskini. Och, dobrze, była dopiero 1300. Mieli mnóstwo czasu. Dźwignęła się na nogi, odpięła z paska latarkę zaledwie kilka sekund po Tarvim i stanęła przy nim, zaglądając w szczelinę.

- Och, na wszystkich bogów i pomniejsze bóstwa! Powiedział to szeptem, uroczystym i pełnym podziwu; echo zaszemrało w odpowiedzi. Pierwsza komora była większa niż ładownia na Yokohamie. To skojarzenie natychmiast nasunęło się Sallah, gdy przypomniawszy sobie, jak niesamowicie wyglądały rozległe, puste pomieszczenia podczas ostatniej podróży. W następnej chwili zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałaby jaskinia zamieszkała. Niewątpliwie przypominałaby olbrzymią salę, jak w średniowiecznym zamku na Ziemi - tylko wspanialszą.

Tarvi wstrzymał oddech, z wahaniem wysuwając do przodu nie włączoną latarkę, jak gdyby nie chciał zakłócać majestatu jaskini. Usłyszała, że oddycha głęboko, jak ktoś, kto zmusza się do świętokradztwa, po czym zapaliło się światło.

Zatrzepotały skrzydła, pokrętne cienie w milczeniu zaległy odległe zakamarki. Tarvi i Sallah skulili się, gdy skrzydlaci mieszkańcy groty w promieniach światła przemknęli tuż nad ich głowami, chociaż wejście do groty było wysokie przynajmniej na cztery metry. Ignorując ich ucieczkę, Tarvi z nabożnym szacunkiem ruszył w głąb jaskini.

- Zdumiewające - mruknął, przesunawszy latarkę do góry i stwierdziwszy, że skorupa zewnętrznej ściany nad nimi jest gruba zaledwie na dwa metry. - Bardzo cienka ściana.

- I są w niej jakieś pęcherzyki - powiedziała Sallah, czując się jak intruz i chcąc otrząsnąć się z pierwotnego nabożnego szacunku. - Patrz, tu można by wykuć schody. - Omiotła światłem ukośną podstawę skały, przechodzącą w półkę w miejscu, gdzie gęstniejąca ciemność sugerowała kolejną komorę.

Oczywiście nie słuchał. Szedł naprzód, oceniając szerokość wejścia i rozmiary jaskini. Pospieszyła za nim.

Pierwsza komora kompleksu jaskiń mierzyła pięćdziesiąt siedem metrów w najszerszym miejscu, zwężając się do czterdziestu sześciu po lewej i czterdziestu dwóch po prawej. Wzdłuż tylnej ściany otwierały się niezliczone nieregularne wejścia na różne poziomy; niektóre znajdowały się na równi z podłożem, prowadząc do zespołu tuneli - większość z nich była wystarczająco obszerna, by pomieścić roslą sylwetkę Taniego i jeszcze zostawić sporo miejsca nad głową. Inne, niczym wielkie martwe oczy, spoglądały w dół z wysoka. Tarvi,

choć zafascynowany odkryciem, był przede wszystkim naukowcem. Z pomocą Sallah zaczął szkicować dokładny plan głównej komory, zaznaczając wejścia do sąsiednich grot i tunele prowadzące do środka góry. Przywiązany liną, której koniec zostawił Sallah, zbadał każdy z nich na głębokość około stu metrów. Kobieta nerwowo spoglądała w stronę wyjścia, krzepiąc się widokiem gasnącego dnia.

Tarvi poprawiał następnie pobieżne notatki przy świetle palnika gazowego, na którym Sallah przygotowywała wieczorny posiłek. Geolog wybrał na obóz miejsce położone wystarczająco głęboko w jaskini, żeby uchronić ich od chłodnej bryzy dmuchającej w dolinie, a jednocześnie dostatecznie daleko na lewo, by nie przeszkadzać naturalnym mieszkańcom grot. Później płomyk z zabudowanego palnika miał zniechęcić przedstawicieli perneńskiej fauny przed zbliżaniem się do intruzów.

Sallah rzeczywiście czuła się w jaskini jak intruz. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Miejsce istotnie napawało szacunkiem.

Tarvi zszedł do ślizgacza po przybory kreślarskie i składany stolik, nad którym prawie natychmiast się nachylił. Bez słowa komentarza zjadł gulasz pieczołowicie przygotowany przez Sallah, po czym odruchowo podsunął talerz po dokładkę.

Sallah nie wiedziała, co sądzić o jego zamiśleniu. Z jednej strony była dobrą kucharką i lubiła, żeby jej wysiłki zostały docenione. Z drugiej cieszyła się, że Tarvi jest zajęty czymś innym. Jedna z farmaceutek dała jej szczyptę jakiegoś proszku, zarzekając się, że jest to potężny miejscowy afrodyzjak; Sallah przyprawiła nim gulasz Tarwiego. Sama go nie potrzebowała; jej ciało i umysł i tak wibrowały na myśl o jego obecności oraz ich odosobnieniu. Zaczęła się jednak zastanawiać, czy afrodyzjak jest wystarczająco mocny, by przełamać zachwyty nad jaskinią. To już trzeba mieć jej szczęście, żeby zdobyć faceta tylko dla siebie na dwie noce, a potem patrzeć, jak całkowicie poddaje się urokowi Starej Matki Ziemi w perneńskim przebraniu. Ale nie po to tak długo wyczekiwała na właściwy moment, by teraz stracić okazję. Mogła czekać. Całą noc. I jutrzejszy dzień. Dostała dostatecznie dużo proszku, by starczył jej również na następną noc. Może działa z opóźnieniem?

- Proporcje są po prostu doskonałe, Sallah. Spójrz! - Geolog wyprostował się, poruszając obolałym karkiem. Sallah podeszła do niego, uklękła i zaczęła rozmasowywać napięte mięśnie, jednocześnie zerkając mu przez ramie.

Dwuwymiarowy szkic został wprawnie zarysowany wyraźnymi liniami: Tarvi zaznaczył przednie, tylne i boczne ściany, uczciwie urywając rysunek w miejscach, gdzie kończyły się jego pomiary. To jednak sprawiło tylko, że jaskinia wydawała się jeszcze bardziej imponująca i tajemnicza.

- Ależ wspaniałą warownię można tu było urządzić w dawnych czasach! - Spojrzał w stronę ciemnego wnętrza. Jego szerokie, wilgotne źrenice błyszcząły; najwyraźniej oczami wyobraźni widział zupełnie inną jaskinię. - Całe plemiona mogłyby się tu pomieścić. Latami chronić się przed napaścią. Wiesz, w trzecim tunelu na lewo płynie strumień. Oczywiście, sama dolina też jest obronna, a to byłby po prostu wewnętrzny fort. Ta pionowa ściana odstraszałaby napastników. A z głównej komory jest nie mniej niż osiemnaście wyjść.

Sallah przesunęła mu dłońmi po szyi, przez mięśnie czworoboczne do naramiennych, masując mocno, ale poruszając palcami w sposób, który, jak wiedziała z doświadczenia, jest bardzo skuteczny, gdy chce się odprężyć mężczyznę.

- Ach, jesteś kochana, Sallah, i świetnie wiesz, gdzie łączą się mięśnie. - Poruszył się lekko, nie po to by uniknąć jej poszukujących, uciskających palców, ale nakierować je w najbardziej obolałe miejsca. Odsunął trochę stolik, opuścił ręce na kolana i pokręcił głową. - Czuję jeszcze coś w okolicy jedenastego kręgu... - zasugerował, a Sallah posłusznie odszukała węzeł mięśni i wygładziła go fachowo. Tarvi zamruczał jak głaskany kot.

Sallah nic nie powiedziała, ale przesunęła się kawałeczek do przodu, tak że ich ciała się zetknęły. Wracając palcami do szyi odważyła się przycisnąć do mężczyzny i piersiami

musnąć jego łopatki. Poczwała, jak jej sutki sztywnieją przy kontakcie. Zaczęła szybciej oddychać. Przestała uciskać palcami kark Tarwiego i tylko pieszczotliwymi, długimi ruchami głaskała mu pierś. Złapał jej dłonie. Wyczuła jego spokój, całkowity spokój umysłu i oddechu. Przez ciało przebiegło mu drżenie.

- Chyba nadszedł czas - mruknął, jakby do siebie. - Nie będzie lepszej chwili. A to musi się stać.

Z gracją, która na równi z niewypowiedzianym urokiem stanowiła znak szczególny Tarwiego Andiyara, chwycił ją w ramiona i posadził sobie na kolanach. Na jego twarzy, dziwnie nieprzeniknionej, jak gdyby oglądał Sallah po raz pierwszy, nie malował się czuły, kochający wyraz, który tak starała się wywołać. Wyrziste brązowe oczy były prawie smutne, chociaż doskonale wyrzeźbione usta ułożyły się w nieskończenie łagodny uśmiech - jak gdyby, pomyślała Sallah, zachwycona rozwojem sytuacji, nie chciał jej wystraszyć.

- No to, Sallah - powiedział głębokim, zmysłowym głosem - teraz cię mam.

Wiedziała, że powinna jakoś zinterpretować tę niezbyt jasną uwagę, ale wtedy zaczął ją całować. Jego dłonie nieoczekiwanie ujawniły niebywały erotyczny talent i Sallah straciła chęć do interpretowania czegokolwiek.

Rozdział VIII

Cztery klacze, trzy delfiny i dwanaście krów wydało młode dokładnie w tym samym momencie, przynajmniej tak dowodziły zapiski dokonane o tej porannej godzinie. Sean zgodził się nawet, by Sorka oglądała narodziny źrebaka zaprojektowanego dla niego przez Pola i Bay. Chłopiec wciąż był pełen sceptycyzmu co do koloru i płci konika, chociaż trzy dni wcześniej widział, że pierwsze ze zwierząt pociągowych dla grupy jego ojca dokładnie odpowiadało zamówieniu. Była to krzepka, gniada klaczka z białymi skarpetkami i latarnią, ważąca w momencie narodzin ponad siedemdziesiąt kilo. Wkrótce miała stać się odbiciem nieżyjącego od dawna ogiera z Shire, który ją spłodził.

Jakiś dowcipniś stwierdził, że zapiski z Ładowiska coraz bardziej zaczynają przypominać biblijne kroniki. W ciągu dwóch lat pojawiło się nowe pokolenie, z dnia na dzień zwiększając swoją liczebność. Narodziny ludzi odnotowywano może nie z minutową dokładnością, jaką stosowano wobec zwierząt, ale świętowano je równie hucznie.

Owce i nubijskie kózki, które jakoś zaadaptowały się w miejscach, gdzie inne wytrzymałe gatunki nie dały sobie rady, pasły się na łąkach wokół Ładowiska, a wkrótce miały wyruszyć na farmy umiarkowanej strefy południowego kontynentu. Coraz liczniejszymi stadami opiekowały się takie ilości smoczków, że ekolodzy zaczęli się martwić, czy przypadkiem zwierzęta nie ztratą zdolności do radzenia sobie samodzielnie. Oswojone smoczki okazały się niezwykle wierne w stosunku do ludzi, którzy towarzyszyli im przy wylegu, mimo że niezaspokojone apetyty tych stworzeń przemijały po osiągnięciu dojrzałości, a zresztą dorosłe smoczki potrafiły same zdobywać pożywienie.

Wydział biologii co dzień uczył się czegoś więcej na temat latających istot. Bay Harkenon i Pol Nietro zaobserwowali szczególnie zdumiewające zjawisko. Kiedy złota samiczka Bay łączyła się ze spizowym smoczkiem Pola, oboje biologów zaskoczyła intensywność uczuć okazywanych sobie przez dwa stworzonka. Co dziwniejsze, ludzie też zaczęli reagować na silny erotyczny bodziec. Po pierwszym szoku doszli do porozumienia i zamieszkali we wspólnym, większym domu. Bay i Pol uprosili Klitti Ping, by zezwoliła na zastosowanie wzmocnienia mentasyntowego na czternastu jajach, które Mariah złożyła po locie godowym. W ogóle hołubili maleńką złotą Mariah ze wszystkich sił, ale ani samiczka, ani jej jajka nie odniosły najmniejszego uszczerbku. Kiedy Mariah zniosła mentasyntowe jajka w specjalnie zaprojektowanej atrapie plaży, Bay i Pol nie posiadali się z dumy.

Mentasynt, substancja stosowana pierwotnie przez Beltrae, hermetyczne, mrowiskowe społeczeństwa Erydańczyków, stymulowała rozwój ukrytych zdolności empatycznych. Smoczki je przejawiały, osiągając niemal telepatyczną komunikację z niektórymi ludźmi. Najwyraźniej stanowiły zadziwiający wytwór ewolucji. Były to zwierzęta, które, podobnie jak delfiny, rozumiały swoje środowisko - i potrafiły nim zarządzać. Zachęteni sukcesem wzmocnienia mentasyntowego u delfinów, Bay i Pol mieli nadzieję, że smoczki staną się zdolne do jeszcze bliższej empatii z ludźmi.

Oczywiście, na początku ludzi z Beltrae, którzy zostali "dotknięci", traktowano z wielką nieufnością, ale gdy zdano sobie sprawę z ich zdumiewających zdolności empatycznych w stosunku do zwierząt i innych ludzi, mentasynt stał się bardzo popularny. Wiele grup zyskało uzdrowicieli, których umiejętności zostały wspomóżone. Szczęśliwie wszystko to miało miejsce, nim doszła do władzy Czysta Ludzkość.

Obserwacje węży tunelowych i wherrów wywołały u Bay i Pola wielki podziw dla możliwości uroczych i użytecznych smoczków. Trzeba było wielu eksperymentów z ich tkankami i prób na kilku pokoleniach małych węży tunelowych, żeby pomyślnie wprowadzić mentasynt, ale wieloletnie doświadczenie z takimi gatunkami jak delfiny - i, oczywiście, ludzie - nie poszło na marne.

Wkrótce wszyscy w Ładowisku stali się ekspertami w dziedzinie biologicznych i psychologicznych przyzwyczajzeń smoczków - stworzenia były wystarczająco użyteczne, by zasłużyć sobie na wdzięczność ludzi, którzy niebawem przestali zwracać uwagę na pewne osobliwości z nimi związane. Bay teoretycznie wiedziała, że niektórzy z posiadaczy smoczków odczuwali "prymitywne potrzeby" swoich podopiecznych: głód, strach, gniew oraz nieopanowaną seksualną żądzę. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że może być równie podatna jak jej młodszy koleś. Była to więc wyjątkowo rozkoszna niespodzianka.

Red i Mairi Hanrahanowie byli wdzięczni Sorce i Seanowi, że skłonili swoje smoczki, aby nie łączyły się w pary. Wciąż nie pochwalali bliskiej zażyłości córki z chłopcem i uważali, że jest za młoda, by miała podlegać nieokiełznanym zmysłowym pragnieniom.

Tego ranka, prawie dwanaście miesięcy po lądowaniu, klacz wybrana przez Seana na matkę obiecanego żrebaka właśnie zaczęła się żrebić i nie było wątpliwości, że Sorka, która skończyła trzynaście lat, oraz dwa lata starszy Sean trwali w szczególnym porozumieniu ze swymi smoczkami, zdradzającymi objawy niecierpliwego wyczekiwania. Dwa brązowe i spizowy przycupnęły na szczycie ścianki boksu. Oczy świeciły im z podniecenia; smoczki nuciły cicho pieśń narodzin. Kasztanowa klaczka osunęła się na słomę, było widać głowę i przednie nogi żrebaka. Wydawało się, że krokwie stajni się poruszają, zdobiła je bowiem chyba cała populacja smoczków z Ładowiska, wyśpiewujących i świergoczących swoją zachętę.

Smoczki miary słabość do narodzin i nie opuściły żadnego w całym Ładowisku, wysokimi głosami witając nowego mieszkańca. Całe szczęście, że pozostawały na zewnątrz ludzkich siedzib. Położnicy kolonii pracowali ostatnio bez przerwy, szkoląc pielęgniarzy i przyjmując uczniów. Rządzący smoczków na dachu stanowił niezawodną oznakę zbliżających się narodzin: one nigdy się nie myliły. Położnicy mogli oceniać stadium porodu z intensywności powitalnej pieśni. Co prawda chór mógł pozbawić sąsiadów snu, ale większa część społeczności przyjmowała to zyczliwie. Nawet najbardziej zgorzkniali widzieli, że smoczki strzegą stad krów i owiec, więc doceniali ich wartość.

Kasztanowa klacz dźwignęła się znowu, mocniej wypychając swojego potomka. Ponieważ nogi, głowa i tułów żrebaka były całe pokryte śluzem, Sean nie mógł określić maści konika. Wkrótce, z ostatnim pchnięciem, wydostały się tylne nogi. Nie było już wątpliwości, że żrebak jest szary. Z jękiem niepowstrzymanej radości Sean przypadł do konika i zaczął osuszać jego główkę, zanim jeszcze klacz zdążyła zainteresować się swoim dzieckiem. Sorka, mimo łez ściekających po zakurzonej twarzy, nie posiadała się ze szczęścia. Jak przez mgłę

słyszała podekscytowane komentarze stojących w olbrzymiej stajni weterynarzy.

- To będzie jedyny ogier - powiedział jej ojciec, zwracając się do Seana i Sorki. - Zgodnie z zamówieniem. - Chociaż kolonia potrzebowała przede wszystkim samic wszelakich gatunków, prośba chłopca została potraktowana poważnie. W dodatku miejscowy ogier zawsze mógł się przydać, chociaż w bankach wciąż było wystarczająco dużo nasienia. - Ładny, silny konik - zauważył Red, z aprobatą kiwając głową. - Urośnie na porządne szesnaście dłoni. Waży z sześćdziesiąt kilo. Taki duży źrebak, a wyskoczył z niej jak korek. - Poglądził szyję niewielkiej klaczki, która lizała swoje dziecko, ssące ją z zapalem. - No, no, Sorka - zwrócił się do córki, widząc umazaną łzami buzię. - Dotrzymam obietnicy. Ty też będziesz miała konika. - Objął ją ramieniem.

- Wiem o tym, tatusiu - odparła, wtulając się w jego pierś. - Płaczę, bo jestem taka szczęśliwa z powodu Seana. Wiesz, on nie wierzył Bay. Ani przez chwilę.

Red Hanrahan roześmiał się cicho, nie chcąc, by Sean go usłyszał. Co prawda chłopiec był zajęty tylko swoim konikiem. Miął w palcach węzeł ogona, jak gdyby chciał w ten sposób przyspieszyć ssanie. Przynajmniej raz nieufna, często cyniczna twarz Seana złagodniała od czułości; chłopak wprost pożerał źrebaka oczami.

Sorka uściśnęła ojca w podzięcie i odsunęła się na bok, a spiżowy smoczek poszybował na jej ramię, świergocząc coś szczęśliwym, przyjaznym tonem i władczy gestem oplatając szyję dziewczynki. Następnie Duke przechylił się na pierś Sorki i oczami pełnymi błękitnozielonych błysków zaczął oglądać konika. Zachęcona w ten sposób brązowa parka Seana opuściła się na niższą barierkę, wymieniając z Duke'iem popiskiwanie i świergoty.

- Podoba się wam? - zapytał Sean, uśmiechając się szeroko, chociaż w jego głosie dawało się wyczuć wyzywający ton.

Smoczki z zapalem pokiwały głowami, po czym, przepychając się na barierce, rozpostarły skrzydła i zamachały nimi, wymownie zapewniając Seana, że aprobują nowy nabytek.

- Jest naprawdę prześliczny. Taki, jakiego chciałeś - odezwała się Sorka.

Sean nieoczekiwanie z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić, czy będzie taki jak Cricket.

- No nie, jesteś beznadziejny! - rzuciła Sorka gniewnie. Wyszła z boks, niemalże trzaskając za sobą drzwiami.

- Co ja takiego powiedziałem? - zapytał Sean Reda.

- Sam się domyśl, chłopcze. - Red poklepał go po ramieniu, wahając się między rozbawieniem a troską o córkę. - Nakarm klacz, zanim wyjdiesz, dobrze?

Weterynarz, idąc korytarzem i sprawdzając pozostałe źrebięta, zastanawiał się nad zachowaniem Sorki. Miała dopiero trzynaście lat, ale była nad wiek rozwinięta. Przechodziła okres już prawie od roku. To, że Sean zrobił na niej wrażenie, było oczywiste dla wszystkich oprócz chłopca. On ją tolerował. Podobnie jak jego rodzina. Mairi i Red rozmawiali o tym wielokrotnie, zaniepokojeni rodowodem Seana, chociaż oboje przyznawali, że czas już porzucić stare uprzedzenia i opinie.

Zresztą chłopak poczynił zauważalne postępy. Czy to wiedziony chęcią współzawodnictwa z Sorka, czy zwykłą męską arogancją, poprawił znacznie swoją umiejętność czytania i pisania, a także często używał wyświetlacza w biurze Reda i przeglądał wyniki weterynaryjnych testów. Red starannie podtrzymywał zainteresowanie Seana i zachęcał go do pomocy przy stadach zarodowych. Chłopiec najwyraźniej umiał postępować zwierzętami, i to nie tylko z końmi, chociaż owce ignorował całkowicie.

- Sean mówi, że owce są tylko po to, by je kraść, wymieniać i jeść - powiedziała Sorka ojcu, gdy ten zwrócił uwagę na ów wyjątek.

Main martwiła się czasami, że córka niezmiennie towarzyszy chłopcu, kiedy oboje zyskiwali przydział do jakiejś zoologicznej ekspedycji. Ale Sorka niewinnie wyjaśniała, że dogadują się z Seanem, a zresztą oboje lepiej radzą sobie ze zwierzętami niż dzieci wychowane w mieście.

Póki traktowali obligatoryjne prace na rzecz kolonii jako zabawę, szło im to niezwykle sprawnie. Sean również udzielał się bardziej niż którykolwiek z jego krewniaków. Chłopca i Sorkę wiązał ze sobą po prostu kolektywny duch panujący w Ładowisku, jak z nadzieją zauważyła Mairi w rozmowie z mężem. Red z zaskoczeniem spostrzegł, że znalazł się w pozycji adwokata diabła. Ale później, podobnie jak jego córka, przywykł do zachowania Seana i wiedział, co ignorować.

Poranny przejaw kobiecego rozdrażnienia u Sorki był, o ile Red wiedział, pierwszym. Zastanawiał się z żalem, czy cierpliwość córki wobec niedomyślności Seana została wyczerpana, czy też ich związek wchodził po prostu w nową fazę. Dziewczynka przeszła już odpowiednią teoretyczną edukację w sprawach związanych z seksem, ale aż do dzisiaj cierpliwie znosiła wszystkie wybryki chłopaka. Będzie musiał porozmawiać z Mairi. Gdy tylko znajdzie okazję.

- Red! Reeede! - zawołał któryś z weterynarzy alarmującym głosem.

Red pobiegł na pomoc. O Sorcie i Seanie przypomniał sobie dopiero późno w nocy, kiedy Mairi spała już głęboko. Była w drugim trymestrze ciąży i pracowała wystarczająco ciężko, by zasłużyć na wypoczynek.

Najbardziej na zachód wysunięty palec północnego kontynentu wskazywał prosto na wielką wyspę, której lawendowy masyw zwieszał się nad szarością porannego morza. Avril wystartowała z pustynnego obozu dobrze przed świtem, zostawiając wiadomość, że bierze sobie wolny dzień. Pozostali z pewnością nie mieli nic przeciwko temu, a poza tym była równie zmęczona Ozziem Munsonem i Cobberem Alhinwą jak oni nią.

Wczoraj obaj górnicy znaleźli gdzieś naprawdę niezły turkus i odmówili wyjaśnień co do miejsca znaleziska, pokazując jej tylko z daleka kamień o barwie błękitnego nieba. Wiedziała, że kiedy przyszedli do obozu ubiegłego wieczoru, byli bardzo podekscytowani i przerzucali klejnot między sobą. Poprosiła tylko, by mogła obejrzeć go z bliska, i dała się wyprowadzić z równowagi, gdy mężczyźni postanowili zachować swoją tajemnicę. Będzie musiała być z nimi ostrożna. Uważali się za takich spryciarzy. Tak czy owak turkus, chociaż ceniony na Ziemi, gdyż był rzadki, nie mógł jej skłonić do podlizywania się tej dwójce idiotów.

Później, przy kolacji, kiedy wciąż szeptali coś między sobą i rzucali jej chytre spojrzenia, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie słyszeli czegoś, co sprawiło, że w taki właśnie sposób zareagowali na jej uprzejme i nienatretne pytania.

Usiłowała sobie przypomnieć, czy któryś z nich był kiedyś w jednym zespole z Bartem Lemosem. Ale Bart pracował w górze Andiyara. Musiał przemilczeć przynajmniej fakt znalezienia złotych samorodków w górskim strumieniu powyżej obozowiska. Posłuszny umowie, którą zawarli na Yoko, dał je Avril do schowania w skrytce w Ładowisku. Kobieta nie zwierzała mu się z większej części swego planu, gdyż Bart Lemos, poczęstowany kilkoma kuflami quikalu, opowiedziałby każdemu historię swojego życia.

Możliwe, że Stev Kimmer również nie był tak dobrym kandydatem na sprzymierzeńca, jak sądziła z początku, gdy wysłuchiwała jego bezustannych, złośliwych narzekania podczas ostatniego roku ich nie kończącej się podróży na tę zapomnianą przez bogów planetę. Stev był bardziej atrakcyjny niż pozostali; szczerze mówiąc, był wprost niesłychanie atrakcyjny i, co ważniejsze, namiętny, z takimi skłonnościami do eksperymentowania, jakich mocno przeceniany admirał Benden nigdy nie przejawiał. W ogóle drogi admirał w łóżku okazywał się dość nudny. Cholera z nim. Dlaczego nagle stał się taki oziębły? Po tych wszystkich zapewnieniach o podziw i uznaniu. Była pewna, że ma w ręku kontrakt małżeński. I wtedy, niecały rok przed osiągnięciem punktu przeznaczenia, kiedy Rukbat w mroku kosmosu z iskielki stała się płomykiem, Benden zmienił kurs. Nagle przestał mieć dla niej czas. No i dobrze, przekona się, kim naprawdę jest Avril Bitra. A wtedy będzie już za późno.

Kolonizowanie planet wydawało się dobrym pomysłem na Ziemi, kiedy podniecenie

wywołane wojną z Nathis już ustąpiło. Każda alternatywa, z wyjątkiem Pierwszej Centauri, która, jak wszyscy wiedzieli, była kontrolowana przez Pierwsze Rodziny i kompanie założycielskie, biła na głowę Ziemię. Avril bawiła się nawet przez jakiś czas w nawigatora statków górniczych w obrębie pasa asteroidów, póki Roosevelt Dome nie wybuchł bez żadnej wyraźnej przyczyny, zabijając prawie dziesięć tysięcy mieszkańców. Przez tyle lat zdobyła wystarczająco dużo doświadczenia z profilami psychologicznymi, by wiedzieć, jak kontrolować swój puls i jakie odpowiedzi dawać na kretyńskie pytania, które miały oddzielać prawdę od fikcji. Dzięki temu objęła funkcję astrogatora wyprawy pernijskiej.

Kiedy jednak nie udało jej się usidlić Paula Bendena, który miał być głównym przywódcą na Pernie - w ocenie Avril mniej barwna Emily Boll wkrótce po wylądowaniu zostałaby przyćmiona przez efektownego admirała - kobieta doszła do wniosku, że spędzenie reszty dni w najbardziej odległym zakątku Mlecznej Drogi zupełnie jej nie odpowiada. Ostatecznie była biegłym astrogatorem i gdyby tylko miała statek, mapy oraz hibernator, mogłaby dotrzeć do jakiejś cywilizowanej planety, gdzie żyłaby na poziomie, jakim zawsze chciała się cieszyć.

Zaczęła przygodę ze Stevem Kimmerem po części dlatego, żeby złagodzić ból po utracie Paula. Kiedy zauważyła, że Bart Lemos kręci się w pobliżu, gdy tylko Stev jest na służbie, postanowiła zachęcić i jego. Pewnego wieczoru do grupy dołączył Nabhi Nabol z kilkoma innymi. Bart i Nabhi byli pilotami, poza tym każdy opanował jakąś dodatkową, użyteczną umiejętność: Bart znał się na górnictwie, Nabhi na komputerach. Stev był inżynierem mechanikiem z niezwykłymi zdolnościami do diagnozowania usterek w komputerach i do takiego przestawiania chipów, że wykonywały pracę dwukrotnie większą od pierwotnych zamierzeń konstruktora.

Z planem kiełkującym w umyśle, Avril zaczęła montować odpowiednią ekipę. Większość stanowili kontraktowi, podobnie jak ona, albo założyciele z niewielkimi przydziałami ziemi, którzy zaczęli się czuć oszukani. Podświadomie nasuwała jej się myśl, że byłoby zabawnie, gdyby zdołała zgromadzić dostatecznie wielu popleczników, by obalić obecnych przywódców i przejąć władzę na Pernie osobiście, nie ograniczając się do roli kochanki Paula Bendena. Z tym jednak musiałaby czekać na właściwy moment, gdy kolonia już się ustabilizuje i zaczną się problemy.

Jak dotąd, z wyjątkiem mniejszych opóźnień, nie wystąpiły kłopoty, jakie mogłaby wykorzystać dla swoich celów. Wszyscy byli zbyt zaaferowani różnymi sprawami: zakwaterowaniem, tworzeniem stad oraz krzątaniem się po całym kontynencie w poszukiwaniu miejsca na własną posiadłość. Pogardzała kolonistami za to, że tak entuzjastycznie odnosili się do tych rozległych, dzikich pustkowi, z tysiącami hałaśliwych istot, które pełzały, wiły się lub latały. Na całej planecie nie było pożądanego, użytecznego zwierzęcia, a Avril miała już dosyć jedzenia ryb i wherrów, które zresztą smakowały bardziej rybno niż jakiegokolwiek morskie stworzenie. Przyjęłaby teraz z wdzięcznością nawet wołowinę z kadzi hodowlanej.

Avril była coraz bardziej zdeterminowana; musi się wyrwać z tego cholernego zadupia. Zrobi to w dużym stylu i do diabła z nimi wszystkimi.

Stev Kimmer był jej niezbędny do ucieczki. Montował dla niej nadajnik awaryjny z rozmaitych części, które "znalazł" na Yokohomie; bez tego fragmentu wyposażenia plan by się nie powiódł. Bez Kimmera nie obyłoby się też w momencie wypożyczenia kapitańskiego gigu.

W dodatku Stev zgodził się na jej plan zawładnięcia odpowiednimi sektorami wyspy, aby wydobyć klejnoty. Babcia Shawa zostawiła jej, jako ostatniej z rodu, dziedzictwo, które należało zdobyć.

Kimmer miał wypożyczyć ślizgacz na siedem dni, tłumacząc to całkiem legalnym zamiarem wyszukania odpowiedniego miejsca na własne gospodarstwo. Miał zasugerować, że chce się rozejrzeć po południowym kontynencie. Jako weteran wojenny miał przydział dwukrotnie

większy niż Avril. Kobieta nigdy nie pogodziła się z faktem, że założycielom należy się o wiele więcej niż jakimkolwiek kontraktowemu, wliczając w to nawet nią, astrologa, która dostarczyła ich bezpiecznie do tego zapyzłego miejsca.

Cholerni Munson i Alhinwa. Mogli jej powiedzieć, gdzie wykopali turkus. Pern był dziewiczym światem, z bogactwem metali i minerałów, nie tkniętych jak dotychczas przez bezmyślnych i chciwych kupców. Wystarczyłoby dla wszystkich. W cywilizowanych światach wszystkie okruchy tego błękitnego kamienia zostałyby rozchwyte przez łapczywych kolekcjonerów - im wyższa cena wywoławcza, tym klejnot bardziej godny pożądaniam!

I dlaczego nie miała wieści od Nabiego? Podejrzewała, że może ma własny plan i nie chce się do niej przyłączyć. Będzie musiała go obserwować: należał do gatunku krętaczy. Podobnie jak Avril. Jednak na dłuższą metę to ona, jako astrolog, była górą, Nabhi nie posiadał dostatecznych umiejętności, by na własną rękę wrócić do domu. Musiał się z nią trzymać, a ona nie musiała - zależało to tylko od jej widzimisię. Nabol był znacznie gorszym kandydatem niż Kimmer, ale w razie konieczności on też by się nadał.

Przemierzyła już prawie całą odległość między kontynentem a wyspą i widziała, jak fale rozbijają się o granitową skałę. Skręciła w lewo, szukając zatoki, w której dawno temu obozowała grupa badawcza. Powiedziała Kimmerowi, żeby tam na nią czekał. Czuła się lepiej wiedząc, że w tym miejscu stanęła już kiedyś ludzka stopa. Nie mogła słuchać tych idiotów kolonistów, gdy się chełpili, że są "pierwszymi", którzy coś widzą, czy też "pierwszymi", którzy gdzieś stoją. Albo to wyklócanie się o nazwy - noc w noc główny temat rozmów przy ognisku. Gównu z Jeziorem Drake'a! Co za dupek! Pieprzony gracz w piłkę grawitacyjną!

Skorygowała kurs, spostrzegłszy dwie igły skał, tworzące falochron przed nieregularnym owalem zatoki. Kimmer z pewnością chciałby ukryć ślizgacz... Przyłapała się na tej myśli i prychnęła rozbawiona. Tak jakby w tym świętoszkowatym świecie ktoś chciałby ich szpiegować! "Wszyscy jesteście równi". Tak postanowili nasi dzielni i szlachetni przywódcy. Koloniści mają równe prawa do bogactw Pernu. No i dobrze. Tyle że ja wezmę swój równy przydział wcześniej i strąsę z butów pył tej planety!

Gdy tylko minęła skalne igły, dostrzegła błysk metalu pośród gęstych liści po stronie sterburty, na skalnej półce tuż nad piaszczystym brzegiem. Obok unosił się dym z małego ogniska Kimmera. Zgrabnie posadziła ślizgacz tuż obok jego maszyny.

- Nie myliłaś się co do tego miejsca, dziecinko - powitał ją, podnosząc zaciśniętą pięść i potrząsając nią w geście zwycięstwa. - Dotarłem tu wczoraj po południu, przez całą drogę miałem wiatr od rufy, więc przeprowadziłem mały rekonesans i zobacz, co znalazłem!

- Pokaż - zażądała, nawet nie usiłując ukrywać entuzjazmu, chociaż niezbyt jej się podobały jego samotne eksploracje.

Uśmiechnął się szeroko i powoli otworzył palce, opuszczając dłoń tak, że dostrzegła duży odłamek szarej skały. Twarz Avril już zabarwiło rozczarowanie, gdy mężczyzna lekko obrócił kamień, tak że dostrzegła nieomylny pobłysk zieleni klejnotu, na wpół zatopionego w skale.

- O kurczę! - Wyrwała mu kamień z ręki i podniosła go pod słońce, które zdążyło już wstać nad oceanem. Zwilżyła palec i potarła zielone miejsce.

- Znalazłem także to - odezwał się Kimmer.

Avril podniosła wzrok i ujrzała graniasty zielony kamień rozmiarów miseczki sporej łyżki, trochę chropawy w miejscach, którymi stykał się z wapieniem.

O mało co nie wyrzuciła skały z jej wciąż ukrytym skarbem, tak bardzo się spieszyła, by wziąć do ręki szmaragd. Obejrzała go pod słońce, dostrzegła skazę, ale głęboka, czysta zieleń była bez zarzutu. Zważyła go w dłoni. A niech to, trzydzieści do czterdziestu karatów. Zręczny jubiler przetnie obok skazy i będzie piętnastokaratowy klejnot. A to tylko próbka... Sam pomysł, że można być czeladnikiem u szlifierza i wykorzystywać tak cudowny klejnot do nauki, rozbawił ją do łez.

- Gdzie? - zapytała, wstrzymując oddech z niecierpliwości.

- Tam. - Obrócił się, wskazując gęstą roślinność. - Cała jaskinia pełna szmaragdów tkwiących w skałach.

- I po prostu tam poszedłeś, a one zaczęły do ciebie mrugać? - Zmusiła się, by mówić spokojnie, z rozbawieniem, uśmiechając się aprobowczo do jego rozjaśnionej twarzy. Wyglądał na tak cholernie zadowolonego z siebie. Avril nie przestała się uśmiechać, ale zazgrzytała zębami.

- Mam dla ciebie kłah - powiedział, machnąwszy ręką w stronę ognia, przy którym ustawił rozeń i kamień na czajnik.

- Tę obrzydliwą lurę! - wykrzyknęła. Avril była nieuleczalną miłośniczką mocnej kawy, a jej resztki podano podczas żałosnych obchodów Dziękczynienia. Zresztą kiedy nastąpił wstrząs, dzbany zachwiały się w stojakach i cała kawa przywieziona z Ziemi wsiąkła, nie wypita, w glebę Pernu.

- Och, jak użyjesz sporo słodzika, wcale nie jest taka zła. - Nalał jej kubek, chociaż wcale nie mówiła, czy sobie tego życzy. - Mówią, że ma tyle kofeiny co kawa czy herbata. Sekret tkwi w tym, żeby dokładnie wysuszyć korę przed zmieleniem i parzeniem.

Wrzucił słodzik do kubka i podał go Avril, spodziewając się, że będzie wdzięczna za troskliwość. Nie mogła sobie pozwolić na zniechęcanie Kimmera, nawet jeśli zachowywał się jak prawomyślny, dobry kolonista, pochwalający wszystkie pernijskie substytuty.

- Przepraszam, Stev - powiedziała, z uśmiechem biorąc kubek. - Poranne nerwy. Naprawdę brak mi kawy.

Wzruszył ramionami.

- Już niedługo, no nie?

Zdołała utrzymać uśmiech na wargach, zastanawiając się, czy Stev wie, jakiego kretyna z siebie robi. Ale przecież, skarciła się w duchu surowo, gdyby tylko trochę ostrożniej grała z Paulem, mogłaby być pierwszą damą Pernu. Gdzie popełniła błąd? Mogłaby przysiąc, że potrafi go przy sobie zatrzymać. I wszystko szło dobrze, póki nie weszli w system Rukbat. A potem przestał ją zauważać. I to ja ich tu przywiozłam!

- Avril?

Wróciła do terażniejszości, słysząc niecierpliwość w głosie Steva Kimmera.

- Przepraszam - powiedziała.

- Mówiłem, że ja już się najadłem, więc możemy wyruszyć, gdy tylko skończysz.

Przechyliła kubek, patrząc jak ciemny płyn momentalnie plami biały piasek. Poruszyła ręką, by strząsnąć ostatnie krople, po czym postawiła naczynie do góry dnem przy ognisku niczym porządna kolonistka. Wstała, uśmiechając się serdecznie do Kimmera.

- No, to w drogę!

Część II

Nici

Rozdział I

4.5.08 Pern

Prawdopodobnie dlatego, że po prawie ośmiu latach bliskiego sąsiedztwa ludzie tak bardzo przywykli do smoczków, w końcu przestali zwracać uwagę na ich zachowanie. Ci, którzy spostrzegli w nim coś dziwnego, pomyśleli, że stworzenia bawią się po prostu w jakąś grę, gdyż smoczki niestrudzenie wymyślały coraz to nowe formy zabaw. Później ludzie mieli sobie przypomnieć, że smoczki usiłowały zagnać stada do obór. Strażnicy morscy mieli sobie przypomnieć, że butlonosy, Bessie, Lottie i Maksymilian, natarczywie usiłowały wyjaśnić swoim ludzkim przyjaciółom, dlaczego miejscowe gatunki ryb stadami odpływają na wschodnie żerowiska.

W swoim domu w Sektorze Europejskim Sabra Stein-Ongola pomyślała nawet, że Fancy, ich samiczka, atakuje jej trzyletniego synka, bawiącego się na podwórku. Małeńkie złote stworzonko chwyciło koszulkę Shuvina, usiłując odciągnąć chłopca od kupy piasku i ulubionej ciężarówki. Gdy Sabra pobiegła dziecku na ratunek i odgoniła Fancy, ta zaczęła krążyć jej nad głową, popiskując z radości. Było to zdumiewające zachowanie, ale chociaż koszula została podarta, Sabra nie spostrzegła na ciele Shuvina żadnych śladów po smoczkowych pazurach. Zresztą Shuvin nie płakał. Chciał tylko wrócić do swojej ciężarówki, ale matka postanowiła go przebrać.

Ku jej najwyższemu zdumieniu, Fancy chciała wlecieć do domu za nimi. Sabra w ostatniej chwili zdążyła zamknąć drzwi. Oparła się o nie, oddychając ciężko i wtedy przez okno dostrzegła, co wyprawiają smoczki. Pocieszyła się trochę faktem, że nigdy nie zanotowano przypadku zranienia człowieka przez smoczka, nawet w ferworze łączenia się w pary. Teraz jednak podniecało je coś innego, gdyż zielone krążyły równie zaaferowane jak cała reszta, a zielone zawsze usuwały się z drogi, gdy złote przechodziły ruję. A zresztą to nie była pora na ruję u Fancy.

Gdy Sabra zmieniała koszulkę Shuvina, wprawnie trzymając wyrywającego się chłopca, zdała sobie sprawę, że krzyki, które przenikają cienkie, plastikowe ściany domu, wyrażają strach. Sabra знаła zwykły wachlarz głosów smoczków równie dobrze jak inni mieszkańcy Ładowiska. Czego miałyby się bać?

Czasami w okolicy Zachodniego Łańcucha Barrierowego widywano jakieś duże stworzenie - zapewne niezwykle wyrosniętego wherry - ale niezbyt prawdopodobne, żeby zapuściło się ono tak daleko na wschód. Jakie inne niebezpieczeństwo mogło się pojawić w pogodny wiosenny poranek? Smuzka szarych chmur daleko na horyzoncie zwiastowała wieczorny deszcz, ale to mogło tylko wyjść na dobre kiełkującemu zbożu. Może powinna pozdejmować bieliznę ze sznurów. Czasami tęskniła za mechanicznymi urządzeniami ze starej Ziemi, które eliminowały część uciążliwych zajęć domowych. Szkoda, że rada nigdy nie kazała winnym naruszenia porządku pomagać gospodyniom w domu. Wygładziła koszulkę synka, a on odwdzieczył jej się wilgotnym całusem.

- Mogę teraz wziąć samochodzik? Mamusi?

Jego pełne nadziei pytanie sprawiło, że Sabra nagle uświadomiła sobie brak zwykłej, radosnej kakofonii smoczkowych głosów, które towarzyszyły codziennym zajęciom w Ładowisku i w prawie każdej osadzie na całym południowym kontynencie. Kompletna cisza była przerażająca. Zaskoczona przytrzymała Shuvina, który koniecznie chciał pobawić się w piasku, po czym wyjrzała przez tylne okno, a następnie przez plasglasową szybę w drzwiach. Ani jednego smoczka. Nawet na domu Betty Musgrave-Blake, gdzie wcześniej odbywały

jedno ze swych zwykłych zgromadzeń. Betty spodziewała się drugiego dziecka; zresztą Sabra widziała, jak Basil, położnik, przyjeżdża razem z Gretą, swoją bardzo zdolną uczennicą. Gdzie podziały się smoczki? Nigdy jeszcze nie przegapiły narodzin.

Chociaż życie w Ładowisku było już dobrze ustabilizowane, każdy mieszkaniec nadal miał obowiązek raportowania o wszelkich niezwykłych wypadkach na Pernie. Sabra spróbowała dotrzeć do Ongoli przez interkom, ale linia była zajęta. Wciąż jeszcze trzymała dłoń na aparacie, kiedy Shuvin wyciągnął brudną łapkę w stronę drzwi i pociągnął za klamkę, z łobuzerskim uśmiechem patrząc na mamę. Nauczył się nowej sztuczki. Sabra uśmiechnęła się przyzwalająco i wystukała numer Bay. Ona z pewnością będzie wiedziała, co jest nie tak z jej ulubieńcami.

Dobry kawałek na wschód i lekko na południe od Ładowiska Sean i Sorka polowali na wherry na świąteczny posiłek. W miarę jak powstawało coraz więcej osiedli, myśliwi musieli zapuszczać się coraz dalej.

- Nawet nie próbują polować, Sorka. - Sean zmarszczył się gniewnie. - Prawie cały poranek spędziły na kłótniach. Cholerne głuptyki. - Podniósł muskularne, opalone ramię i pogroził swoim ośmiu smoczkom. - Do roboty, wy skrzydlate lenie. Jesteśmy na polowaniu!

Został całkowicie zignorowany. Jego najstarsze dwa brązowe kłóciły się z mentasyntowymi, a zwłaszcza z królową Seana, Blazer. To już było niezwykle: Blazer, która została genetycznie ulepszona przez Bay Harkenon, zwykle potrafiła wymusić posłuszeństwo. Zresztą niższe w hierarchii kolory zawsze traktowały płodne złote samice z niezwykłym szacunkiem.

- Moje tak samo - stwierdziła Sorka, wskazując swoich pięć smoczków, przyłączających się do podopiecznych Seana. - O rany, one lecą na nas! - Oddała wodze i ścisnęła kolanami boki gniadej klaczy, ale zatrzymała się widząc, jak Sean zawraca Cricketa, by stawić czoło nadlatującym smoczkom i rozkazująco podnosi rękę. Była jeszcze bardziej zaskoczona, gdy spostrzegła, że smoczki przyjmują szyk bojowy i krzyczą coś głosami, zdradzającymi niewypowiedziany strach oraz zwiastującymi niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? Gdzie? - Sean poderwał Cricketa, tak że stanął jedynie na tylnych nogach i zakręcił nim dookoła. Tej sztuczki Sorka nie potrafiła opanować, mimo wysiłków Seana i własnej cierpliwości. Chłopak ogarnął wzrokiem niebo, po czym osadził konia, gdy smoczki zgodnie obróciły głowy na wschód.

Blazer wylądowała na jego ramieniu, oplatając ogonem szyję i lewe ramię, po czym krzyknęła do pozostałych. Sean był zdumiony tonem jej głosu. Królowa przyjmująca rozkazy od brązowych? Przestał się jednak zastanawiać, gdy zaczął przechwytywać jej pełne niepokoju myśli.

- Ładowisko w niebezpieczeństwie? - zapytał. - Schronienie?

Kiedy Sean przemówił, Sorka zrozumiała, że spiżowe usiłowały jej przekazać dokładnie to samo. Sean zawsze szybciej odczytywał mentalne sygnały od swoich wzmocnionych smoczków, zwłaszcza od Blazer, która najlepiej współgrała. Sorka często marzyła o złotej samiczce, ale za bardzo kochała swoje spiżowe i brązowe, by wyrazić to marzenie na głos.

- Ja odbieram to samo - powiedziała Sorka, gdy pięć smoczków zaczęło szarpać różne części jej odzieży. Chociaż Sean potrafił polować obnażony do pasa, dziewczynie za bardzo podrygiwały piersi, by mogła wygodnie jeździć konno; skórzana kamizela bez rękawów podtrzymywała jej biust, a poza tym chroniła przed pazurami smoczków. Spiżowy Emmett usadowił się na głowie gniadej Doove, chwytając jedno ucho i grzywę, usiłując zawrócić klacz w drugą stronę.

- Coś dużego, niebezpiecznego i schronienie! - powiedział Sean, kręcąc głową. - To tylko burza, chłopaki. Widzicie, zwykła chmura!

Sorka spojrzała na wschód i zmarszczyła brwi. Wjechali wystarczająco wysoko na płaskowyż, by widzieć w oddali morze.

- Ta chmura trochę dziwnie wygląda, Sean. Nigdy takiej nie widziałam. Odrobinę przypomina chmury śniegowe, jakie czasami zdarzały się w Irlandii.

Sean wykrzywił się i ścisnął konia nogami. Cricket, zdenerwowany nagłymi okrzykami smoczków, zatańczył w miejscu, wykonując całkiem fachowe piaffe, ale było jasne, że gdyby tylko chłopak poluzował wodze, koń popędziłby przed siebie w oszalałym galopie. Zaniepokojony ogier przewracał oczami i parskał. Doove także się boczyła, zdenerwowana niezwykle natarczywością Emmetta.

- Tutaj nie ma śniegu, Sorka, ale masz rację co do koloru i kształtu. Do licha, cokolwiek pada, jest już cholernie dobrze widoczne. Deszcz tak nie wygląda.

Duke i dwa najstarsze brązowe Seana dostrzegły to także i wrzasnęły z przerażenia. Blazer zawołała coś rozkazującym tonem. W następnej chwili oba konie gnały przed siebie na złamanie karku, ponaglone precyzyjnie umiejscowionymi pazurami smoczków, które zwartą grupą leciały na północny zachód. Wodze, łydka ani głos nie miały żadnego wpływu na dwa oszalałe z bólu konie, bo kiedy tylko próbowały usłuchać jeźdźców, otrzymywały kolejne ukłucie od pilnujących je smoczków.

- Co, do diabła, w nie wstąpiło?! - wykrzyknął Sean, ciągnąc hackamore, którego używał zamiast wędzidła, nie chcąc ranić miękkiego pyska Cricketa. - Zaraz złamię mu ten cholerny nos.

- Nie, Sean! - zawołała Sorka, pochylając się do przodu. - Duke boi się tej chmury. I cała reszta moich tak samo. Nigdy nie skrzywdziłyby koni! Nie wolno nam ich zignorować.

- Tak jakbyśmy mogli!

Konie pędziły stromym zboczem w dół wąskiej doliny. Sean musiał przywołać wszystkie swoje umiejętności, by utrzymać się na grzbiecie Cricketa, ale wyczuł ulgę Blazer, że zdołała skierować ich z dala od niebezpieczeństwa.

- Jakiego niebezpieczeństwa? - warknął rozwścieczony, nienawidząc uczucia beziły wobec zwierzęcia, które przez ostatnich siedem lat nigdy nie okazało nieposłuszeństwa; stworzenia, które, jak sądził, rozumiał lepiej niż jakiegokolwiek człowieka na całej planecie.

Wyciągnięty krok nie uległ skróceniu, mimo że Sean czuł, jak jego szary ogier, chociaż wytrzymały, zaczyna słabnąć. Smoczki poganiały konie w stronę jednego z małych jezior, jakich było pełno w tej części kontynentu.

- Dlaczego do wody, Sean?! - zawołała Sorka, odchylając się do tyłu i ściągając wodze. Kiedy klacz zwolniła z wyraźną radością, Duke i dwa inne spizowe wrzasnęły na znak protestu i ponownie wbiły się pazurami w jej zakrwawiony zad.

Rżąc i przewracając oczami Doove skoczyła w wodę, omal nie wysadzając Sorki z siodła. Ogier skoczył za nią, poganiany pazurami smoczków Seana.

Jezioro, głęboki basen zbierający wodę spływającą z okolicznych wzgórz, miało jedynie wąski pas plaży i konie wkrótce musiały płynąć, zaganiane przez smoczki w stronę skalnego nawisu po drugiej stronie. Sean i Sorka często opalali się na tej półce; lubili też skakać z niej w głęboką wodę.

- Półka? Chcą, żebyśmy wpłynęli pod półkę? Tam jest cholernie głęboko.

- Dlaczego? - zapytywała Sorka. - To przecież tylko deszcz się zbliża. - Płynęła obok Doove, jedną ręką trzymając się łęku siodła, drugą dzierżąc wodze i pozwalając klaczy holować się w stronę nawisu. - A gdzie one się podziały?

Sean, płynąc obok Cricketa, odwrócił się, by spojrzeć w stronę, z której przybyli. Nagle oczy mu się rozszerzyły.

- To nie deszcz. Płyn szybko, Sorka! Płyn do półki!

Dziewczyna zerknęła przez ramię i ujrzała, co tak zaskoczyło jej zwykle opanowanego towarzysza. Strach podpełzł jej do gardła; ciągnąc wodze zmusiła Doove do większego wysiłku. Byli już prawie na miejscu, niemal bezpieczni przed złowieszczą syczącym srebrem, które opadało z nieba na drzewa, pomiędzy których dopiero co się wydostali.

- Gdzie są smoczki? - załkała Sorka, wciskając się w mrok pod skałę. Pociągnęła Doove, usiłując jej też zapewnić schronienie.

- Na pewno w bezpieczniejszym miejscu, nie musisz się martwić! - odparł Sean z gniewną goryczą, zmuszając Cricketa do wpłynięcia pod skałę. Było tam wystarczająco miejsca, by końskie łby wystawały nad wodę, ale wierzgające nogi nie znajdowały oparcia.

Nagle oba konie przestały się opierać jeźdźcom i zaczęły przyciskać Seana i Sorkę do wewnętrznej skały, rżąc histerycznie.

- Podciągnij nogi, Sorka! Trzymaj się ściany! - zawołał Sean, pokazując jednocześnie, jak to zrobić.

Usłyszeli syk wody. Wyglądając spoza łbów przerażonych koni mogli dostrzec długie, cienkie nici wpadające do jeziora. Woda zagotowała się nagle; przecinały ją płetwy śmigających rybek, które całymi ławicami napływały ze strumieni.

- Kurczę! Popatrz no tylko! - Sean, podekscytowany, wskazał na strumień ognia tuż nad powierzchnią wody. Spalił on nic, zanim wpadła do jeziora.

- Tam także! - zawołała Sorka, a chwilę później usłyszeli zaaferowany, lecz zachwycony chór smoczków. Stłoczeni pod skalnym nawisem, od czasu do czasu dostrzegali jedynie przelatujące stworzonka oraz błyski ognia.

Dopiero wtedy Sorka przypomniała sobie ten dzień sprzed wielu lat, kiedy po raz pierwszy widziała, jak smoczki bronią stada drobiu. Wtedy też była pewna, że Duke pluje ogniem na wherry.

- Już to kiedyś widziałam, Sean - powiedziała. Jej palce ześliznęły się po wilgotnym ramieniu chłopaka, którego dotknęła, by przyciągnąć jego uwagę. - One jakoś potrafią wydmuchiwać ogień. Może właśnie po to mają ten drugi żołądek.

- W każdym razie cieszę się, że nie okazały się tchórzami - mruknął Sean, ostrożnie podsuwając się w stronę wyjścia. - Nie - powiedział z ulgą i odetchnął głęboko. - Zdecydowanie nie są tchórzami. Chodź tutaj, Sorka.

Zerknąwszy niespokojnie na Doove, Sorka przysunęła się do Seana i aż krzyknęła, pełna podziwu. Oprócz ich smoczków nad wodą krzątała się cała masa obcych. Wydawało się, że mali wojownicy partiami atakują opadające przedmioty. Płomienie spalały nici na węgiel, a popiół opadał w wodę, gdzie natychmiast pożerały go chciwe rybie pyski.

- Widzisz, Sorka, smoczki bronią tej półki.

Sorka zobaczyła, jak złowrogi deszcz opada do jeziora po drugiej stronie, tam gdzie nie powstrzymywała go strefa smoczkowego ognia.

- Kurczę, Sean, zobacz, co to robi z krzakami! - Wskazała na brzeg. Zwarte zarośla gęstych krzaków, przez które przedzierali się jeszcze przed chwilą, teraz zniknęły, pokryte wijącymi się masami nici, zdajęcymi się przyrastać z minuty na minutę. Sorka poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Największym wysiłkiem woli powstrzymała wymioty. Seanowi zbladły wargi. Ręce chłopaka, poruszające się rytmicznie, by umożliwić mu utrzymanie się na powierzchni, zacisnęły się w pięści.

- Cholera, nic dziwnego, że smoczki były wystraszone. - Bezsilnie uderzył pięściami po wodzie, wywołując kręgi fal. Natychmiast przy skale pojawił się Duke Sorki i zajrzał do środka, wisząc nieruchomo w powietrzu. Odczekał tylko tyle, by wydać z siebie pokrzepiające ćwierkniecie, po czym dosłownie zniknął.

- No tak - powiedział Sean. - Gdybym był Polem Nietro, nazwałbym to ich momentalne znikanie najlepszym mechanizmem obronnym, jaki stworzyła natura. - Długa nic ześliznęła się ze skały i na chwilę zawisła przed ich przerażonymi oczami, po czym spopielił ją ogień.

Sean ostrożnie zalał resztki wodą, odgarniając je daleko od siebie i Sorki. Z tyłu chrapanie koni dowodziło, że zwierzęta też są zaniepokojone.

- Jak długo jeszcze? - zapytał Sean, podpływając do głowy Cricketa i uspokajając konika pieszczotami. - Jak długo?

- To nie są oznaki rui - powiedziała Bay do Sabry. - To jakiś całkowicie irracjonalny wzorzec zachowania. - Bay, gorączkowo przypominając sobie wszystkie obserwacje dotyczące smoczków, wyglądała przez okno. Gdy patrzyła, jeden ze ślizgaczy uniósł się ze swego miejsca w pobliżu wieży meteo i z pełną szybkością skierował się w stronę chmury. - Poczekaj, sprawdzę dane behawioralne i porozmawiam z Polem. Oddzwonię do ciebie. To naprawdę niezwykle.

Pol pracował w warzywniku. Spostrzegł żonę i pomachał radośnie ręką, odsuwając czapkę z daszkiem na tył głowy i ocierając czoło. Ziemia w ogródku została wzbogacona o różnorodność ziemskich gatunków owadów i pierścienic, które z równym zapałem napowietrzały glebę na Pernie co na Ziemi, przerastając lokalne, bardziej leniwe gatunki. Bay zobaczyła, jak Pol zatrzymuje rękę w połowie gestu i rozgląda się dookoła; domyśliła się, że dopiero teraz zauważył nieobecność smoczków.

- Gdzie one wszystkie się podziały? - Popatrzył po sąsiednich ogrodach, zatrzymał wzrok na pustym dachu Betty. - To chyba było dość nagle?

- Sabra właśnie do mnie dzwoniła. Powiedziała, że Fancy jakby zaatakowała małego Shuvina. Bez żadnej wyraźnej przyczyny. Ale pazury nie zadrapały ciała. Potem Fancy usiłowała wejść za nimi do domu. Sabra mówi, że wyglądała na przestraszoną.

Zaskoczony Pol uniósł brwi, po czym dokończył ocierania twarzy z potu i z powrotem nasadził czapkę na czoło. Oparł się na motyce i rozejrzał dookoła. Dopiero wtedy spostrzegł szare chmury.

- Coś mi się to nie podoba, kochana - powiedział. - Chyba zrobię sobie chwilę przerwy, póki nie przejdą. - Uśmiechnął się do niej. - A tymczasem sprawdzimy twoje notatki na temat smoczków traktowanych mentasyntem. Bo Fancy jest mentasyntowa, nie dzika.

Nagle powietrze wypełniło się krzykami, wrzaskami, buczeniem oraz mrowiem bardzo wystraszonych smoczków.

- Gdzie one się podziewały, małe szkodniki? - zapytał Pol, zrywając z głowy czapkę i wymachując nią zamasyście przed twarzą. - Fu! Śmierdzą!

Bay zacisnęła nos, zmykając w stronę domu.

- Rzeczywiście. Zupełnie jak siarka.

Sześć smoczków odłączyło się od wielkiego stada i sfrunęło do Pola i Bay, bijąc ich skrzydłami po plecach i drapiąc, żeby zmusić do przyspieszenia kroku.

- One chyba zaganiają nas do domu, Pol - powiedziała Bay. Kiedy się zatrzymała, żeby przeanalizować tak niezwykle zachowanie, królowa chwyciła lok jej włosów, a dwa spiżowe złapały za przód tuniki, ciągnąc ją w stronę drzwi. Okrzyki stały się jeszcze bardziej nagłe.

- Chyba masz rację. Innym też to robią.

- Nigdy nie widziałam tylu smoczków. Nigdy nie mieliśmy tu takiego zgromadzenia - ciągnęła Bay, posłusznie zrywając się do niespiesznego truchtu. - Większość to dzikie! Spójrz, o ile mniejsze są ich królowe. A dominują zielone. Fascynujące.

- Istotnie - potwierdził Pol, lekko ubawiony widokiem ich skrzydlatych przyjaciół, którzy wlecieli do domu i usiłowali pomóc ludziom zamknąć drzwi. - Wprost niezwykle.

Bay siedziała już przy terminalu.

- Najwyraźniej to coś jest niebezpieczne zarówno dla nich, jak i dla nas.

- Wolałbym, żeby się uspokoiły - powiedział Pol. Smoczki miały się po jadalni, sypialni i łazience, wlatując nawet do tej części domu, którą przekształcono na małe, ale dobrze wyposażone laboratorium dla dwójki naukowców. - Tego już trochę za wiele. Bay, powiedz swojej królowej, żeby usiadła, to inne pójdą za jej przykładem.

- Powiedz jej sam, Pol, a ja uruchomię program behawioralny. Usłucha cię tak samo jak mnie. Pol usiłował zwabić Marian, żeby usiadła mu na ramieniu. Ale samiczka siadała tylko na moment i natychmiast zrywała się do lotu, a pozostałe za nią. Kęs ulubionej ryby został

całkowicie zignorowany. Pol nie czuł już rozbawienia. Wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, czy inne też poddały się atakowi masowej hysterii, i zauważył, że na zewnątrz nie było ludzi. Widział chmury pyłu nad barakami weterynarzy i ciemne sylwetki smoczków usiłujących zagonić stada. Słyszał też odległy ryk wystraszonych zwierząt.

- Mam nadzieję, że znajdzie się na to jakieś wytłumaczenie - mruknął, stając za plecami Bay, by spojrzeć na ekran. - O, do licha, spójrz na dom Betty! - Wskazał palcem ponad monitorem na okno, przez które widać było budynek całkowicie oblepiony przez smoczki. - Mój Boże, mam do nich iść i sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy?

Kiedy wyciągnął dłoń, by chwycić za klamkę, Mariah, sycząc z gniewu, skoczyła mu do ręki i odepchnęła ją, drapiąc.

- Nie wychodź, Pol. Nie wychodź. Patrz!

Bay na wpół uniosła się z krzesła i zamarła w bezruchu. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Gdy Pol opiekuńczym gestem objął jej ramiona, oboje usłyszeli syk spadającego na Ładowisko potwornego deszczu. Widzieli pojedyncze wydłużone "krople", uderzające w ziemię, czasem natrafiające tylko na kurz, czasem owijające się wokół krzaków czy źdźbeł trawy, które zniknęły, zostawiając tylko napuchnięte ślimakowskie formy, szybko atakujące każdą roślinkę, którą napotkały na swej drodze. Obiecująco kiełkujący ogródek Pola zamienił się w kłębowisko szarawych "rzeczy", z sekundy na sekundę rozdymających się coraz bardziej po każdym posiłku.

Mariah wydała z siebie ochryply okrzyk i zniknęła z domu. Pozostałych pięć smoczków momentalnie poszło w jej ślady.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedział Pol zdumionym szeptem. - Teleportują się grupami, prawie w zwartym szyku. A więc telekineza wykształciła się pierwotnie jako technika przetrwania. Hmmm.

Zostawiając za sobą bezmyślnie żarłoczne twory, makabryczny deszcz przybliżył się, nieubłagane posuwając się przez starannie wyłożone kamieniami patio Pola w stronę domu.

- Nie potrafią trawić kamieni - zauważył Pol z naukowym obiektywizmem. - Ufam, że nasz silikonowy dach okaże się równie dobrą przeszkodą.

- Smoczki mają nie tylko jedną niezbadaną umiejętność, mój drogi - powiedziała Bay z dumą i wskazała palcem.

Ich smoczki na zewnątrz szybowały i nurkowały, zionąc ogniem, by spopielić atakującą formę życia, zanim dotknęła domu.

- Byłbym szczęśliwszy, gdybym wiedział, że te rzeczy nie przebiją się przez plastik - powtórzył Pol z lekkim drżeniem w głosie, spoglądając na półprzezroczysty dach. Cofnął się nagle, przykucając odruchowo, gdy usłyszał szelest uderzenia, potem następny, a potem ujrzał krótki błysk płomienia, widoczny nawet przez ciemny dach.

- Co za ulga - powiedział, prostując ramiona.

- Uderzały w dach, ale smoczki, chwała ich małym serduszkom, zdołały je zniszczyć. - Bay wyjrzała przez okno wychodzące na dom Betty Musgrave-Blake. - Dobry Boże! Spójrz na to!

Budynek jakby stał w ognistym kręgu: chronił go parasol smoczków, gorączkowo piklujących, żeby nawet jeden fragment nienaturalnego opadu nie trafił w dom rodzącej kobiety.

Pol wykazał przytomność umysłu i między szpargałami na półce odszukał lornetkę. Skierował ją na pola i baraki weterynaryjne.

- Zastanawiam się, czy będą chronić również zwierzęta. Jest ich za dużo, żeby wszystkie zmieściły się pod dach. Ale wygląda na to, że smoczki gromadzą się w tamtej okolicy.

Żywo zainteresowani bezpieczeństwem stad, które pomogli stworzyć, Pol i Bay obserwowali na zmianę. Bay nagle odjęła lornetkę od oczu i drżąc, bez słowa, przekazała ją Polowi. Zaszokował ją widok dorosłej krowy, w ciągu kilku chwil przekształconej w nadpalony

korpus pokryty masami wijących się wstążek. Pol poprawił ostrość i nagle jęknął z bezradnej rozpacz, opuszczając lornetkę.

- Są śmiercionośne. Żarłoczne, nienasycone. Wydaje się, że zjadłyby wszystko, co organiczne - mruknął. Wziął głęboki oddech i podniósł lornetkę. - A także, niestety, sądząc po śladach na niektórych dachach, również tworzywa na bazie węgla.

- To straszne. Czy możliwe, żeby to było lokalne zjawisko? - zapytała Bay wciąż roztrzęsionym głosem. - Pamiętasz te dziwne kropki wśród roślinności, o których wspominał pierwotny raport? - Odwróciła się od obrazu zniszczenia, usiadła przy klawiaturze, wyczyściła ekran i zaczęła otwierać nowe pliki.

- Mam nadzieję, że nikt nie będzie na tyle głupi, żeby wyjść po tych kilka krów i owiec - powiedział Pol nerwowo. - Mam też nadzieję, że konie są bezpieczne. Ta nowa linia jest zbyt obiecująca, by ją stracić, nawet w obliczu wszystkożernej plagi.

Prawie w tym samym momencie na wieży meteorologicznej zaczęła wyć syrena.

- Teraz już chyba trochę za późno - stwierdził Pol, nastawiając ostrość lornetki na wieżę. Na szczycie widział Ongolę, jak przyciska do policzka jakąś szmatę. Ślizgacz, który wyruszył, żeby zbadać chmurę, był zaparkowany tuż przy wejściu do wieży. Pol domyślił się, że Ongola musiał przeskoczyć z maszyny bezpośrednio do środka.

- Nie, głos się niesie i ostrzega tych poza Lądowiskiem - powiedziała Bay mimochodem, stukając w klawiaturę.

- A, prawda. Zapomniałem. Sporo grup wyjechało dziś rano na polowanie.

Palce Bay zamarły. Kobieta obróciła się powoli na krześle, by spojrzeć na Pola. Jej twarz poszarzała.

- No, staruszek. Tylu ludzi chowa teraz smoczki, a każdy ma przynajmniej jednego ze sprytniejszych mentasyntowych, które stworzyłaś. - Przysunął się do żony i pogładził ją po głowie. - Wykonały pierwszorzędną robotę ostrzegając nas i chroniąc. Aha! Posłuchaj!

Trudno było pomylić z czymś podniecony chór smoczków, oznajmiający narodziny. Pomimo niezwyklej katastrofy, jaka ogarnęła Pern, właśnie pojawiło się nowe życie. Powitalny śpiew nie zakłócił jednak otaczającej dom ochronnej sieci płomieni.

- Biedne dziecko! Urodzić się w takiej chwili! - biadała Bay. Pызate policzki kobiety były ściągnięte, oczy zapadłe głęboko.

Nie zważając na kłujący ból w lewej stronie twarzy, Ongola trzymał palec na syrenie, wzywając jednocześnie inne stacje sieci.

- Mayday! Mayday! Mayday z Lądowiska! Kryjcie się! Wpędźcie zwierzęta pod dach! Niebezpieczeństwo! Wszystkie żywe stworzenia muszą znaleźć schronienie! - Zadrżał, przypominając sobie przerażający widok dwóch zbłąkanych owiec w mgnieniu oka pożartych przez opadające twory. - Chrońcie się pod skałami, metalem i w wodzie! Nienaturalny deszcz posuwa się nierównymi falami na zachód. Śmiercionośny! Mayday z Lądowiska! Mayday z Lądowiska! Mayday z Lądowiska! - Krople krwi ściekały z głowy i szyi w rytm urywanych zdań. - Nienaturalna chmura. Śmiercionośny deszcz. Mayday z Lądowiska! Kryjcie się! Mayday. Mayday.

Ongola nie widział własnego domu zza zasłony opadających nici, dostrzegał jednak płomienie ognia ponad wciąż zamieszkanymi domostwami. Przyjął do wiadomości zdumiewający fakt, że tysiące smoczków gromadzą się, aby pomóc swoim przyjaciółom-ludziom. Spostrzegł żywą, płomienną tarczę nad domem Betty Musgrave-Blake, zauważył mnóstwo stworzeń kołujących nad barakami weterynarzy i nad pastwiskami, po czym przypomniał sobie, że Fancy usiłowała wlecieć przez okno, gdy siedział na swojej zmianie. Nagle zdał sobie sprawę, że żadne z meteorologicznych urządzeń nie rejestruje masy chmur, nadciągających powoli ze wschodu, i zadzwonił do domu Emily.

- Idź to sprawdzić, Ongola. Wygląda na zwykłą wiosenną burzę, ale jeśli instrumenty nie

rejestrują zmiany wilgotności, lepiej sprawdź prędkość wiatru i zobacz, czy chmura nie jest gradowa. Z Ładowiska wyszli dziś nie tylko farmerzy, ale także myśliwi i rybacy.

Ongola podleciał do chmury dostatecznie blisko, by zaobserwować jej niezwykłą budowę - i by przekonać się, jakie zniszczenia powoduje. Próbował wywołać Emilię przez interkom. Gdy to nie dało rezultatu, spróbował ostrzec Jima Tilleka w Kontroli Portu. Na rekonesans wziął jednak najbliższy Ślizgacz, małą, szybką maszynę, która nie miała tak wyrafinowanego wyposażenia jak większe. Wywoływał każdy numer, jaki przyszedł mu do głowy, ale odebrała tylko Kitti, która zwykle siedziała w domu. W wieku stu lat miała już bardzo kruche kości, chociaż protezy umożliwiały jej poruszanie się.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Ongola. Odrobina przezorności nie zaszkodzi. Skontaktuję się z weterynarzami, żeby zapędzili stada pod dach. Żarłoczny deszcz?

Ongola rozpędził mały ślizgacz do maksymalnej prędkości, mając nadzieję, że w zasilaczu jest wystarczająco mocy, żeby maszyna to wytrzymała. Ślizgacz skoczył naprzód, ale ledwo doleciał do wieży i płozy dotknęły ziemi, silnik zgasł.

Opad załomotał o osłonę kabiny. Ongoli nie udało się wyprzedzić jego czoła. Chwytał tablicę z grafikami lotów. Była to niedostateczna osłona przed śmiertelnie deszczem, ale lepsza taka niż żadna. Wziął głęboki oddech, wcisnął przełącznik samozamykacza i skoczył na zewnątrz. Trzy długie kroki, bardziej przypominające skoki niż bieg, i dopadł do drzwi wieży równocześnie z nimi. Jedna z nich stoczyła się po nachylnym brzegu tablicy prosto na nie osłoniętą, lewą część jego głowy. Wyjąc z bólu, Ongola usiłował strząsnąć nić z ucha, gdy jeden ze smoczków rzucił mu się na pomoc. Ongola krzyknął krótkie "Dzięki" pod jego adresem, po czym wpadł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Automatycznie zamknął zasuwę, parsknął na myśl o bezużytecznym odruchu i popędził na górę, biorąc po dwa i trzy stopnie naraz.

Kłujący ból nie ustawał. Czuł, jak coś ścieka mu po szyi. Krew! Zatałkował krwawienie chusteczką, spostrzegając że z krwią zmieszane są jakieś czarne okruchy. Poczul też swąd spalonej wełny. Smoczkowy oddech nadpalił mu sweter.

Wykrzykawszy ostrzeżenie, przełączył na odbiór, gdy drugie ukłucie bólu w lewym ramieniu zmusiło go do spojrzenia. Luźny koniec wystającej nici nie wyglądał jak wełna. Zresztą ból pochodził właśnie z jej okolicy. Nigdy dotychczas nie rozbierał się tak szybko. Ale i tak był za wolny: nić zgrubiała i zaczęła poruszać się bardziej gwałtownie, bardziej celowo. Patrzył przerażony, jakiego niebezpieczeństwa uniknął ledwie o włos. Sweter został pożarty, a na jego miejscu wił się makabryczny, odrażający twór.

Woda! Ongola sięgnął po dzbanek z wodą i termos z klanem, po czym opróżnił oba naczynia na... tę rzecz. Wijąc się i bulgocząc, twór szybko przekształcił się w wilgotną, bezwładną papkę. Mężczyzna rozdeptał ją z satysfakcją, jaką czuł, niszcząc powierzchniowe stanowiska Nathis.

Spojrzał na własne ramię i dostrzegł cienką, krwawą linię, przecinającą skórę w miejscu, gdzie zetknęła się ze śmiertelnie nicią. Zatrząsał nim konwulsyjny dreszcz. Musiał chwycić się krzesła, żeby nie osunąć się na kolana.

Interkom nagle zaczął buczeć. Ongola wziął kilka głębokich oddechów, wstał i wrócił do swoich obowiązków.

- Dzięki za sygnał, Ongola. W ostatniej chwili zdążyliśmy zamknąć luki. Wiedzieliśmy, że zwierzaki chcą nam coś powiedzieć, ale jak mogliśmy domyślić się tego? - Jim Tillek dzwonił z mostka Gwiazdy Południa. - Dzięki niebiosom, że nasze statki są z silipleksu.

Kapitanat portu w Zatoce Monako powiadomił o jednej przewróconej jednostce i organizował wyprawę ratunkową.

Szpital informował, że obrażenia ludzi w Ładowisku i jego okolicach były niewielkie: głównie zadrapania pazurami. Smoczki uratowały im życie.

Red Hanrahan w imieniu weterynarzy powiedział, że stracili pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt zwierząt ze stad rozplodowych, pasących się w okolicach Ładowiska. I tak mieli szczęście, że w zeszłym miesiącu zapakowali na statki trzysta cieląt, jagniąt, kozłat i prosiąt, wysyłając je do nowych domów. Jednak wiele okolicznych gospodarstw nie posiadało stajni czy obór, a znalazło się na drodze makabrycznego deszczu. Red dodał, że wszystkie zwierzęta pasące się wolno można spisać na straty.

Dwa większe statki rybackie donosiły o poważnych oparzeniach tych, którzy na czas nie schronili się pod dach. Jeden z młodych Hegelmanów wyskoczył za burtę i utonął, gdy opad zwartą masą wylądował mu na twarzy. Maksymilian, eskortujący Perseusza, nie zdołał go uratować. Delfin dodał, że miejscowe gatunki morskich zwierząt kłębiły się pod powierzchnią, pożerając tonące wici. Jemu samemu opad nie smakował: był jakiś bezpostaciowy.

Ongola nie mógł sobie poradzić z tyloma informacjami; komandor zadzwonił do Emily, żeby przysłała mu pomoc.

Kapitan Panny morskiej, łowiącej ryby na północy, chciał wiedzieć, co się dzieje. Niebo nad nim było czyste aż po południowy horyzont. Patrice de Broglie, stacjonujący u podnóża Młodej Góry z grupą sejsmologów, chciał wiedzieć, czy powinien odesłać ludzi do Ładowiska. W ciągu ostatnich kilku tygodni miało miejsce zaledwie kilka wstrząsów, chociaż zaobserwowano interesujące zmiany na wykresach grawimetru. Ongola powiedział mu, aby odesłał tylu, ilu może, nie chcąc nawet myśleć, co mogłoby się stać z gospodarstwami na szlaku makabrycznego Opadu.

Bonneau dzwonił znad Jeziora Drake'a, gdzie wciąż panowała noc, a niebo było czyste. Proponował, że wyśle posiłki.

Sallah Telgar-Andiyar z Obozowiska Karachi informowała, że pomoc jest już w drodze. Chciała wiedzieć, jak rozległy jest opad.

Ongola wyłączył wszystkie rozmowy, gdy odezwało się pierwsze z okolicznych osiedli.

- Gdyby nie nasze smoczki - mówiła Aisling Hempenstahl z Bordeaux - wszyscy zostalibyśmy pożarci żywcem. - Głośno przełknęła ślinę. - W okolicy nie zostało ani jedno źdźbło trawy, a wszystkie zwierzęta zniknęły. Poza krową, którą smoczki zapędziły do wody, ale nawet ona jest w ciężkim stanie.

- Jakież ofiary?

- Żadnych, z którymi nie mogłabym sobie poradzić, ale mamy bardzo mało świeżego jedzenia. Aha, Kwan chce wiedzieć, czy potrzebujecie go w Ładowisku.

- Tak, zdecydowanie tak - odparł Ongola natychmiast. Próbował dotrzeć do Du Vieux, Radelinów, rodziny Granta van Toorna, Ciottich i Holstromów. - Wywołuj ich, Jacob. - Podał listę Jacobowi Chernoffowi, który razem z trzema uczniami przybył na pomoc. - Kurt, Heinrich, próbujecie skontaktować się z Całusa, Cambridge i Vienna. - Ongola zadzwonił do Lilienkampa do składów. - Joel, ilu wyruszyło dzisiaj na polowanie?

- Zbyt wielu, Ongola, zbyt wielu. - Twardy Lilienkamp płakał.

- Twoi chłopcy także?

Odpowiedź Joela była najcichszym szeptem.

- Tak.

- Bardzo mi przykro, Joel. Zorganizowaliśmy poszukiwania. A chłopcy mieli smoczki.

- Pewnie, ale patrz, ile ich było trzeba, żeby ochronić Ładowisko! - Głos mu się załamał.

- Proszę pana! - Kurt nagłaco dotknął nagiego łokcia Ongoli. - Jeden ze ślizgaczy...

- Zaraz się do ciebie odezwę. - Ongola przyjął rozmowę ze ślizgacza. - Tak?

- Czym to się zabija, Ongola? - Rozpaczliwe łkanie Ziva Marchane'a wywołało ukłucie czystej zgrozy i wściekłości w sercu Ongoli.

- Ogniem, Ziv. Kto to taki?

- To, co zostało z młodego Joela Lilienkampa.

- W złym stanie?

- W fatalnym.

Ongola zamilkł i na moment zacisnął powieki, przypominając sobie dwie owce.

- Więc przerwijcie jego cierpienia.

Ziv przerwał połączenie, a Ongola, jak sparaliżowany, zagapił się na konsolę. W czasie wojny przerywał czyjeś cierpienia kilka razy, zbyt wiele razy, kiedy ludzi w jego niszczycielu rozrywało na strzępy po starciu z Nathis. Taka była standardowa procedura po walkach na powierzchni. Nigdy nie zostawiało się ludzi na łaskę Nathis. I zawsze stanowiło to akt miłosierdzia. Ongola nigdy się nie spodziewał, że znowu zaistnieje taka konieczność.

Wibrujący głos Paula Bendena wyrwał go z bolesnego transu.

- Co się, do diabła, dzieje, Ongola?

- Bardzo chciałbym to wiedzieć, admirałe. - Ongola pokręcił głową, po czym podał dokładną listę ofiar, potwierdzonych bądź przypuszczalnych.

- Już lecę. - Paul wybrał swoją ziemię na wyżynach ponad deltą Rzeki Boca. Właśnie nadchodził tam świt. - Po drodze sprawdzę inne gospodarstwa.

- Pol i Kitti chcieliby mieć próbki tych tworów z powietrza, o ile można je w miarę bezpiecznie uzyskać. Wypalają dziury w cienkich materiałach, więc trzeba użyć grubych metalowych albo silipleksowych pojemników. Zebraliśmy wystarczająco dużo próbek tych, które do gołej ziemi wyżarły nasze pola. Wysłałem wszystkie duże ślizgacze, żeby wysledziły ten pieprzony Opad. Kenjo leci już z Honshu w tej swojej sławnej maszynie. Te twory pojawiły się znikąd, Paul, znikąd!

- Żadne urządzenia nic nie zarejestrowały? Nie? Dobra, sprawdzimy to.

Absolutny spokój w głosie Paula Bendena podziałał jak balsam na duszę Ongoli. Ten sam ton słyszał przez cały czas trwania bitwy w Łabędziu, więc nabrał otuchy.

Potrzebował jej. Zanim admirał przybył późnym popołudniem, poznano już przerażającą, całkowitą liczbę ofiar. Z dwudziestki, która tego ranka wyruszyła na polowanie, wróciła tylko trójka: Sorka Hanrahan, Sean Connell i David Catarel, który bezsilnie patrzył z wody, jak jego towarzyszka, Lucy Tubberman, rozpuszcza się na brzegu rzeki, pomimo gwałtownych wysiłków ich smoczków. David miał głębokie rany na skórze głowy, lewym policzku i ramionach, i nie otrząsnął się jeszcze z szoku i bólu.

Dwoje dzieci, najwyraźniej w ostatniej chwili wrzuconych do niewielkiego metalowego kredensu, stanowiło jedynych żywych mieszkańców głównego obozu Tuaregów na wyżynach na zachód od wielkiego zakrętu Rajskiej Rzeki. Sean i Sorka wyruszyli na poszukiwanie Connellów, których ostatnio widziano na wschodnim krańcu Prowincji Kahrain. Północne gospodarstwa nad rzeką Jordan milczały. Wyglądało to źle.

Porrige Connell przynajmniej raz usłuchał ostrzeżeń smoczków i schronił się w jaskini. Nie była ona jednak wystarczająco duża, by pomieścić wszystkie konie, i cztery klacze zginęły. Kiedy rżały na zewnątrz, ogier we wnętrzu jaskini wpadł w szal i Porrige musiał poderżnąć mu gardło. Dla pozostałych klaczy nie zostało ani trochę paszy, więc Sorka i Sean przywieźli siano i racje żywnościowe. Potem wyruszyli na poszukiwanie innych pozostałych przy życiu kolonistów.

Du Vieux i Holstromowie z Amsterdamu, Radelinowie i Duquesnesowie z Bawarii oraz Ciotti z Milanu zginęli; nawet ślad nie pozostał po ich stadach. Jediną pozostałością po osadach stanowiły metalowe części zabudowań i grube, silikonowe dachy, chociaż nawet one zostały naznaczone wgłębieniami. Rodziny te zbudowały domy z imitacji desek, ze sprasowanych włókien roślinnych. Od tej chwili nikt na Pernie już użyje takiego materiału budowlanego.

Z lotu ptaka obszar zniszczenia, wywołany przez niciopodobny deszcz, był wyraźnie rozróżnialny; jego obrzeża znaczyły rozdęte, robakowate narośle, które grupy smoczków atakowały płomienistymi oddechami. Pas kończył się siedemdziesiąt pięć klików za wąską Rajska Rzeką, nad którą znajdował się zniszczony obóz Tuaregów.

Wieczorem zmęczeni osadnicy przede wszystkim nakarmili smoczki i zostawili kopczyki gotowanego ziarna dla dzikich, które nie zbliżały się na tyle, by można je było nakarmić z ręki.

- Raport ZBO nic nie wspominał o czymś takim - mruknął Mar Dook gorzko.

- Kwestia tych cholernych kropek nigdy nie została wyjaśniona - powiedziała Aisling Hempenstaht ledwo słyszalnym szeptem.

- Rozważaliśmy taką możliwość - odezwał się Pol Nietro, skinąwszy głową w stronę wyczerpanej Bay. Żona opierała głowę o jego ramię.

- Mimo to sędzę, że powinniśmy jeszcze dzisiaj sformułować jakieś wstępne wnioski - stwierdziła Kitty. - Ludzie muszą poznać jakieś pokrzepiające fakty.

- Razem z Billem przejrzelśmy raporty na temat kropek - Carol Duff-Vassaloe uśmiechnęła się smutno - jeszcze w Roku Lądowania. Nie sprawdziliśmy każdego miejsca, ale z pomiarów przyrostu słoju drzew można wnioskować, że katastrofa, w wyniku której powstały kropki, przydarza się co sto sześćdziesiąt czy sto siedemdziesiąt lat. Wydaje mi się oczywiste, że przyczynę stanowiła ta przerażająca forma życia, niszcząca każdą organiczną materię, jaką napotka na swojej drodze. Dzięki Bogu, że do budowania używamy tworzyw silikonowych. Gdyby były pochodną węgla, wszyscy byśmy zginęli, bez dwóch zdań. To zanieczyszczenie...

- Zanieczyszczenie? - Głos Chucka Haversa załamał się z pełnego niedowierzania gniewu.

- A jak inaczej to nazwać? - spytał Phas Radamanth swoim zwykłym, nie znośnym sprzeciwu tonem. - Musimy tylko wiedzieć, jak często się pojawia. Co sto pięćdziesiąt lat? Kropki występują na całej planecie, prawda, Carol? - Kobieta skinęła głową. - Trzeba też ustalić, jak długo trwa opad.

- Trwa? - zapytał Chuck, zaszokowany.

- Wszystkiego się dowiemy - oznajmił stanowczo Paul Benden.

Rozdział II

Dwóch psychologów kolonii przyleciało później tego samego wieczoru. Szpital był wciąż przepełniony rannymi i ludźmi w szoku. Obaj natychmiast zabrali się do pracy, by złagodzić uraz. Cherry Duff doznała wstrząsu, gdy poznała nowiny, ale dochodziła już do siebie. Joel i jego żona zostali porażeni wieścią o śmierci synów. Bernard Hegelman otrząsnął się z bólu, by pocieszać wstrząśniętą żonę i inne rodziny, pogrążone w smutku po utracie bliskich.

Sean i Sorka bez wytchnienia zwozili zlokalizowanych rannych. Ci też byli zaszokowani; jedni zanosili się niepowstrzymanym płaczem, póki nie dostali środków uśmierzających, inni trwali w przerażającym milczeniu. Porrig Connell wysłał najstarszą córkę i żonę, by pomagały uratowanym osadnikom, a sam z resztą rodziny został w jaskini.

- Pierwszy raz Porrig Connell zrobił coś dla kogoś innego - mruknął jego syn do Sorki, która zbeształa go za cynizm. - Chce wykorzystać Cricketa, by służył jego kłaczom. Spodziewa się, że poświęcę konia tylko dlatego, że on sam nie wyszkolił odpowiednio swojego!

Sorka przezornie nic nie powiedziała.

Z jednym wyjątkiem, odległe osiedla skontaktowały się z Lądowiskiem, ofiarując pomoc bądź wyrazy współczucia. Jedynym wyjątkiem był obóz górniczy na Wielkiej Wyspie, zamieszkały przez Avril Bitrę, Steva Kimmera, Nabhi Nabola i kilku innych. Ongola, przeglądając rejestry, zauważył, że nie dali znaku życia.

Kenjo, niczym za pomocą magii pojawiwszy się ze swej odległej równiny Honshu, stanął na czele badań powietrznych. Przed zmrokiem jego ekipa przygotowała dokładne mapy i zdjęcia obszarów, na których wystąpił opad "Nici", jak je wkrótce nazwano. Pierwotny zespół biologów wznowił działalność w Lądowisku, by określić naturę tworów. Kitty Ping i Wind Blossom zastosowały specjalistyczne metody do zbadania obcych form życia, gdy tylko

dostarczono próbki. Niestety, biorąc pod uwagę ryzyko, z jakim je zdobywano, zbyt wiele ich obumarło w metalowych bądź plastikowych pojemnikach. Najwyraźniej po około dwudziestu minutach gorączkowa aktywność, tysięczne podziały pojedynczej nici w olbrzymie, wijące się "kielbaski", zanikała. Twory rozwijały się, czerniały i zamieniały w całkowicie pozbawioną życia, lepka, zwęgloną masę, zamkniętą w twardszej skorupce.

Kapitan Mayflower, który trałował na postrzępionym północnym krańcu Opadu, przypadkowo odkrył kawałek Nici w pojemniku z przynętą, zamkniętym szczelną pokrywą, i powiadomił o znalezisku bazę. Powiedziano mu, aby w miarę możliwości utrzymywał twór przy życiu, karmiąc go umiarkowanie, póki ślizgacz nie zabierze go do Ładowiska.

Zanim to się stało, Nic trzeba było przechowywać w największej silikonowej beczce na pokładzie Mayflower. Ongola przywiózł szczelnie zamkniętą beczkę, używając długiego stalowego kabla, przyczepionego do inżynierskiego ślizgacza. Załoga odważyła się wyjść na pokład, dopiero gdy ujrzała, jak maszyna znika na horyzoncie. Kapitan ze zdumieniem dowiedział się, że jego zachowanie uznano za akt niesłychanego bohaterstwa.

Zanim pulsująca forma życia dotarła do Ładowiska, była już na dobry metr długa, w przekroju zaś miała dziesięć centymetrów. W dodatku zdążyła się zwinąć, tak że przypominała kawałek cumy. Podwójnej grubości płyty z przezroczystego tworzywa silikonowego, ciasno spięte metalowymi paskami, spleciono w klatkę, której podstawę wmontowano w podłogę. W klatce pozostawiono kilka wąskich, szczelnie zamykanych prześwitów. W szczycie wycięto dziurę wielkości beczki, uchylono pokrywę i przy pomocy zdenerwowanych ochotników okropny twór został przerzucony z beczki do klatki. Gdy tylko znalazł się w środku, górny otwór natychmiast zapieczętowano.

Jeden z mężczyzn odszedł w kąt i zwymiotował. Inni odwrócili twarze. Jedynie na Tarvim i Mar Dooku stworzenie, wijące się pośrodku plastikowego sześcienu w poszukiwaniu jedzenia, zdawało się nie robić żadnego wrażenia.

Nienasycony twór pulsował tłustymi, stłumionymi barwami: zgniłe zielenie, matowe róże, czasami powierzchnię przecinał pasek żółci. Przez grubą, czystą plastik kontury Nici były nieapetycznie rozmazane. Zewnętrzna powłoka stworzenia zdawała się grubieć. Prawdopodobnie skorupa powstawała w miarę obumierania, przynajmniej tak domyślali się obserwatorzy, gdyż podobne szczątki znajdowano w skalistych miejscach, gdzie organizm ginął z głodu. Wnętrze stworu ewidentnie rozkładało się równie gwałtownie, jak początkowo powstawało. Czy ta rzecz istotnie żyła? A może to tylko jakiś złowrogi chemiczny twór, pochłaniający wszystko co żywe? Z pewnością apetyt miał nieposkromiony, chociaż sam akt pożywiania się najwyraźniej stał w sprzeczności z fizycznym uorganizowaniem stworu, jakiegokolwiek ono było, gdyż pochłonięty pokarm przyspieszał jego destrukcję.

- Tempo wzrostu ma zadziwiające - odezwała się Bay bardzo opanowanym głosem. Pol chwalił ją potem za to mówiąc, że dała przykład innym, zaszokowanym widokiem obrzydliwej poczwary. - Czegoś takiego można by się spodziewać pod mikroskopem, ale nie w makrokosmosie. Skąd to się wzięło? Z przestrzeni kosmicznej?

Po tym zadziwiającym pytaniu zapadła głucha cisza. Obecni w pokoju wymienili spojrzenia, zaskoczeni i zakłopotani sugestią Bay.

- Czy mamy jakieś dane na temat występowania komet w tym systemie? - zapytał Mar Dook głosem pełnym nadziei. - Może to ta ekscentryczna planetoida? Coś przywleczzonego z obłoku Oort? Trzeba też pamiętać o wirusowej teorii Hoyle'a-Wickramasingha. Nigdy jej całkowicie nie zdyskredytowano.

- Trudno to coś nazwać wirusem, Mar - powiedział Bili Duff sceptycznie. - A poza tym, czy ktoś na Ceti III nie podważył tej starej teorii?

- Skoro spada z nieba - wtrącił Jim Tillek - dlaczego mielibyśmy wykluczać kosmiczne pochodzenie? Nie tylko ja zauważyłem, że ta czerwona poranna gwiazda na wschodzie ostatnio jakby pojaśniała. Czy to nie zadziwiający zbieg okoliczności, że ta planetka o

zwariowanej orbicie wchodzi w głąb układu w tym samym momencie, gdy to coś spada na ziemię? Może ona jest źródłem? Mamy na jej temat jakieś dane? Czy w ogóle coś wiemy o podobnych zjawiskach?

- Zapytam Cherry. Nie. - Bill Duff poprawił się, zanim ktokolwiek zdążył mu przypomnieć, że sędzina jest niedysponowana. - Sam znajdę informacje i przyniosę kopię do zbadania. - Pospiesznie opuścił pokój, jakby szczęśliwy, że znalazł wiarygodną wymówkę.

- Przyniosę próbkę fragmentu, który dotyka niższej szczeliny - odezwał się Kwan Marceau, po czym szybko pozbierał niezbędne wyposażenie jak ktoś, kto nie chce się za długo zastanawiać nad tym, co zamierza zrobić.

- Czy prowadzimy notatki na temat... pochłanianej materii? - zapytała Bay. Nie odważyła się powiedzieć "pokarmu", przypomniawszy sobie, czym odżywiały się twory, odkąd zaczęły opadać na Pern.

- Tak. Trzeba ocenić częstość... pobierania materii - Pol z wdzięcznością uchwycił się eufemizmu - wystarczającą dla utrzymania... organizmu przy życiu.

- I sprawdzić, jak umiera - dodała Kitti głosem niemal obojętnym, choć pobrzmiwała w nim satysfakcja.

- I dlaczego wszystkie Nici obumarły po pierwszym zanieczyszczeniu - powiedział Phas Radamanth, wyciągając zdjęcia ZBO ze sterty wydruków.

- Ale czy naprawdę wszystkie obumarły? - zapytała Kitti.

Rano, gdy naukowcy pracujący całą noc nie dostarczyli żadnego raportu, ludzie zaczęli szemrać. Rozlegały się wciąż zaszokowane szepty przy porannym kubku kłahu; plotki przesiąkały do wszystkich biur i pospiesznie zasiedlanych domostw opuszczonych sektorów mieszkalnych. Na Placu Ogniskowym poprzedniego wieczoru rozpalono olbrzymi ogień, który wciąż płonął. Nasmolowane i gotowe do zapalenia pochodnie leżały stertami w każdym zakątku, a przez cały dzień do stert dokładano nowe egzemplarze.

Wiele z lżejszych ślizgaczy, zaparkowanych w Lądowisku, potrzebowało nowych osłon kabiny. Ludzie w maskach i grubych rękawicach roboczych uprzętałi szczątki Nici.

Skrzydlatych sprzymierzeńców obdarzono nowym, pełnym respektu tytułem: ogniste smoki. Nawet ci, którzy wcześniej sarkali na stworzonka, teraz nosili dla nich w kieszeniach przysmaki. Lądowisko było upstrzone smoczkami o okrągłych brzuskach, śpiącymi w słońcu.

W porze obiadowej stare kuchnie komunalne zaczęły wydawać posiłki, a plotki krążyły z wielką intensywnością. Wczesnym popołudniem Ted Tubberman w towarzystwie innego malkontenta, obaj z twarzami pokrytymi smugami i ściągniętymi z bólu, przyprowadzili pod drzwi laboratorium grupę ludzi, którzy utracili swych bliskich.

Paul i Emily wyszli do nich wraz z Phasem Radamanthem i Mar Dookiem.

- No i? Odkryliście już, co to takiego? - zapytał Ted.

- To złożona, ale logiczna sieć filamentów, analogiczna do ziemskich organizmów mikorytycznych - zaczął Mar Dook, urażony tonem Tubbermana, choć jednocześnie pełen zrozumienia dla jego bólu.

- To bardzo niewiele wyjaśnia, Mar - odparł Ted, wojowniczo wysuwając podbródek. - Od bardzo dawna jestem botanikiem, a nigdy nie widziałem roślinnego symbionta niebezpiecznego dla ludzi. Co jeszcze tu znajdziemy? Śmiercionośny mech?

Emily wyciągnęła dłoń, by ze współczuciem dotknąć ramienia Teda, ale mężczyzna tylko się zachnął.

- Mamy niewiele danych - powiedział Phas ostro. Był już zmęczony, a całonocna praca w pobliżu monstrualnego tworu stanowiła potworne obciążenie. - Nic podobnego nie zaobserwowano na żadnej z planet zbadanych przez ludzi. Najbardziej zbliżone do tego czegoś były pewne fikcyjne wyobrażenia z Wieku Religii. Wciąż staramy się lepiej to zrozumieć.

- Więc to wciąż żyje? Utrzymujecie to przy życiu! - Ted aż kipiał z irracjonalnej złości. Jego towarzysze również; świeże łzy zaczęły spływać po ich twarzach. Delegacja skupiła się bliżej wejścia. Wszyscy chcieli znaleźć ujście dla frustracji i bezsilnego bólu.

- Oczywiście. Musimy to zbadać - odparł Mar Dook panując nad głosem. - Dowiedzieć się, co to takiego. W tym celu musimy karmić to coś, żeby nam nie... nie obumarło. Trzeba sprawdzić, czy nie jest to tylko początek cyklu życiowego tego tworu.

- Tylko początek! - zawołał Ted. Paul i Phas podskoczyli, by uspokoić oszalałego z bólu botanika. Lucy była jego córką i uczennicą. Między nimi istniała silna więź. - Na wszystko co święte, zaraz z tym skończę!

- Ted, zachowuj się racjonalnie. Jesteś naukowcem!

- Przede wszystkim jestem ojcem, a moja córka została... pożarta przez jedno z tych stworzeń! Podobnie jak Joe Milan, Patsy Swann, Eric Hegelman, Bob Jorgensen i... - Twarz Tubbermana zsiniała z wściekłości. Zaciśnięte pięści trzymał wzdłuż boków, całe ciało wyprężyło się z gniewu i bólu. Oskarżycielsko spojrzął na Emily i Paula. - Zaufaliśmy wam. Jak mogliście przywieźć nas w miejsce, gdzie pożerane są nasze dzieci i wszystko, co osiągnęliśmy w ciągu tych ośmiu lat! - Jego słowa poparł pomruk delegacji. - My - powiódł ręką, obejmując gestem stojącą za nim, zbitą gromadkę - chcemy ujrzyć tę rzecz martwą. Już wystarczająco długo ją badacie. Dalej, ludzie. Wiemy, co trzeba zrobić. - Rzucił biologom ostatnie, przeszywające spojrzenie, po czym odwrócił się, brutalnie odpychając tych, którzy stali na jego drodze. - Ogień to zabije!

Odszedł, kipiąc z wściekłości. Jego poplecznicy ruszyli za nim.

- Nieważne, co zrobią, Paul - odezwał się Mar Dook, powstrzymując admirała przed udaniem się za Tedem. - Twór już obumarł. Możemy im dać zwłoki, żeby dali upust swej złości. I tak skończyliśmy te badania, które mogliśmy zrobić. - Ze zmęczeniem wzruszył ramionami. - I mamy już wyniki.

- To znaczy? - spytał Paul tonem zachęty. Mar Dook i Phas gestem zaprosił Paula i Emily do laboratorium, gdzie Pol, Bay i dwie genetyczki nadal skrzętnie robili notatki.

Mar Dook zmęczonym gestem potarł twarz. Jego ziemista skóra była prawie szara. Biolog ciężko oparł się o stół, pokryty stertami taśm i pojemników ze slajdami.

- Wiemy już, że jest to forma życia oparta na węglu, posiada kompleksy bardzo dużych białek, które przechodząc z jednego stanu do drugiego powodują ruch, a także inne, które atakują i trawią niewiarygodny zakres organicznych substancji. Wygląda to prawie tak, jak gdyby to stworzenie zostało specjalnie zaprojektowane, aby niszczyło podobne nam istoty.

- Cieszę się, że zachowałeś to dla siebie - powiedziała Emily kwaśno, spoglądając przez ramię na zamknięte drzwi, które zasłaniały widok na oddalającą się, rozgniewaną grupę.

- Chyba nie mówisz tego poważnie - zaczął Paul, kładąc dłonie na ramionach wyczerpanego biologa. - Przyznaje, że te twory są niebezpieczne, ale zaprojektowane, żeby nas zabijać?

- To tylko przypuszczenie - odparł Mar Dook, patrząc z lekkim zakłopotaniem. - Phas ma jeszcze dziwniejszą koncepcję.

Phas odchrząknął nerwowo.

- Cóż, to coś pojawiło się tak nieoczekiwanie. Zastanawiałem się, czy to mogłaby być broń, oczyszczająca pole przed inwazją.

Paul i Emily osłupiali, zagapili się na niego, świadomi pogardliwego prychnięcia Bay oraz rozbawionego wyrazu twarzy Kitty Ping.

- To nie jest nielogiczna interpretacja. Bardziej mi się podoba niż sugestia Bay, która twierdzi, że to mogłaby być początkowa forma cyklu życiowego tego organizmu. Wolę nie myśleć, w co przekształciłaby się później.

Paul i Emily rozejrzeli się dokoła, porażeni podobnym przypuszczeniem. Ale Pol Nietro wstał tylko z krzesła z wyrozumiałym uśmiechem na okrągłej twarzy i odchrząknął.

- To także jest koncepcja rodem z Wieku Religii, Mar - powiedział. Zerknął przepraszająco w

stronę żony i zauważył pokrzepiający uśmiech Kitti Ping. Nabrał otuchy. - W dodatku, moim zdaniem, wysoce nieprawdopodobna. Jeżeli w cyklu życiowym powstawałyby tak zjadliwe formy, to gdzie są przedstawiciele kolejnych metamorfoz? Grupa ZBO mogła się pomylić, uznając kropki na nieszkodliwe, ale nie odkryła przy nich żadnych dziwacznych form życia. Jeśli zaś idzie o inwazję z kosmosu, to wszystkie planety w tym sektorze uznano za nie sprzyjające dla rozwoju życia opartego na węglu. - Pol zaczął zapalać się do własnej teorii i ujrzał, jak Emily otrząsa się z szoku po wcześniejszych rewelacjach. - A ustaliliśmy, że to - wskazał kciukiem bezbarwny sześcian - jest oparte na węglu. Trzeba więc zawęzić przypuszczenia do tego systemu. Wkrótce odkryjemy, skąd to się wzięło. - Potok wyjaśnień całkowicie pochłoniął resztkę energii Pola i zmęczony biolog oparł się o wysoką szafkę laboratoryjną. - W każdym razie sądzę, że mam rację. A odrzucenie najgorszych możliwości przynajmniej oczyściło atmosferę, jeśli można się tak wyrazić. - Prawie przepaszając wzruszył ramionami i posłał pełen nadziei uśmiech Phasowi i Bay.

- A ja nadal uważam, że w badaniach coś pominęliśmy - powiedział Phas, kręcąc głową. - Coś oczywistego i bardzo ważnego.

- Po czterdziestu godzinach harówki nie sposób już jasno myśleć - powiedział Paul pokrzepiająco, chwytając Phasa za ramię i potrząsając nim lekko. - Kiedy już wypoczniecie i coś zjecie, przejrzymy wasze notatki, gdzieś z dala od tego zaduchu. Jim, Emily i ja zaczekamy, żeby porozmawiać z delegacją Teda. - Westchnął. - Ludzie odreagowują. Trudno ich za to winić. Nagły ból zawsze wywołuje szok. Co do badań, jeśli o mnie chodzi, raczej nastawiałbym się na najgorsze. A ponieważ zaproponowaliście kilka makabrycznych wyjaśnień, nic nie powinno nas zaskoczyć. Trzeba ułożyć plan działania, żeby zredukować skutki katastrofy na farmach.

Paul porozmawiał na boku z jednym z psychologów, który stwierdził, że zbiorowe napięcie można by złagodzić przez, jak to określił, "rytualne spalanie". Ustąpili więc, kiedy Ted Tubberman i jego poplecznicy zażądali sześcianu i zniszczyli go w płomieniach. Z klątki natychmiast wydobył się odór, który wydatnie przyspieszył rozejście się tłumu. Jedynie Ted i kilku innych pozostało, by popatrzeć na stygnący popiół.

Psycholog powoli pokręcił głową.

- Przez najbliższy czas będę miał oko na Teda Tubbermana - powiedział Paulowi i Emily. - Najwyraźniej to nie wystarczyło, by złagodzić jego ból.

Wczesnym rankiem następnego dnia w niewspółśrodkową planetkę wycelowano teleskopy. Zdaniem Ezry Keroona czerwone zabarwienie było efektem wirujących mas pyłów, przywleczonych z peryferii systemu. Pomimo braku jakichkolwiek dowodów, wśród obserwatorów rozpowszechniło się mniemanie, że to właśnie ta planetka jest odpowiedzialna za katastrofę.

W ciągu dnia grupa Kenjo odkryła ślady wcześniejszego opadu na wyspę lerne, o której wiedziano wcześniej, że jest mocno zerodowana, ale przez sztormy, nie przez opad Nici. Ślizgacz wysłany na pomocny kontynent donosił o śladach niedawnych zniszczeń w poprzek wschodniego przylądka. To odkrycie rozwiało płonną nadzieję, że Opad jest ograniczony tylko do wąskiego obszaru. Ponowne przejrzanie zdjęć wykonanych przez ZBO nie złagodziło napięcia, gdyż faksymile niezmiennie dowodziły, że inwazja Nici dwieście lat wcześniej obejmowała bardzo rozległy teren. Doszli do wniosku, że musiał on mieć miejsce tuż przed przybyciem zespołu. Potrzeba dokładnego poznania zasięgu i częstotliwości Opadów stawała się coraz bardziej nagląca.

Aby zniwelować narastający strach i napięcie, Betty Musgrave-Blake i Bill Duff podjęli się przejrzania oryginalnych danych botanicznych ZBO. Ted Tubberman był jedynym ocalałym botanikiem, ale spędzał całe dni na poszukiwaniach skorup Nici, wieczory zaś na podpalaniu ich stosów. Psycholodzy wciąż nadzorowali jego nienormalne zachowanie.

Na podstawie oryginalnych danych Betty i Bili wywnioskowali, że pomiędzy Opadami

występuje dwustuletnia przerwa, sądząc zaś z wieku najstarszych drzew na obszarze kropek i tuż poza nimi, roślinność potrzebuje dziesięciu do piętnastu lat, aby się zregenerować. Betty podała ten wniosek z całkowitą pewnością, mając nadzieję wywołać odrobinę optymizmu, nie potrafiła jednak odpowiedzieć na kluczowe pytanie: jak długo śmiercionośny deszcz będzie padać.

Aby wykluczyć teorię Mar Dooka o celowej konstrukcji czy nie mniej niepokojącą koncepcję inwazji zaproponowaną przez Phasa, Ezra Keroon spędził cały dzień połączony z głównym komputerem na Yokohamie. Jego obliczenia niepodważalnie potwierdzały fakt, że niewspółśrodkowa planetka ma orbitę długości dwustu pięćdziesięciu lat. Jednak w wewnętrznej części systemu pozostawała jedynie przez krótki okres, podobnie jak to czyniła kometa Halleya w Systemie Słonecznym. Faktów było zbyt wiele, by zaprzeczać oczywistemu związkowi. Po konsultacji z Paulem i Emiliy Ezra zaprogramował jedną z kilku pozostałych sond Yokohamy, aby okrążyła planetkę i zbadała jej skład, a szczególnie najwyraźniej gazową otoczkę.

Chociaż wszystkie raporty uczciwie i wyczerpująco prezentowano całej społeczności natychmiast po ich zredagowaniu, przed wieczorem zaczęły krążyć coraz bardziej alarmujące domysły. Bardziej opanowani mieszkańcy w ponurych nastrojach starali się uspokoić tych, którzy poddali się panice.

Wtedy to zdenerwowany Kenjo podzielił się z Betty bardzo niepokojącą obserwacją. Betty natychmiast poinformowała Paula i Emiliy. Po cichu zwołano zebranie tych, którzy potrafili w miarę obiektywnie dyskutować o istniejącej sytuacji.

- Wszyscy wiecie, że polecałem, aby zrobić mapę zniszczeń - zaczął Kenjo. - Minęło sporo czasu, zanim się zorientowałem, co widzę, a raczej czego nie widzę. - Zrobił pauzę, jak gdyby przygotowując się na naganę czy objawy niedowierzania. - Nie sądzą, żeby wszystkie Nici umarły z głodu. Ten szaleniec Tubberman nie dotarł tak daleko jak ja. W większości miejsc są skorupy! Ale widziałem dziewięć okręgów - specjalnie wylądowałem, żeby sprawdzić, czy się nie mylę - i tam nic nie było. - Obiema rękami wykonał tnący gest. - Ani jednej. A okręgi były pojedyncze, nie leżały w grupach, teren zaś, doszczętnie zniszczony, nie tak rozległy jak zwykle. - Spojrzał na poważne twarze dookoła. - Dobrze widziałem. Umiem obserwować. Mam też zdjęcia.

- No cóż - powiedział Pol, wzdychając ciężko i odruchowo gładząc złożone dłonie żony, siedzącej tuż obok za stołem. - Biologicznie to uzasadnione, że do przedłużenia gatunku wielu jest wysłanych, ale niewielu wybranych. Prawdopodobnie podróż w kosmosie osłabiła większość organizmów. Prawie czuję ulgę, że niewielka część może przetrwać i się rozwinąć. W ten sposób to nabiera sensu. Wolę twoją teorię od innych, które tu rozważaliśmy.

- Tak, ale jakie jest następne stadium? - zastanawiała się Bay, a na jej twarzy malowało się przygnębienie. Nawet to, że miało się rację, może być po prostu inną formą klęski.

- Lepiej to sprawdźmy - odezwał się Paul, rozglądając się w poszukiwaniu poparcia. - Mamy w pobliżu pojazd? - Kiedy pilot wskazał pozycję na mapie, Paul skinął głową. - A więc dobrze. Phas, Pol, Bill, Ezra, Bay i Emiliy, wymknijcie się z Lądowiska na małych ślizgaczach. Może uda nam się zapobiec kolejnym dzikim domysłom. Zameldujcie się z powrotem, jak możecie najszybciej.

Paul odesłał Betty do domu i dziecka, kazając jej wypocząć. Wezwano Borisa Pahlevi i Dietera Clissmana, żeby napisali wyczerpujący program komputerowy, który analizowałby dane w miarę ich nadchodzenia. Następnie Paul i Ongola wrócili do siebie, by w napięciu oczekiwać powrotu pozostałych specjalistów.

Najpierw wrócili Pol, Bay i Phas. Przywieźli niewiele dobrych wieści.

- Wszystkie znalezione owady, ślimaki i pędraki wyglądają na nieszkodliwe - raportował Phas. - Część z nich została już skatalogowana, ale - dodał, wzruszając ramionami - dopiero niedawno zaczęliśmy identyfikować rozmaite stworzenia i ich rolę w ekosystemach tej

planety. Kenjo miał rację. Najwyraźniej część Nici przeżywa, żeby się rozmnażać, więc teoria Bay wydaje się najbardziej zgodna z danymi. - Phas mówił to z wyraźną ulgą. - Jednak nie spocznę, póki nie odkryję pełnego cyklu.

Późnym popołudniem trzeciego dnia po pierwszym Opadzie przez radio odezwał się prawie histeryczny głos Wade'a Lorenza z Sadridu w Prowincji Macedońskiej. Jacob Chernoff, który z nim rozmawiał, natychmiast skontaktował się z Ongolą i Paulem.

- Mówi, że chmura idzie przez morze prosto na niego, admirale. Jego farma jest na zachodzie, na dwudziestu stopniach. Mam go na trzydziestym siódmym zakresie.

Paul wziął odbiornik i przełączył go na odpowiedni kanał, lokalizując jednocześnie Sadrid na dużej mapie kontynentu.

- Niech wszyscy wejdą pod osłonę z silikonowego tworzywa - rozkazał. - Niszczcie ogniem wszystkie Nici, gdy tylko dotkną powierzchni. Jeśli trzeba, użyjcie pochodni. Macie tam jakieś smoczki?

Głęboki oddech Wade'a był wyraźnie słyszalny; farmer z trudem starał się opanować.

- Mamy kilka smoczków i dwa miotacze ognia. Używaliśmy ich do wycinania krzaków. Sądziliśmy, że to tylko gwałtowny deszcz, póki nie zobaczyliśmy, jak ryby go jedzą. Moglibyście przyjechać?

- Będziemy tam tak szybko, jak to możliwe!

Paul przykazał Jacobowi, by nikomu nie wspominał o nowym Opadzie.

- Oczywiście, admirale. Ludzie już wystarczająco panikują - zgodził się Jacob.

Paul uśmiechnął się pod nosem, widząc entuzjazm chłopca, po czym zadzwonił do Jima Tilleka w zarządzie portu Zatoki Monaco. Zapytał, czy jakieś trawlerzy popłynęły na południowy zachód, w okolice Sadridu.

- Dzisiaj nie. Jakies kłopoty?

Więc to by było na tyle z próbami zachowania obojętnego tonu głosu, pomyślał Paul.

- Czy mógłbyś przylecieć tu do nas, nie wzbudzając podejrzeń?

Ongola ponuro patrzył na mapę, wodząc wzrokiem od Macedonii do Delt.

- Twoja farma nad rzeką Boca jest niedaleko Sadridu - powiedział admirałowi.

- Zauważyłem. - Paul wybrał numer i w kilku zwięzłych zdaniach przekazał żonie złowieszczą nowinę, instruując ją o środkach ostrożności. - Ju, może nas nie dosięgnie, ale...

- Ale z czymś takim lepiej nie zadzierać?

Paul był dumny z jej spokojnej odpowiedzi.

- Będę cię informował na bieżąco. Przy odrobinie szczęścia masz jeszcze przynajmniej godzinę, skoro teraz jest nad Sadridem. Przyjadę jak można najszybciej. Zupełnie możliwe, że Boca leży wystarczająco daleko na pomocy. Opad kieruje się bardziej na południowy zachód.

- Zapytaj, czy jej smoczki zachowują się normalnie - zasugerował Ongola.

- Wyrzewają się na słońcu, jak zawsze o tej porze dnia - odparła Ju. - Będę mieć na nie oko.

Naprawdę potrafią przewidzieć Opad?

- Ongola tak sądzi. Zadzwonię później, Ju.

- Właśnie dodzwoniłem się do Logoridów w Tessalii - powiedział Ongola. - Może o nich zahaczyć. Ostrzec Caesara w Rzymie? Ma tyle zwierząt...

- Był też wystarczająco przewidujący, żeby budować wszystko z kamienia. Ale zadzwoń do niego, a potem sprawdź, czy Boris i Dieter uruchomili już swój nowy program. Cholera, chciałbym wiedzieć, kiedy to się zaczęło i jak daleko dotrze - mruknął Paul niespokojnie. - Zorganizuję transport. - Zadzwonił do głównej siedziby inżynierów i wywołał Kenjo.

- Znowu Nici? Jak daleko? - zapytał Kenjo. - W Sadridzie? Na dwudziestym? Mam coś, co mogłoby dotrzeć tam w mniej niż godzinę. - W zazwyczaj opanowanym głosie Kenjo pobrzmiwała nutka podniecenia. - Fuknar opracował wspomagające silniki odrzutowe dla jednego ze średnich ślizgaczy. Sądzi, że mogłoby teraz rozwinać co najmniej siedemset kilometrów na godzinę, przy pełnym obciążeniu. A przy niepełnym nawet więcej.

- Musimy załadować jak najwięcej miotaczy ognia plus zapasowe butle. Wykorzystamy HNO₃. To będzie tak, jak byśmy stosowali jednocześnie ogień i wodę. Pol i Bay nie wazą dużo, a przydadzą się jako obserwatorzy. Potrzebny nam przynajmniej jeden medyk, dwóch fizycznych, Tarvi, Jim i ja. Osiem osób. W porządku, zaraz u ciebie będziemy. - Paul odwrócił się do Ongoli. - Udało się?

- Skoro nie możemy im powiedzieć, kiedy się zaczęło, chcieliby wiedzieć, kiedy się skończy - odparł Ongola. - Im więcej danych im podamy, tym dokładniejsi będą... następnym razem. Czy mieszczą się w tej ósemce?

Paul z żalem pokręcił głową.

- Potrzebuję cię tutaj, żebyś w razie czego opanował panikę. Do diabła, musimy się jakoś zorganizować.

Ongola prychnął cicho. Zdolności organizacyjne Paula Bendena i umiejętność sprawnego działania w awaryjnych warunkach były legendarne. Obserwatorzy, załoga i sprzęt znaleźli się na pokładzie ślizgacza w dwadzieścia minut po rozmowie z Kenjo. Pojazd wzniósł się w powietrze i zniknął z pola widzenia, zanim Ongola usłyszał przytłumiony ryk ulepszonych silników.

Kenjo rozpedził maszynę do maksymalnej prędkości; pasażerów i ładunek przypięto pasami bezpieczeństwa. Przemknęli nad zieleniejącym szczytem nietkniętego przylądka za rzeką Jordan i polecili nad morzem, gdzie turbulencje sporadycznych, lecz silnych szkwałów dodatkowo zakłócały i tak niezbyt równy lot ślizgacza, nie przystosowanego do podobnych prędkości.

- Ani śladu czoła Opadu. Połowa tej chmury na południe od nas to zwykła deszczowa - powiedział Paul, podnosząc wzrok znad optoskopu i przecierając oczy. - Możliwe, ale to tylko przypuszczenie - dodał cicho - że deszcz uratował Sadrid.

Pomimo wielkiej szybkości podróży, głównie ponad wodą, zdawała się trwać w nieskończoność. Nagle Kenjo zredukował prędkość. Morze po prawej stało się mniej zamglone, a po lewej, przez ścianę deszczu, dało się dostrzec rozległą, szybko zbliżającą się równinę. Promień słońca przebił się przez chmurę, na równi oświetlając bujną roślinność i огоłocone połacie ziemi.

- To zły wiatr - zauważył Jim Tillek, wskazując morze, którego powierzchnia bardziej burzyła się od podwodnej krzątaniny niż od ruchów powietrza. - A przy okazji, zanim opuściłem Zatokę Monaco, wysłałem naszych płetwiastych przyjaciół, żeby spróbowali coś znaleźć.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Bay, przyciskając twarz do grubej plastikowej szyby. - Niemożliwe, żeby znalazły się tu tak szybko.

- Mało prawdopodobne - odparł Jim z uśmiechem - ale miejscowe gatunki posilają się z dużym zapalem.

- Siedźcie na miejscu! - krzyknął Kenjo, walcząc ze sterem.

- Jeśli delfiny zdołają odkryć, skąd to się wzięło... Dieter i Boris potrzebują jedynie danych - podsumował Paul, wracając do dziobowego optoskopu. - Sadrid nie do końca miał szczęście - dodał, marszcząc brwi. - Wygląda to tak, jakby ktoś wyciął całą roślinność rozpalonym nożem - mruknął pod nosem i odwrócił wzrok. - Wyląduj jak najszybciej, Kenjo!

- To wiatr - powiedział Wade Lorenzo ekipie ratunkowej. - Uratował nas wiatr i deszcz. Łało całymi strugami, ale to była woda, nie Nici. Nie, raczej wszystko w porządku - zapewnił, wskazując smoczki, iskające się na najwyższych gałęziach drzew. - One nas ocaliły, podobnie jak w Ładowisku. - Młodsze dzieci dopiero wychodziły z jednego z większych budynków, szeroko otwartymi oczami rozglądając się dokoła. - Nie wiemy tylko, co z Jivą i Bahką. Wypłynęły na ryby. - Bezradnie wskazał na zachód.

- Jeżeli popłynęły na zachód czy północ, mieli spore szansę - powiedział Jim.

- Ale jesteśmy zrujnowani - dodał Athpathis. Twarz rolnika, pokazującego spłądrowane pola i sady, była żywym obrazem klęski.

- W Lądowisku wciąż mamy sporo siewek - zapewnił go Pol Nietro, niezgrabnie poklepując Athpathisa po ramieniu, by wyrazić współczucie. - A w tym klimacie w ciągu roku można zebrać kilka plonów.

- Wrócimy do was później - odezwał się Paul, pomagając wyładować miotacze ognia. - Jim, zajmiesz się oczyszczaniem terenu? Wiesz, co robić. My musimy polecieć za głównym Opadem aż do końca. Proszę, Wadę. Spal to draństwo!

- Ale admirale... - zaczął Athpathis, a w jego ogorzalej od słońca twarzy zabłyśły białka szeroko rozwartych, przerażonych oczu.

- Na drodze tej zarazy leżą jeszcze dwie inne farmy - powiedział Paul, wspinając się do ślizgacza i zapinając pasy.

- Lecimy prosto do ciebie, Paul? - zapytał Kenjo startując.

- Nie, najpierw sprawdzimy na północy. Może uda nam się znaleźć Jive i Bańkę. Polecimy aż do krawędzi Opadu.

Kenjo, gdy tylko wyprostował ślizgacz, włączył dopalanie odrzutowe, wciskając pasażerów w siedzenia. Niemal natychmiast jednak zmniejszył moc.

- Admirale, pańska farma chyba uszła cało.

Paul przycisnął oczy do optoskopu i z niewiarygodną ulgą ujrzał, jak roślinność wzdłuż plaży kładzie się w podmuchach porywistego wiatru. Uspokojony, mógł się skoncentrować na najpilniejszej pracy; jego uwagi nie rozpraszała już troska o najbliższych.

- Patrzcie, jak nagle się urywa - spostrzegła zaskoczona Bay.

- Deszcz, jak sądzę - zauważył Pol i wyciągnął szyję, by wyjrzeć przez silipleksową osłonę. - A tam, czy to nie pomarańczowy żagiel?

Paul, uśmiechając się ze zmęczeniem, podniósł wzrok znad optoskopu.

- To istotnie żagiel, w dodatku nietknięty. Proszę oznaczyć jego pozycję, panie Fusaiyuki, a potem jak najszybciej lećmy do Caesara. - Paul usadowił się wygodniej w fotelu i chwycił za oparcia.

- Tak jest.

Szóstka pasażerów ponownie odczuła skutki przyspieszenia, a następnie gwałtownego hamowania Kenjo. Tym razem pilot tak raptownie skrzył na bakburtę, że ślizgacz prawie zawrócił w miejscu.

- Oznaczyłem pozycję, admirale. Jakież rozkazy?

Paul Benden poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Miał nadzieję, że jest on wynikiem nieoczekiwanego manewru, a nie formalnym tonem Kenjo.

- Polecimy nad śladem i sprawdzimy, jak szeroki jest wypalony korytarz. Skontaktuję się z pozostałymi farmami i powiem, że alarm odwołany.

Pozwolił sobie najpierw skontaktować się z żoną i zdać jej krótką relację, nie tylko po to żeby ją uspokoić, ale też by lepiej zapamiętać poszczególne fakty.

- Czy mam przysłać wam kogoś do pomocy? - zapytała. - Raport z Lądowiska mówi, że Nici zabija się ogniem.

- Przyślij Johnny'ego Greene'a i Grega Keatinga w szybszym ślizgaczu. Mamy kilka nadliczbowych miotaczy.

Inni też zaproponowali, że przyślą synów, a Paul przyjął ich oferty. Caesar Galliani, występując z identyczną propozycją, zaznaczył, że chce widzieć swoich chłopców na czas przed dojeniem ich wielkiego stada.

- Czyli miałem rację - zachichotał weterynarz - wkładając tyle wysiłku w budowę domów z kamieni?

- Zdecydowanie miałeś rację.

- Jeśli człowiek chce się czuć bezpiecznie, nie ma to jak kamienne budynki. Chłopcy wyruszą, gdy tylko poda mi pan pozycję. Możemy chyba liczyć na to, że będzie nam pan przysyłał komunikaty, prawda, admirale?

Paul skrzywił się nieświadomie, po raz drugi słysząc swój dawny tytuł. Po siedmiu szczęśliwych latach życia na farmie nie pragnął odpowiedzialności związanej z dowodzeniem. Nagle jego wzrok przyciągnęły łyse plamy, tak odrażająco wyraźne z powietrza, przycinane nietkniętymi kępami roślinności w miejscach, gdzie Nici zostały zatopione przez deszcz, zanim jeszcze dotknęły ziemi. Deszcz i smoczki! Wątpli sprzymierzeńcy w obliczu takiego zniszczenia. Gdyby tylko miał wolną rękę... Paul porzucił ten tok myślenia. Nie on był dowódcą; nie chciał znów nim zostawać. Byli młodszy, którzy mogli wziąć na siebie ten ciężar.

- Powiedziałbym, że korytarz jest na pięćdziesiąt klików szeroki, admirale - oznajmił Kenjo. Paul zdał sobie sprawę, że pozostali cicho dyskutują nad faktami.

- Widać roślinność rozkładającą się przy podwórzu - powiedziała niespokojnie Bay. Napotkała wzrok Paula. - Deszcz nie wystarczy.

- Ale pomógł - odpowiedział jej Tarvi, lecz on też spojrzął na Paula.

- Wkrótce przybędą posiłki z Tesalii i Rzymu. W drodze powrotnej do Sadridu użyjemy miotaczy, gdzie tylko będzie trzeba. Usiądź gdzieś tutaj, Kenjo. W Ładowisku będą chcieli poznać szczegóły dzisiejszej wyprawy. Skoro chcą danych, to będą je mieli.

Wkrótce wszystkie dostępne butle z HNO₃ były już wyczerpane, podobnie jak cała załoga. Pol i Bay wytrwale podążali za ekipami uzbrojonymi w miotacze, robiąc notatki dotyczące rozrzutu Nici i ciesząc się, że obfity deszcz ograniczył zniszczenia. Kiedy Paul podziękował ludziom z Tesalii i Rzymu, powiedział Kenjo, żeby z rozsądną prędkością poleciał do Sadridu, by zabrać Jima Tilleka.

- Tak więc musimy uzbroić się w jęzory ognia przeciwko zarazie, która zagraża naszej pięknej i hojnej planecie - powiedział Tarvi do Paula, kiedy w końcu skierowali się na wschód w stronę szybko zbliżającej się nocy. - Czy Sadrid będzie już bezpieczny?

- Na zasadzie, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce? - Ton Paula był raczej kwaśny. - Obawiam się, że na tym nie możemy polegać, Tarvi. Mam jednak nadzieję, że Boris i Dieter wkrótce znajdą jakieś środki zaradcze. - Nagle, wyraźnie zaniepokojony, zwrócił się do Pola. - Chyba niemożliwe, że to pada losowo, prawda?

- Wolisz teorię, że to zostało zaplanowane? Nie, Paul, ustaliliśmy już, że mamy do czynienia z bezmyślnym, niesłychanie żarłocznym organizmem. Żadnej dostrzegalnej inteligencji - odparł Pol, zaciskając i zwalnając pięść, zaskoczony własną gwałtownością - a tym bardziej świadomości. Nadal popieram teorię Bay, że to dwu - lub trzyetapowy cykl życiowy. A nawet w takim wypadku istnieje bardzo niskie prawdopodobieństwo, że inteligencja wykształca się w późniejszym stadium.

- Wherry? - zapytał Tarvi kpiąco.

- Nie, nie bądź śmieszny. Zbadaliśmy ich pochodzenie aż do morskich węgorzy, wspólnych przodków zarówno wherrów, jak i smoczków.

- Smoczki pomogły nam bardziej, niż się spodziewałem - przyznał Tarvi. - Sallah upiera się, że mają wysoki stopień inteligencji.

- Pol, czy ty albo Bay próbowaliście zbadać ich inteligencję, kiedy stosowaliście wzmocnienia mentasyntowe? - zapytał Paul Benden.

- Nie - odparł Pol. - Nie było takiej potrzeby, skoro dowiedliśmy, że wzmocniona empatia ułatwia ich kontrolowanie. Mieliśmy inne priorytety.

- W tym momencie najwyższym priorytetem jest określenie cech tej zarazy - mruknął Paul. - Wszyscy jednak powinniśmy wypocząć.

Gdy ekipa ratunkowa wróciła do Ładowiska, nie dało już się ukryć nowego ataku. Mimo że nie podano oficjalnego komunikatu o wyprawie, plotki były nieuniknione.

- Jedyne pozytyw - zwierzył się Paul Emily, jedząc pospiesznie przygotowany posiłek - że wydarzyło się to stosunkowo daleko.

- Wciąż nie mamy wystarczających danych, by wyliczyć częstotliwość lub prawdopodobne

tory poruszania się Nici - oznajmił Dieter Clissmann. - Delfiny najwyraźniej nie mogły się dowiedzieć, gdzie i kiedy zaczął się Opad. Morskie formy życia nie mierzą czasu. Boris wpisuje jeszcze losowe czynniki, takie jak różnice temperatur, obszary wysokiego i niskiego ciśnienia, częstotliwość opadów oraz prędkość wiatru. - Dieter westchnął przeciągle. - Utopiły się w deszczu, tak? Przynajmniej ogień i woda je zabija. To już jakaś pociecha.

Ale niewielu dało się pocieszyć równie łatwo. Część mieszkańców Ładowiska poczuła nawet ulgę na myśl, że pozostałe sektory kontynentu ucierpiały od takiej samej katastrofy. Pozytywnym skutkiem strachu i przerażenia było to, że nikt nie sarknął na ogłoszony stan nadzwyczajny. Niektórzy uważali, że narzucone przez Ładowisko środki bezpieczeństwa naruszają autonomię gwarantowaną im przez statut. Ale nawet najbardziej wymowni zmienili zdanie, gdy obejrzeliby zdjęcia ze zniszczeń w Korytarzu Sadrydzkim - jak go nazwał Pol. Ongola i jego grupa łącznościowców mieli sporo roboty z udzielaniem wyjaśnień bardziej oddalonym osadnikom.

Tarvi wytypował zmiany, które przez całą dobę miały pracować przy przygotowywaniu pustych butli do miotaczy ognia i napełnianiu ich HNO₃. Łatwo wytwarzany utleniacz nie tylko okazał się niezwykle efektywny przy niszczeniu Nici, ale także tanim kosztem można go było syntetyzować z wody i powietrza, stosując energię hydroelektryczną i nie zanieczyszczając środowiska. Co najważniejsze, ani smoczkowa, ani ludzka skóra nie odnosiła poważnych obrażeń w wypadku spryskania kwasem. Wilgotna szmata narzucona przed upływem dwudziestu sekund zapobiegała ciężkim oparzeniom. Kenjo pilotował cięższe ślizgacze, wylądowane stojakami z miotaczami ognia. Kategorycznie twierdził, że najlepszą obroną jest atak, i to atak z powietrza. Kenjo miał wielu gorliwych popleczników wśród tych mieszkańców Ładowiska, którzy przeżyli Pierwszy Opad.

Ogień stanowił najlepszą broń. Jak to powiedział jakiś dowcipniś, skoro nikt nigdy nie wymyślił, jak można zrobić deszcz na zawołanie, ogień był jedyną rozsądną obroną. Nawet najbardziej zagorzali miłośnicy smoczków nie chcieli polegać całkowicie na ich bezustannej asyście.

Brakowało rąk do pracy. Dwukrotnie wzywano Paula i Emily, by rozstrzygnęli spory o podbieranie pracowników. Agronomowie i weterynarze pospiesznie wzmacniali pomieszczenia dla zwierząt. Badano jaskinie, które mogłyby nadawać się na alternatywne schronienia. Puste składy w Ładowisku przekształcono w obory, gdzie każdy z osadników mógł dla bezpieczeństwa umieścić swoje zwierzęta. Joel Lilienkamp nalegał, by ze względu na braki siły roboczej udziałowcy sami wzmocnili wszystkie budynki, które wcześniej opuścili. Wielu udziałowców uważało, że jest to obowiązek Ładowiska; część nie zamierzała porzucić swojej ziemi, jeżeli nie zapewni im się bezpiecznego schronienia. W ciągu ośmiu lat populacja osiedleńców wzrosła tak bardzo, że pierwotna osada nie mogła pomieścić nawet połowy obecnych kolonistów.

Porrige Connell pozostał w swojej jaskini, odkrywając, że zawiera ona wystarczająco dużo połączonych ze sobą komór, by zamieszkała w nich liczna rodzina wraz ze zwierzętami. Oprócz zagród dla kłaczy i źrebiąt Porrige sporządził też boks dla ogiera, zapewniając Cricketowi wszelkie wygody. Wielkodusznie pozwolił też ocalałym członkom innych rodzin pozostać w jaskiniach, póki nie znajdą sobie własnych.

Paul Benden i Emily Boll - podobnie jak Jim Tillek, Ezra Keroon i Ongola - odkryli, że ludzie spodziewają się od nich podejmowania decyzji, jako od wcześniejszych przywódców kolonii, mimo że zarzucili już pełnienie obowiązków administracyjnych.

- Wolę już, żeby zwracali się do mnie, a nie do Teda Tubbermana - zauważył Paul ze zmęczeniem, gdy Ongola, dawny oficer łącznościowy, przyniósł mu ostatnie, naglące pytania z odległych działek. Odwrócił się w stronę Toma Patricka, który przybył, by zrelacjonować krążące skargi i plotki.

- Nie powinniście dłużej odwlekać otwartego zgromadzenia - oznajmił Tom - inaczej ty i Emily stracie całą wiarygodność. To byłby wielki błąd. Może wy nie chcecie brać na siebie dowodzenia, ale ktoś powinien to zrobić. Tubberman nieustannie podkopuje wszelkie wysiłki i ducha kolonii. Jest bardzo negatywnie nastawiony. Powinniście być wdzięczni, że spędza większość czasu usiłując na własną rękę oczyścić kontynent z gnijących Nici. Ból całkowicie zaćmił jego zdolności pojmowania i osądu.

- Chyba nikt nie wierzy w jego gadanie? - zapytała Emily.

- Nagromadziło się tak dużo zadawnionych uraz, niechęci i zwykłego, fizycznego strachu, że zaczyna znajdować słuchaczy. Zwłaszcza przy braku autoryzowanej wersji - odparł Tom. - Narzekania Tubbermana opierają się jednak na faktach. Chociaż zniekształconych. - Psycholog wzruszył ramionami, uniósł obie dłonie spodem do góry. - W końcu to, co robi, obróci się przeciwko niemu. Przynajmniej taką mam nadzieję. Tymczasem jednak udało mu się wywołać taką falę niechęci, że najlepiej będzie szybko stawić jej czoło. Najlepiej, jeśli podejmiecie się tego właśnie wy, panowie, a także Emily i pozostali kapitanowie. Ludzie wciąż wam ufają, pomimo oskarżeń Tubbermana.

- A więc znowu trzeba będzie przekroczyć Rubikon - powiedział Paul żartobliwie, po czym westchnął głęboko. Przyłapał się na tarcu lewym kciukiem pozbawionej czucia skóry sztucznych palców. Zmusił się do przestania. Opierając się ze zmęczenia o krzesło, podłożył pod głowę obie ręce, jak gdyby chcąc podeprzeć dodatkowy ciężar.

- Mogę poprowadzić spotkanie, Paul - powiedział Cabot, kiedy Paul skontaktował się z nim na zastrzeżonym kanale interkomu. - Ale ludzie podświadomie uznają ciebie i Emily za swoich przywódców. Siła przyzwyczajenia.

- Decyzja o przywróceniu nas na stanowiska musi być spontaniczna - odparł Paul po długiej przerwie. Emily również skinęła głową. W ostatnich dniach oboje bardzo się postarzeni. - Musimy ściśle trzymać się protokołu zawartego w umowie, chociaż na wszystko co święte, nigdy nie sądziłem, że będę musiał korzystać z klauzuli bezpieczeństwa.

- Dziękuj lepiej wszystkim mocom, że umowa zawiera to zastrzeżenie - powiedział Cabot. - Organizowanie wszystkiego na miejscu zabrałoby mnóstwo czasu. A przy okazji, wczoraj rano doszły do nas pewne wieści spoza rzeki. Zauważyłem to dopiero dzisiaj w południe. Opad na południowym krańcu Bordeaux. Udzieliliśmy pomocy Patowi i jego ekipie. U nas wszystko w porządku. - Po tych słowach rozłączył się, zostawiając oniemiałego Paula.

- Uporaliśmy się z tym świństwem - oznajmił Cabot, osobiście przybywszy do Lądowiska. - Zaczynam doceniać powagę sytuacji. - Pełen nadziei uśmiech wykrzywił mocne wargi mężczyzny, jednak wyraz szarych oczu pozostał nie zmieniony. - Czy naprawdę jest tak źle, jak głoszą plotki?

- Chyba tak. Zależy od źródła plotek - odparł Paul szczerze.

- Raczej od tego, czy jesteś optymistą czy pesymistą - dodał Jim Tillek. - W pasie asteroidów bywałem w gorszych tarapatkach, a jednak wyszedłem z nich żywy i z całymi płucami. Wolę manewrować na planecie. I na morzach.

- Jedyne, co na razie możemy zrobić, to zaprzeczać - powiedział Paul. Zaczął wykluczać wcześniejsze przypuszczenia, zaginając grube, spracowane palce. - Nici nie są raczej zapowiedzią obcej inwazji. Nie są czymś nowym w tej okolicy. Sądząc z raportu ZBO, w podobny sposób uderzyły na tę planetę jakieś dwieście lat temu. Mogą pochodzić z niewspółśrodkowej planetki o dwustupięćdziesięcioletniej orbicie, ale niekoniecznie. A chociaż nie wiemy, jak przebiega ich cykl życiowy, a nawet czy takowy posiadają, Nici nie są wczesnym stadium węży tunelowych, które mają o wiele bardziej szacowny rodowód, ani też żadnego z innych stworzeń, jakie zbadaliśmy do tej pory.

- Rozumiem. - Cabot powoli skinął kształtną, lwią głową i w zamyśleniu dotknął palcami warg. - Nie macie w zanadrzu jakiegóż pocieszającej prognozy?

- Jeszcze nie. Tom proponuje, żebyśmy zwołali spotkanie, by wysłuchać skarg i skorygować nieprawdziwe wersje wydarzeń - ciągnął Paul. - Ludzie sądzą, że Opad ominął Bocę, gdyż należy do Pola Bendena. Spadł na Sadrid, ponieważ jest najnowszy, a zatrzymał się tuż przed Tesalią, dlatego że Gyorgy był jednym z pierwszych założycieli, którzy odebrali swój przydział. Możemy przetrwać tę plagę i zrobimy to, ale nie wolno nam nakładać jednakowych obowiązków na techników i sprawnych fizycznie robotników. Każdy myślący człowiek uzna za oczywiste, że nie zdołamy przeżyć, jeśli wszyscy zaczną działać po swojemu. Albo jeśli nie uda nam się zdementować co dziwniejszych przypuszczeń, w tym Tubbermana, oraz podnieść morale.

- Krótko mówiąc, chcesz zawiesić autonomię?

- Ja tego nie chcę - odparł Paul wyraźnie i z naciskiem - ale scentralizowana administracja. - Cabot uśmiechnął się, słysząc jakich słów użył admirał. - Sprawniej zdoła pokierować dostępnymi robotnikami, rozdzielać materiały i zapasy oraz dopilnować, by większość mieszkańców wyszła z tego cało. Joel Lilienkamp zamknął dziś składy, ogłaszając inwentaryzację, aby zapobiec powodowanemu paniką pobieraniu towarów. Ludzie muszą zdać sobie sprawę, że naprawdę znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji.

- Zgoda buduje, niezgoda rujnuje? - Cabot z szacunkiem zacytował stare przysłowie.

- Właśnie tak.

- Problem w tym, jak sprawić, by co bardziej niezależne dusze pojęły mądrość tego powiedzenia - odezwał się Tom Patrick, a Cabot przytaknął.

- Muszę podkreślić - ciągnął Paul, zerkając szybko na Emily, która skinęła głową na znak zgody - że nieważne jest, kto będzie zarządzał kolonią w niebezpieczeństwie, pod warunkiem że ludzie uznają autorytet i będą się słuchać. Tylko to zapewni przetrwanie.

Po dłuższej chwili Cabot dodał w zamyśleniu:

- Znajdujemy się całe lata od jakiegokolwiek pomocy. Czy spaliliśmy za sobą wszystkie mosty?

Zdumienie i ulga zapanowały w Ładowisku następnego ranka, gdy Cabot Francis Carter, starszy legista kolonii, ogłosił przez interkom, że na następny wieczór wyznaczono zgromadzenie. Oczekiwano obecności przedstawicieli wszystkich głównych osad, należących czy to do założycieli, czy to do kontraktowych.

Przed porą spotkania elektrycy zdołali podziemnymi przewodami na nowo doprowadzić prąd do jednego z krańców Placu Ogniskowego. Tam, gdzie lampy wciąż były ciemne, do słupów przyczepiono pochodnie. Oświetloną przestrzeń wypełniono ławkami i krzesłami. Na platformie, pierwotnie wzniesionej dla muzyków grających przy conocnych ogniskach, ustawiono długi stół, za którym stało sześć krzeseł. Światło było wystarczająco jasne, by patrzący dostrzegli, kto zajął miejsce na podwyższeniu.

Gdy nie pojawili się ani Paul Benden, ani Emily Boll, wśród zgromadzonych rozległ się pomruk zdziwienia. Cabot Francis Carter wprowadził na scenę Mar Dooka, Pola i Bay Harkenon-Nietro, Ezrę Keroona oraz Jima Tilleka.

- Mieliśmy dość czasu, by opłakać nasze straty - zaczął Cabot, a jego dzwięczny głos z łatwością niósł się aż do ostatnich ławek. Nawet dzieci słuchały w milczeniu. - A były one ciężkie. Mogły jednak być gorsze. Nie ma wśród nas takich, którzy nie składają podziękowań naszym małym, zionącym ogniem smoczkowym sprzymierzeńcom.

- Nie mam dla was tylko złych wieści. Żałuję, że nie mam lepszych. Możemy już określić twory, które zabiły naszych bliskich i zniszczyły pięć działek: jest to bardzo prymitywna, mikorytyczna forma życia. Mar Dook opowiadał mi, że na innych planetach, w tym również na Ziemi, bardzo proste grzyby mogą żyć w symbiozie z grzybami wyższymi, przy czym grzybnia oplata się wokół korzeni roślin nasiennych. Wszyscy widzieliśmy, jak te organizmy atakują roślinność...

- I praktycznie wszystko inne! - krzyknął Ted Tubberman z lewej strony słuchaczy.

- Owszem, to jest tragiczna prawda. - Cabot nie spojrzął na Teda ani nie próbował nadać spotkaniu lżejszego tonu, ale zamierzał je kontrolować. Nieznacznie podniósł głos. - Dopiero teraz zaczynamy zdawać sobie sprawę, że zjawisko to występuje na całej planecie i ostatnio miało miejsce mniej więcej dwieście lat temu. - Zrobił pauzę, by słuchacze mogli przyswoić sobie ten fakt, po czym spokojnie uniósł ręce, by uciszyć pomruki. - Wkrótce będziemy mogli dokładnie określić, gdzie i kiedy Opad uderzy znowu. Bo niestety uderzy. To jednak jest nasza planeta - dodał z ogromnym naciskiem - i żadne cholerne, bezmózgie Nici nie zmuszą nas do odwrotu.

- Ty draniu, my nie możemy się wycofać! - Ted Tubberman zerwał się na nogi, dziko wymachując w powietrzu zaciśniętymi pięściami. - Ułożyliście to tak, że zginiemy tutaj; załatwią nas te cholerne stwory. Nie możemy odjechać! Wszyscy tu zginieją.

Jego wybuch wywołał ponure pomruki wśród audytorium. Sean siedział nieporuszony obok Sorki na skraju tłumu.

- Cholerny wyszczekany założyciel - mruknął chłopak do Sorki. - Wiedział, że podróż jest w jedną stronę, tyle że teraz coś nie gra, więc kogoś trzeba obwinąć. - Sean prychnął pogardliwie.

Dziewczyna uciszyła go syknięciem; chciała usłyszeć odpowiedź Cabota.

- Nie wydaje mi się, żeby nasza sytuacja była beznadziejna, Ted - zaczął Cabot, a jego wyszkolony, zdecydowany i pewny siebie głos pochłonął pomruki tłumu. - Wprost przeciwnie! Wolę myśleć pozytywnie. Postrzegam to jako wyzwanie dla naszej przemyślności, dla naszych zdolności przystosowawczych. Rodzaj ludzki umiał sobie radzić z o wiele trudniejszymi warunkami niż te na Pernie. Mamy problem i musimy go rozwiązać. Musimy przetrwać. I przetrwamy!

Cabot, widząc, że olbrzymi botanik bierze oddech, podniósł głos.

- Kiedy podpisywaliśmy umowę, wszyscy wiedzieliśmy, że nie będzie odwrotu. Zresztą nawet gdybym mógł, nie zdecydowałbym się na ucieczkę do domu. - W jego tonie dało się wyczuć pogardę dla słabych duchem, tchórzliwych i zmiennych. - Bo Pern posiada więcej bogactw, niż Pierwsza i Ziemia miały kiedykolwiek! Nie pozwolę, aby to zjawisko zdołało mnie wygnać z domu, który zbudowałem, aby oddzieliło mnie od plonów, które chcę zebrać, od jakości życia, jakim się cieszę! - Pogardliwym ruchem ręki sprowadził Opad do poziomu drobnego utrudnienia. - Ze wszystkich sił i wszelkimi posiadanymi środkami będę walczył za każdym razem, gdy uderzy na moją ziemię lub ziemię moich sąsiadów.

- Dobrze - powiedział mniej nagłym tonem. - Zwołaliśmy to spotkanie według demokratycznych zasad wyszczególnionych w umowie, aby postanowić, jak najlepiej w tych warunkach chronić kolonię. Można powiedzieć, że zostaliśmy oblężeni przez te twory. Musimy więc przedsięwziąć środki i rozwinąć odpowiednią strategię, aby zminimalizować ich wpływ na nasze życie i własność.

- Proponujesz stan wojenny, Cabot? - zapytał Rudi Shwartz, wstając z krzesła i starając się panować nad twarzą.

Cabot uśmiechnął się krzywo.

- Ponieważ na Pernie nie mamy armii, więc stan wojenny jest niemożliwy. Jednak okoliczności zmuszają nas do tego, byśmy zastanowili się nad zawieszeniem obecnej autonomii, żeby obniżyć szkody, jakie Nici mogą wywołać i wywołają w ekologii planety oraz ekonomii kolonii. Proponuję, żeby w tym momencie przegłosować powrót do scentralizowanego rządu, jaki istniał po wylądowaniu na Pernie. - Następne słowa musiał prawie wykrzyknąć, żeby zagłuszyć protesty. - A także środki, które chociaż nam, jednostkom przyzwyczajonym do autonomii, mogą wydać się uciążliwe, są jednak niezbędne do przetrwania kolonii.

- Czyli decyzja o ich wprowadzeniu już zapadła? - zapytała jakaś kobieta.

- W żadnym wypadku - zapewnił ją Cabot. - Nie wiemy zbyt wiele o naszym... przeciwniku,

ale musimy przygotować plany na każdą ewentualność. Ustaliliśmy, że Opad występuje na całej planecie, czyli prędzej czy później trafi na każdą farmę. Musimy zminimalizować to niebezpieczeństwo. Oznacza to centralizację istniejących zapasów żywności i sprzętu oraz powrót do hodowli hydroponicznych. Spowoduje też, że część techników zostanie poproszona o powrót do Ładowiska, gdzie ich umiejętności mogą zostać najlepiej wykorzystane. Musielibyśmy pracować wspólnie; nikt nie mógłby iść własną drogą.

- A jaką mamy alternatywę? - zapytała inna kobieta pośród ciszy, jaka zapadła. Mówiła głosem pełnym rezygnacji.

- Niektórzy z was mają całkiem spore farmy - odparł Cabot najbardziej zrównoważonym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Prawdopodobnie moglibyście poradzić sobie sami. Jakakolwiek centralna organizacja w Ładowisku troszczyłaby się przede wszystkim o potrzeby własnych mieszkańców, dlatego trzeba wszystko dobrze rozważyć i wybrać mniejsze zło. - Posłał krótki, pokrzepiający uśmiech w stronę, z której dobiegł go głos. - Dlatego właśnie spotkaliśmy się tutaj: żeby przedyskutować wszystkie możliwości równie dokładnie, jak wcześniej dyskutowaliśmy nad warunkami umowy oraz cechami kolonii.

- Chwileczkę! - zawołał Ted Tubberman, zrywając się na nogi. Rozpostarł ramiona i rozejrzał się dokoła, wysuwając agresywnie podbródek. - Jedną możliwość mamy na pewno, i to bardzo realistyczną. Możemy wysłać na Ziemię kapsułę powrotną i poprosić o pomoc. To sytuacja nadzwyczajna. Potrzebujemy pomocy!

- Tak jak mówiłem - mruknął Sean do Sorki. - Kwiczy jak zarzynana świnia. Dziewczyno, wystarczy, że Ziemia tu wylądowała, a lecimy do Łańcucha Barierowego i znikamy!

- Nie stawiałbym na to, że Ziemia się tym zainteresuje - odezwał się Joel Lilienkamp z przodu widowni, lecz jego słowa utonęły w okrzykach kolonistów, wyrażających poparcie dla Teda.

- Nie potrzebujemy Ziemi, żeby wtrącała się do spraw Pernu - zawołał Sean, zrywając się na nogi i rozkładając ramiona. - To nasza planeta!

Cabot wezwał zebranych do porządku, ale jedynie niewielka część zgromadzonych się podporządkowała. Ezra Keroon wstał, usiłując pomóc. W końcu, złożony w trąbkę, zdołał wykrzyczeć swój apel.

- Wstrzymajcie się, przyjaciele. Muszę wam wszystkim przypomnieć, słuchajcie mnie, że minęłoby ponad dziesięć lat, nim otrzymalibyśmy odpowiedź. Jakakolwiek.

- Ja na przykład - odezwał się Jim Tillek, przekrzykując wrzawę, jaka wybuchła po słowach Ezry - wcale nie chciałbym, żeby Ziemia, czy nawet Pierwsza, wtykały nos w nasze sprawy. O ile w ogóle chciałyby im się odpowiadać. Przede wszystkim, gdyby raczyli nam pomóc, kazaliby sobie słono zapłacić. Skończyłoby się na tym, że przejęliby wszystkie materiały i większość uprawnej ziemi. Czy zapomnieliście już o Cetii III? Poza tym nie rozumiem, dlaczego robi się tyle hałasu w kwestii centralnej administracji w nadzwyczajnych warunkach. Dla mnie to ma sens. Musimy dzielić po równo!

Wyraźnie dał się słyszeć cichy pomruk zgody, chociaż na wielu twarzach malowała się niechęć lub przygnębienie.

- On ma rację, Sorka - odezwał się Sean wystarczająco głośno, by słyszeli go sąsiedzi.

- Mama i tata też tak sądzą - dodała dziewczyna, wskazując rodziców, którzy siedzieli kilka rzędów przed nimi.

- Musimy wysłać wiadomość! - zawołał Ted Tubberman, strząsając z siebie ręce sąsiadów, którzy starali się skłonić go do zajęcia miejsca. - Musimy im powiedzieć, że mamy kłopoty. Mamy prawo do pomocy! Co jest złego w wysyłaniu wiadomości?

- Co jest złego?! - krzyknął Wade Lorenzo z tyłu audytorium. - Potrzebujemy pomocy już teraz, a nie za dziesięć do trzydziestu lat. Do tego czasu problem mielibyśmy już pewnie z głowy. A Opad nie jest taki straszny - dodał z pewnością siebie, jaka wynikała z doświadczenia. Usiadł pośród okrzyków i gwizdów niechęci, wydawanych głównie przez tych, którzy byli w Ładowisku podczas tragedii.

- Nie zapominajcie też, że minęło pół wieku, zanim Ziemia ruszyła na pomoc Cetii III - odezwała się Betty Musgrave-Blake, wstając z miejsca.

Inni też wygłaszali komentarze.

- Tak, kapitan Tillek ma rację. Sami musimy rozwiązywać problemy. Nie możemy czekać na Ziemię.

- Daj sobie spokój, Tubberman.

- Siadaj i gębę na kłódkę, Ted.

- Cabot, przywołaj go do porządku. Kontynuujmy spotkanie.

Podobne głosy dobiegały ze wszystkich stron.

Sąsiedzi pociągnęli botanika na krzesło. Ted, rozgoryczony brakiem poparcia, strząsnął chwytające go dłonie i obronnym gestem skrzyżował ręce na piersi. Tavri Andiyar i Fulmar Stone przysunęli się do niego. Sallah patrzyła z zapartym tchem, chociaż wiedziała, jaką siłę kryje szczupła postać Tarwiego.

Sean szturchnął Sorkę.

- Niech go wreszcie uciszą, to będzie można przejść do sedna całego tego gadania - powiedział. - Nie cierpię takich spotkań. Ludzie chcą tylko narobić hałasu i zwrócić na siebie uwagę, chociaż nawet nie wiedzą, o czym mówią.

Podnosząc do góry rękę, by go zauważono, Rudi Shwartz ponownie wstał z miejsca.

- Gdyby zgodnie z twoją propozycją, Cabot, większe farmy pozostały samorządne, w jaki sposób moglibyśmy stworzyć centralną administrację? Czy wszystkie duże farmy musiałyby przed nią odpowiadać?

- Bardziej nam chodzi o sprawiedliwy rozdział żywności, sprzętu i schronienia, Rudi - powiedział Joel Lilienkamp, wstając - a nie o...

- Czy to znaczy, że mamy za mało jedzenia? - wtrącił czyjś niespokojny głos.

- Na razie mamy go dość, ale skoro Opad zdarza, się wszędzie... wszyscy widzieliśmy, co zrobił z polami wokół Ładowiska - ciągnął Joel, wskazując ciemny, spustoszony obszar. - A jeśli będą nawroty, cóż... - Wyraźnie dało się słyszeć niespokojny okrzyk jakiejś kobiety. - Cóż - powtórzył, podciągając spodnie - każdemu należy się równy udział w tym, co mamy. Nie widzę nic złego w czasowym powrocie do hodowli hydroponicznych. Radziliśmy sobie z tym jakoś przez piętnaście lat na statku, prawda? Założę się o wszystko, że znowu nam się uda.

Jego jowialne wyzwanie spotkało się z różnymi reakcjami, od wiwatów po wyraźną nieufność.

- Pamiętajcie też, że Nici nie wpływają na morze - powiedział Jim Tillek, z niezmaconą pogodą ducha. - Możemy żyć, i to całkiem dostatnio, z samego morza.

- Wiele wczesnych cywilizacji radziło sobie w ten sposób! - zawołała Mairi Hanrahan dźwięcznym, wyzywającym tonem. - Joel ma rację. Możemy zastosować alternatywne metody hodowli. A jak długo będziemy mogli czerpać świeże białko z morza, damy sobie radę. Sądzę, że powinniśmy dążyć do poprawy, a nie cofać się przed pierwszą drobną przeszkodą. - Spojrzała znacząco na Teda Tubbermana.

- Drobną przeszkodą?! - ryknął Ted. Chciał przedrzeć się przez tłum w stronę Mairi, ale go powstrzymano. Tarvi i Fulmar przysunęli się jeszcze bliżej.

- To nie jest drobna przeszkoda - powiedział Mar Dook szybko, przekrzykując gwar zmieszanych głosów oburzenia i poparcia. - Dla wielu stała się tragiczna. Ale nie walczyliśmy między sobą. To równie bezużyteczne, jak oskarżanie grupy ZBO o to, że nie przeprowadziła wystarczająco dokładnej inspekcji tej planety i wyprowadziła nas na manowce. Ten świat dowiódł, że potrafi przetrwać Opad i się zregenerować. Czyżbyśmy my, ludzie, byli mniej wytrzymali, mimo wszystkich naszych atutów? - Znacząco poklepał się w czoło.

- Ja nie chcę jedynie przetrwać, co dzień walcząc o życie! - wrzasnął Ted Tubberman, wysuwając zaczepnie podbródek. - Nie chcę siedzieć zabarykadowany w domu,

zastanawiając się, czy te twory nie wyżrą sobie drogi do środka.

- Ted, to największy stek bzdur, jaki kiedykolwiek słyszałem z ust dorosłego mężczyzny - stwierdził Jim Tillek. - Mamy pewne problemy, ale jestem absolutnie pewien, że je rozwiążemy. Więc przestań utyskiwać i zastanówmy się, co z tym fantem zrobić. Jesteśmy tutaj, człowieku, i zamierzamy przetrwać!

- A ja jednak chciałbym zwrócić się do domu o pomoc - powiedział ktoś innym, spokojnym, lecz stanowczym tonem. - Będzie nam chyba potrzebne wsparcie społeczeństw na wysokim stopniu rozwoju, zwłaszcza że przywieźliśmy ze sobą tak niewiele technologii. Poza tym skoro te Opady zdarzają się tak często...

- Jeżeli zwrócimy się o pomoc, będziemy musieli przyjąć, cokolwiek nam ofiarują - powiedział Cabot szybko.

- Lili, jakie widzisz szansę, że Ziemia zechce nam pomóc? - zapytał Jim Tillek.

Ted Tubberman ponownie zerwał się z krzesła.

- Nie zakładajcie się o to. Przegłosujmy to! Jeżeli to spotkanie istotnie jest demokratyczne, przegłosujmy, czy wysłać sygnał mayday do Federacji Planet Rozumnych.

- Popieram ten wniosek - powiedział jeden z medyków, unisono z kilkoma uczestnikami spotkania.

- Rudi - odezwał się Cabot - dobiez sobie dwóch pomocników. Będziemy głosować przez podniesienie ręki.

- Nie ma tu wszystkich - zauważył Wade Lorenzo.

- Jeżeli nie chcieli uczestniczyć w wyznaczonym spotkaniu, będą musieli podporządkować się decyzji tych, którzy się stawili - odparł Cabot surowo. Rozległy się okrzyki poparcia. - Przegłosujmy teraz nasz następny ruch. Zwolennicy wysłania kapsuły powrotnej do Federacji Planet Rozumnych z prośbą o pomoc niech podniosą ręce.

Część rąk uniosła się skwapliwie i została policzona przez pomocników Rudiego, który notował ich obliczenia. Kiedy Cabot wezwał przeciwników wysłania kapsuły, zgłosiła się większość kolonistów. Gdy tylko Cabot oznajmił wyniki, Ted Tubberman wpadł w szal.

- Wy cholerni głupcy! Sami nie pokonamy tej zarazy'. Nie będziemy od niej bezpieczni nigdzie na tej planecie. Nie pamiętacie raportów ZBO? Cała planeta została zniszczona. Odradzała się ponad dwieście lat. Jaką szansę my mamy?

- Wystarczy, Tubberman! - ryknął Cabot. - Chciałeś mieć głosowanie. Przeprowadzono je na oczach wszystkich i większość zadecydowała, że nie posyłamy po pomoc. Nawet gdyby przegłosowano przeciwną decyzję, nasza sytuacja jest na tyle poważna, że pewne działania musimy rozpocząć natychmiast.

- Jednym z priorytetów jest wyprodukowanie metalowych osłon do ochrony istniejących budynków, nieważne, gdzie się znajdują. Następnie trzeba wyprodukować butle do HNO₃ i części do miotaczy ognia. Musimy też zabezpieczyć sprzęt i zapasy. Kolejnym problemem jest ustanowienie porannych straży na każdej farmie, póki nie odkryjemy prawidłowości rządzących Opadami.

- Proponuję, żebyśmy czasowo przywrócili Emily Boll i Paula Bendena na stanowisko przywódców. Gubernator Boli zdołała wykarmić i ocalić swą planetę pomimo pięcioletniego embargo kosmicznego wprowadzonego przez Nathisa, a admirał Benden jak do tej pory jest najlepszym człowiekiem do organizacji skutecznej strategii obrony.

- Wzywam do powtórnego głosowania. Prawidłowe referendum przeprowadzimy, gdy tylko się zorientujemy, jak długo będzie trwał stan nadzwyczajny. - Zwięzłe, stanowcze zdania spotkały się ze szmerem poparcia. - Rudi, przygotuj się na kolejne liczenie. - Przeczekał chwilę, gdy tłum poruszył się niespokojnie. - Niech podniosą ręce ci, którzy popierają ogłoszone przeze mnie priorytety i chcą, aby ich wdrażaniem zajęli się admirał Benden i gubernator Boli.

Wiele rąk natychmiast wystrzeliło w powietrze, inne podniosły się nieco wolniej, gdy

niezdecydowani nabrali otuchy, patrząc na decyzję swoich sąsiadów. Zanim jeszcze Rudi podał odpowiednią liczbę, Cabot przekonał się, że wynik głosowania jest jednoznaczny: większość zaaprobowała środki nadzwyczajne.

- Pani gubernator, panie admirale, czy przyjmiecie na siebie te obowiązki? - zapytał formalnie.

- To było ukartowane! - zawołał Ted Tubberman. - Mówię wam, ukartowane. Chcieli się znowu dorwać do władzy! - Jego oskarżenia urwały się nagle, gdy Tarvi i Fulmar stanowczo popchnęli go z powrotem na ławkę.

- Pani gubernator? Admirale? - Cabot zignorował to, że mu przerwano. - Oboje posiadacie najlepsze kwalifikacje do tej pracy, ale jeśli odmówicie, poproszę zgromadzonych o inne propozycje. - Zamilkł wyczekująco, niczym nie zdradzając własnych zapatrywań i nie zwracając uwagi na wzburzone audytorium oraz na wzbierający pomruk niespokojnych szeptów.

Emily Boll z wolna wstała.

- Przyjmuję.

- Ja też - odezwał się Paul Benden, stając obok niej. - Ale tylko na okres niebezpieczeństwa.

- Wierzycie w to?! - wrzasnął Tubberman, wrywając się z rąk sąsiadów.

- Posuwasz się za daleko, Tubberman! - zawołał Cabot, tracąc na moment obojętność. - Większość opowiedziała się za wprowadzeniem rządów, nawet jeśli ty się sprzeciwiłeś. - Słuchacze z wolna się uciszyli. Cabot odczekał, póki nie zapanowało absolutne milczenie. - Najgorszą nowinę zachowałem na moment, w którym jestem już pewien, że będziemy pracować wspólnie. Dzięki Kenjo i jego ekipie badawczej Boris i Dieter chyba znaleźli już pewną prawidłowość. Jeśli mają rację, musimy się spodziewać, że Nici jutro po południu spadną nad rzeką Malay i ruszą przez prowincję Cathay do Meksyku nad jeziorem Maori.

- Nad Malay? - Chuck Kimmage skoczył na nogi, a jego żona chwyciła go za ramię. Oboje byli przerażeni. Phas zdołał odnaleźć i ostrzec wszystkich pozostałych farmerów z Malay i Meksyku, ale Chuck i Chaila przybyli tuż przed spotkaniem, zbyt późno, by można ich było powiadomić na osobności.

- Wszyscy pomożemy chronić wasze farmy - powiedziała Emily Boll głośno i stanowczo.

Paul wskoczył na platformę, podniósł ręce i zerknął na Cabota, prosząc o głos.

- Szukam ochotników do obsadzenia ślizgaczy i miotaczy. Kenjo i Fulmar opracowali już metodę ich mocowania. Załadowali wszystkie pojazdy, do jakich mieli dostęp. Ci z was, którzy posiadają średnie i większe ślizgacze, muszą je udostępnić. Najlepiej walczyć z Nićmi jeszcze w powietrzu, zanim zdążą opaść. Potrzebujemy też ekip naziemnych, żeby niszczyły wszystko, co się przedostanie.

- A co z tymi ognistymi jaszczurkami, czy jak tam je nazywacie? Czy nie mogą nam pomóc?

- zapytał ktoś.

- Pomogły nam wtedy w Lądowisku - powiedziała jakaś kobieta głosem drżącym z niepokoju.

- I dwa dni temu na farmie Sadrid - przypomniał Wadę.

- Deszcz także pomógł - dodał Kenjo, nie całkiem przekonany o użyteczności niemechanicznych sprzymierzeńców.

- Wszyscy posiadacze smoczków będą bardzo mile widziani w ekipach naziemnych - oznajmił Paul, pragnąc wykorzystać wszystkie środki. On jednak także odnosił się do smoczków sceptycznie; miał za mało czasu, żeby jakiegoś oswoić, chociaż jego żona i starszy syn hodowali po dwa. - Szukam zwłaszcza osób, doświadczonych w walce lub lataniu. Tym razem wrogiem nie są Nathis, ale nasz świat znów został zaatakowany. Powstrzymajmy to; jutro i kiedykolwiek będzie trzeba!

Entuzjastyczne słowa admirała wywołały spontaniczny aplauz, wciąż przybierający na sile, gdy ludzie zrywali się na nogi i wymachiwali zaciśniętymi pięściami. Przywódcy na platformie patrzyli na demonstrację, czując ulgę i pociechę. Chyba tylko Ongola zwrócił

uwagę na tych, którzy nie wstali z miejsc lub zachowali milczenie.

Rozdział III

Jeżeli Dieter i Boris mieli rację, zbliżający się Opad powinien minąć o włos przylądek Kahrain, mniej więcej o 1630, przechodząc 120 klików na północny zachód od ujścia Rajskiej Rzeki, 25 stopni na południe. Dieter i Boris nie byli pewni, czy Opad dotrze na południowy zachód aż do Meksyku nad jeziorem Maori, ale tam również poczyniono przygotowania.

Komandor Kenjo Fusaiyuki zebrał swoje szwadrony w ustalonym punkcie. Chociaż Nici topiły się w morzu, jego załogi miałyby szansę nabrać praktyki, ciskając płomienie w “żywy cel”.

Praktyka nie była właściwym określeniem chaosu, jaki zapanował. Rola Kenjo została ograniczona do bezskutecznego wywarkiwania rozkazów przez interkom, piloci zaś, niezbyt sprawni, ale pełni zapału, uganiali się za Nićmi po całym niebie, często zbryzgując się nawzajem strumieniami HNO₃.

Walka z Nićmi wymagała całkowicie innej techniki od polowań na wherry czy pojedynków z dużymi maszynami, prowadzonymi przez odpowiednio inteligentnego wroga. Nici były bezmyślne. Po prostu spadały - lekko znoszone na południowy zachód, czasami podskakując w silnych podmuchach wiatru. To właśnie nieustępliwość pozbawionego czucia przeciwnika doprowadzała ludzi do szału; męczyła, załamywała i zniechęcała. Nieważne, ile popiołów opadło do morza, Nici wciąż opadały. Zdenerwowani piloci robili pętle, kręcili się i nurkowali. Nie wyćwiczeni strzelcy oblewali kwasem wszystko, co poruszało się w zasięgu miotacza, a co nazbyt często okazywało się innym egzemplarzem tej broni, ścigającym płataninę Nici. Dziewięć udomowionych smoczków padło ofiarą braku doświadczenia. Natychmiast dało się zauważyć spadek liczby dzikich, które przyłączyły się do bitwy.

W pierwszej godzinie Opadu siedem ślizgaczy uczestniczyło w powietrznych kolizjach. Trzy wyszły z nich z poważnymi uszkodzeniami, a dwa z pękniętymi silipleksowymi osłonami, co czyniło je bezużytecznymi. Nawet ślizgacz Kenjo nosił ślady ognia. Połamane cztery ręce, sześć złamanych nadgarstków, trzy obojczyki i noga wyłączyły z akcji czternastu strzelców; wielu innych walczyło dalej z siniakami lub skaleczeniami. Nikt nie pomyślał o zainstalowaniu pasów bezpieczeństwa dla strzelców.

Na początku drugiej godziny urządzono pospieszną konferencję dowódców szwadronów na zastrzeżonym kanale, korzystając z faktu, że Opad wciąż był nad wodą. Kenjo, Sabra Stein-Ongola, Theo Force i Drake Bonneau, a także Paul Benden, jako kierujący naziemnymi drużynami pomocniczymi, postanowili przydzielić każdemu szwadronowi własny pułap wysokości, różniący się od pozostałych o sto metrów. Piloci mieli latać w szyku klinowym tam i z powrotem w poprzek szerokiego na pięćdziesiąt klików korytarza Nici. Bardzo ważne było, aby każda formacja złożona z siedmiu ślizgaczy trzymała się wyznaczonej wysokości.

Gdy maszyny zaczęły utrzymywać odległość, liczba kolizji powietrznych oraz wypadków nadpalenia gwałtownie spadła. Kenjo prowadził grupę najbardziej doświadczonych pilotów tuż nad ziemią, by wyłapywać jak najwięcej przeoczonych Nici i informować ekipy naziemne, gdzie twory się przedarły. Paul Benden koordynował ruchami szybkich ślizgaczy powierzchniowych, niosącymi ekipy wyposażone w małe przenośne miotacze. Prowadzono ciągłą wymianę informacji między powietrzem, ziemią i Lądowiskiem. Joel Lilienkamp nadzorował wymianę wyczerpanych butli HNO₃ oraz zasilaczy. Ekipa medyczna czekała w pogotowiu.

W połowie Opadu Paul zdał sobie sprawę, że naziemne ekipy pomocnicze są zbyt rzadko rozstawione, by mogły być naprawdę skuteczne. Całe szczęście, że Nici dość często opadały na kamienisty grunt lub ubogą glebę, gdzie szybko wysychały i obumierały. Pod koniec,

kiedy zmęczeni piloci gonili resztkami sił, a zasilacze ślizgaczy były prawie na wyczerpaniu, więcej Nici przedostawało się na ziemię. Trzeba było pecha, że w tym właśnie momencie Opad dotarł nad gęstą roślinność, otaczającą farmę w Meksyku.

Gwałtowny koniec Opadu na skraju jeziora Maori i tuż przed głównymi budynkami Meksyku zaszokował ludzi, którzy bez reszty skupili się na niszczeniu Nici. Dowódcy szwadronów rozkazali swoim pilotom wylądować na brzegu jeziora, gdzie mieli szansę naradzić się z przywódcami ekip naziemnych. Mieszkańcy Meksyku, którzy nie brali czynnego udziału w obronie naziemnej, przynieśli gorącą zupę, kłah, świeży chleb, owoce oraz urządzili szpitalik w jednym z domów. Tarvi i jego grupa z Karachi zdołała ukończyć konstrukcję metalowych osłon na chwilę przed tym, gdy Opad dotarł do tego obszaru. Wkrótce przybył Joel Lilienkamp z transportem świeżych zasilaczy i butli HNO₃.

Dzień nie dobiegł jeszcze końca. Piloci powoli przelecieli nad obszarem dotkniętym Opadem, sprawdzając, czy nie ma żadnych "żywych" Nici. Paul poprowadził swoje złane potę, umazane popiołem, wymęczone drużyny z powrotem do rzeki Malay i wybrzeża, usiłując wytropić oznaki powtórnego ataku w miejscach, gdzie nie było widać ani skorup, ani rozkładającej się materii. Znalaziono tylko dwa takie punkty i na rozkaz Paula ziemia w okolicy została wypalona strumieniami HNO₃.

Jeden z członków ekipy naziemnej uznał to za marnowanie paliwa i powiedział o tym admirałowi.

- W ogóle nie wzięliśmy pod uwagę smoczków, admirale. One zawsze są tam, gdzie są Nici.

- Na tym etapie nie wolno nam ryzykować - odparł Paul, lekkim uśmiechem łagodząc wymówkę. Nie uważał ognistej łąni za przesadę. Smoczki wyraźnie niepokoiły się na widok Nici, ale najwidoczniej nie zdawały sobie sprawy z obecności drugiego, prawdopodobnie groźniejszego stadium życiowego tworów.

Mimo to szacunek Paula Bendena dla smoczków wzrósł wydatnie, gdy admirał zobaczył, jak stworzenia pieczołowicie wyszukują świeżo opadłe Nici. Kilka razy podczas Opadu dostrzegł sformę walczącą u boku Seana Connelly i rudowłosej dziewczyny Hanrahanów. Wyglądało na to, że smoczki słuchają ich rozkazów. Poruszały się w zdyscyplinowany sposób, podczas gdy inne grupy miały się w chaotycznym rozgorączkowaniu.

Przy bardzo wielu okazjach Paul widział, jak małe istotki nagle znikają, gdy patrzący nabierał już pewności, że smoczek zostanie spopielony ognistym oddechem swojego pobratymca. Przyłapał się na marzeniu, żeby ślizgacze również posiadały taką zdolność oraz podobną zwrotność. Pojazdy nie były najlepiej przystosowane do walki. Przypomniał sobie swój podziw dla smoczków podczas ataku wherry. Z opowieści o legendarnej już, "parasolowej" obronie Ładowiska z czasu Pierwszego Opadu wiedział, że setki dzikich pomagało swoim udomowionym krewniakom. Smoczki mogły stać się wyśmienitymi sprzymierzeńcami. Paul zastanawiał się, czy można by zmobilizować wszystkie smoczki, by poddały się treningowi pary Connell-Hanrahan.

Najnowszy Opad zostawił tyse plamy na powierzchni, ale pomimo pierwotnego zamieszania oraz braku doświadczenia ekip powietrznych i naziemnych, zniszczenia nie były tak rozległe jak podczas pierwszego, przerażającego ataku.

Większość wyczerpanych obrońców postanowiła spędzić noc na farmie Malay. Pierre de Courci wziął na siebie obowiązki szefa kuchni i wraz z pomocnikami przyrządził pieczone ryby i bulwy w wielkich dołach na plaży. Zmęczeni mężczyźni, kobiety i młodzież, zbyt osłabieni, by rozmawiać, siedzieli wokół ognisk ciesząc się, że przetrwali trudy dnia.

Sean i Sorka utworzyli na plaży coś w rodzaju szpitalika i opatrywali ranne smoczki, przykładając ziele mrocznika na uszkodzone przez Nici skrzydła, na przypaloną skórę.

- Czy myślicie, że kiedy Sira przestanie płakać, brązowy i spizowy powrócą? - zapytała Tarrie Chernoff. Była uwalana czarnym tłuszczem, trawa pozostawiła na jej ubraniu zielone smugi, a na kaftanie ze skóry wherrów widniały liczne zwęglone plamy, stare i nowe, ale jak wszyscy

kochający smoczki właściciele troszczyła się bardziej o swoich podopiecznych niż o własne wygody.

Sean wzruszył obojętnie ramionami, ale Sorka pocieszająco pogładziła Tarrie po dłoni.

- Zazwyczaj wracają. Bardzo przeżywają, kiedy ranny zostaje ktoś z ich sfory, zwłaszcza królowa. Wyśpij się dobrze, zobaczymy, co rano przyniesie.

- Dlaczego pocieszasz ją takimi kłamstwami? - zapytał Sean cicho, kiedy Tarrie odeszła w stronę ognisk, niosąc w zgięciu ramienia opatrzoną królową. - Wiesz już cholernie dobrze, że jeśli rana jest poważna, to jaszczurki nie wrócą. - Chłopak mówił to posępnym tonem. Oni mieli dotychczas szczęście, gdyż chłopak dopilnował, żeby ich smoczki były na tyle zdyscyplinowane, by móc przeżyć.

- Potrzebny jej pokrzepiający sen, a nie noc pełna zmartwień. Poza tym wiele wraca.

Zmęczona Sorka westchnęła i zamknęła torbę z lekarstwami. Wygięła plecy, by naciągnąć obolałe mięśnie.

- Rozmasuj mi prawe ramię, dobrze, Sean? - Odwróciła się do niego plecami i odetchnęła z ulgą, gdy silne palce wygładziły węzeł.

Dłonie Seana były niezwykle; chłopak wiedział, jak zlikwidować napięcie. Jego palce przesunęły się pieszczotliwie w stronę nasady szyi i wśliznęły we włosy. Chociaż bardzo zmęczona, Sorka odpowiedziała na to nieme pytanie. Odsunęła się od niego, z uśmiechem rozglądając się za stadkiem smoczków.

- Wszystkie już znalazły sobie przytulne gniazda - powiedział Sean cicho i sugestywnie.

- Więc i my poszukajmy sobie takiego. - Wzięła go za rękę i wyprowadziła z plaży w gęsty zagajnik roślin o strzałkowatych liściach, które pomogli uratować przed Niemi.

Pokrzepieni gorącym posiłkiem oraz hojną miarką bardzo delikatnego quikalu, przygotowanego przez Chailę Xavior-Kimmage z miejscowych owoców, Paul i Emily zorganizowali potajemną naradę w jednym z nietkniętych budynków na obrzeżach Malay. Poza admirałem i gubernatorem w spotkaniu wzięli udział Ongola, Drake, Kenjo, Jim Tillek, Ezra Keroon i Joel Lilienkamp.

- Następnym razem poradzimy sobie lepiej, admirale - zapewnił Paula Drake Bonneau, parodiując salut. Kenjo, wchodząc tuż za nim, popatrzył na wysokiego pilota z rozbawioną wyższością. - Dzisiejszy dzień nauczył nas, że Nici wymagają całkowicie innego latania i technik walki. Zmodyfikujemy szyk, tak że nic się nie przedostanie. Piloci ślizgaczy muszą przyzwyczać się do zachowywania wysokości. Strzelcy muszą lepiej celować. Tu trzeba czegoś więcej niż tylko przyciskania guzika. Omal nie doszło do kilku kolizji. Straciliśmy też parę maleńkich smoczków. Nie możemy ryzykować życia ludzi, sfory sprzymierzeńców, no i utraty ślizgaczy.

- Pojazdy możemy naprawić, Drake - zauważył sucho Joel Lilienkamp, zanim Paul zdążył się odezwać - ale zasilacze nie są wieczne. Nie wolno nam bezsensownie wykorzystywać ich na ćwiczenia. Pomimo naszego systemu wymiany, a założę się, że uda mi się go jeszcze poprawić, dziewięciu pilotów musiało lądować na jeziorze Maori. Nie możemy tak szafować energią. A tak przy okazji, Drake, szyk klinowy jest bardzo ekonomiczny, jeżeli chodzi o zasilacze. Co nie zmienia faktu, że potrzeba dni, aby naładować wyczerpane. Jak długo to świństwo będzie spadać, Paul? - Joel podniósł wzrok znad obliczeń.

- Tego jeszcze nie ustaliliśmy - odparł Paul, trąc kłykcie lewym kciukiem. - Boris i Dieter porównują dane z odprawy pilotów.

- Do diabła, to niczego nie wyjaśni, Paul. - W zmęczonym głosie Drake'a zabrzmiała nuta skargi. - Skąd to draństwo się bierze?

- Sonda już wystartowała - powiedział Ezra Keroon. - Minie kilka dni, zanim dostaniemy jakieś raporty.

Drake jakby nie usłyszał.

- Chciałbym sprawdzić, czy Nici nie są bardziej wrażliwe w stratosferze. Mamy tylko dziesięć ślizgaczy ciśnieniowych, ale może atak na dużych wysokościach byłby bardziej skuteczny? Czy to słońce wpada w atmosferę zwartą masą, a potem się rozpada? Może udałoby się rozwinąć sprawniejszą obronę niż miotacze ognia? Musimy więcej wiedzieć o naszym wrogu.

- W każdym razie nie odpowiada atakiem na atak - zauważył Ongola, rozcierając skronie, by złagodzić pulsujący ból głowy, jaki zawsze męczył go po bitwie.

- To prawda - odparł Paul, z niewesołym uśmiechem zwracając się do Kenjo. - Zastanawiam się, czy zwiadowczy lot orbitalny nie dałby nam jakichś użytecznych danych. Ile paliwa zostało w zbiornikach Mariposy!

- Jeżeli ja będę ją pilotował, to na jakieś trzy czy cztery loty - odparł Kenjo, rozmyślnie unikając wzroku Drake'a. - Zależy od tego, ile będzie manewrowania i orbit.

- Ty jesteś idealny do tego zadania, Kenjo - odezwał się Drake udając, że zamiata ziemię kapeluszem, ale na twarzy miał żalospny wyraz. - Potrafisz wylądować na jednej kropki paliwa.

- Kenjo, uśmiechając się lekko, wykonał krótki, szybki ukłon, zginając się w pasie. - Czy wiemy, gdzie i kiedy Nici znowu uderzą?

- Owszem - zapewnił ich Paul beznamiętnym tonem. - Jeżeli dane są poprawne, a dzisiaj takie były, to farmerzy mają szczęście. Uderzą w dwóch miejscach: o 1930 na całej Arabii aż do Morza Azowa - na twarzy admirała pojawił się grymas bólu na wspomnienie o poprzednich mieszkańcach Arabii - a o 0330 przejdą znad morza na czubek Delt. Oba obszary są nie zamieszkane.

- Nie możemy pozwolić, żeby te twory swobodnie opadały na planetę, Paul - powiedział zaalarmowany Ezra.

- Wiem, ale jeśli mamy prowadzić załogi co trzy dni, wkrótce znajdziemy się na skraju wyczerpania.

- Nie wszystko musimy chronić - odezwał się Drake, rozwijając mapę lotniczą. - Jest mnóstwo bagien, nieużytków.

- Każdy Opad trzeba kontrolować - powiedział Paul tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Uznaj to za okazję do przećwiczenia manewrów i zgrania załóg, Drake. Najlepiej niszczyć Nici, gdy są w powietrzu. Dziś obyło się bez większych strat, ale nie możemy sobie pozwolić na wypalanie całych korytarzy za każdym razem, gdy nastąpi Opad.

- Zaprzęgnij więcej smoczków - zaproponował Joel kpiąco. - Radzą sobie równie dobrze na ziemi jak w powietrzu.

Wszyscy się uśmiechnęli, tylko Emily spojrzała na niego ze smutkiem.

- Niestety, smoczki nie są dostatecznie duże.

Paul obrócił się na krześle, by rzucić jej badawcze spojrzenie.

- To najlepszy pomysł, jaki dzisiaj słyszałem, Emily. Drake i Kenjo spojrzeli po sobie zaskoczeni, ale Ongola, Joel i Ezra Keroon wyprostowali się, patrząc wyczekująco. Jim Tillek się uśmiechnął.

Przy południowym wybrzeżu Wielkiej Wyspy znajdowało się pięć większych oraz kilka mniejszych wysepek, pozostałości wulkanów wystających z migotliwego, zielononiebieskiego morza. Ta, do której pospiesznie dążyli Avril i Stev, nie była niczym więcej jak tylko kraterem zatopionego wulkanu. Jego boki stromo schodziły pod wodę, pozostawiając wąski pas brzegu, z wyjątkiem południowego krańca, gdzie krater był najniższy. Avril aż podskakiwała z niecierpliwości, gdy Stev skierował dziób małej łódki w stronę północnego brzegu.

- Ta smarkula Nielsenów nie może mieć racji - mruknęła kobieta, wyskakując na żwirową plażę, zanim jeszcze Stev wyłączył silnik. - Jak moglibyśmy przeoczyć plażę pełną diamentów?

- Mieliśmy bardziej obiecujące miejsca. Pamiętasz, Avril?

Stev patrzył, jak jego towarzyszka zagarnia garść czarnych kamieni i przesiewa je między

palcami. Zatrzymała jedynie największy i rzuciła nim do niego.

- Masz! Przeskanuj to! - Gdy mężczyzna wkładał kamień wielkości dłoni do przenośnego skanera, Avril rozglądała się dookoła z gniewnym podnieceniem. - To nie ma sensu. To nie mogą być wszystko czarne diamenty. Prawda?

- Ten jest.

Odebrała czarny kamień i przez moment popatrzyła na niego pod słońce.

- A ten? - Chwyciła kamyk wielkości pięści i wcisnęła Stevowi, ale ten zdążył jeszcze dostrzec, jak Avril wsuwa pierwszy diament do sakiewki. - Mamy szczęście, że ta mała Nielsenów jest tylko naszym uczniem. A to wszystko także należy... do nas!

Stev nie przeoczył krótkiego momentu wahania.

- Będziemy musieli być bardzo ostrożni, żeby nie zapchać rynku. - Wsunął duży kamień do skanera chciwymi i lekko drżącymi palcami. - To istotnie jest czarny diament. Około czterystu karatów, stosunkowo czysty. Gratulacje, moja droga. Trafiłaś w dziesiątkę.

Avril skrzywiła się, słysząc jego ironiczny ton. Szybko odebrała diament, niemalże ochronnym gestem zaciskając wokół niego palce.

- To nie mogą być wszystko czarne diamenty - powtórzyła. - Prawda?

- Dlaczego? Co może powstrzymać diamenty od tworzenia się wewnątrz wulkanu, jeżeli są jednocześnie właściwe składniki i ciśnienie? Sądzę, że to jedyna plaża złożona z czarnych, czy jakichkolwiek diamentów w całym wszechświecie, w dodatku - Stev uśmiechnął się złym uśmiechem - należy do ciebie.

Zerknęła na niego czujnymi oczami i bez trudu przywołała na twarz uśmiech.

- Do nas, Stev. - Oparła się o niego, grzejąc go ciepłem swego ciała. - To najbardziej ekscytujący moment w moim życiu. - Wolną ręką otoczyła szyję mężczyzny i pocałowała go z pasją, wtulając się w niego, aż poczuł diament wbijający mu się pod zebro.

- Nawet diamenty nie mogą nas rozdzielać, ukochana - powiedział, wyłuskując go z jej opierających się palców i rzucając za siebie, do otwartego ślizgacza.

Stev nie został zbyt zaskoczony następnego ranka, gdy odkrył, że zarówno Avril, jak i najszybszy ślizgacz zniknęli z obozu górniczego na Wielkiej Wyspie. Sprawdził też skalne zagłębienie, gdzie, jak wiedział, Avril ukrywała co cenniejsze klejnoty, jakie zostały odnalezione. Było puste.

Stev uśmiechnął się złośliwie. Avril zignorowała sygnał mayday z Lądowiska, ale wiedział, co się działo na południowym kontynencie, i obserwował każdą chmurę, która pojawiła się na wschodzie. Porobił też plany na różne okoliczności. Wątpił, by Avril postąpiła podobnie. Chciałby zobaczyć jej minę, gdy się przekona, że Lądowisko wprost roi się od ludzi, że po pasie startowym wciąż kręcą się ślizgacze i technicy. Aż ryknął śmiechem, gdy jeden z ich uczniów niespokojnie zaraportował, że nigdzie nie może znaleźć Avril.

Nabhiemu Nabolowi wcale nie było do śmiechu.

Kenjo wszedł na orbitę przy minimalnym zużyciu paliwa. Umysł skoncentrował na stojącym przed nim zadaniu. Czuł gwałtowne wznoszenie się wielofunkcyjnego statku i następujące po nim, ekscytujące uwolnienie się od grawitacji. Żałował tylko, że wszystkie jego troski nie mogą ustąpić tak łatwo. Nie tracił jednak kontaktu z wahadłowcem. Pieszczotliwie przesunął palcami po krawędzi konsoli.

Ostatnie trzy dni upłynęły na gorączkowej krzątaninie, uruchamianiu nieczynnych systemów Mariposy, sprawdzaniu wszelkich możliwych defektów czy uszkodzeń niezbędnych części. Kenjo pozwolił nawet, by Theo Force dowodził jego szwadronem, gdy Nici spadły w górach na południowy wschód od Karachi i otarły się o Longwood na wyspie Ierne. Najważniejszą sprawą było odebranie Mariposy. Ongola spędził trochę czasu dostrajając częstotliwość interkomu i pomagając przy ostatecznych kontrolach. Mały statek został zaprojektowany z myślą o długiej bezczynności w przestrzeni i chociaż ważniejsze obwody przechowywano w

pojemnikach próżniowych, zawsze istniała obawa, że jakieś pomniejsze, ale krytyczne połączenie nie zostało właściwie zbadane. W końcu jednak wszystkie systemy okazały się sprawne, próbny rozruch silników przebiegł głośno i równomiernie - i Kenjo zaczął protestować, gdy zmuszono go do dwunastogodzinnego odpoczynku przed startem.

- Może jesteś świetnym pilotem, Kenjo, ale na Pernie są lepsi mechanicy od ciebie - powiedział mu wprost Paul Benden. - Teraz potrzebujesz odpoczynku, byś mógł czuwać w przestrzeni, gdzie już nie będziemy mogli ci pomóc.

Tor lotu został tak obliczony, by pozwolić Kenjo znaleźć się w punkcie, gdzie wedle przewidywań Borisa i Dietera kolejna porcja Nici miała wejść w atmosferę Pernu. Ich program wskazywał, że Nici spadają w siedemdziesięciogodzinnych odstępach, plus minus jedna, dwie godziny. Zadaniem Kenjo było oszacowanie dokładności ich programu, określenie składu Nici przed wejściem, a także, w miarę możliwości, wyśledzenie ich wcześniejszej trajektorii. Poza tym, co bynajmniej nie stanowiło najblęższej kwestii, Kenjo miał zniszczyć twory, nim weszły w atmosferę. Kolejny Opad miał uderzyć w prowincję Kahrain, tuż nad opustoszałym Lądowiskiem Oslo, przejść nad farmami wokół Rajskiej Rzeki i zakończyć się na równinach Arabii.

Kenjo znajdował się sto mil pod pustymi statkami, ale odległość była zbyt duża, by mógł wykryć je na optoskopie. Mimo to wyteżył wzrok, nastawiając przyrząd na największe powiększenie. Po chwili wzruszył ramionami. Statki przeszły już do historii. Teraz wniesie do niej nowy wkład, nie dający się z niczym porównać. Kenjo Fusaiyuki odkryje źródło Nici, zniszczy je raz na zawsze i stanie się bohaterem całej planety. Wtedy nikt nie potępi go za "zachowanie" takiej ilości paliwa na własny użytek. Mógłby odzyskać honor i złagodzić trapiące go wyrzuty sumienia.

Zbudowanie superlekkiego samolotu sprawiło mu ogromną satysfakcję. Znalazł jego projekt na taśmie w bibliotece Yokohamy, w dziale historii lotnictwa. Maszyna zużywała sporo paliwa, nawet po przeprojektowaniu silnika, ale dzięki temu, co zmagazynował, podróże samolocikiem stały się możliwe. Oblatywanie go na własnej, odizolowanej farmie Honshu w Zachodnim Łańcuchu Barierowym, dało mu niewiarygodnie wiele przyjemności, pomimo że loty te wywoływały plotki o dużej i jak dotychczas nieznannej latającej istocie. Jego żona, cierpliwa i spokojna, nie wyraziła żadnej opinii o jego hobby, pomagając mu nawet przy montażu. Jako inżynier mechanik zaprojektowała niewielką elektrownię wodną, która zasilala w energię ich dom na wyżynie oraz trzy mniejsze farmy w sąsiedniej dolinie. Urodziła mu czworo dzieci, w tym trzech synów, i była dobrą matką. Pomogła mu nawet w hodowli drzewek owocowych, które posadził w ramach obowiązkowej uprawy.

Rodzynie nie groziło żadne niebezpieczeństwo ze strony Nici, gdyż wykuli swój dom bezpośrednio w zboczu góry, używając drewna jedynie we wnętrzu. Żona Kenjo chciała nawet razem z mężem wykuć hangar dla samolociku za pomocą urządzeń, które pożyczył od Drake'a Bonneau. Nie wiedziała jednak, że Kenjo posiada jeszcze jedną, dobrze ukrytą jaskinię, w której przechowuje zapasy ciekłego paliwa. Nie zdołał jeszcze przewieźć całości na Honshu z jaskini w Lądowisku.

Tak, nikt nie potępiałby Kenjo za to, co wcześniej uczynił, gdyby przywiózł im tak wyczekiwaną informację. A już on dopilnuje, żeby stało się to dopiero po trzeciej czy czwartej misji. Tęsknił za spokojem i wyzwaniem, jakie wiązało się z przestrzenią kosmiczną. Jakże żałosny był jego atmosferyczny samolocik w porównaniu z potężną, piękną Mariposą. Jakże niezgrabny był ślizgacz, który prowadził jako dowódca szwadronu. Teraz wreszcie powrócił do swego najważniejszego środowiska: kosmosu!

Nagle na pokładzie włączył się alarm i wkrótce w uszach zadzwonił mu świdrujący dźwięk. Znalazł się wewnątrz chmury małych, jajowatych tworów. Z okrzykiem wydawanym niegdyś przez japońskich wojowników, Kenjo odpalił repulsory na sterburcie i uśmiechnął się szeroko, gdy ekrany rozkwitły drobnymi gwiazdkami destrukcji.

Avril Bitra była wściekła. Nie mogła uwierzyć w zmianę, jaka zaszła w Ładowisku, liczyła bowiem na to, że zastanie je kompletnie opustoszałe. Kiedy Stev namówił ją na przyjęcie uczniów, aby nikt nie mógł się dopytywać, co robią na Wielkiej Wyspie, populacja Ładowiska wynosiła zaledwie dwieście osób.

Teraz zaś osada roiała się od ludzi. Wszędzie świeciły się światła, a mieszkańcy kręcili się dokoła pomimo późnej godziny. Co najgorsze, pas startowy szczelnie wypełniały ślizgacze, duże, małe i średnie, pomiędzy którymi przemykali się technicy. A Mariposa zniknęła! Co, na wszystkie słońca, się stało?

Zaparkowała swój ślizgacz na jednym krańcu pasa, w pobliżu miejsca gdzie ostatnio widziała gig. Bezsilnie fuknęła z rozczarowania. Zdobyła już bogactwa, z którymi mogła opuścić tę cholerną kulę błota. Zdołała nawet pozbyć się towarzyszy. Nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia, że opuściła Steva Kimmera. Był bardzo użyteczny, a także zabawny - aż do niedawna, kiedy rozpoznał w kamieniach czarne diamenty. Tak, miała rację, że wyjechała natychmiast, zanim przyszło mu do głowy rozładować ślizgacze lub zrobić coś tak drastycznego, że musiałaby wziąć go ze sobą. Co, u wszystkich diabłów siedemnastu światów, stało się z Mariposą! Kto zużywał paliwo, którego potrzebowała, aby dostać się do statków kolonizacyjnych? Walczyła ze sobą, by opanować wściekłość. Musiała pomyśleć!

W końcu przypomniała sobie mayday. Teraz żałowała, że nie słuchała uważniej. No cóż, nie mogło to być zbyt poważne, skoro Ładowisko aż kipiało od krzątaniny. Zresztą to też mogło działać na jej korzyść. W takiej ciszy nikt nie zwróci uwagi na dodatkowego robotnika kręcącego się w okolicy.

Zadrzała, nagle uświadamiając sobie chłód nocnego powietrza na równinie. Przyzwyczała się już do tropikalnego klimatu Wielkiej Wyspy. Mrucząc pod nosem wymyślne przekleństwa, przekopała się przez luki ślizgacza, aż znalazła w miarę czysty kombinezon. Włożyła też roboczy pas, który leżał pod nim. Prawdopodobnie należał do Steva - on zawsze był odpowiednio wyposażony. Uśmiechnęła się złośliwie. Ale nie zawsze przygotowany.

Zanim udała się na poszukiwanie Mariposy, musiała ukryć ślizgacz. W ciemności usiłowała znaleźć przynajmniej jeden z gęstych krzewów, jakie porastały brzegi pasa, ale nie mogła żadnego znaleźć. Zamiast tego natknęła się na niewielki otwór, który okazał się dostatecznie duży, by pomieścić torby z jej skarbem. Wytaszczyła je ze ślizgacza, wrzuciła do dziury i zasypała luźnymi kamieniami i ziemią, po czym poświeciła latarką, by sprawdzić, czy są dobrze ukryte. Po paru niewielkich poprawkach była całkiem zadowolona.

Pewnym siebie krokiem ruszyła w stronę budynków, w stronę światła i ludzi.

Wyglądając przez okno na parterze wieży meteo, gdzie Drake Bonneau prowadził sesję szkoleniową, Sallah Telgar-Andiyar pomyślała, że musiała się pomylić: ta kobieta tylko wyglądała jak Avril Bitra. Miała na sobie pas z narzędziami i zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę jednego z zaparkowanych ślizgaczy. Ale żadna ze znanych Sallah osób nie poruszała się z taką pewnością siebie i tak prowokacyjnym kołysaniem biodrami. Kobieta zatrzymała się i zaczęła pracować przy ślizgaczu. Sallah pokręciła głową. Avril była na Wielkiej Wyspie; nawet nie odpowiedziała na mayday ani na bardziej naglące wezwanie wszystkich pilotów do powrotu. Nikt jej nie widział i nikt zbyt nie tęsknił za jej widokiem, ale geniusz Steva Kimmera byłby nieoceniony przy obwodach. Ongola usiłował namówić Paula Bendena, by nakazał górnikom z Wielkiej Wyspy powrót do Ładowiska.

- Nie trzymajcie palców na przycisku zwalniającym. - Głos Drake'a przebił się do jej świadomości mimo chwilowego braku uwagi.

Biedaczysko, pomyślała Sallah. Usiłuje nauczyć wszystkich ochoczych młodzików walki z Nićmi. Jeżeli choć połowa z tego, co opowiadał jej Tarvi na temat śmiertelnych stworów, była prawdą, to walka z nimi musiała być piekielnie trudna.

- Wchodźcie w rozkołys od dziobu do rufy. Nici spadają w kierunku południowo-zachodnim, więc jeśli wsuniecie się pod czołowy kraniec, spopielićie więcej. - Drake'owi brakowało już miejsca na tablicy, którą pokrył wykresami i torami lotów. Sallah pierwszy miała jeszcze przed sobą, więc słuchała uważnie - do momentu, w którym wydało jej się, że widzi Avril.

Tego dnia nastąpiło coś w rodzaju zlotu pilotów wahadłowców. Cały stary zespół, z wyjątkiem Nabiego Nabola i Kenjo, odpowiedział na wezwanie. Sallah wiedziała, gdzie jest Kenjo; nawet trochę mu zazdrościła, za to cieszyła się z nieobecności Nabola. Z pewnością sarkałby na towarzystwo młodzików, którzy zdobyli licencję pilotów dopiero w Ładowisku. Sama wielu z nich знаła od ich szczeniących czasów.

Zamieszkanie w Karachi zabrało jej więcej czasu, niż przypuszczała. Teraz tyle rzeczy było innych: na przykład smoczki usadowione na młodych ramionach lub czepiające się nóg w skórzanych spodniach. Jej własne trzy - złoty i dwa szpizowe - podobnie jak jej starsze dzieci nabrały przynajmniej podstawowych manier. Siadały na najwyższych półkach ich dużego pokoju. Dwa były mentasyntowe i Sallah często się zastanawiała, czy rozumieją, co się odgrywa przed ich uważnymi, tęczowymi oczami.

Kategoryczne ostrzeżenie Drake'a przerwały te rozmyślania.

- Nie schodźcie z ustalonej wysokości. Staramy się tak przystosować urządzenia nawigacyjne, by informowały pilotów, kiedy zejść z linii. Musimy utrzymywać pułap lotu, żeby uniknąć kolizji. Mamy więcej ludzi chętnych do latania niż ślizgaczy. Wydzgnął palcem w słuchaczy - możecie zostać zastąpieni. Ślizgacze nie mogą, a potrzebujemy wszystkich, które zdołają wznieść się w powietrze.

- Rozkołys z dziobu na rufę i jednosekundowe strzały pozwolą wam spopielić najwięcej Nici, biorąc pod uwagę zasięg miotaczy. Traficie w jeden koniec paskudztwa, a ogień rozprzestrzeni się prawie na całość. Nie marnujcie HNO₃. - Szybka wymowa sprawiła, że nazwa związku w jego ustach brzmiała bardziej jak "agenotrzy", pomyślała Sallah, ponownie tracąc koncentrację. Do licha, musi uważać, ale ostatnio przyzwyczała się do słuchania dźwięków, nie słów. A także ciszy. Ciszy, jaką zachowują wszystkie dzieci, kiedy są niegrzeczne albo próbują zrobić coś zakazanego. A jej pociechy były pełne inwencji. Wargi Sallah wygięły się w dumnym matczynym uśmiechu, po czym rozprostowały się znowu, gdy Drake wbił wzrok w jej twarz.

Już zdażyła się okropnie stęsknić za trójką starszych dzieci. Rad Da, jej śmiały, odpowiedzialny siedmiolatek, obiecał opiekować się Deną i Benem. Sallah przywiozła trzymiesięczną Carę ze sobą - dziecko bezpiecznie chowało się razem z dzieciarnią Mairi Hanrahan - więc nie czuła się całkowicie osamotniona. Tarvi jednak został w Karachi, przez całą dobę tłocząc blachy, harując równie ciężko jak ludzie, których wykorzystywał do granic możliwości.

-...i starajcie się, by każda butla starczyła jak najdłużej - mówił Drake. - Oszczędzajcie agenotrzy i energię, to dłużej nie zejdziecie z pola walki. A tam właśnie jesteście potrzebni. Dobrze, większość z was ma doświadczenie z turbulencją. Nie rozpinajcie pasów bezpieczeństwa, póki nie wylądujecie. Lżejsze Ślizgacze przed przyziemieniem mogą zacząć się obracać w silniejszych podmuchach wiatru, gdyż mają nosy obciążone miotaczami.

Skoro Tarvi wciąż jest zapracowany, dobrze, że ja też znalazłam jakieś zajęcie, pomyślała Sallah. Miał dla niej mało czasu, a ostatnio skończył się nawet komfort spania u jego boku - oraz możliwość budzenia go na poranne igraszki, kiedy był zbyt zaspany, by opierać się jej pieszczotom.

Co z nią jest nie tak? Zastanawiała się po raz tysięczny. Przecież nie usidlila Tarwiego. Wzajemna potrzeba i namiętność tego dnia w jaskini nie mogła być udawana. Kiedy przypadkowy stosunek skończył się ciążą, Tarvi natychmiast zaproponował zawarcie formalnego związku. Sallah nie nalegała, ale poczuła wielką ulgę, że inicjatywa wyszła z jego strony. Był troskliwy, czuły i oddany przez cały okres ciąży i szczerze się radował, gdy ujrzał

swego pierworodnego: silnego, zdrowego chłopaka. Uwielbiał wszystkie swoje dzieci, ciesząc się z ich narodzin i rozwoju. Tylko żony unikał, zbywał ją byle czym lub ignorował. Sallah westchnęła, a dawna przyjaciółka Barr posłała jej pytające spojrzenie. Sallah uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że to Drake wywołał jej reakcję. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby połączyła się z Drake'iem Bonneau, pływającym się w szczęściu nad swoim jeziorem? Svenda wyglądała na zadowoloną. Chętnie się, że ograniczyła liczbę dzieci do dwójki. Drake mógł uchodzić za pewnego siebie profesjonalistę, ale poprzedniego wieczoru dało się zauważyć, jak bezustannie nadskakiwał swojej władczej żonie. Sallah zawsze uważała, że Drake robi wszystko na pokaz. Jednak mimo wszystkich ekscentryzmów Taniego, Sallah wołała swojego geologa i bardzo ceniła nawet te coraz rzadsze okazje, kiedy udało jej się wzbudzić w nim namiętność. Możliwe, że w tym właśnie leżał problem: Tandemu trzeba było zostawić inicjatywę. Nie, tego chwytu już próbowała i przeżyła smutny rok, nim pomyślała o "porannych atakach".

Nauczyła się od Jivana kilku zwrotów w pusztu i pozornie obojętnie wypytała o żeńskie imiona. Kogokolwiek wzywał Tani w szczycie swej namiętności, nie była to inna kobieta. Ani inny mężczyzna, o ile mogła się zorientować.

- Proszę - powiedział Drake. - Tutaj mam przydziały na następny Opad. Pamiętajcie, to będzie podwójne uderzenie, na Jordan i na Dorado. Szwadrony do Dorado zostaną wysłane wcześniej, żebyście mogli dobrze wypocząć przed walką. - Orli wzrok Drake'a znów przesunął się po pełnych uwielbienia studentach. - A teraz wracajcie do swoich ślizgaczy i w miarę możliwości pomóżcie technikom. Światła w budynkach gasną o północy. Wszyscy potrzebujemy wypoczynku - skonkludował radośnie, machnięciem ręki zwalniając całą grupę. Svenda szybko przysunęła się do jego boku, zmarszczonymi brwiami zniechęcając tych, którzy podeszli do Drake'a z prywatnymi pytaniami.

- Kiedy przyjechałaś, Sallah? - zapytała Barr, obracając się w jej stronę ze zwykłym, przyjaznym uśmiechem. - Ja przyleciałam z farmy dopiero koło południa. Nikt z naszej starej grupy nie spostrzegł, kiedy tu dotarłaś. Nie zdawałam sobie sprawy, że to coś jest aż tak poważne, póki w drodze nie zobaczyłam, co zrobiło z krajobrazem.

Sallah się roześmiała. Temperament Barr nie zmienił się nawet o jotę, chociaż jej figura się zaokrągliła.

- Ile masz dzieci, Barr? - zapytała Sallah. - Jakoś straciłyśmy się z oczu, odkąd zamieszkałyśmy na przeciwnych krańcach kontynentu.

- Piątkę! - Barr wydobyła z siebie dziewczęcy chichot, patrząc łobuzersko na Sallah. - Ostatnie były bliźnięta, czego nigdy bym się nie spodziewała. W końcu Jess powiedział mi, że sam miał brata bliźniaka, a w ogóle bliźnięta w jego rodzinie zdarzały się bardzo często. Myślałam, że go uduszę.

- Ale nie udusiłaś.

- Niiiee! Jest dobrym człowiekiem, kochającym ojcem i sumiennym pracownikiem. - Barr energicznie kiwała głową, wymieniając poszczególne zalety. Ponownie uśmiechnęła się szeroko do Sallah. Po chwili na jej wyrazistej twarzy pojawiła się troska. - A u ciebie w porządku, Sallah?

- U mnie? Oczywiście. Mam czwórkę dzieci. Carę przywiozłam ze sobą. Ma dopiero trzy miesiące.

- Jest u Maki czy u Chrisa MacArdle-Cooney?

- U Mairi. Lepiej sprawdźmy na grafiku, kiedy mamy służbę. A gdzie się podziewa Sorka? - Sallah dawno już nie słyszała o rudowłosej córce Hanrahanów. - Wszystkich innych widziałam.

- Mieszka z innym weterynarzem w Sektorze Irlandzkim.

- Jak odpowiednio! - Nagle Sallah ogarnęła fala smutku, trochę w związku z wolnością, jaką cieszyli się młodzi ludzie, trochę na myśl o obojętności Taniego. Po chwili jednak

przypomniła sobie, że chwilowo ma trochę wolnego czasu i że jej profesjonalne usługi znowu są w cenie. - Chodź, napijemy się czegoś i pozwierzamy troszeczkę!

Sorka i Sean przyszedli do swej kwatery z przeciwnych kierunków: Sean z niespodziewanego spotkania z admirałem Bendenem, Sorka ze stodoły. Gdy tylko ujrzała, jak zbliża się energicznym krokiem, wiedziała, że ledwo powstrzymuje atak wściekłości. Udało mu się wytrzymać, póki nie znaleźli się w domu.

- Cholerny idiota, co za cholerny idiota - powiedział, zatraskując za sobą drzwi. - Ten napuszony, pustogłowy, skretyniały bałwan!

- Admirał Benden? - spytała zaskoczona. Sean nigdy nie miał powodu, żeby krytykować admirała, a przed spotkaniem był bardzo dumny, że go na nie wezwano.

- Ten tępak admirał chce mieć oddział kawalerii!

- Kawalerii? - Sorka przerwała na moment, wyjmując wieczorny posiłek z zamrażarki.

- Chce ni mniej, ni więcej, tylko żeby kawalerzyści szarżowali po całym kontynencie z miotaczami ognia!

- Czy nie wie, że konie nie cierpią ognia?

- Nie. - Sean minął ją, podszedł do małego kredensu, wyciągnął butelkę quikalu i sugestywnym gestem podniósł ją w górę.

- Tak, poproszę. Jeżeli jakoś nie odreaguje, jedzenie wcale nie będzie mi smakować. - Ukryła niepokój. Sięgnięcie po alkohol dowodziło, w jakim stanie był Sean, bo zazwyczaj nie pił.

- Nie musimy chyba jeść na gorze, prawda? - zapytał, ruchem głowy wskazując uruchomioną ponownie kuchnię polową.

- Nie, zrobiłam najazd na lodówkę mamy. - Umieściła pojemnik w podgrzewaczu i nastawiła na odpowiedni czas.

Sean podał jej kieliszek i podniósł swój w toaście.

- Za idiotów admirałów, którzy świetnie sobie radzą w kosmosie, ale nie mają zielonego pojęcia o zwierzętach. Jakbyśmy mieli tak dużo koni, żeby marnować je na głupawe zagrywki. Chciał mi też powierzyć szkolenie całych szwadronów ognistych jaszczurek - Sean upierał się przy określaniu smoczków swoją własną nazwą - żeby walczyły z Nićmi na rozkaz. Przyszło mu też do głowy, że sam chciałby mieć jedną. Nawet nie wie, że nie wylęgną się przed latem! To znaczy, jeśli ci ślizgaczowcy nie spalą ich wcześniej.

Sorka nigdy nie widziała Seana tak rozwścieczonego. Chodził po całym pokoju z zaczerwienioną twarzą, energicznie wymachując lewą ręką i popijając quikal w przerwach między zdaniami, w których wyładowywał swój gniew. Potrzęsnał głową, żeby odgarnąć z oczu kosmyk rozjaśnionych słońcem włosów. Grymas na twarzy sprawiał, że Sean wyglądał w gniewie niemal przerażająco. Na jednym poziomie świadomości Sorka słuchała jego słów, zgadzając się ze wszystkim, co mówił; na drugim cieszyła się odkryciem, że pod skrytą, obojętną maską, jaką ukazywał większości ludzi, chował tak pełną pasji, inteligentną, krytyczną, racjonalną i oddaną osobowość.

Sorka nie pamiętała już, kiedy zdała sobie sprawę, że go kocha - wydawało jej się, że zawsze go kochała - ale pamiętała dzień, kiedy przekonała się o jego uczuciach: wtedy po raz pierwszy wybuchnął w jej obecności z powodu jakiegoś drobnego incydentu. Sean nigdy nie pozwoliłby sobie na taki luksus, gdyby się nie czuł w jej towarzystwie całkowicie bezpieczny, tudzież nie potrzebował jej łagodzących słów i pociechy. Przyglądając się, jak teraz walczy z rozdrażnieniem, Sorka pozwoliła sobie na drobny uśmiešek, który taktownie skryła za kieliszkiem.

- W pewnym sensie to był dla ciebie komplement - zauważyła. Spostrzegła jego zaskoczony wzrok i się uśmiechnęła. - Admirał skonsultował się z tobą. Nawet jeśli ty nie zauważyłeś, to ja widziałam, jak obserwował nas nad Malay i spostrzegł, jak dobrze zachowywała się nasza sfera. A na pewno wie, że nie masz sobie równych, jeśli chodzi o wyszukiwanie miejsc, w

których królowe chowają swoje jajka.

- Hmm. Tak, chyba masz trochę racji. - Sean nadal chodził po pokoju, ale już z mniejszym ożywieniem.

Sorka kochała Seana w każdym nastroju, lecz jego nieczęste wybuchy ją fascynowały. Gniew chłopaka nigdy nie był skierowany przeciwko niej; Sean rzadko krytykował, a i to zawsze rzeczowym, bezosobowym tonem. Część jej przyjaciółek zastanawiała się, jak może znieść jego małowówność i prawie ponure zamyślenie, ale Sean nigdy nie był taki w jej towarzystwie. Zazwyczaj nie chciał nikogo obrażać, nawet gdy miał całkowicie przeciwną opinię. Nigdy nikogo nie prosił o radę - chyba że coś groziło koniom. Gibką postać cechowała gracją, nawet teraz, gdy maszerował tam i z powrotem, tupiąc obcasami i zostawiając wgłębienia w gęstym wełnianym dywanie, który utkała do ich domu. Pozwalała mu ciągnąć tyradę, rozbawiona językiem, jakim opisywał prawdopodobnych antenatów admirała, którego zazwyczaj považał, oraz idiotyzm całego zespołu biologicznego, chcącego manipulować stworzeniami, których natura przekraczała ich zdolności poznawcze.

- No i obiecałeś znaleźć admirałowi smoczkowe jajko, gdy nadejdzie odpowiednia pora? - zapytała, gdy przerwał na zaczerpnięcie oddechu, po kolejnym opisie głupoty napuszonych dupków.

- Ha! Jeśli mi się uda. - Obrócił się na pięcie i rzucił obok niej na tapczan. Twarz miał już całkiem spokojną; gniew i wściekłość zniknęły. Siedział wpatrzony w bursztynowy płyn w kieliszku. Domyśliła się, że coś jeszcze go martwi. Poczekała, aż się odezwie. - Wiesz równie dobrze jak ja, że w okolicy nie znaleźliśmy żadnych śladów dzikich. Wyniosły się po Opadzie Sadrydzkim. Do licha, jeżeli na tej planecie jest jakiegokolwiek bezpieczne miejsce, to one je znajdują.

- W Malaj pomagało nam całkiem sporo.

- Póki jakiś półgłówek nie zaczął miotać w nie ogień! - Sean dopił quikal do końca, by utopić w nim swoje zdegustowanie. - Jeżeli to się powtórzy, żadne dzikie nie przyłecą nam na pomoc. - Nalał sobie kolejny kieliszek. - A gdzie są twoje? - zapytał, nagle zauważając, że grzędy są puste.

- Tam gdzie i twoje; włóczę się gdzieś po okolicy - odparła łagodnym tonem.

Sean zaczął się śmiać, trochę z siebie, trochę z faktu, że dopiero teraz zauważył, iż jego ogniste jaszczurki zniknęły zaraz po tym, jak wyszedł z budynku administracyjnego.

- Chyba nic w tym dziwnego, prawda? - zapytała Sorka uszczypliwie, uśmiechając się do niego. Jedną ręką objął jej ramiona i przyciągnął, nie opierając się, bliżej do siebie. - Kiedy Emmett powiedział mi, że Blazer nie wie, co sądzić o twoim sprawiedliwym gniewie, powiedziałam moim, żeby dzisiaj same znalazły sobie kolację. Zresztą i tak nie lubią sera.

- Nieczęsto mamy noc tylko dla siebie - szepnął Sean uwodzicielsko prosto do ucha Sorki. - Dopij quikal, rudowłosa dziewczyno. - Zmierzył jej grzywkę, po czym dłoń przesunęła się pieszczotliwie wzdłuż policzka do brody. - i wyłącz kuchenkę - dodał tuż przed pocałunkiem.

Sorka zrobiła, jak powiedział; była bardzo zadowolona. Wymyślanie wymówek, żeby odesłać smoczki z jakimiś specjalnymi zadaniami nie przychodziło jej łatwo. Ale stworzonka, nawet kiedy nie przechodziły rui, bardzo lubiły silne emocje, a przy chórze trzynastu smoczków, wydających zachęcające okrzyki, wkrótce cała okolica by wiedziała, co się odbywa w siedzibie pary Hanrahan-Connell.

Później tej nocy, gdy odgłosy krzątania w Ładowisku stały się przytłumione, Sorka zastanawiała się, czy poczęła. Sean spał cicho i spokojnie obok niej, palcami lekko obejmując jej ramię. Nigdy nie proponowała Seanowi formalnego związku ani nawet nie powtórzyła mu powszechnego w Ładowisku mniemania, że stanowią dobraną parę. Oboje byli doskonale jednomyślni we wszystkim, co robili, gdy na praktyce weterynaryjnej hodowali silne konie, czy wyszukiwali najlepsze genetyczne wzorce w bankach lub u żywych ogierów. Wkrótce

mieli zdać ostatnie egzaminy z medycyny weterynaryjnej i wybrali już doskonale miejsce na dom - dolinę w połowie drogi do Wschodniego Łańcucha Barrierowego. Sean zabrał Reda, by obejrzał planowaną farmę Killarney, a jej ojciec entuzjastycznie poparł ich wybór. Sorka odebrała to jako cichą aprobatę ich wciąż nieformalnego związku.

Chociaż rodzice Sorki pogodzili się z wyborem córki, Porrig Connell wciąż traktował ją jak gościa, którego nie chciał zbyt często widywać. Jego żona nigdy nie zaprzestała wysiłków przyciągnięcia syna z powrotem do rodzinnego gniazda. Wybrała już dla Seana narzeczoną i czasami wprawiała wszystkich w zakłopotanie, gdy przy każdej okazji podtykała chłopcu upatrzoną dziewczynę.

- Nie chcę wiązać się z nikim tak bliskim, mamó - powiedział jej Sean, kiedy naprzykrzyła mu się o jeden raz za dużo. - To bardzo niezdrowe dla krwi. Ojciec Lally Moorhouse był twoim kuzynem pierwszego stopnia. Musimy rozszerzyć pulę genów, a nie ją zawęzić.

Sorka podслуchała jego słowa, ale знаła już Seana na tyle dobrze, że nie poczuła się urażona, gdy nie powiedział nic więcej na temat wyboru. Może wtedy jeszcze nie wiedział, że kocha piętnastoletnią Sorkę Hanrahan, która już była pewna, komu odda swoje serce.

Miała siedemnaście lat, gdy po raz pierwszy dotknął jej z pożądaniem. Nie zapomniała tej nocy. Ich role się odwróciły; ona namiętna, on nieśmiały, czuły kochanek. Jej żarliwa odpowiedź na jego delikatne karesy zaskoczyła i ucieszyła ich oboje, ale nie przeprowadzili się do osobnego domu, póki Sorka nie skończyła osiemnastu lat. Ich pokolenie przyswoiło sobie zwyczaj przechodzenia okresu próbnego przed formalną deklaracją w magistracie.

Sorka bardzo chciała mieć z Seanem dziecko. Pamiętne pół godziny, jakie spędzili w wodzie pod skalnym nawisem, uświadomiło jej ich śmiertelność. Chciała mieć coś z Seana - tak na wszelki wypadek. Nie dlatego że żył ryzykancko lub nieostrożnie, ale przecież synowie Lilienkampa nie byli lekkomyślni, a już na pewno nie biedna Lucy Tubberman. Tylu ludzi zginęło w Pierwszym Opadzie.

Sorka bała się, że nic jej nie zostanie po Seanie. Wcześniej nie starała się począć, bo ciąża pokrzyżowałaby ich plany na Killarney: musieli udowodnić, że są w stanie zatroszczyć się o każdy przysługujący im akr ziemi. Martwiła się, że coś z nią jest nie tak, skoro nie zaszła w ciążę wcześniej, w trakcie beztroskich zabaw, jakim z zapałem oddawała się z Seanem. Ale teraz już się nie bawiła. Tej nocy chodziło o coś więcej.

Wind Blossom otworzyła drzwi Paulowi Bendenowi, Emily Boll, Ongoli oraz Polowi i Bay Harkenon-Nietro. Z wdziękiem skłaniając głowę na powitanie, kobieta zaprosiła gości do środka.

Kitti Ping siedziała na wyściełanym krześle, które, jak pomyślał Paul, musiało być pod narzutą uniesione nad ziemię, dzięki czemu przypominało archaiczny tron. Kitti wyglądała imponująco, rzecz niezbyt łatwa u osoby o połowę od niego niższej. Kruche ciało spowijał piękny, miękki, tkany pled, a tunika o długich rękawach, pokryta kunsztownymi haftami, podkreślała ogólne wrażenie władzy i autorytetu. Kobieta uniosła delikatną dłoń, nie większą niż dłoń najstarszej córeczki Paula, i gestem kazała gościom usiąść na stołkach, które nieregularnym kręgiem ustawiono naprzeciw niej.

Paul, podwijając długie nogi, by zmieścić się na taborecie, zdał sobie sprawę, że Kitti zdobyła w ten sposób subtelną przewagę nad odwiedzającymi. Ubawiony jej taktyką uśmiechnął się i wydawało mu się, że dostrzegł w jej oczach krótki błysk porozumienia.

Jedynie kilka silnych etnicznych tradycji przetrwało Wiek Religii, ale niektóre plemiona znad Amazonki i Chińczycy, Japończycy, Maorysi zachowali swe starożytne obyczaje. W pernijskim domu Kitti, umeblowanym jedynie dziedzictwem jej rodziny, Paul nie ważył się przerywać rytuału gościnności. Wind Blossom podała gościom aromatyczną herbatę w delikatnych porcelanowych filiżankach. Maleńka plantacja krzewów herbacianych, hodowanych specjalnie po to, by podtrzymać pełną uroku ceremonię, padła ofiarą Pierwszego

Opadu. Paul aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że to może być ostatnia filiżanka herbaty, jaką pije w swoim życiu.

- Czy Mar Dook miał okazję cię poinformować, że ma w konserwatorium jeszcze kilka rezerwowych krzewów herbacianych? - zapytał Paul, gdy wszyscy nacieszyli się napojem.

Kitti Ping skłoniła głowę na znak wdzięczności i się uśmiechnęła.

- To wielka ulga.

Tak doskonale uprzejma odpowiedź nie dała mu żadnego punktu zaczepienia. Paul poruszył się niespokojnie, usiłując wygodniej usadowić na stołku. Wiedział, że Pol i Bay aż płoną z niecierpliwości, by przejść do sedna sprawy.

- Wszyscy poczulibyśmy jeszcze większą ulgę... - Gwałtownie ściszył głos, który zabrzmiał niezwykle głośno po jej delikatnej odpowiedzi. - Gdybyśmy uzyskali... jakąś godną zaufania pomoc w walce z tą zarazą.

- Czy tak? - Cieniutkie, podkreślone ołówkiem brwi uniosły się, a drobne ręce poruszyły się na oparciach krzesła.

- Tak. - Paul odchrząknął, wściekły na siebie za swój brak manier, a jeszcze bardziej rozdrażniony, że tak dał się zbić z tropu trywialnym ustawieniem siedzeń. Kitti musiała wiedzieć, dlaczego poprosił ją o prywatne spotkanie. - Prawda jest taka, że znajdujemy się w bardzo kiepskim położeniu do walki z Nićmi. Mówiąc otwarcie, wyczerpiemy wszystkie zasoby za pięć lat. Nie mamy odpowiedniego sprzętu, by produkować ślizgacze lub zasilacze, gdy to, co przywieźliśmy, się zużyje. Podjęta przez Kenjo próba zniszczenia Nici w kosmosie powiodła się jedynie częściowo, a w Mariposie pozostało już bardzo niewiele paliwa.

- Jak wiesz, żaden ze statków kolonijnych nie przywiózł broni obronnej lub zaczepnej. Nawet gdybyśmy zdołali skonstruować przemiatacz laserowy, nie mamy wystarczającej ilości paliwa, by przesunąć chociażby jeden statek w taką pozycję, by skutecznie anihilować strąki. Wiemy, że najlepszą metodą chronienia powierzchni jest niszczenie tworów w powietrzu.

- Boris i Dieter potwierdzili nasze najgorsze obawy: jeżeli nie zdołamy temu zapobiec, Nici opadną na całą planetę i ogołocą ją doszczętnie. Nie możemy żywić wielkiej nadziei, że sonda Ezry Keroona przyniesie jakiegokolwiek użyteczne informacje. - Paul rozłożył ramiona w poczuciu beznadziejności, które go ogarniało.

Kitti uniosła delikatne brwi w nie udawanym zdumieniu.

- Ich źródłem jest ta poranna gwiazda?

Paul westchnął ciężko.

- Tak głosi obecna teoria. Będziemy wiedzieli więcej, gdy sonda powróci z wynikami.

Kitti Ping w zamyśleniu pokiwała głową, a jej palce, cieniutkie jak wierzbowe gałązki, zacisnęły się wokół poręczy.

- Jesteśmy w beznadziejnej sytuacji - powiedziała Emily, jeszcze bardziej prostując się na swoim stołku.

Nie wiadomo dlaczego Paul nabrał otuchy widząc, że pani gubernator, podobnie jak on sam, denerwuje się niczym uczeń. Pol i Bay przytaknęli. Kitti Ping i Wind Blossom, która stała trochę z tyłu po lewej stronie babki, czekały cierpliwie.

- Gdyby tylko smoczki były większe, Kitti - wtrąciła Bay z niezwykłą u niej obcesowością - i wystarczająco inteligentne, by słuchać, stanowiłyby dla nas nieocenioną pomoc. Udało mi się wzmocnić ich empatię za pomocą mentasynu, ale to było stosunkowo proste. Teraz trzeba wyhodować odpowiednio duże smoczki, smoki. Musimy je mieć aż tak duże - rozpostarła ramiona na pełną szerokość i strzepnęła palcami, by pokazać rozmiary pokoju. - Inteligentne, posłuszne, wystarczająco silne, by podolały swojej pracy: spaliły Nici w powietrzu. - Zabrakło jej słów. Wiedziała, co Kitti Ping Yung sądzi o bioinżynierii wykraczającej poza proste przystosowania istot do nowych parametrów ekologicznych.

Kitti Ping ponownie skinęła głową, a jej wnuczka spojrzała na nią zaskoczona.

- Tak, rozmiary, siła i znaczna inteligencja bardzo by się przydały - powiedziała ledwo

słyszalnym głosem. Wsunęła dłonie w fałdy długich rękawów i złożyła je na brzuchu, po czym schyliła głowę i milczała tak długo, że goście zaczęli się zastanawiać, czy nie zapadła w sen, charakterystyczny dla ludzi starszych. W końcu odezwała się znowu. - Poza tym oddanie, które tak łatwo wzbudzić w jednych stworzeniach, co praktycznie jest nieosiągalne u innych. Smoczki już posiadają cechy, jakie pragniecie wzmocnić. - Uśmiechnęła się łagodnie, nieco przepaszająco, wyrażając wielki smutek i współczucie. - Byłam jedynie przeciętną studentką, chociaż bardzo gorliwą i żądną wiedzy, w Wielkich Salach Beltrae u Erydańczyków. Nauczono mnie, co się stanie, jeżeli zrobię to czy tamto, jeśli coś powiększę lub zredukuję, uszkodzę daną synapsę, czy zmodyfikuję określony gen. Zazwyczaj to, czego mnie nauczono, działało. Ale niestety - dodała, unosząc ostrzegawczo jedną rękę. - Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego czasami modyfikacja się nie udawała i organizm umierał. Albo przeżył jedynie cudem. Beltrae uczyli nas jak, ale nigdy nie uczyli dlaczego.

Paul westchnął głęboko. Zaczynała ogarniać go rozpacz.

- Ale mogę spróbować - powiedziała Kitty Ping. - I spróbuję. Bo chociaż moje dni dobiegają już końca, są inni, o których muszę zadbać. - Odwróciła się, by uśmiechnąć się łagodnie do wnuczki, która pokornie skłoniła głowę.

Paul pokręcił głową, nie wierząc własnym uszom.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Bay, zrywając się na nogi. W ostatniej chwili powstrzymała się przed rzucając się w stronę uniesionego krzesła Kitty.

- Oczywiście, że spróbuję! - Kitty ponownie uniosła drobną dłoń. - Ale muszę was ostrzec, że nie możemy być pewni sukcesu. To, na co się poważyliśmy, jest niebezpieczne dla gatunku, może być zagrożeniem dla nas, i nie mogę nic zagwarantować. To bardzo wielkie szczęście, że te małe smoczki posiadają już tak wiele cech, których istnienia potrzeba u genetycznie zmienionych zwierząt. Ale nawet w tym wypadku wyhodowanie pożądanego stworzenia może okazać się niemożliwe. Nie ma pewności, że zmodyfikowane smoczki przełożą korzystne cechy następnemu pokoleniu. Nie posiadamy wyrafinowanego sprzętu laboratoryjnego ani metod analizy, które ułatwiłyby nam pracę. Musimy bazować na powtórzeniach, na pracy wielu dłoni i oczu, na wielkiej precyzji i delikatności. Zadanie jest trudne, a środki toporne.

- Ale musimy spróbować! - powiedział Paul Benden, podnosząc się na nogi z zaciśniętymi pięściami.

Rozdział IV

Cały personel medyczny, niepełniący służby w szpitaliku bądź w ekipach naziemnych; weterynarze, ich uczniowie, w tym również Sean i Sorka, pracowali na zmianę przy projekcie Kitty Ping, któremu nadano najwyższy priorytet. Każdy, kto przeszedł przeszkolenie w biologii, chemii lub jakichkolwiek procedurach laboratoryjnych - nawet zwykli ludzie o zwinnych palcach, którym można było powierzyć przygotowanie slajdów, bądź ci, którzy leczyli się z ran zadanych przez Nici i mogli obserwować monitory - wszyscy zostali zatrudnieni przy projekcie. Kitty, Wind Blossom, Bay i Pol szczytywali informację genetyczną z chromosomów smoczków. Chociaż stworzenia nie pochodziły z Ziemi, ich biologia nie okazała się na tyle obca, by nie można nad nią było pracować.

- Poradziliśmy sobie nawet z chiropteroidami na Centauri - powiedział Pol - a one miały jako materiał genetyczny łańcuchy krzemowe.

Trzeba było wielu przeróbek w harmonogramach, by znaleźć odpowiednio dużo osób do walki z Niemi nad obszarami zamieszkanymi. Szczegółowy wykaz Opadów, ustalony przez wyczerpany zespół Borisa Pahlevi i Dietera Clissmana, dał wynik, przed którym nawet projekt Kitty musiał ustąpić. Wypracowane czterozmianowe listy przydziałowe starały się

zostawić każdemu trochę czasu dla siebie - na relaks i pracę na własnych farmach - chociaż niektórzy specjaliści ignorowali zarządzenia i trzeba ich było zmuszać do spania.

Wszystkie dzieci poniżej dwunastego roku życia musiały w trakcie Opadu chować się do budynków. Nadzieja, że Kenjo na Mariposie zdoła zniszczyć Nici w górnych warstwach atmosfery, okazała się płonna. Przewidywany podwójny Opad - nad Cardiff w Jordanii oraz Bordeaux na Kahrainie, a także nad Seminolą i wyspą Ierne - był co prawda przerywany, ale luki złośliwie nie obejmowały zamieszkałych obszarów.

Przewidywano jeszcze inne podwójne Opady: trzydziestego pierwszego dnia po Pierwszym Opadzie Nici miały przesunąć się nad obozowiskiem Karachi oraz czubkiem półwyspu Kahrain; trzy dni później miały przejść pojedynczym, lądowym korytarzem z Kahrainu do Rajskiej Rzeki, przy czym drugi Opad wpadłby bezpiecznie do morza powyżej prowincji Cibola. Następne trzy dni i niebezpieczny podwójny uderza farmę Boca i gęste lasy dolnego Kahrainu i Arabii, jedyne zasoby prawdziwego drewna, tak potrzebnego dla kopalń w ruchliwym obozie Karachi i nad Jeziorem Drake'a.

Ezra całymi godzinami przesiadywał w baraku, który mieścił terminal głównego komputera na Yokohamie, i przeglądał dane z historii wojskowości i marynarki, chcąc znaleźć jakieś środki do walki z zarazą. Szukał także, ze znacznie mniejszym optymizmem, jakichś tajemniczych równań lub urządzeń, które mógłby zastosować, by zmienić orbitę planety. Może wtedy udałoby się uniknąć następnego Opadu. Tymczasem jednak orbita Pernu została upstrzona spiralami Nici, zamkniętych w kapsułach i choćby nie wiadomo co, koloniści musieli stawić czoło temu niebezpieczeństwu. Ezra zrobił też porównania danych z programu Kitti, przekopując pliki naukowe i wykorzystując znany sobie kod bezpieczeństwa, by dotrzeć do informacji tajnych lub o ograniczonym rozpowszechnianiu. Czekał także, aż zostanie powiadomiony o wynikach z sondy. A ponieważ wszyscy wiedzieli, gdzie znaleźć Ezrę, często sam rozpatrywał skargi i rozwiązywał błahsze problemy, żeby nie składać zbędnego ciężaru na barki admirała i gubernatora.

Kenjo został wysłany na trzy dodatkowe misje. Za każdym razem usiłował wynaleźć skuteczniejszą metodę niszczenia większej ilości Nici w przestrzeni, by usprawiedliwić zużycie cennego paliwa. Wskaźniki na Mariposie opadały jedynie nieznacznie po każdej podróży i Kenjo był wychwalany za oszczędność. Drake otwarcie zazdrościł pilotowi jego umiejętności.

- Do diabła, człowieku - powtarzał. - Ty latasz na samych parach.

Kenjo skromnie skłaniał głowę i nic nie mówił. Zaczynał się jednak cieszyć, że nie udało mu się przenieść całego paliwa do kryjówki na Honshu. Już niedługo będzie musiał ujawnić zapas, żeby zapewnić sobie kolejne wyprawy w kosmos. Tylko tam mógł żyć i czuć naprawdę, każdą komórką swego ciała.

Za każdym razem przywoził też cenne informacje. Nici, jak się okazało, tkwiły w strąku, który spalał się, gdy wchodził w atmosferę Pernu, pozostawiając wewnętrzną kapsułę. Około piętnastu tysięcy stóp nad powierzchnią wewnętrzną kapsuła rozpadała się na wstęgi, z których część była niedostatecznie gruba, by przetrwać w wyższych warstwach. Ale, jak wszyscy w Ładowisku dobrze wiedzieli, sporo opadało na powierzchnię.

Większość ślizgaczy była niehermetyzowana, czyli miała efektywny pułap dziesięciu tysięcy stóp. Jediną metodą niszczenia Nici z powietrza nadal pozostawały miotacze.

Wiedząc, że Nici mają opaść na Wielką Wyspę w Dniu 40, Paul Benden nakazał Avril Bitrze i Stevowi Kimmerowi powrót do Ładowiska. Gdy Stev zapytał, jakie surowce z tych, które wydobyli, przydałyby się w Ładowisku, Joel Lilienkamp bardziej niż szczęśliwy dostarczył długą listę. Kiedy więc na pasie wylądowały cztery ślizgacze, wylądowane po brzegi blokami metalu, nikt nawet nie napomknął o wcześniejszych przewinieniach.

- Nie widzę Avril - zauważył Ongola, gdy ślizgacze rozładowywano przed składami metali.

Stev spojrzał na niego lekko zaskoczony.

- Wróciła do was kilka tygodni temu. - Spojrzał na pas startowy i zauważył, jak słońce odbija się od kadłuba Mariposy. - Nie zgłosiła wam tego? - Ongola powoli pokręcił głową. - No, coś podobnego! - Wzrok Steva zatrzymał się na Mariposie wystarczająco długo, by Ongola to zauważył. - Może Nici ją dostały!

- Może ją, ale nie jej ślizgacz - odparł Ongola wiedząc, że Avril Bitra miała zbyt wielką wprawę w chronieniu swojej skóry, by wpaść w Opad. - Rozejrzemy się za nią.

Wszędzie rozwieszono harmonogramy Opadów, aktualizując je bezustannie; wcześniejsze wykreślano, a z następnych podawano tylko trzy, żeby ludzie mogli zaplanować pracę tydzień naprzód. Avril nie mogła przeżyć w Lądowisku nawet dziesięciu minut, żeby nie dowiedzieć się o zagrożeniu Nićmi. Ongola przypomniał sobie, że musi usunąć chip sterowniczy z Mariposy, gdy tylko Kenjo wyląduje. Wiedział dokładnie, dlaczego pilot wciąż miał tak dużo paliwa; nie chciał, żeby ktokolwiek inny, a zwłaszcza Avril Bitra, również się o tym dowiedział. Admirał Benden nie pomylił się co do Kenjo. Ongola nie chciał, żeby sprawdziły się jego własne przypuszczenia co do Avril!

- Gdzie chcesz, żebym pracował, Ongola? - zapytał Stev z niewesołym uśmiechem.

- Sprawdź, gdzie Fulmar Stone najbardziej by cię potrzebował, Kimmer. Cieszę się, że cię widzę w jednym kawałku.

Tej nocy Avril kręciła się po Lądowisku wystarczająco długo, by dojść do wniosku, że nie ma zamiaru dać się wciągnąć do żadnego z tych kilku zespołów, które mogły wykorzystać jej umiejętności. Na to, co zdecydowałyby się udostępnić - nawigację kosmiczną - nikt nie miał zapotrzebowania. Tak więc, zanim w Lądowisku nastał świt i ktokolwiek zauważył nadliczbowy ślizgacz, Avril wystartowała ponownie, naładowawszy uprzednio maszynę cennymi zapasami; zarówno jedzeniem, jak i sprzętem.

Wylądowała na skalistej wyżynie ponad spustoszoną farmę Milan, skąd miała dobry widok na Lądowisko i co ważniejsze, dobry widok na zatłoczony, oświetlony pas, gdzie miała pojawić się Mariposa. Wczesne godziny poranka spędziła konstruując ze skradzionych blach osłonę na silipleksową pokrywę ślizgacza. Woląca podjąć wszelkie środki ostrożności, by zabezpieczyć się przed śmiertcionośnymi tworam. Przed południem zakamuflowała swoją kryjówkę i skierowała optoskop na swój cel. Nagrodą był prowokujący widok wracającego Kenjo.

Nasłuchując uważnie na wszystkich kanałach, dostępnych dla interkomu na ślizgaczu, zdołała poznać fakty dotyczące jego misji i jej niewielkiego sukcesu.

W ciągu następnych kilku dni poczuła się znacznie bezpieczniej. Z powodu starych wulkanów większość korytarzy powietrznych omijała jej gniazdo. O poranku cień najwyższego szczytu kładł się na drodze powrotnej, niczym wycelowany prosto w nią szeroki palec. Już samo to sprawiało, że przebiegały ją ciarki. Avril raczej nie miała skłonności do podziwiania widoków, ale fakt, że mogła zobaczyć całą rzekę Jordan aż do zatoki, a z drugiej strony aż do Bordeaux, oznaczał, że trudno ją było zaskoczyć. Postanowiła odprężyć się i czekać. Biorąc pod uwagę nagrodę, miała problemy z praktykowaniem cierpliwości.

- Czy udało ci się już coś osiągnąć, Kitty? - zapytał Paul Benden genetyczkę.

Nigdy nie uważał, że ścisły nadzór poprawia wyniki, ale musiał mieć przynajmniej żdźbło zachęty, żeby zmniejszyć panującą depresję. W drugim miesiącu trwania Opadu psychologowie donosili o obniżającym się morale. Początkowy entuzjazm i determinację zniszczyła ciężka praca i chwile załamania. Znajdujące się w Lądowisku budynki i urządzenia, niegdyś wystarczające aż nadto, teraz okupowane były przez techników zatrudnionych w laboratoriach i rodziny udziałowców, które powróciły do wątpliwego bezpieczeństwa pierwotnej osady.

Nikt nie próżnował. Mairi Hanrahan wymyśliła zabawę dla sprawnych manualnie pięcio - i

sześcioletków, polegającą na montowaniu paneli sterowania według kolorów chipów. Nawet najbardziej niezdarne dzieci mogły pomagać w zbieraniu owoców i warzyw z nie zniszczonych upraw albo współzawodniczyć z innymi w znoszeniu niezwykle zabarwionych wodorostów wyrzuconych na plażę po przyptywie lub sztormie. Siedmio- i ośmiolatkom pozwalano łowić ryby na żyłkę pod czujnym okiem doświadczonych wędkarzy. Ale nawet niemowlęta zaczynały wyczuwać narastające napięcie.

Wiele mówiono o tym, by pozwolić większej liczbie farmerów na powrót do własnych domów, żeby mogli przygotować się na atak Nici. Ale to oznaczałoby ograniczenie dostaw do spichrzów oraz zaburzenie harmonogramów pracy co cenniejszych techników. Paul i Emily musieli być nieustępliwi w kwestii centralizacji.

Tej nocy Kitti przyjęła ich oboje z mądrym i pełnym współczucia uśmiechem. Siedziała wyprostowana na stołku przy masywnej aparaturze mikrobiologicznej, z której komory manipulacyjnej wyprowadziła już wiązki laserowe. Kitti nie wyglądała na zmęczoną; jedynie nabiegłe krwią oczy dowodziły, jak ciężko pracowała. Program wyświetlał niezrozumiałe komunikaty na kilku monitorach. Genetyczka przerwała na moment, by obejrzeć jakiś wykres na jednym z ekranów oraz ciąg równań na innym, po czym znów spojrzała na niespokojnych gości.

- Admirale, nie ma sposobu, żeby skrócić okres ciąży; nie, jeśli chce się uzyskać zdrowy, zdolny do przeżycia okaz. Nawet Beltrae nie udało się przyspieszyć tego procesu. Tak jak wspomniałam w ostatnim raporcie, znaleźliśmy przyczynę pierwotnego niepowodzenia i wprowadziliśmy niezbędne poprawki. Zdaję sobie sprawę, że to pochłania czas, ale okaże się warte większego wysiłku. Dwadzieścia dwa stworzone prototypy rozwijają się prawidłowo w pierwszym semestrze. Wszyscy tutaj - delikatna dłoń zatoczyła krąg, obejmując techników pracujących w olbrzymim bloku laboratoryjnym - niezwykle cieszymy się z tak wysokiego odsetka sukcesu. - Kobieta przechyliła lekko głowę, by odczytać migający napis. - Nieustannie monitorujemy okazy. Wykazują te same reakcje co węże tunelowe, których rozwój dobrze poznaliśmy. Musimy mieć nadzieję, że wszystko odbędzie się bez przeszkód. Jak dotychczas mieliśmy niezwykle szczęście. Przede wszystkim zalecałabym cierpliwość.

- Cierpliwość - powtórzył Paul z goryczą. - Tego towaru właśnie nam brakuje.

Kitti uniosła ręce w geście bezradności.

- Dzień po dniu zarodki rosną. Wind Blossom i Bay wciąż udoskonalają program. Za dwa dni zaczniemy z drugą grupą. Będziemy wciąż poprawiać manipulacje. Zawsze dążyć do poprawy. Nie stoimy w miejscu. Posuwamy się naprzód. Zadanie jest poważne i odpowiedzialne. Nie można lekkomyślnie zmieniać natury i celu żadnej istoty. Jak już powiedziano, człowiek rozumny z największą ostrożnością wprowadza zmiany, aby każda znalazła swoje miejsce. Przed ukończeniem pracy warunkami sukcesu są rozważa i ostrożność.

Kitti uśmiechnęła się uprzejmie na pożegnanie do dwójki przywódców, po czym całą jej uwagę przykuły gwałtownie zmieniające się obrazy na monitorach. Paul i Emily wykonali równie uprzejme ukłony w kierunku jej smukłych pleców i opuścili pokój.

- Cóż - zaczął admirał, wzruszeniem ramion otrząsając się z zawodu. - To by było na tyle.

- Jakiego to miasta nie zbudowano w jeden dzień, Paul? - zapytała Emily żartobliwie.

- Rzymu. - Uśmiechnął się szeroko, widząc zdumienie Emily po jego szybkiej odpowiedzi. - Stara Ziemia, pierwszy wiek, jak sądzę. Dobrzy żołnierze na lądzie i budowniczości dróg.

- Militaryści.

- Owszem - potwierdził Paul. - Hmm... Mieli też sposób na utrzymywanie dobrego nastroju obywateli. Nazywali to cyrkiem. Tak się zastanawiam...

Czterdziestego drugiego dnia po Pierwszym Opadzie, kiedy Nici pustoszyły nie zamieszkaną część Arabii i Cathay oraz spadały nieszkodliwie do Morza Północnego powyżej Delt,

omijając zachodni cypel Dorado, admirał Benden i gubernator Boli ogłosili dzień wypoczynku dla wszystkich. Gubernator Boli poprosiła kierowników wszystkich działów, by tak ustawili harmonogramy pracy, aby wszyscy mogli uczestniczyć w popołudniowej uczcie i wieczornych tańcach. Nawet najdalej mieszkający farmerzy zostali zaproszeni do przybycia o takiej porze, jaka im najbardziej odpowiadała. Admirał Benden poprosił o dwa szwadrony ochotników do wysłedzenia Nici o 0930 na wschodzie, a także o kolejne dwa, by wczesnym wieczorem sprawdziły, co się dzieje na zachodzie.

Podium na Placu Ogniskowym pyszniło się różnokolorowymi chorągiewkami, a nowa flaga planety została zatknięta na drzewcu i powiewała na wietrze. Stoły, ławy i krzesła rozstawiono dookoła placu, pozostawiając środek dla tancerzy. Zamierzano udostępnić całe beczki quikalu, a Hegelman miał przygotować piwo - nikt nie chciał myśleć o tym, że może to być ostatnie piwo na bardzo długi czas. Joel Lilienkamp bez mrugnięcia okiem wydał olbrzymie zapasy żywności.

- Podziękujcie dzieciakom, które je zebrały! Praca dzieci może być bardzo efektywna - powiedział z szerokim uśmiechem. Rybacy z Zatoki Monaco przywieźli skrzynie pełne ryb i co bardziej mięsistych wodorostów do upieczenia w wielkich, od dawna nie używanych dołach; dwadzieścia farm udostępniło tyleż wołów, by obracały się na roznach; Pierre de Courci pracował całą poprzednią noc, piekąc ciasta i przygotowując wymyślne słodczy.

- Lepiej tuczyć ludzi niż Nici! - Pierre zawsze był najszcześniejszy, gdy przewidywał duży wysiłek.

- Dobrze jest słyszeć muzykę, śpiew i śmiech - mruknął Paul do Ongoli, gdy razem chodzili od jednej grupy do drugiej.

- Sądzę, że trzeba by wprowadzić taki zwyczaj - odparł Ongola. - Byłoby coś, na co warto czekać. Odnawiałyby się dawne przyjaźnie, umacniały więzy; każdy miałby szansę, żeby się pochwalić i porównać z innymi. - Ruchem głowy wskazał grupę, w której siedziała jego żona, Sabra, Sallah Telgar-Andiyar oraz Barr Hamil-Jessup, plotkując i śmiejąc się wesoło, każda ze śpiącym dzieckiem na łonie. - Musimy częściej się spotykać.

Admirał skinął głową, po czym zerknął na chronometr i przeklinając cicho pod nosem, odszedł, by poprowadzić ochotników przeciwko zachodniemu Opadowi.

Następnego dnia, rozpoczynając służbę w wieży meteo, Ongola nie czuł się najlepiej. Szczerze mówiąc, najpierw odwiedził szpitalik, gdzie farmaceutka dała mu tabletkę na kaca i zapewniła, że jest jednym z wielu. Jednak jej komentarz na temat niepokojących ofiar podczas Opadu jedynie pogorszył ból głowy.

Raport, jaki oczekiwał na niego w wieży meteo, był szokujący i zaskakujący. Jeden ślizgacz został całkowicie zniszczony, a trzyosobowa załoga zginęła; drugi był mocno uszkodzony, prawy strzelec zginął, a pilot i lewy strzelec odnieśli ciężkie obrażenia w powietrznej kolizji czołowej. Ktoś nie przestrzegał pułapów lotu. Ongola bezwiednie jęknął, gdy przeczytał listę ofiar: Becky Nielsen, ucząca się na górniką, świeżo po powrocie z Wielkiej Wyspy - okazało się, że bezpieczniejsza była z Avril; Bart Nilwan, bardzo obiecujący młody mechanik; a także Ben Jepson. Ongola przetarł oczy, walcząc z przesłaniającą je mgłą. Drugim zabitym pilotem był Bob Jepson. Dwaj w jednej rodzinie. Te bliźniaki! Rozbijali się po okolicy, pewne siebie dupki, zamiast słuchać rozkazów. Cholerna sprawa! Co ma powiedzieć ich rodzicom? Łagodny Opad, a oni, zamiast wrócić na zabawę, dają się zabić!

Ongola położył dłoń na interkomie, chcąc połączyć się z administracją. Wtedy usłyszał, jak ktoś z wahaniem puka do drzwi.

- Wejść! - zawołał.

W drzwiach stanęła Catherine Radelin-Doyle, z szeroko otwartymi oczami i bladą twarzą.

- Tak, Cathy?

- Proszę pana, panie komandorze...

- Jeden tytuł wystarczy. - Udało mu się przywołać zachęcający uśmiech. Cathy potrafiła się wpakować w niezliczone kłopoty, poczynając od wpadnięcia do jaskini w dzieciństwie, a kończąc na wyjściu za mąż za najbardziej leniwego faceta na całej planecie. Ongola zachodził w głowę, o co tym razem chodzi. Cathy, biedne dziecko, po prostu należała do ludzi, którym różne historie przydarzają się niezależnie od ich wysiłków.

- Proszę pana, znalazłam jaskinię.

- Tak? - zachęcił ją, gdy wyraźnie się zawahała. Widać ciągle znajdowała jaskinie.

- Ona nie była pusta.

Ongola usiadł prosto.

- Były w niej pojemniki z paliwem, prawda? - zapytał. Skoro Catherine ją znalazła, czy znalazła ją także Avril? Nie, Avril nie miała tego rodzaju szczęścia co Catherine.

- Jak pan zgadł, panie Ongola? - Jej ulga była widoczna.

- Może po prostu o nich wiedziałem.

- Naprawdę? Wiedział pan? To znaczy, że nie "oni" je tam schowali?

- Nie, to my. - Ongola chciał jak najmniej rozgłosu wokół składu Kenjo. Patrzył na wciąż malejące liczby i zastanawiał się, dlaczego Kenjo wygląda na tak zadowolonego po każdej podróży. Szybko zerknął w kąt zacienionego regału, gdzie w pudełku z ciemnej pianki leżały ukryte chipy naprowadzające.

Catherine nagle osunęła się na najbliższe krzesło.

- Och, proszę pana, nie wie pan, jak się wystraszyłam. Myślałam, że był tam ktoś inny, bo wszyscy wiedzą, jak mało zostało nam paliwa. A potem zobaczyłam...

- Nic nie widziałeś, Catherine - powiedział jej krótko Ongola. - Zupełnie nic. Nie ma tam żadnej jaskini, o której warto by wspomnieć, a ty nic nikomu nie powiesz. Osobiście powiadomię admirała. Ale ty milcz.

- Oczywiście, proszę pana.

- Ta informacja nie może, powtarzam, nie może zostać przekazana komukolwiek.

- Dobrze, panie Ongola. - Cathy solennie pokiwała głową. Po chwili uśmiechnęła się ujmująco. - Czy mam dalej szukać?

- Chyba tak. I znajdź coś!

- Och, ja już przecież znalazłam, panie Ongola, a Joel Lilienkamp mówi, że będą tam wspaniałe składy. - Jej twarz zachmurzyła się na krótko. - Ale nie powiedział na co.

- Idź, Cathy, i znajdź coś... innego.

Dziewczyna wyszła, a Ongola na moment wrócił do rozważania pierwszych poważnych strat w trakcie obrony, gdy łomocąc butami po schodach wpadł Tarvi.

- Mieliśmy to cały czas przed nosem, Zi - powiedział, wywijając ramionami w jednym ze swych zamasztych gestów. Jego twarz jaśniała entuzjazmem, chociaż skóra lekko poszarzała po ekscesach wczorajszej nocy.

- Co? - Ongola nie był w nastroju na zagadki.

- One! Tam! - Tarvi machał rękami w stronę północnych okien. - Przez cały czas.

To pewnie przez ten ból głowy, pomyślał Ongola. Nie miał pojęcia, o czym Tarvi mówi.

- Co masz na myśli?

- Przez cały ten czas, kiedy harowaliśmy w kopalni, oczyszczając, przetapiając i tracąc całe tygodnie pracy, to, co nam potrzebne, mieliśmy na wyciągnięcie ręki.

- Dość zagadek, Tarvi.

Wyraziste oczy geologa rozszerzyły się z zaskoczenia i konsternacji.

- Tu nie ma żadnych zagadek, Zi, przyjacielu, ale źródło wielu cennych metali i przyrządów. Wahadłowce, Zi, mogą zostać rozebrane, a ich części użyte do celów naukowych, tu i teraz. Spełniły już swoje zadanie. Mamy pozwolić, żeby powoli rdzewiały na łące? - Tarvi podkreślał każde zdanie pstryknięciem drugich palców w kierunku okna, aż w końcu, zdesperowany niezrozumieniem Ongoli, pociągnął go za sobą i wskazał bardzo długim, lekko

brudnym palcem prosto na stateczniki na ogonach starych wahadłowców. - Proszę. Wykorzystamy je. Setki przekaźników, mile przewodów i rur, sześć pagórków surowców wtórnych. Masz pojęcie, ile tego jest? - W jednej chwili cała energia opuściła zmiennego geologa. Tarvi położył ręce na ramionach Ongoli. - Możemy zastąpić ślizgacz, który straciliśmy dzisiaj, nawet jeśli nie możemy zastąpić tych wspaniałych młodych ludzi ani pocieszyć ich wstrząśniętych rodzin. Te części uczynią nową całość.

Praca przytępiła ostrze bólu, jaki zawisł nad Ładowiskiem po utracie czwórki młodych ludzi. Dwójka ocalała w katastrofie niechętnie przyznała, że pod koniec Opadu bliźniakom Jepsonów zebrało się na fatalne w skutkach wygłupy. Ślizgacz Bena został wyznaczony do działań po Opadzie, gdyż poprzedni pilot zgłosił spowolnioną reakcję przy skrętach w lewo. Maszynę uznano za bezpieczną do lotu, który miał być jedynie lotem badawczym.

Jednak liczba kolizji, zamiast zmaleć, wzrosła wyraźnie podczas następnych Opadów, kiedy ekipa Tarwiego zaczęła rozbierać pierwszy wahadłowiec, a grupa Fulmara jęła naprawiać coraz częstsze uszkodzenia uzyskanymi częściami.

Najwięcej pracy nadal było w laboratorium Kitti Ping, gdzie monitorowano rozwój okazów, w obawie przed jakimikolwiek odchyleniami od programu.

- Cierpliwości - brzmiała odpowiedź Kitti na wszystkie pytania. - Doświadczenie jest w toku. Trzy dni po powietrznym zderzeniu Wind Blossom zastała swoją babkę przy elektronicznym mikroskopie, najwyraźniej oglądającą kolejną próbkę. Ale kiedy Blossom dotknęła ramienia Kitti, miało to nieoczekiwany efekt. Szczupłe palce ześliznęły się z klawiatury, a całe ciało osunęło się w przód, przytrzymywane jedynie przez pasy, które pomagały starszce siedzieć na stołku podczas długich sesji przy mikroskopie. Wind Blossom jęknęła i opadła na kolana, przyciskając drobną, zimną dłoń do swego czoła.

Bay usłyszała jej niepohamowane łkanie i weszła, by sprawdzić, co się stało. Natychmiast zawołała Pola i Kwan, po czym zadzwoniła po lekarza. Gdy Wind Blossom wyszła za wózkami, który wywoził z pokoju ciało jej babki, Bay wyprostowała pulchne ramiona i stanęła przy konsoli. Zapytała komputer, czy zakończył program.

PROGRAM ZAKOŃCZONY, rozbłysło na ekranie - prawie z oburzeniem, jak pomyślała Bay tą częścią swego umysłu, która nie uczestniczyła w smutku. Wystukała pytanie o informację. Ekran wyświetlił oślepiającą serię obliczeń, która kończyła się słowami WYJMIJ PRÓBKĘ! NIEBEZPIECZEŃSTWO, JEŚLI PRÓBKA NIE ZOSTANIE NATYCHMIAST WYJĘTA!

Bay, zaskoczona, rozejrzała się po urządzeniach stojących obok mikroskopu. Kitti Ping znowu manipulowała genami. Był to skomplikowany proces, który Bay i Wind Blossom uważały za przerastający ich siły, mimo zachęt Kitti Ping. Tak więc genetyczka sama wywoływała nieskończenie małe zmiany w chromosomach. Bay poczuła, jak chłód przerażającego zrozumienia ogarnia jej pulchne ciało. Zacisnęła wargi. Nie było czasu na panikę. Nie wolno im stracić tego, co Kitti Ping osiągnęła z surowego materiału Pernu.

Lekko drżącymi dłońmi Bay otworzyła mikrocyylinder, wyjęła maleńką, żelatynową kapsułkę z próbką i umieściła ją w pożywce przygotowanej przez genetyczkę. Ogarnęło ją poczucie żalu, gwałtowne jak uderzenie nożem, ale zwalczyła ból wiedząc, że Kitti Ping Yung umarła, usiłując przygotować tę właśnie zmienioną komórkę jajową. Plakietka była już przygotowana: Próba 2684/16/M: jądro 22A, pokolenie mentasyntowe B2, system borowo-krzemowy 4, wielkość 2H; 16.204.8.

Idąc tak szybko, jak tylko pozwalały jej trzęsące się nogi i stopniowo odzyskując panowanie nad sobą, Bay zabrała ostatnią część spuścizny po genialnej genetyczce do komory wylęgowej i umieściła ostrożnie obok czterdziestu jeden podobnych kapsulek, stanowiących całą nadzieję Pernu.

- To już druga sonda - oznajmił Ezra Paulowi i Emily głosem drżącym z rozczarowania. - Kiedy pierwsza wybuchła, czy cokolwiek z nią się stało, uznałem to za przypadek. Nawet próżnia nie jest idealnym zabezpieczeniem przed korozją. Silniki mogły odpalić za wcześnie, urządzenia rejestrujące też mogą się zaciąć. Poprawiłem więc program dla drugiej. Doleciała dokładnie w to samo miejsce co pierwsza, po czym wszystkie kontrolki zapaliły się na czerwono. Albo atmosfera tam jest tak korozyjna, że nawet emalia na sondzie się topi, albo garaż na Yokohamie uległ jakiemuś uszkodzeniu, a sondy wraz z nim. Nie mam pojęcia. Ezra zwykle nie okazywał swoich uczuć, ale teraz chodził tam i z powrotem po biurze admirała, wymachując ramionami niczym szarpany wiatrem strach na wróble. Ostatnich kilka dni bardzo go zmęczyło i postarzyło. Paul i Emily wymienili zatroskane spojrzenia. Śmierć Kittii Ping była wielkim szokiem, zwłaszcza tuż po katastrofie ślizgaczy. Genetyczka robiła wrażenie niezniszczalnej, mimo że wszyscy wiedzieli o jej fizycznej słabości. Roztaczała wokół siebie aurę nieśmiertelności, która jednak okazała się fałszywa.

- Kto to wysunął teorię, że bombardują nas z kosmosu, aby zmusić do uległości? - zapytał Ezra, zatrzymując się nagle w pół kroku i wlepiając wzrok w dwójkę przywódców.

- Daj spokój, Ezra! - odparł Paul z rozbawieniem. - Zastanów no się przez chwilę. Wszyscy jesteśmy zestresowani, ale nie wolno nam tracić głowy. Wiemy, że w pewnych atmosferach sondy ulegają stopieniu. Co więcej... - Przerwał, nie wiedząc, jak może pocieszyć Ezrę, a tym samym i siebie samego.

- Co więcej, atakujący nas organizm - dokończyła Emily z doskonałym opanowaniem - jest wodorowęglanową formą życia, a jeśli pochodzi z tej planety, to jej atmosfera nie może być korozyjna. Jestem za awarią.

- Myślę tak samo - powiedział admirał, energicznie kiwając głową. - Do diabła, Ezra, nie twórzmy sobie więcej problemów, niż mamy. Ezra opuścił obie pięści na blat stołu.

- Musimy zbadać tę planetę, żeby się dowiedzieć, jak walczyć z tym draństwem. Połowa osadników chce poznać jego źródło i zniszczyć je, by móc wrócić do normalnego życia. Pozamiatać odpadki i zapomnieć o wszystkim.

- Coś przed nami ukrywasz, Ezra? - zapytała Emily, przekrzywiając lekko głowę i patrząc na kapitaną bez zmużenia oczu. Ezra wytrzymał jej wzrok przez bardzo długą chwilę, po czym wyprostował się i uśmiechnął krzywo.

- Siedziałeś przy interfejsie bardzo długo, Ezra, a na pewno nie grałeś w pchełki, gdy programy działały - ciągnęła Emily.

- Moje obliczenia są przerażające - odparł kapitan cicho, rzuciwszy wpierw okiem przez ramię. - Jeżeli program jest choć trochę wiarygodny, a przeleciałem go pięć razy od początku do końca, będziemy mieli kłopoty z Nićmi jeszcze długo po tym, jak czerwona planeta wyjdzie z wewnętrznego systemu.

- Jak długo? - Paul poczuł, że palce zaciskają mu się na oparciu fotela, i zmusił się do zwolnienia uścisku, usiłując jednocześnie wyszukać w pamięci jakiś pokrępowany fakt na temat orbit planetarnych.

- Moim zdaniem około czterdziestu czy pięćdziesięciu lat!

Emily wykrzywiła się, a jej usta otworzyły się z zaskoczenia. W końcu powoli wypuściła powietrze.

- Jeżeli - Ezra dodał ponuro - te twory pochodzą z czerwonej planety. Admirał napotkał jego wzrok i ujrzał w nim niewiarygodne zmęczenie i zniechęcenie.

- Jeżeli? Czyli jest jakaś alternatywa?

- Zaobserwowałem jakąś mgiełkę dookoła planety, niezależnie od otoczki atmosfery. Mgiełkę, która ciągnie się za nią, znacząc jej niewspółśrodkową orbitę. Nie potrafię tak usprawnić teleskopu, by móc powiedzieć więcej. To mogą być resztki materii kosmicznej,

fragment mgławicy, pozostałości ogona komety... cały szereg rzeczy, które są nieszkodliwe.

- Ale jeśli są szkodliwe? - zapytała Emily.

- Ten ogon zniknie z orbity Pernu dopiero za prawie pięćdziesiąt lat. Część wpadnie na Rukbat, a reszta, kto wie?

Nastąpiła długa cisza.

- Jakież propozycje? - zapytał Paul w końcu.

- Tak - odparł Ezra, raptownie prostując ramiona. Podniósł dwa palce. - Polecieć na Yokohamę, sprawdzić, co blokuje sondy, i wysłać dwie z nich na planetkę, żeby zebrały jak najwięcej informacji. Pozostałe dwie posłać wzdłuż linii kometarnego pyłu i wykorzystać potężny optoskop Yoko bez planetarnych interferencji do sprawdzenia, czy możemy zidentyfikować jego pochodzenie i skład. - Ezra złożył palce i z trzaskiem wyłamał je w stawach, co zawsze przyprowadzało Emily o dreszcz. - Przepraszam, Em.

- Przynajmniej możesz zaproponować jakieś działanie - skomentował admirał.

- Pozostaje tylko pytanie, czy mamy wystarczającą ilość paliwa, by posłać kogoś na Yoko i z powrotem. Kenjo i tak odbył więcej podróży, niż uważałem to za możliwe.

- To dobry pilot - odparł Paul dyskretnie. - Z tego, co wiemy, paliwa wystarczy. Kenjo poprowadzi Mariposę. Czy chcesz z nim lecieć?

Ezra powoli pokręcił głową.

- Avril Bitra odbyła odpowiednie przeszkolenie.

- Avril? - Admirał zaśmiał się sucho i pokręcił głową, uśmiechając się kwaśno. - Avril jest ostatnią osobą, jaką wpuściłbym na Mariposę, w jakimkolwiek celu. Nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest.

- Naprawdę? - Ezra zerknął na Emily, oczekując wyjaśnień, ale kobieta tylko wzruszyła ramionami. - No cóż, Kenjo może polecieć sam. Nie - poprawił się natychmiast. - Jeżeli coś się stało z sondami, potrzebujemy dobrego technika. Stev Kimmer. On już wrócił, prawda?

- Kto jeszcze? - Paul zaczął spisywać imiona, nie chcąc martwić Ezry kolejnymi podejrzeniami.

- Kenjo jest bardzo zdolnym technikiem - nalegała Emily.

- W misji musi być dwóch, ze względów bezpieczeństwa - odparł kapitan, marszcząc brwi. - Te dane są dla nas niezbędne.

- Zi Ongola - zaproponował admirał.

- Tak, właśnie on - zgodził się Ezra. - Jeżeli napotka jakieś kłopoty, mogę ściągnąć do interfejsu Steva dla konsultacji.

- Czterdzieści lat, co? - odezwała się Emily, patrząc jak Paul podkreśla dwa nazwiska na swojej liście. - Dużo dłużej, niż uda nam się wytargować, przyjacielu. Lepiej zacznijmy szkolić następców.

Jej myśli natychmiast powędrowały do Wind Blossom, tak wyraźnie kruchej istotki, która miała podołać pracy rozpoczętej przez swoją babkę.

Podejrzliwa natura Avril nie została zaniepokojona niczym, co usłyszała, chociaż fakt, że nic nie słyszała, był równie znaczący. Po wielu godzinach siedzenia przy optoskopie kobieta dostrzegła jednak coś dziwnego. Zazwyczaj urządzenie wycelowane było w Mariposę, tkwiącą na odległym końcu pasa startowego. W nocy przed każdym rejsiem Kenjo przeprowadzał wewnętrzne i zewnętrzne kontrole swojego pojazdu. Sztywniak Fusi! Użyła starego przezwiska bez ironii, bo po prostu nie mogła sobie wyobrazić, w jaki sposób zdołał tak pomnożyć małe rezerwy paliwa na Mariposie. Wczorajszej nocy spostrzegła krzątanicę przy gigu, ale ani śladu Kenjo. Co prawda, gdy na niebie nie świecił żaden z księżyców, ledwo dostrzegła ruchliwe cienie, które świadczyły o ludzkiej aktywności. Czuliła narastające podniecenie. Pocięszało ją tylko to, że wokół Mariposy kręciło się kilka postaci. Ale nikt nie wszedł do gigu. To ją zastanawiało.

O pierwszym brzasku, tak wcześnie, że nikt jeszcze nie pracował przy donkach ustawionych obok szkieletu wahadłowca, który stanowił centrum zainteresowania przez cały tydzień, ze zdumieniem zobaczyła, jak do maszyny zbliżają się Fulmar Stone i Zi Ongola. Olbrzymie napięcie, wyostrome przez tygodnie wyczekiwania, pobudziło ją do zrzucenia osłony ze ślizgacza i przygotowania się do szybkiego odlotu. Na pełnej szybkości mogła dotrzeć do pasa startowego w czasie krótszym niż piętnaście minut. Poranny ruch w Lądowisku powinien wystarczyć, by nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Przeżyła moment niepokoju na myśl, że może na Mariposie wystąpiły jakieś problemy i teraz technicy wyciągają z gigu części zamienne. Trzy dni temu Kenjo odbył podróż, jak zwykle startując i lądując niezwykle ekonomicznie. To musiała mu przyznać - szybował w powietrzu prawie nie zużywając energii. Ale skąd brał paliwo do startu?

Trzej mężczyźni, poruszając się szybko, niemalże ukradkiem, wśliznęli się do niewielkiego gigu i zamknęli śluzy. Tak, ale dostęp do silników można było uzyskać z zewnętrznego panela. Avril się odprężyła. Mężczyźni pozostawali wewnątrz statku przez trzy godziny, wystarczająco długo, by przeprowadzić kontrolę wszystkich wewnętrznych systemów. Ale to nie zwiastowało zwykłego lotu. Może Mariposa była unieruchomiona? Cholerna nieudolność Kenjo. Mariposa musiała być sprawna w kosmosie. Avril zakłęła.

A może coś stało się Kenjo i teraz Ongola szykuje się do startu? Ale jak? Z pewnością nie zostało już wiele paliwa. Dlaczego więc sprawdzają wewnętrzne systemy? Dlaczego chcą ruszać w kolejną podróż? Niezadowolona Avril dokończyła przygotowania do lotu.

Sallah Telgar-Andiyar karmiła właśnie córeczkę na zacienionym ganku domu Main Hanrahan w sektorze azjatyckim, kiedy spostrzegła znajomą postać sprężyscie idącą ścieżką. Osoba miała na sobie luźny kombinezon, a czapka z daszkiem porządnie zasłaniała jej twarz, ale krok był charakterystyczny dla Avril, zwłaszcza gdy się patrzyło od tyłu. Nie mogły zmylić usmarowane dłonie, rura wydechowa niesiona ostentacyjnie w jednej ręce, a notatnik w drugiej. To była Avril, która zbrukała ręce, mając po temu poważną przyczynę. Nikt jej nie widział, odkąd opuściła Wielką Wyspę. Sallah przyglądała się, póki Avril nie wtopiła się w tłum przy głównym składzie, gdzie technicy wyklócali się o części i urządzenia.

Odkąd Sallah podsłuchiwała rozmowę Avril z Kimmerem, wiedziała, że kobieta będzie usiłowała opuścić Pern. Czyżby dowiedziała się o zapasach paliwa Kenjo? Poirytowana Sallah pokręciła głową. Cara zamrugała wielkimi brązowymi oczami i spojrzała wyczekująco na matkę.

- Przepraszam, kochanie, mamusia błądziła myślami całe klikli stąd. - Sallah nabrała na łyżkę więcej puree i wsunęła je w posłusznie otwartą buzię dziecka. Nie, powiedziała sobie gwałtownie, gdyż bardzo chciała w to wierzyć, Avril nie mogła odkryć tego paliwa: była zbyt zajęta szukaniem klejnotów na Wielkiej Wyspie. Przynajmniej jeszcze trzy tygodnie temu.

A czym zajmowała się od tej pory? - zapytywała się Sallah. Przyglądała się, jak Kenjo lata na Mariposie! Jeśli tak, to musiała się sporo nagłowić.

Cóż, Sallah wkrótce miała objąć służbę, a traf chciał, że ślizgacz, który obsługiwała, stał na pasie. Będzie miała dobry widok na Mariposę i wszystkich, którzy się do niej zbliżają. Jeżeli Avril pojawi się w pobliżu, Sallah podniesie alarm.

Nie słyszała, żeby Kenjo miał podjąć kolejną próbę niszczenia Nici z kosmosu. Poza tym on startował zwykle o świcie, a zmiana Sallah zaczynała się dużo później.

Wszystko stało się bardzo szybko. Sallah szła w stronę swojego ślizgacza, gdy Ongola i Kenjo, ubrani jak do podróży kosmicznej, opuścili wieżę w towarzystwie Ezry Keroona, Dietera a Clissmana i dwóch innych postaci w kombinezonach, w których Sallah ze zdumieniem rozpoznała Paula i Emily. Ongola i Kenj o sprawiali wrażenie ludzi wysłuchujących ostatnich instrukcji. Następnie ruszyli, prawie truchtem, w stronę Mariposy, pozostali zaś wrócili do wieży meteo. Nagle kolejna postać w kombinezonie pojawiła się na

pasie, idąc trasą, która miała przeciąć drogę Ongoli i Kenjo. Nawet w luźnym skafandrze kosmicznym krok Avril był trudny do pomylenia z czymkolwiek innym!

Sallah chwyciła największy klucz, jaki miała pod ręką, i truchtem ruszyła przez pas. Ongola i Kenjo zniknęli za stertą porzuconych na skraju pola części do ślizgaczy. Avril zaczęła biec, więc Sallah też przyspieszyła kroku. Straciła z oczu Ongolę i Kenjo. Nagle spostrzegła, jak Avril podnosi ze stosu krótki pręt i znika z pola widzenia.

Okrążywszy stos, Sallah ujrzała leżących na ziemi Kenjo i Ongolę. Krew pokrywała tył głowy Kenjo oraz ramię i szyję Ongoli. Sallah pognąła przed siebie, chyląc głowę, aby zwały śmieci zasłaniały ją przed Mariposą. Gdy dotarła na miejsce, śluza właśnie się zamykała. Sallah rzuciła się do środka i poczuła, jak coś ociera się o jej lewą stopę; usłyszała głośny syk, a potem zemdląca.

Rozdział V

Mairi Hanrahan uznała to za dziwne, że Sallah nie zadzwoniła do niej, by uprzedzić, że coś ją zatrzymało. Miała teraz tyle maluchów do nakarmienia, że każda matka starała się być na miejscu w porach posiłków. Mairi poleciła któremuś ze starszych dzieci nakarmić Care, myśląc, że coś bardzo ważnego musiało odciągnąć uwagę Sallah.

Nikt z obecnych w wieży meteo ani budynku administracyjnym nie spodziewał się kontaktu z Ongolą czy Kenjo, gdy wahadłowiec przebijał się przez jonosferę. Ezra, siedząc przy pulpicie z aktywowanym głosem interfejsem, mógł śledzić kurs dzięki włączonym na pokładzie Yokohamy monitorom. Mariposa zbliżała się szybko i wkrótce zniknęła w luku dekującym.

- Dotarli bezpiecznie - oznajmił Ezra, kontaktując się z wieżą i administracją.

Pół godziny później dzieci bawiące się na skraju pasa przybiegły z krzykiem do swojego nauczyciela, mówiąc coś o martwym człowieku. Jednakże Ongola jeszcze żył. Paul spotkał się z lekarzami w szpitalu.

- Będzie żył, ale stracił zbyt wiele krwi, żeby mi się to podobało - powiedział admirałowi jeden z medyków. - Co, u diabła, przydarzyło się jemu i Kenjo?

- Jak zginął Kenjo? - zapytał admirał.

- Uderzenie tęnym narzędziem. W pobliżu znaleziono zakrwawiony pręt. Prawdopodobnie to. Kenjo nawet nie wiedział, co go uderzyło.

Paul doszedł do wniosku, że to samo można by powiedzieć o nim, bo nagle nogi się pod nim ugięły. Doktor zawołał do pielęgniarzy, by przysunęli admirałowi krzesło i podali mu kieliszek quikalu.

Admirał usiłował odepchnąć pomocne dłonie. Wstrząsnęły nim prawdopodobne skutki ostatnich dwóch śmierci. Na utratę Kenjo nie było żadnego antidotum, chociaż cholerny quikal złagodził nieco intensywność szoku, jaki nim trząsał. Jakaś częścią umysłu, wlewając w siebie alkohol, zastanawiał się, gdzie Kenjo schował resztę paliwa. Dlaczego, wyrzucał sobie w duchu, nie zapytał go o to wcześniej? Mógł to zrobić tyle razy, przed czy po którymś z ostatnich lotów, w jakie Kenjo zabierał Mariposę. Jako admirał dobrze wiedział, ile paliwa pozostało w gigu po ostatnim lądowaniu. A teraz było za późno! Chyba że Ongola coś wiedziała. Poinformował Paula, że w pierwotnej kryjówce pozostało już bardzo niewiele, a Kenjo wciąż zaopatrywał Mariposę. Liczby, jakie Sallah niegdyś przekazała Ongoli, sugerowały o wiele więcej paliwa, niż admirał widział w jaskini zesłej nocy. No cóż, sprzeniewierzenie - tak, to było właściwe słowo - posłużyło ostatecznie właściwemu celowi. Może żona Kenjo będzie wiedziała, gdzie ukrył resztę.

Paul pocieszył się tą myślą. Żona Kenjo z pewnością będzie wiedzieć, czy w Honshu znajduje się zapas paliwa. Zmusił się do zajęcia obecnymi problemami: jeden człowiek został zamordowany, a drugi walczył ze śmiercią na planecie, która jak do tej pory nie znała zbrodni

głównej.

- Ongola przeżyje - mówił doktor, nalewając admirałowi kolejny kieliszek. - Jest niewiarygodnie silny, a my postaramy się zdziałać cuda. Pewnie udałoby nam się też uratować Kenjo, gdybyśmy dotarli tam wcześniej. Nastąpiła śmierć mózgowa. Proszę to wypić, jest pan strasznie błądy.

Paul opróżnił kieliszek i odstawił go zdecydowanym ruchem. Wziął głęboki oddech i wstał.

- Już w porządku, dziękuję. Zajmijcie się Ongola. Będziemy musieli dowiedzieć się, co się stało, kiedy tylko odzyska przytomność. I nie rozsiewajcie plotek! - dodał pod adresem obecnych w pokoju.

Wyszedł z budynku i natychmiast skierował się w stronę baraku, w którym znajdował się interfejs oraz Ezra. Idąc starał się rozwiązać zagadkę, która gnębiła jego uporządkowany umysł. Widział, jak Mariposa startuje. Kto ją prowadził? Zatrzymał się, by zabrać Emily z jej biura i poinformować ją krótko o nieszczęściu. Ezra zdziwił się, widząc admirała i gubernator; obecny lot Mariposy traktowano rutynowo.

- Kenjo nie żyje, a Ongola jest ciężko ranny - powiedział Paul, gdy tylko zamknął za sobą drzwi na klucz. - Kto więc prowadzi Mariposę!

- Bogowie na niebiosach! - Ezra skoczył na nogi i wskazał monitor, który wyraźnie ukazywał zadekowaną bezpiecznie Mariposę. - Lot został zaprogramowany na wejście w prawe okno, ale proces dokowania pozostawiono pilotowi. Wszystko poszło gładko. Nie każdy potrafi to zrobić.

- Sprawdź, gdzie są pozostali piloci, Paul - powiedziała Emily, podchodząc do urządzenia.

Admirał zerknął na monitor.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Skontaktuj się z... - Paul już chciał powiedzieć: "Ongola". Przetarł twarz ręką. - Kto jest na wieży meteo?

- Jake Chernoff i Dieter Clissman - oznajmiła Emily.

- Więc zapytaj Jake'a, czy na pasie są jakieś nie zmodyfikowane ślizgacze. Sprawdź dokładnie, gdzie są Stev Kimmer, Nabol Nabhi i Bart Lemos. Poza tym - Paul ostrzegawczo wznosił rękę - dowiedz się, czy ktoś widział Avril Bitrę.

- Avril? - powtórzył Ezra, po czym szybko zamknął usta.

Nagle Paul zaklął tak wymyślnie, że nawet kapitan spojrzał nań ze zdumieniem, po czym wyszedł z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi. Emily skoncentrowała się na wyszukiwaniu pilotów i zdążyła ich sprawdzić, zanim Paul wrócił. Oparł się o zamknięte drzwi i łapał oddech.

- Stev, Nabhi i Lemos są na swoich miejscach. Gdzie byłeś? - spytała Emily.

- Chciałem sprawdzić skafander Ongoli. Doktor mówi, że wyleczy się z ran. Pręt o mało nie uszkodził mięśnia ramienia i nie uczynił go kaleką. Ale... - Paul uniósł w górę jakiś niewielki przedmiot, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym. - Nikt nie poleci daleko Mariposa. - Poważnie skinął głową, gdy tylko Ezra zorientował się, co admirał ma w ręku. - Jedna z ważniejszych części w systemie sterowania! Ongola nie zdążył jej włożyć na miejsce.

- Więc w jaki sposób Avril...? - zaczęła Emily i urwała, chcąc usłyszeć potwierdzenie. Paul powoli skinął głową. - Tak, to musiała być Avril, prawda? Ale dlaczego miałyby chcieć przedostać się na Yoko?

- To pierwszy krok do opuszczenia systemu, Emily. Byliśmy cholernie nieostrożni. Tak, wiem, że mamy to - przyznał, gdy Emily wskazała chip. - Ale przede wszystkim nie powinniśmy byli jej pozwolić w ogóle tam dotrzeć. A przecież wiedzieliśmy, co z niej za ziółko. Sallah nas ostrzegła, ale przez te lata...

- Poza tym ostatnie wypadki - wtrącił Ezra, łagodnie sugerując, że Paul nie musi się oskarżać.

- Powinniśmy byli strzec Mariposy tak długo, jak długo była w niej choć uncja paliwa.

- Trzeba też było zapytać Kenjo, skąd wziął paliwo - dodał kapitan.

- To akurat wiedzieliśmy - odparła Emily, uśmiechając się niewesoło.

- Wiedzieliście? - Ezra był zaskoczony.
- Przynajmniej Ongola nie ryzykował - ciągnął Paul, krzywiąc się na myśl o poszarpanym ramieniu i szyi kolegi. - To - ostrożnie położył chip sterowniczy na półce - było jego specjalne zabezpieczenie, wprowadzone za całkowitą zgodą Kenjo.
Emily ciężko usiadła na najbliższym krześle.
- Więc dokąd nas to teraz prowadzi?
- Wydaje się, że następny ruch należy do Avril. - Ezra ze smutkiem pokręcił głową. - Ma aż nadto paliwa, by móc wrócić na dół.
- To nie jest jej zamiarem - powiedział Paul.
- Na nieszczęście - odezwała się Emily - ma też zakładnika, nawet jeśli o tym nie wie. Brakuje Sallah Telgar-Andiyar.

Sallah powoli odzyskała świadomość. Czuła ogólne odrętwienie i pulsujący ból w lewej stopie. Została ciasno i skutecznie skrupowana w niewygodnej pozycji: ręce za plecami przywiązane zostały do unieruchomionych nóg. Unosiła się w powietrzu, jednym bokiem ocierając się o podłogę statku; brak grawitacji powiedział jej, że nie znajduje się już na Pernie. W tle słyszała rytmiczny, nieprzyjemny dźwięk, a także odgłos obijających się i stukających przedmiotów.

Nagle zorientowała się, że monotonne, złowróżbne dźwięki to nic innego jak przekleństwa Avril Bitry.

- Coś ty, u diabła, zrobiła z systemem sterowania, Telgar? - spytała Avril, kopiąc związaną kobietę w żebra.

Kopniak uniósł Sallah z podłogi, tak że znalazła się o kilka cali od twarzy rozwścieżonej przeciwniczki. Prawdopodobnie jedynym powodem, dla którego wciąż oddychała, było to, że kabina Mariposa miała oddzielne zasilanie w tlen. Kenjo chyba nappełnił zbiorniki do maksimum, pomyślała Sallah w momencie paniki, przepływając za Avril. Druga kobieta siedziała w skafandrze; hełm spoczywał w statywie nad fotelem pilota, gotów do użytku.

Avril wyciągnęła rękę i chwyciła Sallah za ramię.

- Co o tym wiesz? Gadaj, i to szybko, bo wyrzucę cię na zewnątrz i oszczędzę sobie trochę powietrza!

Sallah nie miała wątpliwości, że Avril jest do tego zdolna.

- Nic o tym nie wiem. Widziałam, jak idziesz za Ongolą i Kenjo. Domyśliłam się, że coś knujesz. Więc śledziłam cię i zdążyłam wejść do śluzy, gdy startowałaś.

- Śledziłaś mnie? - Avril zamachnęła się pięścią. Uderzenie sprawiło, że kobiety odskoczyły od siebie. Avril przytrzymała się poręczy. - Jak śmiałaś?

- Cóż, nie widziałam cię od tyłu miesięcy, i tak bardzo chciałam wiedzieć, co się z tobą dzieje, że wydało mi się to zupełnie niezłym pomysłem. - Jak już kręcić, to na całego, pomyślała Sallah. Nie mogła nawet wzruszyć ramionami. Co jej się stało w stopę? Została z niej jedynie piekielnie bolesna miazga.

- Do diabła! Ty latałaś na tym pieprzonym rupieciu. Jak mam przełamać instrukcje wprowadzone przed lotem? Musisz to wiedzieć.

- Mogłabym, gdybyś pozwoliła mi dojść do konsoli. - Dostrzegła nadzieję, a następnie maniacką nieufność w oczach Avril. Sallah nie kłamała. - Jak mogłabym ci stąd coś powiedzieć? Nie wiem nawet, gdzie jesteśmy. Ostatnio latałam jedynie na ślizgaczu, walcząc z Niemi. - Nawet kobiecie ogarniętej paranoją prawda wyda się chyba oczywista. Sallah nakazała sobie ostrożność. - Pozwól mi tylko spojrzeć.

Nie poprosiła, żeby ją rozwiązała, chociaż tego właśnie desperacko pragnęła. Prawe ramię musiała sobie posiniaczyć przy upadku i mięśnie drgały spazmatycznie.

- Nie myśl, że cię rozwiążę - ostrzegła Avril i pogardliwie pchnęła Sallah przez kabinę. Chwyając za poręcz, raptownie zatrzymała swoją zakładniczkę tuż nad konsolą, boleśnie

wyginając jej kręgosłup. - Patrz!

Sallah spojrzała, chociaż wisząc do góry nogami nie miała najlepszej pozycji do tej pracy. Musiała dokładnie wszystko przemyśleć, bo Avril pilotowała wahadłowce i miała pojęcie o ich systemach. Ale Mariposa, chociaż mała, została zaprojektowana do przemierzania międzyplanetarnych odległości, dokowania w rozmaitych stacjach lub na innych statkach i miała wyrafinowany pulpit sterowania, z pomocą którego można było wykonać dość dużą różnorodność manewrów w przestrzeni i na powierzchni planet. Sallah miała nadzieję, że wiele przyrządów okaże się nie znanych Avril.

- Żeby sprawdzić, co statek zrobił - poinstruowała - wciśnij przycisk na samym dole zielonych. Nie, po lewej stronie.

Avril szarpnęła Sallah, wyginając naprężone ramię i uderzając głową zakładniczki o optoskop. Długie włosy Sallah uwolniły się całkowicie ze spinek i spływały na jej twarz.

- Nie bądź taka sprytna! - warknęła Avril, zawieszając palec nad właściwym przyciskiem. - Ten?

Sallah przytaknęła, ponownie odpływając. Avril wcisnęła guzik jedną ręką, a drugą przyciągnęła ją z powrotem. Następnie złapała za poręcz, by utrzymać się w miejscu. Każda akcja wywołuje reakcję, pomyślała Sallah, usiłując myśleć jasno, niezależnie od bólu i zdenerwowania.

Na monitorze rozbłysł zaprogramowany plan lotu.

- Mariposa została zaprogramowana, by zadekować na Yoko. - Przynajmniej wiedziała, gdzie się znajduje. - Kiedy odpaliłaś silniki, nie mogłaś już zmienić kursu.

- No cóż - powiedziała Avril wyraźnie zmienionym tonem. - I tak chciałam tu wcześniej wpaść. Tyle że chciałam wpaść sama. - Sallah, z włosami na oczach, poczuła jak zmniejsza się napięcie emanujące z drugiej kobiety. Twarz Avril znów była urodziwa, choć wcześniej szpeciła ją frustracja. - Nie potrzebuję, żebyś płątała mi się nad głową. - Kobieta wyciągnęła rękę i odpowiednio pchnęła ciało Sallah, posyłając je w przeciwny kraniec kabiny, gdzie nieszkodliwie uderzyło o ścianę i zawisło w powietrzu. - No, to zabierzmy się do pracy.

Sallah nie wiedziała, jak długo wisiała w ten sposób. Zdołała pokręcić głową, by włosy odpłynęły na boki, ale nie odważyła się mocniej poruszyć - akcja wywoływała reakcję, a ona nie chciała ściągać na siebie uwagi. Dokuczało jej całe ciało, ale ból w stopie był prawie nie do zniesienia.

Z warg Avril wyrwała się seria niechętnych i oburzonych przekleństw.

- Pieprzone szczęście, żaden z programów nie działa. Nic nie działa.

Sallah miała tylko tyle czasu, by skulić głowę i uniknąć ciosu Avril. Uchroniła głowę, ale zaczęła wirować góra-dół, góra-dół, a Avril, śmiejąc się wesoło, pobudzała jeszcze ruch, póki Sallah nie zaczęła wymiotować.

- Ty suko! - Avril zatrzymała ją, zanim zdążyła posłać w powietrze więcej wymiocin. - Chcesz tego, to dobra. I powiesz mi to, co chcę wiedzieć, albo skroję cię po kawałku. - Astronaucki nóż, z wieloma ostrzami skrytymi w ręczce, przesunął się po czubku nosa Sallah. Następnie poczuła, jak zimna stal niezbyt delikatnie przecina więzy na jej rękach i nogach. Krew zaczęła płynąć w spragnionych żyłach, a napięte mięśnie zareagowały bólem. Gdyby nie brak grawitacji, na pewno by upadła. W tych warunkach zaczęła trząść się i płakać.

- Najpierw sprzątnij te rzygi - powiedziała Avril, wtykając jej słoik.

Sallah zrobiła, co jej kazano, wdzięczna za brak grawitacji, wdzięczna za uwolnienie, ale zastanawiając się, co mogłaby zrobić, żeby przejąć kontrolę. Miała jednak niewiele czasu, by cieszyć się wolnością, bo Avril знаła inne metody zapewnienia sobie współpracy więźniarki.

Zanim Sallah zdała sobie sprawę, co się dzieje, Avril przymocowała linę do jej zranionej stopy i skrzyła ją mocno. Ból, przesywający jak odłamek szkła, wystrzelił w górę nogi, docierając do krocza. Miała już w żołądku zbyt mało jedzenia, by ponownie je wyrzucić. Avril pociągnęła Sallah w stronę konsoli, pchnęła na fotel pilota i przypięła mocno,

pociągając jednocześnie za zaimprovizowaną smycz, by przypomnieć Sallah o jej bezradności.

- Dobra, sprawdź paliwo na pokładzie i zawartość zbiorników Yoko. Już to robiłam, znam odpowiedzi, więc nie próbuj żadnych sztuczek. - Groźbę poparło kolejne pociągnięcie za smycz. - Potem wprowadź program, który uwolni mnie z tego cholernego zadupia wewnętrznego układu.

Sallah zrobiła, jak jej kazano, chociaż bolała ją głowa, a oczy co chwilę pokrywały się mgłą. Nie zdołała ukryć zaskoczenia na widok ilości paliwa na Mariposie.

- Tak, ktoś je przetrzymywał. Ty? - Szarpnięcie za linę.

- Kenjo, jak sądzę - odparła Sallah zimno, tłumiąc krzyk. Postanowiła nie dać Avril żadnej satysfakcji.

- Sztwytniak Fusi? Tak, to by się zgadzało. Sądziłam, że poddał się zbyt pokornie. Gdzie je schował? - Lina naprężyła się. Sallah musiała mocno zagryźć wargi.

- Pewnie na swojej farmie. To kawał drogi. Nikt tam nie bywa. Mógł ukryć wszystko.

Avril prychnęła i zamilkła. Sallah zmusiła się do głębszego oddechu, do rozprowadzenia po organizmie więcej adrenaliny, by walczyła z bólem, zmęczeniem i strachem.

- W porządku, oblicz mi kurs do... - Avril zerknęła do notatnika. - Tutaj.

Sallah rozpoznała liczby tylko dlatego, że wcześniej знаła te koordynaty. Avril chciała lecieć do najbliższego im systemu, który, chociaż nie zamieszkaany, znajdował się bliżej zasiedlonych sektorów kosmosu. Kurs pochłonięłyby całe paliwo na Mariposie do ostatniej kropli, nawet gdyby Avril opróżniła również zbiorniki na Yoko. Sallah nie czerpała żadnej pociechy z myśli, że mały stateczek mógłby całymi wiekami dryfować w przestrzeni z Avril bezpieczną i zrelaksowaną w hibernatorze. Chyba że Ongola zrobił coś z hibernatorami. Podobał jej się ten pomysł. Ale znała Ongolę zbyt dobrze, by podejrzewać go o taką zapobiegliwość.

Na nieszczęście wszystkie galaktyki potrafiły się urządzić w każdym czasie i kulturze. Gdyby więc Avril zapadła w głęboki sen, w końcu ktoś, czy też coś, uratowałoby ją i Mariposę. Sallah nie musiała niczego oglądać, by wiedzieć, że Avril ma na pokładzie olbrzymi majątek w klejnotach i cennych metalach. Nikt nie miał wątpliwości, dlaczego Avril wybrała sobie działkę na Wielkiej Wyspie, ale nikogo to nie obchodziło. Nie spodziewano się, że kobieta jest na tyle szalona, by próbować opuścić Pern, szczególnie w momencie gdy planecie zagrażało niebezpieczeństwo.

Sallah, zastanawiając się, dlaczego Avril, bądź co bądź astrologator, nie potrafiła sama obliczyć tak prostego kursu, spełniła jej polecenie. Miała więcej doświadczenia w obsłudze Mariposy. Ale program nie został przyjęty. BŁĄD 259 W LINII 57465534511, brzmiała informacja.

Avril mocno szarpnęła za linę, a Sallah syknęła, gdy palący, paralizujący ból przeszył jej stopę.

- Spróbuj jeszcze raz. Jest więcej niż jedna metoda wprowadzania kursu.

Sallah usłuchała.

- Będę musiała obejść istniejące parametry.

- Zresetuj sobie cały cholerny system, ale wprowadź kurs - powiedziała Avril.

Gdy Sallah zabrała się do bardziej pracochłonnych zmian w centrum sterującym komputera kursowego gju, spostrzegła, jak Avril ze stojaka przy hełmie zdejmując długi, wąski cylinder. Bawiła się nim, pogwizdując pod nosem, najwyraźniej całkowicie z siebie zadowolona.

Kiedy Sallah ostatecznie wcisnęła "return", zdała sobie sprawę, że Avril intensywnie wpatruje się w migoczącą konsolę. Odważyła się zerknąć, co ją tak zainteresowało. Była to kapsuła ratunkowa. Nie powrotna, te były dłuższe i grubsze, ale coś bardziej przypominającego standardowy nadajnik awaryjny. Nagle zrozumiała plan Avril.

Kobieta zabierze Mariposę tak daleko od systemu Rukbat, jak to tylko możliwe, po czym

skieruje sygnał niebezpieczeństwa na szlaki żeglugowe. Każdy system planetarny związany z Federacją Planet Rozumnych, a nawet kilka nie związanych form życia, śledziły sygnały wzywania pomocy aż do ich źródła. Takie przyrządy, automatycznie uwalniane po zniszczeniu statku, często znajdowane były przez tych, którzy szukali zysku pośród unoszących się w przestrzeni szczątków.

Plan Avril nie był tak szalony, na jaki wyglądał. Sallah poczuła pewność, że Stev Kimmer chciał lecieć z nią i wykorzystać nadajnik awaryjny, który dla niej sporządził.

Na ekranie rozbłysły słowa. BRAK DOSTĘPU BEZ STANDARDOWEGO FCP/120/GM.

- Cholera! Tyle samo i ja mogłam wyciągnąć. Spróbuj znowu, Telgar. - Avril przycisnęła stopę Sallah do podstawy modułu konsoli, zwiększając ból do punktu, w którym kobieta zaczęła tracić przytomność. Avril boleśnie uszczypnęła ją w lewą pierś. - Tylko mi tu nie zemdlej!

- Posłuchaj - zaczęła Sallah, głosem bardziej drżącym, niżby chciała. - Próbowałam dwa razy i ty też próbowałeś. Starłam się obejść procedury sprawdzające, jak mnie uczono. Ktoś cię uprzedził, Bitra. Otwórz ten panel, a powiem ci, czy nasze wysiłki nie idą na marne. - Drżała nie tylko z bólu, ale też z wysiłku, żeby nie ulżyć pęcherzowi. Ale nie odważyła się poprosić nawet o tę łaskę.

Przeklinając, z twarzą wykrzywioną frustracją i wściekłością, Avril zrećnie zdjęła panel, kopiąc przy tym konsolę. Sallah pochylała się tak daleko, na ile pozwalały jej więzy, mając nadzieję, że uniknie nieopanowanych ciosów.

- Jak oni to zrobili? Mów, co wyjęli, Telgar, albo zacznę cię ciąć na kawałki. - Avril położyła lewą dłoń Sallah na odsłoniętych chipach i nożem przecięła mały palec aż do kości. Ból i szok wstrząsnęły ciałem Sallah. - Ten ci jest najmniej potrzebny.

- Krew wisi w powietrzu tak jak wymiociny i uryna, Bitra. Jeśli nie przestaniesz, zaraz będziesz miała tu obie te rzeczy.

Zwarły się spojrzeniami, w walce na siłę woli.

- Co... oni... usunęli? - Z każdym słowem Avril wzmacniała nacisk na mały palec. Sallah wrzasnęła. Dobrze było krzyczeć, a poza tym wiedziała, że to utrwali jej wizerunek w umyśle Avril: miękka. Sallah przez całe życie nie czuła się twardsza.

- Chip sterowniczy. Nigdzie nie polecisz.

Ostrze zeszło z palca. Zafascynowana Sallah patrzyła na krople krwi, formujące się i unoszące w powietrze. Widok ten odwrócił jej uwagę od klątw Avril, póki kobieta nie szarpnęła jej za ramię.

- Czy wszystkie zapasowe części są na planecie? Yoko jest pusta?

Sallah zmusiła się do oderwania uwagi od krwi i bólu. Przestała myśleć o czymkolwiek poza sprawą najistotniejszą: jak przechytrzyć Avril.

- Moim zdaniem w głównym systemie zostało wystarczająco dużo chipów sterowniczych.

- Lepiej żeby tak było. - Avril przeciągnęła nożem po sznurze, który przywiązywał Sallah do fotela pilota. - W porządku. Ubieramy się i idziemy na mostek.

- Najpierw muszę iść na dziób - odparła Sallah. Pokazała na swoją rękę. - I zająć się tym. Nie chcesz chyba mieć krwi na chipach, prawda? - Pozwoliła sobie na wrzask bólu, gdy poczuła szarpnięcie za stopę. Uznała, że dobrze odegrała akt swojego poddania. Avril spodziewała się natychmiastowej kapitulacji. - I potrzebny mi drugi but.

Wreszcie Sallah mogła w miarę obojętnie obejrzeć własną stopę. Brakowało połowy pięty, a kałuża krwi kołysała się powoli w tył i w przód, poruszona kopniakami Avril.

- Czekaj! - Avril także zauważyła krew. Podeszła do szafek przy włączniku i wróciła ze skafandrem i brudnym ręcznikiem. - Masz! Ubierz się!

Sallah obwiązała palec najmniej zabrudzonym kawałkiem szmaty, a resztą opatrzyła stopę. Bardzo bolało. Uzyskała pozwolenie na skorzystanie z kingstona. Avril przyglądała się, robiąc złośliwe uwagi na temat zmian, jakie macierzyństwo wywoływało w budowie kobiety.

Sallah udawała, że czuje się bardziej upokorzona, niż była naprawdę. W ten sposób Avril mogła odczuć swoją wyższość. A im wyżej się wejdzie, tym bardziej bolesny upadek, pomyślała Sallah ponuro. Z trudem wbiła się w skafander.

- Opuściła gig, admirał - powiedział nagle Ezra w pełnej napięcia ciszy, jaka panowała w zatłoczonym pokoju. Wezwano już Tarwiego. Po jego twarzy cicho spływały łzy. - Przeszła przez sensory w luku dekującym. Nie - poprawił się. - Sensory wyczuły dwa ciała. - Tarvi załkał, ale nic nie powiedział.

Kawałek po kawałku rozwiązano zagadkę zniknięcia Sallah i pojawienia się Avril Bitry.

Jeden z techników, pracujących przy rozładowaniu ślizgacza, który stał najbliżej pojazdu Sallah, przypomniał sobie, jak kobieta porzuciła swoje zajęcie i odeszła w stronę góry złomu na skraju pasa. Zauważył także Kenjo i Ongolę, idących do Mariposy. Nie widział w pobliżu nikogo innego. Wkrótce potem Mañposa wystartowała.

Gdy zabrano się do szukania, szybko znaleziono ślizgacz Avril. Nie miał żadnych modyfikacji charakterystycznych dla innych pernijskich pojazdów; zaparkowany był na skraju pasa, pośród innych maszyn wezwanych do walki z Nićmi. Do identyfikacji wezwano Steva Kimmera. Avril usunęła wszystkie oznaki swojej bytności, chociaż Stev zwrócił uwagę na zadrapania, których wcześniej nie widział. Kimmer zachował zdanie na temat swojej niegdysiejszej partnerki dla siebie, ale minę miał wystarczająco ponurą, by Paul i Emily nabrali podejrzeń, że został wyrolowany. Na moment się zawahał. Potem, wzruszywszy ramionami, odpowiedział na wszystkie pytania.

- Nigdzie nie doleci - powiedziała Emily, usiłując nie tracić optymizmu.

- Nie, nie doleci. - Paul spojrzał na chip sterowniczy, nie ośmielając się patrzeć w kierunku Tarwiego.

- Czy nie mogłaby zastąpić go którymś z podobnych chipów z mostka? - zapytał Tarvi. Twarz miał w dziwnym odcieniu, wargi suche, a z załzawionych oczu wyzierał ból.

- Nie ten rozmiar - odparł Ezra z nieskończonym smutkiem. - Mariposa była bardziej nowoczesna, wykorzystywała mniejsze, bardziej wyrafinowane kryształy.

- Poza tym - dodał Paul - chip, którego naprawdę jej brakuje, to ten, który Ongola zastąpił atrapą. Och, prawdopodobnie uda jej się ustawić kurs i będzie jej się wydawać, że został przyjęty. Statek wycofa się z doku, ale w momencie gdy odpali silniki, będzie mogła lecieć tylko przed siebie.

- Ale Sallah! - zawołał Tarvi udreńczonym głosem. - Co się stanie z moją żoną?

Sallah odczekała, póki Avril nie wycofała Mariposy z doku, oddryfowała od kadłuba Yokohamy i odpaliła silniki, po czym włączyła interkom. Avril poniszczyła obwody na mostku, ale zapomniała o ręcznym sterowaniu przy stanowisku admirała. Gdy tylko opuściła mostek, Sallah zabrała się do dzieła.

- Yokohama do Ładowiska. Odezwij się, Ezra. Musisz tam być!

- Keroon po tej stronie, Telgar! Jaką masz pozycję?

- Siedzącą - odparła Sallah.

- Do diabła, Telgar, nie staraj się dowcipkować w takiej chwili - zawołał Ezra.

- Przepraszam - odparła Sallah. - Nie mam tu ekranów. - Nie była to prawda, po prostu nie chciała, żeby ktoś zobaczył, w jakim jest stanie. - Mam dostęp do garażu sond. Nie ma danych o żadnym uszkodzeniu. Zostały trzy próbniki. Jak mam je zaprogramować?

- Cholera, dziewczyno, nie mów teraz o sondach! Jak mamy cię ściągnąć?

- Nie sądzę, żeby to było możliwe - odparła pogodnie. - Tarvi?

- Sal-lah! - Te dwie sylaby wypowiedziano takim tonem, że serce podeszło jej do gardła, a łzy napłynęły do oczu. Dlaczego nigdy przedtem nie wymawiał jej imienia w ten sposób? Czyżby to oznaczało tak długo wyczekiwane wyznanie miłości? Udręka w jego głosie ujawniała

umęczonego i nieszczęśliwego ducha.

- Tarvi, kochany. - Zdołała mówić spokojnie, chociaż gardło jej się ścisnęło. - Tarvi, kto jest tam z tobą?

- Paul, Emily i Ezra - odparł urywaniem. - Sallah! Musisz wrócić!

- Na skrzydłach modlitwy? Nie. Idź do Gary! Wyjdź z pokoju. Mam tu jeszcze coś do załatwienia. Coś dla Pernu. Paul, każ mu wyjść. Nie mogę się skupić, kiedy wiem, że on słucha.

- Sallah! - Jej imię odbiło się w uszach wielokrotnym echem.

- Dobrze, Ezra. Powiedz, gdzie chcesz je mieć.

Usłyszała dziwny dźwięk, jak gdyby krztuszenia się czy odchrząknięcia.

- Jedną na samą planetkę, drugą na jej orbicie. - Ezra ponownie odchrząknął. - Ostatnia niech polecą wzdłuż spiralnej krzywizny tego mgławicopodobnego pyłu. Jeżeli duży optoskop działa, chciałbym mieć cały czas obraz tego, co się dzieje. Nie możemy obserwować na teleskopie, który tu mamy. Nie jest wystarczająco mocny dla tej dokładności, jakiej potrzebujemy. Nigdy nie sądziłem, że będziemy potrzebować większego, więc nie kazałem rozmontować optoskopu. - Bredzi, żeby się opanować, pomyślała Sallah tkliwie. Czy w tle rozmowy słyszała czyjś płacz? Z pewnością gubernator Boli albo admirał byli na tyle uprzejmi, żeby wyprowadzić Tarviego z pokoju.

Musiała się skoncentrować na informacjach, które podawał jej Ezra, żeby poprawnie zaprogramować punkt przeznaczenia i cele dla każdej sondy.

- Sondy odpalone - powiedziała, przypominając sobie, kiedy ostatnio składała ten meldunek. Na dużym ekranie widziała Pern; nigdy nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś obejrzy z kosmosu świat, który stał się jej domem. - Teraz wysyłam dane do rozszyfrowania przez Dietera. Avril mówiła, że zabiła Ongolę i Kenjo. Czy to prawda?

- Kenjo, tak. Ongola się wylizę.

- Starzy żołnierze nie umierają tak łatwo. Posłuchaj, Ezra, wysyłam teraz Dieterowi notatki, jakie zebrałam na temat dostępnego paliwa. Ongola będzie wiedział, o co mi chodzi. Poza tym ustawiłam kurs dla Avril. Odleciała we właściwym kierunku, ale w systemie sterowania widziałam bardzo dziwny chip, jakiego nigdy nie spostrzegłam na Mariposie, kiedy na niej latałam. Mam rację? Ona nigdzie nie doleci?

- Gdy tylko włączysz silniki, będzie mogła już lecieć tylko prosto.

- Bardzo dobrze - stwierdziła Sallah czując niewiarygodną satysfakcję. - Prosta i wąska ścieżka dla naszej drogowej przyjaciółki. Teraz uruchamiam duży optoskop. Zaprogramuję go, żeby przekazywał wam dane przez interfejs. W porządku.

- Proszę osobiście przekazywać odczyty, pilocie Telgar - rozkazał Ezra szorstko.

- To raczej niemożliwe, kapitanie - powiedziała, z ulgą stosując bezosobowy zwrot. Wyobraziła sobie szczupłą postać Ezry Keroona pochyloną nad interfejsem. - Nie mam już wiele czasu. Tylko trochę tlenu w butlach. Były pełne, kiedy Avril pozwoliła mi je włożyć, ale powiedziała, że wyłącza niezależny system mostka. Nie mam powodu, by wątpić w jej słowa. Dlatego właśnie przełączam na wasz czytywanie danych z optoskopu. Rękawice skafandra są wygodne, ale nie pozwalają na precyzyjne manipulacje. Udało mi się naprawić trochę szkód, jakie Avril porobiła na konsoli. Przynajmniej z grubsza, więc... kiedy ktoś będzie miał okazję tu przylecieć, prawie wszystko powinno działać.

- Ile masz czasu, Sallah?

- Nie wiem. - Czują, jak krew w wielkim bucie dochodzi jej już do łydki, a lewa rękawica była pełna. Ile jej mieści się w człowieku? Robiło jej się też słabo i spostrzegła, że ma trudności z oddychaniem. Wszystko się sypało. Żałowała, że nie zdążyła lepiej poznać Cary.

- Sallah? - Ezra mówił bardzo łagodnie. - Porozmawiaj z Tarvim. Nie możemy go utrzymać na zewnątrz. Zachowuje się jak szaleniec. Chce tylko z tobą pogadać.

- Och, pewnie, świetnie. Chętnie z nim pomówię - odparła, a jej głos brzmiał śmiesznie nawet

we własnych uszach.

- Sallah! - Tarvi zdołał się jakoś opanować. - Wyoście się stąd, wszyscy! Teraz jest moja. Sallah, klejnocie moich nocy, moja złota, moja szmaragdowooka rani, dlaczego nigdy wcześniej nie mówiłem ci, ile dla mnie znaczysz? Byłem zbyt dumny. Byłem zbyt próżny. Ale nauczyłaś mnie kochać, nauczyłaś mnie tego przez swoje poświęcenie, kiedy byłem zbyt pochłonięty moją drugą miłością, moją pracą, by dostrzec bezcenny dar twojego uczucia i łagodności. Jak mogłem być tak głupi? Dlaczego widziałem w tobie jedynie ciało, które wchłonie moje nasienie, uszy, które wysłuchają moich ambicji, ręce, które... Sallah? Sallah! Odpowiedz mi, Sallah!

- Ty... mnie... kochałeś?

- Wciąż cię kocham, Sallah. Naprawdę! Sallah? Sallah! Sallaaaaah!

- I co o tym myślisz, Dieter? - zapytał Paul programisty, kiedy ten obejrzał liczby przekazane im przez Ezrę.

- Cóż, pierwsza linijka oznacza ponad dwa tysiące litrów paliwa. Druga stanowi przybliżone oszacowanie ilości, jaką Kenjo wykorzystał podczas swoich czterech misji plus to, co Mariposa zużyła dzisiaj. Gdzieś tu na powierzchni została dość znaczna ilość paliwa. Trzecia linijka to najwyraźniej zawartość zbiorników Yoko, teraz znajdująca się na Mariposie. Chciałbym jednak zaznaczyć, tak jak to uczyniła Sallah, że w zbiorniku ściekowym Yoko zostało wystarczająco na całe wieki drobnych poprawek orbity.

Paul obcesowo skinął głową.

- Mów dalej.

- Ta linijka oznacza kurs, jaki Bitra usiłowała ustawić. Pierwsza poprawka kursu powinna była już nastąpić. - Dieter zmarszczył brwi, patrząc na równania na monitorze. - Teraz wali prosto na naszą niewspółśrodkową planetkę. Może dowiemy się trochę szybciej, co znajduje się na jej powierzchni.

- Nie sądzę, żeby Avril zechciała trwać na posterunku i przekazywać nam użyteczne informacje jak... jak Sallah. - Dieter podniósł wzrok, zaskoczony ostrym tonem admirała. - Przepraszam. Masz rację. A jeśli coś pójdzie nie tak... - Paul nie dokończył. Poprowadził Dietera korytarzem w stronę pokoju z interfejsem.

Emily wyprowadziła Tarwiego, żeby pocieszyć go choć trochę, więc Ezra rządził się sam. Wyglądał tak staro, jak czuł się Paul po wyczerpujących emocjach tego dnia.

- Coś mówiła?

- Nic, co dałoby się powtórzyć w cywilizowanym towarzystwie - odparł Ezra z prychnięciem.

- Właśnie odkryła, że nie nastąpiła pierwsza poprawka kursu. - Podkreślił głośność, tak że głuchy warkot wymyślnych przekleństw stał się wyraźnie słyszalny.

Paul uśmiechnął się złośliwie do Dietera.

- Miałaś rację. - Włączył mikrofon.

- Avril, słyszysz mnie?

- Benden! Co, do cholery, zrobiła ta twoja suka? Jak ona to zrobiła? Ręczny ster nie działa. Nie mogę nawet manewrować. Wiedziała, że powinnam odpiłować jej stopę.

Ezra zbladł, a Dieter wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze, ale Paul tylko uśmiechnął się mściwie. A więc Avril nie doceniła Sallah. Poczul dumę na myśl o dzielnej kobiecie.

- Avril, kochanie, wkrótce zwiedzisz naszą plutoniczną planetkę. Może byłabyś tak miła i relacjonowała nam wszystko na bieżąco?

- Wsadź to sobie, Benden. Wiesz gdzie! Nic ze mnie nie wydostaniesz. O cholera! O cholera! To nie może być... choleeraaa!

Dźwięk ostatniego słowa został pochłonięty przez trzeszczący ryk. Ezra pospiesznie zredukował głośność.

- Cholera! - powtórzył Paul bardzo cicho. - To nie może być... co? Bądź przekłeta, Avril, na

wieczność! Co to nie może być?

Emily i Pierre, a także Ghio-Chio Yoritomo, która dzieliła z żoną Kenjo kabinę na Buenos Aires, a potem mieszkała wraz z nią w Sektorze Irlandzkim, polecili szybkim ślizgaczem do działki Honshu należącej do Kenjo. Chociaż większa część Lądowiska wiedziała o śmierci pilota i ciężkich obrażeniach Ongoli, nie ogłaszano sprawy publicznie. Krążyły już plotki dotyczące “nieznanego” napastnika.

Kiedy Emily wróciła tego samego wieczoru, przywiozła zapieczętowaną wiadomość dla admirała.

- Powiedziała nam - oznajmiła Emily sucho - że woli zostać na Honshu i pracować dla dobra czwórki swoich dzieci. Ma niewiele potrzeb i nie chce nam sprawiać kłopotów.

- Jest bardzo wierna tradycji - powiedziała admirałowi Chio-Chio, prawie bez tchu. - Nie okaże bólu, bo to umniejsza zmarłego. - Wzruszyła ramionami. Stała ze spuszczoneym wzrokiem, zaciskając i rozwierając pięści. Potem spojrzała w górę, prawie napastliwa w gniewie. - Zawsze taka była. Kenjo ożenił się z nią, bo wiedział, że nie będzie mu zadawać żadnych pytań. Mnie oświadczył się wcześniej, ale ja miałam więcej rozsądku, chociaż był przecież bohaterem wojennym. Och! - Podniosła ramię, żeby ukryć twarz. - Ale żeby umrzeć w ten sposób! Uderzony od tyłu. Niesławna śmierć dla kogoś, kto wymykał jej się tak często! - Odwróciła się i uciekła z pokoju, a jej łkanie wyraźnie dało się słyszeć, gdy biegła w noc.

Emily gestem kazała Paulowi otworzyć małą notatkę, porządnie zapieczętowaną woskiem, w którym odcisnięto jakiś znak. Admirał przełamał pieczęć i rozwinął piękny, gruby czerpany papier. Po chwili, zaskoczony, przekazał go Emily i Pierrowi.

- “Wycięto dwie jaskinie, sądząc z ilości zużytego paliwa i zostawionego gruzu. Jedna jaskinia mieściła samolot. Nie wiem, gdzie jest druga” - przeczytała Emily. - Czyli zdołał usunąć część paliwa? Jak dużo?

- Zobaczymy, może Ezzre uda się to ustalić. Albo Ongoli, kiedy wyzdrowieje. Pierre? - Paul poprosił kucharza o obietnicę milczenia.

- Oczywiście. Dyskrecja charakteryzuje moją rodzinę od pokoleń, admirał.

- Paul - poprawił go admirał.

- W takich sprawach, przyjacielu, jesteś jednak admirałem! - Pierre strzelił obcasami i skłonił się lekko w pasie, uśmiechając krzepiąco. - Emily, jesteś zmęczona. Musisz odpocząć. Paul, powiedz jej!

Paul położył jedną dłoń na barku Pierre’a de Courci, a drugą wziął Emily pod ramię.

- Mamy dziś jeszcze jeden obowiązek, Pierre, i sądzą, że będzie najlepiej, jeśli pozostaniecie z nami.

- Ognisko! - Emily wyzwoliła się z uchwytu Paula. - Nie jestem pewna, czy...

- A co możesz zrobić? - wtrącił Paul, kiedy przerwała. - Tarvi o to poprosił.

Cała trójka ruszyła z ociąganiem w stronę ciemnego Placu Ogniskowego, dołączając do grupki idącej w tym samym kierunku. W każdym domu pozostała jedna paląca się lampa. Nieliczne gwiazdy świeciły jaskrawo, a pierwszy księżyc, Timor, jako cieniutki sierp widniał nad wschodnim horyzontem.

Obok piramidy drewna i paproci stał Tarvi, z głową spuszczoną, wynędzniałą, niemal podobny do stosu gałęzi. Nagle, jak gdyby wiedząc, że przyszli już wszyscy, na których czekał, zapalił pochodnię. Rozbłysła płomieniem, oświetlając twarz wyniszczoną bólem. Splątane włosy zwisały na mokre od łez policzki.

Tarvi wysoko uniósł żagiew, obracając się powoli, jak gdyby chciał dobrze wbić sobie w pamięć twarze tych, którzy się pojawili.

- Od tej chwili - zawołał ochryple - nie nazywam się Tani ani Andiyar. Jestem Telgar, żeby jej imię wymawiano każdego dnia i zostało zapamiętane, gdyż dzisiaj oddała za nas życie. Nasze dzieci też będą nosić to nazwisko. Ram Telgar, Ben Telgar, Dena Telgar i Cara Telgar, która

nigdy nie pozna swojej matki. - Wziął głęboki oddech, wypełniając pierś. - Jak się nazywani?
- Telgar! - odparł Paul, najgłośniejszym jak potrafił.
- Telgar! - zawołała Emily tuż przy nim, a baryton Pierre'a powtórzył: - Telgar!
- Telgar! Telgar! Telgar! Telgar! Telgar! - Prawie trzy tysiące głosów podjęło okrzyk, póki Telgar nie wrzucił płonącej pochodni w ognisko. Gdy ogień zahuczał wśród suchego drewna i paproci, okrzyki przybrały na sile. - Telgar! Telgar! Telgar!

Rzdział VI

Szok spowodowany śmiercią Sallah Telgar odbił się echem na całym kontynencie. Była dobrze znana, zarówno jako pilot wahadłowca z czasów lądowania, jak i jako zdolna kierowniczką obozu Karachi. Jednak jej odwaga w nieoczekiwany sposób podniosła morale, zupełnie jakby Sallah, która oddała ostatnie chwile życia dla dobra kolonii, zmusiła wszystkich do cięższej pracy, aby stali się godni jej poświęcenia. Przynajmniej tak wydawało się przez następnych osiem dni, dopóki znowu nie zaczęły krążyć niepokojące plotki.

- Posłuchaj, Paul - zaczął Joel Lilienkamp, zanim jeszcze zdążył zamknąć za sobą drzwi. - Każdy ma dostęp do składów. Ale Ted Tubberman pobiera przedmioty niezwykle jak na botanika.

- Tylko nie znowu Tubberman - powiedział Paul, opierając się o krzesło z głębokim westchnieniem zdegustowania. Tarv... Telgar, poprawił się w myśli Paul, zadzwonił poprzedniego dnia pytając, czy Tubberman został upoważniony do wynoszenia części ze ślizgacza, który właśnie rozbierali.

- Tak - odparł Joel. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to on się dopiero rozkręca. Wiem, że masz sporo roboty, Paul, ale musisz wiedzieć, co ten dureń wyprawia. Postawię ostatnią butelkę brandy, że coś knuje.

- Na prośbę Wind Blossom Pol zabronił mu wstępu do laboratoriów biologicznych - powiedział Paul ze zmęczeniem. - Zachowywał się tak, jakby to on przewodził zespołowi bioinżynieryjnemu. Bay także za nim nie przepada.

- Nie jest w tym osamotniona - stwierdził Joel, osuwając się na krzesło i trąc twarz. - Chciałbym uzyskać twoje zezwolenie na zamknięcie przed nim również drzwi składów. Przyłapałem go w Budynku G, który mieści różne technicznie wrażliwe przedmioty. Nie chcę, żeby ktokolwiek tam wchodził bez mojego pozwolenia. A on wlaź, nie kryjąc się zupełnie, bezczelnie myszkując po półkach, jak gdyby miał do tego wszelkie prawa. On i Bart Lemos.

- Bart Lemos! - Paul wyprostował się znowu.

- Tak. On, Bart i Stev Kimmer zachowują się jak starzy, dobrzy kumple. Moi informatorzy mówią, że tych trzech zyskuje coraz więcej popleczników, a to bardzo mi się nie podoba.

- Stev Kimmer jest z nimi? - Paul nie krył zaskoczenia. Joel wzruszył ramionami.

- Związał się dość mocno.

Paul w zamyśleniu potarł kłykcie. Bart Lemos to jedynie łatwowierny niedorajda, ale Stev Kimmer był bardzo utalentowanym technikiem. Admirał dyskretnie kontrolował jego zachowanie po odlocie Avril. Stev urządził sobie trzydniową pijatykę i znaleziono go śpiącego w rozmontowanym wahadłowcu. Gdy tylko otrząsnął się ze skutków quikalu, wrócił do pracy. Fulmar mówił, że inni technicy nie lubią z nim współpracować, gdyż jest małomówny, a poza tym zgryźliwy. Myśl, że Tubberman mógłby zdobyć dostęp do profesjonalnych umiejętności Kimmera, zaniepokoiła Paula.

- Co dokładnie usłyszałeś, Lili? - zapytał.

- Stek bzdur - odparł niewysoki mężczyzna, splatając palce na piersi. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek rozsądny kupował bajeczkę, że Avril i Kenjo działali w porozumieniu. Albo że

Ongola zabił Kenjo, aby powstrzymać ich przed zabraniem Mariposy i udaniem się po pomoc. Ale ostrzegam cię, Paul; jeśli bioinżynieryjny program Kitti nie da pozytywnych rezultatów, możemy znaleźć się w tarapatkach. Mogę się założyć, że ty i Emily zostaniecie poproszeni o wzięcie pod rozwagę wysłania kapsuły powrotnej.

Poprzedniego wieczoru Paul dyskutował na ten właśnie temat z Emily, Ezra i Jimem. Keroon był najbardziej zagorzałym przeciwnikiem wysyłania kapsuły z sygnałem Mayday, określając to jako działanie daremne. Jak zauważył Paul, podobna technologiczna pomoc mogła najwcześniej nadejść za dziesięć lat. A szansa, że FPR w miarę szybko coś przedsięwzięmie, była bardzo mała. Wysłanie prośby o pomoc oznaczało nie tylko odrzucenie poświęcenia Sallah, ale także tchórzowskie przyznanie się do niepowodzenia, w momencie gdy nie wyczerpali jeszcze pomysłowości i zasobów kolonii.

- Jakiego rodzaju materiały rekwirował Ted, Lili? - zapytał Paul.

Joel wyciągnął z kieszeni zwitek papieru, pieczołowicie rozprostował go i przeczytał na głos.

- Różne przedmioty od naczyń do hodowli hydroponicznych do materiałów izolacyjnych, stalowe siatki i paliki, a także komputerowe chipy, których, jak mówi Dieter, ani nie potrzebuje, ani nie wykorzysta, ani nie zrozumie.

- Czy zapytałeś może Teda, po co mu to wszystko?

- Owszem, zapytałem. Zachował się trochę arogancko. Powiedział, że jest mu potrzebne do eksperymentów - Joel najwyraźniej powątpiewał w ich wartość - które mają na celu wytyczenie bardziej efektywnej obrony przeciwko Niciom, póki nie nadejdzie pomoc.

Paul się skrzywił. Słyszał już przechwałki botanika, że to właśnie on, a nie biologowie i ich przeceniane zmutowane jaszczurki, ochroni Pern.

- Nie podoba mi się ten kawałek "póki nie nadejdzie pomoc" - mruknął Paul, zgrzytając zębami.

- No to pozwól mi go odciąć, Paul. Możliwe, że jest założycielem, ale wyczerpał, a nawet przekroczył już swój kredyt. - Pomachał papierem. - Mam tu dowód.

Paul skinął głową.

- Dobrze, ale następnym razem kiedy przyjdzie z listą, najpierw daj mu, co chce, a potem zamknij drzwi. Chcę wiedzieć, do czego zmierza.

- Każ mu się trzymać własnej ziemi - powiedział Joel wstając, a na jego okrągłej twarzy malował się wyraz autentycznej troski. - Oszczędzisz nam wszystkim wielu kłopotów. Ted jest nieobliczalny; nie można przewidzieć, z czym jeszcze wyskoczy.

Paul uśmiechnął się do niego.

- Bardzo bym chciał, Lili, ale mój mandat nie zezwala na podobne działania.

Joel prychnął pogardliwie, zawahał się na moment, po czym, wzruszając ramionami w swój własny, nie do podrobienia sposób, opuścił biuro.

Paul nie zapomniał o tej rozmowie, ale rano przyniósł jeszcze większe troski. Pomimo wysiłków Fulmara i zespołu inżynierów trzy dodatkowe slizgacze nie uzyskały świadectwa zdatności do lotu. To oznaczało zwiększenie ekip naziemnych, ostatniej linii obrony, najbardziej wyczerpującej ludzi, którzy i tak pracowali do granic wytrzymałości. Ani Paul, ani Emily nie docenili powagi trzech różnych raportów: jednego z laboratoriów weterynaryjnych, donoszącego, że w nocy nastąpiło włamanie do ich magazynów, drugiego od Pola Nietro, mówiącego, że w budynku bioinżynieryjnym widziano Teda Tubbermana, oraz trzeciego, od Fulmara, który informował, że ktoś skradł jedną z pustych butli z rozmontowanego wahadłowca.

Kiedy na interkomie zgłosił się zagniewany Joel Lilienkamp, Paul nie miał kłopotu z wyciągnięciem odpowiedniego wniosku.

- Oby wnętrzności mu zakrzepły, a członki odpadły! - wrzasnął Joel najgłośniej, jak potrafił. - Ma kapsułę powrotną.

Szok wyrzucił Paula z krzesła. Emily i Ezra byli zaskoczeni.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien, Paul. Ukryłem karton między blaszanymi rurami i urządzeniami grzewczymi. Nikt go nie przestawiał, ale kto, u diabła, mógł wiedzieć, że w pudle 45/879 znajdowała się kapsuła powrotna?

- Tubberman ją wziął?

- Założę się o ostatnią butelkę brandy, że to on! - Joel mówił tak szybko, że jego słowa się zlewały. - Co za skurwiel! Obrzydliwy srakojad, oślizgły roba!

- Kiedy odkryłeś, że jej nie ma?

- Teraz! Dzwonię właśnie z Budynku G. Robię w nim kontrolę przynajmniej raz dziennie!

- Czy Tubberman mógł iść za tobą?

- Masz mnie za półgłówka? - Joel na samo przypuszczenie niemalże padł z apopleksji, podobnie jak wcześniej na myśl o kradzieży. - Codziennie sprawdzam każdy budynek i mogę ci dokładnie powiedzieć, co zostało zarekwirowane wczoraj i przedwczoraj. Wiem, kurwa, dobrze, kiedy czegoś brakuje!

- Nie wątpiłem w to ani przez moment, Joel. - Paul mocno potarł dłonią usta, myśląc szybko. Nagle zobaczył niepokój na twarzach Emily i Ezry. - Poczekaj chwileczkę - powiedział do mikrofonu i powtórzył, co usłyszał od Joela.

- No, cóż - odparł Ezra, a na jego wychudzonej twarzy pojawiła się niezmierna ulga. - Tubberman nie zdoła odpalić kapsuły. Ledwo potrafi manewrować ślizgaczem. Nie martwiłbym się nim.

- Nim nie. Ale niepokoi mnie, że ostatnio w jego towarzystwie widywano Steva Kimmera i Barta Lemosę - powiedział Paul cicho. Z Ezry jakby uszło powietrze. Ukrył twarz w dłoniach.

- No to Ted Tubberman się dograł - stwierdziła Emily, starannie odkładając na stół teczkę papierów, które właśnie studiowała. Wstała z krzesła. - Nie dałabym zużytego chipu za jego pozycję założyciela oraz prywatność jego działki. Przeszukamy Calusę. - Szturchnęła Ezrę w ramię. - Chodź, będziesz wiedział, jakich części by potrzebował.

Wszyscy usłyszeli tupot nóg, po czym drzwi otworzyły się gwałtownie i do biura wpadł Jake Chernoff.

- Bardzo przepraszam, admirale - wydyszał młody człowiek. Twarz miał czerwoną, a pierś poruszała się ze zmęczenia. - Pański telefon... - Podekscytowany wskazał słuchawkę w rękę Paula. - To zbyt ważne. Skanery w meteo... coś wystartowało z Lądowiska Oslo trzy minuty temu, i nie był to ślizgacz. Zbyt małe.

Paul, Emily i Ezra jednomyślnie rzucili się do drzwi i pobiegli w stronę komory interfejsu. Palce Ezry zamigotały nad terminalem w pośpiesznej próbie uruchomienia programu. Smuga kondensacyjna była wyraźnie widoczna; ciągnęła się na północny zachód. Ezra, klnąc pod nosem, przełączył na monitor Yoko, który przekazywał obraz z optoskopu. Patrzyli przez dłuższą chwilę, drżąc z gniewu i zawodu. W końcu wysoka postać Ezry wyprostowała się, ręce zwiśły bezwładnie.

- Cóż, co się stało, to się nie odstanie.

- Niezupełnie - odparła Emily ochryple, cedząc przez zęby poszczególne sylaby. Odwróciła się do Paula z błyszczącymi oczami, wydętymi wargami i nieubłaganym wyrazem na twarzy.

- Lądowisko Oslo, tak? Kapsuła została dopiero odpalona. Chodźmy, by dorwać tych drani.

Pozostawiwszy Ezrę, który kontrolował wznoszenie kapsuły, Paul i Emily wybiegli z pokoju. Pierwszym trzem silnym mężczyznom, jakich spotkali po drodze na pas, kazali sobie towarzyszyć. Paul spostrzegł Fulmara i powiedział mu, żeby poprowadził ulepszony ślizgacz Kenjo.

- Żadnych pytań, Fulmar - rzucił Paul, apodyktycznie kiwając palcem na dwóch krzepkich techników. - Leć tylko w stronę Jordanu, a wszyscy miejcie oczy otwarte na inne ślizgacze. - Sięgnął po interkom, wpasowując się jednocześnie w uprząż. - Kto jest na wieży? Tarrie? Chcę wiedzieć, kto jest w powietrzu nad rzeką, dokąd leci i gdzie był.

Fulmar ostro poderwał maszynę do góry, tak że przez moment hałas zagłuszył odpowiedź Tarrie Chernoff.

- Nad Jordanem jest tylko jeden ślizgacz, admirale, nie licząc... tego drugiego. - Kobieta zakrzuszyła się, dopiero po chwili odzyskując bezosobową rezerwę oficera łącznościowego. - Ślizgacz się nie zgłasza.

- Jeszcze się zgłosi - zapewnił ją Paul złowrogo. - Monitoruj cały ruch w tamtej okolicy.

Tubberman był na tyle głupi, że nawet się nie krył, ale Paul nie sądził, aby podobna głupota cechowała Steva Kimmera, czy kogokolwiek innego. Ted zdołał namówić do tak ewidentnego złamania demokratycznych postanowień kolonii.

W ślizgaczu, który Fulmar zmusił do wylądowania na spustoszonej, nadrzecznej równinie, stanowiącej pozostałość po farmie Bawaria, Tubberman był sam. Spojrzał na nich bez śladu skruchy, krzyżując ręce na piersi i prowokująco wysuwając podbródek.

- Zrobiłem to, co trzeba - oznajmił pompatycznym tonem jedyne go sprawiedliwego. - Pierwszy krok do uratowania kolonii przed anihilacją.

Paul zacisnął dłonie w pięści. Obok niego Emily aż dygotała z równie niepokonanej furii.

- Nazwiska twoich sprzymierzeńców, Tubberman - warknął Paul przez zęby. - Natychmiast! Tubberman nabrał powietrza, przeżąc pierś.

- Rób, co chcesz, admirale. Potrafię to wytrzymać.

Jego heroizm był tak absurdalny, że jeden z mężczyzn stojących za Pauliem parsknął niepowstrzymanym śmiechem, ale szybko się opanował. Jednak ten jeden wybuch wesołości wystarczył, by zmienić nastrój Paula.

- Tubberman, nie pozwolilibym, żeby ci włos spadł z głowy - powiedział admirał z uśmiechem, czując, jak uchodzi z niego napięcie. - W umowie określono kilka sposobów radzenia sobie z takimi jak ty, bez uciekania się do czegoś tak prostackiego i barbarzyńskiego jak nacisk fizyczny. - Odwrócił się. - Zabierzcie go do Lądowiska w jego ślizgaczu. Umieście go w moim biurze i przywołajcie Joela Lilienkampa. On zajmie się więźniem. - Paul z satysfakcją spostrzegł, jak męczeński wyraz znika z oczu Tubbermana, a zastępuje go mieszanka niepokoju i zaskoczenia. Obróciwszy się na pięcie, Paul gestem kazał Emily, Fulmarowi i pozostałym zająć miejsca w ślizgaczu.

Tarrie zaraportowała, że w tej okolicy nie było innych pojazdów, i przeprosiła, że nie prowadzi się już badań natężenia ruchu.

- Nie licząc tej... rakiety nic nie odbiegało od normy. Aha, wrócił Jack. Pan chciał z nim rozmawiać?

- Tak - odparł Paul żałując, że Ongola nie mógł jeszcze podjąć swoich obowiązków. - Jake, chcę wiedzieć, gdzie są Bart Lemos i Stev Kimmer. A także Nabhi Nabol. - Siedząca obok Emily skinęła głową na znak aprobaty.

W tym czasie Fulmar zdążył pokonać krótki dystans między Bawiarią a Lądowiskiem Oslo. Szczątki wyrzutni jeszcze dymiły. Kiedy Paul z towarzyszami poszedł obejrzeć teren, szukając śladów płóz ślizgaczy, Fulmar ostrożnie rozgrzebał wypalony okrąg, pociągając nosem.

- Paliwo z wahadłowców, sądząc z zapachu, Paul - oznajmił. - Kapsule powrotnej nie potrzeba wiele.

- Potrzeba jej wiedzy - odparł Paul ponuro. - I fachowości, a obaj wiemy, ilu ludzi zna się na tego typu technologii. - Spojrzał Fulmarowi prosto w oczy. Mężczyzna skulił ramiona. - To nie twoja wina, Fulmar. Odebrałem twój raport. Inne też. Po prostu nie umiałem poskładać tego do kupy.

- Kto by pomyślał, że Ted przeprowadzi tak szaloną akcję? Nikt nie wierzy nawet w połowę tego, co on opowiada! - zaprotestował Fulmar.

W tym momencie wróciła Emily wraz z pozostałymi uczestnikami wyprawy.

- Znaleźliśmy dużo śladów ślizgaczy, Paul - oznajmiła. - I pełno śmieci. - Wskazała

zgniecioną torbę po paliwie oraz garść łączników i przewodów. Wyraz przygnębienia na twarzy Fulmara stał się jeszcze bardziej wyraźny.

- Marnujemy tu tylko czas - powiedział Paul, tłumiąc irytację.

- Niech Cherry i Cabot poczekają w moim biurze - mruknęła Emily, wspinając się do ślizgacza.

- Jest dumny z tego, co zrobił - pieklił się Joel, kiedy Paul i Emily po powrocie wezwali go do biura Emily. - Mówi, że spełnił swój obowiązek, by uratować kolonię. Twierdzi, że będziemy zdumieni, kiedy zobaczymy, ilu ludzi się z nim zgadza.

- To on będzie zaskoczony - odparła Emily. Wysunęła stanowczo szczękę, a wargi wygięła w dziwnym uśmiechu, z którym nie korespondowały zmęczone oczy.

- Owszem, Em, ale co możemy mu zrobić? - zapytał Joel w bezsilnym gniewie.

Emily nalala sobie nową filiżankę klanu i pociągnęła łyk, zanim zdecydowała się odpowiedzieć.

- Zostanie wykluczony.

- Kto zostanie wykluczony? - zapytała Cherry Duff ochryplym głosem, wchodząc do pokoju. Cabot Carter szedł tuż za nią; w odpowiedzi na prośbę Paula i Emily przyprowadził sędzinę prosto z jej biura.

- Wykluczony? - Przystojną twarz Cartera rozjaśnił uśmiech, który poszerzył się jeszcze bardziej, gdy mężczyzna wyczekująco spoglądał to na Paula, to na Emily, po czym spochmurniał, gdy jego wzrok padł na ponurego Lilienkampa.

Paul uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Wykluczony!

- Wykluczony? - zapytał Joel zde gustowanym tonem.

Emily gestem wskazała Cherry wygodne krzesło, po czym kazała usiąść pozostałym. Następnie, zachęcona skinięciem głowy Paula, zdała krótki raport z ostatnich wydarzeń, zakończony opisem nielegalnego wykorzystania kapsuły powrotnej przez Teda Tubbermana.

- Więc mamy wykluczyć Tubbermana? - Cherry zerknęła na Cartera.

- To całkiem legalne, Cherry - odparł legista - gdyż nie jest to kara cielesna per se, która została zabroniona na mocy umowy.

- Zechciejcie mnie oświecić co do istoty takiego procesu - powiedziała Cherry niezwykle suchym tonem.

- Wykluczenie było mechanizmem - zaczęła Emily - dzięki któremu pasywna grupa mogła ukarać sprzeciwiającego się członka. Czasem odwoływały się do niego społeczności religijne, kiedy ktoś z sekty nie podporządkował się poszczególnym nakazom. Było to dość skuteczne. Reszta sekty udawała, że osoba, która dopuściła się wykroczenia, nie istnieje. Nikt się do niej nie odzywał, nikt nie zwracał na nią uwagi, nie pomógł w żaden sposób, nawet nie dał do zrozumienia, że w ogóle ją dostrzega. Nie wydaje się to okrutne, ale faktycznie wywoływało zniszczenia w psychice.

- Nada się - stwierdziła Cherry, z satysfakcją kiwając głową. - Idealna kara dla kogoś pokroju Tubbermana. Idealna!

- I całkowicie legalna! - dodał Cabot. - Czy mam sporządzić odpowiednie obwieszczenie, Emily, czy wolisz się tym zająć osobiście, Cherry?

Cherry machnęła ręką.

- Zrób to, Cabot. Jestem pewna, że nauczyłeś się wszystkich odpowiednich zwrotów. Ale wyjaśnijcie mi dokładnie, co obejmuje takie wykluczenie. Wiem, że większość z nas jest tak zmęczona narzekaniami tego człowieka i plotkami, jakie wciąż rozpuszcza, że z ulgą przyjmie oficjalną wymówkę, żeby go... wykluczyć. Wykluczyć! - Kobieta odchyliła głowę i ryknęła niepowstrzymany śmiechem. - Na wszystko co święte! W dodatku legalnie! To mi się podoba, Emily. Bardzo mi się podoba! - Nagle zmieniając nastrój, dodała bez śladu wesołości: - To ostudzi wielu kąpanych w gorącej wodzie. - Uważnie spojrzała na Paula i

Emily. - Tubberman nie zrobił tego sam. Kto pomógł?

- Nie mamy dowodów - zaczął Paul dokładnie w tym samym momencie, kiedy Joel powiedział:

- Stev Kimmer, Bart Lemos i może Nabhi Nabol.

- Więc wykluczmy ich także! - zawołała Cherry, uderzając oparcie krzesła szczupłą, starczą ręką. - Do licha, nie potrzebujemy waśni. Potrzebne nam poparcie, kooperacja i ciężka praca. Inaczej nie przetrwamy. Och, piekło i szatani! - Uniosła obie ręce. - Co zrobimy, jeśli ta kapsuła sprowadzi na nas tych krwiopicjów z FPR?

- Nie stawiałbym na to - odpowiedział jej Joel, przewracając oczami.

Cherry spojrzała nań zimno.

- Z wielką ulgą dowiaduję się, że jest coś, o co nie chcesz się zakładać, Lilienkamp. W porządku, ale co mamy zrobić ze sprzymierzeńcami Tubbermana?

Cabot pochylił się, by lekko dotknąć jej ramienia.

- Po pierwsze, musimy udowodnić, że istotnie mu pomagali, Cherry. - Spojrzał wyczekująco na Paula i Emily. - W umowie zapisano, że każdy uważany jest za niewinnego, póki nie udowodni mu się winy.

- Będziemy ich obserwować - oznajmił Paul. - Uważnie obserwować. Carter, sporządź tę notkę i dopilnuj, żeby rozwieszono ją po całym Ładowisku, aby każdy udziałowiec zaznajomił się z tym faktem. Cherry, czy zechcesz powiadomić Tubbermana o wyroku? - Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

- Z największą satysfakcją. Co za wspaniały sposób na pozbycie się nudy - dodała pod nosem, wychodząc z pokoju. Złośliwa radość na jej twarzy rozchmurzyła nieco Joela Lilienkampa, który poszedł za nią, zacierając ręce.

Posłaniec z dużym zadowoleniem przyniósł kopię oficjalnego zawiadomienia dla Bay i Wind Blossom, które pracowały w dużej komorze wylęgowej. Pokój był odseparowany od głównego laboratorium i izolowany przed zmianą temperatur oraz hałasem. Sam inkubator stał na ciężkich amortyzatorach, tak żeby rozwój wrażliwych, wczesnych zarodków w ich pęcherzykach nie został zakłócony na skutek przesuwania sprzętu w głównym laboratorium.

Chociaż jaja znajdujące się w macicy, a nawet w odpowiedniej skorupie, potrafiły wytrzymać dość znaczny stres, wstępne stadia po zapłodnieniu i różnicowaniu ex utero były zbyt delikatne, by ryzykować nawet minimalny wstrząs. Rozwój nie został jeszcze odpowiednio ukierunkowany, a nowa struktura genetyczna nie była dość zrównoważona, więc jakakolwiek zmiana w środowisku embrionu bez wątpienia spowodowałaby uszkodzenie. Później, kiedy jaja znajdą się na takim etapie, że w naturalnych warunkach zostałyby złożone, zamierzano je przenieść do budynku, gdzie podłoże z ogrzewanego piasku i sztuczne oświetlenie imitowały warunki, w jakich wykluwały się smoczki. Ale do tego momentu pozostało jeszcze kilka tygodni.

Stworzono specjalne przeziemiki o niskiej przepuszczalności światła, tak żeby nic nie zakłócało ciemności, w jakiej spoczywały zarodki, podczas gdy obserwatorzy wyraźnie widzieli, co się dzieje we wnętrzu inkubatora. Skonstruowano też przenośny powiększalnik, który można było ustawić w każdej pozycji na którejkolwiek z czterech szklanych ścianek inkubatora dla przeprowadzania podstawowych i rutynowych inspekcji. W laboratorach na Ziemi i Pierwszej rozwój każdego embrionu byłby losowo monitorowany i nagrywany. Ale na Pernie, w relatywnie prymitywnych warunkach, na które nieustannie narzekała Wind Blossom, konieczność uniknięcia toksycznych substancji oznaczała, że nie można było pozwolić na obecność jakichkolwiek czujników w pobliżu zarodków, wewnątrz inkubatora.

Bay spisywała właśnie obliczenia Wind Blossom, kiedy przybył posłaniec z wiadomością. Chłopak aż palił się do szczegółowych wyjaśnień, ale Bay niemalże wypchnęła go z komory.

- Cóż za niezwykła sprawa - stwierdziła Bay, kiedy skończyła czytać Wind Blossom treść

powiadomienia. - Doprawdy, Ted ostatnio był bardzo uciążliwy. Czy słyszałaś plotki, jakie rozpowszechniał, Blossom? Jak gdyby tej egoistce Bitrze zależało na czymkolwiek innym poza własnym interesem, kiedy kradła Mariposę. Wyprawa po pomoc, dobre sobie! - Lojalnie zerknęła do inkubatora, gdzie spoczywała ich czterdziestodwuczęściowa nadzieja na przyszłość. - Ale wysłać kapsułę powrotną w momencie, kiedy większość kolonii opowiedziała się przeciwko takiej akcji!

- Ulżyło mi - odezwała się Wind Blossom, wzdychając lekko.

- Tak, zwłaszcza tobie Ted dawał się we znaki - powiedziała łagodnie Bay. Usiłowała przetłumaczyć sobie, że koleżanka po fachu wciąż boleje nad śmiercią babki. Ostatnio jednak zdarzały się chwile, kiedy Bay chciała przypomnieć Blossom, że nie tylko rodzina Yungów odniosła niepowetowaną stratę. Nie uczyniła tego, gdyż Wind ostatnio miała dość zmienne nastroje i mogłaby zinterpretować podobny komentarz jako podanie w wątpliwość jej zdolności do dalszego prowadzenia błyskotliwego programu inżynierii genetycznej, obmyślonego przez jej babkę. Jako asystentka Kitty, Wind Blossom została obarczona odpowiedzialnością za wypełnianie wskazówek zawartych w plikach na komputerze numer 42 w laboratorium biologicznym. Bay również przeglądała odpowiednie dane, by zaznajomić się z procedurą. Kitty Ping pozostawiła rozliczne notatki dotyczące dalszych działań, przewidując drobne dopasowania, równoważenia czy inne zmiany, jakie mogły okazać się niezbędne. Najwyraźniej przewidziała wszystko poza własną śmiercią.

- Nie zrozum mnie źle - odparła Wind, skłaniając głowę w geście, który przypominał jej babkę, kiedy zwracała uwagę błędzemu czeladnikowi. - Czuję ulgę, że kapsuła powrotna została wysłana. Teraz nikt nie będzie mógł nas oskarżać.

Bay była pewna, że dobrze usłyszała.

- O co, na wszystkie słońca, ci chodzi, Blossom?

Blossom posłała Bay długie spojrzenie, uśmiechając się słabo.

- Wszystkie nasze jajka są w jednym koszyku - powiedziała z nieprzeniknionym uśmiechem i przestawiła soczewki przeziernika.

Kiedy Pol i Phas Radamanth przyszli, żeby je zmienić, Bay została z nimi jeszcze przez chwilę. Nie mieli teraz z Polem wiele czasu dla siebie, a wcale jej się nie spieszyło na kolejną kolację wydawaną w komunalnych kuchniach.

- Jak widzę, dostaliście już kopię - zauważył Pol, wskazując obwieszczenie.

- Niesamowite, prawda?

- Bo ja wiem - odparł Phas, podnosząc wzrok znad notatek Wind Blossom. - Miejmy nadzieję, że okazał się lepszym technikiem niż botanikiem.

Bay ze zdumieniem popatrzyła na ksenobiologa, a Phas miał przynajmniej tyle wyczucia, by wyglądać na zakłopotanego.

- Nikt nie pochwała zachowania Tubbermana, moja droga - zapewnił ją Pol.

- Tak, ale jeśli przylecą... - Bay gestem objęła inkubator, laboratorium i wszystko, co koloniści zdołali osiągnąć w swoim nowym świecie.

- Jeżeli to cię pocieszy - powiedział Phas - to Joel Lilienkamp nie zaczął prowadzić zakładów na ten temat.

- Och! - Po chwili zapytała: - A co się stało z Tedem Tubbermanem?

- Pod eskortą odwieziono go na jego działkę i kazano mu tam pozostać.

Pol, kiedy chciał, mógł wyglądać bardzo wojowniczo, pomyślała Bay.

- A co z Mary? I jego dziećmi? - zapytała.

Pol wzruszył ramionami.

- Może zostać albo wyjechać. Nie jest objęta wykluczeniem. Ned Tubberman wyglądał na przygnębionego, ale nigdy nie był zbyt blisko ze swoim ojcem, a Fulmar Stone uważa go za bardzo obiecującego mechanika. - Ponownie wzruszył ramionami, po czym posłał żonie pokrzepiający uśmiech.

Bay odwracała się już w stronę wyjścia, gdy ziemia pod nimi zaczęła się trząść. Instynktownie rzuciła się do inkubatora, a Phas i Pol wraz z nią. Nawet bez powiększacza dostrzegli, że płyn owodniowy w pęcherzykach nie faluje w odpowiedzi na wstrząs. Amortyzatory spełniły swoje zadanie.

- Tego nam tylko potrzeba! - zawołał Pol, zdenerwowany. Podeszedł do interkomu i wybrał numer wieży meteo, trzaskając słuchawką. - Zajęte! Bay, uspokój ich. - Machnął ręką w stronę pierwszej grupki techników, którzy niespokojnie zaglądali przez drzwi komory. Ponownie wybrał numer i uzyskał połączenie w tym samym momencie, gdy Kwan Marceau wpadł do pokoju. - Czy będą jeszcze jakieś wstrząsy, Jake? - zapytał Pol. - Dlaczego nas nie ostrzeżono?

- Wstrząs był niewielki - odparł Jake Chernoff łagodząco. - Patrice de Broglie powiadomił nas o nim, ale przede wszystkim mam obowiązek informować szpital na wypadek, gdyby trwała jakaś operacja, a potem wasza linia była zajęta. - To wyjaśnienie uspokoiło Pola. - Patrice twierdzi, że na wschodzie trwają ruchy płyt tektonicznych i w ciągu najbliższych kilku tygodni może się przydarzyć jeszcze kilka wstrząsów. Tak czy inaczej inkubator jest chroniony, prawda? Nie macie się czym martwić.

- Nie mamy się czym martwić? - powtórzył Pol. Z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Ktoś cicho zapukał do drzwi biura admirała, a kiedy Paul odpowiedział niewyraźnym: "Wejść!", do środka wszedł Jim Tillek. Emily uśmiechnęła się z ulgą. Pan na Zatoce Monaco zawsze był mile widziany. Admirał odchylił się na oparcie obrotowego krzesła, z radością odrywając się od przygnębiającego spisu zdolnych do lotu ślizgaczy oraz sprawnych miotaczy ognia.

- Hej, hej - powiedział Jim. - Wpadłem, żeby dać do przeglądu mój skuter.

- Od kiedy to potrzebujesz pomocy w tej czynności? - zapytał Paul.

- Od momentu kiedy wszystkie zapasowe części z Monaco zabrał Joel Lilienkamp - odparł Jim beztrasko.

- Tak, a świnie latają - odparował Paul.

- Ach, więc to jest następny projekt? - zapytał Tillek z komicznym grymasem. Opadł na najbliższe krzesło i splótł palce. - Tak przy okazji, Maksymilian i Teresa złożyli raport z delfiniego zwiadu, o który prosił Patrice. Stwierdzono znaczny wypływ lawy z illyryjskiego wulkanu. Nie jest on duży, ale nie zdziwcie się, jeśli wschodnie prądy przyniosą ze sobą trochę czarnego pyłu. To nie są martwe Nici. Jedynie wierny wulkanowi pył. Chciałem, żebyście o tym wiedzieli, zanim zaczną krążyć kolejne plotki.

- Dzięki - powiedział admirał sucho.

- Logiczne wyjaśnienia zawsze są mile widziane - dodała Emily.

- Wpadłem też, żeby zobaczyć naszego ulubionego pacjenta. - Jim rozsiadł się wygodniej na krześle i popatrzył w oczy Paulowi. - Nie może uleżeć w miejscu i grozi, że przeprowadzi się na drugie piętro wieży meteo i stamtąd będzie obsługiwał łączność. Sabra grozi, że się z nim rozwiedzie, jeżeli zrobi cokolwiek, zanim medycy wypiszą go ze szpitala. Powiedziałem mu, że nie musi się martwić, bo młody Jake Chernoff świetnie sobie radzi. Ten chłopak nie zaryzykuje nawet obwieszczenia o pogodzie, jeżeli dwa razy nie przeczyta raportu z satelity i nie wyjrzy przez okno.

Paul i Emily uśmiechnęły się, słysząc żartobliwy wtręt.

- Ongola musi wrócić do pracy - stwierdziła gubernator.

- Jest pewien, że nigdy nie będzie już władał tym ramieniem. Lepiej, żeby się czymś zajął. Tak tylko trawi czas na negatywne myślenie. - Tillek przekrzywił głowę, patrząc na admirała.

- Według lekarzy - zaczęła Emily z pełnym ulgi uśmiechem - Ongola będzie władał ramieniem, nawet jeśli nie chce w to uwierzyć, chociaż kwestia jego mobilności stoi wciąż pod znakiem zapytania.

- Odzyska sprawność - powiedział Jim z uporem. - Hej, czy w pogłosce, że Stev Kimmer był zamieszany w sprawę Tubbermana, jest trochę prawdy?

Paul zrobił dziwną minę, a Emily zerknęła na niego szybko.

- Mówiłam ci, że plotki już się rozeszły - powiedziała.

Tillek pochylił się do przodu zaciekawiony.

- A czy prawdą jest, że uciekł w jednym z dużych hermetyzowanych ślizgaczy, które widywano w pobliżu Zachodniego Łańcucha Barrierowego; tam gdzie Kenjo miał swoją ziemię? Kimmer jest o wiele niebezpieczniejszy, niż Tubberman był kiedykolwiek.

Paul pocierał kciukiem sztuczne palce, ale przestał, gdy spostrzegł, że Jim Tillek zauważył ten nerwowy odruch.

- To prawda. A ponieważ interkom na skradzionym ślizgaczu działał, musi wiedzieć, że chcielibyśmy go widzieć w Ładowisku i przesłuchać.

Jim skinął głową, wyrażając swą aprobatę.

- Czy Ezra wycisnął coś sensownego z danych dostarczonych przez sondy, które Sallah... - Zamrugnął oczami, które nagle stały się podejrzanie wilgotne.

- Nie - odparł admirał, odchrząknąwszy. - Wciąż stara się je odcyfrować. Wydruk jest niezbyt jasny.

- No, cóż - powiedział Tillek. - Przegląd mojego skutera potrwa jeszcze kilka godzin. Widziałem setki raportów ZBO, zanim znalazłem planetę, która mi się podobała. Czy mógłbym wam pomóc?

- Świeże spojrzenie mogłoby okazać się użyteczne - stwierdził Paul. - Ezra siedzi przy tym bez przerwy.

- Czy dobrze słyszałem - zapytał Jim łagodnie - że Mariposa wpadła prosto na planetkę?

Paul skinął głową.

- Ale nie uzyskaliśmy żadnej konstruktywnej informacji. - Niejasne, przedostatnie zdanie Avril: "To nie może być..." wciąż wydawało się kryć w sobie jakąś wiadomość i Paul czuł, że musi ją wydobyć. - Posłuchaj, Jim, zajrzyj do Ezry i sprawdź, czy możesz mu pomóc. Potrzebujemy dobrych wieści. Morale po morderstwach jest wciąż niskie, a to, że musieliśmy wykluczyć Teda Tubbermana oraz wyjaśnić, w jaki sposób zdołał zawładnąć kapsułą powrotną, ani trochę nie poprawiło wizerunku dowództwa.

- To była sprytna sztuczka. - Tillek wstał chichocząc. - Nie musieliście naruszać autonomii założyciela, a jednocześnie ograniczyliście tego głupca do terenu, gdzie nie może nam wiele zaszkodzić. Dobrze, zajrzę do kabiny Ezry. - Machnął ręką Emily i admirałowi, po czym opuścił pokój.

Oboje, niewiarygodnie pokrzepieni jego wizytą, wrócili do rozlicznych obowiązków związanych z planowaniem walki z nadchodzącym Opadem oraz musztrowaniem zespołów do zbierania jadalnej zieleniny na kiszonki z terenów jak dotąd nie dotkniętych przez żarłoczny organizm.

Rozdział VII

- Posłuchaj, Jim, po prostu nie mogę znaleźć innego logicznego wyjaśnienia zniszczonych sond i tego. - Ezra Keroon zamachał garścią zdjęć z próbników, tak rozmazanych, że nie można było rozróżnić żadnych szczegółów. - Jedna, może dwie sondy mogły ulec awarii. Ale ja wysłałem siedem! A Sallah... - Kapitan przerwał na moment, a twarz ściągnęła mu się z bólu, jaki wciąż odczuwał po jej stracie. - Powiedziała nam, że nie ma komunikatu o uszkodzeniach w garażu sond. A poza tym ta sprawa z Mariposą. Nie uderzyła w powierzchnię. Coś ją zniszczyło prawie w tym samym momencie, gdy jedna z sond wybuchła!

- Czyli wolisz wierzyć, że jakaś rzecz na powierzchni przeciwiała naszym badaniom? - zapytał sucho Jim Tillek. Odchylił się na krzesło, rozluźniając mięśnie ramion, napięte od

godzin schylania się i patrzenia przez powiększalnik. - Nie mogę brać poważnie takiego wyjaśnienia, Ez. Daj spokój. Jak cokolwiek na tej planecie może funkcjonować? Powierzchnia była zamrożona. Nie mogła odtajać dostatecznie od czasu wpadnięcia w system Rukbat.

- Na żadnym nie zamieszkanym terenie nie ma tak regularnych formacji. Nie mówię, że nie mogą być naturalne. Po prostu tak nie wyglądają. A już na pewno nie będę się bawił w zgadywanie, jakiego rodzaju istota je tam umieściła. Poza tym spójrz na poziom termiczny tutaj, tutaj i tutaj. - Ezra dźgnął palcem w zdjęcia. - Jest wyższy, niż można by się spodziewać po prawie zamrożonej powierzchni. Tyle udało nam się uzyskać z tej jednej sondy, która przesała nam dane.

- Można to tłumaczyć aktywnością wulkaniczną pod pokrywą lodową.

- Ale regularne wypukłości, nie wgłębienia wokół równika? Tillek był sceptyczny.

- Chcesz wierzyć, że ta plutoniczna planetka może być źródłem ataku?

- Wolę to niż teorię Hoyle-Wickramasingha, naprawdę wolę, Jim.

- Gdyby Avril nie wzięła gigu, moglibyśmy sprawdzić, co kryje się za tą mgiełką. Wtedy wiedzielibyśmy na pewno! Hoyle-Wickramasingh czy zamrożone niebieskie ludziki. - Tillek mówił to kpiącym tonem.

- Mamy wahadłowce - powiedział Ezra z wahaniem, bawiąc się ołówkiem.

- Brakuje paliwa, a poza tym wśród kolonistów nie ma pilota, któremu chciałbym powierzyć tak trudne zadanie. Musiałby osiągnąć prędkość orbitalną planetki. Sam widziałem wgłębienia w kadłubie Mariposy, tam gdzie zawiodły tarcze obronne. Poza tym nie zwieźliśmy na dół żadnych ciężkich kombinezonów, które chroniłyby człowieka przed bombardowaniem meteoroidów. A jeśli twoja teoria jest prawdziwa, zostałby zestrzelony.

- Tylko w wypadku gdyby za bardzo zbliżył się do planetki - ciągnął kapitan ostrożnie. - A nie musiałby tego robić, gdyby chciał tylko pobrać próbkę z ogona. Jeśli nie ma tam nic poza lodem, pyłem, skałami i zwykłym kometarnym śmieciem, wiedzielibyśmy, że niebezpieczeństwo tkwi w planetce, a nie w ogniu. Mam rację?

Jim popatrzył na niego w zamyśleniu.

- To i tak byłoby ryzykowne. W dodatku nie ma paliwa! - Tillek rozłożył ręce w geście poirytowania.

- Jest paliwo.

- Jest? - Jim wyprostował się na krześle, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Ezra uśmiechnął się krzywo.

- Wie o tym jedynie garstka wybrańców.

- No proszę! - Tillek zmarszczył brwi, ale się uśmiechnął, na znak, że nie żywi urazy, iż nie dopuszczono go do tajemnicy. - Ile?

- Przy sprawnym pilocie, zupełnie wystarczająco. A jeżeli znajdziemy główną skrytkę Kenjo, może i więcej.

- Więcej? - Jim zagapił się na kolegę. - Skrytkę Kenjo? To on podkładał paliwo?

- Zawsze był niezłym pilotem. Ongola mówi, że zaoszczędził podczas lotów.

Tillek nie spuścił wzroku z Ezry, zdumiony zuchwałością Kenjo.

- To dlatego Kimmer penetruje Zachodni Łańcuch Barrierowy. Stara się odnaleźć skrytkę Kenjo. Na swoje własne potrzeby czy dla nas?

- Pamiętaj, że jeszcze za wcześnie, żeby się ludzi nadzieją - ciągnął Ezra, ostrzegawczo wznosząc rękę. - Może nie stało się źle, że Tubberman wysłał kapsułę. Bo jeśli to istotnie planetka, to potrzebujemy pomocy, a nie jestem tak dumny, by wstydzić się o nią prosić. - Ezra się wykrzywił. - Kimmer nic nikomu nie powiedział, kiedy wystartował dużym ślizgaczem tak wyładowanym skoncentrowaną żywnością i zasilaczami, że może mu wystarczyć na całe lata. Joel Lilienkamp wpadł w furję, gdy się dowiedział, że popełniono kradzież w jego składzie. Nie wiemy nawet, skąd Stev się dowiedział o zapasach Kenjo.

Pamiętał, ile paliwa zostało w zbiornikach Mariposy osiem lat temu. Musiał się domyślić, że ktoś przechował paliwo, kiedy Kenjo rozpoczął te loty zwiadowcze. - Potem, kiedy Jim już otwierał usta, dodał: - Nie obawiaj się, że Kimmer wystartuje, nawet jeśli znajdzie paliwo. Jakiś czas temu Ongola i Kenjo unieruchomili wahadłowce. A Kimmer nie wie, gdzie paliwo jest składowane w Ładowisku. Ja też nie wiem.

- Jestem zaszczycony twoim zaufaniem i ciężarem, jaki tak pieczołowicie złożyłeś na moich pochylonych ramionach.

- Sam wszedłeś tu trzy dni temu i zaoferowałeś swoje usługi - przypomniał mu Ezra.

- Trzy dni? Myślałem, że to już trzy lata. Ciekawe, czy mój skuter został naprawiony. - Jim wstał i przeciągnął się, aż wszystkie kostki w kręgosłupie i stawach ze słyszalnym trzaskiem trafiły na swoje miejsca. - Może zaniesiemy cały ten bałagan - wskazał sterty zdjęć i wydruków, porządnie poukładanych na blacie stołu - ludziom, którzy muszą rozstrzygnąć, co mamy z nim zrobić?

Paul i Emily słuchali, nic nie mówiąc, póki obaj mężczyźni nie skończyli przedstawiać swoich całkowicie przeciwstawnych poglądów.

- Ale kiedy planetka nas minie za następnych osiem czy dziewięć lat, Opad ustanie - powiedział Paul, przeskakując do konkluzji.

- Zależy od tego, czyją teorię wolisz - odparł Jim, uśmiechając się z dobroduszną złośliwością. - Albo od tego, jak zaawansowani są kosmici Ezry. W tym momencie, jeżeli kupujesz jego historię, trzymając nas na odległość, a Opad ma osłabić naszego ducha.

Paul Benden odrzucił ten pomysł.

- Nie wierzę w to, Ezra. W poprzedniej próbie Nici okazały się całkowicie nieskuteczne. Chociaż ta plutoniczna planetka rzeczywiście może się sama bronić. Przyjmę tylko tę część twojej teorii, która jest poparta dowodami.

Emily spojrzała na Jima.

- Jak długo będą trwały Opady, jeśli pochodzą z ogona?

- Dwadzieścia, trzydzieści lat. Gdybym znał długość ogona, mógłbym oszacować dokładniej.

- Zastanawiam się, czy to właśnie miała na myśli Avril, mówiąc: "to nie może być..." - zaczął powoli admirał. - Czy chodziło jej o to, że nie planetki powinniśmy się bać, ale ogona, który przyciągnęła z obłoka Oort?

- Gdyby nie zabrała Mariposy, mielibyśmy szansę to sprawdzić - powiedziała Emily dość ostro.

- Wciąż mamy szansę - odparł Ezra. - Zostało wystarczająco dużo paliwa, żeby wynieść w górę wahadłowiec. Nie jest to może pojazd tak ekonomiczny jak Mariposa, ale zupełnie odpowiedni.

- Jesteś pewien? - Paul ze ściągniętą twarzą sięgnął po kalkulator i przeprowadził na nim kilka działań. Odchylił się na oparcie i w zamyśleniu podsunął wynik Emily i Jimowi. - Mogłoby się udać. - Admirał odszukał i wytrzymał spojrzenie gubernator. - Musimy wiedzieć. Przewidzieć najgorsze, zanim zaczniemy cokolwiek planować.

Pełen niepokoju Ezra ostrzegawczo podniósł rękę.

- Ale pamiętaj, nie mogą się zbliżyć do tej planety! Straciliśmy siedem sond. Tam mogą być miny, pociski, cokolwiek. Ważne, że wybuchają.

- Ktokolwiek polecą, będzie wiedział dokładnie, jak duże jest ryzyko - powiedział admirał.

- Ryzyko wiąże się już z samym startem - odparł Ezra ponuro.

- Nie chciałbym wyjść na idiotę, ale z pewnością znajdzie się jeden pilot, który podejmie wyzwanie, by uratować ten świat - dodał Paul.

Najpierw zwrócono się do Drake'a Bonneau. Pilot uznał, że plan jest wykonalny, ale obawiał się, że stan wahadłowca bardzo się pogorszył po ośmiu latach nieużywania. Zwrócił też uwagę, że jest żonaty i ma obowiązki względem rodziny, a poza tym są jeszcze inni, równie

doświadczeni piloci. Paul i Emily nie spierali się z nim.

- Małżeństwo i dzieci mogą stanowić wymówkę praktycznie dla każdego - powiedział admirał swoim prywatnym doradcom; Ezrze, Jimowi oraz Zi Ongoli, któremu lekarze niechętnie udzielili zgody na cztery godziny pracy dziennie. - Jedynym wciąż samotnym jest Nabhi Nabol.

- To dostatecznie sprawny pilot - stwierdził Ongola z namysłem - chociaż niezupełnie należy do typu ludzi, od których powinna zależeć cała przyszłość planety. Za to podejmie każde ryzyko, jeżeli tylko nagroda będzie dostatecznie atrakcyjna.

- To znaczy? - zapytała Emily sceptycznie.

Nabhi Nabol bywał już wielokrotnie upominany i musiał wykonywać prace nakładane nań wyrokiem Cherry Duff za wykroczenia, takie jak "pijaństwo i zakłócanie porządku", zaniebdywanie pracy, a raz nawet "seksualne molestowanie". Ostatnio nieco się zrehabilitował, gdyż okazał się dobrym dowódcą szwadronu, bardzo podziwianym przez młodych ludzi, których prowadził.

- Nabhi jest kontraktowym - odparł Ongola. - Jeżeli zaoferujemy mu, powiedzmy, prawa do ziemi równe prawom założycieli, myślę, że powinien się skusić. Dość często pomstował na nierówne przydziały. To mogłoby go ułagodzić. Poza tym uważa się za świetnego pilota.

- Mamy też kilku bardzo dobrych młodych adeptów - zaczął Jim.

- Którzy nie mają żadnego doświadczenia - sprzeciwił się Ongola. - Chociaż wytypowanie drugiego pilota nie jest złym pomysłem; to dobra okazja do lotu szkoleniowego. Ale ufałbym raczej Nabhiemu niż kompletnemu nowicjuszowi.

- Warto by też zasugerować, że był naszym drugim kandydatem, a nie ostatnim... - zauważyła Emily.

- Cokolwiek mamy zrobić, zabierzmy się do tego od razu - powiedział Ezra. - Nie mogę już dłużej odkładać tych pytań. Potrzebujemy danych i potrzebujemy próbki materii z ogona. Wtedy dowiemy się na pewno, jaka przyszłość nas czeka.

Targi z Nabhim rozpoczęły się tego samego popołudnia. Mężczyzna prychnięciem zlekceważył pochlebstwo oraz apel do jego kompetencji i zażądał informacji, ile dokładnie podróż była warta w przydziałach ziemi i innych prawach. Kiedy oznajmił, że chce mieć na własność całą prowincję Cibola, Paul i Emily przystąpili do dzieła. Kiedy Nabhi nalegał, żeby nadano mu status założyciela, zgodzili się z dość wyraźną niechęcią, by odczuł, że w rokowaniach jest górami.

Następnie Emily nonszalancko zauważyła, że Wielka Wyspa jest obecnie nie obsadzona. Razem z Paulem zdołali ukryć ulgę, kiedy Nabol natychmiast uchwycił się tego pomysłu i postanowił zająć dawną własność Avril.

Nabhi powiedział, że chce dostać wahadłowiec, na którym latał w trakcie operacji rozładowania, i wyznaczył personel, który, pod jego nadzorem, miał przygotować Mola do startu. Machnął ręką na fakt, że ludzie, których wymienił, są już zaangażowani w kluczowe projekty. Stwierdził, że zdecyduje się na podróż tylko w wypadku, jeśli nabierze pewności, że długo nie używany wahadłowiec został dokładnie sprawdzony technicznie.

Następnie zażądał na drugiego pilota Barta Lemosy, pod warunkiem że ten także uzyska status założyciela. Paul i Emily uznali ten warunek za szczególnie trudny do przełknięcia, ale się zgodzili.

Stosunek Nabola do admirała i gubernatora natychmiast się zmienił. Mężczyzna stał się tak napuszony i arogancki, że Emily musiała walczyć ze sobą, żeby nie okazać niechęci. Nabol opuścił biuro z podpisaną umową założycielską i triumfalnym uśmiechem, któremu niewiele brakowało do wyraźnego szyderstwa. Następnie zajął jeden z szybkich ślizgaczy, chociaż był on potrzebny na zbliżający się Opad, i ruszył na inspekcję swojego nowego nabytku.

Gubernator i admirał formalnie ogłosili zbliżającą się wyprawę, jej cele i personel. Nowina ta

zdołała przyćmić wszystko inne, z jednym wyjątkiem: przeniesieniem dwudziestu siedmiu dojrzałych jaj na sztuczną plażę.

Cały zespół weterynarzy asystował biologom przy tym manewrze. Sorka Hanrahan i Sean Connell, jako zaawansowani uczniowie, również w swoim czasie wykonali kilka wczesnych analiz oraz prowadzili pracochłonną dokumentację projektu, pracując pod ścisłym nadzorem Kitti Ping. Samo przeniesienie nie trwało długo, ale Sorka zauważyła, że towarzyszący mu nerwowy nastrój bardzo gniewa jej kochankę. Jednak projekt znaczył dla niego dużo więcej niż irytacja na podekscytowanych biologów, więc zdołał stłumić rozdrażnienie. W końcu jaja ułożono w sposób całkowicie satysfakcjonujący Wind Blossom, Pola i Bay: w podwójnym kręgu, siedem w wewnętrznym pierścieniu, dwadzieścia na zewnątrz, otoczone wałem ciepłego piasku, który miał imitować naturalne środowisko smoczków.

- Cała sprawa mogła trwać trzy razy krócej - mruknął Sean do Sorki. - Tyle zamieszania może jajkom tylko zaszkodzić. - Prychnął, patrząc na idealne kręgi.

- Są dużo większe, niż sądziłam - powiedziała Sorka po chwili milczenia.

- Dużo większe, niż oni myśleli - stwierdził Sean pogardliwie. - Mieliśmy po prostu szczęście, że tyle przetrwało do tego etapu. To zasługa Kit Ping, biorąc pod uwagę, ile trzeba włożyć pracy, by je stworzyć.

Sorka wiedziała, że uczestnictwo w projekcie znaczy dla Seana tyle samo co dla niej. Ostatecznie to oni pierwsi odkryli dzikie gniazda. Zmęczona, lecz pełna zapału dziewczyna balansowała na jednej z brzegowych desek, starając się nie trzymać stóp na parzącym piasku sztucznej plaży.

Chociaż transfer dobiegł końca, pomocnicy jeszcze się nie rozchodzili. Wind Blossom, Pol i Bay dyskutowali z Phasem, admirałem i gubernator, którzy uczestniczyli w przeniesieniu z urzędu. Sorka pomyślała, że zwłaszcza Emily Boll wygląda na spracowaną i wyczerpaną, ale jej uśmiech pozostał ciepły i szczerzy. Oni także nie palili się do odejścia.

Większa część populacji smoczków Ładowiska kręciła się w pobliżu Terenu Wylęgowego, sadowiąc się na krokwiach i walcząc o miejsce. Przyglądanie się zupełnie je zadowalało; żaden nie okazał się na tyle śmiały, by zbadać jaja dokładniej. Sorka zinterpretowała ich krótkie świergoty jako pełne szacunku i podziwu.

- Czyżby wiedziały, co to jest? - zapytała Seana cicho.

- A czy my wiemy? - odparował chłopak z rozbawionym prychnięciem. Trzymał ręce splecione na piersi; rozplótł je teraz, by wskazać najbliższe jajko. - To jest największe. Zastanawiam się, czy to jedno ze złotych. W tym zamieszaniu straciłem rozeznanie, które gdzie położono. Wśród obumarłych było więcej samców niż samic, a Lili zaczął prowadzić zakłady, komu z nas co się dostanie.

Sorka rzuciła jajku długie, pełne namysłu spojrzenie. Zastanawiała się, czy wykluje się z niego złoty, po czym doszła do wniosku, cokolwiek arbitralnie, że nie, jednak nie. To był spiżowy. Ale nie powiedziała o tym Seanowi. On zwykł dyskutować na podobne tematy, a ten moment, obserwacja pierwszego gniazda "smoków", był zbyt piękny, żeby go psuć. Dziewczyna westchnęła.

Smoczki stały się dla niej równie ważne jak konie. Chętnie przyznawała, że Sean lepiej niż ona potrafił kontrolować swoją sforę. Umiał zaprowadzić dyscyplinę, warunkując skuteczną działalność podczas Opadu. Sorka wiedziała jednak, że sama potrafi zrozumieć każdego smoczka - jego, jej własnego, czy któregośkolwiek z oswojonych smoczków na Pernie - lepiej niż Sean, zwłaszcza jeśli zostały ranne podczas walki z Nićmi. A może jej wrażliwość, rozwinięta w ciągu ostatnich kilku miesięcy, równoległe z ciążą, stanowiła po prostu przejaw instynktu macierzyńskiego? Lekarz powiedział, że jest w doskonałej formie i nic w jej profilu zdrowotnym nie wskazuje na jakiegokolwiek problemy. Mogła jeździć konno tak długo, jak długo wygodnie czuła się w siodle.

- Sama się przekonasz, kiedy już nie będziesz mogła jeździć - powiedział jej z uśmiechem. -

A w piątym miesiącu musisz ograniczyć udział w pracach ekip naziemnych. Dźwiganie ciężkich miotaczy pod koniec ciąży jest absolutnie niewskazane.

Sorka nie znalazła jeszcze odpowiedniego momentu, by poinformować Seana, że wkrótce zostanie ojcem. Zastanawiała ją jego reakcja. Zaoszczędzili wystarczająco dużo kredytów roboczych, by móc poważnie pomyśleć o domu w Killarney. Na przeszkodzie stały jedynie Nici. Sean nawet nie wspominał o Killarney od czasu trzeciego Opadu, ale to nie oznaczało, że o nim nie myślał. Od czasu do czasu widziała, jak jego wzrok staje się odległy, rozmarzony.

Sądziła, że temat Killarney powróci, gdy tylko Porrig Connell odda Cricketa, który ostatnio pełnił obowiązki ogiera rozplodowego. Ale tak się nie stało. W sytuacji, kiedy wszyscy pracowali podwójnie, by podtrzymać podstawowe funkcje kolonii, bardzo niewielu ludzi miało czas, by myśleć o swoim prywatnym życiu. Sean i Sorka wykorzystywali wolne chwile, by utrzymywać w formie swoje konie, zabierając je poza obszar zniszczenia i pozwalając im paść się swobodnie przez godzinę.

Główne drzwi otworzyły się, by wpuścić jednego z inżynierów bezpieczeństwa, wywołując natychmiastową reakcję na galerii skrzydlatych obserwatorów. Sean zachichotał.

- Tu nie jest potrzebny system bezpieczeństwa - mruknął do Sorki. - Chodźmy, kochanie, za pięć minut mamy dyżur na chirurgii.

Rzucając ostatnie spojrzenia na kręgi cętkowanych jajek, oboje niechętnie wrócili do pracy. Kiedy szli jedną z alejek, wyraźnie dostrzegli, jak donki powoli przesuwają wahadłowiec Mol na pozycję startową.

- Sądysz, że im się uda? - zapytała Sorka.

- W każdym razie robili mnóstwo zamieszania - odparł Sean kwaśno. Ani Nabhi Nabol, ani Bart Lemos nie zyskali popularności od chwili ich nagłego wyniesienia do rangi założycieli. - W każdym razie za nic nie chciałbym znaleźć się w ich skórze!

Dziewczyna zachichotała.

- Kosmiczna Yvonne. Nigdy mi nie powiedziałaś, Sean, czy to ci pomogło w trakcie lotu?

Spojrzał na nią uważnie, a lekki uśmiešek wygiął mu wargi. W końcu objął ją ramieniem i przyciągnął do swego boku.

- Wszystko, o czym mogłem myśleć, to żeby udowodnić ci, że się nie bałem. Ale, do licha, byłem przerażony! - Nagle twarz mu się zmieniła; chłopak zatrzymał się nagle, obracając Sorkę gwałtownie do siebie i obmacując obiema dłońmi jej brzuch, napiąwszy luźny kombinezon wokół jej ciała. Spojrzał na nią oskarżycielsko. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

- Dopiero co uzyskałam potwierdzenie - odparła wyzywająco.

- Czy oprócz mnie ktoś wie? - Był na nią wściekły; po raz pierwszy w ciągu tylu lat, które ze sobą spędzili, naprawdę rozgniewał się na nią. Oczy ciskały błyskawice, dłonie mocno trzymały jej zaokrąglającą się talię.

- Nikt poza lekarzem, a on nic do mnie nie będzie miał jeszcze przez trzy miesiące. - Pociągnęła go za jedną rękę, chcąc się uwolnić. - Poza tym jest przecież Killarney i wiem, że o tym myślisz...

- A twoja matka?

- A kiedy niby miałam się z nią zobaczyć? Ma na głowie połowę dzieciaków z Ładowiska, w tym mojego najmłodszego brata. Jesteś jedynym, który wie.

- Czasem naprawdę mnie zaskakujesz - powiedział Sean, powoli hamując gniew. Pokręcił głową. - Dlaczego z tym zwlekałaś? Nieprędko będziemy mogli zająć się Killarney. Tutaj jest nasze miejsce. Sądziłem, że to rozumiesz. - Położył jej obie ręce na ramionach i potrzęsął mocno. - Zawsze chciałem być ojcem twoich dzieci. Nie chciałem, żebyś urodziła dziecko komukolwiek oprócz mnie. Marzyłem, żeby to się stało jak najszybciej, kochanie, ale nie uważałem za właściwe prosić cię, abyś wydała dziecko na świat taki jak ten. - Jego głos

nabrał specjalnego, czulego tonu, jakiego zawsze używał, kiedy się kochali.

- Nie, właśnie teraz jest najlepszy moment na dziecko. Dzięki temu coś nam zostanie - powiedziała. Nie dodała: "na wszelki wypadek", ale Sean wiedział, o czym myśli, i przycisnął ją mocniej do siebie. Przyciągnął spojrzeniem jej wzrok. W jego oczach nie było już gniewu, jedynie niezbite postanowienie.

- Natychmiast po dyżurze idziemy do Cherry Duff. To dziecko będzie miało dwoje rodziców, albo nie nazywam się Sean Connell!

Sorka wybuchnęła śmiechem i nie zdołała się opanować, póki nie doszli do baraku weterynarzy.

Ongola ostatecznie wziął na siebie rolę arbitra podczas przygotowywania Mola do lotu. Nabhi Nabol doprowadzał do szału ekipę remontową, przerywając im w krytycznych momentach i pytając, czy ten obwód albo tamten segment kadłuba został już sprawdzony. Pomimo swojej naprawdę rzetelnej wiedzy na temat złożoności statków kosmicznych, bardziej opóźniał niż przyspieszał całą sprawę. Wahadłowiec Jętką, stojący obok Mola, został podzielony na biura dla Ongoli, Fulmara i Nabhiego, z kilkoma oddzielnymi liniami komunikacyjnymi, żeby Ongola mógł pełnić również inne obowiązki w trakcie pobytu na nim. Jego biuro zostało oblepione zdjęciami z sondy i mapami badawczymi, a także planami lotu, dostępnymi dla Nabhiego. Ten ostatni często przychodził i stał długo, w zamyśleniu wpatrując się w orbity i skubiąc dolną wargę. Ongola go ignorował.

Ogólny stan Mola okazał się nadspodziewanie dobry: praktycznie nie stwierdzono zakłóceń w wewnętrznych obwodach czy liniach. Jednak wszystko musiało być sprawdzone dwa razy. W tym Ongola zgadzał się z Nabhim. Oznaczało to dużo pracy dla zespołu Fulmara, ale nie to stanowiło kość niezgody między inżynierami a autokratycznym Nabhim.

- Nie przeszkadzałoby mi, że wciąż prosi o różne rzeczy - powiedział Fulmar Ongoli - byle tylko robił to uprzejmie. Można by pomyśleć, że wyświadcza mi łaskę. Czy uważasz, że jest tak dobrym pilotem, za jakiego się ma?

- Jest niezły - przyznał Ongola niechętnie.

- Wolałbym złożyć tę misję w ręce Bonneau - odparł Fulmar, ze smutkiem kręcąc głową. - Ale ze względu na dużą farmę, dzieciaki i wszystko, nie mogę go winić za odmowę. Tylko że... - Urwał, bezradnym gestem wznosząc swoje duże, ubrudzone dłonie.

- Ta misja musi się powieść, Fulmar - powiedział Ongola, poklepując inżyniera po ramieniu. - A ty jesteś najwłaściwszą osobą, żeby tego dopilnować.

W trzynastym tygodniu po Pierwszym Opadzie wzorzec nagle się zmienił. Kiedy szwadrony doleciały na przewidywany teren, głównie obejmujący nie zamieszkane ziemie, tylko piloci lecący na najwyższym pułapie ślizgaczy dostrzegli czoło chmury. Nici znajdowały się na północy: szara, migotliwa plama na horyzoncie była aż za dobrze rozpoznawalna.

- Piekło i szatani! - wrzasnął Theo Force, uzyskując połączenie z Ongola w Ładowisku. - Te cholerne twory przesunęły się na północ, Zi. Potrzebne nam posiłki.

- Podaj mi współrzędne - odparł Ongola, wydając zwięzłe rozkazy i gestem pokazując Jake'owi, by skontaktował się z Dieterem lub Borisem. - Zróbcie, co się da. Wyślemy wam kolejny szwadron czy dwa na pomoc. Zaalarmuję Drake'a.

Odnaleziono Borisa, którzy przeprowadził kilka szybkich obliczeń.

- Uderzą na Calusę i Bordeaux. Wygląda na to, że przesunęły się pięć stopni na północ. To nie ma sensu. Czemu, do licha, miałyby tak nagle się przesuwać?

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Ongola się rozłączył.

- Masz tutaj rozkład tygodnia, Jake? Sprawdź, gdzie dzisiaj jest Kwan. Ja zadzwonię do Chucka Haversa do Calusy.

Telefon odebrała Sue Havers. Po pierwszym szoku szybko doszła do siebie.

- Mamy jeszcze kilka godzin, prawda? Poza tym mógłby nas ominąć? Liczę na to. Nie wiem, gdzie Chuck dziś pracuje. Dziękuję, Zi. A, zaraz - dodała trochę mniej pewnym tonem. - Zadzwońisz do Mary Tubberman, czy ja mam ją ostrzec?

- Wyślemy tam Neda. - Ongola się rozłączył. Wykluczenie okazało się bardzo trudne dla krewnych. Ned był obowiązany pomagać matce oraz młodszym braciom i siostrze w walce z Nićmi. Jeżeli postanowił w potrzebie pomóc również ojcu, nikt poza rodziną nie będzie tego widział. Tubberman wcześniej obłożył swoje budynki metalem, więc jego farma była tak bezpieczna, jak tylko było to możliwe. Innej pomocy nie dostanie.

Następnie Ongola skontaktował się z Drake'iem i rozkazał mu trzymać się z dala od farmy Tubbermanów. Drake z początku protestował, że nie można zostawić ani jednej Nici na ziemi, niezależnie czy ktoś został wykluczony, czy nie.

- Ned z matką da radę chronić swój teren, Drake, a nam nie wolno pomagać Tedowi Tubbermanowi.

- Ale to są Nici, człowieku.

- A to jest rozkaz - odparł Ongola stanowczo.

- Tak jest!

Ongola poinformował Paula Bendena i Emily Boll o zmianie wzorca.

- Ezra powie, że to dowodzi, iż Opadami kierują inteligentne istoty - powiedział Paul Emily podczas konsultacji.

- Jeśli orzeł, to przegrywamy, jeśli reszka, też przegrywamy. W każdym razie ja tak to widzę - odparła gubernator z westchnieniem.

- Dobrze przynajmniej, że nie będziemy musieli długo czekać, by się przekonać. - Admirał ruchem głowy wskazał pas, gdzie trwała procedura końcowego odliczania dla Mola. Żadnemu z techników nie pozwolono się zaciągnąć do szwadronów pomocniczych. Ich praca przy wahadłowcu stała się teraz szczególnie istotna.

Zgodnie z nowym, lecz dobrze już utrwalonym zwyczajem, Drake Bonneau, wracając z walki z Nićmi, które o włos minęły Bordeaux, przechodząc nad rzeką Jordan, odwiedził farmę Haversow. Wylądował w miejscu, skąd było widać większy dom Tubbermanów.

- Ned i Mary wyszli z miotaczami - powiedział Chuck dowódcy szwadronu - ale wtedy, z jakiegoś szalonego powodu, Ted zaciągnął ich z powrotem do domu. Nie było chyba wielkich zniszczeń, bo dostrzegliśmy ich skutki.

- No cóż, w każdym razie wy jesteście bezpieczni - powiedział Drake serdecznie.

- Ekipy naziemne przybyły ze sporym wyprzedzeniem. Ale czy ktokolwiek wie, dlaczego wzorzec się zmienił? - zapytała Sue. Zmęczona walką, potrzebowała jakiejś iskiereki pocieszenia.

- Nie - odparł Drake beztrąsko - ale z pewnością wkrótce się dowiemy.

Przyjął filizankę orzeźwiającego napoju owocowego od najstarszej córki Haversow, która uraczyła nim całą załogę, po czym się pożegnał. Drake usłuchał rozkazu Ongoli i ominął farmę Tubbermana podczas Opadu, ale po tym, co Haversowie mówili o Tedzie, musiał zaspokoić ciekawość. Jego zdaniem wszystkie Nici powinny zostać zniszczone, nawet jeśli spadły na wykluczone domostwo. Twory nie zważały na ludzkie konflikty: one pożerały. Drake nie chciał patrzeć, jak w krajobrazie pojawia się goła plama z powodu wprowadzonych przez człowieka restrykcji.

Dlatego po starcie niby przypadkiem poleciał lekko w prawo, nad posiadłość Tubbermanów. Widział, jak Ned stoi na otaczającym dom kwadracie zieleni. Młody Tubberman machał rękami i gestykulował raczej dziko, ale w tym momencie Drake poczuł, że powinien słuchać rozkazów i skreślił na pomocny zachód do Lądowiska.

Siedział w stołówce i zabierał się właśnie do jedzenia, gdy Ned go odnalazł.

- Widziałeś to, Drake, wiem, że widziałeś. Musiałeś - powiedział Ned, w podnieceniu ciągnąc

Drake'a za rękaw, by postawić go na nogi. - Chodź, musisz im o tym opowiedzieć.

Drake wyrwał ramię.

- Komu i co mam powiedzieć? - Podniósł do ust kolejną porcję gorącego jedzenia. Po walce z Niciami zawsze miał niesamowity apetyt.

- Opowiedzieć Kwanowi, Paulowi i Emily, co widziałeś.

- Ale ja niczego nie widziałem! - Nagle w jego umyśle rozbłysło przypomnienie: Ned stojący na zielonym kwadracie, zielonym kwadracie otoczonym wypaloną ziemią. - Nie wierzę w to, co widziałem! - Otarł usta, przeżuując machinalnie i szukając jednocześnie w pamięci. - Przecież Nici przeszły nad waszą farmą, a Chuck i Sue widzieli, jak ojciec nie pozwala wam wyjść z miotaczami.

- No, właśnie! - Ned uśmiechnął się szeroko i znowu pociągnął Drake'a za rękaw. Dowódca szwadronu wstał i wyszedł za młodym Tubbermanem z pokoju. - Chcę, żebyś powiedział im, co widziałeś i poparł moje zeznania. Nie mam pojęcia, co tata zrobił. - Uśmiech zniknął; część optymizmu Neda się ulotniła. - Mówi, że wykluczenie działa w obie strony. Mama powiedziała, że ojciec zamyka się w swoim laboratorium i nikogo tam nie dopuszcza. Moi bracia i siostra często chodzą do Sue, ale mama nie opuści ojca, nawet jeśli ten rzadko przebywa w domu. Ona mówi, że musi dbać o farmę.

- Twój ojciec z czymś eksperymentował? - Drake był zdezorientowany.

- No, w końcu jest botanikiem. Mówił, że póki nie nadejdzie pomoc, jedyną obroną jest sama planeta. - Ned zwolnił kroku. - I ten kwadrat trawy musiał się jakoś sam obronić przed dzisiejszym Opadem, skoro wciąż tam jest!

Drake opowiedział wszystko Kwanowi, Paulowi, Emily oraz pospiesznie wezwanym Polowi i Bay. Ned upierał się, że widział, jak Nici spadają na otaczającą dom roślinność, ale żadna roślina nie kurczyła się i nie została pożarta. W momencie kiedy Drake przelatywał nad farmą, nie było już żadnego dowodu, że Nici w ogóle zaatakowały kwadrat o boku dwunastu metrów.

- Nie będę zgadywał, jak on to zrobił - powiedział w końcu Pol, patrząc na Bay. - Może udało mu się zaadaptować podstawy programu Kitti Ping do stosowania u mniej złożonych form życia. Jednak profesjonalnie muszę w to wątpić.

- Ale ja to widziałem - nalegał Ned. - Drake też to widział.

Zapadło długie milczenie, przerwane ostatecznie przez Emily.

- Ned, my nie wątpimy w twoje słowa ani w potwierdzenie Drake'a, ale jak powiedział twój ojciec, wykluczenie działa w obie strony.

- Jesteście zbyt dumni, żeby go zapytać, jak on to zrobił? - zapytał Ned, blednąc pod opalenizną. Nozdrza drgały mu z oburzenia.

- Tu nie chodzi o dumę - odparła Emily łagodnie. - Tu chodzi o bezpieczeństwo. Twój ojciec został wykluczony, gdyż sprzeciwił się woli kolonii. Jeżeli zaręczysz, że zmienił nastawienie, wtedy możemy zastanowić się nad jego ponownym przyjęciem.

Ned się zarumienił, spuszczać oczy pod tolerancyjnym spojrzeniem Emily. Westchnął głęboko.

- Ojciec nie chce mieć do czynienia z Ładowiskiem ani którymkolwiek z jego mieszkańców. - Nagle chwycił za brzeg stołu i pochylił się nad nim w stronę gubernator. - Ale zrobił coś niewiarygodnego. Drake to widział.

- Rzeczywiście widziałem poszycie tam, gdzie nie powinno go być - przytaknął Drake.

- Może twoja matka mogłaby złożyć zeznania w jego imieniu? - zapytał Paul, chcąc znaleźć jakieś honorowe wyjście dla dobra Neda.

- Mama mówi, że ojciec rozmawia tylko z Peteyem, a ten przyrzekł zachować tajemnicę, więc nie naciska na niego. - Twarz Neda na dłuższą chwilę wykrzywił grymas udręki. Jednak chłopak rozjaśnił oblicze. - Zapytam ją. Peteya też. Mogę spróbować!

- To dla ciebie też nie było łatwe, Ned - odezwała się Emily. - Wszyscy chcielibyśmy, żeby ta

sprawa znalazła szczęśliwe rozwiązanie. - Dotknęła jego dłoni, wciąż zaciśniętej na brzegu stołu. - Teraz wszyscy są nam potrzebni.

Ned spokojnie spojrzał jej w oczy i powoli skinął głową.

- Wierzę pani, pani gubernator.

- Czasem obowiązki związane z tą rangą są bardziej męczące, niż to wszystko jest warte - mruknęła Emily do Paula, gdy wąż wahadłowca zamknął się ostatecznie za Nabhim Nabolem i Bartem Lemosem. Mówiła cicho, gdyż wszyscy młodzi ludzie ze szwadronu Nabiego przyszli, by życzyć szczęścia swojemu przywódcy. Gubernator odwróciła się i uśmiechnęła do nich, sprowadzając wszystkich z pasa na bezpieczniejsze linie boczne, po czym razem z technikami stanęła, by czekać na start.

Czekali i czekali, aż admirał i gubernator zaczęli rzucać niespokojne spojrzenia w stronę wieży meteorologicznej. Właśnie w chwili, gdy doszli do wniosku, że Nabhi stchórzył - gdyż podświadomie cały czas się tego spodziewali - usłyszeli ryk silników i ujrzeli, jak z dysz wylewa się żółtobiały płomień.

- Porządnie się pali! - wrzasnął Paul, przekrzykując hałas. Emily ograniczyła się do skinięcia głową i zatkała uszy palcami.

Nie знаła się zbyt dobrze na mechanice wahadłowców, ale młodzi ludzie uśmiechali się szeroko i triumfalnie wymachiwali ramionami. Widok ulgi na twarzy Fulmara był niemalże komiczny. Wahadłowiec majestatycznie podniósł się z pasa, w niewiarygodnym tempie nabierając prędkości. Statek wchodził w kolejne fazy lotu gwałtownie, ale z gracją. W końcu ogień zagubił się w błękitnie nieba, a obserwatorzy osłonili oczy przed wschodzącym słońcem. Wtedy pod wahadłowcem rozkwitła smuga kondensacyjna, piętząc się ku górze jako ślad statku. Technicy, którzy umożliwili pomyślny start, wiwatowali i poklepywali się po plecach.

- Kurczę, jednak dobrze było znowu wypuścić staruszkę w niebo! - zawołał jeden z nich. - Hej, co im się stało? - dodał, wskazując kilka sfors smoczków, które jakby znikąd się pojawiły nad pasem, dziwacznie zawodząc.

- Kto będzie miał dziecko? - zapytał Fulmar.

Emily i Paul wymienili spojrzenia.

- My - powiedziała gubernator, wskakując szybko do skutera. - Widzicie? Lecą prosto do Pola Wylęgowego.

Patrząc w stronę Lądowiska nie można było mieć wątpliwości, że smoczki kierują się właśnie tam. Nikt na pasie nie zwlekał. Dach nad Terenem Wylęgowym szczelnie pokrywały śpiewające i świergoczące stworzonka. Kakofonia była raczej podniecająca niż irytująca. Kiedy admirał i gubernator przybyli na miejsce, musieli przeciskać się przez tłum, żeby otworzyć podwójne drzwi.

- Witajcie w dziewięćsetkrotnej harmonii - mruknęła Emily do Paula, gdy oboje szli w stronę gorącego piasku. Tam zatrzymali się, zaskoczeni uroczystym nastrojem zebranych.

Kitti Ping zostawiła dokładne instrukcje, kto ma uczestniczyć w dniu narodzin. Sześćdziesięciu młodych ludzi w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat, którzy dali już dowody sympatii dla smoczków, dostało przywileju otoczenia kręgu jajek. Wind Blossom, Pol, Bay i Kwan stali z zarumienionymi twarzami po jednej stronie drewnianej platformy.

Pieśń smoczków na zewnątrz brzmiała cicho i uroczyście, te zaś, które zdołały dostać się do środka, niemalże pełne czci, wydawały dźwięki jakby tłumionej zachęty.

- Nie mogą chyba wiedzieć, czego dziś oczekujemy, prawda, Paul?

- Młody Sean Connell - Paul wskazał chłopaka, który wraz z żoną stał w kręgu wokół jajek - próbowałby przekonać cię, że wiedzą. Ale z drugiej strony narodziny zawsze je przyciągały. Przecież własnych młodych też grupowo bronią przed atakiem.

Wśród widowni rozległy się uciszające posykiwania. Wreszcie rozległ się wyraźny trzask. Jedno z jajek zakołysało się lekko, wywołując pełne podniecenia szepty.

Emily skrzyżowała palce, kryjąc je w fałdach spodni. Uśmiechnęła się, gdy spostrzegła, że inni robią to samo. Tak wiele zależało od wydarzeń tego dnia: od pierwszego wylegu oraz od zachowania Nabiego Nabola, który nie mógł się już wycofać.

Kolejne jajko pękło, a trzecie się poruszyło. Chór smoczków stał się czarująco natarczywy, poruszając we wszystkich patrzących struny uczucia.

Nieoczekiwanie jedno z jajek pękło całkowicie i ukazało się wilgotne stworzenie; potrząsnęło króciutkimi skrzydełkami i potknęło o skorupkę, piszcząc żałośnie. Smoczki odpowiedziały uspokajająco. Młodzi ludzie w kręgu nie ruszyli się z miejsca, a Emily podziwiała ich odwagę, gdyż ta niezgrabna istota nie była pełnym gracji stworzeniem, jakiego oczekiwała, kształtując swoje wyobrażenie w oparciu o stare legendy i ilustracje przechowywane w bibliotecznych skarbcach. Przyłapała się na wstrzymywaniu oddechu i szybko wypuściła powietrze.

Stworzenie rozprostowało skrzydła; były szersze i cieńsze, niż się spodziewała. Mały smok wyglądał na wątłego i niezgrabnego, a jego bardzo dziwne oczy połyskiwały czerwono i żółto. Emily poczuła przypływ niepokoju. Stworzonko krzyknęło rozpaczliwie. Natychmiast odpowiedział mu chór głosów z góry. Istotka ruszyła przed siebie, nawołując prosząco, po czym jej krzyk stał się nagle radosny, przybrał wysoką, słodką nutę. Kolejny niezdarny krok i smok upadł u stóp Davida Catarela, który pochylił się, żeby go podtrzymać.

Chłopak spojrział w górę, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- On mnie chce!

- Więc go przyjmij! - zawołał Pol, gestem wskazując jednemu z pomocników, żeby podszedł bliżej z misą jedzenia. - Nakarm go! Nie, niech nikt ci nie pomaga. Więc powinna powstać teraz!

Kłęcząc obok swojego nowego podopiecznego, David podał małemu smokowi kawałek mięsa. Stworzonko połknęło go łapczywie i zawołało o jeszcze, nagłaco szturchając głową nogę Davida.

- Mówi, że jest bardzo głodny! - zawołał David. - Mówi do mnie. W mojej głowie! To niewiarygodne. Jak ona to zrobiła?

- A więc mentasynt działa! - mruknęła Emily do Paula, który skinął głową, nie wyglądając na szczególnie zaskoczonego.

- Na bogów, ależ brzydactwo - powiedział admirał bardzo cicho.

- Sam pewnie nie byłeś wiele ładniejszy po urodzeniu - odparła Emily wbrew sobie. Uśmiechnęła się, gdy mężczyzna zerknął na nią zaskoczony.

David wywabił swojego nowego przyjaciela z kręgu ludzi i poprowadził w stronę skraju Terenu Wylęgowego, wołając o więcej jedzenia.

- Polenth mówi, że umiera z głodu!

Bay już wcześniej wydała polecenie, by przyniesiono dużo świeżego mięsa, pochodzącego ze zwierząt, które dobrze zaadaptowały się do wzbogaconych pernijskich traw. Młode smoczki w pierwszych miesiącach po urodzeniu miały potrzebować dużo boru, a najlepiej przyswajały go sobie właśnie z wołowiny.

Kolejne jajko pękło i drugi spiżowy samiec w prostej linii popędził do Petera Semlinga. Sfora smoczków Petera zaśpiewała przenikliwie. Nastąpiła druga chwila przerwy. Patrzący zaczęli pomrukiwać niespokojnie. Nagle cztery skorupki rozpadły się gwałtownie; z dwóch wyrzwały nieoczekiwanie cętkowane istotki, jedna złota i jedna spiżowa, które wybrały sobie na partnerów Tarrie Chernoff i Shiha Lao; z pozostałych dwóch wygramoliły się flegmatycznie wyglądające brązowe, ruszając w stronę Otta Hegelmana i Paula Logiridesa.

- Czy wszystkie mają się wykluc dzisiaj? - spytała Emily.

- Podejdźmy do Pola i Bay - odparł Paul. Krok po kroku precyzyjnie się na prawo, zatrzymując, by popodziwiać spiżowe stworzonko Davida Catarela, które przełykało kawałki mięsa tak szybko, jakby je wdychało. David sprawiał wrażenie, jakby był w ekstazie.

- To możliwe - powiedział Pol, kiedy do niego dotarli. Dobrze maskował niepokój. Wind Blossom nie skrywała go wcale i ledwo przyjęła do wiadomości ciche powitanie admirała i gubernator. - Stworzono je w trzydzieści sześć godzin. Sześć, które się wylęgło, należało do pierwszej i drugiej grupy. Możliwe, że teraz będziemy musieli poczekać. Z obserwacji dzikich smoczków wiemy, że składanie jaj może potrwać kilka godzin. Podejrzewam, że zielone i złote mogą przypominać jedną z ziemskich żmij, która potrafi przetrzymać jaja w ciele, póki nie znajdzie odpowiedniego miejsca czy czasu, żeby je złożyć. Wiemy, że złożone w naturalny sposób, wykluwają się mniej lub bardziej symultanicznie. To tutaj - wskazał na Teren Wylęgowy - jest dowodem poszanowania Kitty Ping dla środowiska ich przodków. Aha, kolejne pęka. - Spojrzał na, trzymaną w dłoni kartkę. - Z trzeciej grupy!

- Sześć samców, ale tylko jedna samica - powiedziała Bay cicho. - Szczerze mówiąc, wolałabym więcej samic. Jak myślisz, Blossom?

- Jeden perfekcyjny samiec i jedna perfekcyjna samica w zupełności wystarczą - odparła Wind Blossom suchym, opanowanym tonem. Dłonie trzymała ukryte w szerokich rękawach, ale jej twarz była ściągnięta ze zdenerwowania, a oczy pochmurne.

- Spizowy Petera Semlinga wygląda krzepko - powiedziała Emily zachęcająco. Wind Blossom nie odpowiedziała; wzrok miała wlepiony w jajka. - Czy są takie, jak oczekiwaliście? - zapytała, spoglądając na Pola i Bay.

- Nie - przyznała Bay. - Ale z drugiej stronie jedynie Kitty miała koncepcję ich wyglądu. Gdyby tylko... - urwała. - O, kolejna samica. Myślę, że Kitty Ping wprowadziła imperatyw płci partnera. Idzie do Nyassy Clissmann. Takie słodkie stworzonka!

Emily nie dostrzegała słodyczy w małych smokach, ale cieszyła się, że aż tyle przeżyło. Co miała na myśli Kitty Ping, kiedy zmieniała komórki jajowe? To nie były smoki żadnego znanego Emily rodzaju. A mimo to nieoczekiwanie ujrzała oczami duszy niebo pełne tych stworzeń, śmigających w powietrzu, nurkujących, plujących ogniem. Czy Kitty J?ing też miała taką wizję?

- Wahadłowiec! - powiedział nagle Pol. - Czy dobrze słyszałem, że wystartował?

- Tak, udało się - odparł Paul. - Ongola będzie nas informował. Nie mamy tyle paliwa, by starczyło na bezpośredni lot. Mol będzie musiał dryfować przez tydzień, zanim dotrze do ogona.

- Rozumiem. - Pol ponownie skupił się na jajkach.

Tłum się poruszył; niektórzy ludzie wracali do przerwanych prac, inni się przesuwali, by zająć ich miejsca. Biologom i przywódcom przyniesiono na platformę jedzenie, a także drewniane ławki do siedzenia. Wind Blossom nie usiadła. Jedzenie zaniecono także do kręgu pełnych nadziei przyszłych smoczyczych jeźdźców. Zachęcający śpiew smoczków nie ustawał. Emily zastanowiła się, jak stworzonka mogą wytrzymać tak długo.

Zanim stało się coś jeszcze, zdążył zapaść zmierzch, ale wtedy jeden brązowy i dwa złote jednocześnie skruszyły skorupki. Marco Galliani dostał brązowego, a Kathy Duff i Nora Sejby dwie złote. Rozległy się wiwaty.

Tłum się przerzedzał, ale smoczki trwały na posterunkach i ciągnęły swą pełną zachęty pieśń. Emily poczuła zmęczenie i ujrzała, jak ogarnia ono również innych. Przysypiała już, kiedy Catherine Radelin-Doyle dostała swoją złotą.

- Samica zawsze idzie do kobiety? - zapytała Pola. - A samiec do mężczyzny?

- Kitty uznała to za logiczne, skoro samce mają być wojownikami, a samice mają znosić jajka.

- Logiczne dla niej - odparła Emily, już lekko otumaniona. - Nie ma błękitnych i zielonych - spostrzegła nagle.

- Kitty zaprogramowała tylko cięższe samce, ale jak sędzę, noszą plemniki dla wszystkich odmian. Zielone będą najmniejsze, to wojownicy; błękitne bardziej krzepkie, obdarzone statyczną siłą; brązowe mają stanowić coś w rodzaju głównych sił, o dużej wytrzymałości. Pamiętaj, że powinny walczyć od czterech do sześciu godzin! Spizowe mają być

przywódcami, a złote...

- Będą siedzieć w domu i znosić jajka.

Pol rzucił Emily długie spojrzenie. Na jego zmęczonej twarzy wyraźnie malowało się zaskoczenie jej sarkazmem.

- W naturalnych warunkach zielone nie są obdarzone szczególnym instynktem macierzyńskim. A złote tak - wtrąciła Bay, patrząc na gubernator dość dziwnie. - Kitti Ping zachowała z ich naturalnego instynktu tak dużo, jak było możliwe. Przynajmniej tak wynika z jej programu.

- Proszę! - odezwał się Nabhi, odchylając się od konsoli, a jego smągła twarz jaśniała od nie skrywanej satysfakcji. - Kenjo nie był jedynym, który oszczędzał paliwo.

Bart zagapił się na niego, zaskoczony i zmieszany.

- Oszczędzał na co, Nabhi? - Powiedział to nieco ostrzej, niż zamierzał, ale nie był w stanie opanować napięcia. Nie chodziło o to, że nie ufa Nabhiemu jako pilotowi; Nabhi dobrze prowadził, inaczej Bart nie dałby się namówić na uczestnictwo w tak szalonym przedsięwzięciu, nawet za najlepszą ziemię na całym Pernie.

- Na manewry - odparł Nabhi. Złośliwy uśmiech bynajmniej nie ukoił nerwów Barta.

- Gdzie? Nie chcesz chyba... nie jesteś chyba tak szalony, by lądować na tej zapowietrzanej planecie? - Bart zacisnął palce wokół pasów zwalniających, ale Nabhi wykonał niespieszny gest zaprzeczenia.

- W żadnym razie. Mam tylko dostać strąki, czy jak im tam. - Jego uśmiech poszerzył się, a Bart był zaskoczony widząc, ile w nim jest humoru. - Idziemy mniej więcej tym samym kursem co Avril. - Obrócił głowę i spojrzał prosto na drugiego pilota.

- No, więc?

- Mówią, że gig wybuchł. - Nabhi uśmiechał się teraz z nie skrywaną złośliwością. - Włącz ekrany. Możemy się natknąć na interesujące śmieci. Diamenty, samородki złota, czy cokolwiek Avril ze sobą zabrała. Nikt nie musi się dowiedzieć, co jeszcze zebraliśmy w przestrzeni. A to z pewnością łatwiejsze, niż własnoręczne wykopywanie kamieni.

Przed północą Pol i Bay postanowili zbadać pozostałe jajka. Niespiesznie zrobili obchód. Dla kandydatów przyniesiono drewniane platformy, gdyż gorący piasek był bardzo nieprzyjemny. Żaden z wybranych nie chciał stracić szansy zyskania smoczego przyjaciela przez opuszczenie terenu wylądowego.

Kiedy dwójka biologów wróciła, Pol kręcił głową, a Bay wyglądała na wyczerpaną. Poszła bezpośrednio do Wind Blossom i dotknęła jej ramienia.

- Cała reszta z pierwszej grupy nie daje znaku życia. Ale wynik i tak jest lepszy, niż zakładaliśmy. W innych stwierdziliśmy oznaki żywotności. Możemy jedynie czekać. Nie wszystkie zostały zapłodnione w tym samym czasie.

Wind Blossom trwała nieruchoma jak posąg.

Sean szturchnął Sorkę w zebro, żeby ją obudzić. Dziewczyna zasnęła, z policzkiem wtulonym w ramię męża. Natychmiast się rozbudziła, całkowicie świadoma i przytomna. Sean wskazał największe jajko, leżące prawie dokładnie naprzeciw niego. Specjalnie zajął to miejsce i teraz, po drugim czuwaniu, jajko lekko się kołysało.

- Która godzina? - zapytała Sorka.

- Już prawie świt. Nic się nie działo. Ale posłuchaj smoczków. Posłuchaj Blaze. Już prawie ochrypła!

Smoczki śpiewały od samego początku tego długiego dnia i Sorka nabierała otuchy słysząc ich nieustanną, chóralną zachętę.

- Tamto jajko ruszało się spazmatycznie przez ostatnie dwie godziny - powiedział cicho. - To

drugie, za nim, kołysało się przez chwilę, ale teraz zupełnie znieruchomiło.

Sorka usiłowała stłumić ziewnięcie, ale w końcu poddała się odruchowi i natychmiast poczuła się lepiej. Chciała się przeciągnąć, ale któryś z kandydatów spał na jej nogach. Inni zaczęli się budzić.

Kiedy Sorka drzemała, admirał i gubernator wyszli. Pol i Bay wspierali się o siebie, a Kwan trzymał głowę zwieszoną na piersi i ręce luźno opuszczone na kolana. Wind Blossom najwyraźniej nie poruszyła się od momentu, gdy rozpoczęła czuwanie.

- Ona jest niesamowita - powiedziała Sorka, odwracając się od genetyczki.

Pojedynczy, głośny trzask zaskoczył wszystkich. Jajko przed Seanem i Sorka rozpadło się na dwie postrzępione połówki. Spiżowy smok stanął dumnie, uniósł główkę i wydał dźwięk przypominający zatkaną trąbkę. Wszyscy się ocknęli. Sean zerwał się z miejsca a Sorka popchnęła go, żeby się pospieszył. Nie musiała się obawiać. Sean, gdy tylko napotkał wzrokiem spojrzenie stworzenia, wydał niski, niedowierzający jęk i rzucił się do przodu, by spotkać się z maleństwem w pół drogi. Ich sfora wydzierła się triumfująco.

- Mięsa, szybko! - zawołała Sorka, przynaglając śpiącego pomocnika. Miała nadzieję, że jedzenie nie zepsuło się na skutek panującego z budynku gorąca. Podbiegła do mężczyzny, chwyciła miskę i wróciła, by wcisnąć ją do rąk Seanowi. Nigdy dotąd nie widziała tak wniebowziętego wyrazu w oczach męża.

- Mówi, że nazywa się Carenath. Zna własne imię! - Sean, jak najszybciej potrafił, wpychał jedzenie z miski prosto w pysk smoka. - Więcej mięsa. Szybko, potrzebuję więcej mięsa.

Jego wibrujący głos obudził wszystkich. Nagle drugie jajko pękło i wydostała się z niego złota samiczka, poćwierkując i rozglądając się nagłaco dookoła. Sorka była zbyt zajęta podawaniem Seanowi kolejnych misek, by zauważyć cokolwiek, póki Betsy nie pociągnęła jej za ramię.

- Ona patrzy na ciebie, Sorka. Spójrz na nią!

Dziewczyna odwróciła głowę i nagle ona także poczuła obecność czyjś umysłu we własnej głowie; umysłu, który radował się ze znalezienia równego sobie, dożywotniego partnera. Poczuła uniesienie, które było niemalże bolesne.

Nazywam się Faranth, Sorko.

Rozdział VIII

- Dowiedzieliśmy się bardzo wiele z jajek, które się nie wylęgły - powiedział Pol Emily i Paulowi, składając im wraz z Wind Blossom i Bay dwa wieczory później raport.

- Czyli wszystko jest w porządku?

- Och, w zupełności - odparła Bay entuzjastycznie, uśmiechając się szeroko i z wigorem kiwając głową. Wind Blossom zdobyła się na blady, powściągliwy uśmiech. Nastrój przygnębienia, jaki roztaczała wokół siebie w Dniu Wylęgu, zmienił się na pełną rezerwy wyższość.

- Czyli uważacie, że osiemnaście młodych stanie się w pełni sprawnymi dorosłymi? - zapytał Paul Wind Blossom.

Kobieta skłoniła głowę.

- Musimy cierpliwie oczekiwać ich dojrzałości.

- Ale będą potrafiły wytwarzać ogień ze skał zawierających fosfinę i przenikać pomiędzy, jak smoczki? - dopytywał się admirał.

- Ja jestem jak najlepszej myśli - odparł Pol, kiedy Wind Blossom nic nie powiedziała. - Bay także, gdyż stwierdziła, że mentasynt wywołał silną empatyczną więź oraz zdolność telepatycznego porozumiewania.

- Autentyczny kontakt umysł w umysł - dodała Bay, uśmiechając się z satysfakcją. -

Szczególnie silny u Sorki i Seana.

- Smoki zostały zaprojektowane - powiedziała Wind Blossom z naciskiem - żeby umożliwić Naznaczenie u istot nienależących do gatunku ich protoplastów. Pod tym względem program został uwieńczony sukcesem. - Uniosła rękę. - Musimy poskromić niecierpliwość i dążyć do osiągnięcia doskonałych okazów.

- Przeniesienie Naznaczenia na inne gatunki było najważniejszym aspektem programu - odezwał się Pol, marszcząc lekko brwi. - Ostatecznie wszystkie smoczki teleportują się równie łatwo, jak oddychają.

- Smoczki tak - odparła Wind Blossom zimno. - Ale czy smoki, tego jeszcze nie wiadomo.

- Kitty Ping nie zmieniała tych zdolności. Oczywiście, będą one musiały być udoskonalone i kontrolowane - ciągnął Pol. Nie podobało mu się nastawienie Wind Blossom, jej niechęć do uznania już osiągniętych sukcesów. - Muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż oboje Connellowie zostali Naznaczeni. Ich weterynaryjne przeszkolenie, ogólna kompetencja, nie mówiąc już o udowodnionej zdolności do narzucania dyscypliny sformom smoczków, sprawiają, że trudno wyobrazić sobie lepszych kandydatów.

Wind Blossom wydała cichy odgłos, który słuchający odebrali jako dezaprobatę.

- Są wykwalifikowani - powiedziała Bay z niespodziewanym zapalem. - Ktoś musi zrobić początek.

- Rozwój smoków musi być ściśle nadzorowany - odezwała się Wind Blossom - żebyśmy wiedzieli, jakich błędów trzeba uniknąć następnym razem.

- Następnym razem? - Emily zamrugnęła oczami ze zdziwienia i zauważyła, że Bay i Pol reagują podobnie.

- Nie wiem jeszcze, czy te stworzenia pod innymi względami będą działać na spodziewanym poziomie, zarówno jeśli chodzi o naturalne, jak i o zaprojektowane zdolności. - Jej grobowy ton sugerował, że ma poważne wątpliwości.

- Jak możesz wątpić... - zaczął admirał dość gwałtownie. Zdecydowany gest uciszył go w pół słowa. Pol zagapił się na Wind Blossom.

- Zacznę od nowa - poinformowała ich Wind Blossom tonem, w którym pobrzmiwała męczeńska nuta. Admirał i Bay spojrzeli na nią zaskoczeni. - Biorąc pod uwagę to, czego dowiedziałam się z badań post mortem, nie mogę być pewna, że którekolwiek z żyjących stworzeń okaże się płodne i zdolne do rozmnażania. A to właśnie jest najważniejsze: zdolność do rozmnażania! Muszę próbować raz po raz, póki nie osiągniemy całkowitego sukcesu. Eksperyment dopiero się rozpoczął.

- Ależ Wind Blossom... - wykrztusił zdumiony Pol.

- Chodźcie, musicie mi pomóc. - Kobieta władczo machnęła ręką i wyszła z pokoju.

Ani weterynarze, ani ksenobiologowie nie znali żadnych kryteriów, wedle których mogliby oceniać stan osiemnastu przedstawicieli nowego gatunku. Jednak olbrzymi apetyt smoków, żywe kolory ich zamszopodobnej skóry oraz łatwość, z jaką wykonywały ćwiczenia fizyczne - ograniczające się głównie do jedzenia i wymachiwania skrzydłami - uznano za oznaki zdrowia. W pierwszym tygodniu życia wszystkie urosły przynajmniej o dłoń i zaokrągliły się wyraźnie; wyglądały teraz o wiele lepiej. A kiedy przezroczyste skrzydła stały się namacalnie mocniejsze, ludzie martwiący się o ich wątłość poczuli ulgę.

Oficjalny zespół medyczny patrzył zafascynowany, jak małżeństwo Connellów kąpie i naciera oliwką swoje dziesięciodniowe smoki. W pobliżu domów wszystkich smoczych opiekunów zbudowano duże, płytkie baseny z siliplasu. Faranth nieśmiało zerkała na ludzi, przyglądających jej się z podziwem.

- Ona się drapie, tato - powiedziała rozbawiona Sorka, wylewając oliwkę na łuskowatą plamę między wypukłymi bokami. - Tutaj cię swędzi, Farrie?

Nazywam się Faranth i wiośnie tutaj mnie swędzi, powiedziała Faranth tonem, który

przechodził od urazy do ulgi. Teraz zaczyna mnie swędzieć tylna noga.

- Nie lubi zdrobnień - stwierdziła Sorka tolerancyjnie, uśmiechając się do ojca. - Ale uwielbia być drapana. - W tym celu sporządzono specjalną włosianą szczotkę, wystarczająco gęstą, by wcierać oliwkę, ale niezbyt ostrą, by nie uszkodzić delikatnej, gładkiej skóry.

Nagle Carenath zamachał w płytkiej wodzie błyszczącymi z wilgoci skrzydłami, opryskując całe zgromadzenie.

- Carenath, zachowuj się! - przemówili Sorka i Sean identycznym ostrym tonem.

Już jestem czysta, ty nakrapiany idioto, powiedziała Faranth, idealnie naśladowując pełen nagany ton, jaki zasłyszała u Sorki. Byłam już prawie sucha, a teraz znowu trzeba mnie będzie natrzeć oliwą.

Sean i Sorka roześmieli się, po czym zaczęli pospiesznie wyjaśniać przemoczonym ludziom, że rozbawiły ich słowa Faranth, a nie psoty Carenatha. Connell machnął ręką w stronę smoczków usadowionych na belce pod dachem i najwyraźniej obserwujących wszystko, co się działo na dole. Prawie natychmiast zmoczeni obserwatorzy zostali zarzuceni ręcznikami.

- Użyteczne stworzenia, Sean - stwierdził Red Hanrahan, osuszając twarz i dłonie oraz strzepując wodę z ubrania.

- Bardzo przydają się przy młodych smokach, Red - odparł Connell. - Łowią ryby dla tych głodomorów.

Sprawiam ci aż tyle kłopotów? Carenath wyglądał na zasmuconego.

- Wcale nie, maleńki - szybko zapewnił go Sean, pieszczotliwie gładząc przechyloną żałośnie główkę. - Nie bądź głupi. Jesteś młody, masz apetyt, a karmienie was to nasz obowiązek.

Red zaczynał się już przyzwyczajać do nagłych non sequitur swojej córki i zięcia, ale inni byli zaskoczeni. Faranth szturchnęła łebkiem Sorkę, a kiedy również otrzymała podobne zapewnienie, jej oczy stały się niebieskie z zadowolenia.

- Czy nie można by już na nich jeździć? I wysłać na samodzielne polowanie? - zapytał Phas Radamanth.

- Nie jeździ się na żrebackach, nawet dużych i silnych - odparł Sean, wcierając oliwkę w szorstką plamę na szerokim grzbiecie Carenatha. - Program Kitti Ping sugeruje, żeby odczekać cały rok, zanim tego spróbujemy.

- Czy możemy sobie pozwolić na czekanie? - Ludzie nie potrafili zapomnieć o Niciach i konieczności walki z nimi.

- Nigdy nie poganiałem koni - oznajmił Sean - i nie będę tego robił z moim smokiem. Jednak rosną bardzo szybko i jeżeli tylko ich szkielet będzie się rozwijał prawidłowo, wiesz, że jest on borowo-krzemowy, twardszy od naszego wapniowego, to zapewne osiągną gotowość do noszenia jeźdźca zgodnie z planem. - Connell uśmiechnął się szeroko. - Kurczę, wtedy się dopiero zabawimy, maleńki, no nie?

Czułość, troska i głębokie uczucie słyszalne w głosie Seana były prawie żenujące. Red z zaskoczeniem spoglądał na zięcia. A więc Naznaczenie zmieniło młodego Connella, podobnie jak zmieniło wszystkich smoczych partnerów. Nawet Sorka, która zawsze była troskliwa i zręczna, wyglądała teraz na silniejszą i promieniowała jakimś czarem, którego nie dało się całkowicie wytłumaczyć ciążą.

Najbardziej spektakularnie zmienił się młody David Catarel. Po Pierwszym Opadzie i tragicznej śmierci Lucy Tubberman zostało mu wiele fizycznych i psychicznych blizn; młody człowiek zaczął sobą gardzić i pozwolił, by zawaładnęło nim poczucie winy. Nawet intensywna terapia nie mogła tego przełamać. David zwalczał Nici z mściwą zaciekłością, na którą aż strach było patrzeć. Dopiero kiedy spostrzegł, jak użyteczne są smoczki w ekipach naziemnych, postanowił tolerować ich pełną tęsknoty miłość.

Odnowa osobowości Davida rozpoczęła się w momencie, gdy Polenth trącił go nosem w kolano. Uśmiechając się szeroko, David Catarel w ekstazie opuścił piaski wylęgowe, troskliwie i zręcznie pomagając maszerującemu z trudem smokowi. W pozostałych młodych

ludziach również zaszły zmiany na lepsze, chociaż tendencja Catherine Radelin-Doyle do chichotania w odpowiedzi na niesłyszalne komentarze swej złotej towarzyszki była nieco denerwująca. Shih Lao, który Naznaczył spizowego Firtha, również chodził z uśmiechem na niegdyś melancholijnej twarzy, Tanie Chernoff przestała przeproszać za wszystkie drobne błędy czy potknięcia, a Otto Hegelman raz na zawsze skończył z jajaniem.

- Ich wygląd to wasza zasługa - powiedział Sorce i Seanowi Ceasar Galliani. - Chociaż moim zdaniem Duluth Marca wygląda równie dobrze.

Connell uśmiechnął się szeroko do właściciela Romy.

- To prawda. Jak długo mają co jeść, gdzie spać...

- Jeśli są kapane, pieszczone, nacierane oliwką i drapane, nie mają powodów do narzekań - dokończyła Sorka, po raz ostatni gładząc nos Faranth. - Proszę, kochanie, może teraz się trochę prześpisz?

Carenath jeszcze nie skończył, poskarżyła się smoczyca, idąc jednocześnie w stronę nagrzanego słońcem plaskretu, na którym przywykła robić sobie legowisko. Lubię się o niego opierać. Jestem trochę głodna.

Sorka wsunęła palce między zęby i gwizdnęła przenikliwie. Smoczki zniknęły natychmiast.

Wszystko czyste, zawołał Carenath, wyskakując z kąpieli. Ostrzeżony przez Seana, nie otrząsnął się z wody. Ostrożnie rozprostował wilgotne, migoczące skrzydła, trzymając je wysoko na łagodnym wietrze, podczas gdy Connell, z pomocą żony, osuszał ich wewnętrzną powierzchnię.

- Może czegoś ci potrzeba, Sean, skoro już tu jesteśmy? - zapytał Red.

- Nie - stęknął Connell, pochylając się, by wytrzeć pochwęki pazurów. Ich rozstawienie było jedną z niewielu fizycznych modyfikacji, które wprowadziła Kitty Ping podczas przekształcania smoczków w smoki. Doszła do wniosku, że pazury przypominające palce będą bardziej użyteczne do chwytania biegnących zwierząt niż przypominające obcegi pazurki smoczków. - Jeszcze tylko je nakarmimy i sami pójdziemy coś przekąsić.

- Zdumiewająca para - stwierdził Phas Radamanth, uśmiechając się do Reda. - Jeżeli tylko spizowy okaże się płodny, a złota chętna, będziemy mieli następne pokolenie.

- Lepiej nie wybiegajmy z naszymi nadziejami tak daleko w przyszłość - powiedział Caesar, oglądając się przez ramię na smoki. - Wind Blossom zaleca ostrożność, jeżeli chodzi o pierwszy miot.

- To jej babka je zaprojektowała - odparł Phas stanowczo, zatrzymując się w pół kroku.

- No cóż, zaprojektowała też te niedoskonałe, które się nie wylęły.

- Osiemnaście to bardzo dobry wynik, a poza tym wiele się nauczyliśmy z sekcji przeprowadzonych na obumarłych - powiedział Phas.

Szykowali się właśnie do odejścia, kiedy powietrze wypełniło się smoczkami, niosącymi w pazurkach sporych rozmiarów ropnice. Smoki uniosły głowy, otworzyły pyski i przyjęły poczęstunek jak przynależną im daninę. Mężczyźni uśmiechnęli się i ruszyli na poranny obchód.

Kiedy Faranth i Carenath się najedli, z rozkoszą poszli spać. Carenath porządnie złożył trójkątną głowę na wyciągniętych przednich łapach, Faranth oparła szyję o jego zad. Jej ogon podrygiwał co jakiś czas tuż przed jego pyskiem, a skrzydła osunęły się lekko w dół ze złożonej pozycji na grzbiecie. Świeżo natłuszczona skóra obu smoków błyszczała w słońcu.

- Naprawdę się ucieszę, kiedy zaczną same polować - mruknął Sean do Sorki, gdy zmęczeni usiedli na ziemi w cieniu wschodniej ściany ich domu.

- Ale teraz - odparła kobieta, sięgając po dzbanek z wodą - nie dalibyśmy sobie rady bez naszej sfory. - Posłała silne uczucie wdzięczności pod adresem Duke'a, Emmetta, Blazer i innych. Ich odpowiedź, stłumiona nieco ze względu na drzemiące smoki, brzmiała wyraźnie: "Nie ma sprawy".

- Architekci Ładowiska nie wzięli pod uwagę wymagań smoków - zauważył Sean, przejmując

dzbanek z rąk żony. Mycie bardzo pobudzało pragnienie. - Kiedy urosną, coś trzeba będzie zrobić. W Ładowisku nie ma dość miejsca, żeby pomieścić wszystkich ludzi, a co dopiero smoki.

- Czy sądzisz, że byłoby im wygodnie w którejś z jaskiń Catherine? Wczoraj znowu o tym wspomniała.

- Owszem. A potem zaczęła chichotać.

Connellowie wymienili rozbawione i tolerancyjne uśmiechy. Opiekunowie smoków zorientowali się nagle, że znaleźli się w osobnej grupie, wyodrębnieni nie tylko przez zajęcie i oddanie, ale i przez subtelne zmiany, jakie w nich zaszły. Chociaż mieli wielu niewykwalifikowanych pomocników oraz pomoc ze strony zespołów medycznych, weterynaryjnych i biologicznych, odkryli, że rozwiązywanie mniejszych problemów we własnej grupie przynosi lepsze rezultaty. Po prostu trzeba było być smoczym opiekunem, żeby zrozumieć pewne problemy - i radości!

Sorka z dumą zauważyła, że pozostali często zasięgają opinii u Seana. Nie dziwiła się temu. Jej mąż zawsze miał wyczucie do zwierząt. Ale, jak zdała sobie sprawę, nie mogła szczerze nazywać smoków "zwierzętami". Były zbyt... ludzkie. Nawet ich głosy: Carenath przemawiał tonem, który brzmiał jak baryton Seana, wydobywający się z długiego tunelu. A Sorka podejrzewała, że głos Faranth jest po prostu wersją jej własnego tembru.

Kiedy przynieśli dwa maleństwa do Sektora Irlandzkiego, Sorka pojęła, że słyszy zarówno Faranth, jak i Carenatha, podczas gdy Sean słyszy jedynie Carenatha. Smokom najwyraźniej nie przeszkadzało, że kobieta rozumie ich oboje. Póki miały pełne brzuchy i natłuszczoną skórę, o nic się nie troszczyły. Później, kiedy więź Seana ze spizowym się pogłębiła, Sorka słyszała mniej osobistych wymian zdań. Ona także się nauczyła, i podejrzewała, że nauczyli się wszyscy opiekunowie, komunikować się telepatycznie na własnym paśmie.

- Sądzę, że będą gotowe do polowania za tydzień lub dwa, jeżeli uda nam się ustawić mały corral dla zwierząt. - Sean odszukał dłoń żony i uściśnił ją, po czym położył dłoń na jej brzuchu. - Mam nadzieję, że to nie zaszkodzi naszemu dziecku.

Sorka poczuła się winna. Ostatnio nie miała czasu, by pamiętać o swoim stanie; zawsze było coś do zrobienia przy Faranth albo innym młodym smoku. A poza tym razem z Seanem pełnili dyżury w klinice dla smoczków rannych w walce z Nićmi.

- Doktor powiedział, że jestem zdrowa i wolno mi jeździć konno... - Sorka jęknęła. - Czy uda nam się nauczyć je latać pomiędzy, Sean? - Wyszepiała, chwytając dłoń męża.

- Na pewno uda nam się nauczyć je wszystkiego, co trzeba, kochanie. - Sean najwyraźniej nie zamartwiał się już nieznanym.

- Ale Sean...

- Jeśli my będziemy wiedzieć, dokąd chcemy się udać, to one też się dowiedzą. Zobaczą to w naszych umysłach. Wszystko inne widzą. Dlaczego sądzisz, że kierunek miałby sprawiać jakąkolwiek trudność?

- Ależ my nawet nie wiemy, jak smoczki to robią!

Connell wrzucił ramionami i uśmiechnął się do niej.

- Owszem, nie wiemy. Ale jeśli ogniste jaszczurki są zdolne do teleportacji, to smoki też będą. Kitty Ping nic tu nie zmieniała. Nie zamartwiajmy się tym.

Sorka spojrzała surowo na męża, po czym pogroziła mu palcem.

- To ty przestań się zadrećcać!

Sean roześmiał się w odpowiedzi na ten niespodziewany atak, a w jego błękitnych oczach zamigotały wesole ogniki. Objął mocno żonę. Sorka wtuliła się w jego ramiona, czerpiąc siłę z tego uścisku. Chociaż nigdy nie czuła się tak opanowana i dynamiczna, były momenty, kiedy ogarniał ją strach, że może zawieść Faranth w jakiejś drobnej, lecz krytycznej kwestii. Podzieliła się tą myślą z Seanem.

- Nie zawiedziesz jej - odparł, odgarniając z twarzy żony wilgotne od potu włosy. - Ani ja nie

zawiodę Carenatha. One są nasze, a my należymy do nich. - Wziął ją pod brodę, żeby na niego spojrzeć. W jego oczach dostrzegła tyle miłości i pokrzepienia, że aż wstrzymała oddech. Sean ponownie uściskał ją mocno. - Od momentu kiedy wylądowaliśmy na tej planecie, to było nasze przeznaczenie. Bo niby dlaczego my pierwsi znaleźliśmy ogniste jaszczurki? Czemu jaszczurki przyszły właśnie do nas? Dlaczego ostatecznie stworzenia Kitti Ping wyszukały ciebie i mnie pośród całego tłumu? Nie, ja wierzę w ciebie, w nas i w nasze smoki. - Potrzymał ją jeszcze przez moment, po czym puścił. - Sądzę, że powinniśmy oddać Cricketa i Doove twojemu ojcu. Brian zupełnie nieźle radzi sobie z Cricketem.

Sorka wiedziała, że trzeba będzie podjąć jakąś decyzję względem koni, które od samego początku panicznie bały się pełzających smoków. Red i Brian zabrali je do głównej stajni weterynarzy. Kobieta przez chwilę pomyślała o wszystkich wspaniałych chwilach, jakie przeżyła na gniadym grzbiecie klaczy. Ale teraz smoki stały się najważniejsze.

- Tak - usłyszała swój głos, w którym nie pobrzmiwała już nuta żalu. - Nigdy nie sądziłam, że nadejdzie dzień, kiedy nie będę miała czasu dla koni. - Spojrzała z uczuciem na śpiącą figurkę Faranth, po czym uśmiechnęła się szeroko na widok wydętego złotego brzuszka, który, jak wiedziała, aż za szybko stanie się płaski. - Zrobię nam coś do jedzenia.

Mąż pocałował ją w czoło. Jedną z dodatkowych zalet posiadania Carenatha było to, że Sean chętniej teraz okazywał uczucie, więc Sorka kochała go jeszcze bardziej. Oparła się o męża, wdychając jego męski zapach przemieszany z ziołowym aromatem oliwki dla smoków.

- Zrób kanapki, kochanie - doradził jej Sean. - Widzę, jak nadbiega Dave Catarel. Jeśli Polenth już zasnął, to inni też wkrótce się pojawią.

- Udało im się - poinformował Paula Ongola, gdy admirał odebrał interkom w siedzibie Emily, gdzie oczekiwał na jeden z wyśmienitych obiadów Pierre'a. Gubernator uzalała się nad nim, gdyż Ju poprzedniego dnia wróciła, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku na ich farmie w Boca. - Nabhi właśnie się odezwał. Bart Lemos zebrał pełny pojemnik. Chociaż...

- Chociaż co? - zapytał Paul, wymieniając spojrzenia z Emily.

- Chociaż zajęło im to dużo czasu - dokończył komandor z westchnieniem. - Do tej pory powinni być już daleko w ogonie. - W głosie Ongoli pobrzmiwało zaskoczenie. - No, ale najważniejsze, że mają to, czego potrzebujemy: strąki. Aparatura została już nastawiona na badania powierzchni. Ezra i Jim już jutro powinni odebrać wyniki analizy.

- Wciąż siedzisz nad Molerri! - spytał Paul, marszcząc brwi. Ongola nie wyleczył się jeszcze całkowicie z ran, a admirał czuł się za niego odpowiedzialny. Komandor miał być kluczową postacią w nadchodzącej walce o autonomię i przeżycie.

- Tak, ale Sabra przyniosła mi obiad. - Ongola zachichotał, co zdarzało mu się nader rzadko, po czym się rozłączył.

- No, to mamy, czego nam potrzeba - oznajmił Paul Emily, zasiadając za stołem. - Teraz naprawdę zjem z apetytem.

Pierwszy wstrząs miał miejsce następnego ranka, dostatecznie wcześnie, by wielu ludzi zastać jeszcze w łózkach. Jedynie młode smoki nie wykazały żadnego zainteresowania, śpiąc spokojnie mimo zamieszania czynionego przez podekscytowanych, wystraszonych ludzi.

- Czy ta planeta nigdy nie da nam spokoju? - zapytał Ongola, gdy już wypłatał się ze spiwora i dotarł do interkomu.

- Czy to trzęsienie ziemi? - zapytała Sabra zasnym głosem. Zostawiła dzieci u przyjaciółki, żeby mogli mieć kilka godzin dla siebie. Podobnie jak mąż potrzebowała trochę wypoczynku. I pomyśleć, że złożyła podpis na statucie, który obiecywał spokój i porządek!

- Spij dalej - powiedział Ongola, wybierając numer. - Co mówi Patrice, Jake? - zapytał swojego kompetentnego asystenta.

- Mówi, że grawimetry zarejestrowały jakiś ruch w komorach lawy wzdłuż pierścienia wysp.

Nie wie, co to oznacza, ale wydruki sugerują, że coś się stanie. Próbuje wytypować najbardziej prawdopodobny punkt wybuchu.

Komandor zadzwonił do Paula, do domu.

- Ani chwili wypoczynku od zmartwień, co? - zapytał Paul zrezygnowanym tonem.

- Ruchy wulkaniczne wzdłuż całego łańcucha.

- Całego łańcucha! Czuję ten wstrząs tuż pod sobą, a nad Lądowiskiem piętrzą się trzy wulkany.

Ongola zdążył przywyknąć do trzech szczytów; całkowicie zapomniał, że one także mogą stanowić zagrożenie, chociaż wszyscy eksperci zgadzali się co do tego, że ostatni wybuch Góry Garbena miał miejsce tysiąc lat temu.

Wczesnym przedpołudniem Patrice rozproszył najgorsze obawy oznajmiając, że z morza za wschodnim krańcem Prowincji Jordan wyłania się nowy wulkan. Młoda Góra, kontrolowana przez ostatnich osiem lat, wyrzucała z siebie chmurę dymu, gazu i trochę popiołu, ale nie dawało się zaobserwować zwiększonego ciśnienia magmy.

Kolejne drżenie ziemi zaskoczyło ludzi po południu. Kiedy przybył Patrice, parkując swój ślizgacz w Sektorze Administracyjnym i udając się na konsultację z Pauliem i Emilią, przed wejściem szybko zgromadził się niespokojny tłum, by czekać na rezultat spotkania. Ostatecznie przywódcy kolonii pojawili się na ganku, razem z Patrice'ą, który uśmiechał się i wymachiwał wydrukiem.

- Nowy wulkan musi mieć nazwę. Jak Afrodyta wychodząca z morza, ale nie nalegam akurat na to imię! - zawołał.

- Gdzie?

- Za najdalej położonym na wschód krańcem Jordanu; daleko, przyjaciele. - Rozłożył największe zdjęcie, tak by wszyscy mogli zobaczyć wzburzone morze i dymiący czubek wyłaniającej się góry.

- Tak, ale to ta sama płyta tektoniczna, prawda?! - zawołał jakiś mężczyzna. Wskazał ręką przez ramię na wyniosłą Górę Garbena. - To znowu mogłoby wybuchnąć, prawda?

- Oczywiście, że tak - odparł Patrice beztrąsco, wzruszając ramionami. - Ale moim zdaniem to bardzo mało prawdopodobne. Góra Garbena odstrzeliła swój wierzchołek tysiąc lat temu. Od tej pory nie było żadnych śladów aktywności. To bardzo stary wulkan. Młode mają więcej do powiedzenia, i zwykle mówią. Nie panikujcie. W Lądowisku jesteśmy bezpieczni. - W jego głosie brzmiała taka pewność, że niespokojne pomruki ustały i tłum się rozproszył.

Przez cały dzień dawało się słyszeć sporadyczne powarkiwania, jak nazwał je Telgar. Włócząc się po całym Lądowisku, był dostępny dla każdego, kto życzył sobie odrobiny pokrzepienia. Po raz pierwszy od śmierci Sallah Telgar pojawił się wśród ludzi. Tej nocy duża część populacji Lądowiska zebrała się na Placu Ogniskowym, gdzie z gałęzi wzniesiono konstrukcję niespotykanych, niemalże wyzywających rozmiarów.

- Na obliczu naszego pięknego Pernu wyskoczył pryszcz - powiedział Telgar z nutą dawnej jowialności w głosie, rozmawiając z grupą młodych ludzi. - Planeta nie jest na tyle stara, by mieć doskonałą przemianę materii. A poza tym przeszkadzaliśmy jej naszymi wierceniami i kopaniem.

Kiedy ruszył dalej, jeden z uczniów geologów poszedł za nim.

- Posłuchaj, Tar... Telgar - zaczął młody człowiek z zapalem. - Lądowisko nie leży na skale podstawowej.

- To prawda - odparł geolog z lekkim uśmiechem. - Dlatego właśnie trochę nas trzęsie. Ale to mnie nie martwi.

Uczeń się zarumienił.

- Na północnym kontynencie jest szeroki, drugi pas skały podstawowej wzdłuż zachodniego łańcucha gór.

- A, widzę, że dobrze wyuczyłeś się lekcji - skomentował Telgar. Skinął głową Cobberowi

Alhinwie i Ozzie'emu Munsonowi, którzy właśnie podeszli. - Wypijcie ze mną szklaneczkę. Zakłopotany tym, że powiedział coś tak oczywistego, młody człowiek pospiesznie odszedł.

- A więc ludzie rozmawiają o skałach podstawowych - powiedział Cobber, a Ozzie prychnął.
- Ja o tym wiem, ty wiesz i on wie, ale dzisiaj panował nastrój niepewności. Skała podstawowa się nie poruszy. Jak wiecie, podzieliłem się swoją opinią z Paulem, Emilą i Patricie'e.
- Telgar spojrział gdzieś w przestrzeń za wysokim górnikiem, patrząc na coś, co widziały tylko jego oczy. Cobber i Ozzie wymienili znaczące spojrzenia. Ściągnięta, pełna bólu twarz geologa oznaczała, że mężczyzna przypomniał sobie coś związanego z Sallah.

Cobber szturchnął Ozzie'ego i pochylił się konspiracyjnie w stronę Telgara.

- Mamy teraz iść i oglądać jakieś skały?

Następnego dnia admirała wyrwał ze snu innego rodzaju warkoczący dźwięk. Ju sięgnęła nad nim, by podnieść słuchawkę.

- Do ciebie - wymamrotała sennie, opadając na poduszki i ponownie zwijając się w kłębek.

Paul wziął słuchawkę i odchrząknął.

- Benden.

- Admirale - powiedział Ongola nagłaco. - Zaczęli już powrót, ale Nabhi ma zły kurs.

Paul szarpnął zapięcie spiwora i usiadł na łóżku.

- Jak to możliwe?

- On mówi, że wszystko jest w porządku, admirale.

- Zaraz tam będę. - Nagle ogarnęło go irracjonalne pragnienie, by z trzaskiem odłożyć słuchawkę i ułożyć się do snu u boku żony. Zamiast tego zadzwonił do Emili, która obiecała, że przyłączy się do niego w wieży meteo. Następnie zaalarmował Ezrę Keroona i Jima Tilleka.

- Paul? - zapytała Ju sennie.

- Śpij dalej, kochanie. Nie masz się czym martwić.

Starał się mówić jak najciszej. Było mu przykro, że jej przeszkadza. W drugim trymetrze kolejnej ciąży Ju potrzebowała więcej snu. Poprzedniego wieczoru rozmawiali do późna, z żalem zdając sobie sprawę, że muszą dać dobry przykład i wygasić światła na całej farmie. Związane z Opadami nieustanne wydatki energii niszczyły zapasy. Joel szczególnie trapił się wciąż malejącą sprawnością zasilaczy. Wedle Toma Patricka psychologiczny profil populacji Lądowiska był, ogólnie rzecz biorąc, zachęcający, chociaż do sprawnego funkcjonowania zestresowanych ludzi w coraz większym stopniu niezbędna była terapia oraz środki medyczne. Paul jakoś nie mógł się przekonać, że Nabhi Nabol i Bart Lemos przywieżą z kosmosu bodziec do działania.

Poprzedniego dnia Ezra i Jim przedstawili ostatnie analizy orbity planetki. Była ona tak pokrętna, wedle słów Jima Tilleka, jak droga pijanej kurwy w sobotnią noc w porcie kosmicznym Pasa Asteroidów. To, co wcześniej wydawało się rozsądną, możliwą do przewidzenia eliptyczną orbitą, przecinającą system Rukbat, okazało się bardziej skomplikowaną trasą, biegnącą pod pewnym kątem do ekliptyki. Planeta miała pojawiać się w okolicy Pernu co dwieście pięćdziesiąt lat, chociaż Ezra zrobił ekstrapolacje, które przewidywały pewne zmiany kursu, będące efektem oddziaływania innych planet systemu. Wydawało się, że podczas niektórych przejść planetka ciągnąca chmurę śmieci ominie Pern.

- Najbardziej osobliwa planeta, której trasę kiedykolwiek usiłowałem wysledzić - powiedział Ezra przepaszająco, podsumowując raport i drapiąc się po głowie.

- Naturalna orbita? - zapytał Jim, uśmiechając się nieco złośliwie do astronoma.

Kapitan spojrział na niego pogardliwie.

- W tej planecie nie ma nic naturalnego.

Chociaż Nici w obecnym - trzecim - cyklu Opadów przesunęły się pięć stopni na pomoc, admirał nie wierzył już w teorię Ezry, że twory były przemyślanym, ukierunkowanym na

osłabienie kolonii działaniem jakichś myślących organizmów. Gdyby kapitan miał rację, dowodził, Opady powinny nasilić częstotliwość i intensywność wkrótce po tym, jak planetka przeszła w najbliższej odległości od Pernu. Ale Nici, po jednorazowym przesunięciu na pomoc, wróciły do swego bezmyślnego wzorca. Poza tym deprymującej konkluzji Ezry przeczyły matematyczne wyliczenia, dwukrotnie sprawdzone przez Borisa Pahlevi i Dietera Clissmana. Planetka miała usunąć się z okolic Pernu i wewnętrznego systemu, by powrócić tu za dwieście pięćdziesiąt lat.

Faksymil, który Bart przesłał na Pern, pokazywał, że ogon śmieci zdaje się ciągnąć niemalże bez końca.

- Aż do krańca systemu - oznajmił Ezra zrezygnowanym tonem. - Planeta przecina obłok Oort i wywleka tę masę za sobą. W systemie Rukbat potwierdziła się teoria Hoyle'a i Wickramansingha.

- Więc chyba mamy szczęście - dodał Jim. - Może się okazać, że to tylko lód i skały. Nie będziemy wiedzieć na pewno, póki nie zobaczymy, co zebrał Bart Lemos. - Wcale się nie cieszył, że jego teoria okazała się słuszna. Wolałby już mieć do czynienia z inteligencją zdobną do przetrwania na niewspółśrodkowej planecie. Z inteligentnymi istotami można jakoś sobie poradzić. Jego teoria oznaczała, że Pern będzie miał większe kłopoty.

Paul ubierał się szybko w zimnym świetle poranka, zapinając przód kombinezonu i ruchami stóp wzuwając buty. Porządnie zaczesał włosy do tyłu i wymaszerował w przedświt. Użył skutera - było to cichsze, niż gdyby miał sapiąc biec w stronę wieży. Zazwyczaj starał się ćwiczyć choć trochę dla zachowania kondycji, ale tego poranka nie chciał, żeby go usłyszano. W związku z wyprawą Mola ostatnich kilka dni było dla niego bardzo ciężkie. Czekanie nigdy nie należało do jego najmocniejszych stron: sprawdzał się w podejmowaniu decyzji i ich wdrażaniu. Emily jeszcze raz dowiodła swej lojalności, niezmienności i rozsądku. Była najlepszymi uzupełnieniem jego wad i zalet.

Zobaczył światła w Sektorze Irlandzkim i pośród zarysów budynków dostrzegł trzepocące skrzydła oraz młodych Connellów, którzy podawali swoim smokom poranny posiłek. W pobliskim sektorze Dave Catarel także był już na nogach, karmiąc swojego młodego spiżowego.

Myśląc o tych młodych ludziach, tak całkowicie oddanych sprawie przetrwania Pernu, Paul poczuł nagły przypływ pewności, że razem z Emily zdoła doprowadzić kolonię do szczęśliwego rozwiązania problemów. Na wszystko, co święte, uda im się! Skoro przetrwał o wiele czarniejsze dni poprzedzające bitwę w Sektorze Purpurowym, Emily zaś przeżyła pięcioletnie oblężenie i pomimo braku surowców, pokazała światu zdrowe, funkcjonujące społeczeństwo, teraz też się powiedzie.

Gdy Paul zaparkował swój skuter, wieża wciąż była ciemna. Okiennice zamknięte, ale główne drzwi stały otworem. Wszedł po schodach tak cicho, jak potrafił. Ostatnio, ze względu na przepełnienie w domach Lądowiska, personel łącznościowy spał po służbie na parterze wieży. Tak wielu było... uciekinierów, dokończył Paul. Ludzie zaczęli nawet budować siedziby przy Jaskiniach Catherine. Może wynikało to z jakiejś atawistycznej potrzeby, ale jaskinie istotnie chroniły przed Nićmi, a część komór była naprawdę przestronna. Mogły też zapewnić schronienie dla szybko rosnących smoków.

Gdy dotarł na najwyższe piętro, natychmiast powędrował wzrokiem w stronę wielkiego ekranu, pokazującego pozycję Mola, odbieraną z przekaźnika zainstalowanego na księżycu.

- Ani razu nie skorygował kursu - powiedział Ongola, obracając się na krześle w stronę Paula. Gestem wskazał Jake'owi, by zwolnił drugie krzesło przy konsoli. W wymęczonej twarzy młodego człowieka zamiast oczu ziały czarne otwory, ale Paul wiedział, że nie powinien proponować, by Jake zszedł ze służby, póki Mol bezpiecznie nie wyląduje. - Powinien odpalić dziesięć minut temu. Mówi, że nie ma potrzeby.

Paul opadł na krzesło i przysunął się do interkomu.

- Wieża do Mola, czy mnie słyszysz? Tu Benden. Mol, odpowiedz.
- Dzień dobry, admirale Benden - odparł Nabhi natychmiast, dość bezceremonialnym tonem. - Jesteśmy na kursie i wchodzimy pod dobrym kątem.
- Twoje urządzenia dają ci fałszywe odczyty. Potwarzam, dostajesz fałszywe odczyty, Nabol. Niezbędna poprawka kursu.
- Nie zgadzam się, admirale - odparł Nabhi swobodnie. - Nie ma potrzeby marnować paliwa! Opadanie w normie.
- Poprawka, Mol! Na naszym pulpicie i na ekranie widać, że macie kłopoty. Długotrwała awaria przyrządów. Podam ci odczyty. - Paul przeczytał serię liczb z kalkulatora, który podał mu Ongola. Był pewien, że w tle usłyszał zaszokowany, stłumiony okrzyk. Wydawało się, że na Nabhim ta informacja nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Zamiast tego podał odczyty wskazujące na prawidłowe wejście w atmosferę.
- Nie do wiary - powiedział Ongola. - Nadlatuje z niewłaściwej ćwiartki, pod zbyt stromym kątem i rozbija się w samym środku Morza Pierścieniowego. I to wkrótce.
- Powtarzam, Mol, idziesz pod złym kątem. Zaniechaj wejścia. Nabol, wejdź na inną orbitę. Twoje przyrządy źle działają. - Do diabła, jeśli Nabol nie czuł, że coś jest nie tak, to znaczy, że nie był nawet w połowie tak dobrym pilotem, za jakiego się uważał.
- Ja jestem kapitanem tego statku, admirale - odpalił Nabol. - To pański ekran źle działa... Co mówisz, Bart? Nie wierzę. Musisz się mylić. Stuknij go porządnie! Kopnij!
- Szarpnij dziób w górę i odpal na trzy sekundy! - zawołał Paul, nie odrywając wzroku od ekranu i odczytów szybkości nadlatującego wahadłowca.
- Próbuje. Nie mogę odpalić. Nie ma paliwa! - Jego głos nagle stał się piskliwy z przestrochu. Paul usłyszał w tle krzyki Barta.
- Mówiłem, że coś jest nie tak. Mówiłem ci! Nie powinniśmy byli... Wyrzucę ładunek. Tyle będą mieli! - zawołał Bart. - O ile cholerny przekaźnik zadziała.
- Ręczną dźwignią, Bart! - wrzasnęła Ongola nad ramieniem admirała.
- Próbuje, próbuje... Nagrzewa się za szybko, Nabhi.
Paul, Ongola i Jake przerażeni patrzyli na rozpadający się wahadłowiec. Jedno krótkie skrzydło oderwało się od kadłuba i zaczęło wirować. Ogon odłamał się i poleciał w przeciwnym kierunku, spalając się w atmosferze. Drugie skrzydło poszło za jego przykładem.
- Walnie w morze? - zapytał Paul ledwo słyszalnym szeptem, usiłując obliczyć siłę uderzenia takiej masy w ład. Ongola niemal niedostrzegalnie skinął głową.
Niczym podzwonne, na ekranie przekaźnikowym rozbłysły oświetlone słońcem miriady drobnych odłamków i jeden większy przedmiot, po czym znikły pośród migotliwych fal.

Ekipa delfinów została wysłana na Morze Pierścieniowe, by odnaleźć wrak. Maksymilian i Teresa zgłosili się tydzień później, bardzo zmęczeni, z rezygnacją oznajmiając ludziom, że widzieli powyginany kadłub, wklonowany w rafę o wiele za głęboko, by mogli go zbadać. Wszystkie delfiny wciąż przeszukiwały morze w poszukiwaniu odrzuconego pojemnika z próbkami.

- Powiedźcie im, żeby się nie męczyły - mruknął Jim Tillek ponuro. - Prawdopodobnie i tak nie zostało nic do analizowania. Wiemy, że ogon będzie się ciągnąć przez całe lata. Musimy sobie z tym poradzić. Wiwat Hoyle i Wickramansinth!

- Ezra? - zapytała Emily poważnego astronoma.

Złotawa skóra kapitana wydawała się poznaczona plamami szarości; jakby ugiął się pod ciężką nad nim odpowiedzialnością. Wydał z siebie ciężkie, zmęczone westchnienie i podrapał się w tył głowy.

- Muszę przyznać, że teoria Jima jest prawdziwa. Ostatecznym dowodem byłaby zawartość strąków, ale ja również wątpię, żeby pojemnik przetrwał. A nawet jeśli, to odnalezienie go na tak rozległym obszarze mogłoby zająć wiele lat. Obawiam się też, że ogon ciągnie się równie

długo. Nie zdołamy tego oszacować, póki jego kraniec nie pojawi się w polu widzenia.

- Więc co nam pozostaje? - zapytał Paul retorycznie.

- Przetrwaj, admirał, przetrwaj! - odparł Jim Tillek z dumą. Lekkim wzruszeniem krzepkich ramion zrzucił z siebie całą ponurość i wystąpił z kolejnym wyzwaniem. - Za dwie godziny mamy kolejny Opad, więc lepiej przestańmy się martwić o przyszłość i zajmijmy się teraźniejszością. Mam rację?

Emily spojrzała na admirała i zdobyła się na niepewny uśmiech, z którym następnie obróciła się do Zi Ongoli, który przyglądał im się spokojnie.

- Masz rację! Damy sobie radę. - Mówiła stanowczym, pewnym siebie tonem. Z pewnością zdołamy wytrzymać dziesięć lat, jeżeli tylko będziemy ostrożni, dodała w duchu. Zastanawiała się, dlaczego nikt nie wspomniał o kapsule powrotnej. Może dlatego, że nie wierzono w umiejętności Teda Tubbermana. - Musimy sobie poradzić!

- Póki smoki nie zaczną zarabiać na swoje utrzymanie - powiedział Paul. - Nasza osada wymaga jednak przebudowy. - Od wielu dni dyskutował z Emily na temat przeróbek. Czekali na właściwy moment, by przedstawić ten problem na nieformalnej radzie Ładowiska.

- Nie - odezwał się Ongola, zaskakując wszystkich. - Musimy przenieść się gdzie indziej. Ładowisko już nie spełnia swojego zadania. Było ono czymś na kształt ogniwa łączącego nas z przeszłością, bo tu przywiozły nas statki. Teraz już nie potrzebujemy tego rodzaju poczucia kontynuacji.

- Zwłaszcza teraz - podjął Jim - kiedy wulkany wyskakują z morza w naszym najbliższym sąsiedztwie. - Tillek poruszył się na krześle, przygotowując do omówienia podstawowych kwestii. - Słuchałem tego, co mówią ludzie. Podobnie jak Ezra. Pomysł Telgara, żeby przenieść się do systemu jaskiń na skale podstawowej na północy, zyskuje coraz większe poparcie. Komory są tam wystarczająco duże, by pomieścić wszystkich mieszkańców Ładowiska razem ze smokami! Nie brakuje nam surowców, by wytwarzać plastik i metal na domy. Ale ich produkcja wymaga czasu, a naszym podstawowym zadaniem jest walka z Nićmi i utrzymywanie ludzi przy życiu. Dlaczego nie wykorzystać naturalnej struktury? Można użyć technologii, by uczynić system jaskiń wygodnym domem, łatwym do obrony i całkowicie bezpiecznym przed Nićmi.

Emily nie zaczęła nawet, by wziąć oddech.

- Właśnie o tym dyskutowaliśmy z Paulem. Jak sądzę, mamy dość paliwa, by przetransportować część cięższego ekwipunku wahadłowcem. Potem możemy używać metali in situ. Jim, trzeba będzie pomyśleć o pernijskiej flocie.

Paul uśmiechnął się szeroko do gubernator. Wszystko stawało się o wiele prostsze, kiedy ludzie postanawiali robić to, co zdaniem ich przywódców było dla nich najlepsze.

Część III Przeprowadzka

Rozdział I

11.18.08 Pern

- Najświętsze świętości! - mruknął Telgar z szacunkiem, gdy, mimo że podniósł latarkę jak mógł najwyżej, wciąż nie był w stanie oświetlić sklepienia. Jego głos wywołał w rozległej komorze serię ech, powtarzających się wielokrotnie w bocznych korytarzach, póki w końcu nie wygasła ich odległość od źródła dźwięku.

- Człowieku, ależ wielgachna jaskinia! - powiedział Ozzie Munson szeptem. Rozszerzone oczy połyskiwały białą w opalonej, osmaganej wiatrem twarzy.

Cobber Alhinwa, na którym mało co robiło wrażenie, również wyglądał na zaszokowanego.

- Cholernie piękne! - Mówił nie głośniejszym niż Ozzie.

- W samym tym kompleksie są setki gotowych komór - oznajmił Telgar. Rozwinął plasfologię, na której razem z ukochaną Sallah zapisali wyniki przeprowadzonych osiem lat wcześniej badań. - Na szczyt urwiska są przynajmniej cztery wyjścia, które można wykorzystać dla cyrkulacji powietrza. Możemy się przebić na dół do poziomu wody i zainstalować pompy oraz rury. Natknąłem się na duże zbiorniki artezyjskie. A jeśli zrobimy otwory do warstwy termicznej, to cały kompleks zostanie ogrzany w czasie zimowych miesięcy. - Odwrócił się w stronę wyjścia. - Zablokujcie to kamieniem, a będziemy mieć twierdzę nie do zdobycia. W trakcie Opadów nie ma na tym świecie bezpieczniejszego miejsca. Jaskinie położone dalej są na poziomie podłoża w pobliżu łąk. Te, oczywiście, trzeba zasiać; mamy jeszcze ziarna lucerny, które przywieźliśmy na pierwszy rok.

- Wtedy nie było potrzeby, żeby badać to dokładnie, ale istnieją i inne udogodnienia. O ile sobie przypominam, kiedy lecieliśmy nad łańcuchem, który leży nad nami, odkryliśmy mniej więcej godzinę lotu stąd średniej wielkości krater, upstrzony mniejszymi klifami. Nie przyszło nam do głowy, żeby sprawdzić, czy jest dostępny z ziemi. Byłby idealny na smocze kwatery, więc dostępność nie jest problemem, zakładając, że smoki latają równie dobrze jak smoczki.

- Widzieliśmy kilka takich starych kraterów - odparł Ozzie, konsultując się z podniszczonym notesem, który zwykle mieszkał w jego górnej kieszeni. - Jeden na wschodnim wybrzeżu, a drugi w górach powyżej trzech jezior, tam gdzie badaliśmy złoża metali.

- No, dobrze - zaczął Cobber, otrząsając się z podziwu. - Po pierwsze, musimy wykuć stopnie na ten poziom. - Podeszedł do wylotu jaskini i krytycznie spojrzął w dół na skalną ścianę. - Może zrobić coś w rodzaju pochylni, żeby łatwo przetransportować różne towary. Tamto zbocze wygląda niemal jak schody. - Wskazał na lewo. - Stopnie wyraźne, szerokie, prowadzą aż na następny poziom.

Ozzie odrzucił ten pomysł.

- Nie, ci z Ładowiska będą chcieli, żeby ich przemądrzali inżynierowie i architekci zrobili z tego nowoczesną rezydencję ze wszystkimi udogodnieniami.

Cobber nałożył hełm na głowę i włączył lampę.

- No tak, inaczej biedne mieszcuchy dostaną klapstrofobii.

- Klaustrofobii, ty nieuku - poprawił go Ozzie.

- Jak zwał, tak zwał. W każdym razie tu jest bezpiecznie i żadne świństwo nie spadnie nam na głowy. Chodź, Oz, przejdziemy się trochę. Admirał i gubernator liczą na naszą opinię. - Cobber stęknął, zarzucając na ramię ciężką wrębiarkę, po czym ruszył w stronę pierwszego tunelu.

Ozzie też nałożył hełm i podniósł z ziemi zwój liny, haki i młotek skalny. U pasa wisały mu:

rejestrator termiczny i ultrafioletu, interkom i kilka innych przyrządów górniczych. Mężczyzna też wziął jedną z mniejszych wrębiarek.

- Przetestujemy naszą klaustrofobię. Zaczynamy po lewej, dobra? Zaraz do ciebie zawołam, Telgar.

Cobber już zniknął w pierwszym z otworów po lewej stronie. Ozzie ruszył za nim. Telgar został sam. Stał przez długą chwilę z zamkniętymi oczami, odchyłoną do tyłu głową, trzymając ramiona lekko osunięte od ciała, z dłońmi błagalnie podanymi do przodu. Słyszał szmer przemykających wystraszonych stworzeń, a także odległy pomruk rozmowy Ozzie'ego i Cobbera, którzy mijali właśnie pierwszy zakręt tunelu.

W jaskini nie pozostał żaden ślad po Sallah. Nawet miejsce, gdzie urządzili ognisko, było już niewidoczne, nie licząc lekko ściemniałej od ognia skały. A przecież właśnie tutaj Sallah ofiarowała mu siebie, on zaś nie wiedział nawet, jaki wspaniały dar otrzymał!

Nagły zgrzyt pracującej wrębiarki przerwał tok jego myśli i Telgar wrócił do pilnego zadania, jakim było przekształcenie naturalnego fortu w ludzką siedzibę.

Sorka obudziła się, słysząc jakiś pomruk, i spróbowała ułożyć swe niezgrabne ciało w wygodniejszej pozycji. Do licha, naprawdę poczuje ulgę, kiedy znowu będzie mogła spać na brzuchu. Pomruk nie ustawał; dźwięk na granicy słyszalności uniemożliwiał ponowne zaśnięcie. Spróbowała go zignorować, bo przez ostatnich kilka tygodni wciąż chodziła niewyspana i potrzebowała odpoczynku. Poirytowana wyciągnęła rękę i odciągnęła na bok zasłonę. Niemożliwe, żeby już był dzień. Nagle, zaskoczona, chwyciła za skraj zasłony, bo za oknem istotnie dostrzegła światło - światło wielu smoczycich oczu, połyskujących w mroku przedświt.

Jej okrzyk obudził Seana, który poruszył się obok. Nagłaco potrząsnęła jego ramieniem.

- Obudź się, Sean. Patrz! - W którą stronę się poruszyła, zawsze czuła nagle dżgniecie bólu w kroczu, tak nieoczekiwane, że syknęła.

Connell usiadł raptownie na łóżku, otaczając ją ramionami.

- Co się dzieje, kochanie? Dziecko?

- To nie może być nic innego - odparła, trzęsąc się ze śmiechu i wskazując na okno. - Zostałam ostrzeżona! - Nie mogła przestać chichotać. - Idź popatrzeć, Sean. Powiedz mi, czy nasze smoczki też tu są! Nie chciałabym, żeby to straciły.

Connell potarł powieki, by otrząsnąć się ze snu, i usilnie starał się oprzytomnieć. Spojrzał na żonę prawie gniewnie, dziwiąc się jej niespodziewanej lekkomyślności, ale rozdrażnienie szybko ustąpiło miejsca trosce, gdy chichot przerodził się w nagły syk, a drugi bolesny spazm poruszył jej rozdętym brzuchem.

- Czy to już czas? - Pieszczotliwie przeciągnął po nim dłońią, palcami instynktownie gładząc napięte mięśnie. - Tak, już czas. Co cię tak śmieszy? - zapytał. Sorka nie widziała w mroku twarzy męża, ale jego głos był poważny, prawie urażony.

- Komitet powitalny, oczywiście! Ta cała zgraja. Faranth, kochanie, czy wszyscy są obecni?

Jesteśmy tam, odparła Faranth, gdzie powinniśmy być. Jesteś rozbawiona.

- Jestem bardzo rozbawiona - powiedziała Sorka, ale złapał ją kolejny skurcz. Chwyciła męża.

- Choć to raczej mało zabawne. Lepiej zadzwoń do Greta.

- No, chyba jej nie potrzebujemy. Jestem równie dobrą położną jak ona - odburknął, wyciągając buty spod łóżka.

- Dla klaczy, krów i kóz, owszem, ale jeśli chodzi o ludzi... ooooooch, Sean, stają się coraz częstsze.

Connell wstał i zatrzymał się, by zarzucić koc na nagie ramiona, gdyż poranek był chłodny. Nagle usłyszał ciche stukanie do drzwi. Zaklął.

- Kto tam? - ryknął, niezbyt zachwycony prawdopodobieństwem, że ktoś w takim momencie mógłby pragnąć pomocy weterynarza.

- Greta!

Sorka zaczęła śmiać się znowu, ale to nagle okazało się bardzo bolesne, więc zamiast tego zaczęła oddychać tak, jak ją nauczono, chwytając się za wielki brzuch.

- Skąd, na wszystkie słońca, wiedziałaś, Greta? - usłyszała głos Seana, w którym wyraźnie pobrzmiwało zdumienie.

- Zostałam przywołana - odparła Greta z wielką godnością, delikatnie odpychając go na bok.

- Przez kogo? Sorka dopiero co się obudziła - powiedział Sean, idąc za Gretą do pokoju. - To ona będzie rodzić.

- Rodząca nie zawsze jest pierwszą osobą, która wie, kiedy zacznie się poród - stwierdziła położna bardzo spokojnym, niemal obojętnym tonem. - Przynajmniej nie w Ładowisku. Zwłaszcza kiedy w jej umyśle nasłuchuje smocza królowa. - Greta zapaliła światło i położyła medyczną torbę na kredensie. Niegdyś chuderlawa, niezgrabna dziewczyna wyrosła na smukłą kobietę o skórze i włosach tego samego, kawowego koloru oraz nakrapianym piegami nosie. Jej oczy, intensywnie brązowe, dostrzegały prawie wszystko.

- Faranth ci powiedziała? - Sorka była zdumiona. Nigdy nie słyszała, żeby smok porozumiewał się z kimś spoza grupy własnych pobratymców.

- Niezupełnie - odparła Greta z chichotem. - Do mojego okna przyleciała sfera smoczków i zupełnie wyraźnie dała do zrozumienia, że jestem potrzebna. A kiedy wyszłam na zewnątrz, nietrudno było się domyślić, kto oczekuje dziecka. A teraz pozwól mi sprawdzić, jak sprawy stoją.

Powiedziałam im, żeby ją przyprowadziły, powiedziała Faranth, bardzo z siebie zadowolona. Lubisz ją.

Sorka położyła się na plecach, by się poddać badaniu Greta, i usiłowała rozwiązać tę zagadkę. Lubiała również swojego doktora i nie przeszkadzałoby jej, gdyby to on odbierał poród. Jak Faranth wyczuła, że naprawdę pragnęła obecności Greta? Czy mogła wyczuć, że zawsze przyjaźniły się z Gretą? A może smoczyca skojarzyła sobie fakt, że jej opiekunka pomagała Grecie przy narodzinach ostatniego dziecka Mairi Hanrahan, najmłodszego braciszka Sorki? Ale żeby Faranth odebrała podświadomą skłonność...

Sean prześliznął się ostrożnie na drugą stronę łóżka i ujął dłoń żony. Kobieta ścisnęła go mocno, wciąż dusząc się od śmiechu. Tak bardzo znienawidziła ostatnie kilka tygodni, kiedy jej ciało wydawało się zupełnie obce, a wszystkie jego funkcje zostały podporządkowane wiercącemu się, kopiającemu, impertynenckiemu, niestrudzonemu płodowi, który nie dawał jej ani chwili wytchnienia. Śmiech wywołany był podnieceniem, że wszystko to prawie już się skończyło.

- Dobrze, niech popatrzę... kolejny skurcz?

Sorka skoncentrowała się na oddychaniu, ale skurcz był bardziej bolesny, niż się spodziewała. Nagle wszystko minęło, ból również. Poczowała pot na czole. Sean osuszył go delikatnie.

Boli cię? Głos Faranth był przenikliwy.

- Nie, nie, Faranth. Wszystko w porządku. Nic się nie martw! - zawołała Sorka.

- Faranth jest niespokojna? - Nie wypuszczając jej dłoni, Connell przykucnął przy oknie, żeby zobaczyć czekające tam smoki. - Tak, rzeczywiście! Jej oczy migoczą coraz szybciej i stają się coraz bardziej pomarańczowe.

- Tego właśnie się bałam! - Sorka spojrzała na Seana z niemą prośbą w oczach. Jego twarz odzwierciedliła mieszane uczucia. Jeśli dobrze je odczytała, to widniała na niej złość na Faranth, niezdecydowanie - przynajmniej raz - co należy zrobić, oraz niepokój o żonę. W końcu Sean zerknął na Sorkę z pełną czułości troską, a ona poczuła, że nigdy nie kochała go tak, jak w tej chwili.

- Szkoda, że nie możemy kazać twojej smoczyce zagotować wody i w ten sposób powstrzymać ją od psot - zauważyła Greta, a jej silne, zwinne dłonie zakończyły badanie. Delikatnie poklepała Sorkę po brzuchu. - Zaraz dopilnujemy, żeby nie zawracała ci teraz

głowy. Czy możesz przewrócić się na bok? Sean, pomóż jej.

- Czuję się jak wielka płastuga - poskarżyła się kobieta, usiłując się przekręcić. Mąż, zręcznie i tak łagodnie, że nigdy by go o to nie podejrzewała, pomógł jej dokończyć ten manewr. Ledwo zdążyła się ułożyć, gdy chwycił ją kolejny skurcz. Z trudem łapała powietrze. Na zewnątrz Faranth wydała ryk wyzwania. - Ani mi się waż pobudzić wszystkich, Faranth. Ja tylko rodzę!

Boli cię! Jesteś zdenerwowana! odparła smoczyca z oburzeniem.

Sorka poczuła delikatne dotknięcie u nasady kręgosłupa, powiew zimnego powietrza, a potem błogosławione odretwienie, rozplywające się szybko po całym podbrzuszu.

- Och, błogosławiona Greta, jak cudownie!

Już cię nie boli. Tak jest lepiej. Niepokój w głosie Faranth ucichł i smoczyca powróciła do wtórowania dziwnemu mruczeniu smoków. Sorka potrafiła wyróżnić jej głos spośród chóru równie wyraźnie, jak usłyszała, że intensywność śpiewu się nasila. Ten dźwięk ją uspokajał - a może był to efekt tego, że nie musiała już wyczekiwać kolejnego, bolesnego zwania mięśni łona?

- No, to teraz wstań i pochodź trochę, Sorko - powiedziała Greta. - Już jesteś porządnie rozwarta. Nie sądzę, żebyśmy miały jakiegokolwiek kłopoty, mimo że jesteś pierworódką.

- Nic nie czuję - usprawiedliwiła się Sorka, gdy Greta podnosiła ją na nogi. Sean stanął po jej drugiej stronie.

Zdażył już się ubrać, ale kobieta, szukając wzrokiem własnych, pozbawionych czucia stóp, zauważyła, że nie włożył skarpetek. Uznała to za urocze. Dziwne, jak różnią się jego dłonie od rąk Grety: tak samo troskliwe, tak samo delikatne, ale Seana dodatkowo kochające i czułe.

- Brawo - powiedziała Greta krzepiącym tonem. - Świetnie sobie radzisz. Jesteś rozwarta na trzy palce. Nic dziwnego, że smoczki podniosły raban. A nie jesteś jedyną, która ekscytuje je tej nocy. - Greta zachichotała, prowadząc Sorkę z powrotem przez jadalnię i krótki korytarz do sypialni. - Chodzenie jest ogromnie ważne... o, kolejny skurcz. Bardzo dobrze. Oddychasz prawidłowo.

- Kto jeszcze rodzi? - zapytała Sorka. Czowała się o wiele lepiej, gdy skupiała umysł na innych sprawach niż zachowanie jej własnych mięśni.

- Elizabeth Jepson, całe szczęście. Nowe dziecko pozwoli jej otrząsnąć się z utraty bliźniąt. Sorka poczuła ukłucie bólu. Pamiętała obu chłopców jako psotnych malców z Yoko. Przypomniła też sobie, jak zazdrościła swojemu bratu, Brianowi, że ma przyjaciół - równolatków.

- Jakie to zabawne - powiedziała Sorka, szybko wymawiając słowa. - Dwie pełne rodziny, oddzielone prawie o całe pokolenie. Chodzi mi o to, że to dziecko będzie miało wujka starszego o sześć miesięcy. I będzie należało do zupełnie innego pokolenia... Niesamowite.

- Dlatego właśnie musimy prowadzić tak dokładny rejestr urodzin - odparła Greta.

Sean chrząknął.

- Wszyscy jesteśmy Perneńczykami i tylko to się liczy!

W tej właśnie chwili Sorce zaczęły odchodzić wody, a pomruk na zewnątrz stał się o kilka tonów wyższy i przybrał na intensywności.

- Chyba lepiej cię zbadam - stwierdziła Greta.

Connell zagapił się na nią.

- Pracujesz według smoczkiej pieśni?

Greta zachichotała cicho.

- One instynktownie wyczuwają narodziny, Sean, i wiem, że wy, weterynarze, również jesteście tego świadomi. Zaprowadźmy ją z powrotem do łóżka.

Sorka, zaangażowana w drugą fazę porodu, uznała smoczą pieśń za uspokajającą i łagodzącą; czuła się, jakby otulała ją pierzynka dźwięków, podnosząca na duchu i pocieszająca. Nagle rytm pomruku przyspieszył znacznie, osiągając szczyt. Sean chwycił żonę za rękę, chcąc

użyć jej trochę siły. Za każdym razem, kiedy czuła kolejny skurcz, bezbolesny dzięki lekowi, mąż pomagał jej przeć. Spazmy stawały się coraz gwałtowniejsze, prawie nieustające, jak gdyby wszystko wymknęło się jej spod kontroli. Pozwoliła opanować się instynktownym ruchom, odprężając się, gdy tylko mogła, i prac, bo nie miała innego wyjścia.

Nagle poczuła, jak jej ciało wygina się z olbrzymiego wysiłku, a potem ogarnęła ją niewiarygodna ulga. Napięcie mięśni ustąpiło. Przez jedną chwilę panowała kompletna cisza, a potem usłyszała zupełnie nowy dźwięk. Okrzyk triumfu Seana został pochłonięty przez donośny ryk osiemnastu smoków i kto wie ilu smoczków! No, nie, pomyślała Sorka mimo woli. Obudzą całe Ładowisko!

- Macie wspaniałego syna, moi kochani - powiedziała Greta głosem pełnym satysfakcji. - Z gęstą czupryną rudych włosów.

- Syna? - zapytał Sean z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Seanie Connellu, nie chcesz chyba powiedzieć mi po całej mojej ciężkiej pracy, że wolałeś córkę? - zapytała gniewnie Sorka.

Mąż uściskał ją ekstatycznie.

- Czasem czuję się, jakby wszyscy o nas zapomnieli - powiedział Seanowi Dave Catarel, gdy obaj przyglądali się, jak ich spizowe polują. Connell, ze spojrzeniem utkwionym w Carenathu, nie odpowiedział.

Chociaż smoki bez trudu latały na krótkie dystanse i sprawnie polowały na dzikie wherry, ich ludzcy przyjaciele niepokoił się, ile razy stracili je z oczu. Nie zawsze było możliwe wysłać ich śladem ślizgacz lub skuter. Seanowi udało się namówić Reda, by oddawał im najśłabsze lub ranne zwierzęta z głównych stad. W zamian opiekunowie smoków pomogli urządzić w jednej z jaskiń schronienie na czas Opadów dla mieszanego stada i na zmianę uczestniczyli w gromadzeniu paszy.

Młode smoki były silne i latały sprawnie. Mimo to weterynarze postanowili, żeby na wszelki wypadek nie dosiadać ich przed upływem pełnego roku. W zaciszu domowym Sean bardzo sarkał na ten akt tchórzostwa, ale Sorka wybiła mu z głowy zamiar złamania zakazu, przypominając, ile mogli stracić, gdyby przedwcześnie zmuszali do czegoś młode smoki. Na szczęście decyzja została podjęta bez konsultacji z Wind Blossom, dzięki czemu Connell łatwiej zaakceptował tę "grę na zwłokę", jak sam to określił. Nie podobało mu się nastawienie posiadacza, jakie Blossom prezentowała względem smoków. Nadal prowadziła program Kitti Ping, chociaż nie odnosiła sukcesów. Z pierwszych czterech lęgów nie wyklął się ani jeden smok, ale siedem nowych torebek w inkubatorze wyglądało dość obiecująco.

W zakładach przyjmowanych przez Joela Lilienkampa prowadzili ci, którzy wierzyli w sukces pierwszego Wylęgu, ale tylko nieznacznie. Sean nie mógł się doczekać, żeby udowodnić niedowiarkom, ale on także nie chciał ryzykować oficjalnej nagany ani wystawiać młodych smoków na niebezpieczeństwo.

- Naprawdę nie mogę pokładać tego samego zaufania w Wind Blossom, jakie miałem do Kitti Ping - zwierzył się Paul Seanowi i Sorce na prywatnym spotkaniu. - Wszyscy jednak byśmy odetchnęli z ulgą, gdyby było widać jakiś postęp. Wasze smoki jedzą, rosną, a nawet latają na polowania. Ale czy będą również przeżuwać skały? - Paul zaczął odliczać na palcach. - Nosić jeźdźców? I chronić swoją cenną skórę podczas Opadów? Sytuacja z zasilaczami staje się napięta, Sean, bardzo napięta.

- Wiem, admirale - odparł Connell. - Ale nawet osiemnaście w pełni sprawnych smoków nie unicestwi Nici.

- Rozmnażające się, samowystarczalne stworzenia, walczące z Nićmi, w końcu pomogą nam odnieść sukces. A mnie martwi najbardziej możliwość przeżycia.

Sean zachował swoją opinię o Wind Blossom dla siebie. Po części wynikało to z lojalności względem Carenatha, Faranth oraz innych smoków z pierwszego Wylęgu; zresztą nie chciał

głośno mówić, że nie ma zaufania do genetyczki. Jej babce ufał niegdyś bez zastrzeżeń. Ostatecznie Kit Ping pobierała nauki u samego źródła, u Erydańczyów.

Kiedy patrzył, z jaką gracją Carenath nurkuje, by porwać tłustego skopa z uciekającego w popłochu stada, jego wiara w niezwykle stworzenia została wzmocniona.

- Twój to dopiero nabrał wysokości - powiedział David z nie skrywanym podziwem. - Patrz, Polenth złożył skrzydła. Leci za tamtym!

- Już go dopadł - odparł Connell, odwzajemniając komplement.

Może wszyscy byli zbyt ostrożni; bali się pójść na całość i sprawdzić, jakie będą efekty. Carenath leciał pewnie i równo. Spiżowy smok był prawie tego samego wzrostu w kłębie co Cricket, chociaż budowę ciała miał zupełnie inną. Carenath był o wiele dłuższy, miał bardziej wygięty korpus i potężniejsze tylne nogi. Smoki już okazały się silniejsze niż podobnych rozmiarów koniowate. Ich bardzo wytrzymały szkielet zawierał karborund, któremu zawdzięczał siłę i elastyczność. Pol i Bay wciąż zachwalali poszczególne elementy smoczej budowy, jak gdyby chodziło o nowy typ ślizgaczy. I rzeczywiście, pomyślał Sean kwaśno, właśnie ich rolę powinny wziąć na siebie smoki. Zgodnie z programem, kolejne pokolenia tych stworzeń miały zwiększać swoje rozmiary, póki nie zostanie osiągnięte optimum. Ale w oczach Connella Carenath był doskonały.

- Przynajmniej jedzą schludnie - powiedział Dave, odwracając oczy od dwóch smoków, które wydierały kawały mięsa z kadłubów swoich ofiar. - Chociaż bardzo bym chciał, żeby nie sprawiało im to aż takiej przyjemności.

Sean się roześmiał.

- Wychowałeś się w mieście, prawda? Dave skinął głową i uśmiechnął się słabo.

- Dla Polentha zrobiłbym wszystko. Ale co innego oglądać coś takiego na ekranie 3-D, a co innego widzieć to na żywo i wiedzieć, że twój najlepszy przyjaciel uwielbia polować na zwierzęta. Co mówiłeś, Polenth? - Oczy Dave'a stały się matowe i niezogniskowane, co było charakterystyczne u ludzi, którzy rozmawiali ze swymi smokami. W końcu roześmiał się niewesoło.

- No i? - zapytał Sean.

- Mówi, że wszystko jest lepsze niż ryby. Został stworzony do latania, nie pływania.

- Dobrze, że ma dwa żołądki - stwierdził Connell widząc, jak Polenth pożera owcę z rogami, kopytami, runem i wszystkim. - Pochłania węgnę z takim zapalem, że mógłby już chyba zacząć przeżuwać ognisty kamień i ziać ogniem.

- Będzie to robił, prawda, Sean? - Wyczuwalna w głosie Dave'a potrzeba potwierdzenia zaniepokoiła Connella. Smoczy przyjaciele nie mogli ani przez chwilę wątpić w swoich podopiecznych, pod żadnym pozorem.

- Oczywiście, że tak - odparł Sean wstając. - Już dosyć, Carenath. Dwa zupełnie ci wystarczą. Nie bądź łakomy. Inne też muszą się posilić.

Spiżowy właśnie gotował się do lotu, chcąc udać się w kierunku kolejnej doliny, dokąd umknęło przerażone stado.

Bardzo bym chciał jeszcze jednego. Takie smaczne. O wiele lepsze niż ryby. Lubię polować, odparł Carenath z uporem.

- Teraz poluje królowa, Carenath.

Rozdrażniony smok kiwnął głową i zaczął niespiesznie iść w stronę Seana, rozpościerając skrzydła dla zachowania równowagi. Chodzące smoki wyglądały bardzo dziwnie, gdyż musiały przykurczyć całe ciało do wysokości przednich łap; niektóre poruszały się podskakując, opadając na przednie łapy co kilka kroków lub używały skrzydeł, by unieść tułów lekko w górę. Sean nie lubił patrzeć, jak stworzenia nagle stają się niezgrabne i z trudem łapią równowagę.

- Zobaczmy się później - powiedział do Davida i razem z Carenathem ruszyli do własnej jaskini.

Smoki szybko wyrosły ze zbudowanych dla nich schronień na podwórzach. Wyczerpała się również cierpliwość wielu sąsiadów, którzy pracowali na nocne zmiany i spali w dzień. Smoki okazały się bardzo hałaśliwe jak na stworzenia, które nie potrafiły porozumiewać się na głos. Tak więc razem ze swoimi opiekunami musieli przenieść się do Jaskiń Catherine, gdzie nie trzeba już się było przejmować innymi mieszkańcami. Sorka z początku się martwiła, że mają razem z maleńkim Michaelem zamieszkać pod ziemią, ale jaskinia, którą wybrał Sean, okazała się przestronna, z kilkoma dużymi komorami. Ich nowe mieszkanie było o wiele większe niż dom w Sektorze Irlandzkim. Faranth i Carenath nie posiadali się z radości. Przed wejściem do jaskini znajdowała się półka gołej ziemi, gdzie smoki mogły zażywać słonecznych kąpieli, którą to formę leniuchowania przedkładały nad pływanie.

- Tu nam będzie o wiele lepiej! - wykrzyknęła Sorka, poddając się zupełnie, i zabrała się do ozdabiania nowej siedziby lampami, ręcznie tkanymi dywanikami, tkaninami i obrazkami, które wyprosiła u Joela.

Jednak nowe kwatery, jak zauważył Sean wracając z Carenathem do jaskini, okazały się nie tylko fizycznym odosobnieniem. Dave Catarel też to spostrzegł; powiedział, że czuje się tak, jakby o nim zapomniano.

Strasznie długo idziemy. Wolałbym polecieć do przodu, odezwał się Carenath, podskakując u boku Seana. Connell po raz kolejny pomyślał, że jego dzielny i piękny Carenath wygląda jak nieudane skrzyżowanie królika i kangura.

- Zostałeś stworzony do latania. Będę szczęśliwy, kiedy wreszcie polatamy razem.

No, to dlaczego na mnie nie wsiądziesz? Na mnie jeździ się łatwiej niż na tym tchórzliwym stworzeniu. Carenath pogardliwie traktował Cricketa, jako niezbyt odpowiedniego wierzchowca dla swego partnera.

Tchórzliwe stworzenie, pomyślał Sean z uśmiechem. Biedny Cricket. Jakże łatwo byłoby wskoczyć na grzbiet Carenatha i wystartować! Już na samą myśl wstrzymał oddech. Polecieć na Carenathu, a nie potykać się na pylistej drodze. Pierwszy rok życia smoków dobiegał już końca. Connell rozejrzał się, rozważając ten pomysł. Jeśli Carenath wystartuje z najwyższego punktu, będzie miał wystarczająco dużo miejsca, by wykonać pierwszy zamach skrzydłami, od którego wszystko zależało...

Sean spędził dużo czasu przyglądając się, jak ogniste jaszczurki i smoki radziły sobie w powietrzu, podobnie jak niegdyś cierpliwie obserwował konie. Tak, start z wysokiego miejsca powinien załatwić sprawę.

- Chodź, Carenath. Cieszę się, że nie pozwoliłem ci najeść się do syta. Dalej, wdrapiemy się na szczyt.

Na szczyt? Na urwisko? Connell usłyszał, jak umysł smoka ogarnia nagłe zrozumienie. Carenath wspiał się na górę z taką szybkością, że Sean został w tyle, kaszląc w tumanie kurzu. Szybko! Mamy dobry wiatr.

Ocierając z oczu pył, Connell roześmiał się głośno, czując podniecenie i przyspieszone tętno wyczekiwania. Teraz jest właściwa chwila, odpowiedni czas, dobre miejsce, pomyślał. Nadszedł moment, by dosiąść Carenatha!

Nie było żadnego siodła czy strzemienia, które pomogłoby wspiać się na wysoki bark. Carenath przykucnął uprzejmie, a Sean, lekko stając na podsunętej mu łapie, pewnie chwycił za dwa grzebienie na grzbiecie i usadowił się między nimi.

- Kurczę, jesteś jak stworzony na mój rozmiar - powiedział z triumfalnym uśmiechem, po czym klepnął z uczuciem szyję Carenatha. Następnie złapał za grzebień przed sobą.

Carenath przycupnął na skraju urwiska, a Sean ujrzał przed sobą zapierający dech w piersiach widok dna wąwozu, najeżonego kamieniami. Pospiesznie przełknął ślinę. Lot na Carenathu to coś zupełnie innego od jazdy na Crickecie. Wziął głęboki oddech. Nie miał czasu się zastanawiać. Mocno ścisnął smocze boki nogami, silnymi po latach konnej jazdy, i jak najdokładniej mógł, wpasował pośladki w naturalne siodło.

- Lećmy, Carenath. Zróbmy to teraz!

Polecimy, powiedział Carenath z niezwykłym spokojem. Przechylił się przez krawędź.

Pomimo doświadczenia w ujeżdżaniu koni, niezliczonych skoków i galopad, Sean Connell rozumiał, że wrażenia, jakie odniósł w tej chwili, nie da się z niczym porównać. W umyśle na moment rozbłysło mu wspomnienie dziewczęcego głosu, każącego mu myśleć o Kosmicznej Yves. Znowu spadał w przestrzeń. Bardzo ograniczoną przestrzeń. Trzeba być idiotą, żeby się ważyć na coś takiego.

Faranth chce wiedzieć, co robimy, odezwał się spokojnie Carenath.

Zanim roztrzęsiony umysł Connella zarejestrował pytanie, skrzydła Carenatha dokończyły zamach i zaczęli się wznosić w górę. Sean poczuł nagły powrót grawitacji, smoczą szyję pod sobą, własny ciężar i powrót pewności siebie, która całkowicie zniknęła podczas pierwszego, ciągnącego się w nieskończoność opadania. Potężne uderzenia skrzydłami wcisnęły go mocniej pomiędzy grzebienie; Carenath leciał w górę. Znaleźli się na poziomie kolejnej grani, a dno wąwozu nie groziło im już natychmiastowym rozbiciem.

- Oczywiście powiedz Faranth, że lecimy - odparł Sean. Nigdy nie przyznałby Sorce - ledwo przyznawał się sobie - że na chwilę ogarnęło go przerażenie.

Nie pozwolę ci spaść, skarcił go Carenath.

- Wcale nie myślałem, że pozwolił. - Connell zmusił się do odprężenia, opuścił długie nogi luźno w dół, ale tym mocniej zacisnął dłonie na grzebieniu. - Po prostu sądziłem, że sam się nie utrzymam.

Skrzydła Carenatha poruszały się w górę i w dół, prawie poza zasięgiem wzroku Seana. Ale nawet jeśli ich nie widział, czuł ich siłę i pewność uderzeń. Pęd powietrza chłodził jego twarz, napierał piersi. Wokół niego nie było nic poza pustką, rozległą, otwartą i cudowną.

Tak, gdy już tego zakosztował, mógł stwierdzić, że lot na smoku jest najwspanialszym doświadczeniem, jakie miał w życiu.

Mnie też się podoba. Lubię z tobą lecieć. Pasujesz do mnie. Dobrze nam idzie. Gdzie polecimy? Niebo należy do nas.

- Posłuchaj, lepiej nie rozpędzajmy się za bardzo, Carenath. Dopiero co zjadłeś, a poza tym musimy to przemyśleć. Start z grani to nie wszystko... Oooooooch! - krzyknął bezwiednie, gdy Smok przechylił się na bok, a on ujrzał daleko, daleko pod sobą gołą, pylistą, zniszczoną przez Nici ziemię. - Wyprostuj się!

Nie pozwoliłbym ci spaść! Carenath był niemalże urażony. Sean uwolnił jedną rękę, by poklepać go po szyi. Szybko jednak na powrót uchwycił się grzebienia. Do licha, nie można walczyć z Nićmi, trzęsąc się jednocześnie o własną skórę.

- Ty byś mi nie pozwolił, przyjacielu, ale ja sam mógłbym! Usiłując opanować wzbierającą panikę, Sean zaryzykował rzut oka na ziemię. Zbliżali się już do jaskiń, które stały się ich domem. Sean dostrzegł Faranth na wyżynie. Musiała się tam wygrzewać na słońcu. Przysiadła teraz na zadzie, rozpościerając do połowy skrzydła. Kilkoma uderzeniami potężnych skrzydeł Carenatha pokonali odległość, która zwykle zabierała pół godziny mozolnego marszu.

Faranth mówi, że Sorka każe nam natychmiast zejść na dół. Natychmiast! poskarżył się smok, błagając Seana, by sprzeciwił się wszystkiemu, co mogło skrócić nowe doświadczenie. Latamy razem. To dobrze, jeśli smoki i jeźdźcy tak robią.

- Jest fantastycznie, Carenath, ale może wylądujemy teraz, na przykład przy Faranth? Będiesz mógł jej opowiedzieć, jak nam się to udało!

Sean nie przejmował się, czy Sorka wpadnie w szal, słysząc o jego spontanicznym, nie zaplanowanym locie. Zrobił to, powiodło się i wszystko dobrze się skończyło. Smoki z Pernu wreszcie miały jeźdźców! To zmieni stawki w zakładach Joela!

Pozostałych siedemnastu jeźdźców, w tym i Sorka, gdy Faranth zapewniła ją o

umiejętnościach Carenatha, było zachwyconych. Dave chciał wiedzieć, dlaczego Seanowi tak się spieszyło.

- Nie mogliście poczekać na mnie? Polenth i ja byliśmy tuż za wami. Wystraszyliście mnie niemal na śmierć.

Connell przepraszaając poklepał Dave'a po ramieniu.

- Wziąłem sobie do serca twoje słowa, że o nas zapomniano, Dave. Musiałem spróbować, ale nie chciałem narażać nikogo innego. - Dostrzegł pełen dezaprobaty wzrok Sorki i udał, że kuli się z przestachu. - Przecież nic mi się nie stało, kochanie. Dobrze o tym wiesz! Ale... - Spojrzał ostrzegawczo na pozostałych, usadowionych wokół niego na dywanikach. - Musimy podejść do tego rozsądnie i z umiarem. Latanie na smoku nie przypomina jazdy konnej.

Spojrzał na Norę Sejby. Nigdy nie przypuszczał, że ktoś taki jak ona zdoła Naznaczyć smoka, ale Tenneth wybrała właśnie ją i musieli jakoś sobie z tym poradzić. Nora wprost przyciągała wypadki. Tenneth kilkakrotnie musiała wyciągać ją z wody i pilnować, żeby nie wpadła w którąś ze szczelin czy dziur, jakich pełno było na wzgórzach otaczających Jaskinie Catherine. Z drugiej strony, Nora żeglowała po Zatoce Monaco, odkąd dorosła na tyle, by móc utrzymać rumpel, a poza tym radziła sobie ze ślizgaczami i skuterami.

- Przed wszystkim otacza was powietrze. Upadek byłby twardy i mógłby się źle skończyć. - Sean podkreślił te słowa, z głośnym klaśnięciem uderzając dłonią o dłoń i zaskakując tym Norę.

- No, to co? - odezwał się Peter Semling. - Użyjemy siodeł.

- Na smoczym grzbiecie są skrzydła - odparła Sorka sucho.

- Jeździ się z przodu, z tyłkiem w zagłębieniu pomiędzy ostatnimi dwoma grzebieniami - ciągnął Connell, sięgając po nieprzezroczystą folię i mazak. Szybko naszkicował smoczą szyję i kark oraz rozmieszczenie dwóch pasów. - Jeździec nosi mocny pas, tak szeroki jak ten na narzędzia. Trzeba się przypiąć po obu stronach, a uprząż bezpieczeństwa dodatkowo oplata uda. Będzie nam potrzebne specjalne ubranie i okulary ochronne. Od wiatru łzawiły mi oczy, a nie byłem przecież w powietrzu tak długo.

- A jak się czujesz, Sean? - zapytała Catherine Radelin. Jej oczy błyszczały z podniecenia.

Sean się uśmiechnął.

- Najbardziej niewiarygodne przeżycie, jakie miałem kiedykolwiek. Bije na głowę latanie na jakichkolwiek mechanicznych urządzeniach... - Zacisnął pięści, przycisnął je do piersi, po czym wyrzucił w górę, chcąc tym dobitniej wyrazić to, na co nie znajdował słów. - To jest... wszystko zależy od smoka i od ciebie... - Rozłożył szeroko ramiona. - A wokół cały ten cholerny, szeroki świat.

W o wiele mniej dramatyczny sposób Connell opisał przygodę na zwołanym naprędce spotkaniu, na które go wezwano, by zdał sprawę ze swojego ryzykanctwa. Wolałby złożyć raport prywatnie, admirałowi Bendenowi albo Polowi czy Redowi, ale zamiast tego musiał stanąć przed całą radą.

- Proszę posłuchać, ryzyko było całkowicie usprawiedliwione - powiedział, zerkając szybko na admirała i Reda Hanrahana. Jego teść był zarówno wściekły, jak i urażony tym, co uznał za zdradę. Tego Sean nie przewidział. - Zbliżaliśmy się do grani, kiedy nagle doszedłem do wniosku, że muszę udowodnić, że smoki potrafią latać z jeźdźcem na grzbiecie. Czasami wszystkie plany tego świata nie potrafią doprowadzić człowieka do właściwego miejsca w odpowiednim czasie.

Admirał Benden mądrze pokiwał głową, ale zaskoczona mina Jima Tilleka oraz nagły wzrost zainteresowania Ongoli uświadomiły Seanowi, że powiedział coś niewłaściwego.

- Ryzykowałem jedynie własną głowę, niczyją inną - ciągnął. - Trzeba trochę czasu, żeby przygotować pozostałych jeźdźców do lotu. Wiele jeździłem konno, pilotowałem też ślizgacze, ale latanie na smokach to coś zupełnie innego i nie zamierzam robić tego znowu, póki Carenath nie będzie miał na sobie jakiejś uprząży. I ja również.

Joel Lilienkamp przechylił się przez stół.

- A z czego chcesz ją zrobić, Connell?

Sean uśmiechnął się szeroko, bardziej z ulgą niż z rozbawieniem.

- Nie martw się, Lili, potrzebuję tylko tego, czego Pern ma pod dostatkiem: skóry. Znalazłem zastosowanie dla całej tej wyprawionej skóry wherrów, którą masz w składach. Jest wystarczająco mocna, a będzie wygodniejsza dla smoków niż syntetyczne pasy, jakich używa się w ślizgaczach. Zrobiłem kilka szkiców. - Rozwinął rysunki, udoskonalone po dyskusji z innymi opiekunami. - Tu narysowałem uprząż i widać, ile potrzeba nam będzie pasów i kombinezonów. Przydałoby się też trochę plastikowych okularów ochronnych.

- Kombinezony i okulary ochronne - powtórzył Joel, sięgając po rysunki. Zbadał je ze stopniowo zmniejszającym się sceptycyzmem.

- Gdy tylko sporządzę uprząż dla Carenatha, admirale, pani gubernator, panowie - powiedział Sean, uprzejmie zwracając się do wszystkich zgromadzonych i dodając niepewny uśmiech w stronę Cherry Duff, która spojrzała nań spode łba - będziecie mogli zobaczyć, jak pewnie mój smok nosi mnie na grzbiecie.

- O ile wiem, zostaliście poinformowani, że na Piaskach Wylęgowych znajdują się nowe jaja?

- zapytał Paul Benden, a Connell dostrzegł, że admirał pociera kłykcie lewej dłoni.

Sean skinął głową.

- Jak już mówiłem, admirale, osiemnaście smoków nie zdziała wiele. A miną pokolenia, zanim będzie ich wystarczająco wiele.

- Pokolenia?! - wykrzyknęła Cherry Duff ostrym tonem, oskarżycielsko spoglądając na grupę weterynarzy. - Dlaczego nam nie powiedzieliście, że to zabierze tyle czasu?

- Smocze pokolenia - odparł Pol, uśmiechając się lekko z tego nieporozumienia. - Nie ludzkie.

- A ile trwa smocze pokolenie? - chciała wiedzieć Cherry, wciąż urażona. Rzuciła Connellowi gniewne spojrzenie.

- Samice powinny złożyć jaja w wieku trzech lat. Sean udowodnił, że smoczy samiec potrafi latać, zanim skończy rok...

Cherry opuściła obie ręce na stół, wywołując głośny huk.

- Do cholery, podaj mi fakty, Pol.

- Cztery do pięciu lat?

Rozgniewana Cherry wyduła wargi, przez co jeszcze bardziej upodobniła się do suszonej śliwki. Takiego zdania był przynajmniej Sean.

- Czyli ja już nie zobaczę na niebie smoczycich szwadronów, prawda? Cztery do pięciu lat. A kiedy zaczną spalać Nici? Do tego je przecież zaprojektowano, no nie? Kiedy zaczną być użyteczne?

Connell nagle miał dosyć.

- Szybciej niż myślisz, Cherry. Zaczynaj przyjmować zakłady, Joel. - Po tych słowach opuścił biuro. Denerwowało go, że musi wziąć skuter, aby wrócić do Sorki i pozostałych, którzy czekali na nowiny.

Dziesięć dni później, kiedy Joel Lilienkamp osobiście przywiózł im potrzebne pasy, sprzączki, kombinezony i okulary, przygotowania Smoków z Pernu do lotu rozpoczęły się na dobre.

W ciągu ostatniego roku mieszkańcy Ładowiska przyzwyczaili się już, że ziemia pod ich stopami drży i dudni. Pewnego poranka, drugiego dnia czwartego miesiąca dziewiątej wiosny na Pernie, najwcześniej wstający zaobserwowali wianuszek dymu i nie przyszło im do głowy, że ten fakt może mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Sean i Sorka, wychodząc z jaskini razem z Carenathem i Faranth, również spostrzegli to zjawisko.

Dlaczego ta góra dymi? chciała wiedzieć Faranth.

- Co robi góra? - zapytała Sorka, rozbudzając się na tyle, by zrozumieć słowa swojego smoka.

- O kurczę, Sean, patrz!

Connell przez dłuższą chwilę przyglądał się wierzchołkowi.

- To nie Garben. To Szczyt Picchu. Patrice de Broglie się mylił. A może nie?

- O co ci chodzi, do licha? - żona zagapiła się na niego zdumiona.

- Pamiętasz, było tyle gadania o skale podstawowej i przeniesieniu Ładowiska na bardziej praktyczny teren, z odpowiednimi pomieszczeniami dla smoków i dla nas... - Sean nie spuszczał oczu z pasemka dymu, które powoli ześlizgiwało się ze szczytu, nie tak potężnego jak olbrzymi Garben, ale z pewnością równie złowieszczego. Wzruszył ramionami. - Nawet Paul Benden nie potrafi sprawić, by wulkan wybuchł na zawołanie. Chodź, możemy zjeść śniadanie u twojej matki. Zapakuj Micka i w drogę. Może twój ojciec wie, co się oficjalnie o tym mówi. - Zmarszczył gniewnie brwi. - My zawsze dowiadujemy się o wszystkim ostatni. Muszę przekonać Joela, żeby dał do jaskiń przynajmniej jeden odbiornik.

Sorka umieściła wyrywającego się synka w nosidełku wyściełanym owczym runem, po czym włożyła kurtkę, hełm i okulary. Sean zaniósł Micka do Faranth. Z łatwością wynikającą z praktyki, Sorka dwoma susami wskoczyła na uprzejmie podstawioną łapę i znalazła się na smoczym karku. Sean wręczył jej protestujące zawiniątko, które Sorka przewiesiła sobie przez plecy, po czym ruszył, by dotrzeć do miejsca, gdzie już doczekać Carenatha.

Smoki wystartowały prosto w górę z półki przed jaskinią, wznosząc się wystarczająco wysoko, by mieć miejsce na pierwszy pełny zamach. Przez ostatnich kilka tygodni smocze grzbiety wzmocniły się i umięśniły. Stworzenia były już zdolne do kilkugodzinnych lotów. Jeźdźcy, nawet Nora Sejby - Sean sporządził specjalną uprzęż, która pewnie mocowała dziewczynę do Tenneth - radzili sobie coraz lepiej. Długie dyskusje z Drake'iem Bonneau i kilkoma innymi pilotami, którzy mieli doświadczenie bojowe zarówno z dawnej wojny z Nathis, jak i z lotów przeciwko Niciom, pomogło smoczym jeźdźcom zrozumieć podstawy tego, czego od nich wymagano. A dzięki praktyce stawali się coraz bardziej pewni siebie.

Trzy tygodnie wcześniej wylęgły się ostatnie jaja przygotowane przez Wind Blossom. Cztery pozostałe przy życiu stworzenia nie Naznaczyły czekających na nich kandydatów, chociaż zjadły ofiarowane im pożywienie. Okazało się, że biedne stwory cierpią na światłowstręt, ale Blossom, ku zdumieniu Pola i Bay oraz wbrew ich radzie, nalegała, żeby umieścić je w specjalnym, zaciemnionym pomieszczeniu celem dalszych badań tego wariantu.

Nawet ogniste jaszczurki były bardziej użyteczne, pomyślał Sean, gdy dwie sfory pojawiły się nagle w powietrzu przed nimi, wyśpiewując poranne powitanie wysokimi, słodkimi głosami. Gdyby tylko smoki potrafiły robić to samo, pomyślał Sean z zazdrością. Ale jak nauczyć smoka czegoś, czego samemu się nie rozumiało? Stwory z dnia na dzień stawały się coraz mądrzejsze i uczyły się bardzo szybko, ale nie można im było wytłumaczyć telekinezy ani poprosić, żeby teleportowały się w ten sam sposób co jaszczurki. Kitty Ping nazwała to działaniem instynktownym. Connell nie przypominał sobie, żeby gdziekolwiek w genetycznym programie znalazły się wskazówki, w jaki sposób poinstruować smoka, aby zrobił użytek ze swojego wrodzonego instynktu.

Zresztą tego typu ćwiczeń nie można wprowadzać bez przygotowania. Przede wszystkim należy zachęcić je do zucia smoczego kamienia i ziania ogniem. Wiedzieli, skąd ogniste jaszczurki brały skałę zawierającą fosfemę; Sean obserwował nawet, jak ostrożnie jego brązowe i Duke Sorki wybierają kawałki do zucia i jak koncentrują się na tej czynności. Jaszczurki nauczyły się ziać ogniem na żądanie, więc Connell był spokojny, że smoki również nabędą tę umiejętność. Ale przemieszczanie się pomiędzy jednym miejscem a drugim... Tego właśnie się obawiał.

Trzy dni później członkowie rady Ładowiska zostali zaabsorbowani zupełnie innego rodzaju płomieniem.

- Ludzie chcą wiedzieć, ile ostrzeżeń odebraliście na temat aktywności Picchu - powiedziała

Cherry Duff, przenosząc świdrujące spojrzenie z admirała na gubernator i z powrotem.

- Ani jednego - odparł Paul stanowczo. Emily skinęła głową. - Raporty Patrice'a de Broglie nie zostały zmienione. Wzdłuż całego pierścienia obserwuje się dużą aktywność wulkaniczną, mamy też nowy wulkan. Wszyscy czuliśmy te same wstrząsy. Zarówno w Lądowisku, jak i poza nim zostały ogłoszone wszystkie szczegóły techniczne. To dla nas bardzo przykra niespodzianka, tak jak i dla was! - Nagle surowa twarz Paula nieco złagodniała. - Na wszystko co święte, Cherry, ten czarny pył wystraszył mnie wczoraj, podobnie jak wszystkich innych.

- No, więc? - nalegała Cherry, nie ułagodzona.

- Wszyscy wiedzą, że Picchu jest aktywnym wulkanem! - admirał rozłożył ręce, patrząc ponad Cherry na Cabota Francisa Cartera i Rudiego Shwartz. - Oficjalnie ma prawo pluć dymem i pyłem. Patrice i jego zespół są teraz przy kraterze. Pełny raport zostanie odczytany publicznie dziś wieczorem na Placu Ogniskowym.

Cherry popatrzyła na niego twardo czarnymi, przenikliwymi oczami, z całkowicie nieprzeniknioną twarzą. W końcu prychnęła.

- Wierzę mu, ale to nie oznacza, że mi się podoba. Konkluzja jest oczywista. Lądowisko musi się przenieść, prawda?

Emily Boll poważnie skinęła głową.

- A twoim kolejnym stwierdzeniem będzie - ciągnęła Cherry twardym tonem - że przygotowaliście już dla nas miejsce!

Paul parsknął śmiechem, ale gubernator zdołała się opanować widząc, jak niewczesna wesołość uraziła Rudiego Shwartz.

- Nie miałaś prawa pozbawiać Emily tej kwestii - powiedział admirał, tłumiąc śmiech. - Do licha, właśnie pracowaliśmy nad formalnym oświadczeniem, kiedy tu wtargnęliście. I cholernie dobrze wiecie, że bardzo się spieszyliśmy, żeby przygotować pomocny fort. Lądowisko nie mogłoby dłużej sprawnie funkcjonować, nawet gdyby Picchu nie zaczął zasypywać nas pyłem. To nie znaczy, oczywiście - wtrącił szybko, podnosząc dłoń, by powstrzymać wybuch Cabota - że farmerzy zostaną poproszeni o opuszczenie swoich ziem. Ale administracja tej planety musi być prowadzona z najbardziej chronionego miejsca, jakie uda nam się znaleźć. Wyraźnie widać, że Lądowisko nie jest już użyteczne. Nigdy zresztą nie planowaliśmy tu stałego osiedla.

Dyskusję podjęła Emily, rozdając zgromadzonym kopie obwieszczenia, nad którym pracowała wraz z Paulem.

- Transfer zostanie zorganizowany podobnie do podróży kosmicznej. Mamy techników oraz sprzęt, który w miarę możliwości ułatwi przeprowadzkę na północ. Posiadamy wystarczająco dużo paliwa, by dwa wahadłowce przetransportowały urządzenia zbyt ciężkie, aby pasowały na któryś ze statków Jima. Dla wahadłowców to będzie podróż w jedną stronę: potem zostaną rozebrane na części. W wolnej chwili przyślemy tu ekipę, żeby rozmontowała pozostałe trzy. Joel Lilienkamp opracował też metodę przetransportowania priorytetowych towarów dużymi ślizgaczami, tak by jednocześnie nie odrywać zbyt wielu z nich od walki.

- Skoro już mówimy o walce, czy ten zadufany młodzik nauczył swoich podopiecznych jakichś nowych sztuczek? - zapytała Cherry władczym tonem, kierując swój długi nos w stronę Paula. - A jeśli chodzi o wybuchy, jak radzą sobie bestie stworzone przez Kittii Ping? Ciągłe widzę, jak kręcą się w okolicy. Wyglądają dość potężnie, ale czy sprawdzą się w walce?

- Jak dotychczas - zaczął admirał ostrożnie - rozwijają się znacznie lepiej, niż się spodziewaliśmy. Młodzi Connellowie okazali się wspaniałymi przywódcami.

- Byli najlepszymi dowódcami ekip naziemnych, jakich miałem - stwierdził Cabot Carter, wciąż nachmurzony.

- Smoki na pewno okażą się niezastąpione w starciach powietrznych - ciągnął Paul, nie

zwracając uwagi na wyczuwalny krytycyzm legisty. - W dodatku mają własny napęd, nie tak jak ślizgacze i skutery.

- Czy jesteś tego pewien? - zapytała Cherry ostro. - Nie wszystkie eksperymenty Blossom kończą się sukcesem.

- Ale jej babki tak - odparł admirał z pewnością siebie, która, jak miał nadzieję, powinna pocieszyć Cherry. - Według Pola i Bay samce zaczęły już produkować spermę. Rozpoczęto analizy genetyczne, ale one potrwają całe miesiące. Do tej pory możemy już mieć bezpośredni dowód płodności smoków, bo złote samice dojrzewają nieco później. - Admirał starał się nie mówić obronnym tonem, ale naprawdę bardzo chciał znieść efekty złej reklamy, jaka otaczała stwory Wind Blossom. Zwłaszcza w momencie kiedy młodzi jeźdźcy ze wszystkich sił starali się doprowadzić do perfekcji swoje umiejętności w walce z Nićmi. Chociaż nie podano tego do publicznej wiadomości, grupa Seana już służyła za posłańców, a także skutecznie transportowała lżejsze towary.

Paul miał na biurku raport Telgara i jego zespołu. Przeprowadzili oni badania starego krateru nad fortem, mieszczącego miriady jaskiń i wijących się przejść, i stwierdzili, że nadaje się on na siedzibę smoków i ich jeźdźców. Zespół Telgara pracował nad tym, by uczynić to miejsce wygodnym do zamieszkania, póki jeszcze w zasilaczach ciężkiego sprzętu było dość energii. Jego podopieczni zbudowali tamę na jednym ze strumieni, tworząc jezioro przystosowane rozmiarami do smoczyc kąpieli, przeprowadzili wodę do największej z jaskiń na poziomie gruntu, aby dało się tam urządzić kuchnię, a także wyborowali otwór kominowy na duży kompleks palenisk.

Najwyraźniej tak właśnie miały wyglądać przyszłe siedziby ludzkie na Pernie i dla niektórych przywykniecie do tego typu przestrzeni życiowej mogło okazać się dość skomplikowane. Ale taka właśnie była najlepsza metoda na przetrwanie!

Rozdział II

- Pol?

Biolog dopiero po chwili zidentyfikował niespokojny głos.

- Mary? - zaryzykował, ciągnąc Bay za rękaw, by oderwać jej uwagę od monitora, w który się wpatrywała, marszcząc brwi. - Mary Tubberman?

- Proszę, nie rozłączaj się, póki mnie nie wysłuchasz.

- Mary - powiedział Pol łagodnie. - Ty nie zostałeś wykluczona. - Dzielił słuchawkę z Bay, która z zapalem pokiwała głową.

- Jakoś tego nie zauważyłam - odparła kobieta gorzko, po czym jej głos załamał się i małżeństwo mogło usłyszeć, jak płacze. - Słuchaj, Pol, coś się stało Tedowi. Te jego stwory wydostały się na wolność. Zaciągnęłam zasłony chroniące przed Nićmi, ale one wciąż tu się kręcą i wydają okropne dźwięki.

- Stwory? Jakie stwory? - Pol i Bay wymienili spojrzenia. Za nimi smoczki ocknęły się z drzemki i zaświergotały w empatycznym niepokoju.

- Bestie, które wyhodował. - Głos Mary brzmiał, jak gdyby kobieta była przekonana, że Pol wie, o czym ona mówi i tylko specjalnie utrudnia sprawę. - On... on ukradł weterynarzom kilka zamrożonych hodowli in vitro i zastosował na nich program Kitty, żeby go słuchały, ale wciąż zostały... pewne problemy. A on wcale się nie stara ich zmienić. - Jej gorycz wybuchła z nową siłą.

- Dlaczego myślisz, że coś stało się Tedowi? - zapytał Pol, odczytując słowa z warg Bay, niecierpliwie wymachującej rękami.

- On nigdy nie wypuściłby tych zwierząt na wolność, Poi! Mogłyby zrobić krzywdę Peteyowi!

- Uspokój się Mary. Zostań w domu. Przylecimy.

- Neda nie ma w Ładowisku - powiedziała Mary oskarżycielsko. - Próbowałam się do niego dodzwonić. On by mi uwierzył!

- To nie jest kwestia wiary, Mary. - Bay przekręciła tubkę mikrofonu, by mówić prosto do niej. - Zresztą tobie każdy może pomagać.

- Sue i Chuck się nie odzywają.

- Sue i Chuck przeprowadzili się na północ, Mary, tuż po pierwszym deszczu kamieniu z Picchu. - Bay nie traciła cierpliwości. Nic dziwnego, że kobieta popadła w lekką paranoję, tak długo żyjąc w osamotnieniu, znosząc nieźrównoważonego męża, słysząc odgłosy trzęsień ziemi i pomruki wulkanów.

- Pol i ja już do ciebie lecimy, Mary - powiedziała Bay stanowczo. - I sprowadzimy pomoc. - Wyłączyła odbiornik.

- Kogo? - zapytał Pol.

- Seana i Sorkę. Smoki mają wpływ na zwierzęta. Poza tym w ten sposób nie musimy poruszać się oficjalnymi kanałami.

Pol spojrział na żonę z lekkim zaskoczeniem. Nigdy dotąd nie krytykowała Paula ani Emily, czy to wprost, czy w sposób zawołany.

- Zawsze uważałam, że ktoś powinien zbadać raport Drake'a i Neda Tubbermana. Nawet chcieli to zrobić. Ale czasem w zamieszaniu priorytety gdzieś się gubią. - Szybko napisała na kartce kilka słów, po czym przyczepiła ją do prawej nogi swojego złotego smoczka. - Znajdź rudą - powiedziała stanowczo, przytrzymując trójkątną główkę, by przyciągnąć uwagę Marian. - Znajdź rudą. - Bay podeszła z nią do okna i otworzyła je, wskazując palcem w kierunku jaskiń. Przywołała w umyśle obraz Sorki, opierającej się o Faranth. Mariah zaświergotała radośnie. - No, zmykaj! - Gdy smoczek posłusznie odleciał, Bay przeciągnęła palcem po czarnym pyłe, który zdążył osiąść na niedawno zamiecionym parapecie. - Chciałabym już przenieść się na pomoc. Jestem strasznie zmęczona tym pyleniem. Chodź, Pol, lepiej ubierzmy się ciepło.

- Postanowiłaś pomóc Mary, bo to daje ci szansę kolejnej przejażdżki na smoku - zachichotał Pol.

- Polu Nietro, naprawdę martwię się o Mary Tubberman!

Piętnaście minut później nad wzniesieniem pojawiły się dwa smoki i wylądowały na drodze tuż przed ich domem.

- Mają tyle wdzięku - powiedziała Bay, upewniając się, że chustka na jej głowie jest porządnie zawiązana; miała ją chronić nie tylko przed unoszącym się w powietrzu pyłem, ale i przed wiatrem w czasie lotu. Gdy wyszła z domu, na jej pulchnym ramieniu natychmiast usadowiła się Mariah, popiskując z satysfakcji. - Jesteś cudowna, Mariah, po prostu cudowna - mruknęła Bay do małej królowej i pomaszerowała prosto pomiędzy Faranth i Carenatha. Zwróciła się jednak do Sorki.

- Dziękuję za przybycie, moja droga. Właśnie zadzwoniła do nas Mary Tubberman. Ma jakieś kłopoty w Całusie. Zwierzęta wyrwały się na wolność i Mary myśli, że coś przydarzyło się Tedowi. Zabierzcie nas tam?

- Oficjalnie czy nieoficjalnie? - zapytał Sean, czując na sobie wzrok żony.

- Nie ma zakazu pomagania Mary - powiedziała Bay, zerkając na Pola, który właśnie podszedł do smoków i przyglądał im się ze zwykłym podziwem. - A poza tym kto wie, jakie to zwierzęta...

- Smoki są użyteczne - odparła Sorka z uśmiechem, podejmując decyzję. Skinęła na Bay. - Podsuń pani nogę, Faranth. Złap mnie za rękę, Bay.

Z pomocą Faranth Bay zdołała usadowić się w milczeniu za Sorką. Nigdy by nie przyznała, że ledwo się wcisnęła pomiędzy grzebienie. Mariah jak zwykle wydała pisk protestu.

- No, Mariah, z Faranth jesteśmy zupełnie bezpieczne - powiedziała Bay i obejrzała się na

Pola, który właśnie siadał za Seanem. Młody jeździec uśmiechnął się szeroko i mrugnął do Bay. No cóż, tym razem to naprawdę konieczność, usprawiedliwiała się pani biolog w duchu. Kobieta z małymi dziećmi uwięziona w domu, wokół którego krążą wygłodniałe bestie.

- Trzymajcie się mocno - powiedział Sean jak zwykle. Machnięciem ręki dał sygnał do startu. Bay stłumiła okrzyk, gdy skok Faranth wduśli ją boleśnie w sztywny boczny grzebień. Niewygoda trwała tylko przez moment, gdyż złoty smok wyrównał lot i bez wysiłku skręcił w prawo. Bay odzyskała oddech. Nigdy się do tego nie przyzwyczai; zresztą wcale nie chciała. Jazda na smoku była najbardziej podniecającą rzeczą, jaka przydarzyła jej się od... od czasu, gdy Mariah przechodziła swoją pierwszą ruję.

W linii prostej Całusa nie była zbyt oddalona, ale podróż i tak robiła wielkie wrażenie. Smoki wpadły w jeden z wielu prądów powietrza, jakie pojawiły się wskutek aktywności Picchu. Bay chwyciła za pas Sorki, wciskając palce aż po kłykcie między szelki. Latanie na smoku wymagało więcej wysiłku niż prowadzenie zamkniętych ślizgaczy czy skuterów. Sprawiało też o wiele większe wrażenie. Pani biolog odwróciła głowę, tak by wysokie, silne ciało Sorki osłaniało ją przed pędem powietrza i pyłem z Picchu, który wypełniał niebo nawet na tej wysokości.

W czasie podróży Bay zastanawiała się, co Mary miała na myśli mówiąc o "bestiach". Przypomniała sobie raport Reda Hanrahana o nocnym włamaniu do laboratorium weterynarzy. Zniknął wtedy przenośny bioskaner, ale że biolodzy często pożyczali sprzęt weterynarzy, nikt nie zwrócił na to uwagi. Później ktoś zauważył, że zamrożone komórki jajowe wielu gatunków ziemskich zwierząt zostały przemieszane w przechowalni. To jednak można było złożyć na karb trzęsienia ziemi.

Ted Tubberman nie próżnował, pomyślała Bay ponuro. Jedną z najważniejszych zasad w zawodzie mikrobiologa było ściśle ograniczenie manipulacji genetycznych. Doprawdy była zaskoczona, choć jednocześnie poczuła wielką ulgę, gdy Kitti Ping Yung, kierująca naukowcami w wyprawie pernijskiej, zezwoliła na zastosowanie bioinżynierii na smoczkach. Czy Kitti Ping miała jakiegokolwiek pojęcie, jaki wspianały prezent zgotowała mieszkańcom Pernu?

Ale że Ted Tubberman, zbuntowany botanik, na własną rękę wprowadzał zmiany w komórkach jajowych - nie rozumiejąc ani technik, ani procesu - tego nie mogła tolerować; ani profesjonalnie, ani osobiście. Bay uważała się za dość wyrozumiała i przyjazną, ale naprawdę poczułaby ulgę, gdyby się okazało, że Ted Tubberman nie żyje. I nie byłaby w tym odosobniona. Już sama myśl o tym człowieku wywoływała u niej podniecenie i taką furję, że traciła cały swój profesjonalny chłód, a to denerwowało ją jeszcze bardziej. Siedziała na smoczym grzbiecie, mając doskonałą okazję do pogodnych rozmyślań, w uszach słyszała jedynie szum wiatru i traciła cenny czas na myślenie o Tedzie Tubbermanie. Bay westchnęła. Tak rzadko zdarzały jej się chwile całkowitego odosobnienia i prywatności. Ależ zazdrościła tego młodej Sorce, Seanowi i pozostałym!

Widok Całusy w sąsiedniej dolinie zaskoczył ją całkowicie. Ujrzała solidny kompleks budynków, zbudowany przez Tubbermanów pośrodku przynależnej im ziemi. Cynkowane dachy głównych budynków stały się matowoszare wskutek ciągłych opadów wulkanicznego pyłu, przynieszonego przez wiatr. Bay nawet nie miała czasu dobrze się przyjrzeć, gdy dobiegł ją okrzyk zdumienia Sorki.

- Do licha, ten budynek to ruina! - Kobieta pokazała na prawo i Faranth gwałtownie skręciła w odpowiedzi na niewypowiedzianą prośbę. Boczny grzebień wbił się boleśnie w krocze Bay, która jeszcze mocniej chwyciła za pas Sorki.

- Patrzcie! - Kobieta patrzyła w dół.

Siedemdziesiąt pięć metrów od głównego domu leżał zadaszony zespół budynków, z osobnymi pomieszczeniami wzdłuż przejścia w kształcie litery L, tworzący dwa boki ogrodzonego terenu. Jedna z zewnętrznych ścian oraz kilka z wewnętrznych przegród zostało

zniszczonych, narożna zaś część dachu, zerwana, leżała na zewnątrz. Bay nie mogła sobie przypomnieć, czy w tej okolicy wystąpiły jakieś dodatkowe wstrząsy, które mogłyby spowodować takie zniszczenie. Pozostałe budynki były całe.

Gdy smok ponownie zmienił kierunek, Bay chwyciła Sorkę, poczuła na sobie pokrzepiający dotyk palców dziewczyny, a potem wylądowały.

- Bardzo lubię jeździć na Faranth. Jest taka silna i pełna wdzięku - odezwała się pani biolog, niepewnie poklepując ciepłą skórę na smoczej szyi.

- Nie, nie zsiadaj - powiedziała Sorka. - Faranth mówi, że coś grasuje w pobliżu. Smoczki polecą się rozejrzeć. Ojej!

Powietrze nagle wypełniło się świergotem i poćwierkiwaniem rozgniewanych stworzonek. Mariah wrzasnęła Bay do ucha.

- No już dobrze, dobrze. Faranth nie pozwoli, żeby ktoś cię skrzywdził. - Bay uniosła rękę dla swojej złotej, ale Mariah przyłączyła się do sfory przeszukującej okolicę. Pani biolog ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że smok warczy; wyczuwała to dotykiem. Faranth zwróciła swą imponującą głowę w stronę budynków, a fasetkowe oczy błyszczały wieloma odcieniami czerwieni i pomarańcza.

Nagle dał się słyszeć przenikliwy wrzask, a potem zapadła cisza. Podekscytowane sfory wróciły nad głowy jeźdźców, wyćwierkując nowiny. Faranth spojrzała w górę. Jej oczy wirowały, gdy odbierała przekazy smoczków.

- W okolicy jest jakieś bardzo duże cętkowane zwierzę - powiedziała Sorka. - I coś innego; jeszcze większe, ale ciche.

- A więc potrzebne nam będą pistolety usypiające - odparł Sean. - Sorka, wyślij Faranth, żeby wezwała posiłki. Marca i Dulutha, jeśli to możliwe. Również Dave'a i Kathy: możemy potrzebować medyka. Gilgath Petera jest silny, Nyassa nie wpadnie w panikę, i poproś też Paula lub Jerry'ego. Sądzę, że powinniśmy ewakuować Mary z trójką dzieci, zanim zwierzęta zostaną schwytane.

Mary Tubberman, widząc, że pomoc przybyła, zaniósła się niepowstrzymanym płaczem na ramieniu Bay. Jej syn, Peter, zazwyczaj pogodny siedmiolatek, patrzył przed siebie z nieprzeniknioną twarzą i ciałkiem zeszywniałym z niepokoju. Jego dwie siostrzyczki przytulały się do siebie na łóżeczku i nie reagowały na wysiłki Pola, który usiłował je pocieszyć, chociaż zwykle bez trudu radził sobie z dziećmi. Mary nie opierała się propozycji, żeby się przenieść w bezpieczniejsze miejsce.

- Tata nie żyje, prawda? - zapytał Petey, podchodząc prosto do Seana.

- Może jest na zewnątrz i próbuje schwycić zwierzęta - zasugerowała Bay impulsywnie. Chłopiec spojrział na nią pogardliwie i ruszył korytarzem do własnego pokoju.

Przybyli kolejni smoczy jeźdźcy z pistoletami usypiającymi. Connell z radością dostrzegł, że lądują w szyku, jaki ostatnio ćwiczyli. Sean rozdał pistolety Paulowi, Jerry'emu i Nyassie, po czym rozesłał ich wraz ze smokami, by spróbowali znaleźć i obezwładnić zwierzęta.

Connell zostawił Sorkę, by pomogła Tubbermanom spakować rzeczy, a sam z kilkoma innymi ostrożnie zbliżył się do zrujnowanego budynku. W jego wnętrzu panował ostry fetor zwierzęcych odchodów, widać też było świeże ekskrementy. Znaleźli poszarpane, pogryzione ciało Tubbermana, rozciągnięte żałośnie na zewnątrz małego laboratorium.

- Do licha, nic z tego, co mamy, nie zabija w taki sposób! - zawołał David Catarel, wycofując się z korytarza.

Kathy uklękła przy trupie z nieruchomą twarzą.

- Cokolwiek to było, miało kły i ostre pazury - zauważyła, powoli wstając na nogi. - On ma złamany kark.

Marco chwycił stary fartuch laboratoryjny i kilka ręczników ze stojaka, po czym przykrył ciało. Następnie wskazał szczątki krzesła, wykonanego ze sprasowanych włókien jednej z miejscowych roślin.

- To się będzie palić. Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć tego tyle, żeby spalić zwłoki. To zaoszczędziłoby wielu niezręcznych sytuacji. - Machnął ręką w kierunku głównego domu. Nagle zadrżał, najwyraźniej nie chcąc ruszać zmasakrowanego ciała.

- Ten człowiek był szalony - powiedział Sean, grzebiąc patykiem w odchodach zalegających jedną z przegród. - Hodować duże drapieżniki! Mamy wystarczająco dużo kłopotów z wherrami i węzami.

- Pójdę powiedzieć Mary - mruknęła Kathy.

Connell złapał ją za ramię.

- Powiedz jej, że umarł szybko.

Kathy skinęła głową i wyszła z budynku.

- Hej! - Peter Semling podniósł notatnik z zaśmieconej podłogi laboratorium. - Tu są zapiski!

- wykrzyknął, badając cienkie kartki folii, pokryte drobnym pismem. - Jakies botaniczne notatki. - Wzruszył ramionami, podając kartkę Kathy, po czym podniósł następną. - A to... biologiczne? Hmm.

- Zbierzmy wszystko, co znajdziemy - powiedział Sean. - Może zdołamy się domyślić, jakiego typu stworzenie go zabiło.

- Hej! - powtórzył Peter. Z powrotem nasunął pokrywę na przenośny bioskaner, w komplecie z monitorem i klawiaturą. - Wygląda zupełnie jak ten, który zniknął z laboratorium weterynarzy jakiś czas temu, razem z próbkami AL

Metodycznie pozbierali cały sprzęt, odrywając nawet metalową płytkę z tajemniczą inskrypcją: "Eureka, mikoryza!", która tkwiła przybita nad zlewem. Dave wyniósł kilka toreb, które mieli zawieźć do Ładowiska. Potem Connell i Peter zebrali wystarczająco dużo łatwopalnych materiałów, żeby po odlocie Mary i dzieci urządzić stos pogrzebowy.

- Sean! - zawołał David Catarel. Chłopak przykucnął nad szerokim pasem zieleni, jedynym, jaki pozostał na gęsto palikowanym, pokrytym kurzem poletku, chociaż jego kolor został lekko przytłumiony wszędobylskim czarnym pyłem. - Ile Opadów wystąpiło w tej okolicy? - zapytał, rozglądając się dookoła. Przeciągnął ręką po trawie, odpornej krzyżówce, którą agronomowie wyhodowali jeszcze przed Niemi do wysiewania na trawnikach wokół domów.

- Wystarczająco wiele, żeby ją zniszczyć! - Sean ukląkł obok niego i wyrwał solidną kępę. W ziemi wokół korzeni siedziało wiele różnych żyjątek, w tym kilka włochatych pędraków.

- Nigdy takich nie widziałem - zauważył David, zwinnie chwytając trzy, które oderwały się od korzeni. Pomacał się po kieszeni kurtki, wyciągnął z niej kawałek materiału i ostrożnie owinął pędraki. - Ned Tubberman wciąż gadał o nowym typie trawy, który potrafi przeżyć Opad. Zabiorę to do laboratorium agronomów.

W tym samym momencie z głównego domu wyszli Sorka, Bay, Pol i Peter, niosąc naręcza pakunków. Sean i Dave zaczęli ładować je na grzbiety ośmiu smoków.

- Możemy obrócić jeszcze raz, Mary - zaproponowała Sorka taktownie, kiedy kobieta przyłączyła się do nich z dwoma wypchanymi śpiworami.

- Nie mam wiele rzeczy poza ubraniami - powiedziała Mary, zerkając w stronę zespołu budynków. - Kathy mówi, że to było szybkie? - Jej niespokojne oczy błagały o potwierdzenie.

- Kathy jest medyczką - zapewnił ją Sean gładko. - Teraz wskakujcie. David i Polenth zabiorą was ze sobą. Właźcie, dzieciaki. Leciałyście już kiedyś na smoku?

Connell postarał się, żeby sprawić dzieciom jak najwięcej przyjemności, i szybko przebrnął przez niezręczny moment. Odczekał do chwili, gdy cała rodzina zniknęła za horyzontem, po czym razem z Polem podpalił stos pogrzebowy. Potem wystartowali pośród kolejnej kurzawy wulkanicznego pyłu, który miał wkrótce pogrzebać Ładowisko.

- Nie mogę złamać prywatnego kodu Teda! - wykrzyknął Pol w rozpacz, rzucając rylec na biurko zaśmiecone notatkami i stosami folii. - Co za cholerny głupiec!

- Ezra uwielbia szyfry, Pol - zasugerowała Bay.

- Sądząc po DNA/RNA, eksperymentował z kotowatymi, chociaż nie mogę sobie wyobrazić dlaczego. Mamy już ich wystarczająco dużo biegających dziko po Ładowisku. Chyba że... - Pol przerwał i zaczął nerwowo skubać dolną wargę, wykrzywiając się do swoich myśli, które zaczęły zbaczać na niezbyt przyjemne tory. - Dobrze wiemy... - zrobił pauzę, by uderzyć ręką w stół - że kotowate kiepsko znoszą mentasynt. On też to wiedział. Dlaczego miałby powtarzać błędy?

- A co z tą drugą grupą notatek? - zapytała Bay, wskazując stertę leżącą niebezpiecznie blisko brzegu.

- Niestety, wszystko, co mogę odczytać, to cytaty ze smoczego programu Kitti.

- Och! - Bay gniewnie poruszyła szczęką. - A więc musiał się na dodatek bawić w stwórcę, nie tylko w anarchistę!

- Bo niby dlaczego miałby się odwoływać do genetycznych równań Erydańczyków? - Pol walnął w blat otwartą dłonią, zdenerwowany i niespokojny, z buntowniczym wyrazem twarzy. - I co miał nadzieję osiągnąć?

- Sądzę, że powinniśmy być wdzięczni, że nie próbował manipulować smoczkami, chociaż przypuszczani, że ćwiczył na komórkach, które wykradł z zamrażarki weterynarzy.

Pol potarł grzbietem dłoni zmęczone oczy.

- W ogóle chyba wyszliśmy z tego obronną ręką. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co stworzyła Blossom. Nie powinienem być tego mówić, kochanie. Zapomnij o tym.

Bay pozwoliła sobie na pogardliwe prychnięcie.

- Przynajmniej ona ma na tyle zdrowego rozsądku, by trzymać swoje cholerne fotofoby na łańcuchu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego upiera się, żeby je hodować. Jest jedyną, która je lubi. - Bay zatrzęsa się z odrazy. - Tak ją kochają, że aż się o nią ocierają.

Pol parsknął.

- No, to już wiesz dlaczego - powiedział, najwyraźniej myśląc o czym innym, i przerzucił kartki w nie rozszyfrowanym notatniku. - Nie rozumiem tylko, dlaczego wybrał duże koty?

- A może zapytamy Peteya? W końcu pomagał tacie w pracy.

- Jesteś kwintesencją rozsądku, moja droga - stwierdził Pol. Wstał z krzesła, podszedł do żony i wycisnął na jej policzku pełen uczucia pocałunek, mierzwiąc jej włosy. Bay zgromiła go spojrzeniem. Pol wybrał kod mieszkania Mary Tubberman. Oboje odwiedzali ją codziennie i pomagali wrócić do życia w społeczności kolonii. - Mary, czy możemy porozmawiać z Peterem?

Gdy chłopiec podszedł do aparatu, jego ton nie był szczególnie zachęcający.

- No?

- Te duże koty, które hodował twój tata, miały paski czy kropki? - zapytał Pol swobodnym tonem.

- Kropki. - Peter był zaskoczony niespodziewanym pytaniem.

- Aha, gepardy. Czy tak je nazywał?

- Właśnie, gepardy.

- Dlaczego gepardy, Peter? Wiem, że są szybkie, ale nie na wiele by się zdały w polowaniach na wherry.

- Łapały te wielkie węże tunelowe. - Peter lekko się ożywił. - Przychodziły do nogi i robiły wszystko, co tata im kazał... - urwał.

- Wcale się nie dziwię, Petey. W niektórych dawnych społeczeństwach na Ziemi hodowano je, by łowiły wszelkiego rodzaju zwierzynę. Najszybsze stworzenia na czterech nogach!

- To one rzuciły się na niego? - zapytał Peter po chwili milczenia.

- Nie wiem, Petey. Przyjdiesz dziś wieczorem na ognisko? - zapytał beztrzesko, czując, że nie powinien kończyć rozmowy w tak przykrym nastroju. - Obiecałeś mi rewanż. Nie mogę pozwolić, żebyś wciąż ogrywał mnie w szachy. - Uzyskał stosowną obietnicę i się rozłączył. - Z tego, co mówi Petey, wynika, że Ted zastosował mentasynt na gepardach, by zwiększyć ich

posłuszeństwo. Używał ich do polowań na węże tunelowe.

- Obróciły się przeciw niemu?

- To dość prawdopodobne. Tylko dlaczego? Szkoda, że nie wiemy, ile komórek zabrał weterynarzom. Gdybyśmy potrafili odcyfrować te notatki! Zorientowalibyśmy się, czy stosował tylko mentasynt, czy dodatkowo wprowadził fragment programu Kitti. Zresztą wszystko jedno. - Pol fuknął gniewnie. - Mamy nieokreśloną liczbę drapieźników na luzie w Całusie. - Prychnął, rozbawiony nieoczekiwanym rymem. - Zastanawiam się, czy Phas Radamanth zdołał odcyfrować notatki dotyczące pędraków. Te mogłyby być użyteczne.

Do biura Emily wpadł Patrice de Broglie.

- Garben wkrótce wybuchnie. Musimy się ewakuować!

- Co?! - Emily zerwała się na nogi, a folie, które studiowała, wysunęły się jej z rąk i spadły na podłogę.

- Właśnie byłem na szczytach. Zmienił się stosunek siarki do chloru. Wybuchnie Garben. - Uderzył się ręką w czoło, w samooskarżającym geście. - A ja nic nie widziałem.

Paul, zaalarmowany krzykiem Emily, przybiegł z przyległego biura.

- Garben?

- Musicie się natychmiast ewakuować! - zawołał Patrice - Podniósł się nawet poziom rtęci i radonu w wyziewach z tego cholernego krateru. A my myśleliśmy, że pochodzą one z Picchu.

- Przecież to Picchu dymi! - Zaszokowany Paul starał się zachować zimną krew. Sięgnął do interkomu równocześnie z Emily. Gubernator pierwsza chwyciła za mikrofon. Admirał gwałtownie cofnął dłoń i pozwolił Emily skontaktować się z Ongolą.

- Ten Garben to złośliwa góra, podobnie jak człowiek, na którego cześć ją nazwaliśmy. Wulkanologia wciąż nie jest nauką ścisłą - powiedział Patrice, przewracając oczami ze zdenerwowania i chodząc tam i z powrotem po niewielkim biurze. - Wysłałem skuter ze spektrometrem korelacyjnym, żeby zbadał skład fumaroli, które właśnie zaczęły się wydobywać z krateru Garbenu. Przywiozłem ostatnie próbki pyłu. Ale zwiększający się stosunek siarki do chloru oznacza, że magma się podnosi.

- Ongola - powiedziała Emily. - Włącz syrenę. Alarm wulkanowy. Wezwij z powrotem wszystkie ślizgacze i skutery. Tak, wiem, że dzisiaj mamy Opad, ale musimy ewakuować Lądowisko teraz, a nie później. Ile czasu mamy, Patrice?

Mężczyzna z rozpaczą wzruszył ramionami.

- Nie mogę wam podać ani dokładnego terminu katastrofy, przyjaciele, ani kierunku, w którym wulkan wybuchnie, ale mamy silny wiatr z północnego wschodu. Pylenie już się nasiliło. Nie zauważyliście?

Gubernator i admirał, zaskoczeni, zerknęli przez okno i zobaczyli, że niebo poszarzało od kurzu, który przesłaniał słońce, a żółta obręcz dymu, unosząca się nad Picchu, jest szersza niż zwykle. Podobne halo zaczęło narastać wokół Garbenu.

- Proszę, można się przyzwyczaić nawet do życia pod wulkanem - zauważył Paul z ironią.

Patrice wzruszył ramionami i zdobył się na uśmiech.

- Lepiej nie przyzwyczajajmy się za bardzo, przyjaciele. Chociaż wpływ piroklastyczny jest minimalny, Lądowisko wkrótce zostanie pokryte pyłem. Poinformuję was, gdy tylko ustalimy najbardziej prawdopodobne szlaki wypływu lawy, żeby można było najpierw oczyścić najbardziej narażone tereny.

- Jak dobrze, że mamy przygotowany plan ewakuacji - zauważyła Emily, wchodząc do odpowiedniego pliku. - Proszę! - Przesłała tekst na wszystkie drukarki, nadając mu priorytet awaryjny. - To pójdzie do kierowników wszystkich działów. Ewakuacja oficjalnie się rozpoczęła, panowie. Szkoda, że musimy przeprowadzać ją w takim pośpiechu. Na pewno o czymś zapomnimy, niezależnie od wcześniejszego dokładnego planowania.

Wyszkoleni przez powtarzające się ćwiczenia, mieszkańcy Lądowiska szybko zareagowali na

dźwięk syreny, udając się do kierowników swoich działów po rozkazy. Krótki wybuch paniki został szybko stłumiony i osiedle wypełniło się gorączkową krzątaniną.

Niebo wciąż ciemniało, gęste, szare chmury pyłu unosiły się w górę, przesłaniając szczyty aktywnych teraz wulkanów, które niegdyś wydawały się tak nieszkodliwe. Biały dym buchał znad wzbudzonych fumaroli Garbenu oraz z kraterów poniżej jego wschodniej krawędzi. Światło poranka przygasało, w miarę jak zanieczyszczenie powietrza obejmowało coraz większy obszar. Rozdano lampy i maski przeciwgazowe.

Joel Lilienkamp, odpowiedzialny za całą operację, nadzorował ją z jednego z szybkich ślizgaczy. Osłonę kabiny miał otwartą, by móc wykrzykiwać rozkazy i okrzyki zachęty, a także podejmować natychmiastowe decyzje w najprzeróżniejszych kwestiach. Na początku zlikwidowano laboratoria i składy najbliższe budzącego się wulkanu, następnie zdemontowano szpital z wyjątkiem gabinetu pierwszej pomocy i kontroli oparzeń. Donki toczyły się we wszystkich kierunkach, składając swój ciężar na pasie lub przewożąc go do czasowego schronienia w Jaskiniach Catherine.

Grupa Patrice'a mogła już wskazać tereny o wysokim i niskim zagrożeniu piroklastycznym. Rozesłano ostrzeżenia na wschód do wysokości Cardiff, na zachód do Bordeaux i na południe do Cambridge. Monaco, już zasypywane szczególnie intensywnym opadem pyłów, również znalazło się w zasięgu umiarkowanego zagrożenia. Wszystkie łodzie, statki i barki zebrano w zatoce, gdzie je ładowano i odsyłano za pierwszy przylądek Kahrainu.

Ostatnie pojemniki z paliwem opróżniono do zbiorników dwóch pozostałych wahadłowców. Większość smoczych jeźdźców została zaangażowana przy zaganianiu stad w stronę portu. Po raz pierwszy nikt nie wyruszył, by walczyć z Opadem przy Jeziorze Maori - Łądowisku zagrażał o wiele niebezpieczniejszy opad.

Nikt nie miał czasu wiwatować, gdy Drake Bonneau z dziećmi i sprzętem na pokładzie wystartował starą Jaskółką, w tej samej chwili, gdy dzień ustępował znad równiny. Technicy natychmiast przenieśli się do Papugi. Ongola i Jake, kontrolujący wszystko z wieży, wykorzystali przerwę, by zjeść gorący posiłek, który im przysłano. Aparaturę łącznościową umieszczono już na wózkach, by można ją było szybko wywieźć, gdyby wieża została zagrożona.

- Jaskółka wygląda całkiem nieźle! - zawołał Ezra z komory interfejsu, skąd monitorował lot. Kapitan spędził większą część dnia wznosząc wokół pomieszczenia osłonę z odpornego na temperaturę materiału, nie całkiem wierząc pospiesznym zapewnieniom Patrice'a, że ten budynek nie leży na żadnym z przewidywanych szlaków wypływu lawy. Niestety, nie można było rozłączyć interfejsu z orbitującą Yokohama, metodą przesłania sygnału z wmontowanego nadajnika do odbiornika na Yoko. Ponieważ ustawień na Yoko nie dawało się już zmienić, nie było sensu rozmontowywać i zabierać interfejsu.

Tej nocy powietrze wypełniło się siarkowymi wyziewami i drobnym żwirem. Patrice ostrzegł, że narastanie wkrótce osiągnie punkt krytyczny. Biały dym, wydostający się z Picchu i Garbenu, który złowieszczo nurzał się w przytłumionym blasku szczytu i kratera, był wyraźnie widoczny nawet na ciemnym niebie i rzucał na osiedle dość niesamowitą poświatę. Drake Bonneau zaraportował, że wylądował szczęśliwie po trudnym locie.

- Ta cholerna skorupa o mało się nie rozpadła, ale nic się nie stało. Dzieciaki zyskały tylko trochę sińców i nie sądzę, żeby którekolwiek polubiło latanie. Łądowanie też nie było najłatwiejsze. Przelecieliśmy za znak i wyryliśmy głęboką brudę. Do końca dnia trzeba będzie oczyszczać pole dla Papugi. Powiedzcie Fulmarowi, żeby sprawdził żyroskopy i monitory stabilizujące. Mógłbym przysiąc, że w Jaskółce mieliśmy węże tunelowe.

Statki w porcie przepływały nieprzerwanym strumieniem. Większe jednostki załadowano protestującymi zwierzętami, które wpychano do ustawionych na pokładzie boksów. Skrzynie pełne kur, kaczek i gęsi poutykano wszędzie, gdzie to było możliwe. Planowano wylądować je w zatoce Kahrain, poza strefą zagrożenia. Przy odrobienie szczęścia powinna się udać

ewakuacja całego inwentarza. Jim Tillek przemieszczał się skuterem po całym porcie, zachęcając i ponaglając swoje załogi.

Przed zapadnięciem nocy Sean zarządził przerwę dla smoczych jeźdźców, transportujących ludzi i bagaże do zatoki Kahrain.

- Nie będę ryzykował życia smoków i jeźdźców - oznajmił Lilienkampowi dość gwałtownym tonem. - To zbyt niebezpieczne, a smoki są za młode, by wystawiać je na tego typu stres.

- Człowieku, nie mamy czasu na takie subtelności! - odparł Joel gniewnie.

- Ty dowodzisz przeprowadzką, a ja dowodzę smokami. Jeźdźcy mogą pracować do upadłego, ale nie będziecie tak cholernie głupio eksploatować młodych smoków! Przynajmniej dopóki ja mogę temu zapobiec.

Joel rzucił mu wściekle spojrzenie. Smoki były nieskończenie użyteczne, ale on również nie chciał wystawiać ich na niebezpieczeństwo. Skierował ślizgacz w inną stronę, schylony nad konsolą niczym mały, zapylony posążek.

Sean i pozostali jeźdźcy istotnie pracowali do upadłego. Następnie każdy smok zwinął się obronnym gestem wokół swego partnera i pilnował jego snu. Nikt nie miał czasu, by zauważyć, że w okolicy pozostało bardzo niewiele smoczków.

Wtedy, o wiele za szybko, pojawił się Joel, zwołując je z powietrza; przyłączyli się więc do herkulesowych wysiłków otaczających ich ludzi.

Nagle rozbrzmiał trzykrotny, przesywający dźwięk syreny. Wszyscy zaprzestali działalności, czekając na nowiny.

- Zaraz wybuchnie! - W całym Ładowisku rozległ się prawie triumfalny okrzyk Patrice'a.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Garbenu, wyraźnie widocznego dzięki niesamowitej poświacie, wydobywającej się z krateru.

- Odpalić Papugę! - Kompletną ciszę rozdarł stentorowy głos Ongoli.

Odgłos pracujących silników utonął w łoskocie trzęsienia ziemi oraz porażającym ryku wybuchającego z olbrzymią siłą wulkanu. Zaskuchani ludzie otrząsnęli się z zaskoczenia i wrócili do przerwanych zajęć, z trudem przekrzykując hałas przy próbach porozumienia. Później ci, którzy obserwowali, jak szczyt pęka i ze szczeliny zaczyna wylewać się rozpalona do czerwoności lava, mówili, że wszystko działo się jakby na zwolnionym filmie. Widzieli, jak w podświetlonym czerwono kraterze pojawiają się szczeliny, dostrzegli odłamki odpadające od krawędzi, zauważyli nawet część pocisków wyskakujących z wulkanu i mogli śledzić ich pogmatwane trajektorie. Inni dowodzili, że wszystko wydarzyło się zbyt szybko i trudno było spostrzec jakiegokolwiek szczegóły.

Jaskrawoczerwone jezory lawy złowrogo podpełzły w górę i przelały się przez pękniętą krawędź Garbenu. Jeden z nich w zaskakującym tempie popłynął prosto w kierunku najbardziej wysuniętych na zachód budynków Ładowiska.

W godzinie przedświt wiatr przycichł, oszczędzając wschodniemu krańcowi osady najgorszego deszczu mniejszych kamieni i pyłu. Większe, niszczące pociski, których tak obawiał się Patrice, nie pojawiły się. Ale lava była wystarczającym zagrożeniem.

Papuga, załadowana niemożliwym do zastąpienia sprzętem, mknęła na północny zachód, poza niebezpieczny teren. Na tle ciemnego zachodniego horyzontu odcinała się czerwień ognia z dysz.

Na dźwięk syreny delfiny zaczęły holować poza Zatokę Monaco małe, wylądowane łódki. Ich flotylla była raczej kiepsko przystosowana do dłuższych morskich podróży, ale delfiny zapewniły ludzi, że bezpiecznie dostarczą ładunek do osłoniętego portu za pierwszym przyładkiem Kahrainu. Panna i Mayflower, nie załadowane do końca, opuściły zatokę, by tuż za przewidywaną strefą zagrożenia czekać na moment, kiedy mogłyby powrócić po resztę towaru. Z pokładu Krzyża Południa Jim prowadził barki i lugiery wzdłuż wybrzeża w stronę odległej Seminoli, skąd miały ostatecznie popłynąć na północ.

Ślizgacze oraz skutery kursowały między Ładowiskiem a Warownią Rajskiej Rzeki,

najbliższym bezpiecznym punktem zbiorczym. Ruch był dość chaotyczny, gdyż podstawowe towary należało mieć pod ręką, a całą resztę składować w wyznaczonych sektorach na plaży. Łądowisko oczyszczano ze wszystkiego, co można było wykorzystać w nowym osiedlu.

Gęsty, śmierdzący siarką popiół zaczął przykrywać budynki Łądowiska. Część lżejszych dachów załamała się pod ciężarem, a obserwatorzy mogli usłyszeć, jak plastik jęczy i trzeszczy. Powietrzem, pełnym chloru, prawie nie dawało się oddychać. Wszyscy bez szemrania nałożyli maski przeciwgazowe.

Wczesnym popołudniem wymęczony Joel Lilienkamp posadził zniszczony ślizgacz po zawiętrznej stronie wieży. Odczekał moment, póki nie zebrał tyle siły, by włączyć interkom.

- Oczyszciliśmy to, co można - powiedział głosem ochryłym od kwaśnych wyziewów. - Donki zaparkowaliśmy w Jaskiniach Catherine, potem je rozmontujemy i wsadzimy na statki. Wy też już możecie wyjść.

- Idziemy - odparł Ongola.

Pojawił się chwilę później, ciągnąc ciężką obudowę interkomu na przenośniku grawitacyjnym. Za nim pojawił się Jake, podobnie objuczony. Na końcu szedł Paul, holując dwa inne elementy.

- Pomóc wam? - spytał Joel odruchowo, chociaż pochylał się nad konsolą z takim zmęczeniem, że trudno było uwierzyć, iż wykrzesalby z siebie choć odrobinę energii.

- Musimy jeszcze raz obrócić - powiedział Ongola, ładując wyposażenie do ślizgacza. - Masz pełny zasilacz? - zapytał Joela.

- Tak. Ostatnia świeża jednostka.

Kiedy Ongola i Jake wrócili do wieży, Paul podszedł do masztu flagowego i z nieruchomą twarzą opuścił nadpalone strzepy flagi kolonii. Zwinął ją w kulkę i upchnął pod siedzeniem w ślizgaczu. Jego wzrok zatrzymał się na Lillienkampie.

- Chcesz, żebym poprowadził, Joel?

- Ja was tu przywiozłem i ja was stąd zabiorę.

Paul nie odważył się obejrzeć na ruiny Łądowiska, ale gdy Joel szerokim łukiem skierował się na pomocny zachód, admirał spostrzegł, że nie tylko po jego policzkach spływały łzy.

Silny północno-wschodni wiatr uchronił zatokę Kahrain przed popiołem i kwaśnymi wyziewami. Nad wschodnim horyzontem rozciągały się szare chmury; wulkan wciąż wypływał lawę i tony pyłu. Patrice został z nielicznym zespołem, by monitorować wydarzenia w opuszczonym Łądowisku.

- Dziś ruszamy na polowanie - oznajmił Sean pozostałym jeźdźcom.

Znaleźli sobie cichą zatoczkę powyżej głównego obozu ewakuacyjnego. Żaden z wyciągniętych na ciepłym piasku smoków nie miał zbyt zdrowych kolorów i Sean w głębi ducha podejrzewał, że ich siły, dopiero się rozwijające, zostały poważnie nadszarpnięte. Doszedł jednak do wniosku, że nie ucierpiały aż tak bardzo, żeby nie można było tego naprawić porządny posiłkiem. Rozejrzał się za swoimi ognistymi jaszczurkami i zaklął pod nosem.

- Do diabła z nimi! Potrzebujemy wszystkich, jakie mamy. Cztery królowe i dziesięć spizowych nie zdoła złowić wystarczająco dużo roponie, żeby nakarmić osiemnaście smoków! Z pewnością widywały już wcześniej wybuchające wulkany.

- Ale nigdy nie znajdowały się na ich szczycie - odparła Alianne Zulueta. - Nie mogłam pocieszyć swoich. Właśnie odleciały.

- Mięso będzie lepsze niż ryby; więcej żelaza - zasugerował David Catarel, patrząc na pobladłego spizowego Polentha. - W okolicy są owce.

- Nie - powiedział stanowczo Marco Galliani, unosząc obie ręce. - Mój ojciec przewiezie je do Rzymu, gdy tylko zwolnią się jakieś ślizgacze. To stado rozplodowe.

- Podobnie jak smoki. - Connell podniósł się z dziwnym uśmiechem na twarzy. - Peter, Dave, Jerry, chodźcie ze mną. Sorka, gdyby ktoś przyszedł, to odciągnij czymś jego uwagę.

- Poczekaj, Sean - zaczął Marco, miotany sprzecznymi uczuciami.

Sean uśmiechnął się krzywo, kładąc palec na nosie.

- Czego oczy nie widzą, Marco, tego sercu nie żal.

- To twój smok, chłopie - mruknął Dave, mijając go.

Godzinę później kilka stworów zniknęło na zachodzie, ocierając się o wierzchołki drzew. Pozostali jeźdźcy dopilnowali, żeby ludzie usiłujący opanować chaos na plaży nie ruszyli się z niej nawet na krok, więc nikt nie zauważył, że spośród smoczyc partnerów zawsze kogoś brakowało. W południe siedemnastu jaskrawo ubarwionych, sytych stworów wylegiwało się na piasku. Jeden siedział cierpliwie na przylądku, podczas gdy smoczki nurkowały w morzu, łowiąc ropnice.

Caesar i Stefano Galliani, licząc stado ładowane na ślizgacz, odkryli, że brakuje około trzydziestu sześciu zwierząt, w tym jednego z najlepszych baranów. Caesar wezwał smoczyc jeźdźców, żeby przeszukali okolicę i zagnali zbłąkane owce na wybrzeże.

- Bezżyteczne stworzenia, zawsze muszą się zgubić - zgodził się Sean, ze współczuciem przytakując zdenerwowanym i zaskoczonym Gallianim. - Poszukamy ich.

Wrócił godzinę później i zasugerował Caesarowi, że owce musiały wpaść do jednej z rozpadlin, jakich było pełno w tej okolicy. Galliani niechętnie wystartowali z niekompletnym stadem. Duże ślizgacze transportowe musiały trzymać się rozkładu i nie można było bardziej opóźnić lotu.

Gdy ostatni ze ślizgaczy odleciał, do Seana podeszła Emily.

- Czy twoje smoki są już gotowe do działania?

- Co tylko rozkażesz! - przytaknął Sean tak ochoczo, że gubernator posłała mu długie spojrzenie. - Ogniste jaszczurki pracowały ciężko przez cały ranek, by nakarmić smoki. - Wskazał w stronę plaży, gdzie Duluth przyjmował ropnice od spiżowego smoczka.

- Ogniste jaszczurki? - zapytała Emily, zaskoczona przez te „Jaszczurki”, po czym przypomniała sobie, że Sean zwykle używa własnej nazwy dla małych stworzonek. - Ach tak, więc twoje sfory wróciły?

- Nie w komplecie - odparł Sean z żalem, po czym dodał szybko: - Ale wystarczająco dużo królowych i spiżowych, żeby mogły być użyteczne.

- Wystraszyły się eksplozji, prawda?

Connell prychnął.

- Wszystkich nas przeraził wybuch!

- Ale jak się wydaje, niektórzy nie stracili przytomności umysłu - powiedziała gubernator ze złośliwym uśmiechem. - Przynajmniej nikt nie zachował się tak głupio jak owce, prawda? - Sean ani nie udawał niewinnego, ani nie okazał zrozumienia; patrzył w oczy Emily, póki kobieta nie przerwała kontaktu wzrokowego. - Jeżeli twoje smoki straciły apetyt na ryby, poluj na wherry. Wybuch dostatecznie zdziętkował stada. - Connell skłonił głowę, wciąż udając obojętność. - Mamy wiele do zrobienia, i to jak najszybciej. - Gubernator skonsultowała się grubym notesem, po czym potarła czoło. - Gdyby tylko twoje smoki były w pełni funkcjonalne... - Posłała mu przeproszający uśmiech. - Wybacz, Sean, to uwaga zdecydowanie nie na miejscu.

- Ja też bardzo bym tego pragnął - odparł Connell bez urazy. - Ale nie jesteśmy nawet pewni, jak to się robi. Jakie polecenie mamy im wydać. - Otarł z czoła i karku pot, wywołany nie tylko przez słońce.

- To bardzo istotna kwestia i trzeba się nią zająć, ale nie tu i teraz. Słuchaj, Sean, Joel Lillienkamp martwi się o towary, które pozostały w Ładowisku. Wywozimy stąd wszystko jak najszybciej można. - Machnęła ręką w stronę stosów różnokolorowych skrzyń i pokrytych pianką palet. - Te oznaczone na pomarańczowo muszą być chronione przed Opadem, czyli trzeba je jak najszybciej przenieść na pomoc i złożyć w Warowni Fort. Poza tym musimy uratować z Ładowiska co się da, póki do reszty nie przysypie go popiół.

- Ten popiół się pali, Emily. Przepali smocze skrzydła tak łatwo jak... - Connell urwał i zagapił się na zachodnią plażę, unosząc dłoń w bezradnym geście ostrzeżenia. Gubernator obróciła się, żeby zobaczyć, co przykuło jego uwagę.

Ostrzegawczy ryk smoka niósł się słabo w rozpalonym powietrzu. Pilot prowadzący ślizgacz, który znajdował się na kursie kolizyjnym ze stworzeniem, wydawał się całkowicie tego nieświadomy. Nagle, na sekundę przed zderzeniem, smok i jego jeździec zniknęli.

- Instynkt to wspinała rzecz! - wykrzyknęła Emily z twarzą rozjaśnioną z ulgi oraz radości, że smok przejawiał w końcu swą wrodzoną zdolność. Spojrzała na Connella i spoważniała w mgnieniu oka. - O co chodzi, Sean? - Zerknęła szybko na niebo, gdzie nie było widać ani smoczej pary, ani ślizgacza, który przemieszał się z wieloma innymi przylatującymi i odlatującymi z zatoczki w Kahrainie. - Och, nie! - Ręka kobiety pobiegła do gardła, które ścisnęło się z przerażenia, jakie nagle wypełniło jej wnętrze. - Nie, och, nie! Czy oni nie powinni się już pojawić? Powinni, Sean? Czy to nie ma być momentalna zmiana miejsca?

Zdenerwowana chwyciła go za ramię i potrząsnęła lekko, by przyciągnąć jego uwagę. Spojrzał na nią, a pełen rozpaczony wyraz jego oczu wystarczył za całą odpowiedź i zamienił przestraszony w ból. Kobieta powoli pokręciła głową, jak gdyby chciała zaprzeczyć oczywistej prawdzie.

Właśnie podszedł do niej jeden z mężczyzn nadzorujących załadunek, z kartką plasfolii w dłoni i niespokojnym wyrazem twarzy, gdy powietrze rozdarł przeszywający jęk. Hałas był tak przenikliwy, że połowa ludzi na plaży zatrzymała się, by zakryć uszy. Nieznosny dźwięk narastał nieprzerwanie, niebo zapełniło się nagle smoczkami, a wszystkie dołączyły swoje cienkie głosiki do przejmującego lametu.

Pozostałe smoki pofrunęły, bez jeźdźców, w stronę punktu, gdzie ich brat ze swoim ludzkim partnerem stracił życie. Smoczki latały wokół większych kuzynów po zawitych torach, które przy każdej innej okazji zachwyciłyby patrzących, wydając dziwne dźwięki, będące kontrpunktem dla niskich, pulsujących, żalobnych okrzyków smoków.

- Dowiem się, jak to się mogło stać. Pilot tego ślizgacza... - Emily urwała, widząc przerażający grymas na twarzy Seana.

- To nie przywróci życia Marcowi Gallianemu i Duluthowi, prawda? - Uderzył ręką powietrze ostrym, ucinającym gestem. - Jutro polecimy tam, gdzie nas potrzebujesz, żeby uratować dla was, co tylko się da.

Przez długą chwilę Emily stała patrząc za nim, póki obraz cierpiącego młodego człowieka nie wyrwał się na dobre w jej umyśle. Na niebie, jak gdyby eskortując go z powrotem do obozu smoczycy jeźdźców, wirowały, nurkowały i szybowały pełne gracji stworzenia, wracając w stronę swojej plaży.

Gubernator wiedziała, że jakikolwiek ból odczuwany przez nią nie może się równać z poczuciem straty, jakiego doświadczyli smoczy jeźdźcy. Kobieta potarła twarz, uspokoiła drżenie ust i przełknęła grudę, jaka narastała jej w gardle, po czym gestem zaprosiła mężczyznę, żeby podszedł bliżej.

- Znajdź mi pilota tego ślizgacza i każ jemu lub jej, żeby stawił się w południe w moim namiocie. A teraz, co chciałeś mi powiedzieć?

- Marco i Duluth zniknęli, jak to czynią ogniste jaszczurki - powiedział Sean dziwnie łagodnym tonem.

- Ale nie wrócili! - krzyknęła Nora z protestem w głosie. Znowu zaczęła płakać, kryjąc twarz na ramieniu Petera Semlinga.

Szok wywołany nieoczekiwaną śmiercią okazał się traumatycznym przeżyciem. Smoczy lament przycichł po południu. Przed wieczorem ludzie namówili swoich podopiecznych, żeby ułożyli się na plaży i zasnęli. Gdy smoki zostały utulone, młodzi ludzie zgromadzili się wokół małego ogniska, zniechęceni i apatyczni.

- Musimy odkryć, co poszło nie tak - mówił Sean - by to już się nigdy nie powtórzyło.

- Sean, my nawet nie wiemy, co robili Marco i Duluth! - zawołał Dave Cataral.

- Duluth instynktownie zareagował na niebezpieczeństwo - odezwał się nowy głos. Pol Nietro z Bay u boku zatrzymał się tuż za kręgiem światła. - Jednak instynkt należy ćwiczyć. Zechciejcie przyjąć kondolencje od wszystkich związanych ze smoczym programem. Ja i Bay... dla nas jesteście jak rodzina. - Pol niezgrabnie otarł oczy i pociągnął nosem.

- Proszę, przyłączcie się - powiedziała Sorka z dostojeństwem. Wstała i przyciągnęła gości do ogniska. Inni przytaszczyli dwie dodatkowe skrzynie.

- Usiłowaliśmy się domyślić, co poszło nie tak - ciągnął Pol. Oboje z Bay ze znużeniem usiedli na skrzyniach.

- Nikt nie patrzył, dokąd leci - powiedział Sean z ciężkim westchnieniem. - Widziałem to. Marco i Duluth wystartowali z plaży i wznosili się w górę, kiedy jeden ze ślizgaczy zaczął szykować się do lądowania. Nie widział od dołu Marco i Dulutha. Smoki nie są wyposażone w czujniki zbliżeniowe. - Connell uniósł obie ręce w bezradnym geście. - Z wiarygodnego źródła słyszałem, że pilot ślizgacza wyłączył swój czujnik, gdyż nieustanny hałas w takim tłoku działał mu na nerwy.

Biolog pochylił się w jego stronę.

- A więc tym bardziej ważne jest to, żebyście nauczyli swoje smoki dyscypliny. - Słyszac gniewny pomruk jeźdźców, mężczyzna uniósł ręce. - Nie chciałem was ganić, przyjaciele. Naprawdę chcę, żeby to zabrzmiało konstruktywnie. Ale wyraźnie widać, że nadszedł moment, by rozpocząć nowy etap szkolenia smoków: nauczyć je właściwego korzystania z instyktu, który powinien był ocalić zarówno Marca, jak i Dulutha.

Rozległ się szmer głosów, po części rozgniewanych, po części zaniepokojonych. Sean podniósł dłoń, nakazując milczenie. Tańczące jęzory ognia oświetlały jego zmęczoną twarz. Sorka, siedząc tuż obok niego, widziała, jak sztywnieją mu mięśnie szczęki, a oczy nabierają twardego wyrazu.

- Widzę, że myślimy w ten sam sposób, Pol - powiedział napiętym głosem, który uświadomił biologowi, w jakim stresie znajdował się młody jeździec. - Sądzę, że Marco i Duluth spanikowali. Wystarczyłoby, żeby wrócili w to samo miejsce, z którego zniknęli, gdy cholerny ślizgacz już odleciał! - Jego rozpacz była wyraźnie słyszalna. Connell wziął głęboki oddech, po czym kontynuował opanowanym, niemal pozbawionym emocji tonem. - Wszyscy mamy ogniste jaszczurki. To jeden z powodów, dla których Kitti Ping wybrała nas na kandydatów. Posyłałyśmy je z wiadomościami, mówiliśmy, gdzie mają lecieć, co zrobić, kogo poszukać. Powinniśmy umieć poinstruować smoki dokładnie w ten sam sposób. W bolesny sposób przekonaliśmy się, że potrafią się teleportować, podobnie jak ogniste jaszczurki. Musimy pokierować tym instynktem. Zdyscyplinować go, jak sugeruje Pol, żeby nie ogarnęła nas panika, co zgubiło Marca.

- Dlaczego Marco spanikował? - zapytała Tarrie Chernoff przygnębionym tonem.

- Dałbym wszystko, żeby to wiedzieć - odparł Sean, a w jego głosie znów pojawił się cień rozpacz. - Wiem tylko jedno. Od tej chwili żaden jeździec nie może wystartować, póki nie sprawdzi, co się dzieje w jego najbliższej okolicy. Musimy latać defensywnie, usiłując zlokalizować potencjalne niebezpieczeństwo. Ostrożność - powiedział, uderzając się wskazującym palcem w skroń - powinna być naszą dewizą. - Mówił gwałtownie, szorstko. - Wiemy, że ogniste jaszczurki w drodze od jednego miejsca do drugiego naprawdę przenikają pomiędzy, więc przestańmy traktować ich talent jako coś oczywistego i przyjrzyjmy się, jak one to robią. Obserwujmy ich pojawienia się i zniknięcia. Wysyłajmy je do określonych miejsc, w których nigdy dotąd nie były, żeby sprawdzić, czy potrafią kierować się naszym mentalnym wyobrażeniem. Nasze smoki słyszą nas telepatycznie. Rozumieją wszystko, co mówimy, nie jak ogniste jaszczurki, jeśli więc przyzwyczajymy się do wydawania dokładnych poleceń jaszczurkom, smoki powinny umieć działać za pomocą mentalnych wskazówek tego

samego typu. Dopiero kiedy zrozumiemy zachowanie jaszczurek, będziemy mogli przystąpić do trenowania smoków.

Pozostali jeźdźcy zaszemrali między sobą. Sean obserwował ich spod zmrużonych powiek.

- Czy w ten sposób nie będziemy ryzykować życia naszych smoczków? - zapytała Tarrie, głaszcząc małą złotą istotkę, która spała w zgięciu jej łokcia.

- Lepiej smoczki niż smoki! - odparł stanowczo Peter Semling.

Connell prychnął lekceważąco.

- Ogniste jaszczurki świetnie potrafią dbać o własną skórę. Nie zrozum mnie źle - podniósł rękę, widząc natychmiastowy protest Tarrie. - Doceniam je. To wspaniali mali wojownicy. Nie wykarmilibyśmy młodych smoków bez ich pomocy, ale... - Przerwał i rozejrzał się po kręgu. - Mają dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Inaczej nie przetrwałyby pierwszego przejścia obłoku Oort. Kiedykolwiek to było. Tak jak powiedział Peter, o wiele bezpieczniej jest eksperymentować z ognistymi jaszczurkami niż z kolejną parą smok-jeździec.

- Poruszyłeś kilka istotnych punktów, Sean - odezwał się Pol, nabierając otuchy - chociaż mam nadzieję, że chcesz użyć złotych i spizowych smoczków. Razem z Bay zawsze uważaliśmy, że są one bardziej godne zaufania.

- Oczywiście. Zwłaszcza że wszystkie błękitne i zielone wyniosły się po wybuchu.

- Jestem za tym, żeby spróbować - powiedział David Catarel, prostując ramiona i rzucając pozostałym wyzywające spojrzenie. - Musimy czegoś spróbować. Tylko ostrożnie! - Zerknął szybko na Seana.

Na wargach Connella pojawił się uśmiech. Młody człowiek wyciągnął rękę nad ogniem, by ucisnąć dłoń Dave'a.

- Ja też jestem za - odezwał się Peter Semling. Nora przytaknęła niechętnie.

- To bardzo rozsądne - powiedział Otto, kiwając entuzjastycznie głową i patrząc na Seana. - Poza tym, właśnie po to wyhodowano smoki: żeby umykały przed Nićmi tak, jak mechaniczne ślizgacze nie są w stanie.

- Dzięki, Otto - odparł Connell. - Wszyscy musimy myśleć pozytywnie.

- I ostrożnie - przypomniał Otto, podnosząc ostrzegawczo palec.

Jeźdźcy otrząsnęli się z apatii i zaczęli szeptać między sobą.

- Pamiętasz, Sorko - zaczęła Bay, nachylając się w jej stronę - kiedy posłałam do ciebie Mariah, tego dnia, gdy wezwano nas do Całusy?

- Przyniosła mi twoją wiadomość.

- To prawda, ale powiedziałam jej jedynie, żeby znalazła rudą przy jaskiniach. - Pani biolog umilkła znacząco. - Oczywiście, Mariah zna cię od urodzenia, a w Ładowisku nie ma zbyt wielu rudych, jak zresztą na całej planecie. - Bay wiedziała, że papie bez opamiętania, co zdarzało jej się raczej rzadko, ale równie rzadko wybuchała płaczem, a gdy usłyszała wieści, szlochała prawie przez godzinę, mimo pocieszeń Pola. Tak jak powiedział jej mąż, to było jak utrata kogoś z rodziny. Nie mając terminala, w którym mogliby poszukać możliwego wytłumaczenia, spędzili dwie gorączkowe godziny, usiłując odnaleźć skrzynię, gdzie upchnęli notatki dotyczące smoczego programu; mieli nadzieję znaleźć w nich jakieś pozytywne sugestie, które pocieszyłyby młodych ludzi. - I Mariah znalazła cię wówczas bez problemu; byłaś u nas już po kilku minutach. Czyli nie mogło jej to zabrać wiele czasu.

- Rzeczywiście - zgodziła się Sorka w zamyśleniu. Rozejrzała się po kręgu twarzy oświetlonych ogniem. - Pomyślcie, ile razy kazaliśmy smoczkom nałowić ryb dla młodych smoków.

- Ryby to ryby - zauważył Peter Semling, machinalnie rysując w piasku patykiem.

- Tak, ale smoczki wiedzą, które najbardziej smakują smokom - powiedziała Kathy Duff. - I ruszają na łowy natychmiast po tym, jak wydamy polecenie. Po prostu znikają i kilka oddechów później wracają z ropnicą.

- Kilka oddechów - powtórzył Sean, spoglądając w ciemność nieruchomym wzrokiem. - Naszym smokom zrozumienie, że... Marco i Duluth nie wrócą, zabrało trochę więcej niż kilka oddechów. Czy możemy z tego wnioskować, że smokom teleportacja również zajmuje tyle czasu?

- Ostrożnie... - Otto znowu uniósł palec.

- Racja! - Connell płynnie zmienił temat. - Oto co robimy jutro z samego rana. - Wziął patyk od Petera i naszkicował na piasku poszarpaną linię wybrzeża. - Gubernator chce, żebyśmy wozili towary z Lądowiska. Dave, Kathy, Tarrie, wy wszyscy macie złote jaszczurki ogniste. Polecicie w pierwszej turze. Kiedy dotrzecie do wieży, wyślecie jaszczurki z powrotem do mnie i Sorki. Bay, czy ty i Pol macie jutro coś specjalnego do roboty?

Pani biolog prychnęła lekceważąco.

- Jesteśmy bezużyteczni, póki na nowo nie uruchomimy naszych systemów w Warowni Fort. A musimy czekać na transport. Z radością wam pomożemy, skoro możemy się przydać!

- Zmierzymy czas jaszczurkom. Potrzebne nam będą tylko mikrofony, żeby zrobić to w terenie.

- Pozwólcie, że ja się o nie wystaram - zaofiarował się Pol.

Sean uśmiechnął się z prawdziwą radością.

- Miałem nadzieję, że to zaproponujesz. Lillienkamp ci nie odmówi, prawda?

Biolog z zapalem pokręcił głową, czując się o wiele lepiej niż wcześniej tego samego popołudnia, kiedy to na próżno szukał zagubionej dokumentacji, walcząc z ogarniającą go rozpaczą.

- Dobrze, opuścimy was teraz - oznajmił Pol, wstając na nogi i podając żonie dłoń. - Wyproszę mikrofony. Hę? Dziesięć? Przyjdziemy tu o świcie razem ze sprzętem. - Ukłonił się pozostałym zauważając, że tylko Bay zrozumiała, że się wygłupia. - Tak, o świcie rozpoczniemy eksperyment naukowy.

- Prześpijmy się teraz - odezwał się Sean. Zaczął sypać piasek na przygasający ogień.

Pol, ze słuchawką przy uchu, opuścił rękę, a Bay, Sean i Sorka nastavili stopery w ręcznych chronometrach. Wszyscy patrzyli w stronę wschodniego nieba, trzymając wskazujące palce zawieszane nad przyciskami zatrzymującymi. Pani biolog mrużyła oczy przed słońcem odbijającym się od gładkiego morza.

- Teraz! - odezwały się cztery głosy, a cztery palce opadły równocześnie. W powietrzu nad ich głowami pojawił się smoczek, świergocząc ekstatycznie.

- Znowu osiem sekund - wykrzyknął Pol radośnie.

- Chodź tu, Kundi - powiedziała Sorka, podnosząc rękę, żeby zwabić smoczka. Spizowy Dave'a Catarella pisnął i przekrzywił łebek, jak gdyby rozważając zaproszenie, ale odfrunął, gdy Duke, spizowy Sorki, go odgonił. - Nie bądź paskudny, Duke.

- Osiem sekund - powtórzył Sean z podziwem. - Tylko tyle zajmuje im przebycie jakichś pięćdziesięciu klików.

- Ciekawe - rozważał Pol, stukając rylcem w notatnik pokryty zachęcającymi rzędami cyfr. - Czas się nie zmienia niezależnie od tego, w którą stronę je wyślemy. Jak myślicie, ile by im zajął lot na Seminole albo, powiedzmy, do Warowni Fort na północy? - Spojrzał pytająco na pozostałych.

Sean z powątpiewaniem pokręcił głową, ale Sorce nie brakło entuzjazmu.

- Mój brat, Brian, pracuje w Warowni. Duke zna go równie dobrze jak mnie. I widziałam pełno zdjęć tego miejsca. Polecą do Briana. - Jak gdyby rozumiejąc, o czym mowa, Duke zatoczył koło i przysiadł na ramieniu Sorki. Dziewczyna się roześmiała. - Widzicie, jest chętny!

- Może przybyć, kiedy się go woła - powiedział Sean - ale czy polecą tam, gdzie się go posyła? Lądowisko to co innego; wszystkie znają je bardzo dobrze.

- Możemy tylko spróbować i sprawdzić - powiedział Pol stanowczo. - I teraz jest dobra pora, żeby zastać Briana w Warowni. - Sięgnął po interkom. - Całe szczęście, że wieża już funkcjonuje. Mówi Pol Nietro. Muszę pilnie zamienić kilka słów z Brianem Hanrahanem... Mówię, że to pilne! Tu Pol Nietro. Ściągnijcie go! Idioci - mruknęła stronie. - To bardzo ważne!

Brian został odnaleziony i ze zdumieniem usłyszał głos swojej siostry.

- Słuchaj, o co ci chodzi? Nie możesz tak sobie krzyczeć, że to sprawa pierwszorzędnej wagi. Mogę cię zapewnić, że matka dobrze opiekuje się Mickiem. Ona go rozpieszcza.

Poirytowany głos był wyraźnie słyszalny dla pozostałych. Sorkę całkowicie zaskoczyła jego nieprzyjazna odpowiedź. Mąż wyjął jej z rąk aparat.

- Brian, tu Sean. Marco Galliani i jego smok Duluth zginęli wczoraj w nieszczęśliwym wypadku. Staramy się opracować jakieś środki ostrożności. To zajmie ci tylko kilka minut. I to naprawdę sprawa pierwszorzędnej wagi.

- Marco i Duluth? - zmitygował się Brian. - Do licha, nic nie słyszałem. Bardzo mi przykro. Co mogę zrobić?

- Jesteś na zewnątrz? W jakimś miejscu, gdzie łatwo można cię spostrzec z powietrza?

- Tak. Bo co?

- Powiedz Sorce, gdzie dokładnie jesteś. Daję ci ją.

- Piekło i szatani, siostrzo, przepraszam, że na ciebie naskoczyłem. Jestem na zewnątrz. Widziałaś ostatnie zdjęcia? Jestem około dwudziestu metrów od nowej pochylni. Przy jaskiniach weterynarzy. Wreszcie wykuli dla nas wyższe tunele, więc tuż obok mnie jest stos kamieni, prawie dorównujący mi wzrostem. Co mam teraz robić?

- Po prostu tam stój. Wysłałam do ciebie Duke'a. Kiedy powiem: "już", włącz stoper.

- No, no, siostrzyczko - zaczął Brian z niedowierzaniem. - Przecież jesteś w Kahrainie, nieprawda?

- Brian! Przynajmniej raz w życiu nie kłóć się ze mną.

- W porządku. Jestem gotów do włączenia stopera. - W jego głosie wciąż pobrzmiwała uraza.

Sorka wysoko uniosła ramię, szykując się do wyrzucenia Duke'a w powietrze.

- Leć do Briana, Duke. Jest w nowym miejscu! Tutaj! - Zaciśnęła mocno powieki i skoncentrowała się na wyobrażeniu Briana stojącego w miejscu, które opisał. - Leć, Duke.

Z piśnięciem Duke zeskoczył z jej ramienia i zniknął.

- Już! - wrzasnęła Sorka.

- Hej, słyszę cię głośno i wyraźnie, siostrzyczko. Nie musisz się wydierać. Nie wiem, jaki w tym sens. Chyba nie wierzysz, że smoczek mógłby... Do licha! - Głos Briana w słuchawce załamał się z wrażenia. - Nie wierzę w to, cholera. Do diabła, zapomniałem zmierzyć czas.

- W porządku - odparła Sorka, w zachwycie kiwając głową. - Wykorzystaliśmy twoje "do licha".

Pol podskakiwał z radości, trzymając swój chronometr i wykrzykując:

- Osiem sekund! Osiem sekund!

Chwytał Bay w pasie i zakręcił nią dokoła. Sean podniósł Sorkę z ziemi i pocałował ją głośno, Mariah i Blazer zaś na czele sfory docenionych smoczków zaprezentowały powietrzne akrobacje.

- Osiem sekund do warowni, tylko osiem sekund - sapał biolog. Wyhamował, nie wypuszczając żony z objęć.

- To raczej nie ma sensu, prawda? - powiedziała Bay, dysząc i trzymając dłoń na falującej piersi. - Tyle samo czasu zajmuje im przebycie pięćdziesięciu klików i prawie trzech tysięcy.

- Hej, Sorka - rozległ się proszący głos Briana. Przyłożyła słuchawkę do ucha, ocierając rękawem pot z czoła. - Naprawdę muszę już iść, ale co mam teraz zrobić z Duke'iem?

- Powiedz mu, żeby wrócił do mnie. I powiedz nam, kiedy zniknie.

- Pewnie. Jestem gotowy... Duke, znajdź Sorkę! Sorkę! Znajdź... zniknął. Cholera! Już!
Na plaży w Kahrainie cztery palce włączyły stopery, cztery pary oczu zwróciły się na zachód, patrząc na rozpalone, popołudniowe niebo, cztery głosy odliczały sekundy.
- Sześć... siedem... osiem. Udało się!
Teraz już nabrali pewności. Duke, świergocząc radośnie, usadowił się na ramieniu Sorki i potarł zimnym pyszczkiem o jej policzek.
- Niezwykle satysfakcjonujące i produktywne doświadczenie - oznajmiła pani biolog, uśmiechając się szeroko.
- Powiedz o tym Emily, dobrze, Bay? - poprosił Connell, wpychając rękę pod łokieć żony. - A my lepiej zajmijmy się pracą, jaką przewidziano dla nas na dzisiaj.
- A więc śmierć chłopaka Gallianich okazała się katalizatorem? - zapytał Emily Paul Benden, gdy wieczorem porozumiewali się przez interkom.
- Pol i Bay są pełni nadziei - odparła Emily, wciąż zasmucona z powodu tragedii. Była zmęczona i wiedziała o tym. Nawet kiedy rozmawiała z admirałem, mając nadzieję usłyszeć jakieś pocieszenie, dobre wieści z pomocnego kontynentu, połową umysłu wciąż zastanawiała się nad sprawami, które trzeba było załatwić.
- Zespół Telgara wykonał niewiarygodną pracę, Em. Komnaty są olbrzymie. Człowiek nawet nie może odczuć, że się znajduje na dwadzieścia, trzydzieści stóp wewnątrz litej skały. Cobber i Ozzie siedmioma tunelami przekopali się na kilkaset stóp w dół. Jest nawet gniazdo na sprzęt komunikacyjny Ongoli, wykute wysoko w ścianie urwiska. To miejsce jest wystarczająco duże, by pomieścić całą populację Ładowiska.
- Nie wszyscy chcą mieszkać w dziurze w ziemi, Paul. - Gubernator mówiła również we własnym imieniu.
- Jest też kilka jaskiń na poziomie ziemi, z bezpośrednim dostępem - odparł admirał uspokajająco. - Poczekaj tylko, aż zobaczysz. No właśnie, kiedy przylecisz? Ja muszę się pojawić przy następnym Opadzie albo mnie wyleją.
- Nie mów, że tego nie chcesz!
- Emily - Paul ponownie przybrał poważny ton. - Niech Ezra przejmie twoje obowiązki. Razem z Jimem mogą nadzorować załadunek. Inni niech pilnują transportu i konserwacji ślizgaczy oraz skuterów. Pierre powinien przylecieć tutaj i zająć się wyżywieniem. Będzie miał największą kuchnię na Pernie.
- Na pewno się ucieszy. Dotychczas miał największą dziurę w ziemi do wędzenia mięsa! Ale martwię się smokami, Paul.
- Chyba ich opiekunowie będą musieli sobie poradzić sami, Emily. Wnioskując z tego, co mówisz, nie sędzę, żeby mieli jakieś problemy.
- Dziękuję, Paul - odparła z wdzięcznością, uspokojona pewnością brzmiącą w jego głosie. - Zarezerwuję sobie miejsce w ślizgaczu jutro wieczorem.

Po podnieceniu spowodowanym wysłaniem Duke'a na północ, posyłanie smoczków między Kahrainem a Ładowiskiem nie wzbudzało już takich emocji, ale pomagało przewyciężyć nudę długiej podróży. W drodze powrotnej Sean kazał jeźdźcom ćwiczyć lot w zwartym i luźnym szyku, a także, co ważniejsze, uczyć się, jak rozpoznawać i wykorzystywać prądy powietrza.

Tej nocy ognisko było większe, a Pol i Bay wśliznęli się w krąg jego światła, by przedyskutować obserwacje dotyczące smoczków i metodę zastosowania ich wyników do smoków. Connell właściwie nie musiał zbyt wiele nakłaniać swoich przyjaciół do zachowania ostrożności: wszyscy aż za dobrze pamiętali o Marcu i Duluthu. Aby nie dopuścić do niezdrowego zainteresowania tematem, Sean zaproponował, żeby następnego dnia jeszcze poćwiczyć latanie w szyku, co bardzo przyda się w walce z Opadem.

- Jeśli wiecie, jaką macie pozycję w stosunku do innych jeźdźców skrzydła, zawsze będziecie wiedzieli, dokąd wrócić - powiedział, akcentując ostatnie słowo.
- Twoje smoki są takie młode - ciągnął Pol, widząc przychylną reakcję - biorąc pod uwagę cechy ich gatunku. Smoczki wydają się nie ulegać degeneracji. Innymi słowy nie starzeją się fizjologicznie, tak jak my.
- To znaczy, że mogłyby żyć po naszej śmierci? - zapytała zdumiona Tarrie. Obejrzała się na Porth, której ciemny kształt odcinał się od roślinności.
- Sądząc po tym, co ustaliliśmy, to tak, Tarrie - odparł biolog.
- Nasze główne organy degenerują się - podjęła Bay - chociaż nowoczesna technologia umożliwia naprawę lub wymianę, dając nam drugie, aktywne życie.
- Czyli smoki raczej nie zachorują? - Tarrie rozjaśniła się na tę myśl.
- Przynajmniej tak sądzimy - odparł Pol, ale ostrzegawczo uniósł palec. - Jednak z drugiej strony nie widzieliśmy żadnych starszych smoczków.
- Sean prychnął, co Sorka złagodziła uśmiechem.
- Tak naprawdę to możemy sądzić jedynie wedle własnego pokolenia - powiedziała. - Możemy leczyć tylko nasze smoczki, bo one nam ufają, a zwykle mają tylko oparzenia, zadrapania lub otarcia skóry. To bardzo pocieszające, że smoki są równie długowieczne.
- O ile nie popełnimy jakiegoś błędu - powiedział ponuro Otto Hegelman.
- Więc ich nie popełniamy! - odparł Connell zdecydowanie. - A żeby ich nie robić, podzielimy się jutro na trzy grupy. Sześć, sześć... i pięć. Potrzebujemy trójki przywódców. Chociaż Sean pozostawił tę kwestię otwartą, natychmiast został wybrany. Po krótkiej dyskusji wytypowano jeszcze Dave'a i Sorkę.
- Później, kiedy Connellowie ułożyli się wygodnie na piasku między Faranth i Caremathem, dziewczyna przytuliła się do męża i pocałowała go w policzek.
- Za co to?
- Za to, że dałeś nam nadzieję. Ale Sean, martwię się.
- O? - Maż odgarnął jej włosy ze swoich ust i wpaśował się barkiem w zagłębienie w piasku.
- Sądzę, że nie powinniśmy czekać zbyt długo, zanim spróbujemy się teleportować.
- Zgadzam się całkowicie. Jestem wdzięczny Polowi i Bay za ich komentarze o długowieczności smoków. Bardzo mnie pocieszyli.
- Czyli jak długo my zachowamy rozsądek, będą żyć nasze smoki. - Przytuliła się do niego.
- Żałuję, że obcięłaś włosy, Sorka - mruknął Sean, wyciągając z ust kolejny lok. - Przedtem nie jadłem ich tak dużo.
- Krótkie włosy łatwiej wchodzi pod hełm - wymamrotała sennie. Wkrótce oboje już spali.

Chociaż ilość paczek i opatulonych plastikiem urządzeń w Lądowisku topniała w oczach, skrzynie z zatoki Kahrain nie były wywożone aż tak szybko. Drugiego wieczoru, kiedy Sean pomagał jeźdźcom ze swojego skrzydła rozładować towary, spostrzegł jednego z mężczyzn nadzorujących transport, siedzącego przy niezdarnie skleconym biurku, na którym stał mały ekran przenośnej jednostki.

- Jutro skończymy wywozić rzeczy z Lądowiska, Desi - zapewnił go Connell.
- To świetnie, Sean - odparł Desi krótko, nawet się nie odwracając.
- O co, do cholery, chodzi, Desi? - spytał Connell.
- Słyszając złość w jego tonie, zaskoczony mężczyzna podniósł wzrok.
- O co chodzi? Mam pełną plażę różnych towarów do przewiezienia i żadnego transportu. - Twarz Desiego była tak zmieniona niepokojem, że gniew Seana się ulotnił.
- Sądziłem, że duże ślizgacze miały wrócić.
- Dopiero gdy odnowią zasoby energii i przejdą przegląd techniczny. Szkoda, że nikt mi o tym wcześniej nie powiedział. - Desi podniósł głos. - Wszystkie moje plany diabli wzięli. Co ja mam zrobić, Sean? Wkrótce nastąpi kolejny Opad, a ten sprzęt - machnął mokrą od potu

szmatą w stronę stosu pomarańczowych kartonów - jest niezastąpiony. Gdyby tylko... - przerwał, ale Connell potrafił sobie wyobrazić, co zostało nie wypowiedziane. - Wykonaliście świetną robotę, Sean. Naprawdę to doceniam. Ile powiedziałaś, że jeszcze zostało?

- Jutro skończymy wszystko.

- Więc posłuchaj, pojutrze... - Desi ponownie potarł twarz, starając się ukryć rumieniec zażenowania. - Słyszałem, jak Paul to mówił. Chce, żebyście ruszali na Seminolę, a stamtąd dalej na północ. A ja... - Desi zrobił niepewny grymas.

- Ty byś chciał, żebyśmy zabrali część tego pomarańczowego w bezpieczne miejsce - Connell znów poczuł wzbierającą niechęć. - Cóż, chyba lepsze to, niż gdybyśmy się mieli okazać całkowicie bezużyteczni, prawda? - Odszedł, póki jeszcze był w stanie się opanować.

Faranth i Sorka przyleciały, oznajmił Carenath przytłumionym tonem. Sean zmienił kierunek marszu, idąc w stronę miejsca ich przybycia. Wiedział, że nie zdoła oszukać żony, ale mógł przynajmniej pracą rozładować część wściekłości.

- No dobrze, co się stało? - zapytała Sorka, odciągając go w stronę morskiego brzegu, tam gdzie jej złota królowa chroniła ich przed wrokiem innych jeźdźców, którzy wciąż sortowali pakunki wedle kolorowych oznakowań i zanosili je w różne części plaży.

Sean kilkakrotnie uderzył pięścią w otwartą dłoń, zanim zdołał wydusić z siebie upokarzające słowa.

- Jesteśmy traktowani jak juczne zwierzęta, donki ze skrzydłami! - powiedział w końcu. Mimo irytacji pamiętał, żeby mówić cicho.

Faranth obróciła głowę i spojrzała na dwójkę jeźdźców, a jej błękitne oczy zaczęły zabarwiać się czerwonymi ognikami. Carenath wytknął głowę ponad jej grzbietem. Connell usłyszał pomruki pozostałych smoków. W następnej chwili oboje z Sorka zostali otoczeni smokami, a jeźdźcy zaczęli zbierać się w centralnym punkcie.

- Patrz, co narobiłeś - odezwała się Sorka z westchnieniem.

- O co chodzi, Sean? - zapytał Dave, przeciskając się obok Polentha.

Connell wziął głęboki oddech, tłumiąc gniew i urazę. Jeżeli nie potrafił panować nad sobą, jak mógłby zapanować nad innymi. Smoki patrzyły nań oczami pobłyskującymi żółto z niepokojem. Musiał je uspokoić, uciszyć zarówno siebie, jak i pozostałych jeźdźców. Sorka miała rację. Zrobił coś, co trzeba było jak najszybciej naprawić.

- Zdaje się, że jesteśmy jedyną dostępną powietrzną ekipą transportową - powiedział, zdobywając się na nikły uśmiech. - Desi mówi, że wszystkie ślizgacze są uziemione, póki nie dokona się niezbędnych napraw.

- Hej, Sean - zaprotestował Peter Semling, wskazując kciukiem przez ramię na sterty towarów na plaży. - Nie zdołamy przenieść tego wszystkiego.

- Oczywiście, że nie. - Connell zdecydowanie machnął ręką. - I wcale nas o to nie proszą. Kiedy oczyścimy Lądowisko, Paul chce, żebyśmy polecieeli na Seminolę i stamtąd ostatecznie ruszyli na północ. I to jest w porządku. - Uśmiechnął się, tym razem szczerze. - Ale Desi chciałby, żebyśmy wzięli ze sobą część najniezbędniejszych rzeczy.

- Marzy mi się, żeby ktoś wreszcie zrozumiał, że nie jesteśmy na etacie przewoźników - powiedział Peter urażonym tonem, który dobrze oddawał uczucia Connella.

- Nie o to chodzi, Pete - odparł Sean stanowczo. - Wszyscy wiedzą, że jesteśmy smoczymi jeźdźcami. Ale Desi znalazł się między młotem a kowadłem i potrzebuje naszej pomocy.

- Szkoda tylko, że nie polega ona na tym, do czego zostaliśmy stworzeni - zauważyła Tarrie.

- Gdy tylko się uporamy z Lądowiskiem, skoncentrujemy się całkowicie właśnie na tym - stwierdził Sean. - Chcę, żebyśmy mogli się teleportować, zanim jeszcze dolecimy na Seminolę.

- Do miejsc, których nigdy nie widzieliśmy? - zapytał praktyczny Otto.

- Nie, do miejsc, w których właśnie byliśmy. Potraktujcie lot na Seminolę jako okazję do obejrzenia najważniejszych działek na południu - odparł Connell zdecydowanie. Sam był

zdumiony, że w to wierzy. - Podczas walki z Niemi potrzebne nam będą punkty orientacyjne przy teleportacji. - Twarz Soriki jaśniała z dumy. Udało mu się nie tylko przewyciężyć własny gniew, ale i znalazł sposób, żeby ocalić ich godność na przyszłość. Smocze oczy nad ich głowami przestały świecić żółtym blaskiem. - Czuję zapach jedzenia. Zgłodniałem nieco. Chodźmy coś zjeść. Zapracowaliśmy na to.

- Przed lotem na północ będziemy musieli pozwolić smokom zapolować - odezwał się Peter, wskazując brodą zagrody dla zwierząt.

Connell pokręcił głową, z uśmiechem wspominając zawołane ostrzeżenie Emily.

- Drugi raz to przejdzie, Pete. Jutro zapolujemy na zwierzęta, które przedarły się przez ogrodzenia w Ładowisku. - Zaczął przepychać się przez smoczy pierścień. - Jutro sobie podjesz, Carenath - powiedział, pieszczotliwie klepiąc spizowego.

Ryby? zapytał Carenath pogardliwie.

- Mięso. Czerwone mięso - odparł Sean. Roześmiał się, gdy część smoków zabalgotła z wdzięcznością. - Ale tym razem nie wykradniemy go dla was. - Objął ramieniem Sorikę i razem z nią ruszył przez plażę w stronę ognisk z jedzeniem.

Następnego dnia trzy skrzydła smoczycy jeźdźców, przekroczywszy rzekę Jordan, udały się w trzech różnych kierunkach, lecąc nisko na południe i wschód nad pokrytą popiołem ziemią.

Faranth mówi, że znaleźli biegające mięso, zaraportował Carenath swojemu jeźdźcowi. A my?

Sean wycelował lornetkę w niewielką dolinę. Znajdowali się na północ od obszarów objętych dwoma niedawnymi Opadami, więc ziemię pokrywała roślinność, która mogła przyciągnąć uwagę przeżuwaczy.

- Powiedz jej, że my też trafiliśmy żyłę złota.

Nie mięso? zapytał Carenath z żalem.

Connell uśmiechnął się szeroko, po czym poklepał swojego smoka po ramieniu.

- Tak, mięso, tylko pod inną nazwą. Tym razem możesz się najeść do syta - dodał, gdy niewielkie, mieszane stadko owiec i krów runęło do panicznej ucieczki, widząc zbliżające się niebezpieczeństwo. Dał znak reszcie swojego skrzydła, wymachując ramionami w sposób, jaki ostatnio gorliwie ćwiczyli. Ponieważ smoki mogły komunikować się między sobą, jeźdźcy postanowili nie używać interkomu. Sean jednak zachował te odbiorniki, które Pol zdołał wyprosić. Chociaż zbyt cenne, by ryzykować ich upuszczenie z wysokości, były na tyle użyteczne, że nie chciał się z nimi rozstawać. - Wyląduj na tej grani, Carenath. Będzie dość miejsca dla pozostałych.

Porth mówi, że mają wystarczająco dla nas wszystkich, zaraportował Carenath, lądując z gracją i opuszczając ramię, by ułatwić jeźdźcowi zejście.

- Powiedz Porthowi, że jesteśmy wdzięczni, ale lepiej zajmijcie się ściganiem własnej zdobyczy - poradził Sean. Stado co sił w nogach pędziło doliną. Chłopak musiał osłonić twarz przed grubym, wszędobyłskim pyłem, wyrzuconym w powietrze przez potężny zamach skrzydeł Carenatha. Nad głową śmignęły mu jaskrawe błyskawice.

- Witajcie znowu - powiedział Sean nieco pogardliwie, gdy w kolorowym stadku ognistych jaszczurek prowadzonym przez Blazer dostrzegł błękitne i zielone.

Wkrótce dołączyła reszta skrzydła. Nawet Nora Sejby na Tenneth zdołała w miarę zgrabnie wylądować; cały czas robiła postępy. Bardziej martwił się o Catherine Radelin-Doyle, która od tragedii ani razu nie chichotała z Singlath. Resztę grupy stanowili Nyassa, Otto i Jerry Mercer. Gdy pozostałe smoki dołączyły do polowania, Connell skierował lornetkę na Carenatha; w samą porę, by spostrzec, jak spizowy smok, nie zwalniając lotu, zwinnie łapie sporego byczka.

- Bardzo ładnie, Carenath! - Sean oddał lornetkę Nyassie, żeby spojrziała na Milath.

- Wydaje mi się, że w tej grupie jest całkiem sporo bydła - odezwał się Jerry, ściągając hełm i mierzwiąc spocone włosy. - Co się z nim stanie?

Connell wzruszył ramionami.

- Najlepsze okazy pojechały na północ. Te dadzą sobie radę same... albo nie.

- Sean, patrz, kto przyszedł na obiad! - Nyassa wskazała na pomoc, gdzie wyraźnie kręciło się pięć wherrów. - Wynocha! - dodała widząc, jak ogniste jaszczurki zbierają się do ataku na intruzów. - Poczekajcie na swoją kolej!

- Przywiozłam kilka kanapek - odezwała się Catherine, otwierając plecak. - My też moglibyśmy się posilić.

Sean przerwał polowanie, kiedy każdy ze smoków pożarł dwie sztuki. Carenath narzekał, że zjadł tylko jedną dużą, więc dodatkowo należałyby mu się dwie mniejsze. Connell odparł, że ma już pełny żołądek i wkrótce nie zdoła wzbicić się do lotu, a mieli jeszcze trochę pracy. Smoki pogderwały trochę, a Carenath bezceremonialnie oświadczył, że Faranth też jest głodna, ale Sean był niewzruszony i smoki musiały usłuchać.

W powietrzu Connell przeformował skrzydło.

- W porządku, Carenath - powiedział, myśląc z ulgą o ostanim transporcie z Ładowiska. - Wracajmy do wieży jak najszybciej możemy i skończmy z tym wreszcie!

Podniósł rękę i opuścił ją na dół.

W następnej chwili spowiła go taka ciemność, że Sean nabrał pewności, iż jego serce przestało pracować.

Nie spanikuję! pomyślał z mocą, przypominając sobie Marco i Dulutha. Serce uderzyło mu szybciej i uświadomił sobie przeszywające zimno czarnej nicości.

Jestem tutaj!

Gdzie my jesteśmy, Carenath? Ale Connell nie potrzebował odpowiedzi. Byli pomiędzy. Zaczął intensywnie myśleć o punkcie przeznaczenia, przypominając sobie dziwne, przefiltrowane przez popiół światło wokół Ładowiska, kształt wieży meteorologicznej, płaski pas dla ślizgaczy oraz czekające na nich tobołki.

Jesteśmy przy wieży, powiedział Carenath, cokolwiek zaskoczony. I w jednej chwili tam się znaleźli. Sean krzyknął głośno z ulgi.

Nagle jego oczy rozszerzyły się z nagłego przestraszenia.

- O nie! Co ja zrobiłem?! - zawołał. - Gdzie są pozostali, Carenath! Przemów do nich!

Już lecą, odparł Carenath z niezmaconym spokojem i pewnością siebie, wisząc w powietrzu nad wieżą.

Przed niedowierzającymi oczami Connella nagle zmaterializowało się całe skrzydło, wciąż w prawidłowym szyku.

- Wyląduj, proszę, Carenath, zanim z ciebie spadnę - wyszeptał Sean ledwo słyszalnym głosem, osłabły z niewiarygodnej ulgi.

Gdy pozostali zbierali się do lądowania, Connell wciąż tkwił na grzbiecie swojego smoka, przypominając sobie wszystko po kolei; po części z podziwem, po części z przerażeniem myśląc o ryzyku, jakie przed momentem podjęli i przetrwali.

- Keeeyooooo! - Okrzyk triumfu Nyassy przywołał go do rzeczywistości. Dziewczyna potrząsała hełmem nad głową, lądując z Milath tuż obok Carenatha. Catherine i Singlath wylądowały po drugiej stronie, Jerry Mercer i Manooth za nimi, Otto i Shoth zaś obok Tenneth i Nory.

- Hip, hip, hurra! - wołał Jerry, a Sean patrzył się na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

Wiesz, to było łatwe. Pomyślałeś mi, gdzie polecieć, więc poleciałem. Powiedziałeś, żebyśmy znaleźli się tu jak najszybciej. W tonie Carenatha wyczuwało się lekką naganę.

- Jeżeli teleportacja polega tylko na tym, dlaczego tak długo nie mogliśmy się jej nauczyć? - zapytał Otto.

- Czy ktoś ma zapasowe spodnie? - zapytała Nora błagalnie. - Byłam tak przerażona, że się zmoczyłam. Ale się udało!

Catherine zachichotała. Ten dźwięk pozwolił Seanowi otrząsnąć się z zamyślenia. Chłopak

pozwolił sobie na uśmiech.

- Byliśmy gotowi! - powiedział, nonszalancko wruszając ramionami, po czym odpiął paski uprząży. I wtedy zdał sobie sprawę, że jemu także przydałaby się sucha para spodni.

Rozdział III

- Jak powiedziałem, utrzymamy w tajemnicy stan Emily - powiedział Paul surowo, patrząc na Ongolę i Ezrę Keroona oraz gniewnie wbijając wzrok w Joela Lillienkampa. Nie życzył sobie, żeby Joel zaczął prowadzić zakłady, czy Emily Boll wyzdrowieje przy tak rozlicznych złamaniach. Złagodził nieco spojrzenie, gdy jego oczy spoczęły na Fulmarze Stone'ie, który nerwowo skubał poplamioną tłuszczem szmatę. - Jeżeli chodzi o mieszkańców Warowni Fort, Emily spokojnie wypoczywa. To zresztą jest prawda, biorąc pod uwagę słowa lekarza i odczyty z systemów wspomagających, które monitorują jej stan. Gdyby pytał ktoś z zewnątrz: jest zajęta, proszę się zwrócić do Ezry.

Admirał gwałtownie zerwał się na nogi i zaczął chodzić po swym nowym biurze, w pierwszym apartamencie na poziomie tuż nad Wielką Salą. Przez okna widać było nie malejący stos towarów, ułożonych w równych rzędach, ciągnących się aż po kraniec doliny. W końcu wszystko miało zostać upakowane w rozległych podziemnych grotach Warowni Fort. Tyle trzeba było zrobić. Paulowi bardzo brakowało podnoszącej na duchu obecności Emily.

Przyłapał się na muskaniu sztucznych palców; gwałtownie wepchnął ręce do kieszeni. Jego pozycja wymagała, by skrywał zdenerwowanie, unikając niepokojenia ludzi, którzy i tak żyli w nieustannym napięciu. Tylko w gromadce bliskich i zaufanych przyjaciół mógł dać ujście obawie, jaką wszyscy dzielili.

Upadek wielkiego ślizgacza, spowodowany awarią żyroskopów, był widoczny dla wszystkich mieszkańców Warowni Fort, ale tylko niewielu wiedziało, że na pokładzie maszyny znajdowała się wówczas gubernator. Mogli szczerze powiadomić wszystkich o obrażeniach pilota, gdyż połamane ręce i rozliczne zadrapania wkrótce miały się zaleczyć. Żaden z pozostałych pasażerów zbytnio nie ucierpiał, a członkowie ekipy ratunkowej nie rozpoznali Emily, której twarz zalała krew z rany na głowie. Przed okresem rekonwalescencji Paul nie zamierzał podać faktów do publicznej wiadomości. Wypadek, który zdarzył się krótko po opuszczeniu Lądowiska i wiązał się z utratą niemożliwego do zastąpienia sprzętu medycznego oraz samego ślizgacza, raczej nie przyczyniłby się do podtrzymania morale.

- Pierre się zgadza - ciągnął admirał. Wyczuwał sprzeciw ze strony pozostałych. Przeważała nie wypowiedziana opinia, że zatajenie faktów podkopie wiarygodność administracji. - Nawet na to nalega. Tego właśnie pragnęłaby Emily. - Nie zatrzymując się, Paul bezwiednie zwrócił wzrok w stronę okna i odwrócił oczy od bruzdy, jaką ślizgacz wyrył w ziemi dwa dni temu. - Ezra, dopilnuj, żeby to zostało wyrównane, dobrze? Widzę to za każdym razem, kiedy patrzę na zewnątrz.

Kapitan mruknął coś w odpowiedzi i zanotował to sobie.

- Jak długo stan Emily powinien być utrzymywany w tajemnicy? - zapytał Ongola. Jego twarz porały świeże zmarszczki.

- Jak długo będzie trzeba, do cholery! Możemy przynajmniej oszczędzić ludziom dodatkowego zmartwienia, zwłaszcza, że nie mamy żadnej pokrępiącej prognozy. - Admirał wziął głęboki oddech. - Rana głowy nie była poważna, czaszka nie pękła, ale minęła chwila, zanim wydobyliśmy ją ze ślizgacza. Wstrząs nie został opanowany dostatecznie szybko, a poza tym nie mamy wyrafinowanej aparatury, żeby złagodzić szok wywołany rozlicznymi złamaniami. Emily musi mieć czas i wypoczywać. Fulmar - Paul zwrócił się do inżyniera. - Dziś transportowy ślizgacz będzie gotowy do lotu na południe, prawda? Nie mogę

dłużej zwozić Desiego.

- Cały ten towar oznaczony pomarańczowo jest nam niezbędny - dodał Joel, poprawiając się na krześle. - Co prawda nie zdążyliśmy przenieść do jaskiń nawet połowy z tego, co tutaj marny, ale bezpieczniej będzie mieć te skrzynie pod nosem niż na jakiejś cholernej plaży na końcu świata. W przeciwnym razie zostaniemy zmuszeni do posłania Keroona, żeby to przywiózł. Ułożę nową listę priorytetów. Nie udałoby ci się chyba załatwić dwóch ślizgaczy, co, Fulmar?

Inżynier podniósł na niego oczy tak zaczerwienione z napięcia i bólu, że opanowany zwykle Joel cofnął się zszokowany. Wiedział, że ekipy Stone'a pracują po nocach, by obsłużyć wielkie ślizgacze transportowe. Lillienkamp przyznawał się tylko przed sobą, że winą za katastrofę należałoby raczej obarczyć składy, a nie inżynierów. Ale co on mógł zrobić, kiedy okoliczności zmuszały go do wysyłania coraz to większych ładunków?

- Kiedy tylko będziesz mógł, Fulmar - powiedział Joel łagodniejszym tonem. - Kiedy będziesz gotowy. - Wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

- Robimy, co możemy, admirale - odezwał się inżynier, z trudem podnosząc się na nogi. Spojrzał na szmatę w swoich rękach, ze zdumieniem skonstatował, że jest w strzępach, po czym wepchnął do kieszeni na biodrze.

- Wiem, Fulmar, wiem. - Paul otoczył ręką zgarbione ramiona Stone'a i odprowadził go do drzwi, raz jeszcze ściskając na pożegnanie. - A jeśli będziesz miał wolną chwilę, przygotuj listę danych technicznych na temat mniejszych ślizgaczy. Muszę wiedzieć, ile jest sprawnych na następnym Opad.

- Wypadek nie był niczyją winą - ciągnął admirał, wróciwszy do biurka i osunąwszy się na krzesło. - Fulmar oskarża się, że wcześniej nie zarządził przeglądów. Ale ja też nie powinienem był poganiać Emily, by przyleciała na pomoc. Ładunek nie został odpowiednio zabezpieczony w kabinie. Jednakże, panowie, to zdarzenie nie miało większego znaczenia, gdyby nie niewłaściwy czas i nagromadzenie się nie sprzyjających okoliczności. Zdołaliśmy ewakuować Łądowisko w należyтым porządku. Przygotowano dla nas miejsce, a teraz musimy zmobilizować odpowiednią liczbę ludzi i maszyn, by móc walczyć z Opadem. - Paul nie miał już nadziei na pomoc ze strony czy to smoczków, czy to smoków.

- Co zrobiłeś?! - zawołała Sorka, to blednąc, to czerwieniąc się na przemian z wściekłości. Faranth, której oczy migotały pomarańczowo ze współczucia dla swej towarzyszki, opuściła głowę. Carenath zbulgotał niespokojnie.

Sean chwycił Sorkę za ramiona, poirytowany jej reakcją. Zdołał przekonać innych, żeby nie rozpowszechniali nowiny, póki nie wylądje skrzydło Sorki.

- Posłuchaj, Sorka, ja tego nie planowałem! Do diabła, to ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy. Powiedziałem tylko Carenathowi, żeby dotarł do Łądowiska, jak najszybciej potrafi. I on to zrobił!

To naprawdę było bardzo proste, powiedział Carenath skromnie. Mówiłem Faranth. Ona mi wierzy. Smok przekrzywił głowę i z naganą spojrział na Sorkę.

- Skąd... skąd inni wiedzieli? - W oczach dziewczyny znów pojawił się strach. Ignorowała ogólne poruszenie; nie zwracała uwagi na skrzydło męża, tańczące wokół jej jeźdźców, wykrzykując dobre nowiny ile sił w płucach i roztrzásając najdrobniejsze szczegóły.

On im powiedział, odparła Faranth, wpadając jej w słowo.

- Przez dwie godziny staraliśmy się na to wpaść. - Sean uśmiechnął się, mając nadzieję, że tym samym zmusi do uśmiechu Sorkę. Objął żonę mocno i odciągnął ją od pozostałych. - Sądzę - powiedział, starannie dobierając słowa - że wszyscy cholernie wystraszyliśmy się po śmierci Marca i Dulutha. Teraz już wiemy, dlaczego Marco spanikował. Sorka, to nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałas. Nic nie czujesz, nawet własnego smoka między nogami. Otto nazwał to całkowitym pozbawieniem zmysłów.

To jest pomiędzy, wtrącił Carenath niemalże pouczającym tonem. Razem z Faranth ruszyli za swoimi jeźdźcami do sterty powiązanych tobołków, które miały stanowić ich ostatni ładunek. Smoki ze skrzydła Connella przysiadły na zadach w nieregularnym kręgu, otrząsając się co chwila, by się pozbyć niesionego przez wiatr popiołu. Z głębi gardła Faranth wydobył się głuchy warkot. Sean, słysząc go, uśmiechnął się pod nosem. Złota królowa była równie sceptyczna jak jej towarzysza.

- Czy Faranth może mi powiedzieć, jak daleko jest skrzydło Dave'a? - zapytał Sorke.

Są już w zasięgu wzroku, odparł Carenath w tym samym momencie, gdy żona powiedziała:

- Faranth mówi, że są już w zasięgu wzroku. - Wskazała północny wschód. - Polenth mówi, że polowanie się udało. Dużo mięsa! - Dziewczyna uśmiechnęła się przelotnie i Sean doszedł do wniosku, że prawie mu przebaczyła.

Oczywiście, gdy Dave i jeźdźcy z jego skrzydła usłyszeli nowiny, zdumienie zapanowało na nowo i rozległy się pełne zazdrości gratulacje.

- A więc dobrze - powiedział Connell, wchodząc na karton, by wszyscy go słyszeli. - To właśnie zrobimy. Teleportujemy się do zatoki Kahrain. Znamy ją z powietrza równie dobrze jak Lądowisko. To będzie idealny sprawdzian. Carenath nalega, żeby to on powiedział innym smokom, dokąd lecieć, ale wolałbym, żebyście tym razem sami je poinformowali o naszym celu. Uważam, że powinno to nam wejść w krew, podobnie jak solidne zapinanie uprząży i sprawdzanie, co znajduje się w okolicy nad głową. - Uśmiechnął się szeroko.

- A co im powiemy? - zapytał Dave, wskazując palcem pomoc.

- Emily odleciała, żeby dołączyć do admirała. Pol i Bay mieli wrócić pierwszym ślizgaczem. - Sean urwał i rzucił Sorce przeciągłe spojrzenie. Dziewczyna aprobująco skinęła głową. - Sądzę, że na jakiś czas powinniśmy zachować to dla siebie. Pokażemy im dopiero końcowy produkt, gotowe do walki smoki! Można wysłać ognistą jaszczurkę w nieznaną okolicę, tylko na podstawie zdjęcia, ale z pewnością nie ryzykowałbym posyłania Carenatha w miejsce, w którym sam nigdy nie byłem. - Connell wziął głęboki oddech. Wśród słuchaczy rozległ się szmer potwierdzenia. - Desi powiedział, że mamy polecieć na Seminole wzdłuż wybrzeża. To da nam czas, żeby przeciwżyć teleportację z miejsca, w którym jesteśmy, do miejsca, w którym niedawno byliśmy. W ten sposób będziemy dokładnie wiedzieć, jak dostać się na którąkolwiek z głównych działek, kiedy trzeba będzie walczyć nad nimi z Nićmi.

- Tak, ale smoki jeszcze nie zioną ogniem - przypomniał Peter Semling.

- Wzdłuż całego wybrzeża są skały zawierające fosfory. Wszyscy widzieliśmy, jak smoczki przeżuwają kamienie. To będzie najłatwiejsza część całej operacji - stwierdził Sean lekceważąco.

- Przenikanie z jednego miejsca do drugiego to jedno - zaczął powoli Jerry. - Już to robiliśmy. Lecimy stąd - pokazał wskazujący palec lewej ręki - dotąd. - Wyprostował palec prawej ręki.

- I smoki wykonują całą robotę. Ale unikanie Nici albo ślizgaczy... - Urwał.

- Duluth wyprowadził Marca z równowagi. Chłopak spanikował. - Connell tłumaczył z pewnością siebie. - Mówię szczerze, Jerry, to pomiędzy wystraszyło mnie i założę się, że pozostali też się wystraszyli. Ale teraz, kiedy już to znamy, możemy się przystosować. Opracujemy awaryjne uniki. - Sean wyciągnął nóż zza cholewy i się pochylił. - Większość z nas latała ślizgaczami lub skuterami podczas Opadów, więc wiemy, jak to świństwo leci... w większości przypadków. - Narysował w popiele serię drugich, pochyłych kresek. - Jeździec widzi, że znajduje się na kolizyjnym kursie z Nicia... tutaj - ostrzem noża wygrzebał punkt - i myśli o miejscu poza kolizyjnym kursem. - Przeskoczył do następnego punktu. - Będziemy musieli opracować taką taktykę. To wymaga dobrego refleksu. Widzieliśmy, jak ogniste jaszczurki cały czas pojawiają się i znikają, kiedy walczą z Nićmi u boku ekip naziemnych. Jeśli one potrafią to robić, to smoki tym bardziej!

Stwory zabalgotały w odpowiedzi, jak gdyby przyjmując wyzwanie, a Sean uśmiechnął się szeroko.

- Mam rację? - zwrócił się do jeźdźców.
- Masz rację! - odpowiedzieli wszyscy entuzjastycznie, potrząsając pięściami na znak pełnej determinacji.
- No i dobrze. - Connell wstał, złączył dłonie ze słyszalnym kłaśnięciem. Z jego ramion podniósł się pył. - Załadujmy, co trzeba, i teleportujmy się z powrotem do Kahrainu.
- A co jeśli ktoś nas zobaczy, Sean? - zapytała Tarrie niespokojnie.
- Co zobaczy? Latające donki, robiące dokładnie to, do czego je zaprojektowano? - odparł chłopak sarkastycznie.

- Niestety - oznajmił Paul zmartwionym pilotom. - Nie zdołamy chronić tak wielkich obszarów za pomocą zdziesiątkowanego sprzętu.
- Do diabła, admirale - powiedział Drake Bonneau, marszcząc twarz. - Podobno zasilaczy miało wystarczyć na pięćdziesiąt lat.
- Owszem. - Joel Lillienkamp ponownie zerwał się na nogi. - W normalnych warunkach. A warunków, w jakich były wykorzystywane, w żaden sposób nie można nazwać normalnymi, nie mówiąc już o konserwacji. I nie oskarżaj Fulmara Stone'a ani jego ekipy. Nie sądzę, żeby w ciągu ostatnich kilku miesięcy choć raz porządnie się wyspali. Najlepszy mechanik na świecie nie może sprawić, żeby ślizgacz działał przy naładowanym do połowy albo źle naładowanym zasilaczu. - Joel rozejrzył się zaciętrzewiony, po czym usiadł tak gwałtownie, aż krzesło zakołysało się na kamiennej podłodze.
- Czyli musimy otoczyć pieczołowitą opieką te ślizgacze i skutery, które nam zostały, bo inaczej za rok nie zostaną nam żadne maszyny latające? - zapytał Drake.
Przez chwilę panowała cisza.
- Zgadza się, Drake - odparł w końcu admirał. - Wypalcie trawy wokół swoich domostw, zbierzcie plony, które udało się wyhodować, utrzymujcie działki w czystości... i dziękujcie komu tylko chcecie, że mamy kultury hydroponiczne.
- Gdzie są te smoki? Było ich osiemnaście - odezwała się Chaila.
- Siedemnaście - poprawił ją Ongola. - Marco Galliani zginął w Kahrainie, razem z brązowym Duluthem.
- Przepraszam, zapomniałam - mruknęła Chaila. - Ale gdzie są pozostałe? Sądziłam, że one mają przejąć rolę maszyn, gdy te zawiodą.
- Lecą tu z Kahrainu - odparł Paul.
- No i? - podpowiedziała Chaila wyczekująco.
- Smoki nie skończyły jeszcze roku - stwierdził Paul. - Według Wind Blossom - wyczuł subtelną dezaprobatę wśród zebranych na dźwięk tego imienia - Pola i Bay, osiągną dojrzałość i będą w pełni... funkcjonalne dopiero za dwa, trzy miesiące.
- Za dwa, trzy miesiące! - zawołał ktoś z goryczą. - W tym czasie będziemy mieli osiemnaście lub dwadzieścia nie powstrzymywanych Opadów!
Fulmar wstał, zwracając się twarzą w stronę tylnej ściany komory.
- Za trzy miesiące będziemy mieli trzy całkowicie sprawne ślizgacze.
- Słyszałem, że wylęgło się więcej tych stworzeń - odezwał się Drake. - Czy to prawda, admirale?
- Tak, to prawda.
- Czy będzie z nich jakiś pożytek?
- To sześć dodatkowych smoków - odparł Paul z większym entuzjazmem, niż naprawdę odczuwał.
- Które osłabią nasze siły obronne o dodatkową szóstkę młodych ludzi!
- Ale zapewnią nam dodatkowych sześć potencjalnych, niezależnych, samopowielających się jednostek bojowych! - Paul podniósł się z krzesła. - Spójrzcie na ten projekt z właściwej perspektywy. Musimy mieć powietrzną obronę przeciw Niciom. Poddaliśmy inżynierii

genetycznej miejscową formę życia, żeby osiągnąć ten cel. I osiągniemy! - Jego głos zabarwił się przekonaniem. - Za kilka pokoleń...

- Pokoleń?! - Ten okrzyk wywołał gniewne pomruki wśród słuchaczy, i tak zdenerwowanych dotychczasowym przebiegiem spotkania.

- Smoczycy pokoleń - odparł admirał, podnosząc głos, by zagłuszyć szmery. - Płodne samice są dojrzałe do rozmnażania w wieku dwóch i pół lub trzech lat. Smocze pokolenie trwa trzy lata. Królowe złożą od dziesięciu do dwudziestu jaj. Mamy dziesięć złotych z pierwszego Wylęgu, trzy z drugiego. Za pięć, dziesięć lat będziemy mieli niezwykłony system obrony powietrznej do walki z intruzem.

- Tak, admirale, a za sto lat na tej planecie nie zostanie już miejsca dla ludzi! - Ta sugestia wywołała falę nerwowego śmiechu i Paul uśmiechnął się, wdzięczny anonimowemu dowcipnisiowi.

- Do tego nie dojdzie - powiedział. - Za to obrona będzie naprawdę niezwykłą, zaprojektowana dla naszych potrzeb. Oraz użyteczna pod innymi względami. Desi powiedział mi, że smoczy jeźdźcy w drodze do Fortu dostarczali towary na poszczególne działki. W każdym razie, oto wasze rozkazy.

Paul Benden wstał i szybko opuścił pomieszczenie, Ongola tuż za nim.

- Do diabła, Ongola, gdzie oni się podziewają?! - wykrzyknął admirał, kiedy zostali sami.

- Zgłaszają się co rano. Zbliżają się w dobrym tempie. Nie możemy więcej wymagać od niedojrzałych stworzeń. Słyszałem, jak Bay ci mówiła, że razem z Polem obawiają się, czy smocze siły nie zostały zbyt nadzarpnięte podczas ewakuacji.

Paul westchnął.

- Niestety, nie możemy ściągnąć ich w inny sposób, biorąc pod uwagę sytuację z transportem.

- Zaczął schodzić po kręconych żelaznych stopniach, wiodących z głównego poziomu do podziemnego kompleksu laboratoriów. - Trzeba znaleźć inne zajęcia dla zespołu Wind Blossom. Nie mamy czasu, personelu ani zasobów dla dalszych eksperymentów, niezależnie od tego, co ona powie.

- Będzie chciała porozmawiać z Emily! - odparł Ongola.

- Pozostaje nam mieć nadzieję, że będzie w stanie to uczynić! Mieliśmy dziś rano jakieś wieści od Jima? - Paul osiągnął taki stan umysłu, że czuł się przesycony złymi wiadomościami i dodatkowe ciosy nie robiły na nim większego wrażenia. Wczorajsza wiadomość, że flota Jima Tilleka, żeglująca wzdłuż wybrzeża Boca, dostała się w nagły tropikalny sztorm, który przewrócił dziewięć jednostek, wydała mu się prawie bez znaczenia.

- Mówi, że nie ma strat w ludziach - odparł Ongola pokrzepiająco. - Tylko dwóch łodzi nie udało się postawić, pozostałe można będzie naprawić. Delfiny odzyskują ładunek. Cięższe towary będą musieli zlokalizować nurkowie. Na szczęście zdarzyło się to na płytkich wodach, a sztorm nie trwał długo. - Komandor się zawahał.

- Dalej, powiedz mi. - Paul zatrzymał się na półpiętrze.

- Nie mieli spisu towarów, więc nie można stwierdzić, czy wszystko odzyskali.

Admirał spokojnie popatrzył na Ongolę.

- Czy Jim orientuje się, ile czasu mu to jeszcze zabierze?

Komandor pokręcił głową.

- No, to mamy kolejny powód, żeby wykorzystać personel Wind Blossom - stwierdził Paul. - Kiedy już się tym zajmiemy, chciałbym porozmawiać z Tillekiem. To niewiarygodne, że zdołał doprowadzić równie nie dobraną flotyllę tak daleko! Przez mgłę, Opad i sztorm!

Ongola zgodził się z zapalem.

Kiedy Carenath koncentrował się na bardzo ostrożnym przeżuwaniu, Sean usunął się na stronę, usiłując nie okazywać niepokoju. Smoczki krążyły nad głowami swoich większych pobratymców, świergocząc z wyraźną zachętą. Duke oraz kilka innych spizowych znalazło

kamyki i przeżuło je na pokaz.

Smoki i ich jeźdźcy zlokalizowali niezbędną skałę z fosfiną na wyżynie w połowie drogi między Rzeką Malay a Sadridem. W ciągu ostatnich kilku dni jeźdźcy nabrali o wiele większej pewności siebie; umieli się już teleportować do i z określonych punktów orientacyjnych. Otto Hegelman zasugerował, żeby każdy notował poszczególne punkty, dla ich późniejszej identyfikacji. Pomysł ten został entuzjastycznie przyjęty, chociaż wymagał zwrócenia się z prośbą o materiały piśmienne do mieszkańców działki nad Rzeką Malay. Ze zdumieniem stwierdzili, że pozostały tam jedynie dzieci, pod opieką szesnastoletniej córki Phasa Radamantha.

- Wszyscy dorośli walczą z Nićmi - powiedziała, przyglądając im się z przekrzywioną głową, co Tarrie później nazwała czystą bezczelnością.

- Desi dał nam zapasy dla was - odparł Sean, tłumiąc niechęć do dziewczyny, która przypatrywała im się krytycznie, i nieco upokorzony przyziemną funkcją smoczych jeźdźców. Skinął na Jerry'ego i Otta, żeby wnieśli ładunek do domu. - Może macie jakieś notatniki, które moglibyście nam dać?

- A po co?

- Robimy badania wybrzeża - odparł Otto z wyższością.

Dziewczyna spojrzała z zaskoczeniem, po czym jej twarz przybrała nieco mniej wrogi wyraz.

- Chyba tak. W klasie zostało mnóstwo tego typu śmieci. Kto dziś ma czas na lekcje?

- Jesteś niezwykle uprzejma - stwierdził Jerry z głębokim ukłonem i szerokim uśmiechem, po czym cała grupa odleciała.

To wydarzenie wzmocniło determinację jeźdźców, żeby osiągnąć swój cel w trakcie podróży na zachód.

- W gryzieniu mu nie pomożesz, Sean - powiedziała Sorka, podsuwając Faranth kolejny kawałek. - Ile one muszą tego zjeść?

- Kto wie, ile trzeba węgla, by rozpaść smoczy ogień? - zaśpiewała Tarrie radośnie. - Według mnie to - zważyła kamień w dłoni - jest odpowiednikiem grudki żwiru, którym karmiłam mojego złotego smoczka. Prawda, Porth?

Królowa posłusznie opuściła głowę i przyjęła dar.

- Smoczki przeżywają przynajmniej garść, zanim mogą zionąć ogniem - odezwał się David Catarel, przyglądając się z powątpiewaniem Polenthowi, który pracował szczękami z takim samym namaszczeniem jak pozostałe. - Patrz, Sorka, twoja sfera daje przykład.

Duke plunął drugim płomieniem, a Blazer wystartowała, żeby go zbesztać.

W tym samym momencie Porth wydała dziwny dźwięk, otworzyła pysk i umazany zieloną mazią kamień spadł na ziemię, o włos mijając stopę Tarrie. Porth z kłapnięciem zamknęła pysk i jęknęła.

- Co się stało? - zapytał Dave.

- Mówi, że ugryzła się w język - odparła Tarrie. Ze współczuciem poklepała Porth po szyi. - Rzeczywiście. Patrzcie! - Zielona posoka na kamieniu połyskiwała w słońcu. - Może powinnam to obejrzeć, co, Sorka? Mogła zrobić sobie krzywdę.

- A co mówi Porth? - zapytała dziewczyna z zawodowym obiektywizmem. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek musiała leczyć smoczki z obrażeń od własnych zębów.

- Że boli i musi odczekać, zanim będzie mogła dalej żuć skały. - Tarrie podniosła wypluty kawałek i odłożyła go na stos, który uzbierali.

Rozległ się kolejny smoczy okrzyk bólu i Tenneth Nory podążyła za złym przykładem Porth. Connellowie wymienili zmartwione spojrzenia i dalej karmili swoje smoki ognistym kamieniem.

Nagle Polenth czknął, a z jego nosa wysunął się mały płomyk ognia. Zaskoczony spiżowy odskoczył w tył.

- Hej, udało mu się! - zawołał Dave z dumą. - Faj! - dodał, machając ręką przed twarzą. -

Stańcie pod wiatr. To śmierdzi!

- Uwaga! - Sean ledwo się uchylił, gdy z kolei czknał Carenath, zaskakując wszystkich imponującym płomieniem, który o włos minął jeźdźca. Nad ich głowami smoczki zataczały pełne podziwu kręgi, na przemian świergocząc i wydychając płomienie, a ich oczy świeciły jasnoniebiesko z aprobatą.

- Pod wiatr i po jednej stronie! - rozkazał Connell. - Spróbuj znowu, Carenath! - Podał smokowi większy kamień.

- Och, okropne! - powiedziała Tarrie, gdy powiew wiatru posłał jej prosto w twarz odór spalonego kamienia. Krztusząc się, przeszła na drugą stronę Porth, żeby go uniknąć.

- Nie ma ognia bez dymu - zauważył Jerry. - Nie, Manooth, odwróć głowę w tamtą stronę! Brązowy smok usłuchał i natychmiast z jego pyska wybuchł płomień, spopielając jeden z karłowatych krzaków, które porastały równinę.

Jerry w podnieceniu klepnął smoczą szyję.

- Udało ci się, Manooth! Świetny strzał!

Pozostali ze zdwojonym entuzjazmem wrócili do karmienia swoich smoków. Godzinę później wszystkie samce zionęły już ogniem, w przeciwieństwie do samic; chociaż złote nie ustawały w przeżuwaniu, jedna po drugiej zwracały obrzydliwą szarą masę.

- O ile przypominam sobie z programu - odezwał się Sean do dziewczyn, które stały niepocieszone - królowe miały osiągnąć dojrzałość dopiero w wieku prawie trzech lat. A samce, cóż, samce są... - Connell szukał dyplomatycznego określenia.

- Funkcjonalne już teraz - dokończyła za niego Tarrie, niezbyt zadowolona.

- Nawet siedem smoków bojowych przyjmą w Forcie z wdzięcznością - odezwał się Otto, przynajmniej raz starając się nie mówić z wyższością.

Sorka zmarszczyła brwi, przez co jej twarz nabrała tak niezwykłego dla niej wyrazu, że Tarrie zapytała o przyczynę.

- Tak się zastanawiam. Kit Ping była straszną tradycjonalistką... - Dziewczyna spojrzała na męża, który opuścił głowę, nie mogąc wytrzymać kontaktu wzrokowego. - W porządku, Sean, ty znasz każdy symbol w tym programie. Czy Kit Ping wprowadziła dyskryminację płci?

- Co takiego? - zapytała Tarrie. Pozostałe dziewczyny podeszły bliżej, a jeźdźcy wycofali się dyskretnie.

- Dyskryminację płci... to znaczy, że królowe składają jaja, a pozostałe kolory walczą! - Sorka była zdegustowana.

- Możliwe, że po prostu złote nie są jeszcze dojrzałe - odparł Sean, chcąc zyskać na czasie. - Nie byłem w stanie rozszyfrować części równań. Może zdolność do ziania ogniem jest związana z dojrzałością. Nie wiem, dlaczego żadnej królowej się nie udało. Trzeba będzie zapytać Pola i Bay, kiedy dolecimy do Fortu. Ale wiecie, dziewczyny, nie rozumiem, dlaczego nie miałybyście używać miotaczy ognia. Jeśli doczepicie trochę dłuższą dmuchawę, nie będziecie musiały się bać, że przez pomyłkę oparzycie swojego smoka.

Jego sugestia przynajmniej chwilowo uspokoiła smocze towarzyszek, ale Connell miał nadzieję, że Pol i Bay zdołają udzielić bardziej zadowalających wyjaśnień. Siedemnaście smoków robiłoby o wiele większe wrażenie niż siedem. A Sean był zdecydowany, żeby wywołać duże wrażenie, wlatując do Warowni Fort. Od tej pory smoki nie powinny już dźwigać żadnych ciężarów, poza własnymi jeźdźcami i ognistym kamieniem!

- W gruncie rzeczy, Pol - odezwał się Telgar, spoglądając na Ozzie'ego i Cobbera - te fotofoby Wind Blossom okazały się niezwykle użyteczne w podziemnych badaniach. Instynktownie wyczuwają ukryte zagrożenia, takie jak urwiska czy ślepe tunele. - Geolog uśmiechnął się na swój zwykły, pozbawiony humoru sposób. - Chętnie je zatrzymam, skoro Wind Blossom je porzuciła, jeśli można tak powiedzieć. - Telgar zwrócił się do Pola i Bay.

- To wielka ulga wiedzieć, że jest z nich jakiś pożytek - odparł biolog, wzdychając ciężko.

Razem z żoną usiłował przemówić do rozsądku urażonej Wind Blossom, kiedy poproszono ją o zaniechanie smoczego programu. Chociaż genetyczka utrzymywała, że awaryjny transfer z Ładowiska do Fortu uszkodził wiele jajek z lęgu, którym manipulowała, Pol i Bay oglądali wyniki sekcji i wiedzieli, że to twierdzenie było bezpodstawne. Mieli szczęście, że wylęgło się sześć żywych stworzeń.

- Kiedy już zaczną człowiekowi ufać, są w miarę nieszkodliwe - ciągnął Telgar. - Cara uwielbia najmłodszego z nich, a on nie spuszcza z niej wzroku, chyba że wyjdzie poza teren Warowni. - Ponownie uśmiechnął się niewesoło. - Nocami strzeże jej drzwi.

- Nie możemy dopuścić, żeby te stworzenia rozmnażały się bez przeszkód - powiedział Paul szybko.

- Dopilnujemy tego, admirale - odparł Ozzie poważnie - ale to prawda, że dranie są użyteczne.

- I silne. Wynoszą z kopalni więcej, niż same ważą - dodał Cobber.

- Dobrze, dobrze. Po prostu ograniczcie rozmnażanie.

- Jedzą wszystko - dorzucił Ozzie. - Dosłownie wszystko. Dzięki nim można zachować czystość.

Admirał znów skinął głową na znak zgody.

- Nie chcę tylko żadnego rozmnażania, nie uzgodnionego z Polem i Bay z wydziału biologii.

- Jesteśmy zachwyceni, zapewniam cię - odezwała się pani biolog. - Nie pochwaląłem hodowli tych stworzeń, ale nie mogę również aprobować skazywania na zagładę jakiegokolwiek żywej istoty, która może okazać się użyteczna.

Telgar wstał gwałtownie i Bay, zastanawiając się, czy jej słowa przypomniały mu o śmierci Sallah, zganiła się w duchu za to, że nie przemyślała tego, co chciała powiedzieć. Ozzie i Cobber również się podnieśli.

- Skoro już skończyliście sporządzanie map kompleksu Warowni - powiedział Paul, zrećnie przerywając chwilę ciszy - jakie masz dalsze plany, Telgar?

Błysk entuzjazmu na moment rozjaśnił twarz geologa.

- Raporty z sondy wskazują na istnienie złóż mineralnych w Zachodnim Łańcuchu. Trzeba by to zbadać, bo transport z Obozowiska Karachi jest bardzo kosztowny energetycznie. Lepiej mieć zasoby minerałów pod ręką. - Telgar pochylił głowę na pożegnanie i szybko wyszedł z pokoju. Ozzie i Cobber wymamrotali coś stosownego, po czym podążyli za nim.

- Jak ten człowiek się zmienił! - powiedziała Bay miękko. Na jej okrągłej twarzy malował się smutek.

Admirał zauważył, że w pokoju zaległa pełna szacunku cisza.

- Myślę, że wszyscy się zmieniliśmy, Bay. A tak przy okazji, czy możemy coś zrobić z bezkompromisowością Wind Blossom?

- Nic, póki nie porozmawia osobiście z Emily - odparł Pol z obojętnym wyrazem twarzy. Małżeństwo naukowców z konieczności zostało poinformowane o faktycznym stanie gubernator, który, po dwunastu dniach od wypadku, praktycznie się nie zmienił.

- Nie wiem, dlaczego nie chce zaakceptować twojej decyzji, Paul - dodała pani biolog z niejaką irytacją.

- Tom Patrick mówi, że Wind Blossom raczej nie ufa męskiej połowie obecnego kierownictwa. - Admirał uśmiechnął się szeroko. Uważał całą sytuację za absurdalną, ale skoro genetyczka zaszyła się we własnych kwaterach, czekając, aż zostanie "odpowiednio wysłuchana", wykorzystał okazję, żeby znaleźć jej personelowi bardziej produktywnie zatrudnienie. Zresztą większość była za to wdzięczna. - Oczywiście, będziecie musieli monitorować rozwój nowego lęgu smoków.

- Ma się rozumieć. A co z Seanem i pozostałymi? - zapytał Pol, nieco zaniepokojony. Razem z Bay dyskutowali na temat ich przedłużającej się nieobecności i zaczęli się zastanawiać, czy nie jest to zaplanowane. Oboje wiedzieli, że Connell sarka na to, że smoczy jeźdźcy mają

status posłańców. Ale czego mógł się spodziewać? Każdy robił to, do czego się nadawał. Pol i Bay też nie byli zachwyceni projektem zainspirowanym przez Kwana Marceau, a który polegał na obserwacjach pędraków z grządki trawy w Całusie, ale w ten sposób mieli przynajmniej pozytywne zatrudnienie.

- Powinni dolecieć już wkrótce - odparł Paul obojętnym głosem i z takimż wyrazem twarzy. - Kiedy Kwan przewiduje zrobić próbę tych swoich robaków w terenie?

- To pędraki, nie robaki - poprawił go Pol mentorskim tonem. - Wyhodowaliśmy już ich dostatecznie dużo, by zaryzykować przeniesienie do gleby.

- To naprawdę dobra wiadomość - powiedział admirał z zadowoleniem, wstając z krzesła. - Tylko pamiętajcie, jutrzejszy dzień nie będzie dobry do przeprowadzania testów!

Pol i Bay wymienili spojrzenia.

- Czy to prawda, admirale - zapytał biolog - że nie lećcie walczyć z Nićmi za górami?

- Owszem, Pol. Nie mamy ani personelu, ani energii, ani ślizgaczy, żeby chronić coś więcej niż tylko najbliższą okolicę. Dlatego jeśli te wasze pędraki okażą się pomocne, wszyscy będziemy wam niezwykle wdzięczni.

Kiedy małżeństwo wyszło, Paul osunął się z powrotem na krzesło, przekręcając je lekko, by wyjrzeć przez okno, w migoczącą gwiazdami noc. Północny klimat był chłodniejszy niż na południu, ale rześkie powietrze sprawiało, że dobrze już znane konstelacje gwiazd wyraźnie odcinały się na niebie. Czasami admirał mógł sobie nawet wyobrazić, że znów jest w kosmosie. Westchnął ciężko i przysunął terminal. Musiał znaleźć jakąś iskierkę nadziei w przygnębiającym spisie, jaki dostarczył mu Joel.

Gdyby bardzo się pilnowali, żeby używać ślizgaczy i skuterów jedynie w krytycznych sytuacjach, mogliby zachować je aż do zakończenia obecnego przejścia Pernu przez materię przywleczoną z obłoku Oort. Ale co zrobią następnym razem? Paul skrzywił się, przypominając sobie arogancję Teda Tubbermana, który ośmielił się wysłać kapsułę powrotną. Czy wiedział chociaż, jak ją prawidłowo uruchomić? Co za ironia! Czy ktoś ją znajdzie? Czy na nią odpowie? Z pomocą tych samych technologicznych społeczeństw, od których oni się odżegnali, ich potomkowie mogliby przetrwać. Ale czy tego właśnie pragnął? A z drugiej strony, czy mieli jakikolwiek wybór? Przy odpowiedniej technologii problem Nici mógłby zostać bez trudu rozwiązany. Jak dotychczas, naturalne metody poniosły kleskę na całej linii.

Zionące ogniem smoki, doprawdy! Śmieszny pomysł, rodem z bajek dla dzieci. A mimo to...

Admirał wrócił do przeglądania aż nadto oczywistych faktów, dotyczących topniejących zasobów kolonii.

- Tarrie! - Peter Chernoff wybiegł z olbrzymiej stodoły, zbudowanej na wschodnim krańcu farmy na Seminoli, by powitać swoją siostrę. Wysoki młody człowiek spoglądał z góry na otaczających go jeźdźców. - Powiedźcie no, gdzieście się podziewali?

- Codziennie zgłaszaliśmy się przez interkom do Fortu - odparł Sean, zaskoczony.

- Ja sama wczoraj rozmawiałam z Jake'iem - dodała Tarrie niespokojnie. - O co chodzi, Petey?

Peter zwlekał z odpowiedzią, przestąpił z nogi na nogę, chrząknął kilkakrotnie.

- Robi się ciężko - powiedział w końcu. - Nie wolno nam nigdzie latać, chyba że to sprawa najwyższej wagi.

- To dlatego widzieliśmy tyle zniszczeń spowodowanych Nićmi - odezwał się zaszokowany Otto.

Peter poważnie skinął głową.

- W dodatku dzisiaj jest Opad w Warowni Fort, a oni muszą siedzieć w ukryciu.

- Nawet nie spróbują... - Dave Catarel był wstrząśnięty.

- Przeniesienie Łądowiska na pomoc okazało się zbyt wielkim obciążeniem dla ślizgaczy i

zapasów energii. - Chernoff spojrział na nich, badając reakcję. - A gubernator została ranna. Nikt jej nie widział od tygodni.

- Och, nie - powiedziała Sorka, szukając pociechy w objęciach męża. Nora Sejby zaczęła cicho płakać.

Peter znów poważnie skinął głową.

- Jest kiepsko. Naprawdę źle.

Nagle wszyscy zaczęli domagać się informacji o swoich bliskich i Chernoff nie mógł nadażyć z udzielaniem odpowiedzi.

- Posłuchajcie, nie spędzam całego czasu przy interkomie. Wiem tylko, że mamy nigdzie nie latać i w miarę możliwości oczyszczać farmy za pomocą ekip naziemnych. Zostało mnóstwo HNO₃, a miotacze można konserwować bez trudu.

- Ale nie ziemię - odezwał się Sean, autorytatywnie podnosząc głos. Szepty urwały się natychmiast. Jeźdźcy spojrzeli na niego. - Powiedziałeś, że w Fortcie jest dzisiaj Opad. Kiedy?

- Właśnie teraz! - odparł Peter. - Zaczyna się nad zatoką...

- Masz tu jakieś miotacze? Dziesięć, które moglibyśmy zabrać? - zapytał Connell nagłaco.

- Zabrać? Musielibyście zapytać Cosa, a jego chwilowo nie ma. Po co wam dziesięć miotaczy?

Sean uśmiechnął się szeroko i ruchem ręki wskazał złote smoki.

- Dziewczyny potrzebują ich, żeby walczyć z Nićmi! Musimy się przygotować, i to szybko!

- O czym ty mówisz? - Peter był zdezorientowany. - Opad już się zaczął. Skończy się, zanim w ogóle zdążycie przelecieć przez morze. A poza tym mieliście skontaktować się z Fortem natychmiast po tym, jak się tu znajdziecie!

- Peter, bądź człowiekiem, nie spieraj się. Pokaż dziewczynom, gdzie trzymacie miotacze, i daj mi ostatnie zdjęcie Warowni Fort. Albo lepiej portu, który podobno tam wybudowali. Smoki są o wiele szybsze niż flota Jima Tilleka. Statki nie minęły jeszcze zachodniego przylądka Deltę.

Connell nie dał Peterowi czasu na zastanowienie się ani na protesty. Wysłał Otta, żeby zrobił kopie zdjęć ujścia rzeki. Tarrie ponagliła brata, żeby pokazał im, gdzie są miotacze, i pomógł dziewczętom zabrać butle. Pośród furkotu złotych skrzydeł królowe wylądowały przy składzie i pozwoliły Seanowi, Dave'owi i Shihowi umocować sobie na grzbietach dodatkowy ciężar. Connell polecił Jerry'emu i Peterowi Semlingowi, żeby sprawdzili ładunek ognistych kamieni dla brązowych i spizowych. Peter Chernoff chodził od jeźdźca do jeźdźca błagając, żeby przerwali choć na moment. Co on ma robić? Jak ma to wyjaśnić? Kiedy zwrócą sprzęt? Nie mogą przecież zostawić Seminoli bezbronnej.

W końcu wszystkie gorączkowe przygotowania zostały zakończone, a spizowe i brązowe smoki przeżuły tyle kamieni, ile były w stanie przełknąć.

- Sprawdzić uprzęże! - ryknął Sean. Connell miał potężny głos. Oczywiście nie miał potrzeby krzyczeć, gdyż wszystkie smoki słuchały Carenatha, ale to pomagało mu podnieść poziom adrenaliny oraz dodawało ducha tym, którzy wkrótce mieli ruszyć za nim do bitwy.

- Sprawdzone! - brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

- Czy wiemy, dokąd lecimy? - Dając przykład, Sean rozwinął łopoczące zdjęcie, żeby jeszcze raz spojrzeć na stojący na nabrzeżu dźwig portowy, który wyglądał jak dziwaczne stworzenie z metalowych prętów, niegdyś stanowiących część statku kosmicznego.

- Wiemy!

- Najbliższe otoczenie? - Obrócił głowę w lewo i w prawo. Carenath aż drżał z niecierpliwości, by wreszcie wystartować.

- Sprawdzone!

- Pamiętajcie, żeby przeskakiwać! Lecimy!

Podnosząc się z grzbietu Carenatha na tyle, na ile pozwalały mu paski uprzęży, Sean wysoko uniósł rękę, obrócił i opuścił dłoń: sygnał do startu.

Siedemnaście smoków wzbilo się pod jasne, tropikalne niebo, formując dwie litery V. Nagle, na oczach zaskoczonego, niedowierzającego Petera Chernoffa, oba klucze zniknęły.

Peter przez długi czas stał z otwartymi ustami, gapiąc się w obłoki. Raptem obrócił się na pięcie i pogalopował do biura, gdzie natychmiast rzucił się do interkomu.

- Fort, tu Seminola. Fort, słyszycie mnie? Niech ktoś się odezwie?!

- Peter, to ty? - zapytał jego brat, Jake.

- Tarrie tu była, ale odleciała z miotaczem.

- Opanuj się, Pete. Mówisz bez sensu.

- Wszyscy tu byli. Zabrali nasze miotacze i połowę butli, a potem odlecieli. Wszyscy. Zupełnie nagle.

- Peter, uspokój się i mów z sensem.

- Jak mogę mówić z sensem, kiedy nie wierzę w to, co widziałem!

- Kto tam był? Tarrie i kto jeszcze?

- Oni. Ci co jeżdżą na smokach. Polecieli do Fortu. Żeby walczyć z Nićmi!

Paul podniósł słuchawkę interkomu. Każde zajęcie było lepsze od siedzenia w zamkniętym pokoju, niczym wąsonóg na kadłubie statku, podczas gdy żarłoczny organizm grasował na zewnątrz.

- Admirale? - W głosie Ongoli pobrzmiwało niezwykle podniecenie. - Dostałem wiadomość, że lecą do nas smoczy jeźdźcy.

- Sean i jego grupa? - Admirał zastanawiał się, czemu to aż tak podekscytowało komandora. - Kiedy wyruszyli?

- Nieważne, kiedy wyruszyli, ważne, że już tu są. - Paul zastanawiał się, czy ostatnie kłeski pozbawiły rozumu jego zwykle opanowanego zastępcę, bo mógłby przysiąc, że mężczyzna chichocze. - Zarząd portu pyta, czy ma im pozwolić na przyłączenie się do powietrznej obrony nabrzeża. Admirale, mam to na ekranie! Smoki walczą z Nićmi! Zaraz to panu prześlę.

Paul poczekał, aż przekaz się zogniskuje, po czym ze zdumieniem ujrzał niewiarygodny obraz maleńkich skrzydlatych stworzeń, najwyraźniej pluących ogniem na srebrny deszcz, który opadał śmiercionośną kurtyną na port. Dostrzegł je tylko przez moment, bo zaraz nastąpiły zakłócenia wywołane Opadem. Nie czekał dłużej.

Później admirał wielokrotnie się zastanawiał, jak to się stało, że nie skręcił sobie karku, gdy zbiegał po kamiennych schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Pognał co sił w nogach przez Wielką Salę i wprost sfrunął po metalowych schodach do garażu, gdzie przechowywano ślizgacze i skutery. Fulmar i jeden z mechaników pochylali się nad żyroskopem. Posłali mu zdumione spojrzenia.

- Otwórzcie drzwi. Fulmar, lepiej poleć ze mną. Mogą potrzebować pomocy. - Prawie wpadł do najbliższego ślizgacza, szarpiąc się z mikrofonem interkomu. - Ongola, powiedz Emily, Polowi i Bay, że ich protegowanym się udało. Zarejestruj to, na wszystko, co święte, zużyj tyle filmu, ile tylko możesz.

Paul zapuścił silnik, zanim Fulmar zamknął osłonę kabiny. Przejechał pod drzwiami, choć nie otworzyły się jeszcze na pełną wysokość - każdego innego surowo zbesztaliby za próbę podobnego manewru - po czym wystartował prawie pionowo, kierując się w stronę doliny. Wylatując poza osłonę klifów Fortu, ujrzał złowróżbną linię Opadu.

- Admirale, czy pan zwariował? - zapytał inżynier.

- Włącz ekran na duże powiększenie. Do diabła, wcale go nie potrzebujesz, Fulmar, możesz to zobaczyć na własne oczy! - Paul dziko wskazywał przed siebie. - Widzisz? Płomienie. Patrz, wybuchają. Naliczyłem ich już czternaście, piętnaście. Smoki walczą z Nićmi!

To przerażające, pomyślał Sean. Ale jakie wspaniałe! To najcudowniejszy moment jego

życia, chociaż przerażony był nieziemsko. Zmaterializowali się we właściwym miejscu, tuż nad portem, o smoczą długość przed Opadem.

Carenath natychmiast zaczął zionąć ogniem, po czym przeskoczył, gdy już mieli otrzeć się o drugi kłęb Nici.

Czy reszcie nic się nie stało? zapytał Connell niespokojnie, kiedy wśliznęli się z powrotem w realną przestrzeń.

Buchają ogniem i skaczą jak trzeba, zapewnił go Carenath z chłodnym dostojeństwem, wykręcając lekko, by znów plunąć płomieniem. Kręcił głową z boku na bok, wypalając sobie drogę przez Nici.

Sean rozejrzał się dookoła i ujrzał resztę skrzydła, jak podąża za nim w szyku, który przejęli z taktyki Kenjo. Umożliwiało to sianie największego zniszczenia. Na oczach Connella Jerry i Manooth zniknęli i pojawili się znowu, zwinnie umykając Niciom. Carenath też przeskoczył.

Tysiąc stóp poniżej dojrzał skrzydło Sorki, złożone z pięciu smoków, a za nim Tanie, prowadzącą pozostałe królowe.

Jeszcze! powiedział Carenath władcym tonem, wzbijając się ostro w górę i przemykając między dwiema ścianami Nici. Smok odwrócił głowę, otwierając szeroko pysk. Sean gorączkowo wyciągnął grudę ognistego kamienia. Trzeba to będzie jeszcze przećwiczyć, pomyślał. Carenath przeskoczył.

Shoth ma oparzone skrzydło, oznajmił Carenath. Będzie dalej leciał!

Dzięki temu nauczy się lepiej latać! odparł Connell.

Nagle paski upręży naprężyły się, gdy Carenath niemalże stanął na ogonie, by uniknąć strumienia Nici, za którym natychmiast posłał płomień.

Wracaj do szyku! rozkazał Sean. Tylko tego im brakowało, żeby parzyć siebie nawzajem. Zobaczył, jak pozostali zatrzymują się czekając, aż Carenath zajmie właściwą pozycję.

Po pierwszym, zapierającym dech w piersiach przejściu przez Opad, wszyscy zabrali się do pracy, póki płucie ogniem i ucieczki nie stały się instynktowne. Carenath kilka razy wchodził w pomiędzy, żeby zgubić Nici, które zaplatały mu się wokół skrzydeł. Sean zaciskał zęby, czując ból swojego smoka za każdym razem, gdy ten ulegał oparzeniu. Wszystkie brązowe i spizowe odniosły lekkie obrażenia. Nadal jednak walczyły. Królowe zachęcały ich bezustannie. Nagle Faranth oznajmiła przybycie ślizgacza; powiedziała też, że w porcie pojawiły się ekipy naziemne, niszczące skorupy, które opadały na powierzchnię. Dziewczęta wykorzystały już wszystkie butle, które pobrali z Seminoli. Sorka zamierzała uzyskać więcej ze składu w porcie.

Faranth pyta, jak długo będziemy walczyć? zapytał Carenath.

Jak długo wystarczy nam kamienia! odparł Sean ponuro. Właśnie przed chwilą spopielona Nic uderzyła go w twarz i piekły go policzki. Zanotował w pamięci, że przydałaby się maska ochronna.

Manooth mówi, że nie mają już kamienia! oznajmił nagle Carenath po dość drugim czasie prawie nie wymagającej myślenia walki. Powinni sprawdzić, czy jest w Warowni Fort?

Sean do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak daleko w głąb ładu zalecieli podczas bitwy. Znajdowali się nad imponującymi blankami Warowni Fort. Zagapił się na nie w zdumieniu, nagle uświadamiając sobie, jak bardzo jest obolały z zimna i napięcia. Ciało otarły mu paski upręży, twarz piekła, a palców u rąk i nóg w ogóle nie czuł.

Powiedz im, niech wylądują w Warowni! rzekł. Opad przesunął się dalej w góry. Dziś już więcej nie zrobimy!

Dobrze! odparł Carenath z takim entuzjazmem, że Connell zapomniał o poparzonych policzkach i się uśmiechnął. Z uczuciem poklepał smoka po karku, po czym cała formacja wykonała w prawo zwrot i po spirali opuściła się w stronę ziemi.

- Emily! - Pierre wpadł do pokoju żony. - Emily, nigdy w to nie uwierzysz!

- W co nie uwierzę? - zapytała ze zmęczeniem, które nie opuszczało jej od chwili wypadku. Obróciła głowę na wyścielonym podgłówku krzesła i uśmiechnęła się słabo do męża.

- Przylecieli! Słyszałem, ale trudno mi było w to uwierzyć. Smoki i ich jeźdźcy przybyli do Fortu. Przybyli w triumfie! Naprawdę walczyli z Nićmi, tak jak to sobie wymarzyłaś, i tak jak to zaprojektowała Kit Ping! - Chwycił uniesioną dłoń Emily, jedyną część jej ciała, która nie ucierpiała w trakcie upadku. - Cała siedemnastka odważnych młodych ludzi. Paul mówi, że urządzili Niciom prawdziwy pogrom. - Pierre uśmiechnął się szeroko, chociaż pod powiekami kręciły mu się łzy. Ujrzał zaróżowione policzki żony, jej pierś unoszącą się w przyspieszonym rytmie, nagły błysk zainteresowania w oczach. Kobieta podniosła głowę, a on mówił dalej. - Paul patrzył, jak palą Nici z nieba. Oczywiście nie walczyli przez cały Opad, ale początek był na morzu, a reszta spadnie w górach, gdzie nie narobi wielu szkód.

- Admirał mówił, że to najwspanialsze widowisko, jakie oglądał w życiu. Lepsze niż bitwa w Łabędziu. Zrobili nagranie, więc później będziesz mogła obejrzeć. - Pierre pochylił się, żeby pocałować jej dłoń. Miał w oczach łzy uznania dla Emily, dla odważnych młodych ludzi, którzy walczyli ze śmiertelnością plagą pod niebem ich cudownego i przerażającego nowego świata. - Paul wyszedł, żeby ich powitać. Triumfalne przybycie. Niech mnie licho, jeśli to nie podniesie wszystkich na duchu. Ludzie krzyczą i wiwatują, a Pol i Bay płaczą, co trudno nazwać zachowaniem godnym naukowców. Chyba czują się tak, jakby smoczy jeźdźcy byli ich dziełem. I pewnie mają rację, prawda?

Emily zaszarnotała się na krzesle, zaciskając palce na ramieniu męża.

- Pomóż mi podejść do okna, dobrze, Pierre? Muszę ich zobaczyć. Chcę ich ujrzeć!

Większa część mieszkańców Warowni Fort wyległa na powitanie, wymachując przygotowanymi naprędce flagami z jaskrawego materiału i pokrzykując w nieskładnym chórze. Smoki złożyły skrzydła, by wylądować na otwartej przestrzeni, gdzie jeszcze niedawno ekipy naziemne pracowały, by zniszczyć Nici, które umknęły przed smoczym ogniem. Tłum ruszył naprzód, otaczając poszczególnych jeźdźców. Każdy chciał dotknąć smoka; ludzie nie zwracali uwagi na prośby jeźdźców, by oszczędzić skrzydła poprzebijane przez Nici i poparzoną skórę.

Sean z wdzięcznością dostrzegł zawieszony w powietrzu ślizgacz i usłyszał głośno wykrzykiwane rozkazy, by zostawić smoki w spokoju i dopuścić do nich medyków.

Zgiełk nieco ucichł. Tłum rozstał się, przepuszczając zespoły medyczne i dając jeźdźcom możliwość zejścia ze smoczych grzbietów. Szeptano ze współczuciem, gdy krzyki ustały na tyle, że dało się słyszeć pełne bólu sapanie smoków. Część ludzi zgromadzonych wokół Carenatha gorliwie pomogła Seanowi zająć się jego wierzchowcem.

Czy wszyscy przyszli nas zobaczyć? zapytał Carenath nieśmiało. Spizowy smok obrócił lewe skrzydło, by Connell mógł dotrzeć do szczególnie szerokiego oparzenia, i westchnął z ulgą, gdy jeździec posmarował je maścią uśmierzającą ból.

- Mieliśmy mnóstwo szczęścia - mruknął Sean pod nosem, kiedy dopilnował już, żeby wszystkie obrażenia Carenatha zostały opatrzone. Rozejrzał się dookoła sprawdzając, czy wszystkimi smokami zajęto się należycie. Sorka uśmiechnęła się do niego i podniosła w górę kciuk. Jej twarz umazana była krwią i sadzą. - Zrządzenie losu, że wyszliśmy z tego tylko z drobnymi poparzeniami. Nie wiedzieliśmy nawet, na co się porywamy. Ślepy fart! - Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Chłopak obmyślał sposoby unikania oparzeń oraz ćwiczenia, które pozwoliłyby opracować metodę spopielenia jak największej ilości Nici jednym oddechem. Ostatecznie przebrnęli dopiero przez pierwszą potyczkę w długiej wojnie.

- Hej, Sean, tobie też przyda się trochę pomocy - jedna z medyczek ściągnęła mu hełm, żeby posmarować maścią policzki. - Musisz ładnie wyglądać. Admirał czeka!

Jak gdyby to było hasło, nad równiną zaległa nagła cisza. Jeźdźcy ścieśnili się i ruszyli w stronę pochylni, na której stał Paul Benden, w galowym mundurze admirała floty, flankowany

przez Ongolę i Ezrę Keroona, podobnie wystrojonych. Czekali na siedemnastu młodych bohaterów.

Jeźdźcy powoli szli do przodu, mijając uśmiechających się głupkowato ludzi. Sean rozpoznał wiele twarzy: Pol i Bay wyglądali, jak gdyby za chwilę mieli pęknąć z dumy; stojący między Ozziem i Cobberem Telgar miał policzki mokre od łez; w oczach Cherry Duff, podtrzymywanej przez dwóch synów, jaśniała radość. Dojrzał też Hanrahanów; Mairi trzymała na ręku małego synka, żeby on także mógł obejrzeć widowisko. Nie było gubernator Emily Boll i Sean poczuł, jak serce mu się ściska. Czyli Peter Chernoff mówił prawdę. Bez niej ten moment nie będzie taki sam.

Podeszli do rampy. Wszystkie dziewczyny zostały kawałek z tyłu i Sean znalazł się w środku. Kiedy się zatrzymali, chłopak podszedł jeszcze o krok i zsalutował. Wydawało mu się, że tak właśnie należy zrobić. Admirał Benden, ze łzami w oczach, z dumą oddał salut.

- Admirale Benden - powiedział Sean, jeździec spizowego Carenatha - czy mogę przedstawić Smoczych Jeźdźców z Pernu?